Czara Wiatrów

Robert Jordan

Książka VII z Koło Czasu

calibre 0.9.27

ROBERT JORDAN

CZARA WIATRÓW

(PRZEŁOŻYŁA KATARZYNA KARŁOWSKA)

Dla Harriet,

która po raz kolejny zasłużyła na podziękowania

Ani w nas zdrowia nie znajdziesz, ani plonu udanego nie zbierzesz, ziemia bowiem jest jedną ze Smokiem Odrodzonym, a on jest jednym z ziemią. On to, ta dusza z ognia, to serce z kamienia, dumą powodowany podbojów dokonuje i dumnych do uległości zmusza. On to rozkazuje górom na klęczki padać, morzom z drogi ustępować, niebiosom zaś samym pokłony mu bić. Módlcie się wszak, aby to serce z kamienia zapamiętało łzy, a ta dusza z ognia miłość.

Fragment wielokrotnie kwestionowanego przekładu Proroctw Smoka dokonanego przez poetę Kyerę Termendala z Shiota, opublikowanego, jak się przyjmuje, między NR 700 a NR 800.

PROLOG

BŁYSKAWICE

Z wysokiego, zwieńczonego łukiem okna, które znajdowało się prawie osiem piędzi nad ziemią, blisko szczytu Białej Wieży, Elaida ogarniała wzrokiem całe mile terenów otaczających Tar Valon, pofałdowane równiny i lasy obrastające brzegi szerokiego koryta Erinin, która płynęła z północnego zachodu i rozwidlała się tuż przed białymi murami tego wielkiego miasta na wyspie. O tak wczesnej porze wydłużone cienie zapewne spowijały miasto, ale z tej wysokości wszystko zdawało się czyste i wyraźne. Nawet osławione "pozbawione szczytów wieże" Cairhien nie dorównywały Białej Wieży. Z pewnością nie dorównywała jej też ani jedna z pomniejszych wież Tar Valon, czego by ludzie nie mówili o ich wysokości, masywności i łączących je sklepionych, sięgających nieba mostach.

Porywisty, niemalże nie ustający wiatr łagodził nieco ten nienaturalny skwar, który ścisnął świat swoimi kleszczami. Święto Świateł dawno już minęło, więc śnieg winien był okrywać ziemię głębokimi zaspami, a tymczasem panowała aura samego serca upalnego lata. Kolejny widomy znak - gdyby ktoś jeszcze szukał jakichś znaków - że oto zbliżała się Ostatnia Bitwa i że Czarny skaził świat swym dotknięciem. Elaida naturalnie nie pozwalała, by ten upał na nią działał. To nie dla tego wiatru kazała przenieść swe komnaty na tak wysokie piętro, do izb jakże prostych, mimo niedogodności, jakich przysparzała wielka liczba stopni.

Posadzka pokryta brunatnymi płytkami oraz ściany wyłożone białym marmurem i udekorowane nielicznymi arrasami żadną miarą nie dorównywały przepychowi położonego znacznie niżej gabinetu Amyrlin i sąsiadujących z nim

komnat. Nadal jeszcze korzystała niekiedy z tych pomieszczeń -w umysłach niektórych kojarzyły się z władzą przynależną Zasiadającej na Tronie Amyrlin - ale rezydowała właśnie tutaj i tu też najczęściej pracowała. Dla tego widoku. Tyle że nie chodziło o widok miasta, rzeki czy lasów. Lubiła obserwować to, co powstawało na terenie otaczającym Wieżę.

Dawny dziedziniec ćwiczeń Strażników pokrywały teraz potężne wykopy i fundamenty, wysokie, drewniane dźwigi oraz stosy marmurowych i granitowych ciosów. Na placu budowy roili się niczym mrówki mularze i robotnicy, a przez bramy wtaczał się powoli nie kończący się ciąg wozów dostarczających coraz więcej kamienia. Z boku stał drewniany "model roboczy" - określenie mularzy - tak wielki, że każdy mógł do niego wejść, jeżeli przykucnął na piętach, i obejrzeć wszystko ze szczegółami, żeby wiedzieć, gdzie dokładnie ma zostać położony każdy kamień. Ostatecznie większość robotników nie umiała przeczytać ani słów; ani planów wyrysowanych przez mularzy. "Model roboczy" dorównywał wielkością niejednej kamienicy.

Skoro byle król czy królowa posiadali pałac, dlaczego Zasiadająca na Tronie Amyrlin miała być relegowana do apartamentów niewiele lepszych od tych, które zamieszkiwały zwykłe siostry? Jej pałac dorówna świetnością Białej Wieży i zostanie zwieńczony wielką iglicą, dzięki której stanie się o dziesięć piędzi wyższy od samej Wieży. Głównemu mularzowi krew odpłynęła z twarzy, kiedy to usłyszał. Wieżę zbudowali ogirowie wspomagani przez siostry posługujące się Mocą. Ale potem jedno tylko spojrzenie na twarz Elaidy kazało panu Lermanowi ukłonić się i wybąkać, że, ma się rozumieć, wszystko zostanie wykonane zgodnie z jej życzeniem. Jakby podlegało to jakiejkolwiek dyskusji.

Aż zacisnęła usta z irytacji. Chciała raz jeszcze wynająć mularzy spośród ogirów, ci wszak z jakiegoś powodu pozamykali się w stedding. Jej wezwanie wystosowane do najbliższego Stedding Jentoine, w Czarnych Wzgórzach, spotkało się z odmową. Uprzejmą, ale jednak odmową, bez słowa wyjaśnienia, mimo iż wezwanie pochodziło od samej Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Ogirowie stronili od towarzystwa ludzi; takie było najłagodniejsze wytłumaczenie. Albo może wycofywali się ze świata pogrążonego w zamęcie; zawsze woleli trzymać się z dala od ludzkich konfliktów.

Z całą stanowczością wyrzuciła ze swoich myśli ten problem. Chlubiła się tym, że potrafi oddzielić to, co możliwe, od tego, co niemożliwe. Kwestia ogirów to błahostka. Nigdy nie angażowali się w sprawy świata, jeśli nie liczyć budowy miast w zamierzchłych czasach, miast, które teraz, jeśli nie ściągała ich konieczność dokonywania remontów, odwiedzali rzadko.

Widok pracujących na dole ludzi, pełzających po placu budowy powoli niczym żuki, sprawił, że skrzywiła się nieznacznie. Budowa posuwała się do przodu w ślimaczym tempie. Ogirowie nie wchodzili w rachubę, ale być może dałoby się znowu użyć Jedynej Mocy. Wprawdzie niewiele sióstr dysponowało realną siłą w splataniu Ziemi, jednak do zbrojenia kamieni, względnie ich spajania, nie trzeba wiele. Tak. W jej wyobraźni pałac już stał, wykończony; kolumnady i wielkie kopuły lśniły od złoceń, a ta sięgająca nieba iglica... Wzniosła oczy ku bezchmurnemu niebu, temu niebu, z którym miała zmierzyć się iglica, i westchnęła przeciągle. Tak. Rozkazy zostaną wydane jeszcze dzisiaj.

Wysoki zegar szafkowy za jej plecami wybił Tercję, zawtórowały mu wszystkie gongi i dzwony w mieście. Tutaj, tak wysoko, ich odgłosy były nieco stłumione. Elaida

z uśmiechem odeszła od okna, wygładzając suknię z kremowego jedwabiu zdobioną wypełnionymi czerwienią cięciami i poprawiając szeroką, pasiastą stułę Amyrlin udrapowaną na ramionach.

W ozdobnie pozłacanym zegarze dzwoneczkami poruszały maleńkie figurki ze złota, srebra i emalii. Na jednym poziomie obdarzone ryjami i pyskami trolloki uciekały przed otuloną płaszczem Aes Sedai; na drugim mężczyzna wyobrażający fałszywego Smoka oganiał się od srebrnych błyskawic, ewidentnie ciskanych przez inną siostrę. Nad samą tarczą zegara, nad głową Elaidy, król i królowa, oboje w koronach, klęczeli przed Zasiadającą na Tronie Amyrlin w stule z emalii i z Płomieniem Tar Valon wyrzeźbionym z dużego kamienia księżycowego, który wieńczył złoty łuk nad jej głową.

Nie zwykła śmiać się często, ale tym razem nie potrafiła się powstrzymać i parsknęła cicho. Zegar zamówiła Cemaile Sorenthaine, wyniesiona z Szarych, ta sama, która tak marzyła o powrocie do czasów sprzed Wojen z Trollokami, kiedy to żaden władca nie zasiadał na tronie bez aprobaty Wieży. Dalekosiężne plany Cemaile spełzły na niczym i przez trzy stulecia zegar stał w pełnej kurzu przechowalni; przedmiot wzbudzający zażenowanie, którego nikt nie ośmielił się wystawić na pokaz. Nikt przed Elaidą. Koło Czasu obróciło się. To, co stało się kiedyś, mogło się powtórzyć. I powtórzy się.

Bryła zegara stanowiła element równoważący drzwi do bawialni Elaidy oraz sypialni i gotowalni, które znajdowały się dalej. Wspaniałe, wielobarwne arrasy, rodem z Łzy, Kandoru i Arad Doman, ze złotą i srebrną przędzą lśniącą wśród zwykłych, farbowanych nici, wisiały w idealnie równych odległościach. Zawsze lubiła porządek. Taraboniański dywan, pokrywający prawie całą posadzkę, utkany był we

wzory z czerwieni, zieleni i złota; jedwabne dywany były najcenniejsze. Marmurowe cokoły rzeźbione w szlachetnie proste, pionowe linie, ustawione we wszystkich kątach komnaty, podtrzymywały białe wazony z kruchej porcelany Ludu Morza; w każdym z nich stały starannie ułożone dwa tuziny czerwonych róż. Tylko Jedyna Moc mogła zmusić róże do kwitnienia o tej porze roku, a zwłaszcza przy takiej suszy i upale; jej zdaniem efekt był tego wart. Pozłacane rzeźbienia pokrywały zarówno jedyne krzesło - nikt już nie siadał w jej obecności - jak i stolik do pisania, utrzymany w oszczędnym stylu dominującym w Cairhien. Doprawdy prosta komnata, z powałą na wysokości zaledwie dwóch piędzi, ale musiała wystarczyć, dopóki jej pałac nie będzie gotów. Dopóki zapewniała taki widok - wystarczy.

Usiadła. Nad jej głową lśnił bielą osadzony w wysokim oparciu Płomień Tar Valon, wykonany z księżycowych kamieni. Na blacie stołu nie było niczego, co mogłoby oszpecić jego idealnie wypolerowaną powierzchnię, oprócz trzech lakierowanych szkatułek z Altary, ustawionych jakby od niechcenia. Otworzywszy jedną z nich, na wieku której pośród białych chmur fruwały białe jastrzębie, wyjęła wąski skrawek cienkiego papieru, leżący na szczycie pliku raportów i korespondencji. Chyba po raz setny przeczytała list, który przed dwunastoma dniami przyniósł gołąb. Mało kto w Wieży wiedział o jego istnieniu i nikt oprócz niej nie poznał treści, a nawet gdyby ją poznał, to i tak nie miałby pojęcia, co tak naprawdę komunikował. Elaida omal znowu się nie zaśmiała, gdy naszła ją ta myśl.

"Pierścień został umieszczony w nozdrzach byka. Spodziewam się przyjemnej wyprawy na targowisko".

Żadnego podpisu, ale Elaidzie podpis był niepotrzebny. Tylko Galina Casban mogła przysłać taką cudowną wiadomość. Galina, której Elaida powierzyła zrobienie

czegoś, czego nie powierzyłaby nikomu innemu oprócz siebie samej. Nie żeby komukolwiek bezgranicznie ufała, ale przywódczyni Czerwonych Ajah jednak ufała bardziej niż innym. Ostatecznie sama została wyniesiona z Czerwonych i pod wieloma względami nadal uważała siebie za Czerwoną.

"Pierścień został umieszczony w nozdrzach byka".

Rand al'Thor - Smok Odrodzony, mężczyzna, który wydawał się już tak bliski zagarnięcia całego świata, mężczyzna, który z pewnością zagarnął zbyt wiele - ten właśnie Rand al'Thor został odgrodzony tarczą od Źródła i znajdował się pod kontrolą Galiny. I na dodatek nie wiedział o tym nikt z tych, którzy go popierali. Gdyby istniała na to bodaj najmniejsza szansa, wówczas list zostałby sformułowany inaczej. Z poprzednich wynikało wyraźnie, że na powrót odkrył Podróżowanie, który to Talent Aes Sedai utraciły po Pęknięciu Świata, a jednak ta umiejętność bynajmniej go nie ocaliła. Mało tego, oddała go w ręce Galiny. Najwyraźniej nabrał zwyczaju pojawiania się i znikania bez uprzedzenia. Kto by podejrzewał, że tym razem nie zniknął, tylko został pojmany? Znowu omal nie wybuchnęła śmiechem.

Za tydzień, najpóźniej dwa, al'Thor trafi do Wieży; poczeka tam pod nadzorem i ścisłą strażą aż do czasu Tarmon Gai'don. Przestanie siać spustoszenie w świecie. Przyzwolenie, by jakikolwiek mężczyzna, który potrafi przenosić, chodził wolno, już było szaleństwem, a jeszcze większym wtedy, gdy w grę wchodził ten, który zgodnie z proroctwami miał zmierzyć się z Czarnym w Ostatniej Bitwie; mimo tej pogody niechaj Światłość sprawi, by do tego czasu upłynęło jeszcze wiele lat. Wielu bowiem lat będzie trzeba na uporządkowanie świata, poczynając od naprawienia tego, co zniszczył al'Thor.

Rzecz jasna, zniszczenia, których dokonał, były niczym w porównaniu z tymi,

które jeszcze mógł spowodować, gdyby dalej pozostawał na wolności. Nie wspominając już, że mógłby dać się zabić, zanim nadejdzie jego czas. No cóż, ten nieznośny młodzieniec zostanie zawinięty w pieluszki i będzie trzymany bezpiecznie niczym niemowlę w ramionach matki, aż nadejdzie pora zabrać go do Shayol Ghul. A potem, jeśli przeżyje...

Elaida wydęła usta. Z Proroctw Smoka zdawało się wynikać, że mu się nie uda, niezaprzeczalnie byłaby to możliwość ze wszech miar najkorzystniejsza.

- Matko?

Elaida omal się nie wzdrygnęła na dźwięk głosu Alviarin. Weszła bez pukania!

- Przynoszę wieści od Ajah, Matko. - Szczupła, obdarzona chłodną twarzą Alviarin nosiła wąską, białą stułę Opiekunki Kronik, harmonizującą z suknią, na znak, że została wyniesiona z Białych, jednakże w jej ustach słowo "Matko" nie brzmiało jak wyraz szacunku, lecz bardziej przypominało tytuł, którym można się zwracać do osoby równej sobie.

Obecność Alviarin zmąciła dobry nastrój Elaidy. Fakt, że Opiekunka pochodziła z Białych, a nie z Czerwonych, zawsze stanowił gorzkie przypomnienie słabości, na jaką sobie pozwoliła w dniu, w którym została wyniesiona. Tę słabość częściowo już sobie zrekompensowała, wszakże nie do końca. Jeszcze nie. Miała już dosyć ubolewania nad tym, że dysponuje tak niewielką prywatną siatką wywiadowczą działającą poza terytorium Andoru. Oraz że jej poprzedniczka i poprzedniczka Alviarin uciekły - ktoś im pomógł w ucieczce; ktoś musiał im to ułatwić! - zanim zdążono im wyrwać klucz do ogromnej siatki szpiegowskiej Amyrlin.

Tak bardzo pragnęła przejąć tę siatkę, należało jej się to przecież zgodnie z prawem. Silnie ugruntowana tradycja nakazywała poszczególnym Ajah przekazywać

Opiekunce Kronik wszelkie skrawki informacji od ich agentów, zwłaszcza te, które uznały za ważne dla Amyrlin, jednak Elaida była przekonana, że Alviarin zatrzymywała część raportów dla siebie. Mimo to nie mogła poprosić Ajah, by informowały ją bezpośrednio. Źle być słabą, jednak jeszcze gorzej żebrać przed obliczem całego świata. Czy raczej przed Wieżą, ale ona stanowiła ten jedyny element świata, który liczył się naprawdę.

Elaida postarała się, by jej twarz pozostała równie chłodna jak twarz tamtej. Powitała ją zdawkowym skinieniem głowy, jednocześnie udając, że ogląda dokumenty wyjęte z lakierowanej szkatułki. Wertowała je jeden po drugim, powoli, i powoli odkładała z powrotem do szkatułki. Tak naprawdę nie widząc ani słowa. Fakt, że zmusza Alviarin do czekania, napawał ją goryczą, bo było to coś szmatławego, ale tylko w szmatławy sposób mogła traktować kogoś, kto powinien był zostać jej służką. Każda Amyrlin mogła wydać dowolny dekret, a jej słowo równało się prawu i było nieodwołalne. Niemniej jednak przy braku wsparcia Komnaty Wieży wiele takich dekretów wiązało się z marnowaniem atramentu i papieru. Żadna siostra nie okazałaby nieposłuszeństwa Amyrlin, w każdym razie nie bezpośrednio, a mimo to większość dekretów wymagała stu innych działań, by naprawdę wprowadzono je w życie. W najlepszych czasach działo się to powoli, niekiedy tak wolno, że nigdy nie dochodziło do skutku, te zaś czasy trudno było nazwać najlepszymi.

Alviarin stała bez ruchu, spokojna niczym staw skuty lodem. Zamknąwszy altarańską szkatułkę, Elaida wyjęła skrawek papieru, który obwieszczał jej nieuchronne zwycięstwo. Odruchowo pogładziła go palcem niczym talizman.

- Czy Teslyn albo Joline raczyły nareszcie przysłać coś więcej niźli tylko zawiadomienie o swym szczęśliwym dotarciu na miejsce?

To miało przypomnieć Alviarin, że żadna z sióstr nie mogła się uważać za nietykalną. Nikogo nie obchodziło to, co się dzieje w Ebou Dar, a już najmniej Elaidę; stolica Altary mogła się zapaść do morza i oprócz kupców nie zauważyłaby tego nawet reszta mieszkańców Altary. Jednak Teslyn zasiadała w Komnacie już od piętnastu lat, kiedy Elaida rozkazała jej ustąpić ze stanowiska. Skoro Elaida mogła wysłać jakąś Zasiadającą - Zasiadającą z Czerwonych - w charakterze ambasadora przy tronie wielkości muszej kropki, z powodów, których nikt nie był pewien, mimo krążącej setki plotek, to w takim razie mogła naurągać każdej. W przypadku Joline sprawy miały się inaczej. Piastowała swe stanowisko w imieniu Zielonych zaledwie od kilku tygodni i wszystkie siostry były przekonane, że Zielone wybrały ją po to tylko, żeby dowieść, iż nowa Amyrlin ich nie zastraszy. Nie należało dopuścić, by taka odrobina buty przeszła bez echa i, rzecz jasna, tak się też stało. O tym już wszystkie wiedziały.

Chciała przypomnieć Alviarin, że nie jest bezkarna, ale szczupła kobieta jedynie się uśmiechnęła tym swoim charakterystycznym zimnym uśmiechem. Była nietykalna dopóty, dopóki Komnata pozostawała w dotychczasowym kształcie. Przerzuciła trzymane w dłoni papiery, wybrała jeden.

- Ani słowa od Teslyn ani Joline, Matko, aczkolwiek wśród wieści, które jak dotąd otrzymałaś od tronów... - Uśmiech pogłębił się, stając się niebezpiecznie bliskim rozbawienia. - Wszystkie chcą spróbować swoich sił, żeby sprawdzić, czy jesteś tak samo potężna... jak twoja poprzedniczka. - Nawet Alviarin miała dość rozsądku, by w jej obecności nie wymieniać tej Sanche z nazwiska. Była to jednak prawda; wszyscy królowie i królowe, nawet pośledniejsi arystokraci, zdawali się sprawdzać, jakie są granice jej władzy. Będzie musiała kogoś skarcić, by odstraszyć innych.

Alviarin zerknęła na trzymany w dłoni papier i ciągnęła dalej:

- Niemniej jednak z Ebou Dar przyszły wieści. Od Szarych. - Czy ona to zaakcentowała, żeby wbić drzazgę jeszcze głębiej? - Jak się zdaje, są tam Elayne Trakand i Nynaeve al'Meara. Udają pełne siostry, za błogosławieństwem rebelianckiej... misji poselskiej ... przed królową Tylin. Towarzyszą im dwie inne, nie rozpoznane, które być może robią to samo. Listy tych, które przystały do buntu, są niepełne. A może to zwykłe towarzyszki. Szare nie mają pewności.

- Po co, na Światłość, pojechały do Ebou Dar? - spytała z roztargnieniem Elaida. Teslyn z pewnością zawiadomiłaby ją o czymś takim. - Szare chyba rozpuszczają plotki. Tarna doniosła, że one są razem z rebeliantkami w Salidarze. - Tarna Feir pisała, że jest tam także Siuan Sanche. Oraz Logain Ablar, rozgłaszający wszem i wobec te złośliwe kłamstwa, o których wzmianka byłaby dla każdej Czerwonej siostry poniżeniem, nie mówiąc już o ich dementowaniu. Jeżeli to nie Sanche maczała palce w tych bezeceństwach, to słońce wzejdzie jutro na zachodzie. Dlaczego zwyczajnie się nie odczołga i nie umrze, poza zasięgiem wzroku, jak nakazuje przyzwoitość każdej ujarzmionej kobiecie?

Nie westchnęła otwarcie, ale to kosztowało ją sporo wysiłku. Logaina będzie można powiesić po cichu, kiedy tylko uporają się z rebeliantkami; większa część świata uważała go za od dawna nieżyjącego. To brudne oszczerstwo, w myśl którego Czerwone Ajah wykorzystywały go jako fałszywego Smoka w charakterze przynęty, umrze razem z nim. A kiedy sprawa rebeliantek zostanie załatwiona, wówczas zmusi się Sanche do przekazania klucza do siatki szpiegowskiej Amyrlin. I wymieni nazwiska zdrajczyń, które pomogły jej w ucieczce. Aczkolwiek za płonną należało chyba uznać nadzieję, że padnie wśród nich imię Alviarin.

- Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, by ta al'Meara mogła uciec do Ebou Dar i

tam udawać Aes Sedai. Jeszcze mniej prawdopodobne wydaje się to w przypadku Elayne, nieprawdaż?

- Kazałaś odszukać Elayne, Matko. Twierdziłaś, że to równie ważne jak uwiązanie al'Thora na smyczy. Kiedy znajdowała się w otoczeniu trzystu rebeliantek w Salidarze, zrobienie czegokolwiek było niemożliwe, ale w Pałacu Tarasin nie będzie równie bezpieczna.

- Nie mam czasu na plotki i pogłoski. - Elaida cedziła każde słowo z pogardą. Czyżby Alviarin wiedziała więcej niż powinna, skoro wspomniała o al'Thorze i uwiązywaniu go na smyczy? - Sugeruję, byś raz jeszcze przeczytała raport Tarny, a potem w myślach zadała sobie pytanie, czy nawet rebeliantki pozwoliłyby Przyjętej udawać, że ma prawo nosić szal?

Alviarin czekała z udawaną cierpliwością, aż Elaida skończy, po czym kolejny raz przejrzała swój plik i wyciągnęła zeń jeszcze cztery arkusze.

- Agentka Szarych przysłała szkice - powiedziała obojętnie, przerzucając kartki.

- To żadna artystka, ale Elayne i Nynaeve łatwo rozpoznać. - Po chwili, kiedy Elaida wciąż nie wzięła rysunków, wsunęła je na spód pozostałych papierów.

Elaida poczuła, że na policzki wypełza jej rumieniec gniewu i zażenowania. Alviarin celowo pchnęła ją na drogę błędnego wnioskowania, nie pokazując tych szkiców na samym początku. Zignorowała to - każda inna reakcja naraziłaby ją na jeszcze większy wstyd- za to jej głos zabrzmiał lodowato.

- Chcę, by je pojmano i doprowadzono przed moje oblicze.

Brak zaciekawienia na twarzy Alviarin sprawił, że Elaida ponownie się zastanowiła, ile ta kobieta wie o rzeczach, o których nie powinna nawet mieć pojęcia. Al'Meara pochodziła z tej samej wioski co al'Thor, stanowiłaby więc punkt wyjścia dla

działań skierowanych przeciwko niemu. O tym wiedziały wszystkie siostry, tak samo jak o tym, że Elayne to Dziedziczka Tronu Andoru i że jej matka nie żyje. Mętne pogłoski wiążące Morgase z Białymi Płaszczami były nonsensowne, przenigdy by się nie zwróciła do Synów Światłości o pomoc. Umarła i nawet jej ciało nie zostało odnalezione, a teraz Elayne miała zostać królową. Po warunkiem, że zostanie wyrwana z rąk rebeliantek, zanim andorańskie Domy osadzą na Tronie Lwa Dyelin zamiast niej. Mało kto wiedział, dlaczego Elayne jest o wiele ważniejsza niż jakakolwiek arystokratka z silnie ugruntowanymi roszczeniami względem tronu. Jeśli, rzecz jasna, nie brać pod uwagę faktu, że któregoś dnia miała zostać Aes Sedai. Elaida potrafiła czasami Przepowiadać, dysponowała Talentem, który zdaniem wielu został bezpowrotnie utracony, zanim użyła go znowu. Już dawno temu Przepowiedziała, że Królewski Dom Andoru dzierży klucz do zwycięstwa w Ostatniej Bitwie. Minęło dwadzieścia pięć lat, albo nawet więcej, i kiedy stało się jasne, że Morgase Trakand ostatecznie przejmie tron w Sukcesji, Elaida związała się z ongi jeszcze młodą dziewczyną. Elaida nie miała pojęcia, z jakiego powodu Elayne jest taka ważna, ale Przepowiednie nigdy nie kłamały. Czasami niemalże nienawidziła tego Talentu. Nienawidziła rzeczy, nad którymi nie miała kontroli.

- Chcę mieć wszystkie cztery, Alviarin. - Pozostałe dwie były zapewne nieważne, ale nie zamierzała ryzykować. - Poślij natychmiast mój rozkaz do Teslyn. Przekaż jej, a także Joline, że jeśli od tej pory nie zaczną przesyłać regularnych raportów, to pożałują, że się w ogóle urodziły. Dołącz informację od tej Macury. - Przy tym ostatnim słowie mimowolnie wykrzywiła usta.

Na dźwięk tego nazwiska Alviarin drgnęła niespokojnie, i nie dziwota.

Paskudny napar Ronde Macura potrafiłby wywołać złe samopoczucie u każdej siostry.

Widłokorzeń nie był trujący - w każdym razie uśpiony, nim człowiek w końcu się budził - niemniej jednak herbata, która przytępiała w kobiecie zdolność do przenoszenia Mocy, zdawała się czymś wymierzonym zbyt bezpośrednio w Aes Sedai. Szkoda, że ta informacja nie dotarła do Wieży, jeszcze zanim Galina wyruszyła w drogę; gdyby widłokorzeń działał na mężczyzn w taki sam sposób, wówczas miałaby znacznie ułatwione zadanie.

Cień niepokoju widniał na twarzy Alviarin jedynie przez moment; po krótkiej chwili znowu była opanowana, nieugięta niczym czoło lodowca.

- Jak sobie życzysz, Matko. Jestem pewna, że zrobią wszystko, co zechcesz, by okazać posłuszeństwo, tak, jak rzecz jasna, powinny.

Nagły błysk irytacji rozpełzł się po myślach Elaidy niczym ogień po pastwisku w czasie suszy. Los świata był w jej rękach, a tymczasem stale potykała się o drobne przeszkody piętrzące się pod stopami. Nie dość, że musiała się rozprawić z rebeliantkami i nieposłusznymi władcami, to jeszcze zbyt wiele Zasiadających coś sobie roiło i utyskiwało za jej plecami. Były niczym żyzna ziemia, którą tamta mogła orać. Sześć tylko dało jej się bez reszty zdominować i podejrzewała, że tyleż samo co najmniej słuchało uważnie instrukcji Alviarin, zanim oddawało swoje głosy. Z pewnością żadna istotna kwestia nie zyskiwała ogólnej aprobaty, dopóki Alviarin nie wyraziła zgody. Oczywiście nieoficjalnie; nie istniał żaden wyraźny dowód, że posiada bodaj strzępek wpływu czy władzy więcej niż przystało na Opiekunkę, ale jeśli wyraziła swój sprzeciw... Przynajmniej nie posunęły się tak daleko, by odrzucać cokolwiek, co wnosiła pod obrady Elaida. Zwlekały tylko i zbyt często pozwalały temu, czego ona chciała, zdychać z głodu na posadzce. Taka żałosna drobnostka, a jednak trudno powiedzieć, by poprawiała jej nastrój. Niektóre Amyrlin stawały się czymś

niewiele więcej niż marionetkami, kiedy Komnata zasmakowała w negacji wszystkiego, z czym się do niej zwracały.

Zwitek papieru zaszeleścił cichutko, kiedy zacisnęła dłonie w pięści.

"Pierścień został umieszczony w nozdrzach byka".

Alviarin swym opanowaniem przypominała marmurowy posąg, jednak Elaida przestała się przejmować. Pasterz był już w drodze. Rebeliantki zostaną zniszczone, Komnata zastraszona, Alviarin rzucona na kolana, a wszyscy odszczepieńczy władcy przywołani do porządku, począwszy od Tenobii z Saldaei, która się ukryła, żeby tylko uniknąć spotkania z jej emisariuszką, a skończywszy na Mattinie Stepaneosie z Illian, który znowu próbował grać na wszystkie fronty równocześnie, starając się zawrzeć ugodę i z nią, i z Białymi Płaszczami, a także, o ile się orientowała, z al'Thorem. Elayne zostanie usadzona na tronie w Caemlyn, wiedząc doskonale, komu to zawdzięcza; jej brat nie wejdzie w drogę, bo go tam nie będzie. Odrobina czasu spędzonego w Wieży sprawi, że dziewczyna stanie się niczym wilgotna glina w rękach Elaidy.

- Chcę, by tych mężczyzn wyrwano z korzeniami, Alviarin. - Nie musiała mówić, kogo ma na myśli; połowa Wieży nie rozprawiała o niczym innym jak o mężczyznach w Czarnej Wieży; druga połowa szeptała o nich po kątach.

- Są też pewne niepokojące doniesienia, Matko. - Alviarin raz jeszcze przejrzała papiery, ale Elaida uznała, że tym razem po prostu musiała czymś zająć dłonie. Nie wyciągnęła już żadnej innej kartki i nawet jeśli naprawdę nic nie mogło głębiej poruszyć tej kobiety, to wobec tak niesłychanego siedliska zarazy, jakim były okolice Caemlyn, nie potrafiła zostać obojętna.

- Jeszcze jakieś plotki? Wierzysz w opowieści o tych tysiącach ciągnących do Caemlyn w odpowiedzi na tę jego obrzydliwą amnestię? - Nie była to pośledniejsza ze

sprawek al'Thora, ale raczej nie dawała powodów do niepokoju. To tylko sterta nieczystości, którą należało usunąć, zanim Elayne zostanie koronowana w Caemlyn.

- Oczywiście, że nie, Matko, ale...

- Pokieruje tym Toveine; to zadanie pozostaje w gestii Czerwonych. - Toveine Gazal od piętnastu lat przebywała poza Wieżą, dopóki Elaida nie wezwała jej z powrotem. Pozostałe dwie Zasiadające, które zrezygnowały i jednocześnie udały się na "dobrowolną" emeryturę, stały się obecnie kobietami o rozbieganym wzroku, ale w odróżnieniu od Lirene i Tsutamy, Toveine jeszcze bardziej stwardniała na swym samotniczym wygnaniu. - Ma dostać pięćdziesiąt sióstr. -W tej Czarnej Wieży nie mogło znajdować się więcej jak dwóch albo trzech mężczyzn, którzy rzeczywiście potrafili przenosić; tego Elaida była pewna. Pięćdziesiąt sióstr powinno unieszkodliwić ich bez trudu. Ale być może będą tam również inni, z którymi trzeba się rozprawić. Różni służalcy, poszukiwacze przygód, głupcy pełni próżnych nadziei i niedorzecznych ambicji. - I ma też zabrać stu... nie, dwustu członków Gwardii.

- Czy jesteś pewna, że to roztropne? Pogłoski o ich sile są z pewnością obłąkańcze, jednak agentka Zielonych w Caemlyn twierdzi, jakoby w tej Czarnej Wieży było ich co najmniej czterystu. To sprytna kobieta. Jak się zdaje, policzyła fury dostawcze, które wyjeżdżają z miasta. Zapewne są ci także znane plotki, że jest z nimi Mazrim Taim.

Elaida postarała się, by jej twarz pozostała nieruchoma, i ledwie jej się to udało. Przecież zabroniła wymieniać imię Taima, a teraz zrobiło jej się niedobrze na myśl o tym, że się nie odważy - nie odważy! - wymierzyć Alviarin żadnej kary. Kobieta patrzyła jej prosto w oczy; tym razem brak obowiązkowego "Matko" był uderzający. I to zuchwałe pytanie, podające w wątpliwość roztropność jej działań! Przecież ona jest

Zasiadającą na Tronie Amyrlin! Nie pierwszą pośród równych - Zasiadającą na Tronie Amyrlin!

Otworzywszy największą z lakierowanych szkatułek, zobaczyła rzeźbione z kości słoniowej miniatury ułożone na szarym aksamicie. Oglądanie kolekcji często ją uspokajało, ale częściej jeszcze, podobnie jak robótki na drutach, które uwielbiała, dawało jasno do zrozumienia temu, kto jej towarzyszył, gdzie właściwie jest jego miejsce; bo skoro najwyraźniej poświęcała miniaturom więcej uwagi niźli temu, co owa osoba miała do powiedzenia... Najpierw pogładziła znakomicie wykonanego kota, lśniącego i kształtnego, potem kobietę w zdobnych szatach z jakimś osobliwym zwierzątkiem, zapewne tworem wyobraźni rzeźbiarza, przycupniętym na jej ramieniu, a dopiero po chwili wybrała wykrzywioną w łuk rybę, wyrzeźbioną tak misternie, że wyglądała prawie jak żywa, mimo iż kość pożółkła już ze starości.

- Czterystu awanturników, Alviarin. - Czuła się już znacznie spokojniejsza, zobaczyła bowiem, jak usta Alviarin się zacisnęły. Tylko nieznacznie, ale rozkoszowała się każdą chwilą słabości tej kobiety. - O ile rzeczywiście jest ich tam tylu. Tylko dureń uwierzyłby, że więcej niż dwóch albo trzech potrafi przenosić. I to w najlepszym razie! Przez ostatnie dziesięć lat znalazłyśmy zaledwie sześciu mężczyzn obdarzonych tą zdolnością. Zaledwie dwudziestu czterech podczas ostatnich dwudziestu lat. Poza tym wiesz sama, jak drobiazgowe prowadziłyśmy poszukiwania. Co zaś się tyczy Taima... - Wymówiwszy to imię, poczuła pieczenie w ustach; jedyny fałszywy Smok, któremu kiedykolwiek udało się uciec z rąk Aes Sedai, zanim zdążyły go poskromić. Nie chciała, by taki epizod został odnotowany w Kronikach spisanych za jej panowania, z pewnością nie, dopóki nie zadecyduje, jak go opisać. Obecnie Kroniki nie mówiły nic o tym, co się zdarzyło po jego pojmaniu.

Przejechała kciukiem po łuskach ryby.

- On nie żyje, Alviarin, w przeciwnym razie już dawno usłyszałybyśmy o nim. I nie służyłby al'Thorowi. Uważasz, że mógłby nadal utrzymywać, że jest Smokiem Odrodzonym, gdyby służył Smokowi Odrodzonemu? Czy uważasz, że mógłby przebywać w Caemlyn, gdzie z pewnością przynajmniej Davram Bashere próbowałby go zabić? - Kciuk zaczął sunąć szybciej po figurce z kości słoniowej, kiedy sobie przypomniała, że Marszałek-Generał Saldaei bawi w Caemlyn i przyjmuje rozkazy od al'Thora. Do czego zmierza Tenobia? Żadna z tych myśli nie odbiła się wszakże na twarzy Elaidy, która pozostała tak gładka, że równie dobrze mogłaby należeć do jednej z figurek.

- Dwadzieścia cztery to liczba, którą niebezpiecznie wymawiać na głos - stwierdziła Alviarin ze złowróżbnym spokojem - równie groźna jak dwa tysiące. Kroniki odnotowują jedynie szesnastu. Byłoby to ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba, gdyby tamte lata znowu o sobie przypomniały. Albo gdyby siostry, które wiedzą jedynie tyle, ile im powiedziano, poznały prawdę. Nawet te, które sprowadziłaś z powrotem, dochowują milczenia.

Elaida zrobiła rozbawioną minę. O tym, że Alviarin poznała prawdę o tamtych latach dopiero po swym wyniesieniu do godności Opiekunki, dowiedziała się drogą osobistych dociekań. Z czego Alviarin niekoniecznie zdawała sobie sprawę. W każdym razie nie mogła być pewna.

- Córko, ja takich obaw nie żywię, niezależnie od tego, co mogłoby wyjść na jaw. Któż miałby mnie karać, a jeśli już, to na jakiej podstawie? - To udatnie omijało prawdę, ale najwyraźniej nie zrobiło na tamtej najmniejszego wrażenia.

- Kroniki odnotowują przypadki kilku Amyrlin, które zostały publicznie

ukarane z jakichś zazwyczaj niejasnych powodów, ale zawsze mi się wydawało, że tak właśnie jakaś Amyrlin kazałaby to opisać, gdyby stwierdziła, że nie ma żadnego wyboru oprócz...

Elaida uderzyła dłonią w stół.

- Dość, córko! To ja jestem prawem Wieży! To, co do tej pory ukrywano, pozostanie ukryte z takiego samego powodu, dla jakiego tak było przez lat dwadzieścia: dobra Białej Wieży. - Dopiero w tym momencie poczuła ból we wnętrzu dłoni; uniosła rękę, odsłaniając rybę pękniętą na dwie połowy. Ile ta ryba miała lat? Pięćset? Tysiąc? Omal nie zadygotała z wściekłości. W każdym razie znienacka jej głos stężał. - Toveine ma poprowadzić pięćdziesiąt sióstr i dwustu członków Gwardii Wieży do Caemlyn, do Czarnej Wieży, a tam mają poskromić wszystkich mężczyzn zdolnych do przenoszenia, a następnie powiesić ich wraz z tyloma, ilu zdołają pojmać żywcem. - Alviarin nawet nie mrugnęła, słysząc o takim pogwałceniu prawa Wieży. Elaida mówiła prawdę, tak jak sobie ją wyobrażała; biorąc to pod uwagę, biorąc pod uwagę wszystko inne, rzeczywiście była prawem Wieży. -A skoro już o tym mowa, martwych też mają wieszać. Niech to stanowi ostrzeżenie dla każdego mężczyzny, któremu zachce się dotykać Prawdziwego Źródła. Przekaż Toveine, że ma do mnie przyjść. Chcę zaznajomić się z jej planem.

- Stanie się, jak każesz, Matko. - Odpowiedź, chłodna i gładka, nieodparcie kojarzyła się z wyrazem twarzy Alviarin. - Aczkolwiek, o ile wolno mi coś zasugerować, może zechcesz przemyśleć pomysł wysyłania aż tylu sióstr z Wieży. Rebeliantki ewidentnie uznały twoją ofertę za kuszącą. Już nie przebywają w Salidarze, ruszyły w drogę. Doniesienia przyszły z Altary, ale do tej pory dotarły już zapewne do Murandy. I wybrały też swoją własną Amyrlin. - Obrzuciła wzrokiem

arkusz na wierzchu pliku papierów, jakby szukała tego nazwiska. - Egwene al'Vere, jak się zdaje.

Fakt, że Alviarin zwlekała z przekazaniem najważniejszej wiadomości aż do teraz, powinien był sprawić, że Elaida eksploduje ze złości. A tymczasem odrzuciła głowę w tył i zaniosła się śmiechem. Nie przytupywała nogami jedynie dlatego, że należało zachować godność. Na widok zdziwienia na twarzy Alviarin zaczęła się śmiać jeszcze serdeczniej, aż wreszcie musiała wytrzeć oczy.

- Ty tego nie zrozumiesz - powiedziała, kiedy nareszcie była zdolna coś wykrztusić pomiędzy napadami wesołości. - Dlatego właśnie jesteś Opiekunką, Alviarin, a nie Zasiadającą. Gdybyś zasiadała w Komnacie, będąc tak ślepa, to po niespełna miesiącu pozostałe umieściłyby cię w jakiejś gablocie i wyjmowały z niej dopiero wtedy, kiedy potrzebowałyby twojego głosu.

- Rozumiem dostatecznie dużo, Matko. - W głosie Alviarin nie słyszało się wzburzenia; w rzeczy samej byłby zdolny okryć szronem mury. - Rozumiem, że trzysta, a może i więcej zbuntowanych Aes Sedai maszeruje na Tar Valon razem z armią dowodzoną przez Garetha Bryne'a uznawanego powszechnie za znamienitego stratega. Nawet jeśli odrzucić co bardziej niedorzeczne doniesienia, ta armia może liczyć ponad dwadzieścia tysięcy żołnierzy, a skoro wiedzie ich Bryne, to mogą werbować rekrutów we wszystkich wioskach i miastach, jakie napotkają na swej drodze. Nie przypuszczam, by miały naprawdę nadzieję opanować miasto, rzecz jasna, ale dalej nie ma w tym nic do śmiechu. Kapitan Naczelny Chubain powinien otrzymać rozkaz przeprowadzenia wzmożonej rekrutacji do Gwardii Wieży.

Ponury wzrok Elaidy padł na pękniętą rybę; wstała i zamaszystym krokiem podeszła do najbliższego okna, stając plecami do Alviarin. Widok pałacu w budowie

zmył gorzki smak z ust, swoją rolę odegrał także skrawek papieru, który wciąż ściskała w dłoni.

Uśmiechnęła się do wyobrażenia przyszłego pałacu.

- Trzysta rebeliantek, owszem, ale powinnaś raz jeszcze przeczytać raport Tarny. Co najmniej sto jest już bliskich załamania. - Ufała do pewnego stopnia Tarnie, Czerwonej, która nie miała w głowie miejsca na bzdury i która twierdziła, że rebeliantki podskakują na widok własnych cieni. Zdesperowane owce skrycie poszukujące pasterza, tak je określiła. Niby dzikuska, a jednak rozsądna. Tarna powinna niebawem wrócić; zapewne przedstawi dokładniejszy raport. Co wcale nie znaczyło, by takowy był potrzebny. Plany Elaidy już przynosiły owoce. Ale to trzymała w tajemnicy.

- Tarna jest zawsze pewna, że potrafi zmusić ludzi, by robili to, czego bez wątpienia i tak nie zrobią. - Czy w tych słowach była jakaś emfaza, jakieś dodatkowe znaczenie? Elaida postanowiła to zignorować. Wiele musiała znosić ze strony Alviarin, ale jej dzień jeszcze nadejdzie. I to już niebawem.

- A co się tyczy ich armii, córko, ona twierdzi, że liczy co najwyżej dwa albo trzy tysiące mężczyzn. Gdyby było ich więcej, to już by się postarali, żeby ich zobaczyła, chcąc nas zastraszyć. - Zdaniem Elaidy w doniesieniach agentów zawsze kryła się przesada, która miała sprawić, by wydawały się bardziej cenne. Ufać można było jedynie siostrom. A w każdym razie Czerwonym siostrom. Niektórym. - Jednak nic by mnie to nie obeszło, gdyby mieli dwadzieścia tysięcy, pięćdziesiąt albo nawet i sto. Czy chociaż się domyślasz, dlaczego? - Kiedy się odwróciła, na twarzy Alviarin malował się wyraz doskonałego opanowania, maska skrywająca ślepą ignorancję. - Zdajesz się dobrze orientować we wszelkich aspektach prawa Wieży. Jaka kara czeka rebeliantki?

- Dla przywódczyń - wolno powiedziała Alviarin -ujarzmienie. - Skrzywiła się lekko, a jej spódnice zakołysały się nieznacznie, kiedy przestąpiła z nogi na nogę. Znakomicie. O tym wiedziały nawet Przyjęte, a tymczasem ona nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Elaida o to pyta. Bardzo dobrze. -A także dla wielu innych.

- Być może.

Przywódczynie, a w każdym razie ich większość, mogły uniknąć ujarzmienia, pod warunkiem, że poddały się w należyty sposób. Najniższą przewidzianą prawem karą była chłosta w Wielkiej Komnacie przed zgromadzeniem sióstr, po której następował okres co najmniej roku i jednego dnia publicznej pokuty. Nigdzie jednak nie było powiedziane, że karę należało odbyć natychmiast; będą pokutować miesiąc tu, miesiąc tam i tak przez najbliższe dziesięć lat, bezustannie przypominając innym, jak kończy się stawianie oporu Elaidzie. Naturalnie niektóre musiały zostać ujarzmione - Sheriam, kilka ze znaczniejszych, samozwańczych Zasiadających - tylko kilka, by wpoić pozostałym strach przed zrobieniem błędnego kroku, bez równoczesnego osłabiania Wieży. Biała Wieża musi stanowić jedność i być silna. Silna i całkowicie podporządkowana.

- Tylko jedna zbrodnia pośród tych, które popełniły, bezwzględnie domaga się ujarzmienia. - Alviarin otwarła usta. W zamierzchłej przeszłości zdarzały się bunty, zagrzebane tak głęboko w historii, że niewiele sióstr o nich wiedziało; Kroniki milczały, listy ujarzmionych i straconych były ukryte w zapisach dostępnych jedynie Amyrlin, Opiekunce i Zasiadającym, nie licząc kilku bibliotekarek, które je przechowywały. Elaida nie dopuściła Alviarin do głosu. - Każda kobieta, która bezpodstawnie rości sobie prawo do tytułu Zasiadającej na Tronie Amyrlin, winna być ujarzmiona. Jeżeli one wierzyły, że mają jakiekolwiek szanse na powodzenie, to w

takim razie ich Amyrlin powinna zostać Sheriam, Lelaine, Carlinya albo któraś z pozostałych. - Tarna doniosła, że Romanda Cassin zrezygnowała z emerytury; Romanda z pewnością chwyciłaby stułę obiema rękami, gdyby dostrzegła chociaż jedną dziesiątą szansy. - A zamiast tego wybrały Przyjętą!

Elaida pokręciła głową ze złośliwym rozbawieniem. Mogła zacytować każde słowo prawa stanowiącego warunki, zgodnie z którymi jakaś kobieta mogła być wybrana Amyrlin - sama, ostatecznie, zrobiła z niego dobry użytek - nigdzie nie było powiedziane, że powinna być pełną siostrą. To było oczywiste, ale nie zostało sformułowane wprost i rebeliantki skorzystały z tej luki.

- One wiedzą, że ich sprawa jest beznadziejna, Alviarin. Będą się nadymać i odgrażać, próbować jakoś uchronić przed karą, po czym rzucą dziewczynę na pożarcie. - Co za szkoda. Ta al'Vere stanowiła jeszcze jeden ważny punkt strategii przeciwko al'Thorowi, a gdyby osiągnęła swą pełną siłę w Jedynej Mocy, wówczas stałaby się najsilniejszą z sióstr od tysiąca lat albo i dłużej. Naprawdę szkoda.

- Gareth Bryne i jego armia wcale mi się nie kojarzą z pustym zadęciem. Będą potrzebowali pięciu albo sześciu miesięcy, żeby dotrzeć do Tar Valon. W tym czasie Naczelny Kapitan Chubain powiększy szeregi Gwardii...

- Ich armia - wycedziła szyderczo Elaida. Co za idiotka z tej Alviarin; za fasadą chłodu kryła się natura królika. Jeszcze chwila, a zacznie powtarzać te bzdury autorstwa Sanche, że Przeklęci wydostali się na wolność. Rzecz jasna nie znała sekretu, ale tak czy owak... - Farmerzy z pikami, rzeźnicy z łukami i krawcy na koniach! Na każdym kroku będą rozmyślali o Błyszczących Murach, które zatrzymały Artura Hawkwinga. - Nie, nie królik. Łasica. Ale prędzej czy później jej futro ozdobi rąbek płaszcza Elaidy. Niechaj Światłość sprawi, by stało się to jak najszybciej. - Z

każdym krokiem będą tracili jednego człowieka, o ile nie dziesięciu. Nie byłabym zdziwiona, gdyby nasze rebeliantki pojawiły się tutaj tylko w towarzystwie swoich Strażników. - Zbyt wielu ludzi wiedziało o rozłamie w Wieży. Rzecz jasna, kiedy rebelia zostanie rozbita, będzie można sprawić, by wszystko wydawało się jakimś spiskiem, elementem dążeń młodego al'Thora do władzy, być może. Przeminie wiele lat i wiele pokoleń, zanim wspomnienia zbledną. Wszystkie rebeliantki, wszystkie co do jednej, drogo za to zapłacą.

Elaida zacisnęła dłoń w pięść, jakby chwytała je wszystkie za gardła. Albo choćby samą Alviarin.

- Zamierzam je złamać, córko. Pękną niczym przegniły melon. - Miała to osiągnąć dzięki swej tajemnicy, choćby nie wiadomo ilu farmerów i krawców uczepiło się Garetha Bryne'a, ale niech sobie tamta myśli, co chce. I nagle naszła ją Przepowiednia, pewność wobec rzeczy, których nie widziałaby wyraźniej, nawet gdyby je przed nią ułożono. Dzięki tej pewności była gotowa na ślepo zstąpić w przepaść z urwiska. - Biała Wieża stanie się na powrót całością, silniejszą niż kiedykolwiek. Rand al'Thor stawi się przed Zasiadającą na Tronie Amyrlin i pozna jej gniew. Czarna Wieża zostanie zniszczona w krwi i ogniu, a po jej terenie przejdą siostry. To właśnie Przepowiadam.

Jak zwykle po Przepowiedni dygotała i łapczywie chwytała oddech. Zmusiła się, by stać nieruchomo i prosto, a oddychać powoli; nigdy nie pozwalała, by ktoś widział ją słabą. Za to Alviarin... Wytrzeszczyła oczy najszerzej jak się dało i stała tak, z otwartymi ustami, jakby zapomniała, co chciała powiedzieć. Ze zwitka dokumentów, który trzymała w dłoniach, wyślizgnął się jakiś papier i omal nie upadł na posadzkę, zanim zdążyła go złapać. To sprawiło, że oprzytomniała. W mgnieniu oka na powrót

wdziała maskę spokoju, idealne wcielenie opanowania Aes Sedai, ale najwyraźniej wstrząsnęło nią aż po same trzewia. No i bardzo dobrze. Niech się gryzie pewnością zwycięstwa Elaidy. Gryzie i połamie na niej zęby.

Elaida zrobiła głęboki wdech i ponownie usadowiła się za stolikiem do pisania, odłożywszy pękniętą rybę na bok, tak, by nie musiała jej oglądać. Czas najwyższy skorzystać z owoców zwycięstwa.

- Oto twoje dzisiejsze zadania, córko. Pierwszy list zostanie wystosowany do Lady Caraline Damodred...

Elaida przedstawiła szczegółowo swoje plany, uzupełniając to, co Alviarin już wiedziała, ujawniając to, czego jeszcze nie wiedziała, bo ostatecznie Amyrlin musiała współpracować ze swoją Opiekunką, choćby nie wiadomo jak bardzo nienawidziła tej kobiety. Przyjemnie było patrzeć w oczy Alviarin i widzieć, jak się zastanawia, czego jeszcze nie wie. I kiedy Elaida rządziła i dzieliła świat między Oceanem Aryth a Grzbietem Świata, w jej umyśle pląsał obraz młodego al'Thora zdążającego ku niej niczym niedźwiedź zamknięty w klatce, zmierzającego na naukę tańca, którym miał zarabiać na swoje kolacje.

Kroniki raczej nie będą mogły opisać lat Ostatniej Bitwy bez wzmianki o Smoku Odrodzonym, niemniej jednak Elaida wiedziała, że jedno nazwisko będzie ważniejsze od pozostałych. Elaida do Avriny a'Roihan, najmłodsza córka pośledniejszego Domu na północy Murandy, przejdzie do historii jako najlepsza i najsilniejsza Zasiadająca na Tronie Amyrlin, Amyrlin wszech czasów. Najpotężniejsza kobieta w historii świata. Kobieta, która uratowała ludzkość.

Aielowie, stojący w głębokiej kotlinie między niskimi, porośniętymi zbrązowiałą trawą wzgórzami, nieczuli na tumany kurzu nawiewanego przez

porywisty wiatr, wyglądali niczym rzeźbione figurki. Fakt, że o tej porze roku ziemię powinny już okrywać śnieżne zaspy, bynajmniej ich nie kłopotał; żaden nigdy nie widział śniegu, a ten żar lejący się jak z wnętrza pieca, mimo że słońce jeszcze nie dotarło do zenitu, był i tak lżejszy niż tam, skąd pochodzili. Całą uwagę skupili na południowym wzniesieniu, w oczekiwaniu na sygnał, który miał zapowiedzieć, że oto nadchodzi przeznaczenie Aielów Shaido.

Sevanna z wyglądu niczym się nie różniła od pozostałych, mimo iż jej obecność oznaczał wianek z Panien, które przykucnęły swobodnie na piętach, z ciemnymi zasłonami zakrywającymi im twarze aż po oczy. Ona również czekała, i to znacznie bardziej niecierpliwie, niźli chętna była zdradzić, ale nie aż tak, by nie liczyło się dla niej nic poza tym. To był pierwszy powód, dla którego to ona dowodziła, a inni jej słuchali. Drugi stanowił fakt, iż ona wiedziała, co się stanie, gdy człowiek przestanie pozwalać, by przebrzmiały obyczaj i przestarzała tradycja wiązały mu ręce.

Podążając za nieznacznym błyskiem jej zielonych oczu, można było dostrzec dwunastu mężczyzn i jedną kobietę, każde z okrągłą tarczą z byczej skóry oraz trzema albo czterema krótkimi włóczniami, odzianych w szarobrązowe cadin'sor, które tutaj stapiały się z tłem równie dobrze jak w Ziemi Trzech Sfer. Efalin, która ukryła swe siwe, krótkie włosy pod shoufą udrapowaną na głowie, zerkała od czasu do czasu w tę samą stronę co Sevanna; denerwowała się, o ile było to możliwe w przypadku Panny Włóczni. Część Panien Shaido udała się na południe, by się przyłączyć do tych idiotek wlokących się za Randem al'Thorem, i Sevanna nie wątpiła, że pozostałe też o tym gadają. Efalin zapewne się zastanawia, czy danie Sevannie eskorty złożonej z Panien, jakby była kiedyś Far Dareis Mai, wystarczy, żeby złagodzić te nastroje. Ale Efalin przynajmniej nie miała wątpliwości, kto sprawuje prawdziwą władzę.

Mężczyźni, którzy dowodzili społecznościami wojowników Shaido, podobnie jak Efalin obserwowali wzniesienie, przynajmniej wtedy, kiedy nie mierzyli się nawzajem wzrokiem. Zwłaszcza zwalisty Maeric, który należał do Seia Doon, oraz Bendhuin z twarzą pokrytą bliznami, z Far Aldazar Din. Kiedy ten dzień dobiegnie wreszcie końca, nic już nie powstrzyma Shaido przed wysłaniem mężczyzny do Rhuidean, by tam, o ile rzecz jasna przeżyje, został naznaczony na wodza klanu. Zanim to jednak nastąpi, Sevanna wypowiadać się będzie jako wódz, ponieważ była wdową po ostatnim z nich. Po dwóch ostatnich. A ci, którzy przebąkiwali, że przynosi pecha, niech się udławią.

Bransolety ze złota i z kości słoniowej zaszczękały cicho, kiedy wygładziła ciemny szal na ramionach i poprawiła naszyjniki. Je również wykonano ze złota i kości słoniowej, ale był wśród nich jeden z samych pereł i rubinów - należał niegdyś do pewnej arystokratki z mokradeł; teraz kobieta ta nosiła biel i usługiwała razem z innymi gai'shain w górach zwanych Sztyletem Zabójcy Rodu - z rubinem wielkości małego kurzego jaja, który spoczywał między jej piersiami. Mieszkańcy mokradeł stanowili źródło bogatych łupów. Promienie słońca odbiły się zielonym płomieniem od wielkiego szmaragdu na palcu Sevanny; te kółka noszone na palcach to jeden z obyczajów mieszkańców mokradeł wart przejęcia. Będzie ich miała więcej pod warunkiem, że dorównają wspaniałością temu.

Większość mężczyzn uważała, że to Maeric albo Bendhuin będą pierwszymi, którzy uzyskają zgodę Mądrych na przejście próby Rhuidean. Jedynie Efalin podejrzewała, że żaden jej nie uzyska, ale tylko podejrzewała; była również dostatecznie przebiegła, by wyrazić swe przypuszczenia, tylko przed Sevanną i nikim innym. Tamci nie byli w stanie ogarnąć swymi umysłami możliwości zerwania ze

starym, a Sevanna, mimo iż aż się paliła z niecierpliwości, by przywdziać nowe, doskonale zdawała sobie sprawę, że musi ich prowadzić krok za krokiem. Już i tak wiele się zmieniło w dawnych obyczajach, odkąd Shaido pokonali Mur Smoka i wkroczyli na mokradła-nadal mokre w porównaniu z Ziemią Trzech Sfera zmienić się miało jeszcze więcej. Kiedy al'Thor wpadnie już w jej ręce, kiedy ona poślubi Car'a'carna, wodza wodzów wszystkich Aielów (te bzdury ze Smokiem Odrodzonym zostaną uznane za głupie wymysły mieszkańców mokradeł) - zacznie funkcjonować nowy sposób wybierania wodzów klanów, a także wodzów szczepów. A może nawet przywódców społeczności wojowników. Będą mianowani przez Rand al'Thora. Rzecz jasna kierowany przez nią. A to zaledwie początek. Na przykład ten pomysł - zaczerpnięty od mieszkańców mokradeł - przekazywania posiadanej rangi dzieciom oraz dzieciom dzieci.

Wiatr przez moment zaczął dmuchać jeszcze gwałtowniej, wiejąc ku południu. Zagłuszył odgłosy koni i wozów mieszkańców mokradeł.

Znowu poprawiła szal, potem zdławiła wypełzający na usta grymas. Za żadne skarby nie wolno jej okazać zdenerwowania. Rzut oka w prawo uspokoił jej wzburzenie równie szybko, jak się zrodziło. Tam zgromadziło się ponad dwieście Mądrych Shaido, których przynajmniej część normalnie wpatrywałaby się w nią niczym sępy, ale tym razem utkwiły spojrzenia we wzniesieniu. Niejedna nerwowo poprawiała szal albo wygładzała baniastą spódnicę. Sevanna wydęła usta. Na niektórych twarzach perlił się pot. Pot! Gdzie ich honor, skoro okazują zdenerwowanie na oczach pozostałych?

Wszystkie nieznacznie zesztywniały, kiedy pojawił się nad nimi jakiś młody Sovin Nai, schodzący w dół i opuszczający jednocześnie zasłonę. Podszedł prosto do

niej, tak jak należało, ale, ku jej irytacji, podniósł głos na tyle, że wszyscy mogli go usłyszeć.

- Jeden z ich zwiadowców uciekł. Był ranny, ale utrzymał się na koniu.

Przywódcy społeczności zaczęli ruszać z miejsca, zanim jeszcze skończył mówić.

Nic z tego. Będą dowodzili podczas walk - doświadczenia Sevanny z bronią kończyły się na trzymaniu włóczni - ale nawet na moment nie pozwoli im zapomnieć, kim jest.

- Rzućcie przeciwko nim wszystkie włócznie - rozkazała głośno - zanim zdążą się przygotować.

Zaczęli protestować jeden przez drugiego.

- Wszystkie włócznie? - spytał z niedowierzaniem Bendhuin. - Masz na myśli wszystkich oprócz tworzących zapory...

Wszedł mu w słowo rozwścieczony Maeric.

- Jeżeli nie zatrzymamy nikogo w odwodzie, to...

Sevanna przerwała im obu.

- Wszystkie włócznie! Tańczymy z Aes Sedai. Musimy je natychmiast pokonać! - Efalin i większość pozostałych z wysiłkiem wprawdzie, ale zdołali zachować spokój, jednak Bendhuin i Maeric skrzywili się, gotowi nadal spierać. Głupcy. Stawali do walki z kilkoma tuzinami Aes Sedai i paroma setkami żołnierzy z mokradeł, a jednak mając ponad czterdzieści tysięcy algai'd'siswai dalej się upierali, nadal chcieli trzymać zapory ze zwiadowców i swoje włócznie w rezerwie, jakby walczyli z innymi Aielami albo jakąś armią mieszkańców mokradeł. - Przemawiam jako wódz klanu Shaido. -Nie musiała tego mówić, ale takie przypomnienie nie było od rzeczy. - Jest ich garstka. - Tym razem każde słowo cedziła z pogardą. - Uda się ich pokonać, ale włócznie muszą poruszać się szybko. O wschodzie słońca byliście gotowi pomścić

Desaine. Czyżbym teraz wyczuwała strach? Strach przed kilkoma mieszkańcami mokradeł? Czyżby Shaido utracili honor?

Twarze im skamieniały; tego właśnie chciała. Nawet oczy Efalin przypominały wypolerowane, szare klejnoty, kiedy osłoniła twarz; jej palce zamigotały w mowie Panien, a gdy przywódcy społeczności pobiegli w górę wzniesienia, Panny otaczające Sevannę ruszyły ich śladem. To akurat nie mieściło się w jej planach, ale przynajmniej włócznie ruszyły. Nawet z samego dołu kotliny widziała, jak pozornie nagi teren wypluwa odziane w cadin'sor sylwetki, wszystkie spieszące w stronę południa, długimi krokami, dzięki którym potrafiliby prześcignąć konia. Nie było czasu do stracenia. Z myślą o tym, że później musi rozmówić się z Efalin, Sevanna odwróciła się w stronę Mądrych.

Zostały wybrane spośród tych Mądrych Shaido, które były najsilniejsze we władaniu Jedyną Mocą i przypadało ich sześć albo i siedem na każdą Aes Sedai, otaczającą Randa al'Thora, a jednak Sevanna widziała, że mają wątpliwości. Starały się je ukryć za kamiennymi twarzami, ale i tak nie umiały, zdradzał je rozbiegany wzrok, języki nerwowo zwilżające wargi. Tego dnia umarło wiele tradycji, tradycji równie dawnych i silnych jak prawo. Mądre nie brały udziału w bitwach. Mądre trzymały się z daleka od Aes Sedai. Znały wszak te pradawne opowieści, które mówiły, że Aielowie zostali zesłani do Ziemi Trzech Sfer za to, że zawiedli Aes Sedai, i że zostaną zniszczeni, jeśli jeszcze kiedyś je zawiodą. I znały też te opowieści, które Rand al'Thor powtórzył przed wszystkimi, że służąc Aes Sedai, Aielowie przysięgli powstrzymywać się od przemocy.

Kiedyś Sevanna była przekonana, że te opowieści kłamią, ale ostatnimi czasy pojęła, że zdaniem Mądrych zawierały prawdę. Nikt, ma się rozumieć, jej tego nie

powiedział. To nie miało znaczenia. Ona sama nigdy nie odbyła tych wymaganych dwóch wypraw do Rhuidean, aby zostać Mądrą, ale pozostałe ją zaakceptowały, niezależnie od niechęci niektórych. Teraz nie miały już innego wyboru, jak tylko dalej ją akceptować. Bezużyteczne tradycje dawało się przekształcać w nowe.

- Aes Sedai - powiedziała cicho. Pochyliły się w jej stronę przy wtórze stłumionego pobrzękiwania bransolet i naszyjników, by móc słyszeć słowa.-Pojmały Randa al'Thora, Car'a'carna. Musimy im go odebrać. - Na twarzach tej czy tamtej pojawiły się grymasy. Większość wierzyła, że ona chce wziąć żywcem Car'a'carna, by pomścić śmierć Couladina, swego drugiego męża. To rozumiały, ale nie przyszłyby tu z takiego powodu. - Aes Sedai - syknęła gniewnie. - My dotrzymałyśmy naszej obietnicy, a one swoją złamały. My dochowałyśmy wierności, one zaś pogwałciły wszystko. Wiecie, w jaki sposób została zamordowana Desaine. - Wiedziały, oczywiście. Wbite w nią spojrzenia stały się nagle bardziej drapieżne. Zabicie Mądrej równało się zabiciu ciężarnej kobiety, dziecka albo kowala. Niektóre z tych spojrzeń były wręcz krwiożercze. Oczy Theravy, Rhiale, innych. - Jeżeli pozwolimy, by tym kobietom uszło na sucho, wówczas staniemy się czymś gorszym od zwierząt, nie będziemy miały honoru. Ale ja o swój honor dbam.

Powiedziawszy to, z godnością podkasała spódnice i wspięła się na wzgórze, z uniesioną głową, nie oglądając się za siebie. Była pewna, że pozostałe pójdą za nią. Dopilnują tego Therava, Norlea i Dailin, a także Rhiale, Tion, Meira i wszystkie te, które towarzyszyły jej przed kilkoma dniami, kiedy przypatrywała się, jak Aes Sedai biją i wsadzają do drewnianej skrzyni Randa al'Thora. Napomnienie było nawet w większym stopniu skierowane do tych trzynastu niźli do pozostałych, a te nie odważą się jej zawieść. Związała je prawda o tym, jak zginęła Desaine.

Mądre, które zebrały spódnice rękoma, by oswobodzić nogi, nie potrafiły nadążyć za algai'd'siswai w cadin'sor, mimo iż biegły co sił, czyniąc z tego rodzaj wyścigu. Pięć mil po niskich, pofałdowanych wzgórzach, więc bieg nie był długi, a kiedy osiągnęły szczyt jednego ze zboczy, stwierdziły, że taniec włóczni już się zaczął. W pewnym sensie.

Tysiące algai'd'siswai tworzyły ogromną plamę zamaskowanych szarości i brązów rojących się wokół kręgu utworzonego z wozów mieszkańców mokradeł, który sam z kolei otaczał niewielką kępę drzew z rzadka urozmaicających ten teren. Sevanna gniewnie wciągnęła oddech. Aes Sedai miały nawet czas na to, by wciągnąć wszystkie konie do środka. Włócznie otoczyły wozy, napierając na nie, po czym obsypały je gradem strzał, ale ci na samym przedzie zdawali się jakby napierać na niewidzialny mur. Z początku te strzały, które osiągały najwyższy łuk, przechodziły ponad tym murem, ale potem również one zaczęły uderzać w niewidzialną barierę i odskakiwać w tył. Wśród Mądrych podniósł się głuchy pomruk.

- Widzicie, co robią Aes Sedai? - spytała rozzłoszczona Sevanna, jakby również ona widziała sploty Jedynej Mocy. Miała ochotę zacząć szydzić; Aes Sedai były głupie z tymi ich Trzema Przysięgami, którymi tak się chełpiły. Będzie i tak za późno, kiedy stwierdzą nareszcie, że muszą użyć Mocy w charakterze broni, a nie tylko do tworzenia bariery. Pod warunkiem, że Mądre nie będą stały zbyt długo z wytrzeszczonymi oczyma. W którymś z tych wozów był ukryty Rand al'Thor, być może wciąż wepchnięty do skrzyni niczym bela jedwabiu. Czekał, aż ona go stamtąd wyciągnie. Skoro Aes Sedai potrafiły utrzymać go w niewoli, ona też będzie zdolna, przy pomocy Mądrych. I obietnicy.

- Therava, poprowadź teraz swoją połowę na zachód. Bądź gotowa zaatakować

w tym samym momencie co ja. Za Desaine i za toh, które Aes Sedai są nam winne. Zmusimy je do stawienia czoła swemu toh, czego jeszcze nikt przedtem nie dokonał.

Mówienie o zmuszaniu kogoś do wypełnienia swego zobowiązania, skoro ten ktoś wcale nie przyjął go do wiadomości, było próżną przechwałką, niemniej w gniewnych pomrukach ze strony pozostałych kobiet Sevanna posłyszała zajadłe obietnice zmuszenia Aes Sedai do sprostania ich toh. Te jednak, które zabiły Desaine na rozkaz Sevanny, stały cicho. Therava nieznacznie zacisnęła wąskie wargi, ale ostatecznie powiedziała tylko:

- Będzie, jak rzeczesz, Sevanno.

Sevanna, sadząc swobodne susy, poprowadziła połowę swoich Mądrych ku wschodniej flance bitwy, o ile w ogóle można było jeszcze użyć tego określenia. Chciała pozostać na wzniesieniu, skąd miała dobry widok - tak właśnie wódz klanu albo przywódca bitwy kierował tańcem włóczni - ale w tej jednej kwestii nie zyskała poparcia nawet ze strony Theravy i tych wszystkich, które znały tajemnicę śmierci Desaine. Ubiory stojących w szeregu Mądrych mocno kontrastowały z odzieżą algai'd'siswai, bielą bluzek algode, ciemnymi, wełnianymi spódnicami i szalami, połyskującymi bransoletami i naszyjnikami oraz sięgającymi do pasa włosami przewiązanymi ciemnymi chustami. Mimo iż zdecydowały, że wezmą udział w tańcu włóczni, zamiast stać na oddalonym wzniesieniu, nie wierzyła, by już do nich dotarło, że tego dnia będą walczyły w prawdziwej bitwie. Po tym dniu już nic nigdy nie będzie takie samo, a jasyr Randa al'Thora stanie się drobnym kamieniem w fundamencie nowej rzeczywistości.

Pośród algai'd'siswai ruszających w stronę wozów jedynie wzrost odróżniał mężczyzn od Panien. Zasłony i shoufy zakrywały głowy i twarze, a cadin'sor to

cadin'sor, niezależnie od kroju wyróżniającego dany klan, szczep czy społeczność. Ci na samym skraju pierścienia oblegającego wozy wyglądali na zdezorientowanych, burczeli coś do siebie w oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń. Przybyli przygotowani na taniec z błyskawicami Aes Sedai, a teraz tłoczyli się niecierpliwie, zbyt daleko w tyle, by móc już użyć rogowych łuków pochowanych do skórzanych futerałów przytroczonych do pleców. Gdyby to zależało od Sevanny, nie musieliby czekać dłużej.

Wsparłszy dłonie na biodrach, przemówiła do pozostałych Mądrych:

- Te na południe ode mnie będą przeszkadzały w tym, co robią Aes Sedai. Te na północy będą atakować. Naprzód włócznie! - Wydawszy ten rozkaz, odwróciła się, by móc obserwować zagładę Aes Sedai, którym się zdawało, że walczą wyłącznie ze stalą. Nic się nie stało. Przed nią przelewała się bezużytecznie masa algai'd'siswai, a najgłośniejszym dźwiękiem było sporadyczne walenie włóczni o tarcze. Sevanna opanowała gniew, zwijając go niczym nić z kołowrotka. Była taka pewna, że staną się gotowe na wszystko, gdy im się pokaże zmasakrowane ciało Desaine, ale skoro nadal uważały atak na Aes Sedai za coś nie do pomyślenia, będzie musiała tak długo przemawiać do ich poczucia winy, aż uznają, że powinny przywdziać biel gai'shain. Nagle w stronę wozów poleciała łukiem kula czystego ognia wielkości ludzkiej głowy, skwierczące i świszcząc, za nią kolejna, całe tuziny. Supeł w jej wnętrzu rozluźnił się. Z zachodu, od strony Theravy i pozostałych, nadlatywało coraz więcej kul ognia. Ponad płonącymi wozami zaczęły się wznosić pierwsze szare wici dymu, które prędko gęstniały w grube czarne słupy; pomruki algai'd'siswai zmieniły natężenie, a mimo iż ci, którzy znajdowali się tuż przed nią, poruszyli się zaledwie odrobinę, poczuła wyraźny napór do przodu. Od strony wozów słychać było okrzyki,

okrzyki mężczyzn wyjących ze złości, wyjących z bólu. Bariery utworzone przez Aes Sedai runęły. Zaczęło się, a koniec mógł być tylko jeden. Rand al'Thor będzie należał do niej; on jej ofiaruje Aielów, którzy zagarną wszystkie mokradła, a zanim umrze, da jej córki i synów, którzy poprowadzą za nią Aielów. Niewykluczone, że może się to okazać nawet przyjemne; był całkiem przystojny, silny i młody.

Nie oczekiwała, że Aes Sedai poddadzą się łatwo, i w istocie, nie poddały się.

Kule ognia zaczęły padać między włócznie, przemieniając odziane w cadin'sor sylwetki w pochodnie, a z jasnego nieba lunął deszcz błyskawic, które wyrzucały ludzi i ziemię w powietrze. Niemniej jednak Mądre uczyły się na podstawie tego, co widziały, zresztą może już umiały i tylko dotychczas się wahały; większość tak rzadko przenosiła, zwłaszcza tam, gdzie mógł to widzieć ktoś jeszcze oprócz nich samych, że tylko druga Mądra wiedziała, czy dana kobieta to potrafi. Niezależnie od powodu, kiedy błyskawice zaczęły atakować włócznie Shaido, jeszcze więcej ich poleciało w stronę wozów.

Nie wszystkie trafiały w cel. Kule ognia, niektóre wielkości koni, przelatywały niczym smugi przez powietrze, srebrne błyskawice dziabały ziemię niczym włócznie spadające z nieba, a czasami nagle odlatywały na bok, jakby odbiły się od jakiejś niewidzialnej tarczy, albo gwałtownie wybuchały w połowie lotu, względnie zwyczajnie znikały. Powietrze wypełniło się hukiem i trzaskiem, które mieszały się z wrzaskami i okrzykami ludzi. Sevanna wpatrywała się z zachwytem w niebo. W jej oczach wyglądało to niczym jeden z pokazów Iluminatorów, o których tyle się naczytała.

Nagle świat w jej oczach pobielał; odniosła wrażenie, jakby leciała w powietrzu. A po chwili, gdy już odzyskała wzrok, leżała płasko na ziemi w odległości

kilkunastu kroków od miejsca, gdzie przedtem stała; bolały ją wszystkie mięśnie, łapczywie chwytała oddech i pokrywały ją grudy błota. Miała wrażenie, że jej włosy chcą się oderwać od czaszki. Inne Mądre również leżały wokół nierównego leja o średnicy piędzi; z sukien niektórych unosiły się cieniutkie smużki dymu. Nie wszystkie padły na ziemię - na niebie nadal toczyła się bitwa na ogień i błyskawice - jednak nazbyt wiele. Musiała cisnąć je z powrotem w wir tańca.

Z wysiłkiem zaczerpnęła powietrza, po czym niezdarnie podniosła się, nawet nie otrzepując sukni.

- Naprzód, włócznie! - krzyknęła. Schwyciwszy Estalaine za kanciaste ramiona, zaczęła ją brutalnie podnosić, po czym zobaczyła jej wytrzeszczone, niebieskie oczy i zrozumiała, że ta kobieta nie żyje; wypuściła ją z rąk. Podźwignęła oszołomioną Doraillę, po czym wyrwała włócznię z ręki jakiegoś leżącego Wędrowca Burzy i uniosła ją wysoko. -Naprzód, włócznie! - Niektóre z Mądrych zdawały się pojmować ją dosłownie, bo rzuciły się w sam środek kłębowiska utworzonego przez algai'd'siswai. Inne jednakże aż tak bardzo nie potraciły głów, bo zabrały się do pomagania tym, które próbowały wstać, a burza ognia i błyskawic nadal szalała, kiedy Sevanna ruszyła biegiem wzdłuż szeregu Mądrych, wymachując włócznią i pokrzykując: - Naprzód, włócznie! Włócznie do ataku!

Miała ochotę się roześmiać, roześmiała się więc. Oblepiona błotem, otoczona przez furię bitwy, a jednak nigdy w życiu nie czuła takiego uniesienia. Prawie żałowała, że nie zdecydowała się zostać Panną Włóczni. Prawie. Panna Włóczni nie mogła w żadnej sytuacji zostać wodzem klanu, podobnie jak żaden mężczyzna nie mógł zostać Mądrą; droga Panny do władzy polegała na wyrzeczeniu się włóczni i zostaniu Mądrą. Jako żona wodza klanu dzierżyła władzę w wieku, w którym Pannie

ledwie ufano na tyle, by dać jej do ręki włócznię, a uczennicy Mądrej, by dać jej wiadro na wodę. A teraz miała to wszystko, była i Mądrą, i wodzem klanu, aczkolwiek czekało ją jeszcze trochę wysiłku, żeby uprawomocnić ten drugi tytuł. Tytuły znaczyły tak niewiele, skoro już miała władzę, dlaczego jednak nie miałaby posiadać i jednego, i drugiego?

Czyjś nagły krzyk sprawił, że się odwróciła i wytrzeszczyła oczy na widok kudłatego, szarego wilka, który rozdzierał gardło Dosery. Nie zastanawiając się, cisnęła włócznię w jego bok. Kiedy zwierzę obracało się, by chwycić zębami drzewce, drugi wilk przeskoczył obok niej, żeby się rzucić na tyły algai'd'siswai, potem jeszcze jeden i następne; rozszarpywały odziane w cadin'sor sylwetki, gdziekolwiek nie spojrzała.

Przeszył ją zabobonny lęk, kiedy wyswobadzała włócznię. Aes Sedai przywołały wilki, by te walczyły w ich imieniu. Nie potrafiła oderwać wzroku od zabitego przez siebie zwierzęcia. Aes Sedai... Nie. Nie! To nie mogło niczego zmienić. Ona do tego nie dopuści.

W końcu udało jej się oderwać wzrok, ale zanim zdążyła wydać polecenie Mądrym, inny widok sprawił, że język stanął jej kołkiem i wytrzeszczyła oczy. Grupka kawalerzystów z mokradeł, w czerwonych hełmach i napierśnikach, okładających dookoła mieczami, dźgających długimi lancami, w samym środku algai'd'siswai. Skąd oni się tu wzięli?

Nawet do niej nie dotarło, że powiedziała to na głos, dopóki nie usłyszała Rhiale.

- Próbowałam ci to powiedzieć, Sevanno, ale nie słuchałaś. - Kobieta o płomiennorudych włosach spojrzała z niesmakiem na jej zakrwawioną włócznię;

Mądre nie powinny dotykać włóczni. Ostentacyjnie wcisnęła broń pod pachę, tak jak to robili wodzowie, a Rhiale ciągnęła dalej: -Mieszkańcy mokradeł zaatakowali z południa. Mieszkańcy mokradeł i siswai'aman. - Włożyła w to słowo całą pogardę, jaka należała się tym, którzy nazywali siebie Włóczniami Smoka. - A także Panny. I... I są tam również Mądre.

- Walczą? - spytała z niedowierzaniem Sevanna, zanim do niej dotarło, jak to zabrzmi. Skoro ona mogła odrzucić przegniły obyczaj, to w takim razie ci oślepieni przez słońce durnie z południa, którzy nadal nazywali siebie Aielami, też mogli to zrobić. Niemniej jednak nie przewidziała tego. Bez wątpienia to Sorilea je sprowadziła; ta starucha przypominała Sevannie górską lawinę, która zmiata wszystko, co napotka na swej drodze. - Musimy je natychmiast zaatakować. Nie dostaną Randa al'Thora. Ani też nie przeszkodzą w pomszczeniu Desaine - dodała na widok zogromniałych oczu Rhiale.

- To są Mądre - przypomniała jej beznamiętnym głosem druga kobieta i Sevanna, choć z goryczą, musiała zrozumieć. Udział w tańcu włóczni już był czymś złym, ale walka Mądrych z Mądrymi była czymś, czego Rhiale nie potrafiłaby znieść. Zgodziła się, że Desaine musi umrzeć, bo był to jedyny sposób, żeby zmusić inne Mądre, nie wspominając już o algai'd'siswai, by zaatakowały Aes Sedai, a należało to zrobić, by dostać Randa al'Thora w swoje ręce, a wraz z nim wszystkich Aielów, ale to dokonało się w tajemnicy, w otoczeniu podobnie myślących kobiet. Teraz miało się stać na oczach wszystkich. Idiotki i tchórze, wszystkie!

- A zatem walczcie z każdym wrogiem, którego zmusicie do walki, Rhiale. - Każde słowo cedziła z taką pogardą, na jaką ją było stać, ale Rhiale tylko skinęła głową i poprawiła szal, po czym, rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie na włócznię, którą

Sevanna trzymała pod pachą, powróciła na swoje miejsce w szeregu.

Być może był to sposób na to, by zmusić tamte Mądre do wykonania pierwszego ruchu. Lepiej atakować z zaskoczenia, ale jeszcze lepiej wyrwać z ich rąk Randa al'Thora. Czego by nie dała za kobietę, która potrafi przenosić i robi to, co jej się każe bez wykrętów. Czego by nie dała, żeby się znaleźć na jakimś wzniesieniu, z którego mogłaby obserwować przebieg bitwy.

Trzymając włócznię w pogotowiu i nie spuszczając czujnego wzroku z wilków - te, które widziała, albo właśnie zabijały mężczyzn i kobiety w cadin'sor, albo same już nie żyły - odwróciła się, by wykrzyknąć słowa zachęty. Na południu do rzesz Shaido wdzierało się teraz więcej ognia i błyskawic niż przedtem, ale jej zdaniem to nie czyniło różnicy. Tamta bitwa, z udziałem wybuchów ognia, ziemi i ludzi, toczyła się nadal, niczym nie zakłócona.

- Naprzód, włócznie! - krzyknęła, wymachując własną. - Naprzód, włócznie! - Pośród kotłujących się algai'd'siswai nie umiała wypatrzeć żadnego z tych durniów, którzy obwiązywali sobie skronie skrawkami czerwonej materii i nazywali siswai'aman. Być może było ich zbyt niewielu, by mogli zmienić przebieg wypadków. Grupki mieszkańców mokradeł z pewnością zdawały się nieliczne i oddalone od siebie. Widziała właśnie, jak. jedna z nich została stratowana przez ludzi i konie, przez dźgające włócznie. - Naprzód, włócznie! Naprzód, włócznie! - Jej głos przepełniało podniecenie. Jeżeli nawet Aes Sedai przywołały dziesięć tysięcy wilków, jeżeli Sorilea sprowadziła tysiąc Mądrych i sto tysięcy włóczni, to Shaido i tak będą tego dnia zwycięzcami. Shaido i ona sama. Sevanna z Jumai Shaido, to imię zostanie zapamiętane na zawsze.

Nagle wśród ryku bitwy rozległ się jakiś głuchy łomot. Zdawał się dobiegać od

strony wozów Aes Sedai, ale nie było pewności, kto go wywołał, one czy Mądre. Nie lubiła rzeczy, których nie rozumiała, ale nie zamierzała prosić Rhiale ani żadnej innej, by ją oświeciła. I do tego ten brak umiejętności, którą wszystkie, w odróżnieniu od niej, posiadały. Dla nich nie miało to znaczenia, ale kolejną rzeczą, której nie mogła znieść, było to, że inni dysponowali mocą, jakiej ona nie miała.

Błysk światła pojawił się pośród algai'd'siswai, wrażenie, że coś wiruje, pochwycone kątem oka, ale kiedy się odwróciła. by spojrzeć w tamtą stronę, nie zobaczyła nic. Po chwili tamto się powtórzyło, znowu ten błysk światła widziany na skraju pola widzenia, i znowu, kiedy się odwróciła, niczego nie było. Doprawdy, zbyt wielu rzeczy nie rozumiała.

Zachęcając je okrzykami, zmierzyła wzrokiem szereg Mądrych Shaido.

Niektóre wyglądały na całkiem zszargane, ich długie chusty poznikały, rozwiane włosy zwisały w zlepionych potem strąkach, a spódnice i bluzki miały powalane błotem albo nawet porwane. Na ziemi leżało i głośno jęczało co najmniej tuzin, a siedem innych spoczywało całkiem nieruchomo, z szalami na twarzach. Ją interesowały te, które trzymały się na nogach. Rhiale i Alarys, której rzadkie, czarne włosy były teraz całkiem potargane. Someryn, która zwykła nosić rozsznurowaną bluzkę, by ukazywać rowek między piersiami głębszy niźli u Sevanny, a także Meira z pociągłą twarzą, bardziej jeszcze ponurą niż zazwyczaj. Krępa Tion i chuda Belinde, i Modarra, wysoka jak mężczyzna.

Któraś z nich powinna jej powiedzieć, jeśli przygotowały coś nowego.

Tajemnica śmierci Desaine przywiązała je do niej; nawet w przypadku Mądrej ujawnienie czegoś takiego równałoby się życiu będącemu jednym pasmem bólu - i co gorsza, hańby - a także starań o sprostanie toh, o ile nie wygnano by jej po prostu

nago do dziczy, gdzie żyłaby jak potrafi albo umarła, a najprawdopodobniej zostałaby niczym dzikie zwierzę zabita przez tego, kto by ją pierwszy znalazł. A mimo to Sevanna była przekonana, że one rozkoszują się, podobnie jak pozostałe, ukrywaniem przed nią różnych rzeczy, ukrywaniem tego, co Mądre poznały podczas nauk i wypraw do Rhuidean. Coś będzie trzeba z tym zrobić, ale później. Nie okaże słabości, wypytując je teraz.

Stanąwszy znowu twarzą do pola bitwy, stwierdziła, że szale się przechylają i to na jej korzyść. Na południu kule ognia i błyskawice lały się z nieba ulewą równie gęstą jak dotąd, ale nie na wprost niej, a na zachodzie i północy w ogóle ustały. Pociski wycelowane w stronę wozów w dalszym ciągu o wiele częściej nie docierały do ziemi, a jednak w wysiłkach Aes Sedai dostrzegało się z pewnością osłabienie. Zostały zepchnięte do defensywy. Sevanna wygrywała!

W tym samym momencie, w którym ta myśl przeszyła ją jakby najczystszym żarem, Aes Sedai ucichły. Jedynie na południu ogień i błyskawice wciąż jeszcze padały pomiędzy algai'd'siswai. Otworzyła usta, chcąc krzyknąć, że zwyciężyli, gdy nagle zrozumienie kazało jej umilknąć. Ogień i błyskawice niczym burza spadały na wozy, spadały i rozbijały się o jakąś niewidzialną przeszkodę. Dym unoszący się od płonących wozów stopniowo obrysowywał przypominający kopułę, jak się po jakimś czasie okazało, kształt; jego kłęby dobywały się z otworu w samym szczycie tej niewidzialnej konstrukcji.

Sevanna odwróciła się błyskawicznie, by ogarnąć wzrokiem szereg Mądrych, z taką miną, że kilka cofnęło się przed nią, a może przed widokiem włóczni w jej ręku. Wiedziała, że wygląda na gotową jej użyć - była do tego zdolna.

- Dlaczego pozwoliłyście im to zrobić? - wybuchnęła. -Dlaczego? Miałyście

udaremniać wszystko, co będą robiły, nie dopuszczać, by budowały kolejne mury!

Tion wyglądała na bliską opróżnienia żołądka, a jednak wsparła pięści na obfitych biodrach i spojrzała Sevannie w twarz.

- To nie Aes Sedai.

- Nie Aes Sedai? - warknęła Sevanna. - To kto? Te inne Mądre? Mówiłam wam, że trzeba je atakować!

- To nie kobiety - odparła Rhiale łamiącym się głosem. - To nie... - Z pobladłą twarzą przełknęła ślinę.

Sevanna odwróciła się powoli, by spojrzeć na kopułę, i dopiero wtedy przypomniała sobie, że powinna zaczerpnąć powietrza. W otworze, z którego wylatywał dym, coś się pojawiło. Sztandar mieszkańców mokradeł. Dym nie przesłonił go całkowicie. Na purpurowym tle dysk, z jedną połową białą, a drugą czarną, obie przedzielone falistą linią, zupełnie jak ten wizerunek na skrawkach materii noszonych przez siswai'aman. Sztandar Randa al'Thora. Czy był tak silny, że dał radę się wyswobodzić, pokonać wszystkie Aes Sedai i jeszcze to wznieść? Tak musiało być.

Burza nadal nękała ściany kopuły, ale Sevanna słyszała za swoimi plecami pomrukiwania. Kobiety myślały o odwrocie. Nie ma mowy. Zawsze wiedziała, że władzę zdobywa się najłatwiej, zdobywając mężczyzn, którzy ją posiadali, i już jako dziecko była przekonana, że urodziła się z bronią, dzięki której będzie zdolna ich pokonać. Suladric, wódz klanu Shaido, zakochał się w niej, kiedy miała szesnaście lat, a po jego śmierci wybierała takich, którzy zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem musieli odnieść sukces. Zarówno Muradin; jak i Couladin wierzyli, że to oni właśnie wzbudzili zainteresowanie, a kiedy Muradinowi nie udało się wrócić z Rhuidean,

podobnie jak wielu innym mężczyznom, jeden uśmiech przekonał Couladina, że ją zdobył. I mimo iż władza wodza klanu bladła w porównaniu z władzą, jaką posiadał Car'a'carn, było to niczym w porównaniu z tym, co widziała przed sobą. Zadygotała, jakby właśnie ujrzała w namiocie-łaźni najpiękniejszego mężczyznę świata. Kiedy Rand al'Thor stanie się jej własnością, Sevanna zdobędzie cały świat.

- Atakujcie! - rozkazała. - Mocniej! Upokorzymy te Aes Sedai za Desaine! - I będzie miała Randa al'Thora.

Nagle od czoła bitwy rozległ się ryk, mężczyźni krzyczeli, wrzeszczeli. Zaklęła, nie widząc, co się tam dzieje. Ponownie krzyknęła w stronę Mądrych, że mają nasilić atak, ale wydało jej się, że napór ognia i błyskawic na kopułę słabnie. A potem pojawiło się tam coś, co tym razem zobaczyła wyraźnie.

W pobliżu wozów odziane w cadin'sor postacie i grudy ziemi wyleciały w powietrze z hukiem gromu, nie w jednym miejscu, tylko wzdłuż długiej linii. Ziemia ponownie eksplodowała, i raz jeszcze, i jeszcze, za każdym razem odrobinę dalej od obleganych wozów. Nie linia, ale gruby pierścień eksplodującej ziemi, mężczyzn i Panien, które, nie miała wątpliwości, pokonały biegiem pełny krąg wokół wozów. I jeszcze raz, i znowu, coraz bardziej się rozszerzając, i nagle algai'd'siswai przepychali się obok niej, przebijając się przez szereg Mądrych, biegnąc.

Sevanna rzuciła się na nie ze swoją włócznią, bijąc po głowach i barkach, nie dbając o to, że grot włóczni stawał się coraz bardziej czerwony.

- Stójcie i walczcie! Stójcie, na honor Shaido! - Biegli dalej, nie zważając na nią.

- Nie macie honoru! Stójcie i walczcie! - Dźgnęła uciekającą Pannę w plecy, ale uciekająca tłuszcza tylko zdeptała leżącą. Nagle dotarło do niej, że część Mądrych zniknęła, a inne podnoszą ranne z ziemi. Kiedy Rhiale odwróciła się, wyraźnie gotując

się do ucieczki, Sevanna chwyciła wyższą kobietę za ramię, wygrażając jej włócznią. Nie przejmowała się tym, że Rhiale potrafi przenosić. -Musimy walczyć! Nadal możemy go mieć!

Twarz drugiej kobiety zamieniła się w maskę strachu.

- Wszystkie zginiemy, jeśli będziemy walczyć! Albo skończymy przykute łańcuchami do namiotu al'Thora! Zostań sobie i umieraj, Sevanno, jeśli chcesz. Ja nie jestem Kamiennym Psem! - Wyrwała rękę z uścisku i popędziła na wschód.

Sevanna stała tam jeszcze chwilę, pozwalając mężczyznom i Pannom popychać się to w jedną, to w drugą stronę, kiedy tak gnali w panice. A potem cisnęła włócznię na ziemię i obmacała wiszącą u pasa sakiewkę, w której kryła się mała kostka ze zdobnie rzeźbionego kamienia. Dobrze, że poczekała z jej wyrzuceniem. Została jej jeszcze jedna cięciwa do łuku. Podkasawszy spódnice, by uwolnić nogi, przyłączyła się do chaotycznej ucieczki, ale o ile cała reszta umykała zdjęta panicznym strachem, ona biegła z planami wirującymi jej w głowie. Jeszcze zmusi Randa al'Thora, by przed nią uklęknął, al'Thora i Aes Sedai.

Alviarin nareszcie opuściła apartamenty Elaidy, z pozoru równie chłodna i opanowana jak zawsze. Wewnętrznie czuła się wyżęta niczym mokra ścierka. Udało jej się stawiać pewne kroki po długich, krętych schodach, nawet na tym poziomie wykutych z marmuru. Przebiegający obok niej z codziennymi posyłkami służący w liberiach kłaniali się i dygali, widząc jedynie Opiekunkę demonstrującą spokój właściwy Aes Sedai. Niżej zaczęły się pojawiać siostry, w tym niejedna w szalu z frędzlami o barwach jej Ajah, jakby chciały dodatkowo zaakcentować tym formalnym strojem, że są pełnymi Aes Sedai. Po drodze przyglądały jej się badawczo, często niespokojnie. Jedynie Danelle ją zignorowała, rozmarzona Brązowa siostra. Miała

swój udział w obaleniu Siuan Sanche i wyniesieniu Elaidy, ale pogrążona we własnych myślach, bez przyjaciółek nawet wśród własnych Ajah, zdawała się nie zauważać, że zepchnięto ją na ubocze. Pozostałe były tego świadome aż nadto. Berisha, szczupła i twardooka Szara oraz Kera, obdarzona tymi jasnymi włosami i niebieskimi oczami, jakie zdarzały się u niektórych Tairenian, i z całą tą arogancją jakże powszechną u Zielonych, zdobyły się nawet na dygnięcie. Norine miała taką minę, jakby zamierzała to zrobić, a jednak nie zdecydowała się; wielkooka, czasami prawie tak samo marzycielska jak Danelle i równie pozbawiona przyjaciół, nie cierpiała Alviarin. Skoro Opiekunka miała pochodzić z Białych, jej zdaniem powinna nią zostać Norine Dovarna.

Od sióstr nie wymagano, by okazywały uprzejmość Opiekunce, ale te bez wątpienia miały nadzieję, że w razie konieczności Alviarin wstawi się za nimi u Elaidy. Inne tylko się zastanawiały, jakież to rozkazy ona niesie, czy może któraś siostra ma być tego dnia zganiona za jakieś niedociągnięcie. Nawet Czerwone nie pokonywały tych pięciu poziomów, by dotrzeć do nowych apartamentów Amyrlin, o ile nie zostały wezwane, i niejedna siostra autentycznie się ukrywała, kiedy Elaida schodziła na dół. Samo powietrze zdawało się rozpalone, gęste od strachu, który nie miał nic wspólnego z rebelią czy przenoszącymi mężczyznami.

Kilka sióstr próbowało ją zagadać, ale Alviarin mijała je, niezbyt uprzejmie, niemal nie zauważając zaniepokojenia wykwitającego w ich oczach, w momencie gdy rozumiały, że wyraźnie nie chce się zatrzymać. Obraz Elaidy wypełniał jej myśli tak samo jak pozostałym. Elaida była kobietą o wielu obliczach. Na pierwszy rzut oka widziało się piękność pełną godności i rezerwy, na drugi kobietę ze stali, groźną jak obnażone ostrze. Ona stosowała siłę tam, gdzie inni uciekali się do perswazji, waliła

pałką tam, gdzie inni próbowali dyplomacji albo posunięć Gry Domów. Każdy, kto ją poznał, dostrzegał inteligencję, ale dopiero po jakimś czasie widziało się, że mimo takiego umysłu, ona widzi tylko to, co chce widzieć, i stara się uprawomocnić wszystko, co chce, by było prawdziwe. Od tych dwóch bezsprzecznie przerażających cech gorsze było to, że tak często odnosiła sukcesy. Zaletą był Talent Przepowiadania. Łatwo było o nim zapomnieć; objawiał się tak chaotycznie i rzadko. Poza tym tyle czasu minęło od ostatniej Przepowiedni, że już sama nieprzewidywalność potrafiła porazić niczym piorun. Nikt nie umiał orzec, kiedy to się stanie, nawet sama Elaida, i nikt nie umiał przewidzieć, co objawi. Teraz Alviarin czuła niemalże mglistą obecność tej kobiety, jakby ta ją śledziła.

Być może należało ją zabić. Jeżeli nawet, Elaida nie będzie pierwszą, którą Alviarin zabiła potajemnie. A jednak wahała się z podjęciem tego kroku bez wyraźnych rozkazów albo przynajmniej przyzwolenia.

Weszła do własnych apartamentów i poczuła ulgę, jakby cień Elaidy nie był w stanie przekroczyć ich progu. Głupia myśl. Gdyby Elaida podejrzewała, jaka jest prawda, wówczas tysiące lig nie powstrzymałoby jej od skoczenia do gardła Alviarin. Elaida wymagała od niej ciężkiej pracy, a także osobistego wkładu przy wdrażaniu rozkazów opatrzonych podpisem i pieczęcią Amyrlin - ale należało jeszcze podjąć decyzję, które z tych rozkazów mają być rzeczywiście zrealizowane. Decyzja, rzecz jasna, nie należała do Elaidy. Ani też do niej samej.

Jej komnaty były mniejsze od tych, które zajmowała Elaida, aczkolwiek sklepienia miały wyższe, balkon zaś wychodził na wielki plac przed Wieżą. Alviarin stawała niekiedy na nim, żeby popatrzeć na rozciągające się przed nią Tar Valon, największe miasto świata, pełne niezliczonych tysięcy takich, którzy byli czymś

jeszcze pośledniejszym niźli pionki na planszy do gry w kamienie. Umeblowanie z jasnego, prążkowanego drewna inkrustowanego perłami i bursztynem pochodziło z Arad Doman. Dopełniały go barwne dywany utkane we wzory złożone z kwiatów i zakrętasów, a jeszcze barwniejsze gobeliny przedstawiały lasy, kwiaty i pasące się jelenie. Wszystko to należało do poprzedniej mieszkanki tych pokoi, i nawet jeśli zachowała je przede wszystkim dlatego, że nie chciało jej się marnować czasu na wybieranie nowych, to miały jej ponadto przypominać, jaka jest cena porażki. Leane Shariff maczała palce w rozmaitych spiskach i przegrała, a teraz była odcięta od Jedynej Mocy na zawsze, bezradna uciekinierka zależna od czyjejś łaski, skazana na życie w nędzy, dopóki sama go nie zakończy albo zwyczajnie nie przyłoży twarzy do ściany i nie umrze. Alviarin słyszała o kilku ujarzmionych kobietach, którym udało się przeżyć, ale postanowiła wątpić w takie historie, dopóki osobiście którejś nie pozna. Co wcale nie znaczyło, by miała na to chociaż cień ochoty.

Za oknami widziała jaskrawe światło wczesnego popołudnia, zanim jednak pokonała połowę drogi przez bawialnię, światło nagle zmętniało, jakby zapadł już wieczór. Ten mrok wcale jej nie zaskoczył. Odwróciła się i natychmiast padła na kolana.

- Wielka Pani, żyję, by służyć.

Przed nią stała wysoka kobieta, ciemny cień i srebrne światło. Mesaana.

- Powiedz mi, co się stało, dziecko. - Jej głos miał brzmienie srebrnych dzwoneczków.

Klęcząca Alviarin powtórzyła każde słowo, jakie powiedziała jej Elaida, zastanawiając się jednakże, czy to konieczne. Na samym początku opuszczała mało ważne szczegóły, ale Mesaana orientowała się za każdym razem, żądała powtórzenia

każdego słowa, każdego gestu, każdej miny. Najwyraźniej podsłuchiwała te rozmowy. Alviarin usiłowała dopatrzyć się w tym jakiejś logiki, ale bez powodzenia. A mimo to niektóre rzeczy stosowały się do praw logiki.

Poznała pozostałych Wybranych, których durnie nazywali Przeklętymi.

Lanfear pojawiała się w samej Wieży, a Graendal, władcza dzięki swej sile i wiedzy, bez słów dawała jasno do zrozumienia, że Alviarin stoi znacznie od nich niżej, że jest zwykłą posługaczką, która biega na posyłki i wije się z rozkoszy, kiedy usłyszy uprzejme słowo. Belal porwał Alviarin w samym środku nocy, kiedy spała - do dziś nie wiedziała, dokąd; obudziła się we własnym łóżku i to przerażało ją jeszcze bardziej niźli przebywanie w obecności mężczyzny, który potrafił przenosić. Dla niego nie była nawet robakiem, w ogóle żywą istotą, jedynie pionkiem w grze, który poruszał się na jego rozkaz. Pierwszy zaś był Ishamael, wiele lat przed innymi; to on wybrał Alviarin spośród tajemnych rzesz Czarnych Ajah, by ją postawić na ich czele.

Klękała przed każdym z nich, mówiąc, że żyje po to, by służyć, i mówiła to szczerze, posłusznie wypełniając rozkazy, niezależnie od ich treści. Ostatecznie stali zaledwie krok niżej od samego Wielkiego Władcy Ciemności, a skoro pragnęła wynagrodzenia za swe usługi, pragnęła nieśmiertelności, którą oni zdawali się już posiadać, musiała okazywać posłuszeństwo. Klękała przed każdym, ale jedynie Mesaana pojawiała się z nieludzką twarzą. Ten płaszcz z cienia i światła musiał zostać utkany z Jedynej Mocy, ale Alviarin nie widziała żadnego splotu. Czuła siłę Lanfear i Graendal, wiedziała od pierwszej chwili, o ile silniejsze są od niej we władaniu Mocą, ale w Mesaanie wyczuwała... nic nie wyczuwała. Jakby ta kobieta w ogóle nie potrafiła przenosić.

Logiczny wniosek był oczywisty i jednocześnie oszałamiający. Mesaana

zamaskowała się, ponieważ mogła zostać rozpoznana. A zatem mieszkała w samej Wieży. Z pozoru zdawało się to niemożliwe, a jednak nie pasowało tu żadne inne wytłumaczenie. W takim razie musiała być jedną z sióstr, bo z pewnością nie jedną ze służących, zmuszoną do ciężkiej harówki i potu. Ale którą? Zbyt wiele kobiet wyjechało na wiele lat z Wieży, zanim Elaida wezwała je z powrotem, zbyt wiele nie miało bliskich przyjaciółek albo w ogóle żadnych. Mesaana musiała być właśnie jedną z nich. Alviarin bardzo chciała to wiedzieć. Wiedza, nawet taka, której nie mogła wykorzystać, równała się władzy.

- A zatem naszej Elaidzie przydarzyła się Przepowiednia - powiedziała dźwięcznie Mesaana, a Alviarin uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że to oznacza koniec jej recytacji. Bolały ją kolana, ale wiedziała, że nie powinna wstawać bez pozwolenia. Palce utkane z cienia postukały w zamyśleniu w srebrne wargi. Czy zauważyła, by jakaś siostra wykonywała taki gest? - Dziwne, że jest ona równocześnie taka jasna i mglista. To zawsze był rzadki Talent, a większość tych, którzy go posiadali, wypowiadała się w taki sposób, że jedynie poeci potrafili ich zrozumieć. Zazwyczaj dopiero wtedy, gdy było już za późno, i nie miało to żadnego znaczenia. Wtedy dopiero wszystko stawało się jasne. - Alviarin nadal milczała. Przeklęci nie rozmawiali; rozkazywali albo żądali. - Interesujące przewidywania. Pogrom rebeliantek... Jak pęknięty melon?... Tak to brzmiało?

- Nie jestem pewna, Wielka Pani - odparła powoli. Tak to brzmiało? Ale Mesaana tylko wzruszyła ramionami.

- Tak czy owak, jedno i drugie zawsze się da wykorzystać.

- Ona jest niebezpieczna, Wielka Pani. Jej Talent może ujawnić to, co nie powinno być ujawnione.

Odpowiedział jej kryształowy śmiech.

- Na przykład co? Ciebie? Twoje siostry z Czarnych Ajah? A może to mnie chcesz chronić? Bywasz czasami bardzo grzeczną dziewczynką, drogie dziecko. - Srebrzysty głos przepełniało rozbawienie. Alviarin czuła, że twarz jej pała i miała nadzieję, że Mesaana zobaczy w tym wstyd, a nie gniew. - Czy sugerujesz, że należy się pozbyć naszej Elaidy, dziecko? Moim zdaniem jeszcze nie. Nadal może być użyteczna. Przynajmniej dopóki młody al'Thor do nas nie dotrze, a wielce prawdopodobne, że i później również. Spisz jej rozkazy i dopilnuj, by je wykonano. Obserwowanie, jak ona uprawia te swoje gierki, jest z pewnością zabawne. Dzieci, czasami naprawdę okazujecie się godne swoich ajah. Ciekawe, czy uda jej się porwać Króla Illian i Królową Saldaei? Wy, Aes Sedai, robiłyście kiedyś takie rzeczy, ostatni raz... no kiedy?... dwa tysiące lat temu? Kogo ona spróbuje posadzić na tronie Cairhien? Czy propozycja zostania Królem Łzy pokona niechęć Wysokiego Lorda Darlina wobec Aes Sedai? Czy raczej nasza Elaida udławi się pierwej swoją frustracją? Szkoda, że tak się opiera przed konceptem stworzenia większej armii. Myślałam, że jej ambicje sięgają wyżej.

Posłuchanie dobiegało końca - nigdy nie trwało dłużej niż czas, jakiego Alviarin potrzebowała do złożenia sprawozdania i wysłuchania nowych rozkazów - ale musiała jeszcze zadać pytanie:

- Czarna Wieża, o Wielka Pani. - Alviarin oblizała wargi. Wiele się nauczyła od czasu, gdy pojawił się przed nią Ishamael, nie tylko tego, że Wybrani wcale nie są ani wszechmogący ani wszechwiedzący. Została wyniesiona, ponieważ Ishamael zabił jej poprzedniczkę w napadzie gniewu, kiedy odkrył, co wszczęła Jurna Malari, ale to wcale się nie skończyło przez kolejne dwa lata, po śmierci następnej Amyrlin. Często

się zastanawiała, czy Elaida miała swój udział w śmierci Sierin Vayu; Czarne Ajah z pewnością go nie miały. Z rozkazu Jarny Tamrę Ospenyę, Amyrlin poprzedzającą Sierin, wyciśnięto niczym kiść winogron - uzyskując niewiele soku, jak się okazało - i to w taki sposób, iż wydawało się, że umarła podczas snu, jednak Alviarin oraz pozostałe dwanaście sióstr z Wielkiej Rady płaciły bólem, do czasu aż zdołały przekonać Ishamaela, że to nie one są za to odpowiedzialne. Wybrani wcale nie byli wszechwładni i nie wiedzieli wszystkiego, a jednak czasami wiedzieli coś, co dla innych była tajemnicą. Wszakże pytanie o to mogło się okazać niebezpieczne. "Dlaczego?" było pytaniem najbardziej niebezpiecznym; Wybrani bardzo nie lubili tego słowa.

- Czy można bezpiecznie posłać przeciwko nim pięćdziesiąt sióstr, o Wielka Pani?

Oczy rozjarzone niczym bliźniacze księżyce w pełni przyjrzały się jej w milczeniu i Alviarin poczuła chłód pełznący po kręgosłupie. Przez myśl przemknęło jej wspomnienie losu Jarny. Jarna, oficjalnie Szara, nigdy nie wykazywała żadnego zainteresowania ter'angrealami, których zastosowanie nie było nikomu znane - aż do dnia, w którym dała się złapać w sidła takiego, którego nikt od stuleci nie tykał. Po dziś dzień pozostawało zagadką, dlaczego się wtedy uaktywnił. Przez dziesięć dni nikt nie mógł do niej dotrzeć; słychać tylko było, jak krzyczy co sił w płucach. Większość mieszkanek Wieży uważała Jarnę za wzór cnót; w pogrzebie, kiedy grzebano to, co udało się odzyskać, uczestniczyły wszystkie siostry z Tar Valon i wszystkie te, które zdołały dotrzeć na czas do miasta.

- Ciekawska jesteś, dziecko - stwierdziła na koniec Mesaana. - To może być zaleta, o ile nią odpowiednio pokierować. Pokierowana źle... - Pogróżka zawisła w

powietrzu niczym połyskliwy sztylet.

- Pokieruję nią tak, jak rozkażesz, Wielka Pani-wyszeptała chrapliwie Alviarin.

W ustach jej całkiem zaschło. - Tylko tak, jak rozkażesz. - Ale i tak dopilnuje, by żadna z Czarnych sióstr nie towarzyszyła Toveine. Mesaana poruszyła się, górując nad nią tak, że musiała wygiąć szyję w łuk, by spojrzeć w tę twarz ze światła i cienia, po czym nagle zadała sobie pytanie, czy Wybrana przypadkiem nie czyta w jej myślach.

- Jeżeli chcesz mi służyć, dziecko, musisz być mi posłuszna. Nie Semirhage czy Demandredowi. Ani też Graendal czy komukolwiek innemu. Tylko mnie. A także Wielkiemu Władcy, rzecz jasna, ale poza nim przede wszystkim mnie.

- Żyję, by służyć, o Wielka Pani - powiedziała, a właściwie wyskrzeczała, ale jakoś udało jej się zaakcentować ostatnie słowa.

Przez dłuższą chwilę srebrzyste oczy wpatrywały się w nią, nie mrugając. A potem Mesaana powiedziała:

- Dobrze. W takim razie będę cię uczyć. Ale pamiętaj, że uczeń to nie nauczyciel. To ja decyduję, kto ma się czego uczyć, i ja również decyduję, kiedy może wykorzystać swoją wiedzę. Jeżeli się dowiem, że zdradziłaś komuś bodaj jej skrawek albo że zastosowałaś jej strzępek bez mojego polecenia, wówczas cię wykończę.

Alviarin poruszyła ustami, by uzyskać choć odrobinę wilgoci. W tych dzwoneczkach nie słyszało się gniewu, jedynie niewzruszoną pewność siebie.

- Żyję, by służyć, o Wielka Pani. Żyję, by okazywać ci posłuszeństwo, o Wielka Pani. - Właśnie dowiedziała się czegoś na temat Przeklętych; ledwie dawała temu wiarę. Wiedza to potęga.

- Masz trochę siły, dziecko, Niewiele, ale dosyć.

Jakby znikąd pojawił się splot.

- To - oznajmiła dźwięcznym głosem Mesaana - nazywa się bramą.

Pedron Niall chrząknął, kiedy Morgase z triumfalnym uśmiechem położyła biały kamyk na planszy. Gorsi gracze mogliby ustawić jeszcze po dwa tuziny kamieni, a tymczasem on przewidywał już nieuchronny przebieg zdarzeń, ona go również dostrzegała. Na samym początku ta złotowłosa kobieta po drugiej stronie niewielkiego stolika grała tak, by przegrać, sprawić, żeby gra stała się dla niego zajmująca, ale bardzo szybko się nauczyła, że to wiedzie tylko do bałaganu na planszy. Nie wspominając już o tym, że Niall był dość sprytny, by dostrzec podstęp, i nie zamierzał tego tolerować. Obecnie przywołała na odsiecz wszystkie swoje umiejętności i udawało jej się wygrywać niemal połowę partii. Już od wielu lat nikt nie pokonywał go równie często.

- Gra jest twoja - powiedział jej i Królowa Andoru skinęła głową. Cóż, będzie znowu królową; on tego dopilnuje. W tym zielonym jedwabiu, z wysokim, koronkowym kołnierzem dotykającym podbródka, wyglądała w każdym calu na królową, mimo warstewki potu, która lśniła na jej policzkach. Nie wyglądała nawet na tak dojrzałą, by mieć córkę w wieku Elaine, a tym bardziej syna w wieku Gawyna.

- Nie zorientowałeś się, że ja zauważyłam tę pułapkę, którą gotowałeś, kładąc trzydziesty pierwszy kamień, lordzie Niall, a poza tym uznałeś mój unik przed czterdziestym trzecim kamieniem za prawdziwy atak. - Jej niebieskie oczy iskrzyły się z podniecenia; Morgase lubiła wygrywać. Lubiła tak grać, żeby wygrać.

To, rzecz jasna, miało uśpić jego czujność, całe to granie w kamienie, te uprzejmości. Morgase wiedziała, że mimo otaczających ją luksusów jest więźniem w Fortecy Światłości, i to pod każdym względem. Więźniem ukrywanym w tajemnicy. Pozwalał na to, by wieści o jej obecności się szerzyły, ale nie wydawał żadnych

oświadczeń. Andor miał zbyt bogatą historię oporu stawianego Synom Światłości. Nie ogłosi niczego, dopóki legiony nie wkroczą na terytorium Andoru, z nią w roli figurantki. O tym Morgase też z pewnością wiedziała. Całkiem prawdopodobne, że wiedziała również, iż on poznał się na jej próbach zmiękczenia go. Traktat, który podpisała, nadawał Synom Światłości prawa w Andorze, jakich nigdy przedtem nigdzie nie posiadali, tylko tutaj, w Amadicii, i spodziewał się, że już zaplanowała, co zrobi, by jego wpływy na jej ziemi stały się mniejsze i żeby je usunąć, kiedy tylko zdoła to uczynić. Podpisała traktat tylko dlatego, że zagnał ją w kozi róg, a jednak walczyła dalej, równie umiejętnie jak manewrowała kamieniami na planszy. Jak na tak piękną kobietę była wyjątkowo twarda. Nie, ona po prostu była twarda, to wszystko. Dała się uwieść czystej przyjemności płynącej z grania, ale nie mógł poczytywać tego za błąd, bo również i on sam przeżywał dzięki niemu wiele przyjemnych chwil.

Gdyby był bodaj dwadzieścia lat młodszy, mógłby się bardziej przykładać do jej prawdziwej gry. Ciążyły mu długie lata wdowieństwa, a poza tym Lord Kapitan Komandor Synów Światłości dysponował niewielką ilością czasu na przyjemności z kobietami, nie bardzo starczało mu czasu na cokolwiek oprócz bycia Lordem Kapitanem Komandorem. Gdybyż miał dwadzieścia lat mniej - no cóż, dwadzieścia pięć - a ona nie została wyszkolona przez wiedźmy z Tar Valon. Jakże łatwo człowiek o tym zapominał w jej obecności. Biała Wieża była jaskinią grzechu i Cienia, która skaziła ją aż do głębi. Rhadam Asunawa, Wysoki Inkwizytor, osądziłby ją za te miesiące spędzone w Białej Wieży i powiesił bezzwłocznie, gdyby Niall na to pozwolił. Westchnął z żalem.

Morgase zachowała swój zwycięski uśmiech, ale te wielkie oczy wpatrywały się w jego twarz z inteligencją, której nie potrafiła ukryć. Napełnił jej i swój kielich winem

ze srebrnego dzbana umieszczonego w misie z zimną wodą, która jeszcze chwilę temu była lodem.

- Lordzie Niall... - To wahanie było doskonale właściwe; ta szczupła dłoń wyciągnięta do połowy stołu w jego stronę, ten szacunek, z jakim do niego przemawiała. Któregoś razu nazwała go zwyczajnie Niallem, z większą pogardą niż ta, z jaką mogłaby potraktować pijanego stajennego. To wahanie byłoby doskonale właściwe, gdyby jej nie znał. -Lordzie Niall, z pewnością mógłbyś rozkazać Galadowi przybyć do Amadoru, dzięki czemu mogłabym go zobaczyć. Tylko na jeden dzień.

- Żałuję - odparł gładko - ale obowiązki zatrzymują Galada na północy.

Powinnaś być z niego dumna; jest jednym z najlepszych młodych oficerów wśród Synów. -Jej pasierb stanowił lewar, którego używano w razie potrzeby przeciwko niej, tym lepszy przez to, że trzymano go z daleka. Ten młody mężczyzna był dobrym oficerem, być może najznakomitszym z tych, którzy przystali do Synów za kadencji Nialla, i nie należało nadwyrężać jego przysięgi przez powiadamianie go, że jego matka jest tutaj i że jest nazywana "gościem" jedynie przez uprzejmość.

Jedynie nieznaczne zaciśnięcie warg, które prędko znikło, zdradziło jej rozczarowanie. Nie po raz pierwszy wyraziła taką prośbę, nie miał to być też ostatni raz. Morgase Trakand nie poddawała się tylko dlatego, iż widziała jasno jak na dłoni, że została pokonana.

- Jak rzeczesz, lordzie Niall - odparła tonem tak potulnym, że Niall omal nie zakrztusił się winem. Uległość stanowiła podstawę jakiejś nowej taktyki, taktyki, w której opracowanie musiała włożyć sporo wysiłku. - To tylko matczyne...

- Lordzie Kapitanie Komandorze? - odezwał się od drzwi głęboki, tubalny głos. - Obawiam się, że mam ważne wieści, wieści, które nie mogą czekać, mój lordzie. -Stał

tam Abdel Omerna, wysoki, odziany w tunikę Lorda Kapitana Synów Światłości, z tą swoją bezczelną twarzą okoloną skrzydełkami bieli na skroniach; w jego ciemnych, głęboko osadzonych oczach malował się wyraz zamyślenia. Nieustraszony i władczy, od stóp do głów. I skończony dureń, ale tego nie było widać na pierwszy rzut oka. Morgase skurczyła się wewnętrznie na widok Omerny, tak nieznacznie, że większość ludzi w ogóle by tego nie zauważyła. Tak jak wszyscy wierzyła, że jest on mistrzem szpiegów Synów, czyli kimś, kogo trzeba się obawiać prawie tak samo jak Asunawy, a może nawet jeszcze bardziej. Nawet sam Omerna nie wiedział, że jest tylko przykrywką maskującą prawdziwego mistrza szpiegów, człowieka znanego jedynie samemu Niallowi. Czyli Sebbana Balwera, zasuszonego jak patyk sekretarza Nialla. Przykrywka jednak czy nie, czasami coś użytecznego wpadało Omernie w ręce. W rzadkich przypadkach nawet coś niezwykle ważnego. Niall nie miał wątpliwości, co przynosi ten człowiek; nic innego oprócz Randa al'Thora u bram nie pozwoliłoby mu wtargnąć w taki sposób. Oby Światłość sprawiła, żeby okazało się to tylko jakimiś bredniami zasłyszanymi od sprzedawcy dywanów.

- Obawiam się, że na ten ranek skończyć musimy z naszymi grami - powiedział do Morgase Niall i wstał. Kiedy ta również się podniosła, ukłonił się przed nią nieznacznie, co przyjęła skinieniem głowy.

- Może do wieczora? - Jej głos nadal zachował ten niemal uległy ton. - Chciałam spytać, czy zechcesz zjeść ze mną wieczerzę?

Niall zgodził się, rzecz jasna. Nie miał pojęcia, jaki jest cel jej nowej taktyki - na pewno nie coś, co mógłby wywnioskować byle przygłup, tego był pewien - ale wykrycie go mogłoby przysporzyć mu rozrywki. Ta kobieta była pełna niespodzianek. Co za szkoda, że została skażona przez wiedźmy.

Omerna doszedł aż do wielkiego, złotego słońca osadzonego w posadzce i wytartego przez te wszystkie stopy oraz kolana, które spoczywały na nim przez całe stulecia. Gdyby nie owo słońce, a także sztandary zdobyte podczas bitew, które wisiały tuż pod powałą, postrzępione ze starości i wytarte, byłaby to całkiem zwyczajna komnata. Omerna przyglądał się, jak Morgase go mija, z pozoru w ogóle nie przyjmując do wiadomości jego istnienia, a kiedy drzwi zamknęły się za nią, powiedział:

- Nie znalazłem jeszcze ani Elayne, ani Gawyna, mój lordzie.

- Czy to są te twoje ważne wieści? - spytał z irytacją Niall. Balwer donosił, że córka Morgase jest w Ebou Dar, po szyję unurzana w sprawach wiedźm; rozkazy dotyczące jej osoby zostały już wysłane do Jaichima Carridina. Drugi syn Morgase także nadal plugawił się z wiedźmami, jak się zdawało, w Tar Valon, gdzie również Balwer posiadał kilku agentów. Niall upił spory łyk chłodnego wina. Ostatnimi czasy miał wrażenie, że jego kości stały się stare, kruche i zimne, a mimo to od skwaru sprokurowanego przez Cień pot zalewał mu ciało i wysychały usta.

Omerna wzdrygnął się.

- Ach... nie, mój lordzie. - Pogrzebał w kieszeni białego kaftana i wydobył z niej mały kościany cylinder z trzema czerwonymi paskami biegnącymi przez całą długość.

- Chciałeś, by ci to dostarczono, gdy tylko gołąb przyleci do... - Urwał, kiedy Niall wyrwał mu rurkę.

Na to właśnie czekał, to był powód, dla którego jeszcze żaden legion nie wyruszył do Andoru z Morgase jadącą na czele, aczkolwiek nie w charakterze dowódcy. Jeżeli to wszystko nie okaże się efektem szaleństwa Varidina, bredzeniem człowieka, który na widok anarchii rozkładającej Tarabon postradał zmysły, to Andor

będzie musiał poczekać. Andor, a może i inne ziemie.

- Mam... mam potwierdzenie, że w Białej Wieży naprawdę doszło do rozłamu-ciągnął Omerna. - Czarne... Ajah przejęły Tar Valon. - Nic dziwnego, że mówił tak nerwowym głosem. Wygłaszał herezje. Czarne Ajah nie istniały, wszystkie wiedźmy były Sprzymierzeńcami Ciemności.

Niall zignorował go i przełamał paznokciem woskową pieczęć zamykającą rurkę. Przyzwyczaił Balwera do szerzenia tych plotek, a teraz one wracały do niego. Omerna wierzył w każdą plotkę, jaka mu wpadła w uszy, a jego uszy wychwytywały je wszystkie.

- Są też doniesienia, jakoby wiedźmy weszły w konszachty z fałszywym Smokiem al'Thorem, mój lordzie.

To oczywiste, że wiedźmy weszły z nim w konszachty! Był ich tworem, ich marionetką. Niall ogłuchł na paplaninę tego durnia i ruszył z powrotem w stronę stolika do gry, po drodze wyciągając cienki zwitek papieru z rurki. Nigdy nie pozwalał nikomu dowiedzieć się czegokolwiek o tych listach oprócz tego, że istniały, a niewielu wiedziało choćby tyle. Dłonie mu drżały, kiedy rozprostowywał papier. Nie zdarzyło mu się to od czasu, kiedy był małym chłopcem przypatrującym się swojej pierwszej bitwie, ponad siedemdziesiąt lat temu. Teraz te ręce zdawały się zbudowane z samych tylko kości i ścięgien, ale nadal miały w sobie dość siły do tego, co musiał zrobić.

Nie było to pismo Varidina, tylko Faisara, wysłanego do Tarabonu z innymi zadaniami. Niallowi żołądek zacisnął się w supeł, kiedy czytał; list został sformułowany w zrozumiałym języku, nie szyfrem Varidina. Raporty Varidina stanowiły dzieło człowieka, który stał na skraju szaleństwa, o ile już go nie przekroczył, a jednak Faisar potwierdzał wszystkie najgorsze rzeczy, a nawet i więcej.

Znacznie więcej. Al'Thor okazał się wściekłą bestią, niszczycielem, którego należało powstrzymać, a teraz pojawiło się drugie szalone zwierzę, takie, które mogło być jeszcze bardziej niebezpieczne niż wiedźmy z Tar Valon z ich wytresowanym fałszywym Smokiem. Tylko jak, na Światłość, mógłby walczyć i z jednym, i drugim?

- Jak... jak się zdaje królowa Tenobia wyjechała z Saldaei, mój lordzie. L ..

Zaprzysiężeni Smokowi palą i mordują na całym terytorium Altary i Murandy.

Słyszałem, że Róg Valere został odnaleziony, w Kandorze.

Niall, wciąż jeszcze nieco rozkojarzony, podniósł wzrok i zobaczył Omernę u swego boku, oblizującego wargi i ocierającego pot z czoła wierzchem dłoni. Bez wątpienia liczył, że uda mu się podpatrzyć, co jest w liście. No cóż, niebawem dowiedzą się wszyscy.

- Jak się zdaje, wymysły twojej dzikuski wcale nie były takie dzikie - powiedział Niall i w tym momencie poczuł ukłucie noża wbitego między żebra.

Szok sparaliżował go na dostatecznie długą chwilę, by Omerna zdążył wyswobodzić sztylet i zatopić go w ciele raz jeszcze. W taki sam sposób umierali przed nim inni Lordowie Kapitanowie Komandorzy, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że on zginie z ręki Omerny. Próbował jeszcze walczyć ze swoim zabójcą, ale zabrakło mu siły. Przywarł do Omerny, który wsparł go; obaj stali teraz oko w oko.

Twarz Omerny była czerwona; wyglądał na bliskiego płaczu.

- To musiało się stać. Musiało. Pozwalasz tym wiedźmom siedzieć w ukryciu w Salidarze i... - Odepchnął Nialla, jakby nagle dotarło do niego, że obejmuje mężczyznę, którego właśnie mordował.

Siła, która uciekła już z nóg Nialla, teraz opuściła również jego ręce. Runął bezwładnie na stolik do gry, przewracając go. Czarne i białe kamienie rozsypały się po

wypolerowanej posadzce; srebrny dzban odbił się, rozbryzgując wino. Chłód rozlał się po całym ciele.

Nie był pewien, czy to przedtem czas zwolnił, czy teraz wszystko zaczęło dziać się tak szybko. Na posadzce załomotały czyjeś ciężkie buty, a wtedy znużonym ruchem podniósł głowę i zobaczył Omernę wpatrzonego weń wytrzeszczonymi oczyma, cofającego się przed Eamonem Valdą. Odziany w biało-złotą tunikę i biały kaftan, podobnie jak Omerna stanowił w każdym calu wzór Lorda Kapitana. Valda nie dorównywał tamtemu wzrostem ani też nie był tak ostentacyjnie rozkazujący, ale jak zawsze miał twardą twarz, a w dłoniach trzymał miecz, ostrze oznakowane czaplą, które cenił sobie niezwykle wysoko.

- Zdrada! - zawył Valda i wbił miecz w pierś Omerny.

Niall roześmiałby się, gdyby mógł; oddychał z trudem i słyszał bulgotanie krwi we własnym gardle. Nigdy nie lubił Valdy - w rzeczy samej gardził tym człowiekiem - ktoś jednak musiał się dowiedzieć. Poruszył oczami, znalazł skrawek papieru z Tanchico leżący nieopodal jego dłoni; tam mógł zostać przeoczony, ale nie jeśli jego trup będzie go ściskał. A ten list musiał zostać przeczytany. Jego dłoń zdawała się pełznąć przez deski posadzki tak wolno, ocierając się o papier, popychając go, kiedy macał niezdarnie, żeby go złapać. Wzrok zachodził mu mgłą. Usiłował zmusić oczy, żeby widziały. Ktoś musiał... Mgła gęstniała. Jakaś jego cząstka usiłowała otrząsnąć się z tej myśli; nie było żadnej mgły. Mgła gęstniała, a tam gdzieś czaił się wróg, niewidzialny, ukryty, równie niebezpieczny jak al'Thor albo i bardziej. List. Co? Jaki list? Czas dosiąść konia i dobyć miecz, czas na ostatni atak. Na Światłość, zwyciężaj albo giń, on nadchodzi! Na koniec próbował jeszcze gniewnie obnażyć zęby.

Valda wytarł ostrze o tunikę Omerny, po czym nagle dotarło do niego, że stary

wilk nadal oddycha, chrapliwym, bulgotliwym dźwiękiem. Krzywiąc się, pochylił się, by dokończyć dzieła - i wtedy koścista dłoń o długich palcach chwyciła go za ramię.

- Czy zechcesz teraz zostać Lordem Kapitanem Komandorem, mój synu? -

Wychudła twarz Asunawy była twarzą męczennika, ale te ciemne oczy płonęły zapałem, który byłby zdolny wytrącić z równowagi nawet tych, którzy nie wiedzieli, kim on jest. - Być może nim zostaniesz, jeśli ja potwierdzę, że to ty zabiłeś zabójcę Pedrona Nialla. Ale nie wtedy, jeśli będę musiał powiedzieć, że poderżnąłeś również gardło Niallowi.

Valda, obnażywszy zęby w grymasie, który mógłby ujść za uśmiech, wyprostował się. Asunawa kochał prawdę, kochał ją dziwną miłością, potrafił powiązać ją na supły albo przybić do drzewca i wymachiwać nią tak, że zaczynała przeraźliwie krzyczeć, ale na ile Valda się orientował, nigdy tak naprawdę nie kłamał. Spojrzenie na szkliste oczy Nialla i kałuża krwi rozlewająca się pod jego ciałem uspokoiła Valdę. Starzec umierał.

- Mogę, Asunawo?

Wzrok Wysokiego Inkwizytora zapłonął goręcej, kiedy Asunawa odsuwał się na bok, odgarniając śnieżnobiały płaszcz, by nie umoczyć go w krwi Nialla. Nawet Lord Kapitan nie mógł się spoufalać aż do tego stopnia.

- Tak właśnie powiedziałem, mój synu. Byłeś dziwnie niechętny, kiedy się zgadzałeś, że ta wiedźma Morgase winna zostać oddana Ręce Światłości. Chyba, że to zapewnienie...

- Morgase jest jeszcze potrzebna. - Valda przerwał tamtemu ze sporym zadowoleniem. Nie lubił Śledczych, czyli Ręki Światłości, jak nazywali samych siebie. Kto lubiłby ludzi, którzy nigdy nie stawiają czoła wrogowi, jeśli taki nie został pierwej

rozbrojony i zakuty w łańcuchy? Śledczy trzymali się z dala od pozostałych Synów, na uboczu. Asunawa na swoim płaszczu nosił jedynie szkarłatną laskę pasterską Śledczych, a nie rozjarzone, złote słońce Synów, które znakowało jego tunikę. Co gorsza, zdawali się uważać, że to, co oni robią z pomocą kół tortur i rozżarzonym żelazem, to jedyna prawdziwa działalność wszystkich Synów. - Morgase ma dać nam Andor, więc nie dostaniesz jej w swoje ręce, dopóki to się nie stanie. A my nie możemy wziąć Andoru, dopóki się nie uporamy z tą hałastrą od Proroka. - Prorok, który nauczał o nadejściu Smoka Odrodzonego, musiał być pierwszy razem z wichrzycielami spod jego znaku, którzy palili wioski. Pierś Nialla już prawie przestała się poruszać. - Po co wymienić Amadicię za Andor, skoro można utrzymać oba? Chcę zobaczyć al'Thora na szubienicy, a Białą Wieżę startą na proch, Asunawa, i bynajmniej nie dlatego poszedłem ci na rękę przy realizacji twoich planów, żeby teraz patrzeć, jak obracasz to wszystko wniwecz.

Asunawa nie dał się zastraszyć, nie był tchórzem. Nie w Fortecy, gdzie przebywały setki Śledczych, gdzie Synowie cały czas się strzegli, by nie zrobić niewłaściwego kroku w ich obecności. Zignorował miecz w dłoniach Valdy i tę twarz męczennika, która przyoblekła się teraz w maskę smutku. Zalewający ją pot zdawał się łzami żalu.

- W takim razie, skoro Lord Kapitan Canvele uważa, że należy przestrzegać prawa, obawiam się...

- Obawiam się, że Canvele zgodzi się ze mną, Asunawo. - Zgadzał się od świtu, kiedy do niego dotarło, że Valda wprowadził do Fortecy połowę legionu. Canvele nie był durniem. - Nie w tym rzecz, czy zostanę Lordem Kapitanem Dowódcą, kiedy dziś zajdzie słońce, tylko kto poprowadzi Rękę Światłości przy wydobywaniu prawdy.

Asunawa nie był tchórzem, a durniem w jeszcze mniejszym stopniu niż Canvele.

Ani się nie wzdrygnął, ani nie zapytał, dlaczego Valda postanowił poruszyć ten temat.

- Rozumiem - odparł po chwili, a potem łagodnym tonem dodał: - Masz zamiar całkiem lekceważyć prawo, synu?

Valda mało co, a byłby się roześmiał.

- Możesz przesłuchać Morgase, ale nie należy poddawać jej śledztwu. To będziesz mógł zrobić, kiedy ja już z nią skończę. - Co mogło nie nastąpić prędko. Aby znaleźć jej następczynię na Tronie Lwa, taką, która właściwie zrozumie jej zależność względem Synów, tak jak ją pojmował król Ailron, nie wystarczy jedna noc.

Asunawa zrozumiał, a może nie zrozumiał. Otworzył usta i w tym momencie od progu dało się słyszeć czyjeś westchnienie. Stał tam sekretarz Nialla, z tą swoją ściągniętą twarzą, wydętymi ustami i niekształtną sylwetką, a także skośnymi oczyma, które starały się widzieć wszystko, z wyjątkiem ciał leżących na posadzce.

- Smutny dzień, panie Balwer - zagaił Asunawa, głosem brzmiącym niczym przepełnione smutkiem żelazo. - Ten zdrajca Omerna zamordował Pedrona Nialla, naszego Lorda Kapitana Dowódcę, oby Światłość opromieniła jego duszę. - Nawet nie minął się z prawdą; Niall już znieruchomiał i zabicie go rzeczywiście było aktem zdrady. - Lord Kapitan Valda wszedł zbyt późno, więc nie zdążył go uratować, ale za to zabił Omernę nurzającego się w najgłębszej otchłani grzechu. - Balwer wzdrygnął się i zaczął pocierać dłonie.

Valda czuł, jak świerzbi go skóra na widok tego podobnego do ptaka mężczyzny.

- Możesz nam się przydać, Balwer, skoro już tu jesteś. - Nie lubił bezużytecznych ludzi, a ten skryba stanowił wcielenie bezużyteczności. - Zanieś to posłanie do

wszystkich lordów kapitanów, którzy przebywają w Fortecy. Przekaż im, że Lord Kapitan Komandor został właśnie zamordowany i że zwołuję posiedzenie Rady Pomazańców. - Kiedy zostanie już mianowany Lordem Kapitanem Komandorem, pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie wykopanie tego zasuszonego człowieczka z Fortecy, wykopanie go tak daleko, by odbił się przy tym dwukrotnie, i wybranie sekretarza, który nie będzie miał drgawek i tików. - Zamierzam dopilnować, by Pedron Niall został pomszczony, niezależnie od tego, czy Omerna został przekupiony przez wiedźmy czy przez Proroka.

- Jak rzeczesz, mój lordzie. - Balwer mówił suchym i zdławionym głosem. - Będzie, jak mówisz. - Najwyraźniej uznał, że już może spojrzeć na ciało Nialla; kiedy wycofywał się, składając chwiejne ukłony, ledwie patrzył na cokolwiek innego.

- A więc wychodzi na to, że to ty będziesz naszym nowym Lordem Kapitanem Komandorem - stwierdził Asunawa, kiedy Balwer już wyszedł.

- Na to wychodzi - odparł oschle Valda. Tuż obok wyciągniętej ręki Nialla leżał wąski skrawek papieru, jaki zazwyczaj przynosiły gołębie. Valda pochylił się i podniósł go, a potem prychnął z niesmakiem. Papier wpadł do kałuży rozlanego wina; wszystko, co na nim kiedyś napisano, było teraz nieczytelne, atrament się rozmazał.

- Ale Ręka Światłości dostanie Morgase, kiedy ty nie będziesz jej już potrzebował. - To żadną miarą nie było pytanie.

- Wręczę ją tobie osobiście. - Może uda się zorganizować coś naprędce, by na jakiś czas nasycić apetyt Asunawy. I jednocześnie sprawić, że Morgase stanie się bardziej uległa. Valda wypuścił z ręki bezużyteczny skrawek, który upadł na trupa Nialla. Z wiekiem stary wilk stracił swój spryt i opanowanie; zadanie utarcia nosa wiedźmom i ich fałszywemu Smokowi spoczywa odtąd na barkach Eamona Valdy.

Gawyn leżał płasko na jednym ze wzniesień i przypatrywał się klęsce. Studnie Dumai były położone w odległości wielu mil na południe, za falistymi równinami i niskimi wzgórzami, ale on nadal widział dym wznoszący się od płonących wozów. Nie miał pojęcia, co się tam potem działo od momentu, gdy wyprowadził stamtąd wszystkich Młodych, których zdołał skrzyknąć. Al'Thor zdawał się nieźle panować nad sytuacją, al'Thor i ci mężczyźni w czarnych kaftanach, którzy chyba przenosili Moc, unieszkodliwiając Aes Sedai i Aielów. Zrozumiał, że czas odejść, kiedy się zorientował, że siostry uciekają.

Żałował, że nie dane mu było zabić al'Thora. Za swoją matkę, która zginęła z jego ręki; Egwene wprawdzie przeczyła temu, ale nie dysponowała żadnym dowodem. Za siostrę. Jeżeli Min mówiła prawdę - niezależnie od tego, czego chciała, powinien był ją zmusić, żeby wyjechała razem z nim z obozu; za dużo tego, co powinien był tego dnia zrobić inaczej - jeżeli Min miała rację i Elayne kochała al'Thora, wówczas taki straszliwy los stanowił dostateczny powód do zabijania. Może Aielowie dokonali dzieła za niego. W to jednak wątpił.

Śmiejąc się gorzko, podniósł tubę ze szkłem powiększającym. Na jednym ze złotych pasków widniała inskrypcja: "Od Morgase, Królowej Andoru, dla jej ukochanego syna, Gawyna. Oby stał się żywym mieczem dla swojej siostry i Andoru". Jakże gorzko brzmiały teraz te słowa.

Widział niewiele oprócz zwiędłej trawy i małych, rzadkich grup drzew. Wiatr nadal wiał, wzbijając tumany kurzu. Co jakiś czas błysk ruchu w szczelinach między kanciastymi szczytami zdradzał obecność ludzi. Aielowie, nie było wątpliwości. Stapiali się zbyt dobrze z otoczeniem, by mogli być to odziani w zielone kaftany Młodzi. Oby Światłość sprawiła, by innym też udało się uciec, nie tylko tym, których

wyprowadził.

Jest durniem. Powinien był zabić al'Thora, należało to zrobić za wszelką cenę. A jednak nie mógł. Nie dlatego, że ten człowiek był Smokiem Odrodzonym, tylko z powodu obietnicy danej Egwene, że nie podniesie ręki na al'Thora. Jako niska w hierarchii Przyjęta zniknęła z Cairhien, pozostawiając Gawynowi jedynie list, który czytał tyle razy, że papier prawie rozdarł się na zagięciach, i nie byłby zdziwiony, gdyby się dowiedział, że wyjechała po to, by w jakiś sposób wesprzeć al'Thora. Nie mógł złamać danego słowa, tym bardziej, że dał je kobiecie, którą kochał. Takiego słowa nie mógł złamać w żadnych okolicznościach. Niezależnie od kosztów własnych. Miał nadzieję, że ona zrozumie ten kompromis, na jaki poszedł z własnym honorem; nie podniósł ręki, ale też nie pomógł. Oby Światłość sprawiła, by nigdy go o to nie spytała. Powiadano, że miłość potrafi zamroczyć umysł mężczyzny, i oto on stanowił tego najlepszy dowód.

Przyłożył nagle szkło do oka, kiedy na otwartą przestrzeń wjechała galopem jakaś kobieta na wysokim czarnym koniu. Nie był w stanie dojrzeć jej twarzy, ale żadna służąca nie nosiłaby dwuczęściowej sukni do konnej jazdy. A zatem przynajmniej jednej Aes Sedai udało się uciec. Jeżeli siostry zdołały ujść z tej pułapki z życiem, to może udało się to również większej liczbie Młodych. Jeżeli dopisze mu szczęście, to uda mu się ich znaleźć, zanim, skupieni w małych grupkach, zostaną wybici przez Aielów. Ale na razie pozostawał jeszcze problem, co zrobić z tą siostrą. Z wielu względów wolałby odjechać bez niej, ale gdyby zostawił ją tu samą, mogła zostać trafiona strzałą znikąd; na takie rozwiązanie nie pozwoli. Już zaczął się podnosić i machać w jej stronę, ale w tym właśnie momencie koń potknął się i upadł, a ona przeleciała ponad jego łbem.

Zaklął, a potem raz jeszcze, kiedy przez szkło powiększające dostrzegł strzałę wystającą z boku zwierzęcia. Pospiesznie ogarnął wzrokiem wzgórza i zmełł w ustach kolejne przekleństwo; na jednym ze szczytów stały, na oko, dwa tuziny Aielów z osłoniętymi twarzami, wpatrzonych w leżącego konia i w jeźdźca, w odległości niecałych stu kroków. Spojrzał szybko w jej kierunku. Siostra podnosiła się chwiejnie. Jeżeli zachowała zdrowe zmysły i była w stanie korzystać z Mocy, to kilku Aielów nie powinno jej nic zrobić, zwłaszcza jeśli schowa się przed kolejnymi strzałami za cielskiem zabitego konia. A mimo to poczułby się lepiej, gdyby udało mu się ją stamtąd zabrać. Sturlał się ze wzgórza, by Aielowie mieli mniejsze szanse go dostrzec, po czym wpełzł na przeciwległe zbocze, do takiego miejsca, gdzie mógł bezpiecznie się wyprostować.

Zabrał pięćset osiemdziesięciu jeden Młodych na południe, prawie każdego, kto był dostatecznie wyszkolony, by móc opuścić Tar Valon; teraz mniej niż dwustu czekało na swoich wierzchowcach w kotlinie. Zanim przy Studniach Dumai doszło do klęski, był pewien, że kroi się spisek, w wyniku którego on wraz z Młodymi mieli polec i nigdy nie wrócić do Białej Wieży. Nie wiedział ani co stało za tym spiskiem, ani też czy jego autorką jest Elaida albo Galina, ale powiódł się nie najgorzej, choć niedokładnie tak, jak sobie ktoś zamierzył. Trudno więc było się dziwić, że wolałby dalej podążać bez Aes Sedai, gdyby miał taki wybór.

Zatrzymał się obok wysokiego, siwego wałacha, na którym siedział młody jeździec. Młody, jak wszyscy Młodzi -wielu z nich goliło się raz na trzy dni, a niektórzy nawet i to udawali - ale Jisao przypinał do kołnierza srebrną wieżę, która wyróżniała go jako weterana walk, podczas których obalono Siuan Sanche, i krył pod ubraniem blizny od utarczek, w których brał udział od tego czasu. Był jednym z tych, którzy

mogli przejechać brzytwą po twarzy prawie każdego ranka; jego ciemne oczy należały do mężczyzny o trzydzieści lat starszego.

“Ciekawe, jak wyglądają moje oczy” - zastanowił się Gawyn.

- Jisao, tam jest siostra, którą trzeba...

Aielowie, ze stu, którzy właśnie wybiegli na niskie wzniesienie na zachodzie, na moment zboczyli z trasy, zaskoczeni widokiem Młodych, ale ani zaskoczenie, ani fakt, że Młodzi górowali nad nimi liczebnie, nie kazały im się cofnąć. W mgnieniu oka zasłonili twarze i popędzili w dół zbocza, rzucając się z włóczniami zarówno na konie, jak i na jeźdźców, połączeni w pary. Tym razem jednak już się tak bardzo nie liczyło, czy Aielowie potrafią walczyć z ludźmi na koniach, bo ostatnimi czasy Młodzi przeszli trudną lekcję walki z Aielami, i ci, którym nauka szła opornie, nie utrzymali się długo w ich szeregach. Niektórzy trzymali w dłoniach zgrabne lance ze stalowymi grotami długości półtorej stopy oraz bocznymi ostrzami, dzięki którym drzewce nie mogło zatopić się zbyt głęboko w ciele, a poza tym wszyscy potrafili posługiwać się mieczami równie dobrze jak inni żołnierze, oprócz mistrzów miecza. Walczyli parami albo trójkami, jeden strzegł pleców drugiego, i zmuszali swe wierzchowce do ciągłego ruchu, dzięki czemu Aielowie nie mogli przecinać im ścięgien w nogach. Jedynie najszybszym Aielom udawało się przebić do wnętrz tych kręgów połyskującej stali. Już same konie wyszkolone do walki stanowiły broń, bo rozbijały czaszki kopytami albo chwytały ludzi zębami i potrząsały nimi niczym psy szczurami, rozdzierając przy tym ich twarze. Konie rżały przeraźliwie podczas walki, a mężczyźni postękiwali z wysiłku, pokrzykiwali w ferworze, który zawsze ogarnia uczestników bitwy, w ferworze, który im mówił, że żyją i że będą żyli nadal, że uda im się zobaczyć następny wschód słońca, choćby musieli brodzić po pas we krwi. Krzyczeli, kiedy zabijali,

krzyczeli, kiedy umierali; jakby między jednym a drugim nie było żadnej różnicy.

Gawyn nie miał czasu na przyglądanie się albo przysłuchiwanie. Jako jedyny Młody, który nie dosiadał konia, przyciągał uwagę. Trzy sylwetki ubrane w cadin'sor przemykały się między jeźdźcami, rzucając się na niego z już wzniesionymi włóczniami. Być może uważali, że w sytuacji, gdy na jednego przypada trzech, będzie dla nich łatwą zdobyczą. Oszukał ich. Gładko wysunął miecz z pochwy i równie gładko, płynnymi ruchami przeszedł od Pikującego Sokoła przez Pnącze Oplata Dąb do Księżyc Wschodzi nad Jeziorami. Trzykrotnie poczuł wstrząs w nadgarstkach, kiedy ostrze napotkało ciało i tak oto prędko powalił na ziemię trzech Aielów z osłoniętymi twarzami; dwaj drgali jeszcze nieznacznie, ale nie brali już udziału w walce, podobnie jak ten trzeci. Inaczej jednak było z następnym, który miał się z nim zmierzyć. Szczupły mężczyzna, który przewyższał Gawyna o głowę, poruszał się jak wąż; jego włócznia rzucała błyski, a tarcza umykała i odskakiwała ukośnie, żeby odpierać pchnięcia miecza z siłą, którą Gawyn czuł we własnych barkach. Taniec Głuszca przeszedł w Zwijanie Powietrza, a potem w Dwórkę Postukującą Wachlarzem, i Aiel odpowiedział na każde cięciem przez żebra, Gawyn zaś przyjął cięcie przez udo; tylko błyskawiczny obrót ochronił je przed przebiciem na wylot.

Okrążali się wzajem, niepomni, co dzieje się wokół nich. Gawynowi ciekł po nodze strumień gorącej krwi. Aiel uchylił się, w nadziei, że pozbawi go równowagi, znowu zrobił unik; Gawyn przechodził od formy do formy, unosząc miecz to w górę, to opuszczając go w dół, w nadziei, że jedno z tych półpchnięć jego przeciwnika będzie tym razem bodaj odrobinę za długie. W końcu przypadek przesądził sprawę. Aiel potknął się nagle i Gawyn wbił mu miecz w serce, zanim w ogóle zauważył konia, z którym tamten się zderzył.

Kiedyś poczułby żal; wychowano go w wierze, że jeśli dwaj mężczyźni muszą walczyć, to taki pojedynek powinien się odbyć honorowo i czysto. Ponad sześć miesięcy bitew i potyczek dało mu nauczkę. Postawił nogę na piersi Aiela i wyswobodził ostrze. Nie elegancko, za to szybko; opieszałość podczas bitwy często kończyła się śmiercią. Gdy uwolnił miecz, okazało się, że już nie musi się śpieszyć. Na ziemi leżeli uczestnicy walki, i Młodzi, i Aielowie, jedni pojękiwali, inni spoczywali bez ruchu; pozostali Aielowie uciekali na wschód, ścigani przez dwa tuziny Młodych, w tym również takich, którzy powinni mieć więcej oleju w głowie.

- Stójcie! - krzyknął. Jeśli rozdzielą się przez tych idiotów, Aielowie porąbią ich na karmę dla psów. - Żadnej pogoni! Stójcie, powiedziałem! Stójcie, a żebyście sczeźli!

-Młodzi z niechęcią ściągnęli wodze.

Jisao zawrócił swojego wierzchowca.

- Oni chcieli utorować sobie przez nas drogę, mój lordzie. - Jego miecz ociekał czerwienią do połowy długości.

Gawyn złapał wodze swojego gniadosza i wskoczył na siodło, nie marnując czasu na czyszczenie ostrza albo chowanie go do pochwy. Nie było czasu na sprawdzanie, kto poległ, a kto przeżył.

- Zapomnij o nich. Ta siostra tam na nas czeka. Hal, zatrzymaj swoją połowę oddziału, żeby opatrzyli rannych. I miej oko na tych Aielów; fakt, że umierają, wcale jeszcze nie oznacza, że się poddali. Reszta za mną! - Hal zasalutował mu mieczem, ale Gawyn już spinał konia ostrogami.

Potyczka nie trwała długo, a mimo to zbyt się przeciągnęła. Kiedy Gawyn dotarł do szczytu wzgórza, zobaczył jedynie martwego konia i opróżnione sakwy. Obejrzał okolicę przez szkło powiększające, ale nie znalazł ani śladu siostry. Poruszał

się jedynie niesiony przez wiatr kurz i suknia leżąca na ziemi obok konia, powiewająca w porywach wiatru. Ta kobieta musiała biec, skoro tak szybko zniknęła z zasięgu wzroku.

- Nawet biegnąc, nie mogła się oddalić zbyt daleko - orzekł Nisao. -Znajdziemy ją, jeśli rozstawimy się w wachlarz.

- Zaczniemy szukać, kiedy opatrzymy rannych - od parł stanowczo Gawyn. Nie zamierzał rozdzielać swoich ludzi w okolicy, po której włóczą się Aielowie. Jeszcze tylko kilka godzin do zmierzchu, a on chciał do tego czasu rozbić dobrze strzeżony obóz. Ale byłoby doskonale, gdyby udało mu się znaleźć kilka sióstr; ktoś będzie musiał opowiedzieć Elaidzie o tej katastrofie i wolałby, żeby to na Aes Sedai spadł jej gniew, nie na niego.

Z westchnieniem zawrócił gniadosza i zjechał w dół, by sprawdzić, jaki tym razem utarg miał rzeźnik. To była jego pierwsza prawdziwa żołnierska lekcja. Zawsze trzeba zapłacić rzeźnikowi. Miał przeczucie, że już niebawem rachunki zaczną rosnąć. A świat zapomni o Studniach Dumai przez to, co nadejdzie.

ROZDZIAŁ 1

WYSOKIE CHASALINE

Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą. Legenda staje się mitem, a potem nawet mit jest już dawno zapomniany, kiedy znowu nadchodzi Wiek, który go zrodził. W jednym z Wieków, zwanym przez niektórych Trzecim Wiekiem, Wiekiem, który dopiero nadejdzie, Wiekiem dawno już minionym, w wielkim lesie, zwanym Lasem Braem, zerwał się wiatr. Wiatr ten nie był prawdziwym początkiem. Nie istnieją ani początki, ani zakończenia w obrotach Koła Czasu. Niemniej był to jakiś początek.

Wiał na północny wschód, pod palącym słońcem, które wspinało się coraz wyżej po bezchmurnym niebie, na północny wschód, pomiędzy zasuszonymi drzewami z brązowymi liśćmi i nagimi konarami, przez rozproszone wioski, w których powietrze aż lśniło od żaru. Wiał, nie przynosząc ulgi ani śladu deszczu, a tym bardziej śniegu:

Wiał na północny wschód, mijając starożytny łuk z misternie obrobionego kamienia, o którym jedni twierdzili, że to dawna brama wjazdowa do wielkiego miasta, a inni, że to pomnik postawiony na pamiątkę jakiejś zapomnianej bitwy. Jedynie zwietrzałe, zniekształcone resztki rzeźbień pozostały na tych masywnych kamieniach, mgliście przypominając utraconą chwałę Coremandy z opowieści. Nieopodal łuku, w zasięgu wzroku, po Trakcie Tar Valon toczyły się mozolnie wozy i szli ludzie, którzy zasłaniali oczy przed tumanami kurzu unoszącego się spod końskich kopyt i kół wozów, a także nawiewanego przez wiatr. Większość nie miała pojęcia, dokąd zdąża; wiedzieli tyle tylko, że świat stanął na głowie, że cały porządek kończy się już tam, gdzie dotąd jeszcze nie zanikł z kretesem. Jednych do przodu gnał strach, innych pociągało coś, czego ani nie widzieli, ani nie rozumieli, ale i wśród tych większość się bała.

A tymczasem wiatr wędrował dalej, ponad szarozielonymi wodami Erinin, kolebiąc statkami, które wciąż jeszcze dowoziły towary na północ i południe, bo nawet w takich czasach handel musiał istnieć, a poza tym nikt nie mógł być pewien, gdzie się handluje najbezpieczniej. Na wschód od rzeki lasy zaczynały rzednąć, ustępując miejsca niskim, łagodnym wzgórzom porośniętym zbrązowiałą, zeschłą na wiór trawą, i z rzadka nakrapianym niewielkimi grupkami drzew. Na szczycie jednego z takich wzgórz stał krąg utworzony z wozów; płótno ich bud, rozpięte normalnie na żelaznych pałąkach, albo zetlało, albo spaliło się do cna. Na prowizorycznej tyce, wykonanej z pnia uschłego drzewka, którą przywiązano do nagiej obręczy wozu, powiewał szkarłatny sztandar z czarno-białym dyskiem w samym środku. Sztandar Światłości, tak go nazywali niektórzy, albo sztandar al'Thora. Inni opatrywali go bardziej ponurymi nazwami i dygotali, kiedy rozmawiali o nim szeptem. Wiatr potrząsnął silnie sztandarem i szybko poleciał dalej, jakby zadowolony, że się oddala. Perrin Aybara siedział na ziemi, wsparty barczystymi plecami o koło jednego z wozów, żałując, że wiatr osłabł. Na chwilę zrobiło się chłodniej. A poza tym wiatr z południa wywiał z jego nozdrzy woń śmierci, woń, która mu przypominała o tym miejscu, w którym powinien się teraz znajdować, o tym ostatnim miejscu, w którym chciałby się znaleźć. Tutaj, we wnętrzu kręgu z wozów, usadowiony plecami ku północy, gdzie do jakiegoś stopnia mógł zapomnieć, było o wiele lepiej. Ocalałe wozy zostały wciągnięte na szczyt wzgórza poprzedniego dnia, po południu, kiedy mężczyźni znaleźli w sobie dość sił, by robić coś więcej, niż tylko myśleć, że dzięki Światłości ciągle jeszcze oddychają. A teraz znowu wzeszło słońce i razem z nim wrócił upał.

Zirytowany podrapał się po krótkiej, kędzierzawej brodzie; im więcej się pocił,

tym bardziej swędziała. Pot ściekał z twarzy wszystkich mężczyzn, których widział, wyjąwszy Aielów, a źródło wody było stąd oddalone o dobrą milę na północ. Podobnie jak koszmar i ta woń. Większość uważała, że to uczciwa wymiana. Powinien był dopełnić swych obowiązków, a jednak nawet poczucie winy nie mogło ruszyć go z miejsca. Był to Dzień Wysokiego Chasaline i w domu, w Dwu Rzekach, oznaczałoby to ucztowanie przez cały dzień i tańcowanie przez całą noc; Dzień Refleksji, kiedy to należało przypominać sobie wszystkie dobre rzeczy, jakich doświadczyło się w życiu, i każdemu, kto się skarżył, wylewano wiadro wody na głowę, żeby zmyć z niego pecha. Było to raczej nieprzyjemne, kiedy panowały chłody, jak przystało na tę porę roku; teraz takie wiadro wody witałoby się z radością. Niemniej jednak, jak na człowieka, który miał szczęście i przeżył, Perrinowi było niezwykle trudno rozmyślać o czymś dobrym. Poprzedniego dnia nauczył się wielu rzeczy o sobie samym. A może tego ranka, kiedy już było po wszystkim.

Nadal wyczuwał obecność kilku wilków, garstki tych, które przeżyły i wędrowały teraz dokądś, z dala od tego miejsca, z dala od ludzi. Wilki nadal stanowiły przedmiot większości rozmów w obozie, nerwowych spekulacji o tym, skąd i dlaczego się tu wzięły. Byli tacy, którzy uważali, że to Rand je przywołał, ale większość żywiła przekonanie, że zrobiły to Aes Sedai. Same Aes Sedai z kolei nie mówiły, co myślą. Wilki nikogo nie winiły - stało się to, co się stało -ale on nie potrafił podzielić ich fatalizmu. Przybyły tu, bo to on je wezwał. Przez swoje potężne barki zdawał się niższy, niż był w rzeczywistości, kiedy tak siedział, przytłoczony brzemieniem odpowiedzialności. Co jakiś czas słyszał inne wilki, te, które nie przybyły, mówiące z pogardą o tych, które się stawiły na jego apel: oto, co przychodzi z mieszania się do spraw ludzi. Nic można się spodziewać niczego innego.

Musiał włożyć sporo wysiłku w trzymanie się własnych myśli. Chciało mu się wyć, że tamte mają rację. Pragnął wrócić do domu, do Dwu Rzek. Małe szanse, może już nigdy nie wróci. Pragnął być ze swoją żoną, obojętnie gdzie, i żeby wszystko było tak jak dawniej. Szanse na to zdawały się odrobinę większe, a może jeszcze mniejsze. Daleko bardziej niźli tęsknota za domem zżerała go troska o Faile, podobna do fretki usiłującej wykopać sobie jamę w jego brzuchu. Faile sprawiała wrażenie autentycznie zadowolonej, że on wyjeżdża z Cairhien. Co ma z nią zrobić? Żadnymi słowami nie potrafiłby opisać, jak bardzo kocha swoją żonę i jak bardzo jej potrzebuje, ale ona była zazdrosna bez powodu, urażona z powodu czegoś, czego nie zrobił, zła, kiedy nie rozumiał dlaczego. Musiał coś uczynić, ale co? Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Jedyne, co mógł, to dobrze wszystko przemyśleć, ale Faile błyskała w jego myślach niczym żywe srebro.

- Ci Aielowie powinni się w coś przyodziać - mruknął wyniośle Aram, wpatrzony ponuro w ziemię. Przykucnął nieopodal, cierpliwie trzymając wodze długonogiego, szarego wałacha; rzadko kiedy oddalał się od Perrina. Miecz, który miał przypasany do pleców, kontrastował z kaftanem Druciarza w zielone paski, rozpiętym z powodu gorąca. Skręcona chustka zawiązana wokół czoła chroniła oczy przed strugami potu. Kiedyś Perrin uważał, że tamten jest zbyt przystojny jak na mężczyznę. Ostatnimi czasy Aram stał się posępny i apatyczny, a na jego twarzy najczęściej malował się pogardliwy grymas. - To nie uchodzi, lordzie Perrinie.

Perrin z niechęcią oderwał się od myśli o Faile. Z czasem jakoś to rozpracuje. Musiał. Jakoś.

- To ich obyczaj, Aram.

Aram zrobił taką minę, jakby chciał splunąć.

- W takim razie to nie jest przyzwoity obyczaj. Podejrzewam, że dzięki temu właśnie można ich upilnować, bo przecież nikt w takim stanie nie uciekłby daleko ani też nie stwarzałby kłopotów, ale to naprawdę nie uchodzi.

Rzecz jasna, otaczało ich bardzo wielu Aielów. Wysocy, dumni mężczyźni w odzieniu utrzymanym w barwach szarości, brązów i zieleni urozmaiconym jedynie szkarłatną opaską, którą obwiązywali skronie, z czarno-białym dyskiem na czole. Siswai'aman, tak siebie nazywali. Czasami to słowo łaskotało skraj jego pamięci, jakby z jakiegoś powodu powinien był je znać. Gdy jednak pytał o nie Aielów, ci robili taką minę, jakby paplał jakieś bzdury, opaski zaś całkiem ignorowali. Panny Włóczni nie nosiły ich wcale. Czy to siwowłosa, czy wyglądająca na tak młodą, jakby dopiero co opuściła matkę, wszystkie Far Dareis Mai paradowały po obozowisku, obrzucając siswai'aman wyzywającymi spojrzeniami, jakby pełnymi satysfakcji. Mężczyźni patrzyli na nie obojętnym wzrokiem, ale niemalże pachnieli głodem, świadczącym o tym, że czegoś tamtym zazdroszczą, a Perrin nawet nie umiał sobie wyobrazić, co by to mogło być. W tym akurat nie było jednak niczego nowego i raczej się nie spodziewał, że mogłoby między nimi dojść do wymiany ciosów. We wnętrzu kręgu utworzonego przez wozy przebywało też kilka Mądrych, w baniastych spódnicach i białych bluzkach, które mimo upału otulały się w ciemne szale i nakładały połyskliwe bransolety i naszyjniki ze złota i kości słoniowej, kompensujące prostotę odzienia. Jedne były rozbawione zachowaniem Panien i siswai'aman, a inne rozdrażnione. Wszyscy zaś - Mądre, Panny i siswai'aman - traktowali Shaido w taki sam sposób, w jaki Perrin traktowałby stołek albo dywanik.

Poprzedniego dnia Aielowie pojmali do niewoli około dwustu Shaido, i mężczyzn, i Panny - niewielu, zważywszy na to, ilu ich wzięło udział w bitwie - i jeńcy

poruszali się samopas po obozowisku. Do pewnego stopnia. Perrin czułby się znacznie swobodniej, gdyby ich strzeżono. Albo gdyby przynajmniej byli ubrani. A tymczasem oni przynosili wodę i biegali nadzy jak w dniu narodzin. W stosunku do innych Aielów zachowywali się potulnie jak myszy. Pozostałych zaś, tych, którym wpadli w oko, traktowali butnie i wyniośle. Perrin nie był jedynym, który starał się ich nie zauważać, a Aram nie był jedynym, który mruczał coś do siebie. Zresztą wielu mężczyzn z Dwu Rzek w obozie robiło albo jedno, albo drugie. Niejeden Cairhienianin omal nie dostawał apopleksji za każdym razem, gdy widział któregoś Shaido. Mayenianie tylko kręcili głowami, jakby to wszystko było jakimś dowcipem. I wybałuszali oczy na widok kobiet. Ci Mayenianie mieli równie mało wstydu jak Aielowie.

- Gaul mi to wyjaśnił, Aram. Wiesz, kim są gai'shain, prawda? Wiesz o ji'e'toh, o odsługiwaniu jednego roku i jednego dnia i tak dalej? - Drugi mężczyzna przytaknął, co stanowiło dobry znak. Perrin sam niewiele wiedział. Wyjaśnienia Gaula dotyczące obyczajów Aielów często powodowały jeszcze większy zamęt w jego głowie. Gaul zawsze uważał, że to się rozumie samo przez się. - No cóż, gai'shain nie wolno nosić niczego, co mogą nosić algai'd'siswai, czyli "walczący na włócznie" - dodał, widząc pytający grymas na twarzy Arama. Nagle do niego dotarło, że patrzy wprost na jedną z Shaido, która biegła v jego kierunku, wysoką, młodą kobietę, która byłaby piękna, gdyby nie długa, cienka blizna biegnąca przez policzek i parę innych na całym ciele. Bardzo piękną i zupełnie nagą. Chrząknął głośno i oderwał wzrok. Czuł, jak pała mu twarz. - W każdym razie, dlatego właśnie... są tacy. Gai'shain noszą białe szaty, a tutaj nie mają żadnych. To ich obyczaj.

"Ażeby ten Gaul sczezł i razem z nim te jego wyjaśnienia - pomyślał. - Przecież

mogliby ich okryć byle czym!”

- Perrinie Złotooki - usłyszał kobiecy głos. - Przysyła mnie Carahuin z pytaniem, czy nie życzysz sobie wody. -Twarz Arama spurpurowiała, odwrócił się gwałtownie, pokazując jej plecy.

- Nie, dziękuję. - Perrin nie musiał zadzierać głowy, by wiedzieć, że to ta złotowłosa Shaido. Nadal jednak patrzył w innym kierunku, w jakiś nie istniejący punkt. Aielowie mieli osobliwe poczucie humoru, a Panny Włóczni - Carahuin była Panną - najbardziej osobliwe. Szybko zauważyły, w jaki sposób mieszkańcy mokradeł reagują na Shaido, musiałyby być ślepe, żeby tego nie zauważyć, i od tego momentu zaczęły przysyłać gai’shain do mieszkańców mokradeł, do wszystkich po kolei.

Aielowie tarzali się ze śmiechu na widok tych rumieńców, jąkania, a nawet okrzyków. Nie miał wątpliwości, że Carahuin i jej przyjaciółki patrzą teraz na nich. Był to co najmniej dziesiąty raz, kiedy przysłano do niego jedną z kobiet gai’shain z pytaniem, czy chce wody, zapasowej osełki albo innej tego typu idiotycznej rzeczy.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Mayenian rzadko nękano w ten sposób.

Garstka Cairhienian najwyraźniej uwielbiała patrzeć, może nie tak otwarcie jak Mayenianie, a oprócz nich niektórzy spośród starszych mężczyzn z Dwu Rzek, którzy powinni mieć więcej oleju w głowach. A jednak do nich się nie zwracano z takimi podstępnymi przesłaniami, na ile się orientował. Ci natomiast, którzy reagowali najgwałtowniej... Ci Cairhienianie, którzy krzyczeli najgłośniej na temat braku przyzwoitości, oraz dwóch albo trzech spośród mężczyzn z Dwu Rzek, którzy jąkali się i czerwienili tak mocno, że wyglądali na gotowych się roztopić, byli tak molestowani, że w końcu schronili się w wozach...

Perrin zmusił się, by spojrzeć na twarz gai’shain. By spojrzeć jej w oczy.

“Skup się na oczach” - powtarzał sobie nerwowo.

Były zielone, ogromne i bynajmniej nie potulne. Pachniała najczystszą furią.

- Podziękuj Carahuin w moim imieniu i przekaż jej, że będzie ci wolno naoliwić moje zapasowe siodło, jeżeli ona nie ma nic przeciwko temu. I brak mi też czystej koszuli. Czy nie miałaby nic przeciwko temu, gdybyś zrobiła mi pranie?

- Nie będzie miała - odparła kobieta zduszonym głosem, po czym odwróciła się i pobiegła przed siebie.

Perrin gwałtownie oderwał oczy, aczkolwiek ten obraz pozostał mu w głowie. Światłości, Aram miał rację! Ale jeśli mu szczęście dopisze, być może będzie to kres dalszych tego typu wizyt. Musi podpowiedzieć to Aramowi i ludziom z Dwu Rzek. Może Cairhienianie też posłuchają.

- Co my z nimi zrobimy, lordzie Perrinie? - Aram nadal odwracał wzrok, ale tym razem nie mówił o gai’shain.

- Decyzja należy do Randa - powiedział powoli Perrin, czując jak jego zadowolenie słabnie. Może to dziwne uważać ludzi spacerujących nago za drobny problem, jednak ten był z pewnością większy. I to taki, którego unikał równie usilnie jak tego, co znajdowało się na północy.

Po przeciwległej stronie kręgu wozów, na ziemi, siedziała grupa kobiet, blisko dwa tuziny. Wszystkie ubrane stosownie do podróży, wiele miało na sobie jedwabie, większość lekkie, lniane płaszcze chroniące przed kurzem, ale na żadnej z tych twarzy nie widziało się ani kropelki potu. Trzy wyglądały na bardzo młode, z pewnością zaprosiłby je do tańca w czasach, gdy jeszcze nie znał Faile.

“A w każdym razie, gdyby to nie były Aes Sedai” - pomyślał kwaśno. Kiedyś zatańczył z Aes Sedai i omal nie połknął własnego języka, kiedy do niego dotarło, z kim

tak pląsa. I tamta była przyjaciółką, jeśli takie określenie w ogóle stosowało się do Aes Sedai. - "Jak krótko taka musi być Aes Sedai, bym mógł jej jeszcze przypisać określony wiek?" Te tutaj, rzecz jasna, miały twarze pozbawione piętna upływu lat. Wyglądały na dwudziestoletnie, może na czterdziestoletnie; to się zmieniało między jednym a drugim spojrzeniem i nigdy nie zyskiwało się pewności. I tyle tylko dawało się wywnioskować z ich twarzy, aczkolwiek kilka miało odrobinę siwizny we włosach. Po prostu w przypadku Aes Sedai nigdy nic nie wiadomo. Niezależnie o co chodziło.

- Przynajmniej te nie są już groźne - stwierdził Aram, gwałtownie odwracając głowę w stronę trzech sióstr siedzących w pewnym oddaleniu od pozostałych. Jedna płakała z twarzą ukrytą między kolanami; pozostałe dwie wpatrywały się ponuro w pustkę, przy czym jedna bezmyślnie skubała spódnicę. Od wczoraj znajdowały się w takim stanie, ale przynajmniej żadna już nie krzyczała wniebogłosy. Na ile Perrin zdołał wywnioskować, bynajmniej nie do końca przekonany, czy poprawnie, te trzy zostały ujarzmione w jakiś sposób, po tym jak Rand się wyswobodził. Już nigdy nie będą przenosiły Jedynej Mocy. Dla Aes Sedai prawdopodobnie lepsza byłaby śmierć.

Spodziewał się, że pozostałe Aes Sedai będą je pocieszać, że zaopiekują się nimi w jakiś sposób, a tymczasem większość ignorowała te trzy całkowicie, aczkolwiek odwracały wzrok jakby trochę zbyt ostentacyjnie. I skoro już o tym mowa, ujarzmione Aes Sedai też nie zwracały uwagi na pozostałe. Na samym początku przynajmniej kilka tamtych sióstr podeszło bliżej, każda z osobna, niby ze spokojem w oku, ale jednocześnie wydzielając woń wstrętu i niechęci, niemniej jednak ujarzmione nie doczekały się lekarstwa na swój ból, ani słowa czy spojrzenia. Tego ranka żadna nie podeszła bliżej.

Perrin pokręcił głową. Aes Sedai musiały wkładać mnóstwo wysiłku w ignorowanie tego, z czym nie chciały się pogodzić. Na przykład w ignorowanie mężczyzn w czarnych kaftanach, którzy stali nad nimi. Obok każdej Aes Sedai stał jeden Asha'man, nawet przy tych trzech, które zostały ujarzmione; zdawali się w ogóle nie mrugać. Aes Sedai traktowały ich jak powietrze; dla nich równie dobrze mogli nie istnieć.

A była to sztuka nie lada. On sam nie potrafił nie zwracać uwagi na Asha'manów, a przecież nie znajdował się pod ich strażą. Byli wśród nich i chłopcy z meszkiem na policzkach, i siwowłosi, łysiejący starcy, ale to nie te ich posępne kaftany z wysokimi kołnierzami czy miecze, które każdy nosił u bioder, sprawiały, że wyglądali tak groźnie. Każdy Asha'man potrafił przenosić, a poza tym znali jakiś sposób na to, by udaremnić przenoszenie Aes Sedai. Mężczyźni, którzy władali Jedyną Mocą, pomysł rodem z koszmarów nocnych. Rand też oczywiście władał Mocą, ale on był Randem i oprócz tego Smokiem Odrodzonym. Na widok tych mężczyzn Perrinowi jeżyły się włosy na głowie.

Strażnicy pojmanych Aes Sedai, ci, którzy się ostali z życiem, siedzieli w pewnej odległości, pod własną strażą. Strzegło ich około trzydziestu zbrojnych lorda Dobraine w cairhieniańskich hełmach w kształcie dzwonu i tyle samo członków mayeniańskiej Skrzydlatej Gwardii w czerwonych napierśnikach, każdy o tak ostrym spojrzeniu, jakby pilnowali lampartów. Właściwa postawa, zważywszy na okoliczności. Strażników było więcej niż Aes Sedai; wiele z pojmanych ewidentnie należało do Zielonych Ajah. A pilnujących było więcej niż Strażników, o wiele więcej, choć być może i tak za mało.

- Niech Światłość sprawi, abyśmy więcej nie doświadczali smutku z powodu

tego towarzystwa - mruknął Perrin. Tej nocy Strażnicy dwukrotnie usiłowali się wyswobodzić. Prawdę powiedziawszy, w udaremnieniu tych eskapad mieli większy udział Asha'mani niż Cairhienianie czy Mayenianie, a nie byli oni łagodni. Żaden ze Strażników nie został zabity, ale co najmniej tuzin opatrywało teraz rany, ponieważ siostrom nie pozwolono ich Uzdrowić.

- Jeżeli Lord Smok nie potrafi podjąć decyzji - powiedział cicho Aram - to może powinien to zrobić ktoś inny. Żeby go ochronić.

Perrin spojrzał na niego z ukosa.

- Jaką decyzję? Siostry zakazały im podejmować dalszych prób, a oni posłuchają Aes Sedai. - A jednak Strażnicy, mimo połamanych kości, bezbronni, z rękoma związanymi na plecach, nadal przypominali stado wilków oczekujących na rozkaz ataku od swego przywódcy. Żaden nie odetchnie swobodnie, dopóki ich Aes Sedai nie odzyskają wolności, być może dopóki wszystkie siostry nie będą wolne. Aes Sedai i Strażnicy; sterta mocno postarzałego drewna, gotowego buchnąć płomieniem. A jednak nie okazali się równymi przeciwnikami dla Asha'manów.

- Nie mówiłem o Strażnikach. - Aram zawahał się, po czym przysunął bliżej do Perrina i jeszcze bardziej zniżył głos, do chrapliwego szeptu. - Te Aes Sedai porwały Lorda Smoka. On już nie może im zaufać, już nigdy, ale również nie zrobi tego, co musi zrobić. Gdyby one umarły, zanim on się o tym dowie...

- Co ty wygadujesz? - Perrin gwałtownie się wyprostował, omal się przy tym nie dławiąc. Nie po raz pierwszy zastanowił się, czy w tym człowieku zostało jeszcze cośkolwiek z Druciarza. - One są bezbronne, Aram! To bezbronne kobiety!

- To są Aes Sedai. - Ciemne oczy z całkowitą obojętnością wytrzymały spojrzenie złotych oczu Perrina. - Nie należy im ufać i nie wolno ich puścić wolno. Jak

długo można więzić Aes Sedai wbrew ich woli? Robiły to, co robią, o wiele dłużej niż Asha'mani. Na pewno posiadają więcej wiedzy. One zagrażają Lordowi Smokowi, a także tobie, lordzie Perrinie. Widziałem, jak na ciebie patrzą.

Po przeciwnej stronie kręgu siostry szeptały o czymś, mówiąc sobie bezpośrednio do ucha, przez co nawet Perrin nic nie słyszał. Co jakiś czas któraś popatrywała na niego i Arama. Pochwycił jednak kilka nazwisk. Nesune Bihara. Erian Boroleos i Katerine Alruddin. Coiren Saeldain, Sarene Nemdahl i Elza Penfell. Janine Pavlara, Beldeine Nyram, Marith Riven. Te ostatnie były młodymi siostrami, ale czy młode, czy bezwiekowe, obserwowały go z twarzami tak spokojnymi, że zdawało się, iż to one wiodą tu prym, niezależnie od obecności Asha'manów. Pokonanie Aes Sedai nie było rzeczą łatwą, zmuszenie ich, by się przyznały do porażki, graniczyło z cudem.

Z wysiłkiem rozplótł dłonie i ułożył je na kolanach, udając spokój, do którego było mu bardzo daleko. Wiedziały, że on jest ta'veren, jednym z tych nielicznych, wokół których kształtował się na jakiś czas Wzór. A co gorsza, wiedziały też, że jest związany z Randem w sposób, którego nikt nie rozumiał, a już najmniej on sam albo Rand. Albo Mat; Mat też był elementem tej plątaniny, jeszcze jednym ta'veren, aczkolwiek żaden z nich nie dorównywał siłą Randowi. Gdyby im dał bodaj połowę szansy, te kobiety uwiozłyby jego - i Mata -do Wieży z równą ochotą, z jaką pojmałyby Randa. I trzymałyby ich tam spętanych jak kozy do czasu, aż nie pojawi się lew. Przecież porwały i maltretowały Randa. Aram miał rację co do jednej rzeczy - nie można było im ufać. Ale to żadną miarą nie usprawiedliwiałoby tego, co proponował! Perrina mdliło na samą myśl.

- Nie będę tego dłużej wysłuchiwał - warknął. Niegdysiejszy Druciarz otwarł usta, ale Perrin przerwał mu. - Ani słowa, Aram, słyszysz mnie? Ani jednego słowa!

- Jak lord Perrin rozkaże - mruknął Aram, pochylając głowę.

Perrin żałował że nie widzi twarzy tamtego. Jego zapach nie zawierał ani gniewu, ani oburzenia. I to było w tym wszystkim najgorsze. Aram nie pachniał gniewem nawet wtedy, kiedy proponował morderstwo.

Dwóch mężczyzn z Dwu Rzek wspięło się na koła sąsiedniego wozu, wystawili głowy ponad jego dnem i powiedli wzrokiem w dół zbocza i po wzgórzach położonych na północy. Obaj mieli do lewego biodra przypasane kołczany pełne strzał, a do prawych - mocne noże o długich ostrzach, stanowiące niemal odpowiedniki krótkich mieczy. Za Perrinem przybyły tutaj z Dwu Rzek dobre trzy setki ludzi. Przeklął tego pierwszego, który nazwał go lordem Perrinem, przeklął dzień, w którym zaniechał prób tłumienia tego obyczaju. Mimo gwaru i zgiełku, które zazwyczaj wypełniały obozowisko tej wielkości, nie miał kłopotu z usłyszeniem tego, o czym tamci dwaj rozmawiają.

Tod al'Caar, o rok młodszy od Perrina, złapał długi oddech, jakby zobaczył to, co znajdowało się w dole zbocza po raz pierwszy. Perrin słyszał niemalże ruchy wielkiej, podobnej do latarni szczęki chudego mężczyzny. Matka udzieliła Todowi zgody na wyjazd, bo jej zdaniem przyłączenie się do Złotookiego Perrina przynosiło mu wielki zaszczyt.

- Wielkie zwycięstwo - stwierdził na koniec Tod. - Odnieśliśmy właśnie wielkie zwycięstwo. Nie tak jest, Jondyn?

Szpakowaty Jondyn Barran, sękaty niczym korzeń dębu, zaliczał się do nielicznych starszych mężczyzn pośród wszystkich trzystu. Lepiej strzelał z łuku niźli ktokolwiek w Dwu Rzekach z wyjątkiem pana al'Thora i był najlepszym myśliwym, a jednak należał do najmniej poważanych mieszkańców Dwu Rzek. Jondyn nie

przepracował ani dnia dłużej, niż musiał, kiedy już dostatecznie dorósł, by móc opuścić farmę swego ojca. Obchodziły go tylko lasy i polowania, a także picie w nadmiarze podczas świąt. Teraz splunął głośno.

- Skoro tak mówisz, chłopcze. A zresztą to ci przeklęci Asha'mani wygrali. I niech im tam, powiadam. Szkoda tylko, że nie mogą sobie tego zwycięstwa zabrać i iść świętować go gdzieś indziej.

- Wcale nie są tacy źli - zaprotestował Tod. - Ja tam bym nie miał nic przeciwko, żeby być jednym z nich. - Zabrzmiało to bardziej jak przechwałka i łgarstwo niż prawda. Tak też zapachniało; Perrin nie patrząc, był pewien, że tamten oblizuje wargi. Najpewniej matka Toda wykorzystywała opowieści o mężczyznach, którzy potrafią przenosić, do straszenia go, jeszcze nie tak wiele lat temu. - Naprawdę Rand... to jest, Lord Smok, to nadal brzmi dziwnie, nieprawdaż, Rand al'Thor Smokiem Odrodzonym i w ogóle? - Tod roześmiał się urywanym, nerwowym śmiechem. - Cóż, on potrafi przenosić i to się nie wydaje takie... on nie... to znaczy ja... - Głośno przełknął ślinę. - I w ogóle co byśmy zrobili z tymi Aes Sedai, gdyby nie oni? - To ostatnie wyszeptał; wyraźnie powiało od niego strachem. - Jondyn, co my zrobimy? Z tymi pojmanymi Aes Sedai, chciałem zapytać?

Starszy mężczyzna znowu splunął, jeszcze głośniej niż przedtem. Nie chciało mu się też zniżać głosu. Jondyn zawsze mówił to, co myślał, nie zważając na to, kto go słucha; to też stanowiło przyczynę jego złej reputacji.

- Lepiej by dla nas było, gdyby one wszystkie wczoraj zginęły, chłopcze. Zapłacimy za to, zanim cała rzecz się skończy. Wspomnisz moje słowa: słono zapłacimy.

Perrin odseparował się od innych dźwięków, co dla jego uszu nie było łatwym

zadaniem. Najpierw Aram, a teraz Jondyn i Tod, mimo iż ci nie mówili o tym tak bezpośrednio.

"A żeby ten Jondyn sczezł!" - Nie, przy tym człowieku Mat mógłby uchodzić za wzór cnót, ale skoro ten o tym mówił, to w takim razie inni tak myśleli. Żaden mężczyzna z Dwu Rzek nie skrzywdziłby z rozmysłem kobiety, ale kto jeszcze pragnął śmierci Aes Sedai wziętych do niewoli? I kto mógłby próbować zamienić to życzenie w czyn?

Niespokojnie ogarnął wzrokiem krąg wozów. Myśl, że być może będzie musiał chronić Aes Sedai, nie była miła, ale nie odegnał jej. Niespecjalnie przepadał za Aes Sedai, a już najmniej za tymi tutaj, ale wychowano go w milczącym przekonaniu, że mężczyzna powinien iść na każde ryzyko, żeby tylko ochronić kobietę w takim stopniu, w jakim ona na to pozwoli; i w najmniejszej mierze nie było istotne, czy ją lubił albo w ogóle znał. Prawda, taka Aes Sedai potrafiła zawiązać wybranego mężczyznę na dziewięć różnych supłów, jednak odcięta od Mocy stawała się taka sama jak inni ludzie. Dlatego właśnie tak się wewnętrznie zmagał za każdym razem, kiedy na nie spojrzał. Dwa tuziny Aes Sedai. Dwa tuziny kobiet, które zapewne umiały obronić się bez Mocy.

Przez chwilę przypatrywał się pilnującym je Asha'manom; wszyscy bez wyjątku mieli na twarzach maski przywodzące na myśl śmierć. Wyjąwszy tych trzech, którzy strzegli ujarzmionych kobiet. Starali się wyglądać na równie posępnych i mrocznych jak pozostali, ale pod tym kryło się coś jeszcze innego. Być może satysfakcja. Gdyby tylko znajdował się dostatecznie blisko, by poczuć ich zapach. Każda Aes Sedai stanowiła zagrożenie dla Asha'manów. I być może było również na odwrót. Może oni je tylko ujarzmią. Na podstawie tych skąpych informacji, które

udało mu się posłyszeć, ujarzmienie równało się zabiciu, po którym trzeba odczekać kilka lat, zanim trup upadnie.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, stwierdził niechętnie, że musi zostawić Asha'manów Randowi. Rozmawiali wyłącznie między sobą i z więźniami, toteż Perrin wątpił, by posłuchali kogokolwiek jeszcze oprócz Randa. Pytanie tylko brzmiało, co powie Rand? I co on zrobi, jeśli ten powie coś niewłaściwego?

Odsunąwszy ten problem na bok, podrapał się po brodzie jednym palcem. Cairhienianie zbyt nerwowo reagowali na Aes Sedai, by wpaść na pomysł zrobienia im krzywdy, a dla odmiany Mayenianie darzyli je nadmiernym szacunkiem, ale i tak będzie miał na nich oko. Kto by pomyślał, że Jondyn posunie się tak daleko? Perrin miał niejakie wpływy wśród Cairhienian albo Mayenian, ale one z pewnością przestaną mieć znaczenie, jeżeli coś raz przyjdzie im do głowy. Naprawdę był tylko zwykłym kowalem. A zatem pozostawali wyłącznie Aielowie. Perrin westchnął. Nie do końca zdawał sobie sprawę, jakie wpływy pośród Aielów miał nawet sam Rand.

Z trudem rozróżniał zapachy, kiedy otaczało go aż tylu ludzi, ale przywykł orzekać tyleż samo po zapachach jak na podstawie tego, co mówiły mu oczy. Siswai'aman, którzy podchodzili dostatecznie blisko, wydzielali spójną i silną woń spokoju przemieszanego z czujnością. Zdawali się prawie w ogóle nie zauważać Aes Sedai. Kolczaste wonie bijące od Panien wyrażały przytłumioną furię, Mądre zaś... Wszystkie te Mądre, które przybyły tu z Cairhien, były zdolne do przenoszenia, aczkolwiek żadna nie miała twarzy pozbawionej śladów upływu lat. Przypuszczał, że to dlatego, że zbyt rzadko korzystały z Jedynej. Mocy. A jednak zarówno te gładkolice jak Edarra, jak i te obdarzone skórzastymi twarzami jak siwowłosa Sorilea, demonstrowały opanowanie, którym dorównywały Aes Sedai. Przeważnie pełne

gracji i wysokie jak większość Aielów, zdawały się całkiem ignorować siostry. Sorilea spojrzała na pojmane do niewoli kobiety, nie zatrzymując jednak wzroku na żadnej, pogrążona w cichej rozmowie z Edarrą i jeszcze jedną Mądrą jasnowłosą kobietą, której imienia nie znał. Gdyby tylko słyszał, o czym rozmawiają. Przeszły obok, ani na jotę nie zmieniając tych niczym nie zmąconych twarzy, ale ich zapachy to była całkiem inna sprawa. W momencie, gdy Sorilea spojrzała na Aes Sedai, wydzielana przez nią woń stała się zimna i daleka, ponura i pełna zawziętości, a tamte dwie też zaczęły pachnieć inaczej, kiedy do nich zagadała, jakby chciały się do niej dopasować.

- Niezły bigos - warknął.

- Jakiś kłopot? - spytał Aram, przysiadając na piętach, z prawą ręką gotową pomknąć do rękojeści miecza o kształcie wilczego łba, wystającej mu ponad ramieniem. Nauczył się znakomicie władać tą bronią w bardzo krótkim czasie i nigdy nie stronił od tej umiejętności.

- Nie mamy żadnych kłopotów, Aram. - Nie było to całkowite kłamstwo.

Wyrwany ze swych ponurych medytacji, Perrin popatrzył na innych jakby po raz pierwszy. Na wszystkich razem. Nie spodobało mu się to, co zobaczył, przy czym Aes Sedai stanowiły tylko jeden z elementów tego obrazu.

Cairhienianie

i

Mayenianie

obserwowali

Aielów

z

podejrzliwością,

odwzajemniając nieufność Aielów, zwłaszcza w stosunku do Cairhienian. I nie można się temu dziwić. Aielowie słynęli z tego, że nie traktowali przyjaźnie nikogo, kto urodził się po tej stronie Grzbietu Świata, a już zwłaszcza Cairhienian. Prosta prawda była taka, że Aielowie i Cairhienianie nienawidzili się wzajem tak zażarcie, jak tylko można się nienawidzić. Żadna ze stron tak naprawdę nie odłożyła swej wrogości na bok, ale aż do teraz żywił przekonanie, że będą ją trzymali na uwięzi. Jeśli nie z innych powodów, to przynajmniej dla Randa. A tymczasem w obozie zapanował pewien dziwny nastrój, napięcie, które sprawiało, że jego mieszkańcy byli nadzwyczaj podminowani. Rand odzyskał wolność i odtąd wszystkie tymczasowe sojusze stawały się takie, jakie w istocie były: tymczasowe. Aielowie ważyli w dłoniach włócznie za każdym razem, gdy spoglądali na Cairhienian, a Cairhienianie ponuro gładzili miecze. Podobnie Mayenianie; ci nie wiedli sporów z Aielami, nigdy z nimi nie walczyli, wyjąwszy czasy Wojny z Aielami, podczas której walczyli z nimi wszyscy, ale nie było żadnych wątpliwości, po czyjej stronie stanęliby w razie jakiegoś starcia. Oni i prawdopodobnie również ludzie z Dwu Rzek.

Najbardziej jednak ów ponury nastrój udzielił się Asha'manom i Mądrym. Odziani w czarne kaftany mężczyźni zwracali tyleż samo uwagi na Panny i siswai'aman, co na Cairhienian albo Mayenian względnie ludzi z Dwu Rzek, ale przypatrywali się Mądrym z minami niemal równie posępnymi jak te, które przybierali na widok Aes Sedai. Całkiem możliwe, że nie dostrzegali większej różnicy między jedną kobietą, która potrafiła władać Mocą, a inną. Każda mogła okazać się wrogiem i niebezpiecznym przeciwnikiem; trzynaście razem stanowiło śmiertelne niebezpieczeństwo, a wszak w obozowisku, względnie w jego okolicy, znajdowało się

więcej niż dziewięćdziesiąt Mądrych. Mniej niż połowa wszystkich Asha'manów, ale nadal dość, by im zaszkodzić, gdyby tak postanowiły. Kobiety, które potrafiły przenosić, a mimo to zdawały się podążać za Randem; zdawały się podążać za Randem, a mimo to były kobietami, które potrafiły przenosić.

Mądre popatrywały na Asha'manów niemal równie chłodnym okiem jak na Aes Sedai. Asha'mani byli mężczyznami, którzy potrafili przenosić, ale szli za Randem; szli za Randem, ale... Rand stanowił szczególny przypadek. Według Gaula proroctwa Aielów nigdzie nie zawierały wzmianki, jakoby ten ich Car'a'carn potrafił przenosić, ale Aielowie zdawali się udawać, że ów niewygodny fakt nie istnieje. Po Asha'manach zaś nie było w proroctwach ani śladu. Dla Mądrych to musiało wyglądać tak, jakby nagle odkryły, że po ich stronie walczy stado wściekłych lwów. Jak długo pozostaną lojalne? Może już teraz należało przykrócić im cugli.

Wsparł głowę o koło wozu i siedział tak z zamkniętymi oczami, z piersią unoszącą się od cichego śmiechu pozbawionego wesołości. W dniu Wysokiego Chasaline należało myśleć o dobrych rzeczach.

"A żebym sczezł - pomyślał z goryczą - powinienem był pójść razem z Randem". Nie, najważniejsze, że się dowiedział, i że dowiedział się zawczasu. Tylko co, na Światłość, miał teraz zrobić? Jeżeli Aielowie, Cairhienianie i Mayenianie zaczną ze sobą walczyć albo, co gorsza, Asha'mani i Mądre... to była beczka pełna węży, ale musiałby wsadzić rękę do środka, żeby sprawdzić, które z nich są jadowite.

"Światłości, jakbym chciał być w domu, razem z Faile, i pracować w kuźni, gdzie nikt nie nazywałby mnie cholernym lordem".

- Twój koń, lordzie Perrinie. Nie powiedziałeś, czy chcesz Steppera czy Bieguna, więc osiodłałem... - Na widok wściekłego spojrzenia złotych oczu Perrina, Kenly

Maerin przywarł płochliwie do końskiego boku.

Perrin uspokoił go gestem ręki. To nie wina Kenly'ego. Trzeba wytrzymać to, czego się nie da naprawić.

- Spokojnie, chłopcze. Postąpiłeś jak należy. Może być Stepper. Dobrze wybrałeś. - Nie znosił przemawiać do Kenly'ego w taki sposób. Niski i krępy Kenly ledwie osiągnął wiek, by móc się ożenić albo wyjechać z domu - do tej bródki, którą usiłował sobie wyhodować wzorem Perrina, z pewnością brakowało mu lat - ale walczył z trollokami w Polu Emonda i dobrze się spisał poprzedniego dnia. Chłopiec uśmiechnął się szeroko, gdy usłyszał pochwałę z ust lorda Perrina zwanego Przeklętym Złotookim.

Perrin wstał i zabrał topór spod wozu, gdzie go ukrył, żeby przynajmniej na razie o nim nie myśleć, po czym wepchnął drzewce za pętlę u pasa. Ciężkie ostrze w kształcie półksiężyca równoważył gruby kolec; narzędzie służące do zabijania. Dłoń za dobrze znała drzewce topora, by mógł poczuć ulgę. Czy jeszcze pamięta dobry młot z kuźni? Oprócz "Lorda Perrina" istniały jeszcze inne rzeczy, których nie mógł już zmienić. Pewien przyjaciel powiedział mu kiedyś, że będzie musiał wielokrotnie brać topór do ręki, zanim zacznie lubić się nim posługiwać. Mimo upału zadygotał pod wpływem tej myśli.

Wskoczył na siodło Steppera, ocienione przez Arama siedzącego na siwku, i usadowił się twarzą ku południu, czyli w stronę kręgu utworzonego z wozów. Loial, co najmniej o połowę wyższy od najwyższego z Aielów, właśnie przestępował ostrożnie nad dyszlami wozów. Przez tę swoją posturę wyglądał tak, jakby mógł połamać ciężkie kłody jednym nieuważnym krokiem. W dłoni jak zwykle trzymał jakąś książkę, zaznaczając grubym palcem miejsce, gdzie skończył czytać, a pojemne kieszenie

kaftana wybrzuszały się od innych tomów. Spędził ten poranek w niewielkiej grupce drzew, którą nazwał kojącą i cienistą, a mimo to było po nim widać, że upał też dał mu się we znaki. Wyglądał na zmęczonego, a poza tym miał rozchełstany kaftan, rozsznurowaną koszulę, cholewy butów zaś zrolowane poniżej kolan. Może zresztą sprawił to nie tylko upał. Loial zatrzymał się między wozami i spojrzawszy na Aes Sedai i Asha'manów, niespokojnie zastrzygł włochatymi uszami. Oczy wielkie jak spodki powędrowały w stronę Mądrych i uszy zadrżały mu raz jeszcze. Ogirowie byli bardzo wrażliwi na atmosferę panującą w danym miejscu.

Na widok Perrina Loial przeszedł długimi krokami przez obozowisko. Siedzący w siodle Perrin był od niego o dwie, może trzy głowę niższy.

- Perrin - wyszeptał Loial - tu się źle dzieje. Mało tego, tu jest niebezpiecznie. -

Szept, którym starał się mówić Loial, przypominał buczenie trzmiela wielkości mastiffa. Kilka Aes Sedai poodwracało głowy.

- Czy mógłbyś mówić trochę głośniej? - spytał prawie niesłyszalnie Perrin. -

Moim zdaniem w Andorze niektórzy mogli cię nie usłyszeć. Mam na myśli tych z zachodu Andoru.

Loial zrobił zaskoczoną minę, a potem tak się skrzywił, że długie brwi opadły mu na policzki.

- Wiesz przecież, że potrafię szeptać. - Tym razem raczej nikt nie mógł go usłyszeć wyraźnie w odległości większej niż jakieś trzy kroki. - Co my zrobimy, Perrin? Niedobrze jest więzić Aes Sedai wbrew ich woli, niedobrze i głupio. Już to raz powiedziałem i będę nadal powtarzał. Ale nie to jest najgorsze. To wrażenie... Jedna iskra i to miejsce wybuchnie niczym wóz pełen sztucznych ogni. Czy Rand o tym wie?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Perrin na oba pytania i po jakiejś chwili ogir

przytaknął z niechęcią.

- Ktoś musi wiedzieć, Perrin. Ktoś musi coś zrobić. -Loial popatrzył na północ, ponad wozami za plecami Perrina, i w tym momencie Perrin wiedział, że nie ma co dłużej zwlekać.

Z niechęcią zawrócił Steppera. Wolałby się zamartwiać o Aes Sedai, Asha'manów i Mądre, aż mu wypadną wszystkie włosy, ale mus to mus. W święto Chasaline należało myśleć o dobrych rzeczach.

ROZDZIAŁ 2

DZIEDZINIEC RZEŹNIKA

Z początku Perrin nie patrzył w dół zbocza, w stronę, w którą się wybierał, tam gdzie tego ranka powinien był jechać razem z Randem. Zamiast tego siedział w siodle, tuż poza kręgiem wozów, i rozglądał się we wszystkich innych kierunkach, aczkolwiek przed oczyma roztaczały się widoki, od których chciało mu się wymiotować. Czuł się tak, jakby go ktoś walnął młotem w brzuch.

Uderzenie młota. Dziewiętnaście świeżych grobów na szczycie przysadzistego wzgórza; dziewiętnastu poległych z Dwu Rzek, którzy mieli już nigdy nie zobaczyć domu. Rzadko który kowal był zmuszany do oglądania ludzi umierających za sprawą jego decyzji. Całe szczęście, że ludzie z Dwu Rzek posłuchali jego rozkazów, bo w przeciwnym razie grobów byłoby więcej. Uderzenie młota. Prostokąty świeżo spulchnionej ziemi zapełniały także sąsiednie zbocze, groby blisko stu Mayenian i jeszcze większej liczby Cairhienian, którzy przybyli do Studni Dumai i tam polegli. Powody albo racje nieważne; poszli za Perrinem Aybarą. Uderzenie młota. Wzgórze na zachodzie pokrywały groby jakby nieco pokaźniejszych rozmiarów, tysiąc albo i więcej. Tysiąc Aielów, pogrzebanych na stojąco, by mogli oglądać każdy wschód

słońca. Tysiąc. W tym Panny. Na myśl o poległych mężczyznach żołądek zaciskał mu się w supły; myśl o kobietach sprawiała, że miał ochotę usiąść i zapłakać. Starał się sobie wmówić, że oni wszyscy przybyli tu z własnej woli, że koniecznie chcieli tutaj być. Jedno i drugie było prawdą, ale to on wydawał rozkazy i dlatego ponosił odpowiedzialność za te groby. Nie Rand, nie Aes Sedai, on sam.

Ci Aielowie, którzy pozostali przy życiu, dopiero co przestali śpiewać dla swoich zmarłych ponure pieśni śpiewane partiami, które pokutowały w pamięci.

Życie to sen - który nie zna cienia.

Życie to sen - pełen bólu i smutku.

Sen, z którego - obudzić się chcemy modlitwą.

Sen, z którego - budzimy się i odchodzimy.

Kto by spał - kiedy nowy świt czeka?

Kto by spał - kiedy słodki wieje wiatr?

Sen musi się skończyć - kiedy nastaje nowy dzień.

Ten sen, Z którego - budzimy się i odchodzimy.

Zdawali się znajdować ulgę w tych pieśniach. Żałował, że sam nie może jej znaleźć, ale na ile zdołał się zorientować, Aielowie rzeczywiście mało dbali o to, czy żyją, czy umarli. To był szalony naród. Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach pragnął żyć. Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach uciekałby najdalej jak może od bitwy, uciekałby, co sił w nogach.

Stepper podrzucił łbem, rozdymając nozdrza, gdy poczuł fetor buchający z dołu i Perrin poklepał go po karku. Aram uśmiechnął się szeroko na widok tego, od czego Perrin tak usiłował się odgrodzić. Twarz Loiala miała tak mało wyrazu, że równie dobrze mogła być wyrzeźbiona z drewna. Usta drgnęły mu nieznacznie i Perrinowi

wydało się, że usłyszał: "Światłości, obym już nigdy czegoś takiego nie oglądał". Zrobiwszy głęboki wdech, zmusił oczy, by powędrowały śladem ich wzroku - w stronę Studni Dumai.

Pod pewnymi względami nie był to widok równie straszny jak groby - niektórych tych ludzi znał od dziecka - ale to wszystko zwaliło się na niego w jednym momencie, podobnie jak woń w jego nosie stało się jakby materialne i uderzyło go między oczy. Natychmiast opadły go wspomnienia, które pragnąłby wyrzucić z pamięci. Ziemia Studni Dumai byłam ziemią mordu, ziemią umierania; a teraz stała się czymś jeszcze gorszym. W odległości niecałej mili stały zwęglone pozostałości wozów ustawionych wokół niewielkiego zagajnika, niemal ukrywającego niskie, kamienne cembrowiny. A wokół wozów...

Rozkotłowane czarne morze, morze sępów, kruków i wron, dziesiątków tysięcy, które wzbijały się w powietrze falami i znowu opadały na ziemię, całkiem maskując rozrytą glebę. Za co Perrin był bardziej niż wdzięczny. Asha'mani stosowali brutalne metody; niszczyli ciało i ziemię z jednaką obojętnością. Shaido poległo zbyt wielu, by dało się ich pogrzebać w ciągu kilku dni, gdyby komukolwiek zależało na ich grzebaniu, toteż sępy, kruki i wrony mogły się najeść do syta. Na ziemi leżały również padłe wilki; Perrin pragnął je pogrzebać, ale wilki nie znały przecież tego obyczaju. Znaleziono trzy ciała Aes Sedai, których Moc nie uratowała przed włóczniami i strzałami w szaleństwie bitwy, a oprócz nich również pół tuzina martwych Strażników. Ci zostali pogrzebani na polance tuż obok studni.

Nie tylko ptaki towarzyszyły poległym. Czarnopióre fale unosiły się wokół lorda Dobraine Taborwina i ponad dwustu zbrojnych z cairhieniańskiej kawalerii, a także wokół Lorda Porucznika Haviena Nurelle i tych wszystkich Mayenian, którzy

uszli z życiem, jeśli nie liczyć tych, którzy pilnowali Strażników. Con z dwoma białymi rombami na niebieskim tle, wyróżniające cairhieniańskich oficerów, wszystkich wyjąwszy samego Dobraine, a także czerwone zbroje Mayenian oraz lance z czerwonymi wstęgami czyniły wspólnie paradę męstwa na tej scenie rzeźni, ale Dobraine nie był jedynym, który przykładał chusteczkę do nosa. Tu i tam ktoś wychylał się z siodła i próbował opróżnić już i tak pusty żołądek. Mazrim Taim, niemal dorównujący wzrostem Randowi, stał na ziemi w swym czarnym kaftanie z niebieskozłotymi Smokami pełznącymi w górę rękawów, w towarzystwie może setki Asha'manów. Niektórym z nich też przewracało się w żołądkach. Były tam również dziesiątki Panien, więcej siswai'aman niż Cairhienian, Mayenian i Asha'manów razem wziętych, a także kilka tuzinów Mądrych na dobitkę. Wszyscy rzekomo na wypadek powrotu Shaido albo może na wypadek, gdyby niektórzy z poległych udawali, aczkolwiek zdaniem Perrina każdy, kto by w tym miejscu udawał trupa, prędko postradałby zmysły. Wszystko koncentrowało się wokół Randa.

Obowiązkiem Perrina było znajdować się tam w dole, razem z ludźmi z Dwu Rzek. Rand wypytał go o nich, mówił o zaufaniu do ziomków, ale Perrin niczego mu nie obiecał.

"Będzie musiał poprzestać na mnie i na poległych" - pomyślał. Po jakimś czasie, kiedy już dostatecznie się uzbroi do oglądania tego dziedzińca rzeźnika, tam w dole. Tyle że noże rzeźnika nie kosiły ludzi i były czystsze od toporów, czystsze od sępów. Odziani w czarne kaftany Asha'mani stapiali się z morzem ptaków - śmierć wchłaniała śmierć - a kruki i wrony wzbijające się do lotu zasłaniały pozostałe, ale Rand i tak się wyróżniał w podartej, białej koszuli, którą nosił już wtedy, kiedy przyszli mu z odsieczą. A może wówczas wcale już nie potrzebował pomocy. Perrin

skrzywił się na widok Min stojącej tuż obok Randa w jasnoczerwonym kaftaniku i obcisłych spodniach. To nie było miejsce dla niej, zresztą dla nikogo, ale od momentu oswobodzenia Randa trzymała się go jeszcze bliżej niż Taim. Randowi w jakiś sposób udało się uwolnić i siebie, i ją, jeszcze zanim przebił się do nich Perrin i Asha'mani. Dlatego zapewne uważała, podejrzewał Perrin, że tylko w obecności Randa jest naprawdę bezpieczna.

Rand chodził długimi krokami po tej kostnicy i czasem klepał Min po ramieniu albo przekrzywiał głowę, jakby coś do niej mówił, ale widać było, że myślami krąży gdzie indziej. Wokół nich wirowały ciemne chmary ptactwa; te mniejsze umykały pożywiać się gdzieś indziej, sępy z niechęcią usuwały się z drogi, przy czym niektórym nie chciało się nawet rozwijać skrzydeł; cofały się niezdarnie, wyprężając nieopierzone szyje i skrzecząc butnie. Rand przystawał co jakiś czas, pochylając się nad czyimś ciałem. Niekiedy z jego dłoni wytryskiwał strumień ognia i uderzał w te sępy, które nie chciały zejść z drogi. Za każdym razem Nandera, która prowadziła Panny, albo Sulin, druga po niej, spierały się z nim o coś. Mądre też to chyba czasami robiły, bo szarpały kaftany trupów w taki sposób, jakby coś demonstrowały. A Rand tylko kiwał głową i szedł dalej. Niemniej jednak oglądał się za siebie. Ale tylko do momentu, w którym jego uwagę przyciągnęło jakieś inne ciało.

- Co on wyprawia? - spytał czyjś zły głos przy kolanie Perrina. Rozpoznał ją po zapachu, zanim spojrzał w dół. Kiruna Nachiman, posągowa i elegancka w sukni do konnej jazdy z zielonego jedwabiu i w cienkim lnianym płaszczu chroniącym od kurzu, była siostrą króla Arafel Paitara i możną arystokratką, toteż fakt, że została Aes Sedai, bynajmniej nie przyczynił się do złagodzenia jej sposobu bycia. Nie usłyszał, że podchodzi, tak był pochłonięty smutnymi obserwacjami. - Dlaczego on bierze w tym

udział? Nie powinien.

Nie wszystkie Aes Sedai w obozie zostały wzięte do niewoli, aczkolwiek te drugie od wczoraj trzymały się z dala od pozostałych, rozmawiały tylko ze sobą, starając się, jak Perrin podejrzewał, wykoncypować, co się stało na samym końcu. A może próbowały znaleźć sposób na wydostanie się z tego wszystkiego. Nie one teraz były górą. Bera Harkin, jeszcze jedna Zielona, stała przy ramieniu Kiruny, podobna z wyglądu do żony farmera mimo tej twarzy pozbawionej piętna upływu lat i sukni z cienkiej wełny, ale w każdym calu równie dumna jak Kiruna, tyle że na swój własny sposób. Taka żona farmera jak ona kazałaby królowi wytrzeć buty, zanim wejdzie do jej domu, i byłaby przy tym bardzo surowa. To właśnie ona i Kiruna dowodziły wspólnie tymi siostrami, które poprzedniego dnia przybyły do Studni Dumai razem z Perrinem, a może na zmianę przekazywały sobie dowodzenie. Nie było to do końca jasne, ale w przypadku Aes Sedai specjalnie nie dziwiło.

Pozostałe siedem stało nieopodal niczym stadko kuropatw. A może jak stado dumnych lwic, bynajmniej nie zalęknione, gdy odebrano im dowodzenie. Ich Strażnicy stali w szeregu tuż za nimi i o ile siostry z pozoru wyglądały na całkiem spokojne, to Strażnicy nie trudzili się maskowaniem swoich uczuć. Ci mężczyźni, niektórzy odziani w charakterystycznie mieniące się płaszcze, dzięki którym zdawali się częściowo znikać, różnili się mocno między sobą, ale czy to niscy, czy wysocy, czy grubi, czy chudzi, nawet stojąc tak spokojnie, wyglądali jak wcielenie przemocy trzymanej na postrzępionej smyczy.

Perrin znał bardzo dobrze dwie spośród tych kobiet, Verin Mathwin i Alannę Mosvani. Verin, niska, krępa, niekiedy niemalże macierzyńska i roztargniona, kiedy nie wpatrywała się w człowieka badawczo niczym ptak w robaka, należała do

Brązowych Ajah. Alanna, szczupła i mrocznie piękna, aczkolwiek ostatnimi czasy z jakiegoś powodu wynędzniała na twarzy, należała do Zielonych. W sumie pięć spośród dziewięciu należało do Zielonych. Kiedyś, jakiś czas temu, Verin powiedziała mu, że nie powinien zbytnio ufać Alannie, i on uwierzył jej bardziej niż tylko na słowo. Nie ufał zresztą żadnej z pozostałych, wliczając w to samą Verin. Rand też im nie ufał, mimo iż walczyły poprzedniego dnia u jego boku i wbrew temu, co stało się na samym końcu. W co zresztą Perrin nie do końca wierzył, choć widział wszystko na własne oczy.

Obok jednego z wozów, w odległości około dwudziestu kroków od sióstr, stało w nonszalanckich pozach co najmniej tuzin Asha'manów. Tego ranka dowodził nimi obdarzony twardą twarzą pyszałkowaty mężczyzna o nazwisku Charl Gedwyn. Wszyscy nosili szpilki w kształcie srebrnego miecza przymocowane do wysokich kołnierzy kaftanów, a czterech albo pięciu, oprócz Gedwyna, miało dodatkowo Smoka ze złotej i czerwonej emalii przypiętego z drugiej strony. Perrin podejrzewał, że te odznaki mają coś wspólnego z rangą. Widział je u kilku pozostałych Asha'manów. Ci tutaj niby nie stali na straży, a jednak jakimś sposobem zawsze pojawiali się tam, gdzie była Kiruna i jej towarzyszki. Demonstrując przy tym całkowity brak skrępowania. I stale wodząc bystrym wzrokiem. Co wcale nie znaczyło, by Aes Sedai zwracały na to uwagę, w każdym razie nie było to widoczne. A jednak siostry pachniały czujnością, zakłopotaniem i wściekłością. Na pewno częściowo z powodu Asha'manów.

- I co? - Ciemne oczy Kiruny błyskały zniecierpliwieniem. Wątpił, by znalazło się wielu takich, którzy kazaliby jej czekać.

- Nie wiem - skłamał, znowu klepiąc Steppera po karku. - Rand nie mówi mi

wszystkiego.

Trochę rozumiał - albo tak mu się wydawało - ale nie miał zamiaru dzielić się tym z kimkolwiek. To ujawni Rand, o ile zechce. Wszystkie ciała, które oglądał Rand, należały do Panien; Perrin był o tym przekonany. Panien Shaido, bez wątpienia, ale z kolei nie miał pewności, czy Rand widzi tu jakąś różnicę. Ubiegłej nocy odszedł na pewną odległość od wozów w poszukiwaniu samotności i kiedy głosy mężczyzn zaśmiewających się z radości, że żyją, ucichły, napotkał Randa. Smok Odrodzony, który sprawiał, że cały świat trząsł się w posadach, siedział samotnie na ziemi, w ciemnościach, obejmując się ramionami i kołysząc.

Dla Perrina światło księżyca było niemal równie przydatne jak słoneczne, ale w tamtej chwili pożałował, iż nie jest tak ciemno, że oko wykol. Rand miał ściągniętą i wykrzywioną twarz, twarz człowieka, który ma ochotę krzyczeć, a może jedynie płakać i walczy z tym pragnieniem każdą cząstką swojego jestestwa. Rand i Asha'mani znali sztuczkę Aes Sedai, dzięki której upał na nich nie działał, ale w tym momencie jej nie stosował. Mimo nocnej pory panował skwar większy niż podczas letniego dnia i Rand zalewał się potem tak samo jak Perrin.

Nie obejrzał się, mimo iż buty Perrina szurały głośno po wyschniętej trawie, a za to przemówił ochrypłym głosem, nadal się kołysząc.

- Sto pięćdziesiąt jeden, Perrin. Umarło dzisiaj sto pięćdziesiąt jeden Panien. Za mnie. Widzisz, obiecałem im. Nie sprzeczaj się ze mną! Zamknij się! Odejdź! - Cały dygotał mimo potu. - Nie ty, Perrin, nie ty. Rozumiesz, ja muszę dotrzymywać swoich obietnic. Muszę, choćby to nie wiem jak bolało. Ale muszę też dotrzymywać obietnic złożonych samemu sobie. Choćby to nie wiem jak bolało.

Perrin starał się nie myśleć o losie mężczyzn, którzy potrafili przenosić.

Szczęśliwcy umierali, zanim popadli w obłęd; pechowcy umierali później. Rand, niezależnie od tego, czy miał pecha, czy szczęście, był za wszystko odpowiedzialny. Za wszystko.

- Rand, nie wiem, co powiedzieć, ale...

Rand zdawał się go nie słyszeć. Nadal się kołysał. W przód i w tył.

- Isan, ze szczepu Jarra Chareen Aiel. Umarła za mnie dzisiaj. Chuonde z Miagoma z Grani Grzbietu. Umarła za mnie dzisiaj. Agirin z Daryne...

Nie mógł zrobić nic innego, jak tylko przysiąść na piętach i słuchać, jak Rand wymienia wszystkie sto pięćdziesiąt jeden imion głosem napiętym z bólu, słuchać i mieć nadzieję, że Rand zachował zdrowe zmysły.

A jednak, niezależnie od tego, czy Rand był nadal całkiem zdrowy na umyśle, czy też oszalał, Perrin był pewien, że jeśli ciało jakiejś Panny, która walczyła za niego, nie zostanie odnalezione, to taka nie tylko doczeka się przyzwoitego pochówku razem z innymi na grani, ale jej imię będzie przyłączone do listy jako sto pięćdziesiąte drugie. I że nie jest to sprawa Kiruny. Ani to, ani wątpliwości Perrina. Rand musiał zachować zdrowe zmysły, albo w każdym razie dostatecznie zdrowe, i na tym koniec. Światłości, spraw, aby tak było!

“I obym sczezł w Światłości za to, że myślę o tym tak zimno” - pomyślał Perrin.

Kątem oka dostrzegł, jak Kiruna zaciska swe pełne usta. Tak samo jak nie znosiła, gdy kazało się jej czekać, nie lubiła czegoś nie wiedzieć. Byłaby piękna, na ten swój arystokratyczny sposób, gdyby nie to, że miała twarz kogoś nawykłego dostawać wszystko, czego zapragnie. Nie nadętą, tylko absolutnie pewną, że to, czego chce, jest właściwe, słuszne i że się jej należy.

- Wśród tylu kruków i wron w jednym miejscu są zapewne setki, a może tysiące

gotowych donieść o tym, co widziały, jakiemuś Myrddraalowi. - Nie starała się ukryć irytacji; mówiła takim głosem, jakby była przekonana, że to Perrin sprowadził te ptaki. - W Ziemiach Granicznych zabijamy je natychmiast. Masz ludzi, a oni mają łuki.

To była prawda; każdy kruk albo wrona mógł być szpiegiem Cienia, ale i tak poczuł, jak wzbiera w nim obrzydzenie. Obrzydzenie i zmęczenie.

- A po co? - Tych ptaków było tyle, że ludzie z Dwu Rzek i Aielowie mogliby wyzbyć się wszystkich strzał, jakie mieli, a szpiedzy i tak by pozostali. Raczej nie istniał sposób na sprawdzenie, który ptak szpiegował, czy ten zabity, czy ten, który uciekł. - Nie dość już tego zabijania? Przecież niebawem będzie go jeszcze więcej. Na Światłość, kobieto, nawet Asha'mani się nasycili.

Przyglądające się im siostry uniosły brwi. Nikt nie przemawiał do Aes Sedai w taki sposób, nawet król czy królowa. Bera obdarzyła go spojrzeniem, które mówiło, że zastanawia się, czy nie wywlec go z siodła i nie wytargać za uszy. Nadal zerkając na jatkę w dole, Kiruna, z twarzą okrytą maską zimnej determinacji, wygładziła spódnice. Loialowi drżały uszy. Żywił głęboki, acz bojaźliwy respekt wobec Aes Sedai; prawie dwakroć wyższy od większości sióstr zachowywał się niekiedy tak, jakby uważał, że któraś mogłaby go nadepnąć, nie zauważywszy, że stanął jej na drodze. Perrin nie dał Kirunie szansy na odpowiedź. Daj Aes Sedai palec, a weźmie całą rękę, o ile nie więcej.

- Trzymałyście się z dala ode mnie, ale ja mam wam kilka rzeczy do powiedzenia. Wczoraj nie byłyście posłuszne rozkazom. Jeśli chcecie, możecie to nazywać zmianą planów - brnął dalej, gdy ta otwarła usta. - Jeżeli uważacie, że tak brzmi lepiej. - Kiruna i pozostałe osiem Aes Sedai miały czekać razem z Mądrymi, z dala od wiru walki, pod opieką ludzi z Dwu Rzek i Mayenian. Tymczasem one rzuciły

się w sam jej środek, zajadle atakując tam, gdzie mężczyźni starali się porąbać wzajem mieczami i włóczniami na karmę dla psów. - Zabrałyście ze sobą Haviena Nurelle i przez to połowa Mayenian straciła życie. Nie wolno wam postępować wedle własnego widzimisię, nie troszcząc się o innych. Ja osobiście nie mam zamiaru patrzeć, jak inni umierają, bo wam się nagle uroi, że znacie lepszy sposób, i do Czarnego z tym, co myślą inni. Rozumiecie mnie?

- Skończyłeś już, wieśniaku? - Głos Kiruny był podejrzanie spokojny. Twarz, którą zwróciła ku niemu, mogła być wyrzeźbiona z ciemnego lodu, i zdawała się cała ociekać urazą. Stała na ziemi, a mimo to w jakiś sposób patrzyła na niego z góry. Nie była to żadna sztuczka Aes Sedai; Faile też tak potrafiła. Podejrzewał, że umiała to większość kobiet. -Powiem ci coś, aczkolwiek nawet ktoś z mierną inteligencją powinien sam się tego domyślić. Zgodnie z Trzema Przysięgami, żadna siostra nie może używać Jedynej Mocy w charakterze broni, chyba że przeciwko Pomiotowi Cienia albo w obronie własnego życia, względnie życia swego Strażnika albo innej siostry. Mogłyśmy stać tam, gdzie chciałeś, i tylko się przypatrywać, choćby do samego Tarmon Gai'don, nie będąc zdolne zrobić niczego skutecznego. Aż do czasu, gdy same znajdziemy się w niebezpieczeństwie. Nie podoba mi się, że muszę tłumaczyć własne postępowanie, wieśniaku. Nie zmuszaj mnie do tego więcej. Zrozumiałeś?

Loial, któremu obwisły uszy, patrzył przed siebie z takim wysiłkiem, iż było jasne, że wolałby się znaleźć wszędzie, nawet przy własnej matce, która chciała go ożenić, tylko nie tutaj. Aram otworzył usta, a przecież zawsze próbował udawać, że Aes Sedai nie robią na nim żadnego wrażenia. Jondyn i Tod zsunęli się z koła wozu z nieco wymuszoną swobodą; Jondynowi udało się odejść spacerowym krokiem, ale Tod uciekł biegiem, oglądając się za siebie przez ramię.

Jej wyjaśnienie brzmiało sensownie, być może mówiła prawdę. Nie, zgodnie z Trzema Przysięgami, z pewnością mówiła prawdę. Ale były w tym również niejasności i luki. Czyli jakby nie mówiła całej prawdy albo się z nią mijała. Siostry mogły równie dobrze narazić się z własnej woli na niebezpieczeństwo, co dałoby im możność posłużenia się Mocą jako bronią, ale Perrin zjadłby własne buty, jeżeli one nie wymyśliły sobie, że dotrą do Randa wcześniej niż ktoś inny. Niech inni sobie zgadują, do czego by w takim przypadku doszło, ale w każdym razie był pewien, że w swoich planach nie przewidziały niczego takiego, co się rzeczywiście stało.

- Idzie - powiedział nagle Loial. - Patrzcie! Rand idzie. - Zniżywszy głos do szeptu, dodał: - Bądź ostrożny, Perrin. - Jak na ogira był to rzeczywiście szept. Aram i Kiruna zapewne usłyszeli go wyraźnie, a może także Bera, ale z całą pewnością nikt oprócz nich. - One ci niczego nie przysięgały! - Jego głos znowu zagrzmiał. - Czy sądzisz, że zechciałby porozmawiać ze mną o zdarzeniach w obozowisku? To mi potrzebne do mojej książki. - Loial pisał książkę o Smoku Odrodzonym albo w każdym razie sporządzał notatki. - Naprawdę nie widziałem zbyt wiele od momentu... gdy zaczęła się walka. - Walczył u boku Perrina, w samym jej środku, władając toporem o drzewcu niemal tak długim jak on sam; człowiek raczej nie zwracał uwagi na wiele, kiedy się starał ujść z życiem. Kiedy się słuchało Loiala, można było pomyśleć, że on jest zawsze gdzieś indziej, gdy nagle robi się niebezpiecznie. - Czy sądzisz, że zechce mi pomóc, Kiruno Sedai?

Kiruna i Bera wymieniły spojrzenia, po czym bez słowa, posuwistymi krokami podeszły do miejsca, gdzie stały Verin i inne. Loial, popatrujący w ślad za nimi, wydał z siebie westchnienie, które zabrzmiało jak podmuch wiatru wiejącego przez jaskinię.

- Naprawdę powinieneś się pilnować, Perrin - wydyszał. - Masz taki

niewyparzony język. - Tym razem szept przypominał buczenie trzmiela wielkości kota, a nie mastiffa. Perrin wierzył, że ogir jeszcze się nauczy szeptać, jeżeli spędzi dość czasu w towarzystwie Aes Sedai. Uciszył go gestem, żeby móc coś usłyszeć. Siostry z miejsca zaczęły rozmawiać, ale do uszu Perrina nie dotarł ani jeden dźwięk. Najwyraźniej zbudowały barierę z Jedynej Mocy.

Dla Asha'manów też to było oczywiste. Poderwali się w mgnieniu oka i stanęli na palcach, wszyscy skupieni na siostrach. Nic nie świadczyło o tym, że objęli saidina, męską połowę Prawdziwego Źródła, ale Perrin postawiłby Steppera, że to zrobili. Gedwyn, sądząc po gniewnym grymasie, był gotów natychmiast go użyć.

W tym momencie Aes Sedai usunęły barierę. Założyły ręce i w milczeniu skierowały oczy w stronę zbocza. Asha'mani wymienili spojrzenia, a na koniec Gedwyn dał im jakiś znak ręką, po którym znowu zaczęli udawać rozleniwienie. Gedwyn był wyraźnie rozczarowany. Perrin, powarkując z irytacją, odwrócił się, chcąc wyjrzeć ponad wozami.

Rand wspinał się wolnym krokiem w górę zbocza, z Min uwieszoną u ramienia; po drodze rozmawiał z nią o czymś i klepał ją po ręce. Raz nawet odrzucił głowę w tył i roześmiał się, a ona przekrzywiła swoją i też się roześmiała, odrzucając na plecy ciemne loki, które sięgały jej teraz do ramion. Można go było wziąć za wieśniaka, który prowadza się ze swoją dziewczyną. Tyle że Rand miał u pasa miecz i czasami gładził dłonią jego długą rękojeść. I gdyby nie Taim tuż przy jego drugim ramieniu. A także Mądre idące niemal równie blisko z tyłu. A także krąg Panien, siswai'aman, Cairhienian i Mayenian, którzy dopełniali procesji.

Co za ulga, że jednak nie będzie musiał zejść na dół do tej jatki, niemniej jednak należało przestrzec Randa przed tymi wszystkimi skomplikowanymi animozjami,

które spostrzegł tego ranka. Co ma zrobić, jeśli Rand go nie posłucha? Zmienił się od wyjazdu z Dwu Rzek, a przede wszystkim od czasu porwania go przez Coiren i tamto towarzystwo. Nie. Na pewno zachował zdrowe zmysły.

Kiedy Rand z Min weszli do kręgu utworzonego z wozów, większość uczestników procesji zatrzymała się na zewnątrz, ale i tak towarzyszyło im spore zgromadzenie.

Taim, rzecz jasna, ciągnął tuż za Randem jak cień, śniady, obdarzony lekko haczykowatym nosem; Perrin uważał, że wiele kobiet uznałoby go za przystojnego. Wiele Panien z pewnością przyglądało mu się nie raz i nie dwa, z tego typu rzeczami zupełnie się nie kryły. Kiedy Taim wszedł do środka, zerknął na Gedwyna, który nieznacznie pokręcił głową. Taim skrzywił się przelotnie, po czym zniknął równie prędko, jak się pojawił.

Nandera i Sulin deptały Randowi po piętach, ramię w ramię rzecz jasna, a Perrin zastanawiał się, dlaczego nie sprowadziły jeszcze dwudziestu Panien. Miał wrażenie, że zapewne nie pozwalają Randowi nawet wziąć kąpieli, jeżeli Panny nie strzegą wanny. Nie rozumiał, dlaczego Rand się na to godzi. Każda miała shoufę udrapowaną na ramionach, dzięki czemu obnażała krótko przystrzyżone włosy z kitą w tyle czaszki. Nandera była muskularną kobietą, z włosami bardziej siwymi niż blond, ale jej twarde rysy były w jakiś sposób przystojne, o ile nie piękne. W porównaniu z Sulin - żylastą, skórzastą i siwowłosą'- Nandera była urodziwa i niemalże łagodna. Też zerknęły na Asha'manów, niespecjalnie starając się to ukryć, a potem uważnie przyjrzały się obu grupom Aes Sedai. Palce Nandery zamigotały w mowie Panien. Nie po raz pierwszy Perrin pożałował, że nie rozumie tego języka, ale Panna wolałaby raczej wyrzec się włóczni i poślubić ropuchę, zanim nauczyłaby

mowy dłoni mężczyznę. Jakaś Panna, której Perrin przedtem nie zauważył, siedząca w kucki pod jednym z wozów w odległości kilku kroków od Gedwyna, odpowiedziała w taki sam sposób i podobnie jeszcze jedna, która do tej chwili bawiła się w kocią kołyskę z siostrą włóczni usadowioną nieopodal więźniów.

Amys wprowadziła Mądre do środka, po czym wzięła je na bok, by naradzić się z Sorileą i kilkoma innymi, które dotąd siedziały w wozach. Mimo zbyt młodej twarzy jak na sięgające do pasa siwe włosy, Amys była ważną osobą, drugą po Sorilei wśród Mądrych. Nie stosowały sztuczek z Jedyną Mocą, by utajnić rozmowę, ale natychmiast otoczyło je siedem albo osiem Panien, które zaczęły coś cicho śpiewać. Jedne przysiadły, inne stały, kilka przykucnęło na piętach, niby każda robiła to samodzielnie, a jednak wszystko w jednym momencie. Jakby uważały go za durnia.

Perrin miał wrażenie, że często wzdycha od czasu, kiedy zaczął się zadawać z Aes Sedai i Mądrymi. A także z Pannami. Kobiety, wszystkie bez wyjątku, ostatnio przyprawiały go prawie o drgawki.

Dobraine i Havien, ze swoimi końmi, a za to bez żołnierzy, weszli na samym końcu. Havien nareszcie zobaczył bitwę; Perrin był ciekaw, czy będzie tak się palił, żeby zobaczyć następną. Mniej więcej w tym samym wieku co Perrin, nie wyglądał tego dnia tak młodo jak jeszcze przed dwoma dniami. Dobraine, który na modłę cairhieniańskich żołnierzy wygalał swe siwe włosy na przodzie czaszki, z pewnością nie był młody, a wczorajsza bitwa z pewnością nie była pierwszą w jego życiu, również wyglądał na starszego i przybitego. Podobnie Havien. Obaj odszukali Perrina wzrokiem.

Innym razem byłby sprawdził, o czym chcą z nim pogadać, ale teraz zsunął się z siodła, cisnął wodze Steppera w stronę Arama i podszedł do Randa. Pozostali byli tam

wcześniej od niego. Tylko Sulin i Nandera trwały w swoim milczeniu.

Kiruna i Bera ruszyły z miejsca w tym samym momencie, w którym Rand wszedł do kręgu wozów, a kiedy Perrin zbliżał się do niego, Kiruna mówiła właśnie wielkopańskim tonem:

- Wczoraj nie zgodziłeś się na Uzdrawianie, ale każdy mógłby dostrzec, że jesteś nadal obolały, nawet gdyby Alanna nie była w każdej chwili gotowa wyskoczyć ze... - Urwała, kiedy Bera dotknęła jej ramienia, ale zaraz potem, niemal nie robiąc przerwy, ciągnęła dalej. - Może teraz jesteś gotów poddać się Uzdrawianiu?

Zabrzmiało to jak: "A może przestaniesz się wygłupiać?"

- Trzeba niezwłocznie załatwić sprawę Aes Sedai, Car'a'carnie - powiedziała uroczystym tonem Amys, zagłuszając Kirunę.

- Powinny zostać przekazane naszej pieczy, Randzie al'Thor - dodała Sorilea w tym samym momencie, w którym odezwał się Taim.

- Sprawy Aes Sedai nie trzeba załatwiać, Lordzie Smoku. Moi Asha'mani wiedzą, jak sobie z nimi poradzić. Bez większego kłopotu można je trzymać w Czarnej Wieży. -Ciemne, lekko skośne oczy błysnęły w stronę Kiruny i Bery, a zaszokowany Perrin pojął, że Taim miał na myśli wszystkie Aes Sedai, nie tylko te, które obecnie były w niewoli. A skoro już o tym mowa, spojrzenia, które Amys i Sorilea kierowały w stronę Aes Sedai, mimo iż popatrzyły krzywo na Taima, mówiły to samo.

Kiruna uśmiechnęła się do Taima, do Mądrych, skąpym uśmiechem, który ledwie wykrzywił jej usta. I być może nieco twardszym, gdy został skierowany do mężczyzny w czarnym płaszczu, ale udawała, że nie rozumie, jakie są jego intencje. Wystarczało, że był, kim był.

- W takich okolicznościach - stwierdziła chłodno -jestem pewna, że Coiren Sedai

i inne dadzą mi słowo honoru. Nie musisz się martwić...

Pozostali zaczęli natychmiast mówić, wszyscy równocześnie.

- Te kobiety nie mają honoru - stwierdziła z pogardą Amys i tym razem było jasne, że ma na myśli wszystkie. - Jakim sposobem ich słowo miałoby cokolwiek znaczyć? One...

- One są da'tsang - dodała ponurym głosem Sorilea, jakby ogłaszała wyrok, a Bera zmarszczyła czoło. Perrin uznał, że musiała użyć jakiegoś wyrażenia z Dawnej Mowy, znowu miał wrażenie, że je zna, ale nie miał pojęcia, dlaczego ono sprawiło, że Aes Sedai spojrzały groźnie na Mądrą. Albo dlaczego Sulin nagle skinęła głową na znak, że się zgadza. Sorilea ciągnęła dalej nieustępliwie, niczym głaz staczający się ze wzgórza: -Nie zasługują na nic lepszego niż wszyscy inni...

- Lordzie Smoku - powiedział Taim takim tonem, jakby wyjaśniał coś oczywistego-chcesz zapewne, by tymi Aes Sedai, wszystkimi Aes Sedai, zajęli się ci, którym ufasz, ci, którzy, jak wiesz, potrafią z nimi postępować i którzy lepiej...

- Dość! - krzyknął Rand.

Wszyscy umilkli jak jeden mąż, ale ich dalsze reakcje różniły się radykalnie. Twarz Taima przybrała nieodgadniony wyraz, mimo iż pachniał wściekłością. Amys i Sorilea wymieniły spojrzenia i niemal jednocześnie poprawiły szale; ich zapachy też były identyczne i harmonizowały z czystą determinacją malującą się na twarzach. Chciały tego, czego chciały, i zamierzały to dostać, Car'a'carn czy nie. Kiruna i Bera też wymieniły spojrzenia, tak zagadkowe, że Perrin pożałował, iż nie potrafi ich odczytywać tak samo jak zapachów. Oczyma widział dwie spokojne Aes Sedai, które panowały nad sobą i nad wszystkim, nad czym chciały panować; nos wyczuwał dwie niespokojne kobiety, które się bały, i to wcale nie trochę. Bały się Taima, tego był

pewien. Nadal chyba uważały, że poradzą sobie z Randem, w taki czy inny sposób, a także z Mądrymi, ale Taim i Asha'mani budzili w nich zabobonny lęk.

Min szarpnęła Randa za rękaw koszuli - przyglądała się wszystkim i pachniała niemal takim samym niepokojem jak siostry. Poklepał ją po ręce, jednocześnie piorunując pozostałych wzrokiem. W tym również Perrina, który właśnie otworzył usta. Wszyscy w obozie patrzyli teraz na niego, począwszy od mężczyzn z Dwu Rzek, a skończywszy na pojmanych Aes Sedai, aczkolwiek tylko Aielowie stojący dostatecznie blisko mogli cośkolwiek usłyszeć. Ludzie nie bali się przypatrywać Randowi, ale wyraźnie starali się w miarę możliwości stawać jak najdalej od niego.

- Pojmanymi do niewoli zajmą się Mądre - oświadczył w końcu Rand i nagle od Sorilei zapachniało taką satysfakcją, że Perrin musiał energicznie potrzeć nos. Taim z rozdrażnieniem potrząsnął głową, ale Rand natarł na niego, ledwie ten zdążył przemówić. Wepchnął kciuk za sprzączkę przy pasie od miecza, z wyrytym i pozłoconym Smokiem; ścisnął ją tak mocno, że aż mu zbielały stawy. Druga dłoń gładziła ciemną skórę dzika okrywającą rękojeść miecza.

- Asha'mani mają szkolić i prowadzić werbunek, a nie stawać się dozorcami więziennymi. Zwłaszcza dozorcami Aes Sedai. - Perrinowi włosy stanęły dęba, kiedy pojął, jaki to zapach wieje od Randa, kiedy patrzy na Taima. Nienawiść przemieszana ze strachem. Światłości, on musi być zdrów na umyśle!

Taim przytaknął, krótko i z niechęcią.

- Jak rozkażesz, lordzie Smoku.

Min zerknęła niespokojnie na mężczyznę w czarnym kaftanie i przysunęła się bliżej do Randa.

Kiruna pachniała ulgą, a mimo to zerknęła raz jeszcze na Berę i przemówiła z

charakterystyczną dla niej pewnością siebie.

- Te kobiety Aielów są dość wartościowe... niektóre mogłyby sobie dobrze radzić, gdyby przybyły do Wieży... ale ty przecież nie możesz im tak zwyczajnie oddać Aes Sedai. To nie do pomyślenia! Bera Sedai i ja...

Rand podniósł rękę i w tym momencie dalsze słowa utknęły jej w gardle. Może przez to jego spojrzenie, przywodzące na myśl niebieskoszary kamień. A może przez to, co było wyraźnie widać w rozdarciu w rękawie: jeden z czerwono-złotych Smoków, które oplatały jego przedramiona. Smok zalśnił w słońcu.

- Czy złożyłyście mi przysięgę lojalności? - Kiruna wytrzeszczyła oczy, jakby coś ją uderzyło w żołądek.

Po jakiejś chwili przytaknęła z niechęcią. Miała minę pełną niedowierzania, podobnie jak poprzedniego dnia, kiedy pod koniec bitwy klęczała przy studniach i przysięgała na Światłość, a także na swoją nadzieję zbawienia i ponownego narodzenia, że będzie posłuszna Smokowi Odrodzonemu i że będzie mu służyć aż do czasu, gdy nadejdzie i skończy się Ostatnia Bitwa. Perrin rozumiał jej wstrząs. Nie dowierzałby własnej pamięci, nawet gdyby wyrzekła się Trzech Przysiąg. Dziewięć Aes Sedai na kolanach, z ogłupiałymi twarzami, wobec słów padających z ich własnych ust, całe buchające niedowierzaniem. W tym akurat momencie Bera wykrzywiła usta, jakby nadgryzła zepsutą śliwkę.

Do tego niewielkiego zgromadzenia przyłączył się jakiś Aiel, wysoki mężczyzna mniej więcej tego samego wzrostu co Rand, z postarzałą twarzą i pasemkami siwizny w ciemnorudych włosach, skłonił głowę w stronę Perrina i lekko dotknął ręki Amys. Wydawało się, że ta przez krótką chwilę odwzajemniła uścisk. Rhuarc był jej mężem, ale oboje okazywali sobie mniej więcej tyle samo uczuć, ile wszyscy Aielowie zwykli

demonstrować w obecności innych. Był poza tym wodzem klanu Taardad Aiel - on i Gaul byli jedynymi mężczyznami, którzy nie nosili opasek siswai'aman - i od ubiegłej nocy on i tysiąc włóczni przeprowadzało zwiady.

Nawet ślepiec wyczułby panujący tu nastrój, a Rhuarc nie był głupcem.

- Czy to właściwy moment, Randzie al'Thor? - Kiedy Rand dał mu znak, że ma mówić, ciągnął dalej. - Psy Shaido nadal uciekają na wschód, najszybciej jak potrafią. Widziałem ludzi w zielonych kaftanach, którzy jechali konno na północ, ale unikali nas, a ty powiedziałeś, że mamy ich przepuścić wolno, chyba że będą stwarzali kłopoty. Moim zdaniem poszukiwali tych Aes Sedai, które uciekły. Towarzyszy im kilka kobiet. -Zimne, niebieskie oczy, niewzruszone i twarde jak głazy, zerknęły na Aes Sedai. Swego czasu Rhuarc obchodzili Aes Sedai swobodnym krokiem - wszyscy Aielowie tak czynili - ale to się skończyło poprzedniego dnia, o ile nie wcześniej.

- To dobre wieści. Dałbym niemal wszystko za pojmanie Galiny, ale i tak to nadal dobre wieści. - Rand dotknął znowu rękojeści miecza i poprawił ostrze ukryte w ciemnej pochwie. Zdawało się, że czyni to odruchowo. Galina, Aes Sedai z Czerwonych, dowodziła tymi siostrami, które go pojmały, i o ile tego dnia mówił o niej spokojnie, o tyle poprzedniego wprost wściekł się, że uciekła. Nawet teraz jego spokój był lodowaty, tego typu, za którym potrafi się kryć rozbuchana wściekłość, a od jego zapachu Perrinowi cierpła skóra. - Zapłacą mi. Wszystkie co do jednej. - Nic nie wskazywało, czy Rand miał na myśli Mądre Shaido, Aes Sedai, które mu uciekły, czy może wszystkie naraz.

Bera niespokojnie poruszyła ręką, a wtedy ponownie przeniósł uwagę na nią i Kirunę.

- Przysięgłyście lojalność i ja wam wierzę. - Podniósł rękę w górę, niemal

stykając kciuk z palcem wskazującym, by pokazać, jak im ufa. - Aes Sedai zawsze wiedzą, co robią, albo tak im się wydaje. Dlatego więc ufam, że postąpicie tak, jak obiecujecie, ale nie wolno wam nawet brać kąpieli bez mojego zezwolenia. Albo zezwolenia Mądrych.

Tym razem to Bera zrobiła taka minę, jakby coś ją uderzyło. Spojrzenie jej jasnopiwnych oczu przemknęło błyskawicznie ku Amys i Sorilei, wyrażając zdumienie i oburzenie, a Kiruna aż zadrżała z wysiłku, żeby nie zrobić tego samego. Dwie Mądre tylko poprawiły szale, ale ponownie ich zapachy stały się identyczne. Zadowolenie spływało z nich całymi falami, bardzo ponure zadowolenie. Perrin ucieszył się w tym momencie, że Aes Sedai nie mają takich nosów jak on, bo inaczej byłyby gotowe pójść na wojnę tu i teraz. Albo może rzuciłyby się do ucieczki, całkiem zapominając o godności. Bo on tak by właśnie postąpił.

Rhuarc stał tam, bezczynnie przyglądając się czubkowi jednej ze swych krótkich włóczni. To była sprawa Mądrych, a on zawsze twierdził, że nie dba o to, co robią Mądre, dopóki nie maczają palców w sprawach wodzów klanów. Natomiast Taim... Ostentacyjnie demonstrował, że to wszystko nic go nie obchodzi, założywszy ręce na piersi i rozglądając się po obozie ze znudzoną miną, a jednak zapach wydzielał dziwny, złożony. Perrin powiedziałby, że ten człowiek dobrze się bawi, że jest w zdecydowanie lepszym humorze niż przedtem.

- Przysięga, którą złożyłyśmy - powiedziała na koniec Bera, kładąc dłonie na swych obfitych biodrach - wystarcza, by związać każdego z wyjątkiem Sprzymierzeńca Ciemności. - Słowo "przysięga" wypowiedziała niemal równie ponuro jak "Sprzymierzeniec Ciemności". Nie, nie podobało im się to, co przysięgły. - Czyżbyś ośmielał się oskarżać nas...?

- Gdybym coś takiego pomyślał - warknął Rand - to już byście wędrowały do Czarnej Wieży razem z Taimem. Przysięgłyście posłuszeństwo. A zatem bądźcie posłuszne!

Bera wahała się przez długą chwilę, a potem nagle, w mgnieniu oka, stała się od stóp do głów tak władcza, jak potrafiła tylko Aes Sedai. A to już coś mówiło. Każda Aes Sedai potrafiła sprawić, że królowa na tronie wyglądała przy nich jak byle dziewka. Dygnęła płytko, sztywno zginając głowę.

Kiruna dla odmiany ewidentnie włożyła znaczny wysiłek w zapanowanie nad sobą; kiedy się odezwała, jej głos był twardy i zgrzytliwy.

- Czy w takim razie musimy zwracać się do tych wartościowych kobiet Aielów o pozwolenie na zapytanie cię, czy jesteś już gotów do Uzdrawiania? Wiem, że Galina potraktowała cię paskudnie. Wiem, że całe ciało, od ramion po kolana, masz w ranach. Zgódź się na Uzdrawianie. Proszę. - Nawet to "proszę" zabrzmiało jak rozkaz.

Przylepiona do boku Randa Min poruszyła się.

- Powinieneś przyjąć to z wdzięcznością, tak samo jak ja, pasterzu. Przecież nie lubisz, gdy cię boli. Ktoś to musi zrobić, bo inaczej... - Uśmiechnęła się figlarnie, prawie tak, jak tamta Min, którą Perrin zapamiętał z czasów poprzedzających jej porwanie. - ...bo inaczej nie zdołasz utrzymać się w siodle.

- Młodzi mężczyźni i głupcy - rzuciła Nandera - niekiedy bez potrzeby obnoszą się z bólem niczym odznaką swej dumy. I swojej głupoty.

- Car'a'carn - dodała sucho Sulin - nie jest głupcem. Ja tak uważam.

Rand uśmiechnął się czule do Min, a Nanderę i Sulin obdarzył kwaśnym spojrzeniem, ale kiedy podniósł wzrok na Kirunę, jego oczy znowu przypominały kamienie.

- Niech tak będzie. - Kiedy ruszyła z miejsca, dodał: - Ale nie ty. - Twarz jej tak zesztywniała, że wydawała się gotowa popękać. Taimowi usta drgnęły w krzywym półuśmiechu; podszedł do Randa, nie odrywając oczu od Kiruny. Rand wskazał ręką. - Ona. Podejdź tu, Alanno.

Perrin wzdrygnął się. Rand wycelował rękę prosto w stronę Alanny, nawet nie zerknąwszy w jej stronę. Ten gest połaskotał coś ukrytego w jakimś zakamarku jego umysłu, ale nie umiał powiedzieć co. Taima też jakby poruszył, bo twarz tego człowieka stała się pustą maską i jedynie ciemne oczy pomykały od Randa do Alanny. Perrin nie potrafił inaczej określić woni, która podrażniła mu nozdrza, jak tylko słowem "zaskoczenie".

Alanna też się wzdrygnęła. Z jakiegoś powodu już od tego momentu przyłączenia się do Perrina w drodze do tego miejsca sprawiała wrażenie podminowanej, a jej spokój był w najlepszym razie cienką powłoczką. Teraz wygładziła spódnice, rzuciła butne spojrzenie w stronę, o dziwo, Kiruny i Bery, po czym zamaszystymi krokami podeszła do Randa. Pozostałe dwie siostry obserwowały ją niczym nauczycielki, które sprawdzają, czy ich uczennica dobrze się spisuje, i nadal nie są przekonane, że tak jest w istocie. Co w ogóle nie miało sensu. Jedna z nich mogła przewodzić, ale Alanna była przecież Aes Sedai, tak samo jak one. To wszystko zdwoiło podejrzliwość Perrina. Zadawanie się z Aes Sedai coś za bardzo przypominało brodzenie w strumieniach Wodnego Lasu. Niezależnie od tego, jak spokojna była ich powierzchnia, podwodne prądy potrafiły zbić człowieka z nóg. Tutaj z każdą chwilą ujawniało się coraz więcej takich prądów i wcale nie wszystkie pochodziły ze strony sióstr.

Rand zaszokował wszystkich; ujął podbródek Alanny i uniósł ku sobie jej twarz.

Bera z sykiem wciągnęła powietrze i tym razem Perrin zgodził się z nią. Rand nie byłby taki bezpośredni wobec dziewcząt, z którymi tańczył w Polu Emonda, a Alanna nie była dziewczyną, z którą można potańczyć. Ta zareagowała równie zaskakująco; zarumieniła się i zapachniało od niej niepewnością. Perrin wiedział z doświadczenia, że Aes Sedai nie rumienią się i że nigdy im nie brakuje pewności siebie.

- Uzdrów mnie - powiedział Rand, rozkazując, nie prosząc. Czerwień na policzkach Alanny pogłębiła się i w wydzielanym przez nią zapachu pojawił się również gniew. Dłonie jej drżały, kiedy ujęła nimi jego głowę.

Perrin odruchowo podrapał wnętrze dłoni, tej, którą poprzedniego dnia rozdarła włócznia Shaido. Kiruna Uzdrowiła kilka jego ran, a zresztą już przedtem bywał Uzdrawiany. Przypominało to zanurzanie się w zimnym jak lód stawie; potem człowiek sapał, dygotał i miał miękkie kolana. I zazwyczaj odczuwał również głód.

Tymczasem Rand tylko nieznacznie się zatrząsł.

- Jak ty wytrzymujesz ten ból? - spytała go szeptem Alanna.

- A więc po wszystkim - odparł, odepchnął jej dłonie i odwrócił się od niej bez słowa podziękowania. Zatrzymał się jednak, najwyraźniej zamierzając coś powiedzieć i oglądając się w stronę Studni Dumai.

- Wszystkie zostały odnalezione, Randzie al'Thor - wyjaśniła łagodnie Amys.

Skinął głową, potem jeszcze raz, nieco żywiej.

- Czas ruszać. Sorilea, czy zechcesz wyznaczyć Mądre, które przejmą więźniarki z rąk Asha'manów? A także towarzyszki Kiruny i... moich pozostałych lenniczek. -Uśmiechnął się przelotnie. - Nie chciałbym, żeby popełniały błędy z powodu swej ignorancji.

- Będzie jak każesz, Car'a'carnie. - Mądra o skórzastej twarzy stanowczym

ruchem poprawiła szal i przemówiła do trzech sióstr. - Przyłączcie się do swoich przyjaciółek, zanim znajdę kogoś, kto będzie was trzymał za ręce. -Nietrudno się było spodziewać, że Bera skrzywi się z oburzeniem, a od Kiruny powieje chłodem. Alanna wbiła wzrok w ziemię, zrezygnowana, niemalże zmarkotniała. Sorilea w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Klasnęła ostro w dłonie i zaczęła je energicznie poganiać. - No co jest? Ruszać się! Ruszać!

Aes Sedai gromadziły się niechętnie w jednym miejscu, starając się stwarzać pozory, że idą tam, gdzie same chcą. Amys przyłączyła się do Sorilei i szepnęła do niej coś, czego Perrin nie dosłyszał. Ale trzy Aes Sedai ewidentnie usłyszały. Zatrzymały się jak wryte, trzy bardzo zaskoczone twarze odwróciły się w stronę Mądrych. Sorilea tylko klasnęła po raz kolejny w dłonie, głośniej niż przedtem, a potem jęła je poganiać jeszcze żwawiej.

Perrin podrapał się po brodzie i w tym momencie napotkał wzrok Rhuarca.

Wódz klanu uśmiechnął się blado i wzruszył ramionami. Sprawy Mądrych. On traktował je z całkowitą obojętnością; Aielowie dorównywali fatalizmem wilkom.

Perrin zerknął na Gedwyna. Ten przypatrywał się, jak Sorilea musztruje Aes Sedai. Nie, on obserwował siostry niczym lis podpatrujący kury w kurniku tuż poza jego zasięgiem.

“Mądre na pewno są lepsze od Asha’manów - pomyślał Perrin. - Muszą być lepsze”.

Rand zignorował te drobiazgi, o ile w ogóle je dostrzegł.

- Taim, zabierz Asha’manów z powrotem do Czarnej Wieży, kiedy tylko Mądre przejmą od was więźniarki. Natychmiast. Pamiętaj, miej oko na wszystkich, którzy uczą się zbyt szybko. I pamiętaj, co ci powiedziałem o werbowaniu.

- Tego raczej nie mógłbym zapomnieć, Lordzie Smoku - odparł sucho odziany na czarno mężczyzna. - Najbliższą wyprawę poprowadzę osobiście. Ale jeśli mi wolno raz jeszcze poruszyć ten temat... Potrzebujesz odpowiedniej gwardii honorowej.

- To już omówiliśmy - odrzekł szorstkim tonem Rand. - Moim zdaniem Asha'mani mogą być wykorzystani w lepszy sposób. Jeżeli będę potrzebował gwardii honorowej, to ci, których zatrzymam, wystarczą. Perrin, czy zechcesz...

- Lordzie Smoku - przerwał mu Taim - potrzebujesz przy sobie więcej niż tylko kilku Asha'manów.

Rand odwrócił głowę w kierunku Taima. Jego twarz zupełnie nic nie zdradzała - pod tym względem dorównywał Aes Sedai - ale Perrin omal się nie wzdrygnął, kiedy poczuł bijący od niego zapach. Ostra jak brzytwa wściekłość utonęła nagle w zaciekawieniu i czujności, przy czym to pierwsze było rozrzedzone i sondujące, to drugie zaś przypominało mgłę; po chwili i jedno, i drugie pochłonęła siekąca, mordercza furia. Rand nieznacznie potrząsnął głową i jego zapach zaczął wyrażać kamienną determinację. Niczyj zapach nie zmieniał się tak prędko. Niczyj.

Taim mógł wyciągać wnioski jedynie na podstawie tego, co zobaczył w oczach Randa, a więc tylko nieznacznie potrząsnął głową.

- Zastanów się. Wybrałeś czterech Oddanych i czterech żołnierzy. Powinieneś mieć przy sobie Asha'manów.

Perrin nic z tego nie rozumiał; myślał, że oni wszyscy są Asha'manami.

- Uważasz, że nie potrafię ich wyszkolić równie dobrze jak ty? - Głos Randa brzmiał łagodnie, niczym miękki świst ostrza wsuwanego do pochwy.

- Uważam, że Lord Smok ma zbyt wiele zajęć, by mieć czas na nauczanie - odparł bez zająknienia Taim, ale zapach gniewu wzmógł się. - To zbyt ważne. Weź

takich ludzi, którzy tego potrzebują najmniej. Mogę wybrać najbardziej zaawansowanych...

- Jednego - wszedł mu w słowo Rand. - I to ja go wybiorę. - Taim uśmiechnął się i rozłożył ręce na znak, że ustępuje, ale zapach frustracji niemal przytłoczył gniew. Rand znowu wskazał, nie patrząc. - On. - Tym razem zdawał się zdziwiony, stwierdziwszy, że wskazuje mężczyznę w średnim wieku, który siedział na przewróconej baryłce po drugiej stronie kręgu wozów i nie zwracał uwagi na zgromadzenie towarzyszące Randowi. Zamiast tego, z łokciem wbitym w kolano i podbródkiem wspartym na dłoni, patrzył krzywo na wzięte do niewoli Aes Sedai. Na wysokim kołnierzu jego czarnego kaftana lśnił miecz i Smok. - Jak on się nazywa, Taim?

- Dashiva - odparł powoli Taim, przyglądając się badawczo Randowi. Pachniał jeszcze większym zdziwieniem niż Rand, a poza tym również irytacją. - Corlan Dashiva. Z farmy w Czarnych Wzgórzach.

- Ten się nada - powiedział Rand, ale wyraźnie sam nie był przekonany.

- Dashiva bogaci się w siłę w zawrotnym tempie, ale często też buja w obłokach. A nawet jak tego nie robi, to i tak nie zawsze jest obecny. Może zwyczajnie ma naturę marzyciela, a może to skaza saidina dotknęła już jego mózgu. Postąpisz lepiej, jak wybierzesz Torvala, Rochaida albo...

Sprzeciw Taima jakby rozwiał wątpliwości Randa.

- Powiedziałem, że Dashiva się nada. Powiedz mu, że ma iść ze mną, a potem przekaż więźniarki Mądrym i odejdź stąd. Nie zamierzam spędzać całego dnia na sprzeczkach. Perrin, przygotuj wszystkich do wymarszu. Znajdź mnie, kiedy już będą gotowi. - I bez dalszych słów odszedł z Min, która przywarła do jego ramienia, oraz

Nanderą i Sulin, które towarzyszyły mu niczym cienie. Ciemne oczy Taima zalśniły; potem sam odszedł, przywołując Gedwyna, Rochaida, Torvala i Kismana. Odziani na czarno mężczyźni stawili się biegiem.

Perrin skrzywił się. Tyle miał Randowi do powiedzenia, a tymczasem ani razu nie otworzył ust. Może w takiej sytuacji byłoby lepiej znaleźć się daleko od Aes Sedai i Mądrych. A także od Taima.

Naprawdę nie miał tu wiele do roboty. Niby to on dowodził, odkąd przyprowadził ludzi z odsieczą, ale Rhuarc wiedział lepiej od niego, co robić i jedno słowo skierowane do Dobraine i Haviena wystarczało dla Cairhienian i Mayenian. Nadal chcieli coś mu powiedzieć, ale trzymali się z boku aż do czasu, gdy znaleźli się sami i wtedy Perrin spytał, o co chodzi.

- Lordzie Perrin, chodzi o Lorda Smoka - wybuchł wtedy Havien. - Całe to przeszukiwanie trupów...

- Wydawało się trochę... przesadne - przerwał mu gładko Dobraine. - Martwimy się o niego, możesz to chyba zrozumieć. Od niego wiele zależy. - Mógł wyglądać jak żołnierz i był nim w istocie, ale był także cairhieniańskim lordem, przesyconym Grą Domów, a więc wyrażał się ostrożnie i dyplomatycznie jak wszyscy inni Cairhienianie. Perrin nie znał się na Grze Domów.

- On nadal jest zdrów na umyśle - oznajmił twardo. Dobraine tylko przytaknął, jakby chciał powiedzieć "oczywiście", wzruszył ramionami, jakby mówiąc, że ani przez chwilę nie zamierzał tego kwestionować, ale Havien poczerwieniał. Perrin potrząsnął głową, przypatrując się, jak odchodzą w stronę pozostałych mężczyzn. Miał nadzieję, że ich nie okłamał.

Zebrawszy ludzi z Dwu Rzek, nakazał im osiodłać konie, ignorując przy tym

ukłony, z których większość wyglądała na wykonaną pod wpływem chwili. Nawet Faile mawiała niekiedy, że ludzie z Dwu Rzek przesadzają z tymi ukłonami; tłumaczyła, że nadal się uczą, jak się zachowywać w obecności lorda. Zastanawiał się, czy nie krzyknąć: "Nie jestem lordem", ale już zdarzało mu się tak reagować, i zawsze bez skutku.

Wszyscy pospieszyli do swych zwierząt, ale Dannil Lewin i Ban al'Seen pozostali z tyłu. Kuzynowie przypominali tyki do fasoli i jednocześnie byli bardzo podobni do siebie, z tą różnicą, że Dannil nosił wąsy w kształcie odwróconych rogów w taraboniańskim stylu, a Ban miał tylko wąskie, ciemne kreski na modłę z Arad Doman. Uchodźcy zaszczepili mnóstwo nowości w Dwu Rzekach.

- Czy ci Asha'mani będą nam towarzyszyć? - spytał Dannil. Odetchnął z ulgą, kiedy Perrin potrząsnął głową, z taką siłą, że aż sobie zmierzwił wąsy.

- Co z Aes Sedai? - spytał z niepokojem Ban. - Pójdą wolno, nieprawdaż? No bo przecież Rand odzyskał wolność. Lord Smok, chciałem powiedzieć. Nie można ich trzymać w niewoli, nie Aes Sedai.

- Wy dwaj każcie wszystkim przygotować się do jazdy - powiedział Perrin. - O Aes Sedai niech się martwi Rand. - Obaj skrzywili się jednakowo. Dwa palce podniosły się, żeby się podrapać po wąsach, a Perrin oderwał dłoń od brody. Mężczyzna, który się drapał po zaroście, wyglądał jakby miał wszy.

W obozie bezzwłocznie zawrzało. Wszyscy się spodziewali, że niebawem wyruszą w drogę, ale każdy miał jeszcze wiele rzeczy do zrobienia. Służący pojmanych Aes Sedai pospołu z woźnicami pospiesznie ładowali ostatnie bagaże na wozy i zaczynali już zaprzęgać konie do wozów przy akompaniamencie pobrzękiwania uprzęży. Cairhienianie i Mayenianie zdawali się być wszędzie, sprawdzali siodła i

uzdy. Nadzy gai'shain biegali we wszystkie strony, mimo iż wyglądało na to, że Aielowie nie mają problemów z przygotowaniem się do wymarszu.

Świetlne błyski za kręgiem wozów zwiastowały odejście Taima i Asha'manów.

W tym momencie Perrin poczuł się znacznie lepiej. Wśród dziewięciu, którzy zostali, był jeden barczysty mężczyzna o twarzy farmera, podobnie jak Dashiva w średnim wieku, a jeszcze jeden równie dobrze mógł już być dziadkiem, utykał bowiem i miał siwe włosy. Pozostali byli młodzi, w tym niektórzy niewiele starsi od małych chłopców, a jednak obserwowali ten rejwach z opanowaniem mężczyzn, którzy coś takiego wiedzieli już wiele razy. Trzymali się razem, z wyjątkiem Dashivy, który stał na osobności, w odległości kilku kroków od nich, wpatrzony w pustkę.

Przypomniawszy sobie ostrzeżenie Taima w stosunku do tego człowieka, Perrin miał nadzieję, że tamten tylko się rozmarzył.

Znalazł Randa; siedział na drewnianej skrzyni z łokciami wspartymi na kolanach. Sulin i Nandera przycupnęły swobodnie po jego obu stronach, obie ostentacyjnie unikały patrzenia na miecz przy jego biodrze. Z włóczniami i tarczami z byczych skór trzymanymi luźno, tutaj, wśród ludzi lojalnych względem Randa, pilnowały wszystkiego, co się do niego zbliżało. Min siedziała na ziemi z podkulonymi nogami i uśmiechała się do niego.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Rand - zagaił Perrin, poprawiając drzewce topora, tak by również móc przykucnąć. Nikt nie znajdował się dostatecznie blisko, by coś słyszeć z wyjątkiem Randa, Min i dwóch Panien. A jeśli Sulin albo Nandera pobiegną z tym potem do Mądrych, to niech i tak będzie. Bez zbędnych wstępów zabrał się do opowiadania o tym, co spostrzegł rankiem. A także o tym, co wybadał czułym węchem, aczkolwiek tego nie zaznaczył. Rand nie należał do tych nielicznych, którzy

wiedzieli o nim i o wilkach; starał się więc sprawiać wrażenie, że on to wszystko sam widział albo słyszał. Opowiedział o Asha'manach i o Mądrych. O Mądrych i Aes Sedai. O całej tej plątaninie z suchego drewna, które lada chwila mogło stanąć w ogniu. Nie oszczędził nawet ludzi z Dwu Rzek. - Oni wszyscy się denerwują, Rand, i to bardzo, a skoro tak jest, to możesz być pewien, że niektórzy Cairhienianie coś zamierzają. Albo Tairenianie. Może zechcą pomóc pojmanym do niewoli w ucieczce, a może zrobią coś gorszego. Światłości, naprawdę sobie wyobrażam Dannila, Bana i pięćdziesięciu innych, jak im pomagają uciec. Muszą tylko wpaść na jakiś pomysł.

- Uważasz, że jest coś jeszcze gorszego? - spytał cicho Rand, a Perrina zaświerzbiała skóra.

Spojrzał Randowi w oczy.

- Tysiąc razy gorszego - odparł równie cicho. - Ja nie wezmę udziału w morderstwie. Jeżeli ty to zrobisz, to stanę ci na drodze. - Milczenie przeciągało się, nie mrugające, niebieskoszare oczy napotkały nie mrugające złote.

Min, która popatrzyła na każdego z osobna, krzywiąc się, wydała odgłos rozdrażnienia.

- Obaj macie wełnę zamiast mózgu! Rand, wiesz, że ani nie wydasz takiego rozkazu, ani nie pozwolisz nikomu go wydać. A ty, Perrin, wiesz, że on tego nie zrobi. A teraz obaj przestańcie się zachowywać jak dwa obce koguty w jednym kurniku.

Sulin zachichotała, ale Perrin miał ochotę zapytać Min, na jakiej podstawie jest tego taka pewna, aczkolwiek nie było to pytanie, które mógł zadać w tym miejscu.

Rand przeczesał włosy palcami, potem pokręcił głową, jak człowiek, który nie zgadza się z kimś niewidzialnym. Jak szaleniec, który słyszy głosy.

- Nic nigdy nie może być łatwe, nieprawdaż? - stwierdził po jakimś czasie

posmutniały Rand. - Gorzka prawda jest taka, że nie potrafię orzec, co jest gorsze. Nic, co wybiorę, nie będzie dobre. One już o to zadbały. - Na jego twarzy malowała się rezygnacja, za to w zapachu pieniła się wściekłość. - Żywe czy martwe, zawsze będą mi ciążyć na grzbiecie niczym młyński kamień, więc zawsze będą mogły go złamać.

Perrin spojrzał śladem jego wzroku w stronę wziętych do niewoli Aes Sedai.

Wszystkie teraz stały, przy czym jakoś udało im się stworzyć niewielki dystans wobec tych trzech, które zostały ujarzmione, a także względem wszystkich pozostałych osób. Otaczające je Mądre szorstko wydawały rozkazy, sądząc po wykonywanych przez nie gestach, i spoglądały na siostry z zaciętymi minami. Może to lepiej, że Mądre będą ich pilnowały a nie Rand. Gdyby tylko mógł być tego pewien.

- Czy coś widziałaś, Min? - spytał Rand.

Perrin wzdrygnął się i rzucił ostrzegawcze spojrzenie w stronę Sulin i Nandery, ale Min roześmiała się cicho. Oparta o kolano Randa, po raz pierwszy od czasu, gdy znalazł ją przy studniach, wyglądała jak ta Min, którą znał tak dobrze.

- Perrin, one o mnie wiedzą. Mądre, Panny, może one wszystkie. I nic je to nie obchodzi. - Miała talent, który ukrywała, podobnie jak on wilki. Czasami widziała obrazy i aury otaczające ludzi, a niekiedy nawet wiedziała, co one oznaczają. - Ty nie wiesz, jak to jest, Perrin. Miałam dwanaście lat, kiedy to się zaczęło, i nie wiedziałam, że powinnam trzymać to w tajemnicy. Wszyscy uważali, że wszystko zmyślam. Dopóki nie powiedziałam, że pewien mężczyzna z sąsiedniej ulicy ożeni się z kobietą, z którą go zobaczyłam, a traf chciał, że on już był żonaty. Kiedy z nią uciekł, jego żona sprowadziła jakąś hałastrę do domu moich ciotek, twierdząc, że to ja jestem odpowiedzialna, że użyłam Jedynej Mocy na jej męża albo napoiłam oboje jakimś eliksirem. - Min pokręciła głową. -Nie wyrażała się zbyt jasno. Po prostu musiała

obarczyć kogoś winą. Ludzie gadali też, że ja jestem Sprzymierzeńcem Ciemności. Wcześniej w mieście były Białe Płaszcze, które usiłowały ich podburzać. W każdym razie ciotka Rana namówiła mnie, żebym powiedziała, że ich podsłuchiwałam, ciotka Miren obiecała, że mnie spierze za rozsiewanie plotek, a ciotka Jan stwierdziła, że mnie uśpi. Nie zrobiły tego, oczywiście... znały prawdę... ale gdyby one nie podeszły do tego tak zwyczajnie, przekonując wszystkich, że jestem tylko dzieckiem, to mogła mi się stać jakaś krzywda, mogli mnie nawet zabić. Ludzie nie lubią, gdy ktoś wie różne rzeczy na temat ich przyszłości, większość ludzi naprawdę nie chce jej znać, chyba że czeka ich coś dobrego. Nawet moje ciotki nie pragnęły nic wiedzieć. Ale Aielowie traktują mnie jak kogoś w rodzaju Mądrej, przez grzeczność.

- Jedni robią rzeczy, których inni nie potrafią - wtrąciła Nandera, jakby to było jakieś wytłumaczenie.

Min znowu się roześmiała i Wyciągnęła rękę żeby dotknąć kolana Panny.

- Dziękuję ci. - Podwinąwszy nogi, spojrzała na Randa. Znowu się uśmiechała, wręcz jakby promieniała. Tak wyglądała nawet wtedy, gdy już spoważniała. - Ale nie powiem ci nic przydatnego. Zarówno w przeszłości, jak i przyszłości Taima jest krew, ale tego akurat pewnie sam się domyślasz. To niebezpieczny człowiek. Im wszystkim towarzyszą wizje, tak samo jak Aes Sedai. - Ukośne spojrzenie przez spuszczone rzęsy w stronę Dashivy i innych Asha'manów mówiło wyraźnie, kogo miała na myśli. Wizje często są blisko ludzi, ale Min twierdziła, że Aes Sedai i Strażnikom towarzyszą zawsze. -Problem w tym, że wszystko, co widzę, jest zamazane. Moim zdaniem to dlatego, że oni są przepełnieni Mocą. To się często sprawdza w przypadku Aes Sedai, a jest jeszcze gorzej wtedy, kiedy przenoszą. Różne rzeczy otaczają Kirunę i jej towarzystwo, ale one trzymają się tak blisko siebie, że to wszystko... no cóż... miesza

się prawie cały czas. W przypadku wziętych do niewoli jest jeszcze bardziej mętne.

- Wziętymi do niewoli nie ma się co przejmować -powiedział Rand. - Tak się będzie mówiło.

- Ależ Rand, stale mam uczucie, że tu jest coś ważnego, pod warunkiem, że się tego doszukam. Musisz to wiedzieć.

- Jak nie wiesz wszystkiego, to musisz żyć dalej z tym, co już wiesz - zacytował suchym głosem Rand. - Wychodzi na to, że ja nigdy nie wiem wszystkiego. Rzadko kiedy dostatecznie dużo. Ale nie ma innego wyjścia, tylko trzeba żyć dalej, nieprawdaż? - Nie było to wcale pytanie.

Podszedł do nich Loial, który wbrew oczywistemu zmęczeniu cały tryskał energią.

- Rand, mówią, że są gotowi do wyjazdu, ale ty obiecałeś ze mną pogadać, dopóki sprawa jest świeża. - Nagle uszy mu zadrgały z zażenowania, a dudniący głos nabrał błagalnej barwy. - Przepraszam cię, wiem, że to raczej nie jest zabawne. Ale ja muszę wiedzieć. Dla książki. Dla Wieków.

Rand śmiejąc się, wstał i szarpnął ogira za poły rozpiętego kaftana.

- Dla Wieków? Czy wszyscy pisarze tak mówią? Nie martw się, Loial. Wszystko będzie nadal świeże, kiedy będę ci opowiadał. Nie zapomnę. - Mimo uśmiechu powiało od niego ponurym, kwaśnym zapachem, który natychmiast zanikł. - Ale dopiero po powrocie do Cairhien, kiedy wszyscy weźmiemy kąpiel i prześpimy się w łóżkach. - Rand dał znać Dashivie, że ma podejść bliżej.

Mężczyzna nie zaliczał się do ułomków, a jednak takie sprawiał wrażenie przez sposób, w jaki się poruszał, z wahaniem, z dłońmi założonymi na pasie, jakby się skradał.

- Lordzie Smoku? - powiedział, przekrzywiając głowę.

- Czy potrafisz utworzyć bramę, Dashiva?

- Oczywiście. - Dashiva zatarł ręce, oblizując wargi czubkiem języka, a Perrin zastanowił się, czy ten człowiek jest zawsze taki nerwowy, czy tylko wtedy, gdy rozmawia ze Smokiem Odrodzonym. - No bo M'Hael uczy Podróżowania jak tylko uczeń mu pokaże, że jest dostatecznie silny.

- M'Hael? - spytał Rand i zamrugał.

- To tytuł lorda Mazrima Taima, Lordzie Smoku. Oznacza "przywódcę". W Dawnej Mowie. - Mężczyzna jakimś sposobem uśmiechał się jednocześnie nerwowo i protekcjonalnie. - Dużo czytam na farmie. Wszystkie książki, które przywożą handlarze.

- M'Hael - mruknął z dezaprobatą Rand. - No cóż, niech i tak będzie. Zrób dla mnie bramę wychodzącą na okolice Cairhien, Dashiva. Czas sprawdzić, czego dokonał świat, kiedy mnie nie było i co teraz muszę z tym zrobić. -Roześmiał się smutno, ale Perrinowi włosy stanęły dęba, kiedy go usłyszał.

ROZDZIAŁ 3

WZGÓRZE ZŁOTEGO ŚWITU

Na szerokim szczycie niskiego wzgórza, w odległości kilku mil na północny wschód od Cairhien, z dala od wszelkich dróg i ludzkich osiedli, pojawiła się cienka pionowa kreska z czystego światła, wyższa od człowieka na koniu. Grunt opadał we wszystkich kierunkach, lekko falując; oprócz pojedynczych krzewów nic nie zasłaniało pola widzenia na przestrzeni co najmniej mili, aż do okolicznych lasów. Świetlna kreska wykonała obrót, rozpłaszczając zbrązowiałą trawę i rozszerzając się, dzięki czemu w powietrzu powstało kwadratowe otwarcie. Niejedna wśród martwych łodyg

została rozpłatana wzdłuż, równiej niż gdyby przecięła ją brzytwa. Rozpłatana przez otwór w powietrzu.

W tym samym momencie, w którym brama otworzyła się do końca, zaczęły się z niej wysypywać szeregi Aielów z osłoniętymi twarzami, mężczyzn i Panien, którzy natychmiast rozbiegali się we wszystkich kierunkach, żeby otoczyć wzgórze. Czterej Asha'mani o ostrych spojrzeniach, niemal niewidoczni w tym ludzkim potoku, zajęli pozycje wokół samej bramy, bacznie się przyglądając otaczającym ich lasom. Nic się nie poruszało oprócz wiatru, pyłu, wysokiej trawy i gałęzi drzew w oddali, a jednak Asha'mani lustrowali okolicę z zawziętością wygłodniałego jastrzębia, który wypatruje królika. Królik wypatrujący jastrzębia mógł być równie czujny, ale nigdy nie roztaczałby atmosfery takiej groźby.

Ludzki potok ani na moment nie ustał. W jednej chwili z bramy wylewali się Aielowie, w następnej wypadli z niej galopem Cairhienianie na koniach pod purpurowym Sztandarem Smoka. Dobraine, który nawet się nie zatrzymał, poprowadził swych ludzi na bok, po czym zaczął ich ustawiać nieco niżej na zboczu, w równych szeregach, w ich hełmach i rękawicach, z lancami uniesionymi pod jednym kątem. Zaprawieni w bojach byli gotowi natychmiast ruszyć do szarży w dowolnym kierunku, na każdy jego gest.

Perrin, podążający tuż za ostatnim Cairhienianinem, dosiadał Steppera, który jednym krokiem pokonał cały dystans od wzgórza pod Studniami Dumai aż do wzgórza w Cairhien; w trakcie przekraczania bramy mimo woli pochylił głowę. Do jej górnego skraju jego głowie brakowało wprawdzie sporo, ale on widział zniszczenia, jakich potrafiła dokonać brama i nie miał ochoty sprawdzać, czy znieruchomiała jest mniej groźna. Loial i Aram znajdowali się tuż za nim - ogir szedł pieszo ze swym

toporem o długim drzewcu wspartym na ramieniu - za nimi zaś podążali ludzie z Dwu Rzek, którzy już w sporej odległości do bramy zaczynali kulić się w siodłach. Rad al'Dai niósł sztandar z Czerwonym Wilczym Łbem, czyli godło Perrina zdaniem wszystkich, a Tell Lewin sztandar z Czerwonym Orłem.

Perrin usiłował nie patrzeć, zwłaszcza na tego Czerwonego Orła. Ludzie z Dwu Rzek chcieli za wielu rzeczy naraz. Był lordem, więc musiał mieć dwa sztandary. Był lordem, ale kiedy im mówił, że mają pochować te przeklęte sztandary, nigdy nie zdarzyło im się zniknąć na długo. Przez ten Czerwony Wilczy Łeb stawał się kimś, kim nie był i nie chciał być, a Czerwony Orzeł... Ponad dwa tysiące lat po tym, jak Manetheren umarło w Wojnach z Trollokami, blisko tysiąc lat po tym, jak Andor wchłonął część terytorium, które kiedyś należało do Manetheren, ten sztandar mógłby nadal znakomicie posłużyć w rebelii przeciwko Andoranom. W umysłach niektórych ludzi nadal roiły się legendy. Rzecz jasna minęło kilka pokoleń, odkąd ludzie z Dwu Rzek zatracili, do pewnego stopnia przynajmniej, poczucie bycia Andoranami, ale Królowe nie zmieniały zdania tak łatwo.

Poznał nową Królową Andoru w Kamieniu Łzy, w zamierzchłej przeszłości, jak mu się teraz zdawało. Wtedy zresztą tytuł królowej jej nie przysługiwał - i nie miał przysługiwać, dopóki nie zostanie koronowana w Caemlyn - niemniej jednak Elayne okazała się miłą, młodą i na dodatek ładną kobietą, aczkolwiek on nie specjalnie gustował w jasnowłosych kobietach. I trochę zanadto zapatrzoną w siebie, co nawet nie dziwiło w przypadku Dziedziczki Tronu. I także zapatrzoną w Randa, o ile migdalenie się po kątach cokolwiek oznaczało. Rand zamierzał dać jej nie tylko Tron Lwa, czyli tron Andoru, ale także Tron Słońca Cairhien. Z pewnością będzie dostatecznie wdzięczna, by się zgodzić na to wymachiwanie sztandarami, skoro one

tak naprawdę nic nie znaczyły. Perrin potrząsnął głową, obserwując, jak ludzie z Dwu Rzek rozwijają szereg za Wilczym Łbem i Czerwonym Orłem. To strapienie należało odłożyć na jakiś inny dzień.

Mężczyźni z Dwu Rzek, w większości młodzi chłopcy tacy jak Tod, synowie farmerów i pasterze, nie byli tak precyzyjni jak prawdziwi żołnierze, ale wiedzieli dobrze, co mają robić. Co piąty ujął wodze czterech koni, podczas gdy pozostali jeźdźcy pospiesznie pozsiadali z koni; cięciwy długich łuków już mieli naciągnięte. Ci na ziemi rozstawili się w nierówne szeregi, rozglądając się wokół z zainteresowaniem, ale sprawdzali kołczany doświadczonymi ruchami i obchodzili się wprawnie z łukami, tymi wielkimi łukami z Dwu Rzek, których długość dorównywała ich wzrostowi. Nikt spoza Dwu Rzek nie uwierzyłby, jak daleko potrafili z nich strzelać. Oraz że trafiali w cel, do którego mierzyli.

Perrin miał nadzieję, że tego dnia okażą się niepotrzebne. Czasami marzył o świecie, gdzie łuki nigdy nie są potrzebne. A Rand...

- Sądzicie, że moi wrogowie spali, kiedy ja... kiedy mnie nie było? - spytał ni stąd, ni zowąd Rand, kiedy czekali, aż Dashiva otworzy bramę. Miał na sobie kaftan wyszperany na którymś z wozów - dobrze skrojony, z zielonej wełny, ale raczej nie dostawał do tych, które zwykł nosić ostatnio. Był to jedyny przyodziewek w obozie, który na niego pasował, nie licząc kaftanów na grzbietach Strażników czy cadin'sor Aielów. Po prawdzie to człowiek mógłby pomyśleć, że uparł się na jedwab i misterne hafty, tak kazał przetrząsać wozy, i wczoraj, i tego ranka.

Wozy rozciągnęły się w szereg, konie zostały zaprzężone, zdjęto płócienne plandeki i żelazne obręcze. Kirunę i pozostałe siostry usadzono na wozie jadącym na czele, czym bynajmniej nie były uszczęśliwione. Przestały protestować, kiedy

zorientowały się, że to daremne, ale Perrin nadal słyszał zimne, gniewne pomrukiwania. Oni przynajmniej mieli jechać konno. Ich Strażnicy otoczyli wóz, milczący, podobni do kamieni, natomiast Aes Sedai wzięte do niewoli stały, tworząc zesztywniałą, ponurą gromadkę, otoczoną przez pierścień tych Mądrych, które nie towarzyszyły Randowi, czyli wszystkimi oprócz Sorilei i Amys. Strażnicy więźniarek, zbici w oddzielną grupę w odległości stu kroków, piorunowali wszystkich wzrokiem, podobni do zaczajonej, zimnej śmierci, mimo odniesionych obrażeń i pilnujących ich siswai'aman. Oprócz wielkiego, czarnego wierzchowca Kiruny, którego wodze trzymał Rand, oraz klaczy mysiej barwy o szczupłych pęcinach, której dosiadała Min, wszystkie te konie Aes Sedai i Strażników, których nie oddano Asha'manom - względnie te, które zaprzęgnięto do wozów, co spowodowało większe zamieszanie niż przymuszenie ich właścicieli do marszu' -zostały powiązane w długie szeregi uwiązane do tyłów wozów.

- Tak sądzisz, Flinn? Grady?

Asha'man, który miał przejść przez bramę pierwszy, zwalisty mężczyzna o twarzy farmera, popatrzył niepewnie na Randa, a potem na kulejącego starca o skórzastej twarzy. Obaj mieli przypiętą do kołnierza szpilkę w kształcie srebrnego miecza, ale nie smoka.

- Tylko głupiec myśli, że jego wrogowie stoją spokojnie, kiedy on nie patrzy, Lordzie Smoku - odparł starszy z mężczyzn gburowatym głosem. Ton jego głosu wskazywał, że to były żołnierz.

- A co ty na to, Dashiva?

Dashiva wzdrygnął się, zdziwiony, że do niego mówią.

- Ja... wychowałem się na farmie. - Poprawił swój pas od miecza, czego wcale

nie musiał robić. Wszyscy Asha'mani ewidentnie przeszli szkolenie nie tylko w zakresie stosowania Mocy, ale również władania mieczem, a mimo to Dashiva zdawał się nie odróżniać jednego jego końca od drugiego. -Nie bardzo wiem, co to znaczy mieć wrogów. - Oprócz niezdarności, miał w sobie też nieco buty. Ale z kolei całe to towarzystwo nawykło do arogancji.

- Jeżeli będziesz się trzymał blisko mnie - powiedział łagodnie Rand - dowiesz się, na czym to polega. - Perrin aż zadrżał na widok jego uśmiechu. Uśmiechał się, kiedy wydawał rozkaz przejścia przez bramę, jakby po drugiej stronie mieli zostać zaatakowani. Wrogowie są wszędzie, tak im powiedział. Trzeba zawsze o tym pamiętać. Wrogowie są wszędzie i człowiek nigdy nie wie, kim oni są.

Exodus ciągnął się bez przeszkód. Wozy przetoczyły się od Studni Dumai do Cairhien; jadące na przedzie siostry przypominały kolebiące się posągi wykute z lodu. Ich Strażnicy biegli obok truchtem, ściskając rękojeści mieczy i rozglądając się bacznie; najwyraźniej uważali, że ich Aes Sedai potrzebują ochrony zarówno przed tymi, którzy już czekali na wzgórzu, jak i tymi, którzy dopiero mieli wyłonić się z bramy. Mądre przemaszerowały przez nią, poganiając swe podopieczne; wiele używało przy tym kijów, mimo iż siostry po mistrzowsku udawały, że nie zauważają ani Mądrych, ani popędzania. Gai'shain dreptali w poczwórnej kolumnie, pilnowani przez jedną Pannę; ta wskazała im miejsce z dala od drogi, zanim pomknęła przyłączyć się do innych Far Dareis Mai i gai'shain uklękli tam w szeregach, nadzy jak nieopierzone sójki i dumni jak orły. Dalej szli pozostali Strażnicy, pod okiem własnych dozorców, roztaczając wokół siebie atmosferę stężałej furii, którą Perrin wyczuwał ponad wszystkim innym, dalej Rhuarc z resztą siswai'aman i Pannami, oraz czterej inni Asha'mani, z których każdy prowadził drugiego konia dla któregoś z pierwszych

czterech. Całą procesję zamykali Nurelle i jego Skrzydlata Gwardia z lancami ozdobionymi czerwonymi wstęgami.

Mayenianie aż puchli z dumy, że stanowią tylną straż; zaśmiewali się i przechwalali na użytek Cairhienian, co zrobią, jeśli powrócą Shaido, mimo iż tak naprawdę nie oni jechali na samym końcu. Na samym końcu jechał Rand na wałachu Kiruny oraz Min na swojej klaczy. Sorilea i Amys kroczyły obok, z jednej strony czarnego konia, z drugiej zaś towarzyszyły mu Nandera i pół tuzina Panien, a tuż za nimi Dashiva prowadził siwka o spokojnym wyglądzie. Brama zamigotała i zniknęła, a Dashiva mrugnął i z bladym uśmiechem wbił wzrok w to miejsce, po czym wdrapał się niezdarnie na siodło klaczy. Zdawał się mówić sam do siebie, ale to prawdopodobnie dlatego, że miecz mu się zaplątał między nogami, przez co omal nie upadł. Na pewno jeszcze nie oszalał.

Na wzgórzu stała armia, gotowa do ataku, który jakoś nie następował.

Niewielka armia, tylko kilka tysięcy, ale w czasach, zanim Aielowie przeprowadzili swoje rzesze przez Mur Smoka, wydawałaby się całkiem spora. Rand prowadził powoli swojego konia w stronę Perrina i przyglądał się uważnie okolicy. Dwie Mądre podążały tuż za nim, rozmawiając cicho i obserwując go, Nandera i Panny szły ich śladem, śledząc uważnie wszystko inne. Gdyby Rand był wilkiem, Perrin powiedziałby, że łapie wiatr. Przełożył Berło Smoka przez wysoki łęk siodła, kikut włóczni długości dwóch stóp, udekorowany zielono-białym chwastem i pokryty rzeźbieniami w kształcie smoków; jakiś czas przedtem zważył go lekko w dłoni, jakby chciał sobie przypomnieć o jego istnieniu.

Rand ściągnął wodze i przyjrzał się Perrinowi z równym napięciem jak okolicy.

- Ufam ci - powiedział po chwili, kiwając głową. Min poruszyła się w siodle, a

wtedy dodał: - I oczywiście tobie też, Min. I także tobie, Loial. - Ogir drgnął niespokojnie, oglądając się z wahaniem na Perrina. Rand ogarnął wzrokiem zbocze, Aielów, Asha'manów i wszystkich pozostałych. - Jest tak niewielu ludzi, którym mogę ufać - wyszeptał zmęczonym głosem. W wydzielanym przez niego zapachu mieszało się tyle różnych woni, że starczyłoby tego dla dwóch: gniew i strach, determinacja i rozpacz. A wszystko to podszyte zmęczeniem.

"Tylko nie oszalej - miał ochotę powiedzieć mu Perrin. - Trzymaj się". Ale poczucie winy paraliżowało mu język. Chciał to powiedzieć, bo Rand był Smokiem Odrodzonym, a nie przyjacielem z dzieciństwa. Pragnął, by jego przyjaciel pozostał przy zdrowych zmysłach; Smok Odrodzony musiał zachować zdrowe zmysły.

- Lordzie Smoku! - zawołał nagle jeden z Asha'manów. Z wyglądu niemal mały chłopiec, miał wielkie, ciemne oczy jak dziewczyna, a przy kołnierzu brakowało i miecza, i Smoka, ale nosił się dumnie. Narishima, Perrin słyszał, jak zwracano się do niego takim imieniem. - Na południowym zachodzie!

Spomiędzy drzew rosnących w odległości jakiejś mili wyłoniła się kobieta w spódnicach podkasanych aż do ud. Perrin widział, że to kobieta Aielów. Mądra, pomyślał, aczkolwiek tak do końca nie umiał tego stwierdzić. Był po prostu pewien. Na jej widok poczuł znowu to samo rozdrażnienie. Jej obecność w tym miejscu, kiedy akurat opuścili bramę, nie mogła oznaczać niczego dobrego. W czasie gdy on wyruszył na odsiecz Randowi, Shaido znowu zaczęli nękać Cairhien, ale dla Aielów Mądra była Mądrą, niezależnie od tego, do jakiego klanu należała. Spotykały się niczym sąsiadki przy herbatce, podczas gdy członkowie ich klanów mordowali się wzajem. Dwaj Aielowie, którzy właśnie usiłowali się zabić, schodzili na bok, żeby przepuścić Mądrą. Może poprzedniego dnia to się zmieniło, a może wcale nie. Westchnął, nagle znużony

tym wszystkim. Jej pojawienie się nie mogło w żadnym wypadku obiecywać niczego dobrego.

Niemal wszyscy na wzgórzu zdawali się odczuwać to samo. Tłum zafalował, uniosły się włócznie, strzały nasadzono na cięciwy. Cairhienianie i Mayenianie poprawili się w siodłach, a Aram z oczyma błyszczącymi wyczekiwaniem dobył miecza. Loial pochylił swój długi topór i z żalem przejechał palcem po jego ostrzu. Głowica miała taki sam kształt jak ogromny topór do rąbania drewna, ale była pokryta wyrzeźbionymi liśćmi, zakrętasami i inkrustowana złotem. Inkrustacje zatarły się nieco ostatniego razu, kiedy Loial używał topora. Użyje go znowu, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale z taką samą niechęcią, z jaką Perrin używał swojego, niechęcią powodowaną zasadniczo tym samym.

Rand tylko zatrzymał swego konia i patrzył w stronę kobiety z beznamiętną twarzą. Min podeszła bliżej i pogładziła go po ramieniu niczym ktoś, kto chce uspokoić wielkiego psa, zanim ten się wścieknie.

Mądre również nie zdradzały oznak niepokoju, ale nie czekały bezczynnie. Sorilea dała znak ręką i kilkanaście kobiet pilnujących Aes Sedai przyłączyło się do niej oraz Amys, w sporej odległości od Randa i nawet poza zasięgiem słuchu Perrina. Niewiele z nich miało siwe włosy i tylko Sorilea pomarszczoną twarz, ale z kolei wśród tych Mądrych rzadko która była siwa. Zazwyczaj mało który Aiel dożywał takiego wieku, aby zdążyć osiwieć. Te kobiety jednakże miały pozycję czy też wpływy, o których zresztą decydowały Mądre. Perrin widywał już przedtem, jak Sorilea i Amys naradzały się z nimi, aczkolwiek "naradzać się" nie było tu chyba właściwym słowem. Tym razem przemawiała Sorilea, wspierana niekiedy jakimś słowem przez Amys, pozostałe zaś tylko słuchały. Edarra zaczęła nawet z jakiegoś powodu protestować, ale

Sorilea uciszyła ją, najwyraźniej na moment nie tracąc kontenansu, po czym wskazała dwie z ich grupy, Sotarin i Cosain. Te natychmiast podkasały spódnice i błyskając łydkami, pospieszyły w stronę zbliżającej się ku nim kobiety.

Perrin poklepał Steppera po karku. Nie będzie więcej zabijania. Na razie.

Trzy Mądre spotkały się w odległości niemalże połowy mili za wzgórzem i tam też zatrzymały. Rozmawiały, tylko przez chwilę, a potem wszystkie ruszyły biegiem w stronę Sorilei. Nowo przybyła, młoda kobieta, obdarzona długim nosem i burzą niewiarygodnie rudych włosów, zaczęła pospiesznie coś mówić. Twarz Sorilei stawała się z każdym słowem coraz bardziej kamienna. Rudowłosa kobieta skończyła wreszcie - czy to raczej Sorilea przerwała jej kilkoma słowami - i całe towarzystwo odwróciło się w stronę Randa. Żadna jednak nie wykonała ani kroku naprzód. Czekały, z rękoma splecionymi w pasie i szalami udrapowanymi na ramionach, równie nieodgadnione jak Aes Sedai.

- Car'a'carn - mruknął chłodno Rand, ledwie słyszalnie. Przerzuciwszy nogę, zsunął się z siodła, po czym pomógł Min stanąć na ziemi.

Perrin też zsiadł z konia i poprowadził Steppera za nimi, w stronę Mądrych.

Loial wlókł się obok niego, Aram natomiast jechał ich śladem, nie zsiadając, dopóki Perrin nie nakazał mu tego gestem. Aielowie nie jeździli konno, w każdym razie do momentu, dopóki to nie było absolutnie konieczne, i uważali, że rozmawianie z nimi z wysokości końskiego grzbietu jest nietaktem. Przyłączył się do nich Rhuarc, a także Gaul, na twarzy którego z niewiadomego powodu malował się ponury grymas. Nie trzeba dodawać, że Nandera, Sulin i Panny też przyszły.

Rudowłosa zaczęła mówić, gdy tylko Rand podszedł bliżej.

- Bair i Megana wystawiają każdej nocy warty, na wypadek gdybyś wrócił do

miasta zabójców drzew, Car'a'carnie, ale po prawdzie, nikomu nie przyszło do głowy, że...

- Feraighin - upomniała ją Sorilea tak ostro, że mogła głosem upuścić krwi.

Rudowłosa zacisnęła usta tak gwałtownie, że zaszczękały jej zęby; wbiła spojrzenie swych jasnoniebieskich oczu w Randa, unikając wściekłego wzroku Sorilei.

Na koniec Sorilea odetchnęła i zwróciła się do Randa:

- W namiotach pojawił się kłopot - oświadczyła beznamiętnym głosem. - Wśród zabójców drzew krążą pogłoski, jakobyś udał się do Białej Wieży z Aes Sedai. Rzekomo zrobiłeś to po to, by zgiąć kolana przed Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Nikt, kto znał prawdę, nie odważył się mówić, bo skutki byłyby jeszcze gorsze.

- Jakie w takim razie są skutki? - spytał cicho Rand. Cały pachniał napięciem, a Min zaczęła go znowu gładzić po ramieniu.

- Wielu uważa, żeś porzucił Aielów - odpowiedziała mu równie cicho Amys. - Powróciła apatia. Każdego dnia tysiąc albo i więcej porzuca włócznie i znika, niezdolnych zmierzyć się z naszą przyszłością albo przeszłością. Niektórzy być może przechodzą na stronę Shaido. - Na chwilę jej głos zabarwił się obrzydzeniem. - Są też tacy, którzy szepczą, że prawdziwy Car'a'carn nie przeszedłby na stronę Aes Sedai. Indirian twierdzi, że to niemożliwe, byś ty udał się do Tar Valon z własnej woli. Jest gotów poprowadzić Codarra na północ, do Tar Valon, i zatańczyć włócznie z wszystkimi Aes Sedai, jakie tam znajdzie. Albo z każdym mieszkańcem mokradeł; powiada, że na pewno padłeś ofiarą zdrady. Timolan dla odmiany przebąkuje, że jeśli te wszystkie opowieści okażą się prawdziwe, w takim razie nas zdradziłeś i on poprowadzi Miagoma z powrotem do Ziemi Trzech Sfer. Po tym, jak już zobaczy twojego trupa. Mandelain i Janwin wstrzymują się z wyrażaniem swoich sądów, ale

słuchają jednako Indiriana i Timolana. - Rhuarc skrzywił się, wciągając powietrze przez zęby; coś takiego w przypadku Aiela równało się wydzieraniu sobie włosów w rozpaczy.

- To nie są dobre wieści - zaprotestował Perrin - ale ty tak je przekazujesz, jakby to był wyrok śmierci. Plotki ucichną, kiedy Rand się pokaże.

Rand przeczesał włosy palcami.

- Gdyby tak było, to Sorilea nie miałaby takiej miny, jakby połknęła jaszczurkę.

- Skoro już o tym mowa, Nandera i Sulin wyglądały tak, jakby jaszczurki w ich przełykach jeszcze żyły. - Czego mi jeszcze nie powiedziałaś, Sorilea?

Kobieta o skórzastej twarzy obdarzyła go skąpym, acz aprobującym uśmiechem.

- Potrafisz dostrzec więcej niż to, co się mówi. To dobrze. - Nadal jednak przemawiała obojętnym głosem. -Wracasz w towarzystwie Aes Sedai. Dla niektórych będzie to oznaczało, że naprawdę się ugiąłeś. Czego byś nie powiedział albo nie zrobił, będą przekonani, że nosisz uździenicę Aes Sedai. I nabiorą tego przekonania prędzej, niż stanie się powszechnie wiadome, że byłeś więźniem. Tajemnice znajdują szczeliny, przez które nie prześlizgnęłaby się pchła, a tajemnica znana tak wielu ludziom ma skrzydła.

Perrin spojrzał na Dobraine i Nurelle, obserwujących swoich żołnierzy, i niepewnie przełknął ślinę. Ilu wśród tych, którzy szli za Randem, robiło to dlatego, że ciążyły na nich rzesze podążających za nim Aielów? Nie wszyscy, z pewnością, ale na każdego człowieka, który dokonał takiego wyboru, bo Rand był Smokiem Odrodzonym, przypadało pięciu albo nawet dziesięciu takich, którzy stawili się, bo Światłość przyświecała najjaśniej najsilniejszym. Jeżeli jednak Aielowie odłączą się

albo odetną...

Nie chciał nawet myśleć o takiej ewentualności. W trakcie obrony Dwu Rzek wykorzystał swe umiejętności do granic, a może nawet je przekroczył. Ta'veren czy nie, nie miał złudzeń, że jest jednym z tych ludzi, którzy ostatecznie trafiają do opowieści bardów; to było pisane Randowi. Kres jego możliwości wyznaczały problemy na miarę wioski. A mimo to nie potrafił sobie pomóc. Wrzało mu w głowie. Co robić, gdy dojdzie do najgorszego? W myślach przewijały mu się listy: kto pozostanie lojalny, a kto będzie próbował się wymknąć. Pierwsza lista była dostatecznie krótka, a druga dostatecznie długa, by mu zaschło w gardle. Zbyt wielu nadal coś knuło dla korzyści własnych, jakby w życiu nie słyszeli o Proroctwach Smoka albo Ostatniej Bitwie. Podejrzewał, że niektórzy nadal by tak postępowali w dniu, w którym zacznie się Tarmon Gai'don. A już najgorsze z tego wszystkiego było to, że większość wcale nie okaże się Sprzymierzeńcami Ciemności, tylko ludźmi dbającymi przede wszystkim o własne interesy. Loialowi obwisły uszy; on też to dostrzegał.

Sorilea jeszcze nie skończyła rozmawiać z Randem, a już przeniosła wzrok w inną stronę; jej złowrogie spojrzenie mogłoby wywiercać dziury w żelazie.

- Powiedziano wam, że macie pozostać na wozie. - Bera i Kiruna zatrzymały się gwałtownie, a Alanna omalże na nie nie wpadła. - Powiedziano wam, że nie wolno dotykać Jedynej Mocy bez pozwolenia, a tymczasem wy słuchałyście tego, co się tu mówiło. Przekonacie się w takim razie, że kiedy coś mówię, mówię to poważnie.

Mimo złowróżbnego spojrzenia Sorilei, wszystkie trzy trwały na swoim miejscu; od Bery i Kiruny tchnęło lodowatą godnością, od Alanny przekorą. Ogromne uszy Loiala załopotały najpierw w ich stronę, a potem w stronę Mądrych; jeżeli

przedtem były oklapłe, to w tym momencie całkiem zwiędły, a nadto długie brwi opadły mu na policzki. Perrin, który niespokojnie analizował swoje listy, zastanowił się odruchowo, do czego Aes Sedai są gotowe się posunąć. Użyły Mocy, żeby podsłuchiwać! Jeszcze się przekonają, że reakcja Mądrych może okazać się gorsza od wybuchu Sorilei. A także reakcja Randa.

Nie tym razem, jednakże. Rand zdawał się nie zwracać na nie uwagi. Patrzył na Sorileę, jakby jej nie widział. Albo wsłuchiwał się w coś, czego nie słyszał nikt inny.

- Co z mieszkańcami mokradeł? - spytał na koniec. - Colavaere została koronowana, nieprawdaż? - Tak naprawdę to wcale nie było pytanie.

Sorilea przytaknęła, postukując kciukiem o rękojeść noża schowanego za pasem, ale ani na moment nie spuściła z oczu Aes Sedai. Aielów mało obchodziło, kto wśród mieszkańców mokradeł został wybrany na króla albo królową, zwłaszcza gdy chodziło o zabójców drzew rodem z Cairhien.

Perrin miał wrażenie, że w jego pierś wbił się lodowaty sopel. Fakt, że Colavaere z Domu Saighan pragnęła zdobyć Tron Słońca, nie stanowił żadnej tajemnicy; dążyła do tego od dnia, w którym Galldrian Riatin zginął skrytobójczą śmiercią, zanim Rand w ogóle ogłosił się Smokiem Odrodzonym, i potem nadal spiskowała, kiedy stało się powszechnie wiadome, że Rand chce, by na tym tronie zasiadła Elayne. Mało kto jednak wiedział, że ta kobieta potrafi zabijać z zimną krwią. I w tym mieście była Faile. Na szczęście nie sama. Bain i Chiad są blisko niej. Były nie tylko Pannami, ale przyjaźniły się z nią, może nawet tak, jak przyjaźnią się te tak zwane prawie-siostry Aielów; nie dopuszczą, by coś jej się stało. Niemniej jednak sopel nie chciał stopnieć. Colavaere nienawidziła Randa i, konsekwentnie, wszystkich osób bliskich Randowi. Na przykład żony człowieka, który jest przyjacielem Randa. Nie.

Bain i Chiad zapewnią jej bezpieczeństwo.

- To trudna sytuacja. - Kiruna przysunęła się znacząco blisko do Randa, ignorując Sorileę. Oczy Mądrej, kobiety, jakby nie było, drobnej, w tym momencie stały się podobne do dwóch młotów. - Wszystko, co zrobisz, może wywołać poważne reperkusje. Ja...

- Co Colavaere mówiła na mój temat? - spytał Rand Sorileę tonem jakby nieco zbyt zdawkowym. - Czy ona przypadkiem nie zrobiła czegoś Berelain?-Berelain, pierwsza z Mayene, była osobą, której Rand powierzył władzę w Cairhien. Dlaczego nie spytał o Faile?

- Berelain sur Paendrag miewa się dobrze - mruknęła Sorilea, nie przestając przyglądać się badawczo Aes Sedai. Kiruna z pozoru była nadal spokojna, mimo iż przerwano jej i zignorowano ją, ale ten wzrok, który utkwiła w Randzie, mógł zamrozić ogień w kuźni. Sorilea dała znak Feraighin.

Rudowłosa kobieta wzdrygnęła się i chrząknęła; najwyraźniej się nie spodziewała, że pozwolą jej powiedzieć bodaj słowo. Odrzuciła godność niczym pospiesznie wdziane ubranie.

- Colavaere Saighan powiada, że udałeś się do Caemlyn, Car'a'carnie, a może do Łzy, ale niezależnie od tego, dokąd się udałeś, wszyscy muszą pamiętać, że to ty jesteś Smokiem Odrodzonym i że to tobie należy okazywać posłuszeństwo. - Feraighin pociągnęła nosem; w proroctwach Aielów nie było mowy o Smoku Odrodzonym, tylko o Car'a'carnie. - Ona twierdzi, że wrócisz i zatwierdzisz jej koronację. Często rozmawia z wodzami, zachęcając ich, by kazali włóczniom ruszyć na południe. By tym samym okazali tobie posłuszeństwo, powiada. Mądrych nie dostrzega wcale i słyszy jedynie wiatr, kiedy my mówimy. - Tym razem pociągnęła nosem bardzo podobnie jak Sorilea.

Nikt nie mówił wodzom klanów, co mają robić, ale prowokowanie Mądrych było złą metodą na przekonywanie wodzów do czegokolwiek.

Perrin widział w tym jakiś sens, przynajmniej na tyle, na ile potrafił myśleć o czymkolwiek z wyjątkiem Faile. Colavaere prawdopodobnie nie zastanowiła się dostatecznie nad "barbarzyńcami", by do niej dotarło, że Mądre robią coś więcej oprócz zadawania ziół, ale pragnęła, by wszyscy Aielowie, co do jednego, opuścili Cairhien. W tych okolicznościach pytanie brzmiało: czy któryś z wodzów jej słuchał? A jednak Rand wcale nie zapytał o to, co oczywiste.

- Co jeszcze zdarzyło się w mieście? Wszystko, co ci wpadło do ucha, Feraighin. Może coś, co mogłoby się okazać ważne dla mieszkańca mokradeł.

Z pogardą potrząsnęła swą rudą grzywką.

- Mieszkańcy mokradeł przypominają piaskowe pchły, Car'a'carnie. Kto wie, co oni uznają za ważne? W mieście niekiedy dzieją się dziwne rzeczy, tak słyszałam, podobnie jak między namiotami. Ludzie widują rzeczy, które nie istnieją; one się pojawiają i znikają. A wtedy umierają mężczyźni, kobiety i dzieci. - Perrin poczuł gęsią skórkę; wiedział, że Feraighin mówi o tym, co Rand nazywał "bańkami zła"; unosiły się od więzienia Czarnego niczym piana na powierzchni cuchnącego bagna, a potem dryfowały po Wzorze tak długo, aż nie pękły. Perrin dał się kiedyś przez jedną pochwycić; nie chciał już nigdy zobaczyć drugiej... - Pytasz o to, co robią mieszkańcy mokradeł - ciągnęła - ale kto ma czas na przypatrywanie się piaskowym pchłom? Chyba że gryzą. To mi przypomina o jednym zdarzeniu. Ja go nie pojmuję, ale może ty tak. Zwłaszcza, że te pchły piaskowe na pewno będą prędzej czy później gryzły.

- Jakie pchły? Mieszkańcy mokradeł? O czym ty gadasz?

Feraighin nie była taka dobra jak Sorilea w rzucaniu oziębłych spojrzeń,

niemniej jednak żadna z Mądrych, które Perrin miał do tej pory okazję poznać, nie pochwalała czyjegoś zniecierpliwienia. Nawet jeśli okazywał je wódz wodzów.

Zadarłszy podbródek, poprawiła szal i odpowiedziała:

- Trzy dni temu pod miasto podeszli zabójcy drzew, Caraline Damodred i Toram Riatin. Wydali wprawdzie odezwę stwierdzającą, że Colavaere Saighan jest uzurpatorką, ale nadal siedzą w swoim obozie na południe od miasta i nie robią nic poza wysyłaniem co jakiś czas ludzi do miasta. A poza obozem stu spośród nich ugania się między algai'd'siswai albo nawet gai'shain. Wczoraj pod miasto przybył statkiem ten mężczyzna, który zwie się Darlin Sisnera, razem z innymi Tairenianami, po czym przyłączyli się tamtych. Ucztują i piją od tego czasu, jakby coś świętowali. Żołnierze zabójców drzew zbierają się w mieście na rozkaz Colavaere Saighan, ale obserwują nasze namioty o wiele uważniej niż innych mieszkańców mokradeł albo samo miasto. Obserwują, ale nic nie robią. Może ty znasz powody tego wszystkiego, Car'a'carnie, bo ja nie, i nie zna ich też Bair, Megana ani w ogóle nikt w namiotach.

Lady Caraline i lord Toram dowodzili Cairhienianami, którzy nie chcieli uznać faktu, że Rand i Aielowie podbili Cairhien, podobnie jak Wysoki Lord Darlin dowodził ich odpowiednikami w Łzie. Rewolta też wiele nie znaczyła; Caraline i Toram całymi miesiącami czekali u podnóży Grzbietu Świata, występując z pogróżkami i roszczeniami, Darlin zaś robił to samo w Haddon Mirk. Ale wyglądało na to, że już przestali to robić. Perrin zorientował się, że igra z ogniem po ostrzu topora. Zachodziła obawa, że Aielowie się wymkną, a tymczasem wrogowie Randa zbierali się w jednym miejscu. Jeszcze tylko brakowało, żeby pojawili się Przeklęci. A także Sevanna z jej Shaido. To byłaby śmietanka wieńcząca weselny tort. A tymczasem nic z tego nie było bardziej ważne niż to, czy ktoś widział marę nocną wśród żywych. Faile

musiała być bezpieczna; po prostu musiała.

- Lepiej obserwować, niż walczyć - mruknął w zamyśleniu Rand, znowu nasłuchując czegoś niewidzialnego.

Perrin zgadzał się z Randem całym sercem - chyba wszystko było lepsze od walki - ale Aielowie tak na to nie patrzyli, nie, kiedy chodziło o wroga. Wszyscy, począwszy od Rhuarca, Sorilei i Feraighin, a skończywszy na Nanderze i Sulin, zapatrzyli się na Randa, jakby ten powiedział, że lepiej pić piasek niż wodę.

Feraighin wyprostowała się, prawie stając na palcach. Nie była szczególnie wysoka jak na kobietę Aiel, nie sięgała Randowi nawet do ramienia, ale w tym momencie jakby stanęła z nim oko w oko.

- W tym obozie jest niewiele więcej niż dziesięć tysięcy mieszkańców mokradeł - powiedziała tonem wyrażającym dezaprobatę. - W mieście też nie ma ich wielu. Będzie łatwo się z nimi rozprawić. Nawet Indirian pamięta, że nie kazałeś zabijać mieszkańców mokradeł, chyba że w samoobronie, ale oni bardzo się starają, żeby narobić sobie kłopotów. Nie pomaga też, że w mieście są Aes Sedai. Kto wie, co one...

- Aes Sedai? - Słowa zostały wypowiedziane chłodno, a palce Randa zaciśnięte na Berle Smoka zbielały. - Ile? -Perrinowi ciarki przebiegły po skórze między łopatkami, kiedy poczuł zapach bijący od Randa; nagle zauważył, że pojmane do niewoli Aes Sedai obserwują ich, podobnie jak Bera, Kiruna i pozostałe.

Sorilea straciła zainteresowanie Kiruną. Wsparła ręce na biodrach i zacisnęła usta.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie dałaś mi szansy, Sorilea-zaprotestowała Feraighin, trochę jakby zadyszanym głosem i ze zgarbionymi ramionami. Niebieskie oczy przeniosły

spojrzenie na Randa i w tym momencie zaczęła mówić z większą energią. - Jest ich dziesięć albo i więcej, Car'a'carnie. My ich, rzecz jasna, unikamy, zwłaszcza od czasu...

-Znowu Sorilea i zadyszka. - Nie chciałaś słuchać o mieszkańcach mokradeł, Sorilea. Tylko o naszych namiotach. Tak mówiłaś. - Do Randa, prostując się. - Wiele z nich mieszka pod dachem Arilyn Dhulaine, Car'a'carnie, i rzadko go opuszcza. - Do Sorilei, garbiąc się. - Sorilea, wiesz przecież, że powiedziałabym ci wszystko. Przerwałaś mi. - Kiedy do niej dotarło, ile osób ich obserwuje i ile wśród nich zaczyna się uśmiechać, przede wszystkim Mądre, oczy jej zdziczały, a na policzkach pojawił się rumieniec. Obracała głowę to w stronę Randa, to Sorilei, poruszając ustami, z których nie wydobywał się żaden dźwięk. Niektóre Mądre zaczęły się śmiać, zasłaniając usta dłońmi; Edarra nawet nie podniosła ręki. Rhuarc odrzucił głowę w tył i ryknął głośno. Perrinowi z pewnością nie było do śmiechu. Aielowie ubawiliby się nawet wtedy, gdyby ktoś przebił go mieczem. Aes Sedai na domiar wszystkiego. Światłości! Przerwał to wszystko, prosto z mostu pytając o to, co było ważne.

- Feraighin? Czy moja żona, Faile, ma się dobrze?

Obdarzyła go z lekka roztargnionym spojrzeniem, po czym wyraźnie zebrała się w sobie.

- Myślę, że Faile Aybara ma się dobrze, Sei'cairze -odparła chłodno, już opanowana. Albo prawie opanowana. Cały czas zerkała kątem oka na Sorileę. Sorilea, która ani trochę nie była rozbawiona, założyła ręce i wbiła w Feraighin badawcze spojrzenie, przy którym to, jakim obdarzyła Kirunę, zdawało się łagodne.

Amys położyła rękę na ramieniu Sorilei.

- Ona nie jest niczemu winna - mruknęła młodsza kobieta, zbyt cicho, by dotarło to do czyichś uszu, wyjąwszy uszy skórzastej Mądrej i Perrina. Sorilea zawahała się,

po czym przytaknęła; krwiożerczość ustąpiła miejsca zwykłej swarliwości. Amys była jedyną osobą, która, na ile Perrin się orientował, potrafiła coś takiego osiągnąć, jedyną, której Sorilea by nie zdeptała, gdyby stanęła jej na drodze. Cóż, nie zdeptałaby również Rhuarca, ale do niego doskonale pasowało porównanie z głazem, niewzruszonym wobec burzy z piorunami; Amys natomiast umiała sprawić, by ta burza przestała powodować ulewny deszcz.

Perrin chciał wyciągnąć więcej od Feraighin - myślała, że Faile ma się dobrze? - ale zanim zdążył otworzyć usta, Kiruna przystąpiła do ataku ze zwykłym dla siebie taktem.

- Posłuchaj mnie teraz uważnie - zwróciła się do Randa, wymownie gestykulując mu przed nosem. - Nazwałam sytuację delikatną. Otóż ona nie jest delikatna. Jest złożona ponad nasze wyobrażenie, tak krucha, że byle oddech mógłby ją roztrzaskać. Bera i ja będziemy ci towarzyszyły do miasta. Tak, tak, Alanno, ty też. - Uciszyła szczupłą Aes Sedai zniecierpliwionym machnięciem ręki. Perrin uznał, że chyba usiłuje użyć tej sztuczki z górowaniem nad wszystkimi wzrostem. Zdawała się spoglądać na Randa z góry, a mimo to on i tak był od niej o całą głowę wyższy. - Musisz nam pozwolić się poprowadzić. Jeden zły ruch, jedno złe słowo, i sprowadzisz na Cairhien taką samą klęskę, na jaką skazałeś Tarabon i Arad Doman. Co gorsza, możesz doprowadzić do nieobliczalnej katastrofy spraw, o których nie wiesz nieomal nic.

Perrin skrzywił się. Cała ta przemowa nie mogła być lepiej zaplanowana, żeby rozwścieczyć Randa. Tymczasem Rand zwyczajnie jej wysłuchał, po czym zwrócił się do Sorilei.

- Zabierz Aes Sedai do namiotów. Na razie wszystkie. Dopilnuj, by ludzie się

dowiedzieli, że to Aes Sedai. Niech widzą, że one skaczą, kiedy ty powiesz "ropucha". A ponieważ ty sama skaczesz, kiedy tak ci rozkaże Car'a'carn, wszyscy powinni dzięki temu nabrać przekonania, że Aes Sedai nie prowadzą mnie na smyczy.

Twarz Kiruny zrobiła się jasnoczerwona; pachniała wściekłością i oburzeniem tak silnie, że Perrina aż zaswędziało w nosie. Bera próbowała ją uspokoić, bez większego powodzenia, jednocześnie obrzucając Randa spojrzeniami mówiącymi "ty głupi, młody prostaku", Alanna zaś zagryzła wargę, starając się nie uśmiechnąć. Niemniej jednak, sądząc po woniach bijących od Sorilei i pozostałych, Alanna nie miała żadnych powodów do rozbawienia.

Sorilea obdarowała Randa błyskiem uśmiechu

- Być może, Car'a'carnie - odparła sucho. Perrin wątpił, by ona zechciała skakać dla kogokolwiek. - Może to ich przekona. - Sama raczej nie była przekonana.

Rand raz jeszcze potrząsnął głową i oddalił się wielkimi krokami, razem z Min, a także Pannami towarzyszącymi mu jak cień, po drodze wydając rozkazy, kto ma iść z nim, a kto z Mądrymi. Rhuarc zaczął wydawać rozkazy siswai'aman. Alanna odprowadziła Randa wzrokiem. Perrin bardzo żałował, że nie ma pojęcia, co się tutaj właściwie dzieje. Sorilea i pozostałe też obserwowały Randa i pachniały wszystkim, tylko nie łagodnością.

Zauważył, że Feraighin została sama. Oto miał swoją szansę. Ale kiedy próbował ją dogonić, otoczyły ją Sorilea, Amys i reszta "rady", niemal usuwając go łokciami z drogi. Oddaliły się na pewną odległość, po czym zasypały ją gradem pytań, rzucając przy tym ostre spojrzenia w stronę Kiruny i pozostałych dwóch sióstr, nie pozostawiając ani cienia wątpliwości, że nie będą tolerowały dalszego podsłuchiwania. Kiruna zresztą ewidentnie się nad tym zastanawiała, popatrując tak

ponuro, że aż dziw brał, iż jej ciemne włosy nie stanęły jeszcze dęba. Bera zaczęła coś do niej mówić stanowczym tonem i Perrin bez wysilania się pochwycił takie słowa jak: "rozsądek", "cierpliwość", "ostrożna" i "głupie". Nie było jasne, do kogo się stosują.

- W mieście dojdzie do walk, kiedy do niego dotrzemy. - W głosie Arama słyszało się zapał.

- Ależ skąd! - zaprotestował mężnie Loial. Uszy mu zadrgały i zerknął niepewnie na swój topór. - Nie dojdzie do walk, mam rację, Perrin?

Perrin potrząsnął głową. Nie wiedział. Gdyby tylko tamte Mądre zechciały zostawić Feraighin samą, choć na kilka chwil. O czym z nią rozmawiały, że było to aż takie ważne?

- Kobiety są jeszcze dziwniejsze niż pijani mieszkańcy mokradeł - burknął Gaul.

- Co? - spytał nieobecnie Perrin. Co by się stało, gdyby zwyczajnie przepchnął się przez krąg Mądrych? Edarra spojrzała na niego z marsem na czole, jakby czytała w jego myślach. A oprócz niej kilka innych; czasami naprawdę mu się zdawało, że kobiety czytają w myślach mężczyzn. Cóż...

- Powiedziałem, że kobiety są dziwne, Perrinie Aybara. Chiad oświadczyła, że nie złoży ślubnego wieńca u moich stóp; naprawdę mi tak powiedziała. - Ton głosu Aiela wskazywał, że jest zbulwersowany. - Powiedziała, że weźmie mnie na kochanka, ona i Bain, ale nic więcej. - Kiedy indziej coś takiego zaszokowałoby Perrina, mimo iż słyszał już wcześniej podobne wypowiedzi; Aielowie byli nadzwyczaj... swobodni... w takich sprawach. -Jakbym nie nadawał się na męża. - Gaul parsknął gniewnie. - Nie lubię Bain, ale ożeniłbym się z nią, byle tylko uczynić Chiad szczęśliwą. Skoro Chiad nie chce wykonać ślubnego wieńca, to powinna przestać mnie kusić. Skoro nie potrafię jej zainteresować dostatecznie, by zechciała wyjść za mnie, to powinna mnie zostawić

w spokoju.

Perrin spojrzał na niego krzywo. Zielonooki Aiel był wyższy od Randa, niemal o głowę wyższy od niego samego.

- O czym ty gadasz?

- O Chiad oczywiście. Nie słuchałeś mnie? Ona mnie unika, ale za każdym razem, kiedy ją widzę, zatrzymuje się na dość długo, by się upewnić, że ją dostrzegłem. Nie mam pojęcia, jak wy z mokradeł to robicie, ale u nas jest to jedna z kobiecych sztuczek. Kiedy się jej najmniej spodziewasz, nagle staje ci przed oczami, a potem znika. Aż do tego ranka nawet nie wiedziałem, że jest wśród Panien.

- Chcesz powiedzieć, że ona tu jest? - wyszeptał Perrin. Tamten sopel powrócił i drążył go teraz niczym wielki miecz. - A co z Bain? Ona też tu jest?

Gaul wzruszył ramionami.

- Jedna rzadko oddala się od drugiej. Ale ja chcę zainteresowania Chiad, a nie Bain.

- A do Czarnego z ich zainteresowaniami! - krzyknął Perrin. Mądre odwróciły się, żeby na niego spojrzeć. W rzeczy samej zrobili to wszyscy ludzie na zboczu. Kiruna i Bera wytrzeszczyły oczy, z twarzami jakby zbyt zamyślonymi. Z wysiłkiem zmusił się do zniżenia głosu. Nie mógł jednak nic zrobić z tym napięciem. -Przecież miały ją chronić! Ona jest w mieście, w Pałacu Królewskim, przy Colavaere... tam, gdzie Colavaere! Miały ją chronić.

Gaul podrapał się po głowie i spojrzał na Loiala.

- Czy to jakiś humor mieszkańców mokradeł? Faile Aybara wyrosła już z krótkich spódniczek.

- Wiem, że nie jest dzieckiem! - Perrin zrobił głęboki wdech. Trudno mu było

zdobyć się na obojętny ton, kiedy miał brzuch pełen kwasu. - Loial, zechciej wyjaśnić... Gaulowi, że nasze kobiety nie uganiają się z włóczniami, że Colavaere nie zaproponowałaby, że będzie walczyć z Faile, tylko zwyczajnie wydałaby komuś rozkaz, żeby jej poderżnął gardło albo cisnął na ścianę, albo... - Już same te obrazy wystarczały mu aż nadto. Przeraził się, że zaraz zacznie wymiotować.

Loial poklepał go niezdarnie po ramieniu.

- Perrin, wiem, że się martwisz. Wiem, jak ja sam bym się czuł, gdyby coś stało się Erith. - Kępki na uszach mu zadrżały. Z nim dopiero dobrze się rozmawiało; biegłby co sił w nogach, żeby uciec przed matką i młodą kobietą Ogir, którą tamta dla niego wybrała. - Mhm. No cóż... Perrin, Faile czeka na ciebie, cała i zdrowa. Ja to wiem. A ty wiesz, że ona potrafi zadbać o siebie. A jakże, ona potrafiłaby zadbać o siebie, ciebie i mnie, nawet o Gaula. - Jego tubalny śmiech był wyraźnie wymuszony i prędko przycichł, przechodząc w grobową powagę. - Perrin... Perrin, wiesz przecież, że nie zawsze znajdziesz się na tyle blisko, aby ochronić Faile, jak bardzo byś tego nie pragnął. Jesteś ta'veren; Wzór wyprządł cię celowo i wykorzysta cię w tym celu.

- A żeby ten Wzór sczezł - warknął Perrin. - Wszystko może sczeznąć, byle tylko ona była bezpieczna. - Zaszokowanemu Loialowi zesztywniały uszy i nawet Gaul wyglądał na wstrząśniętego.

"No i jak teraz wyglądam?" - zadał sobie pytanie Perrin. Gardził tymi, którzy dbali wyłącznie o swoje sprawy, lekceważąc Ostatnią Bitwę i cień Czarnego rozpełzający się po świecie. Czym się od nich różnił?

Rand podjechał do niego na swoim karym koniu i ściągnął wodze.

- Jedziesz?

- Jadę - odparł ponuro Perrin. Nie znał odpowiedzi na swoje pytania, ale

wiedział jedno. Dla niego całym światem była Faile.

ROZDZIAŁ 4

DO CAIRHIEN

Na miejscu Randa Perrin narzuciłby jeszcze szybsze tempo, wiedział jednak, że konie nie wytrzymałyby go na dłuższą metę. Na przemian jechali kłusem i biegli obok swych zwierząt. Rand zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na towarzyszące mu osoby, tyle że zawsze wyciągał rękę, kiedy Min się potknęła. Poza tym trwał zagubiony w jakimś innym świecie i mrugał ze zdziwieniem za każdym razem, kiedy jego wzrok padał na Perrina albo Loiala. Z innymi zresztą wcale nie było lepiej. Żołnierze Dobraine i Haviena patrzyli prosto przed siebie, gryząc się myślami o tym, co zastaną. A ludziom z Dwu Rzek udzielił się ponury nastrój Perrina. Lubili Faile - prawdę mówiąc, niektórzy ją wręcz uwielbiali - i gdyby stała jej się jakaś krzywda... Nawet Aram stracił nieco swego zapału, kiedy do niego dotarło, że Faile może coś grozić. Wszyscy skupili się na tych ligach drogi, które jeszcze mieli do pokonania. Wszyscy z wyjątkiem Asha'manów; ci jechali tuż za Randem, podobni do stadka kruków, i czujnie obserwowali okolice, przez które przejeżdżała ich kolumna, wypatrując zasadzki. Dashiva zgarbił się w siodle i wyglądał niczym pusty worek, mruczał ponuro do siebie, kiedy musiał galopować; cały czas wytrzeszczał oczy, jakby miał nadzieję, że to on tę zasadzkę wypatrzy.

Szanse miał niewielkie. Na czele kolumny, w zasięgu wzroku Perrina biegły Sulin i kilkanaście Far Dareis Mai, a przed nimi i po bokach tyleż samo kolejnych; one wszystkie również badały drogę. Nad głowami niektórych kołysały się groty krótkich włóczni, wsunięte pod rzemienie, które przytraczały futerały od łuków; same łuki zaś trzymały już w rękach, ze strzałami nasadzonymi na cięciwy. Niezmordowanie wypatrywały wszystkiego, co mogłoby zagrozić nie tylko Car'a'carnowi, ale i samemu

Randowi, jakby się spodziewały, że znowu im zniknie. Gdyby tam, na przodzie, czekała na nich jakaś pułapka, gdyby groziło niebezpieczeństwo, one by to wykryły.

Jedną z Panien towarzyszących Sulin była Chiad, wysoka kobieta o ciemnorudych włosach i szarych oczach. Perrin wpatrywał się w jej plecy, pragnąc, by choćby na chwilę pozostała z tyłu za innymi i porozmawiała z nim. Ta co jakiś czas raczyła na niego spojrzeć, ale unikała go, jakby cierpiał na co najmniej trzy choroby i to wszystkie zakaźne. Bain nie przyłączyła się do kolumny; większość Panien wędrowała zasadniczo tą samą trasą co Rhuarc i algai'd'siswai, ale przez wozy i więźniów poruszały się znacznie wolniej.

Czarna klacz Faile truchtała tuż za Stepperem; uwiązał jej wodze do swego siodła. Ludzie z Dwu Rzek sprowadzili Jaskółkę z Caemlyn, kiedy przyłączyli się do niego w drodze do Studni Dumai. Za każdym razem, kiedy spojrzał na pląsającą przed nim klacz, przed oczami stawała mu twarz żony, jej wydatny nos i dorodne usta, te lśniące ciemno, skośne oczy nad wystającymi kośćmi policzkowymi. Kochała to zwierzę, może nawet tak mocno jak kochała jego. Kobieta równie dumna jak piękna, równie zapalczywa jak piękna. Córka Davrama Bashere nie będzie się kryła ani choćby trzymała języka za zębami, nie w obecności takich jak Colavaere.

Zatrzymywali się cztery razy, by dać wierzchowcom odpocząć; zgrzytał zębami z powodu tej zwłoki. Należyta dbałość o konie weszła mu w krew, a jednak badał Steppera i poił go wodą nieobecny duchem, mechanicznie. Z Jaskółką obchodził się znacznie ostrożniej. Jeżeli Jaskółka dotrze bezpiecznie do Cairhien... W głowie lęgła mu się uparcie pewna myśl. Faile nic się nie stanie, jeżeli on doprowadzi jej klacz do Cairhien. Były to niedorzeczne, dziecinne wymysły, głupie wymysły małego chłopca, a jednak nie potrafił ich odegnać.

Min starała się go uspokoić podczas każdego przystanku. Mówiła mu z przymilnym uśmiechem, że wygląda jak śmierć w zimowy poranek, która tylko czeka, aż ktoś wykopie sobie grób. Ostrzegała, że jeśli zbliży się do swojej żony z taką twarzą, to Faile zatrzaśnie mu drzwi przed nosem. Musiała jednak przyznać, że żadne z jej widzeń nie obiecywało, iż Faile jest cała i zdrowa.

- Perrin, na Światłość! - jęknęła na koniec rozdrażnionym tonem, wdziewając swe szare rękawiczki do konnej jazdy - jeżeli ktokolwiek spróbuje zrobić coś tej kobiecie, ona każe mu zaczekać na korytarzu, aż znajdzie dla niego czas. -Omal na nią nie warknął. Co wcale nie znaczyło, by oboje się znielubili.

Loial przypomniał Perrinowi, że uczestnicy Polowania na Róg potrafią sami o siebie zadbać i że Faile wyszła bez uszczerbku ze starcia z trollokami.

- Wszystko z nią dobrze - zagrzmiał serdecznym tonem, biegnąc obok Steppera ze swym długim toporem zarzuconym na ramię. - Wiem, że tak jest. - Ale powtarzał to samo dwadzieścia razy i za każdym razem brzmiało to jakby odrobinę mniej przekonująco.

Ogir w swych próbach dodania mu otuchy posunął się wręcz dalej, niż zamierzył.

- Jestem pewien, że Faile potrafi zadbać o siebie, Perrin. Ona nie jest taka jak Erith. Ja ledwie się mogę doczekać, kiedy Erith uczyni mnie swym mężem, żebym mógł się nią opiekować; wydaje mi się, że umarłbym, gdyby zmieniła zdanie. - Nie zamknął ust, kiedy już to powiedział, a na dodatek wybałuszył swe już i tak ogromne oczy; z rozedrganymi uszami potknął się o własne buty i omal nie upadł. - To mi się powiedziało niechcący - wytłumaczył ochryple, znowu idąc tuż obok konia Perrina. Uszy nie przestały mu drżeć. - Ja chyba nie chcę... Jestem za młody, żeby już się... - Z

trudem przełknął ślinę, po czym obrzucił Perrina oskarżycielskim spojrzeniem; takie samo zresztą posłał także w stronę jadącego na przedzie Randa. - Lepiej nie otwierać ust w obecności dwóch ta'veren. Nigdy nie wiadomo, co może się człowiekowi wypsnąć!

Mimo iż obawa o Faile zupełnie przesłoniła mu pozostałe myśli, Perrin nie był ślepy, nie całkiem w każdym razie. To, co zobaczył, nie widząc tak naprawdę, kiedy skierowali się na południowy zachód, z początku zagnieździło się gdzieś na skraju umysłu. Podobny upał panował, rzecz jasna, również wtedy, gdy przed niespełna dwoma tygodniami wyjeżdżał z Cairhien, kierując się na północ, a jednak odniósł wrażenie, że dotknięcie Czarnego jeszcze bardziej się umocniło, że przeżerało ziemię jeszcze bardziej przemożnie niż dotychczas. Krucha trawa rozpadała się pod kopytami koni, skurczone brązowe pnącza na oplecionych pajęczynami skałach wystających ze zboczy i nagie konary, nie tylko ogołocone z liści, ale wręcz umarłe, pękały w powiewach suchego wiatru. Wiecznie zielone sosny i drzewa skórzanego liścia były przeważnie brunatne i pożółkłe.

Ledwie pokonali pierwsze mile, pojawiły się farmy, proste budowle z ciemnego kamienia skonstruowane na planie kwadratu, początkowo pojedyncze na odludnych polanach w lesie, a potem coraz liczniejsze, kiedy las zrzedł do tego stopnia, że ledwie zasługiwał na to miano. Między drzewami napotykali niekiedy drogi dla wozów, obiegające górskie skarpy i szczyty, najczęściej łączące otoczone kamiennymi murami pola. Większość pierwszych farm, jakie napotkali, wyglądała na opustoszałe - tu krzesełko z drabinkowym oparciem leżące na boku przed domostwem, tam szmaciana lalka tuż obok drogi. Sylwetki krów o zapadniętych żebrach i pogrążonych w letargu owiec znaczyły cętkami pastwiska tam, gdzie kruki znęcały się nad padliną; rzadko

gdzie nie leżało jedno albo dwa truchła. Strumienie płynęły cienką strugą w kanałach z zaschłego błota. Zdawało się, że te pola uprawne, które winny wszak zniknąć już pod śniegiem, lada chwila skruszeją na proch. Z niektórych zresztą został już chyba tylko pył, rozwiewany przez wiatr.

Wysoki pióropusz pyłu naznaczał przemarsz kolumny aż do wąskiej, ubitej drogi, która łączyła się z szerokim, brukowanym traktem wiodącym od Przełęczy Jangai. Tutaj byli ludzie, aczkolwiek nieliczni i często senni, z mętnym wzrokiem. Powietrze, teraz gdy zachodzące słońce pokonało już prawie połowę drogi do horyzontu, nabrało temperatury wnętrza pieca. Co jakiś czas fura ciągniona przez woły albo wóz z konnym zaprzęgiem ustępowały im miejsca na trakcie, zjeżdżając na wąskie dróżki albo wręcz prosto na pola. Woźnice i nieliczni farmerzy stawali z pozbawionymi wyrazu twarzami na otwartej przestrzeni, obserwując mijające ich trzy sztandary.

Blisko tysiąc uzbrojonych mężczyzn stanowiło dostateczny powód, by wytrzeszczyć oczy. Tysiąc uzbrojonych mężczyzn, udających się dokądś w pośpiechu, w jakimś celu. Dostateczny powód, by wytrzeszczyć oczy i poczuć ulgę, kiedy już zniknęli z zasięgu wzroku.

Na koniec, kiedy słońcu brakowało do horyzontu mniej niż wynosiły dwie średnice jego tarczy, droga wspięła się na wzgórze, za którym, w odległości dwóch albo trzech mil, leżało Cairhien. Rand ściągnął wodze, a Panny, zebrane teraz w jedną gromadę, przykucnęły na piętach tam, gdzie akurat stały. Jednak w dalszym ciągu rozglądały się czujnie dookoła.

Nic się nie ruszało na prawie bezleśnych wzgórzach, które otaczały miasto, wielkie zwałowisko szarych kamieni opadające w stronę rzeki Alguenyi na zachodzie,

pełne kanciastych murów, kanciastych wież, surowe i nieugięte. Na rzece kotwiczyły statki najrozmaitszych rozmiarów; inne cumowały w dokach przy przeciwległym brzegu, gdzie stały spichlerze. Bardzo niewiele łodzi poruszało się pod żaglami albo długimi wiosłami; tchnęły atmosferą spokoju i dobrobytu. Na niebie nie było ani jednej chmury, toteż słońce świeciło ostro i Perrin widział wyraźnie ogromne sztandary zawieszone na wieżach miasta, falujące na wietrze. Szkarłatny Sztandar Światłości, biały sztandar Smoka, przedstawiający podobnego do węża stwora o szkarłatnych i złotych łuskach, oraz Wschodzące Słońce Cairhien, złote na niebieskim tle. Czwarty sztandar wyróżniał się tak samo jak tamte. Srebrny diament na tle żółto-czerwonej szachownicy.

Sposępniały Dobraine odjął niewielkie szkło powiększające od oka i wepchnął je do skórzanej tuby uwiązanej przy siodle.

- Miałem nadzieję, że barbarzyńcy z jakiegoś powodu źle zrozumieli sytuację, ale skoro Dom Saighan powiewa obok Wschodzącego Słońca, znaczy że Colavaere rzeczywiście zasiadła na tronie. Zapewne codziennie rozdaje na mieście podarki: pieniądze, jedzenie, ozdoby. Tak nakazuje tradycja Święta Koronacji. Władca nigdy nie cieszy się większą popularnością niż podczas tego pierwszego tygodnia swego panowania. - Zerknął z ukosa na Randa, z twarzą ściągniętą napięciem; mówił zbyt szczerze, zbyt wiele odsłonił. -Gmin może wszcząć zamieszki, jeśli nie spodoba mu się to, co robisz. Ulice spłyną krwią.

Szary wałach Haviena pląsał niespokojnie, czując zniecierpliwienie swego jeźdźca, sam Havien zaś stale popatrywał to na Randa, to na miasto. To nie było jego miasto, już wcześniej dał jasno do zrozumienia, że niewiele go obchodzi, co się dzieje na ulicach, póki jego władczyni jest bezpieczna.

Rand przez dłuższą chwilę obserwował Cairhien. Albo przynajmniej udawał; niezależnie od tego, co zobaczył, jego twarz pozostała nieodgadniona. Min przyglądała mu się z troską, a może ze współczuciem.

- Postaram się do tego nie dopuścić - obiecał w końcu. - Flinn, zostań tutaj, razem z żołnierzami. Min...

Ruszyła ostro na niego.

- Nie! Jadę tam, gdzie ty, Randzie al'Thor. Potrzebujesz mnie i wiesz o tym. - Wprawdzie ostatnia kwestia zabrzmiała bardziej jak błaganie niż żądanie, ale kiedy kobieta kładzie pięści na biodrach w taki sposób i wpija w ciebie wzrok, to raczej nie prosi.

- Ja też jadę - dodał Loial, wspierając się na swym toporze o długim drzewcu.

-Ty zawsze dokonujesz różnych czynów, kiedy ja akurat jestem gdzieś indziej. - W jego głosie pojawiły się niespokojne tony. - Nic z tego, Rand. To nie pomoże książce. Jak miałbym o czymś napisać, kiedy mnie nie będzie przy tobie?

Rand, który nadal nie spuszczał oka z Min, podniósł rękę w jej stronę i zaraz ją opuścił. Dziewczyna patrzyła mu spokojnie w oczy.

- To... szaleństwo. - Dashiva, który sztywno trzymał wodze, podjechał do Randa na swej tłustej klaczy. Niechęć wykrzywiała mu twarz; być może nawet Asha'mani bali się przebywać zbyt blisko Randa. - Wystarczy jeden człowiek z... łukiem albo nożem, którego nie zobaczysz w odpowiednim momencie. Poślij jednego z Asha'manów, by zrobił to, co trzeba zrobić, albo i więcej, jeśli uznasz, że to konieczne. Otworzy się bramę wiodącą do pałacu i będzie po wszystkim, zanim ktokolwiek się zorientuje, co się właściwie stało.

- I mamy tu siedzieć aż do zmroku - przerwał mu Rand, tak ściągając wodze

swojego wierzchowca, by stanąć twarzą do Dashivy - aż oni poznają to miejsce dostatecznie dobrze, by móc otworzyć bramę? W ten sposób z pewnością doprowadzimy do rozlewu krwi. Przecież zauważyli nas z murów, no chyba że są ślepi. Prędzej czy później wyślą kogoś, by się dowiedział, kim jesteśmy i ilu nas jest. - Inni tworzący kolumnę nie wyszli z ukrycia za wzniesieniem, a sztandary zostały opuszczone, jednakże grupa ludzi na koniach, z Pannami do towarzystwa, którzy pojawili się na szczycie, mogła istotnie budzić ciekawość. - Zrobię to po swojemu. - Z gniewu głos uniósł mu się w wyższe rejestry, cały pachniał zimną furią. - Nikt nie umrze, chyba że nie da się tego uniknąć, Dashiva. W żołądku mi się przewraca na myśl o śmierci. Rozumiesz mnie? Nikt!

- Jak Lord Smok rozkaże. - Mężczyzna pochylił głowę, ale jego głos zabrzmiał kwaśno, a zapach...

Perrin potarł nos. Ten zapach... pierzchał, lawirując na oślep między strachem, nienawiścią, gniewem i kilkunastoma innymi emocjami, zbyt szybko, by dało się go określić dokładnie. Nie wątpił już, że ten człowiek jest szalony, niezależnie od tego, jak dobrze udawał. Perrina zresztą też to już nie obchodziło. Tak blisko...

Wbił pięty w boki Steppera, po czym ruszył w stronę miasta i Faile, nie czekając na innych, ledwie zauważając Arama, który jechał tuż za nim. Nie musiał oglądać się na Arama, by wiedzieć, że tam jest. Potrafił myśleć wyłącznie o Faile. Jeżeli uda mu się dostarczyć Jaskółkę bezpiecznie do miasta... Starał się jedynie, by Stepper poruszał się szybkim kłusem. Galopujący jeździec przyciągał uwagę, prowokował pytania, powodował zwłokę.

Pozostali, ci, którzy ruszyli z miejsca takim samym tempem, dość prędko zrównali się z Aramem i z nim. Panny na przodzie rozstawiły się w wachlarz, niektóre

spoglądały z sympatią na Perrina. Chiad jednakże miała wzrok wbity w ziemię, dopóki nie została za nim w tyle.

- A mnie ten plan dalej się nie podoba - mruknął Havien jadący obok Randa. - Wybacz, Lordzie Smoku, ale naprawdę mi się nie podoba.

Dobraine, jadący z drugiej strony, chrząknął.

- Już to omawialiśmy, Mayenianinie. Gdybyśmy postępowali tak, jak ty sugerujesz, wtedy oni zamknęliby nam bramy przed nosem, zanim pokonamy milę. - Havien warknął coś cicho i przez kilka kroków walczył z koniem. Chciał, by wszyscy wjechali do miasta razem z Randem.

Perrin obejrzał się przez ramię, omijając wzrokiem Asha'manów. Na wzgórzu widać było Damera Flinna, rozpoznawalnego dzięki kaftanowi, i kilku mężczyzn z Dwu Rzek, stali i trzymali wodze swoich koni. Perrin westchnął. Chętnie zabrałby ich ze sobą. Ale Rand miał prawdopodobnie rację, a poza tym Dobraine go poparł. Kilku ludzi mogło wjechać tam, gdzie nie mogła wejść nawet niewielka armia. Gdyby bramy zostały zamknięte, wówczas Aielowie musieliby przystąpić do oblężenia miasta i zabijanie zaczęłoby się na nowo. Rand wepchnął Berło Smoka do jednej z sakw, tak że wystawał tylko koniec rzeźbionego kikuta; jego prosty kaftan w ogóle nie przypominał strojów, które zwykł nosić Smok Odrodzony. A czarnych kaftanów, które mieli na sobie Asha'mani, nikt w mieście nie znał. Kilku ludzi o wiele łatwiej zabić niż całą armię, nawet jeśli większość wśród tych kilku potrafi przenosić. Perrin widział Asha'mana, któremu włócznia Shaido przeszyła brzuch - życie uciekło z niego równie łatwo jak z innych.

Dashiva burknął coś pod nosem; Perrin dosłyszał słowa "bohater" i "głupiec, wypowiedziane równie pogardliwym tonem. Gdyby nie chodziło o Faile, musiałby się

zgodzić. Rand spojrzał raz w stronę obozowiska Aielów, rozbitego na wzgórzach w odległości dwóch albo trzech mil na wschód od miasta, i Perrin wstrzymał oddech, ale trzymał się drogi. Nic się nie liczyło bardziej niż Faile. Nic, nieważne, czy Rand to rozumiał czy nie.

W odległości więcej niż połowy mili do bram natknęli się na jeszcze jedno obozowisko; na jego widok Perrin zmarszczył brwi. Ten szeroki, zajmujący wypaloną ziemię pas walących się szałasów z gałęzi i rozchwianych namiotów wykonanych ze szmat, który wszędzie, jak sięgnął okiem, przywarł do wysokich, szarych murów miasta, był tak ogromny, że sam mógł stanowić miasto. Ten labirynt krętych ulic i alejek nazywał się kiedyś Podgrodziem, zanim spalili go Shaido. Niektórzy mieszkańcy przypatrywali się w milczeniu, jak mija ich ta dziwna grupa, patrzyli na ogira i Panny, ale większość uwijała się wokół swoich spraw z czujnymi, ponurymi twarzami, starając się nie zauważać niczego, co nie znajdowało się tuż przed nimi. Jaskrawe barwy i często podarte, zniszczone ozdoby noszone przez mieszkańców Podgrodzia mieszały się z charakterystycznym dla Cairhienian ponurym przyodziewkiem, a także prostymi, burymi ubraniami wieśniaków i farmerów. Mieszkańcy Podgrodzia przebywali w mieście, kiedy Perrin wyjeżdżał razem z tysiącami uchodźców z głębi kraju. Wiele z tych twarzy znaczyły siniaki i poważniejsze obrażenia, często nie zabandażowane otarcia i nacięcia. Wynikało z tego, że Colavaere ich wyrzuciła. Nie opuściliby wszak schronienia murów; mieszkańcy Podgrodzia i uchodźcy jednako obawiali się powrotu Shaido, podobnie jak człowiek, którego przypiekano aż do kości, już do końca życia obawia się rozpalonego żelaza.

Biegnąca przez obóz droga wiodła prosto do Bramy Jangai, trzech wysokich,

kanciastych łuków, zwieńczonych wieżami. Po blankach przechadzali się leniwym krokiem mężczyźni w hełmach; co jakiś czas spoglądali w dół przez wyrwy' między kamiennymi zębami. Niektórzy obserwowali ludzi na szczycie wzgórza, a tu i tam jakiś oficer z con przykładał do oka szkło powiększające. Niewielka grupa towarzysząca Randowi przyciągała uwagę. Ludzie na koniach i Panny Aielów, nieczęsto spotykani kompani. Na szczycie poszczerbionego muru pojawiły się kusze, ale nikt nie podniósł broni. Okute żelazem bramy pozostały otwarte na oścież. Perrin wstrzymał oddech. Bardzo chciał pogalopować w stronę Pałacu Słońca i Faile.

We wnętrzu jednej z bram znajdował się mały budynek, w którym musieli się rejestrować wszyscy obcy przybywający do miasta. Cairhieniański oficer o kanciastej twarzy obserwował, jak przejeżdżają, z grymasem niezadowolenia, niespokojnie mierząc wzrokiem Panny. Tylko stał i patrzył.

- Jak już wam mówiłem - powiedział Dobraine, gdy już dotarli do budynku bramnego - Colavaere udzieliła zezwolenia na wstęp do miasta w okresie Święta Koronacyjnego. Nie wolno nie wpuścić albo zatrzymać nawet tych, na których wydano nakaz aresztowania. Taka jest tradycja. -Mimo wszystko jednak brzmienie jego głosu wskazywało, że mu ulżyło. Min głośno westchnęła, a Loial wypuścił powietrze z takim impetem, że musiał być słyszany dwie ulice dalej. Perrin nadal czuł zbyt wielki ucisk w piersi, żeby odetchnąć. Jaskółka dotarła do Cairhien. Musi ją jeszcze tylko doprowadzić do Pałacu Królewskiego.

Z bliska było widać, że Cairhien oferuje to samo, co obiecywało z daleka. Najwyższe ze wzgórz znajdowały się wewnątrz murów, były jednakże podzielone na tarasy i oblicowane kamieniem, przez co zupełnie już nie wyglądały jak wzgórza. Szerokie, tłoczne ulice przecinały się pod kątem prostym. W tym mieście nawet boczne

alejki tworzyły szachownicę. Ulice wznosiły się i opadały tak, jak je do tego zmuszały wzgórza, często zwyczajnie je przecinając. Wszystkie budynki, od zwykłych sklepów po pałace, miały kształt niczym nie upiększonych, ostrych brył, nawet wielkie wieże z przyporami, osławione wieże bez szczytów, wszystkie otoczone rusztowaniami, ponieważ nadal je odbudowywano z pożogi, której uległy podczas Wojen z Aielami. To miasto, druzgoczące swoim wyglądem, zdawało się twardsze od kamienia, który to efekt potęgowały cienie kładące się niemal na wszystkim. Loial bezustannie strzygł uszami; czoło miał zmarszczone, a dyndające brwi ocierały się o policzki.

Niewiele świadczyło o tym, że trwają Uroczystości Koronacyjne albo Święto Wysokiego Chasaline. Perrin nie miał pojęcia, na czym tu mogły polegać Uroczystości, ale w Dwu Rzekach Dzień Refleksji był czasem zabawy, podczas którego zapominało się o tak ponurej porze, jaką jest zima. Tutaj spokój i cisza zdawały się niemalże wisieć w powietrzu, mimo tłumów ludzi. W każdym innym wypadku Perrin uznałby, że to te długotrwałe, nienaturalne upały przygnębiają ludzi, ale Cairhienianie, wyjąwszy mieszkańców Podgrodzia, zawsze byli poważni i ascetyczni. W każdym razie na pozór; wolał nie myśleć o tym, co się kryło pod spodem. Z ulic zniknęli domokrążcy i handlarze z towarami na wózkach, których zapamiętał z poprzedniego pobytu, a razem z nimi także muzycy, żonglerzy i lalkarze. Ci ludzie na pewno trafili do tego prowizorycznego obozowiska za murami miasta. Przez milczące tłumy przedzierało się kilka zamkniętych, pomalowanych na ciemno lektyk, niektóre ze sztandarami Domów nieco większymi od sterczących z dachów con. Poruszały się równie wolno jak wozy ciągnięte przez woły, których woźnice szli obok z batami w rękach, przy akompaniamencie donośnego na tle tej martwoty skrzypienia osi. Cudzoziemcy wyróżniali się, niezależnie od tego, jak skąpe w kolor były ich ubrania, ponieważ mało

kto oprócz cudzoziemców jechał konno. Miejscowi, przeważnie niżsi, w swym ciemnym przyodziewku przypominali ciemne ptaszyska o bladych twarzach. Aielowie oczywiście też się wyróżniali. Niezależnie od tego, czy w szli w pojedynkę, czy w dziesięciu, zawsze tworzyła się wokół nich pusta przestrzeń.

Mijani po drodze Aielowie odwracali się w stronę ich grupy, kiedy tak powoli przedzierali się przez tłumy. Nawet jeśli nie wszyscy rozpoznali Randa w jego zielonym kaftanie, musieli się domyślać, kim jest ten wysoki mieszkaniec mokradeł eskortowany przez Panny. Na widok tych twarzy Perrin czuł, jak ciarki przechodzą mu po grzbiecie: te twarze osądzały. Czuł wdzięczność wobec Randa, że zostawił za sobą wszystkie Aes Sedai. Jeśli jednak nie brał pod uwagę Aielów, Smok Odrodzony kroczył przez rzekę niepomnych niczego przechodniów, rzekę, która rozwidlała się na widok Panien i łączyła na powrót za Asha'manami.

Pałac Królewski Cairhien, Pałac Słońca, Pałac Słońca Wschodzącego w Splendorze - Cairhienianie byli specjalistami od nazw; każda kolejna brzmiała jeszcze wymyślniej od poprzedniej - stał na szczycie najwyższego wzgórza: ciemna, kamienna bryła zwieńczona wieżami górującymi złowieszczo nad wszystkim. Ulica, zwana Traktem Korony, ustępowała miejsca długiemu i szerokiemu pomostowi wznoszącemu się w stronę pałacu, i Perrin zrobił głęboki wdech, kiedy zaczęli się po nim wspinać. Gdzieś tam w górze była Faile. Musiała tam być, cała i zdrowa. Niezależnie od wszystkiego. Dotknął węzła mocującego wodze Jaskółki do pierścienia przy jego łęku, pogładził topór zatknięty za pas. Podkute kopyta koni dźwięczały głośno na kamieniach brukowych. Panny szły, nie wydając żadnych odgłosów.

Gwardziści pilnujący wielkich, otwartych na oścież spiżowych bram, obserwowali ich powolne zbliżanie się i wymieniali spojrzenia. Było ich razem

dziesięciu, odzianych kolorowo jak na cairhieniańskich żołnierzy, ze złotymi Wschodzącymi Słońcami zdobiącymi ciemne napierśniki i szarfami barwy Domu Saighan zawiązanymi pod głowniami halabard. Perrin byłby w stanie spisać ich myśli. Trzynastu ludzi na koniach, ale nie galopują, i tylko dwóch ma na sobie zbroje, a poza tym jeden nosi mayeniańską czerwień. Tylko Caraline Damodred i Toram Riatin mogli przysporzyć kłopotów, ale dla Mayenian nie było miejsca wśród takich. I jest też wśród nich kobieta i ogir. Z pewnością nie zamierzają robić awantury. Niemniej jednak te poprzedzające jeźdźców Panny; w liczbie około trzech tuzinów, raczej nie wyglądały na osoby przychodzące na herbatkę. Przez chwilę sytuacja była niepewna. Po chwili jakaś Panna osłoniła twarz. Gwardziści podrygiwali nerwowo, jakby dostali gęsiej skórki, a potem jeden pochylił halabardę i pomknął do bram. Zrobił dwa kroki, po czym zatrzymał się znienacka, sztywny jak posąg. Wszyscy gwardziści znieruchomieli.

- Dobrze - mruknął Rand. - A teraz podwiążcie sploty, nimi zajmiecie się później.

Perrin niespokojnie wzruszył ramionami. Asha'mani rozeszli się za jego plecami na całej szerokości pomostu; zapewne korzystali z Mocy. Całkiem prawdopodobne, że w ośmiu rozdarliby pałac na strzępy. A Rand byłby zdolny zrobić to w pojedynkę. Ale jeśli te wieże zaczną pluć bełtami, to i tak umrą razem z innymi, złapani na otwartej przestrzeni rampy, która wcale już nie wyglądała na tak szeroką. Ruszyli szybciej. Oczy śledzące ich z wysokich, wąskich okien pałacu albo z tych otoczonych kolumnami przejść tam w górze, nie mogły dostrzec niczego niezwykłego. Sulin błysnęła mową dłoni i ta jedna, która osłoniła twarz, pospiesznie opuściła czarną tkaninę, obnażając zarumienione policzki. Powolny przemarsz w górę kamiennego pomostu. Niektórzy z gwardzistów trzęśli gwałtownie głowami i

przewracali oczami; jeden bodajże zemdlał, bo zapadł się w sobie na stojąco, z brodą wbitą w pierś. Z ogromnym wysiłkiem otwierali usta, ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Perrin starał się nie zastanawiać nad tym, co ich knebluje. Powolny przemarsz, przez otwarte spiżowe bramy na główny dziedziniec.

Nie napotkali żołnierzy. Na kamiennych balkonach otaczających dziedziniec było pusto. Natychmiast nadbiegli słudzy odziani w liberie; ze spuszczonymi oczyma odebrali od nich wodze koni i przytrzymali strzemiona. Rękawy ciemnych kaftanów i sukien zdobiły im czerwone, żółte i srebrne paski, a nadto każdy miał na lewej piersi wyhaftowane Wschodzące Słońce. Perrin nie widział dotąd u żadnego cairhieniańskiego sługi aż tylu barw. Nie widzieli stojących na zewnątrz gwardzistów, ale i w przeciwnym razie zapewne nie zachowaliby się inaczej. Służba w Cairhien uprawiała swoją wersję Daes Dae'mar, ale udawali, że ignorują postępowanie tych, którzy stali wyżej od nich w hierarchii społecznej. Ktoś, kto poświęcał nadmierną uwagę temu, co działo się wśród lepszych, wpadał w pułapkę. W Cairhien, a może zresztą w większości krajów, zwykli ludzie bywali deptani na drodze, którą szedł ktoś możny, i nikt tego nie zauważał.

Jakaś dobrze zbudowana kobieta odprowadziła Steppera i Jaskółkę, nawet nie przyjrzawszy się Perrinowi. Jaskółka dotarła do wnętrza Pałacu Słońca, a mimo to nic się nie zmieniło. Nadal nie wiedział, czy Faile jeszcze żyje czy już umarła. Idiotyczne wymysły małego i głupiego chłopca.

Przesunął topór na biodro, po czym ruszył śladem Randa po szerokich szarych schodach wiodących od przeciwległego krańca dziedzińca. Pokręcił głową, kiedy Aram sięgnął znowu przez ramię, chcąc dobyć miecza. Mężczyźni w liberiach otwarli wielkie drzwi na szczycie schodów, spiżowe tak samo jak zewnętrzne bramy i oznakowane

Wschodzącym Słońcem Cairhien.

Kiedyś taka sień zaszokowałaby Perrina swoim przepychem. Grube, kwadratowe kolumny z ciemnego marmuru podtrzymywały sklepienie na wysokości dziesięciu kroków ponad posadzką, wyłożoną w szachownicę z ciemnoniebieskich i złotych płytek. Pozłacane Wschodzące Słońca maszerowały wokół gzymsów, a fryzy na ścianach przedstawiały zwycięstwa Cairhienian na polach bitew. W sali nie było nikogo oprócz grupki młodych mężczyzn zgromadzonych pod jednym z fryzów. Zamilkli, kiedy Perrin i pozostali weszli do środka.

Po chwili zorientował się, że to nie sami mężczyźni. Wszyscy mieli miecze, ale wśród tych siedmiorga były aż cztery kobiety ubrane w krótkie kaftaniki i obcisłe spodnie, czym bardzo przypominały Min, a ponadto włosy miały przystrzyżone na taką samą modłę jak mężczyźni. Co wcale nie znaczyło, by były ostrzyżone krótko; zarówno mężczyźni, jak i kobiety mieli włosy zebrane w coś w rodzaju sięgającej im do ramion kity, przewiązanej ciemną wstążką. Jedna z kobiet nosiła odzienie barwy bledszej zieleni niźli spotykana zwykle u Cairhienian, a jeszcze inna jaskrawy błękit; wszyscy pozostali odziali się w ciemne barwy, z kilkoma jaskrawymi paskami biegnącymi przez pierś. Przyglądali się badawczo grupie Randa - Perrin zorientował się, że jego obdarzają szczególnym zainteresowaniem. Żółte oczy często zaskakiwały, aczkolwiek on w ogóle tego nie widział, dopóki ktoś nie podskoczył albo nie narobił zamieszania. Przyglądali się w milczeniu, dopóki ostatni Asha'man nie wszedł do środka i drzwi się nie zamknęły. Łomot towarzyszący zamykaniu zagłuszył nerwowe poszeptywania, potem cała siódemka buńczucznym krokiem podeszła bliżej, przy czym kobiety prężyły się jeszcze bardziej arogancko niż mężczyźni, co z pewnością wymagało pewnego wysiłku. Nawet klękały arogancko.

Odziana na zielono kobieta zerknęła na tę w błękitach, która schyliła głowę i powiedziała:

- Lordzie Smoku, jestem Camaille Nolaisen. Selande Darengil dowodzi naszą społecznością... - Zamrugała na widok rozwścieczonego spojrzenia kobiety w błękitach. Mimo wyzywającej miny, Selande pachniała strachem tak silnym, jakby ją przeszywał do szpiku kości, o ile Perrin poprawnie odgadywał, kto jest kim. Camaille chrząknęła i mówiła dalej: - Nie sądziliśmy... Nie spodziewaliśmy się, że wrócisz... tak szybko.

- Tak - odparł cicho Rand. - Wątpię, by ktokolwiek się spodziewał, że wrócę. Że wrócę tak szybko. Nikt z was nie ma powodu, żeby się mnie obawiać. Absolutnie nikt. Wierzcie w to, o ile w ogóle w coś wierzycie. - O dziwo, patrzył wprost na Selande, kiedy to mówił. Ta podniosła gwałtownie głowę, wbijając w niego wzrok, i woń strachu zelżała. Zostały jej jedynie drobiny. Skąd Rand o tym wiedział? - Gdzie Colavaere? - spytał Rand.

Camaille otwarła usta, ale odpowiedziała mu Selande.

- W Wielkiej Komnacie Słońca. - Jej głos nabierał siły, w miarę jak mówiła, a zapach strachu słabł jeszcze bardziej. A co dziwniejsze, w pewnym momencie zabarwił się leciutką zazdrością, na bardzo krótko, kiedy zerknęła na Min. Niekiedy jego zmysł węchu wprowadzał go w jeszcze większą konsternację, zamiast coś wyjaśnić. - Trwa trzecie Zgromadzenie Zachodu Słońca - ciągnęła. - My nie jesteśmy dość ważni, by w nim uczestniczyć. A poza tym, jako członkowie społeczności budzimy jej zaniepokojenie.

- Trzecie - mruknął Dobraine. - A zatem jest to już dziewiąty zachód słońca od jej koronacji. Nie marnowała czasu. Przynajmniej wszyscy będą razem. Nie omieszka w

nim uczestniczyć nikt, kto rości sobie prawo do jakiejś pozycji albo tytułu, czy to Cairhienianin, czy Tairenianin.

Selande podźwignęła się na kolana i udawała, że patrzy Randowi prosto w oczy.

- Jesteśmy gotowi zatańczyć dla ciebie miecze, Lordzie Smoku. - Sulin pokręciła głową, krzywiąc się, a inna Panna jęknęła donośnie; od kilku innych wyraźnie zapachniało gotowością do zadania komuś bólu, tu i teraz. Aielowie nie potrafili zdecydować, jak powinni traktować tych młodych mieszkańców mokradeł. Ich zdaniem problem polegał na tym, że ci usiłowali do pewnego stopnia stać się Aielami, przestrzegać zasad j'e'toh, albo w każdym razie wymyślonej przez nich odmiany. Ta siódemka to wcale nie byli wszyscy; po całym mieście krążyły setki podobnych idiotów, zorganizowanych w grupy naśladujące społeczności Aielów. Jedna połowa Aielów chciała im pomagać, inni mieli ochotę ich udusić.

Sam ze swej strony nie dbał o to, czy wcisną j'e'toh do maszynki do mielenia mięsa.

- Gdzie jest moja żona? - zapytał ostrym tonem. -Gdzie jest Faile?

Młodzi durnie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Porozumiewawcze!

- Jest w Wielkiej Komnacie Słońca - odparła powoli Selande. - Ona jest... jest jedną z... dwórek królowej.

- Przejrzyj na oczy, Perrin - szepnęła Min. - Musiała mieć jakiś powód. Wiesz, że musiała.

Perrin usiłował się pozbierać, otrząsając się nerwowo. Jedną z dwórek Colavaere? Musi mieć jakiś powód, nieważne, co to takiego. Tego był pewien. Tylko co to takiego?

Selande i pozostali znowu wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jeden z mężczyzn, młodzieniec ze spiczastym nosem, szepnął żarliwie:

- Przysięgliśmy, że nikomu nie powiemy! Nikomu! Na przysięgę wody!

Zanim Perrin zdążył zażądać wyjaśnień, odezwał się Rand:

- Selande, prowadź do Wielkiej Komnaty. Nie będzie żadnego tańca mieczy. To ja tutaj pilnuję, by wymierzano sprawiedliwość tym, którzy na to zasłużyli.

Coś w jego głosie sprawiło, że Perrinowi włosy stanęły dęba. Ten twardy ton, tak nieubłagany jak obuch młota. Faile na pewno ma jakiś powód. Musi go mieć.

ROZDZIAŁ 5

PĘKNIĘTA KORONA

Korytarze były wysokie i przestronne, a jednak sprawiały wrażenie ciasnych i mrocznych, mimo wielkich pozłacanych lamp z odblaśnicami przy każdym ramieniu, zapalonymi wszędzie tam, gdzie nie docierało światło dnia. Nieliczne gobeliny na ścianach przedstawiały sceny polowań albo bitew; wyobrażeni na nich ludzie i zwierzęta zostali rozmieszczeni o wiele bardziej symetrycznie, niż mogłaby to zrobić natura. Rozproszone nisze zawierały czary, wazy, względnie niewielkie posągi ze złota, srebra albo alabastru, przy czym nawet one zdawały się podkreślać, że wyrzeźbi ono je z kamienia albo odlano z metalu, jakby ich twórcy próbowali zanegować istnienie krzywych linii.

Tutaj cisza panująca w mieście potęgowała się. Odgłos ich kroków na płytkach posadzki roznosił się echem, głuchy marsz zapowiadający nieszczęście i, zdaniem Perrina, nie tylko on jeden tak to czuł. Loialowi uszy drżały przy każdym kolejnym stąpnięcia i zaglądał w głąb krzyżujących się korytarzy, jakby się zastanawiał, co z nich może wyskoczyć. Min, cała zesztywniała, szła ostrożnie, krzywiąc się żałośnie za

każdym razem, gdy spojrzała na Randa; widać było, że bardzo się zmusza, by nie iść zbyt blisko niego i że wcale jej to nie uszczęśliwia. Młodzi Cairhienianie ruszyli z miejsca, pusząc się jak pawie, ale dudniący odgłos własnych kroków sprawił, że ich arogancja zniknęła. Nawet Pannom udzielił się ten nastrój; Sulin była jedyną, której ręka nie wędrowała od czasu do czasu w stronę zasłony spływającej na pierś.

Wszędzie, rzecz jasna, kręcili się słudzy, bladzi mężczyźni i kobiety o pociągłych twarzach, odziani w ciemne kaftany oraz suknie ze Wschodzącym Słońcem na lewej piersi i rękawami przyozdobionymi paskami utrzymanymi w barwach Colavaere. Niektórzy wytrzeszczali oczy, rozpoznawszy mijającego ich Randa, kilkoro padło na kolana, by głęboko się skłonić albo dygnąć, stosownie do płci. Było dokładnie tak samo jak na dziedzińcu. Zawsze okazuj szacunek należny lepszym od ciebie, kimkolwiek by nie byli; okazuj im posłuszeństwo, a poza tym lekceważ to, co robią, a być może w nic się nie wplączesz. Od takiego sposobu myślenia Perrinowi cierpła skóra. Nie wolno nikogo zmuszać do takiego trybu życia.

Dwaj mężczyźni w liberii Colavaere, którzy stali przed złoconymi drzwiami do Wielkiej Sali Słońca, skrzywili się na widok Panien, a może młodych Cairhienian. Starsi zazwyczaj popatrywali krzywo na młodzież noszącą się jak Aielowie. Niejeden rodzic starał się położyć temu kres, rozkazywał swym synom albo córkom zaprzestać, instruował zbrojnych i służących, by odpędzali podobnie odzianych synów i córki innych rodziców niczym zwykłych włóczęgów albo wichrzycieli ulicznych. Perrin nie byłby zdziwiony, gdyby ci odźwierni opuścili swe pozłacane laski, żeby zagrodzić drogę Selande i jej przyjaciołom, czy to arystokraci, czy nie, a może nawet Pannom. Obecnie niewielu Cairhienian odważało się nazywać Aielów barbarzyńcami w takim miejscu, gdzie ktoś mógł ich usłyszeć, ale większość dalej uważała ich za takowych.

Tych dwóch zebrało się w sobie, zrobili głębokie wdechy-i w tym momencie, ponad głowami Panien, spostrzegli Randa. Oczy omal nie wyskoczyły im z orbit. Każdy zerknął z ukosa na drugiego i jak jeden mąż padli na kolana. Jeden wbił wzrok w posadzkę, drugi z całej siły zacisnął powieki i Perrin słyszał, jak modli się bezgłośnie.

- A jednak mnie kochają - powiedział cicho Rand. Ledwie go było słychać. Min dotknęła jego ramienia ze zbolałą miną. Rand poklepał ją po dłoni, nawet na nią nie patrząc, i z jakiegoś powodu to zdawało się boleć ją jeszcze bardziej.

Wielka Komnata Słońca była ogromna, z żebrowanym sklepieniem wysokości dobrych pięćdziesięciu stóp w najwyższym miejscu i wielkimi złotymi lampami wiszącymi na złotych łańcuchach tak grubych, że mogłyby otwierać bramy fortecy. Była ogromna i panował w niej ścisk; ludzie tłoczyli się wśród masywnych, kwadratowych kolumn z marmuru w niebieskie i czarne żyłki, które dwoma rzędami wytyczały główne przejście. Ci na tyłach pierwsi rozpoznali nowo przybyłych. Odziani w długie i krótkie kaftany, wielobarwne albo haftowane, niekiedy zniszczone od podróży, patrzyli na nich z ciekawością. Z napięciem. Kilka kobiet nosiło suknie do konnej jazdy; te miały twarze tak twarde jak mężczyźni i patrzyły na nich równie otwarcie.

Uczestnicy Polowania na Róg, pomyślał Perrin. Dobraine twierdził, że będą tu obecni wszyscy szlachetnie urodzeni, a wszak uczestnicy Polowania przeważnie zaliczali się do szlachty albo przynajmniej tak twierdzili. Niezależnie od tego, czy rozpoznali, czy nie rozpoznali Randa, wyczuli coś, bo ich dłonie zaczęły odruchowo szukać mieczy i sztyletów, których tego wieczoru nie mieli przy sobie. Większość uczestników Polowania szukała przygód i miejsca w opowieściach towarzyszących Rogowi Valere. Nawet jeśli nie znali Smoka Odrodzonego, rozpoznawali

niebezpieczeństwo, które nadchodziło.

Pozostali w Wielkiej Sali byli mniej wyczuleni na zagrożenie, a za to bardziej nastawieni na intrygi i plotki. Perrin wkroczył trzeci w przejście biegnące środkiem komnaty, tuż za Randem, a dopiero w tym momencie usłyszał, niczym powiew wiatru, jak ludziom w tłumie głośno zapiera dech. Bladzi cairhieniańscy lordowie z kolorowymi wycięciami biegnącymi przez pierś ciemnych, jedwabnych kaftanów, niektórzy z przodami czaszek wygolonymi i przypudrowanymi; cairhieniańskie damy z paskami przy ciemnych szatach z wysokimi kołnierzami i koronkami opadającymi na dłonie, z włosami utrefionymi w skomplikowane wieżyce, które dodawały im dobrą stopę wzrostu. Taireniańscy Wysocy Lordowie i Lordowie Prowincji, z wypomadowanymi bródkami przyciętymi w szpic, w aksamitnych kapeluszach i kaftanach czerwonych, niebieskich i każdej innej barwy, z bufiastymi pasiastymi rękawami z satyny; taireniańskie damy w jeszcze bardziej kolorowych szatach, z szerokimi koronkowymi kryzami i obcisłymi czepkami nabijanymi perłami, księżycowymi kamieniami, ognikami i rubinami. Znali Perrina i znali Dobraine, znali nawet Haviena i Min, ale przede wszystkim znali Randa. Z wytrzeszczonymi oczyma i zdumionymi minami, stali zesztywniali, jakby Asha'mani unieruchomili ich tak samo, jak gwardzistów przed pałacem. Wnętrze komnaty przypominało teraz morze mdlących perfum z prądami słonawego potu, przez które przesączał się rozdygotany zapach strachu.

Całą uwagę skupił na przeciwległym krańcu Komnaty, gdzie stało podium z granatowego marmuru; podtrzymywało Tron Słońca lśniący od złoceń niemal tak samo, jak źródło jego nazwy, Wschodzące Słońce z falującymi promieniami osadzone nad wysokim zapleckiem. Colavaere uniosła się powoli, patrząc w głąb komnaty

ponad głową Randa. Miała na sobie czarną suknię bez jednego paska, który by świadczył o arystokratycznym pochodzeniu, ale wielka masa loków na jej głowie musiała zostać ułożona wokół korony Wschodzącego Słońca wykonanego ze złota i żółtych diamentów. Z boku tronu stało siedem młodych kobiet, w szatach z ciemnymi staniczkami, przy szyi suto ozdobionych koronką, i ze spódnicami z pionowymi paskami w barwach Colavaere, czyli żółtymi, czerwonymi i srebrnymi. Wychodziło na to, że w Cairhien inny strój obowiązuje Królową, a inny jej dwórki.

Ślad ruchu za tronem zdradził obecność ósmej, ukrytej tam kobiety, ale Perrin nie obchodziła ani Colavaere, ani nikt inny oprócz tej, która stała tuż przy jej prawicy. Faile. Jej skośne oczy, podobne do ciemnych, płynnych księżyców, były utkwione w nim, ale w chłodnej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Stała się wręcz jeszcze bardziej twarda. Usiłował odszukać jej zapach, ale woń perfum i strachu była zbyt silne. Miała powód, żeby się znaleźć na tym podium, ważny powód. Miała go na pewno.

Rand dotknął rękawa Sulin.

- Zaczekaj tutaj - przykazał. Ta zrobiła ponurą minę, blizna biegnąca przez policzek stała się równie biała jak włosy, przyjrzała się uważnie jego twarzy, po czym przytaknęła z ewidentną niechęcią. Mimo to i tak wykonała gest wolną ręką i w komnacie znowu wszystkim zaparło dech na widok Panien osłaniających twarze. To wszystko mogło niemalże prowokować do śmiechu; tych ośmiu mężczyzn w czarnych kaftanach, którzy

starali się obserwować

wszystko jednocześnie, mogło

prawdopodobnie zabić ich co do jednego, zanim włócznia którejś z Panien trafiłaby w

cel, ale nikt nie wiedział, kim albo czym są. Nikt nie przyjrzał się dokładniej tej nędznej garstce mężczyzn z mieczami schowanymi w pochwach. Wszyscy patrzyli wyłącznie na Panny. I na Randa. Czy nie zauważyli, że ani jeden z tamtych nie uronił kropli potu więcej niż Rand? Sam Perrin miał wrażenie, że kąpie się we własnym.

Rand przeszedł obok Panien, razem z Min przyklejoną do jego boku, po czym zatrzymał się w momencie, gdy przyłączyli się do niego najpierw Perrin, a potem Dobraine i Havien. A także Aram, rzecz jasna, niczym cień Perrina. Rand przyjrzał się każdemu kolejno, powoli kiwając głową. Perrinowi przyglądał się najdłużej i najdłużej też kiwał głową. Siwowłosy Cairhienianin i młody Mayenianin mieli na twarzach śmierć. Perrin nie miał pojęcia, jak może wyglądać jego oblicze, ale czuł, że z całej siły zaciska szczęki. Nikt nie zrobi krzywdy Faile, niezależnie od tego, co uczyniła, niezależnie od tego, dlaczego to uczyniła. I nieważne, co on zrobi, żeby do tego nie dopuścić.

Ich buty łomotały głośno w tej ciszy, kiedy szli przez olbrzymią złotą mozaikę, przedstawiającą Wschodzące Słońce osadzone w niebieskich płytkach posadzki, i podchodzili do tronu. Colavaere zacisnęła dłonie na fałdach spódnicy i oblizała wargi; wzrok jej biegał od Randa do drzwi za jego plecami.

- Szukasz Aes Sedai? - rozległo się echo głosu Randa. Uśmiechał się niemiło.

-Posłałem je do obozu Aielów. Jeżeli Aielowie nie nauczą ich dobrych manier, to już nikomu się to nie uda. - Przez komnatę przeszedł głośny pomruk. Kiedy nagle ucichł, woń strachu, która wypełniała nozdrza Perrina, stała się silniejsza od aromatu perfum.

Colavaere wzdrygnęła się.

- Po cóż miałabym... ? - Zrobiła głęboki wdech i jakoś się opanowała. Ta

bardziej niż przystojna kobieta w średnim wieku, bez śladu siwizny w ciemnych włosach, miała w sobie majestat, który nie miał nic wspólnego z koroną. Ona się urodziła, żeby rozkazywać; żeby panować. A jej oczy, oczy, które ważyły i mierzyły, zdradzały wielką inteligencję. -Lordzie Smoku - powiedziała, wykonując ukłon tak głęboki, że niemal drwiący. - Witam cię z powrotem. Wita cię Cairhien. - Wymówiła to w taki sposób, że drugie zdanie zabrzmiało jak powtórzenie pierwszego.

Rand zaczął powoli wspinać się po stopniach podium. Min omal nie ruszyła jego śladem, ale po namyśle tylko założyła ręce na piersiach. Perrin natomiast poszedł za nim, chcąc znaleźć się bliżej Faile, ale dotarł tylko do połowy drogi. To jej spojrzenie go zatrzymało. Spojrzenie, które badało równie dokładnie jak wzrok Colavaere. Zarówno jego, jak i Randa. Żałował, że nie czuje jej zapachu. Nie po to, żeby czegoś się dowiedzieć, ale dla samego jej zapachu. Ten zalew woni perfum i strachu był zbyt potężny. Dlaczego ona się nie odzywa? Dlaczego do niego nie podejdzie? Albo się nie uśmiechnie? Chociaż uśmiechnie.

Colavaere zesztywniała nieznacznie, ale tylko tyle. Jej głowa znajdowała się na poziomie piersi Randa, ale za to ułożone w wieżycę włosy sprawiały, że niemalże dorównywała mu wzrostem. Rand ze swej strony oderwał wzrok od jej twarzy i ogarnął nim kobiety stojące po obu stronach tronu. Niewykluczone, że na moment zatrzymał go na Faile. Perrin nie miał pewności.

Rand wsparł dłoń na jednym z grubych oparć Tronu Słońca.

- Wiesz, że postanowiłem przekazać go Elayne Trakand. -Mówił głosem całkiem wypranym z emocji.

- Lordzie Smoku - odparła bez zająknienia Colavaere - Cairhien zbyt długo nie miało władcy. Cairhieniańskiego władcy. Sam twierdziłeś, że ciebie Tron Słońca nie

interesuje. Elayne mogłaby rościć sobie jakieś prawa - odrzuciła te prawa nieznacznym, szybkim gestem - gdyby żyła. Krążą pogłoski, że ona nie żyje tak samo jak jej matka. - Mówiła niebezpieczne rzeczy. Zgodnie z licznymi pogłoskami, to Rand zabił zarówno matkę, jak i córkę. Ta kobieta nie była tchórzem.

- Elayne żyje. - Te słowa też zabrzmiały płasko jak heblowana deska, ale oczy Randa płonęły. Perrin nie potrafiłby wyróżnić jego zapachu, tak samo jak nie wyróżniłby zapachu Faile, ale nie potrzebował swojego nosa, żeby wiedzieć, że targa nim ledwie hamowana furia. - I to ona dostanie korony Andoru i Cairhien.

- Lordzie Smoku, co się stało, już się nie odstanie. Jeżeli czujesz się urażony z jakiegoś powodu...

Widać było, że Colavaere, mimo całej jej godności, mimo odwagi, nie wzdrygnęła się jedynie mocą wielkiego wysiłku, kiedy Rand wyciągnął rękę i złapał Koronę Słońca. Rozległ się głośny trzask pękającego metalu i korona zaczęła powoli się prostować, omal nie niszcząc wieżycy z włosów. Kilka jaskrawożółtych klejnotów wypadło z opraw i posypało się na posadzkę. Rand podniósł w górę zniekształcony metalowy pasek, który powoli wyginał się w drugą stronę, aż wreszcie oba końce zetknęły się i... Może Asha'mani widzieli, co się stało, może to rozumieli, ale dla Perrina w jednej chwili korona była pęknięta, w drugiej na powrót stanowiła całość. Nikt pośród arystokratów nie wydał ani dźwięku, nawet nie zaszurał butami; Perrin uznał, że być może ze strachu. Woń stężonego, śmiertelnego strachu, która wypełniała mu nozdrza, była silniejsza od wszystkich innych woni. Nie było w niej drżenia, tylko szaleńcze spazmy.

- Zawsze można naprawić coś, co ktoś inny zepsuł - powiedział cicho Rand.

Z twarzy Colavaere odpłynęła krew. Kilka pasem włosów, które wymknęły się z

jej koafiury, sprawiało, że wyglądała jak osaczone, dzikie zwierzę. Przełknęła ślinę i dwa razy otwarła usta, zanim dobyła z siebie jakieś słowa:

- Lordzie Smoku... - Wypowiedziała to chrapliwym szeptem, ale w miarę jak mówiła dalej, jej głos nabierał coraz więcej siły. I jednocześnie pobrzmiewające w nim tony graniczyły już z rozpaczą. Jakby zapomniała, że oprócz nich dwojga w komnacie jest ktoś jeszcze. - Respektowałam narzucone przez ciebie prawa, kontynuowałam twoją politykę. Nawet te rozporządzenia, które znosiły odwieczne prawa Cairhien, pozostające w sprzeczności z powszechnie przyjętymi obyczajami. - Prawdopodobnie miała na myśli zniesienie prawa, zgodnie z którym arystokrata mógł bezkarnie zabić farmera albo rzemieślnika. - Lordzie Smoku, Tron Słońca należy do ciebie. Wiem... o tym. Ja... postąpiłam źle, że wzięłam go bez twojego pozwolenia. Ale mam do niego prawo, z urodzenia i z krwi. Skoro muszę go mieć z twojej ręki, to w takim razie daj mi go, twoją ręką. Ja mam do niego prawo! - Rand tylko na nią spojrzał; nic nie powiedział. Zdawał się słuchać, ale nie jej.

Perrin chrząknął. Dlaczego Rand to przeciąga? Stało się albo prawie się stało. Jeżeli coś jeszcze ma się stać, to niech się stanie. Będzie wtedy mógł zabrać Faile tam, gdzie uda im się porozmawiać.

- Czy miałaś prawo mordować Lorda Maringila i Wysokiego Lorda Meilana? - spytał Perrin. Nie wątpił, że ona to zrobiła; byli jej największymi rywalami do tronu. Tak w każdym razie uważała, a może oni tak sądzili. Dlaczego Rand tylko tam stoi, nic nie robiąc? Przecież wie to wszystko. - Gdzie jest Berelain?

Zanim wypowiedział to imię, już chciał cofnąć to słowo. Faile tylko spojrzała na niego, z twarzą nadal ukrytą pod maską dobrego wychowania, ale to spojrzenie mogło sprawić, że woda stanie w ogniu. "Zazdrosna żona jest jak gniazdo szerszeni w twoim

łóżku" - głosiło przysłowie. Jakbyś się nie wiercił, i tak zostaniesz użądlony.

- Ośmielasz się oskarżać mnie o tak nikczemną zbrodnię? - spytała podniesionym głosem Colavaere. - Nie masz dowodu. Żaden taki dowód nie istnieje! Nie istnieje, bo ja jestem niewinna. - Nagle jakby zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje, zauważyła obecność arystokratów stłoczonych ramię w ramię wśród kolumn, obserwujących i słuchających. Była odważna, czego by o niej nie powiedzieć. Stała wyprostowana i robiła, co mogła, żeby patrzeć Randowi w oczy w taki sposób, by za mocno nie zadzierać głowy. - Lordzie Smoku, dziewięć dni temu, o wschodzie słońca, zostałam koronowana na królową Cairhien zgodnie z prawami i zwyczajami Cairhien. Dotrzymam złożonej tobie przysięgi lojalności, ale jestem królową Cairhien.

- Rand tylko patrzył na nią i milczał. I był zakłopotany, powiedziałby Perrin. -Lordzie Smoku, jestem królową, chyba że chcesz odebrać nam siłą nasze przywileje. - Rand nadal milczał i patrzył, nie mrugając.

"Dlaczego on tego nie zakończy?" - zastanawiał się Perrin.

- Te oskarżenia przeciwko mnie są fałszywe. Niedorzeczne! - Znowu odpowiedziało jej tylko to nieme spojrzenie. Colavaere niespokojnie poruszyła głową. - Annoura, udziel mi rady. Przyjdź tu, Annoura! Poradź mi!

Perrin myślał, że zwraca się do jednej z tych kobiet, wśród których znajdowała się Faile, ale kobieta, która wyszła zza tronu, nie miała na sobie pasiastej spódnicy damy dworu. Ku Randowi zwróciła się krągła twarz z szerokimi ustami i nosem podobnym do dzioba, okolona dziesiątkami długich i cienkich warkoczyków. Twarz pozbawiona piętna lat. Ku zdziwieniu Perrina, Havien wydał jakiś gardłowy dźwięk i uśmiechnął się szeroko. Jego włosy sterczały zawadiacko.

- Nie mogę tego zrobić, Colavaere - powiedziała Aes Sedai tarabońskim

akcentem, poprawiając szal z szarymi frędzlami. - Obawiam się, że pozwoliłam ci opacznie rozumieć moje kontakty z tobą. -Zrobiła głęboki wdech i dodała: - To... to nie jest potrzebne, panie al'Thor. - W jej głosie na moment pojawiło się wahanie. - Albo Lordzie Smoku, jeśli tak wolisz. Zapewniam cię, że nie mam względem ciebie żadnych złych intencji. W przeciwnym razie przystąpiłabym do ataku wcześniej, niż się dowiedziałeś, że tu jestem.

- I być może już byś przez to nie żyła. - Głos Randa był lodowaty; w porównaniu z twarzą jednak zdawał się miękki. - To nie ja odgrodziłem cię tarczą, Aes Sedai. Kim jesteś? Z jakiego powodu się tu znalazłaś? Odpowiedz mi! Mam mało cierpliwości dla takich jak... jak ty. Chyba że chcesz zostać zawleczona do obozu Aielów? Założę się, że Mądre potrafiłby cię zmusić do mówienia.

Annoura nie była tępa. Jej wzrok pomknął w stronę Arama, potem w stronę przejścia, gdzie stali Asha'mani. Widziała. To o nich musiał mówić, o tych mężczyznach w czarnych kaftanach, z ponurymi i całkiem suchymi twarzami, podczas gdy wszystkim oprócz niej i Randa twarze się świeciły. Młody Jahar wpatrywał się w nią niczym jastrząb obserwujący królika. Loial, dla odmiany, stał pośrodku z toporem wspartym na ramieniu, zupełnie nie pasujący do tego zgromadzenia. Jakimś sposobem udało mu się trzymać w jednym ręku butlę z atramentem i otwartą księgę, przyciśniętą niezdarnie do piersi, drugą zaś gryzmolił tak szybko, jak mu na to pozwalało pióro grubsze od Perrinowego kciuka, które maczał w kałamarzu. On robił notatki. Teraz!

Arystokraci usłyszeli Randa, podobnie jak Annoura. Dotąd obserwowali niespokojnie Panny z osłoniętymi twarzami, teraz cofali się wszyscy naraz, ściśnięci niczym ryby w beczce, starając znaleźć się jak najdalej od Asha'manów. Tu i tam ktoś

popadał w omdlenie, podtrzymywany przez ciżbę.

Annoura, która wyraźnie dygotała, poprawiła szal i odzyskała osławione opanowanie Aes Sedai.

- Jestem Annoura Larisen, Lordzie Smoku. Z Szarych Ajah. - Nic w jej sylwetce nie zdradzało, że została otoczona tarczą i że zdaje sobie sprawę, iż znalazła się wśród mężczyzn, którzy potrafią przenosić. Odpowiadała takim tonem, jakby czyniła łaskę. - Jestem doradczynią Berelain, Pierwszej z Mayene. - A więc to dlatego Havien uśmiechał się jak szaleniec, rozpoznał tę kobietę. Perrinowi w ogóle nie było do śmiechu. - Dotychczas było to utrzymywane w tajemnicy - ciągnęła - z racji stanowiska, jakie Łza zajmuje zarówno względem Mayene, jak i Aes Sedai, ale, jak mi się zdaje, czas na tajemnice już minął, czy nie mam racji? - Annoura zwróciła się do Colavaere i twarz jej stwardniała. - Myśl sobie, co chcesz, ale Aes Sedai nie zostają doradczyniami tylko dlatego, że ktoś je tak nazwie. A zwłaszcza wtedy, gdy od dawna służyli radami komuś innemu.

- Jeżeli Berelain potwierdzi to, co tu opowiadasz -powiedział Rand - to zwolnię cię warunkowo i oddam pod jej kuratelę. - Popatrzył na koronę, takim wzrokiem, jakby dopiero teraz spostrzegł, że nadal trzyma w ręku kłąb złota i klejnotów. Ułożył ją bardzo delikatnie na wykładanym jedwabiem siedzeniu Tronu Słońca. - Nie uważam wcale, by wszystkie Aes Sedai były moimi wrogami, ale nie pozwolę, by spiskowano przeciwko mnie i żeby mną manipulowano. Wybór należy do ciebie, Annoura, ale trafisz do Mądrych, jeżeli podejmiesz złą decyzję. O ile będziesz dostatecznie długo żyła. Nie spętam Asha'manów, więc każda pomyłka może cię drogo kosztować.

- Asha'mani - odparła spokojnie Annoura. - Rozumiem, czemu nie? - Ale

dotknęła warg czubkiem języka.

- Lordzie Smoku, Colavaere uknuła spisek przeciwko tobie i złamała przysięgę lojalności. - Perrin tak bardzo pragnął, żeby Faile się odezwała, że omal nie podskoczył w miejscu, kiedy to zrobiła, wychodząc z szeregu dwórek. Starannie dobierając słowa, patrzyła w twarz niedoszłej królowej niczym jastrząb spadający z nieba. Światłości, jaka ona piękna! - Colavaere przysięgłą okazywać ci we wszystkim posłuszeństwo i przestrzegać ustanowionych przez ciebie praw, a mimo to zamierzyła przegnać Aielów z Cairhien, żeby udali się na południe, a następnie postarać się, by wszystko wróciło do takiego stanu rzeczy, jaki tu panował przed twoim przybyciem. Twierdziła, że nie odważysz się zmieniać tego, co ona zrobiła, o ile w ogóle tu wrócisz. Kobieta, której mówiła wszystkie te rzeczy, Maire, była jedną z jej dwórek. Maire zniknęła natychmiast po tym, jak mi wszystko powtórzyła. Nie mam dowodu, ale uważam, że nie żyje. Moim zdaniem Colavaere pożałowała, że zbyt prędko zdradziła się ze swymi zamierzeniami.

Dobraine wszedł na stopnie podium, z hełmem pod pachą. Jego twarz sprawiała wrażenie wykutej z lodowatego żelaza.

- Colavaere Saighan - obwieścił uroczystym głosem, który niósł się po wszystkich zakamarkach Wielkiej Komnaty - na moją nieśmiertelną duszę, przed Światłością, ja, Dobraine, Głowa Domu Taborwin, pozywam cię przed sąd i stawiam ci zarzut zdrady, za który karą jest śmierć.

Rand odwrócił głowę, oczy miał zamknięte. Nieznacznie poruszył ustami; Perrin wiedział, że tylko on go teraz słyszy.

- Nie, nie mogę. Nie zrobię tego.

Rozumiał teraz jego opieszałość. Rand szukał jakiegoś wyjścia z całej sytuacji.

Perrin żałował, że sam takiego nie widzi.

Colavaere z pewnością nic nie usłyszała, ale ewidentnie również pragnęła, by jakieś wyjście się znalazło. Rozglądała się jak oszalała dookoła, patrząc to na Tron Słońca, to na swoje dwórki, na arystokratów, jakby ci mogli coś zrobić w jej obronie. A tymczasem ich stopy równie dobrze mogły być osadzone w cemencie, patrzyło na nią morze pustych, spoconych twarzy i oczu, które unikały jej wzroku. Niektóre z tych oczu zerkały na Asha'manów, ale niezbyt otwarcie. Już i tak znaczny dystans dzielący arystokratów od Asha'manów zwiększył się jeszcze bardziej.

- Kłamstwa! - syknęła, z dłońmi splecionymi na fałdach sukni. -To wszystko kłamstwa! Ty podstępna, mała... ! - Zrobiła krok w stronę Faile. Rand wyciągnął rękę w stronę odgradzającej ich przestrzeni, aczkolwiek Colavaere zdawała się jej nie widzieć, a Faile miała taką minę, jakby wolała, żeby on tego nie robił. Każdego, kto by ją zaatakował, czekała niespodzianka.

- Faile nie kłamie! - warknął Perrin. - Nie, nie w tak ważnych sprawach.

Colavaere po raz kolejny opamiętała się. Będąc dość mizernej postury, wykorzystała co do ostatka wszystkie cale swego wzrostu. Perrin niemalże ją podziwiał. Gdyby nie Meilan, Maringil, ta Maire i Światłość wiedziała, ilu jeszcze.

- Domagam się sprawiedliwości, Lordzie Smoku. -Jej głos był spokojny, stateczny. Majestatyczny. - Nie ma żadnych dowodów na to... na to plugastwo. Powtarzać za kimś, kogo już nie ma w Cairhien, jakobym ja wymówiła słowa, których wszak nigdy nie wypowiedziałam? Domagam się sprawiedliwości Lorda Smoka. Zgodnie z naszymi prawami, musi istnieć jakiś dowód.

- Skąd wiesz, że jej już nie ma w Cairhien? - spytał Dobraine. - To w takim razie gdzie jest?

- Przypuszczam, że wyjechała. - Swoją odpowiedź zaadresowała do Randa. - Maire porzuciła służbę u mnie i zgodnie z moim rozkazem zastąpiła ją Reale. To ta tutaj. -Wskazała gestem trzecią dwórkę od lewej. - Nie mam pojęcia, gdzie ona teraz jest. Sprowadźcie ją, jeśli jest w mieście; niech rzuci mi te niedorzeczne oskarżenia w twarz. - Faile miała taką minę, jakby chciała ją zamordować. Perrin miał nadzieję, że nie wyciągnie jednego z noży, które potajemnie nosiła przy sobie; miała nawyk robienia tego, kiedy coś ją dostatecznie rozzłościło.

Annoura chrząknęła. Przyglądała się Randowi nieco zbyt uważnie, żeby Perrin mógł być spokojny. Ni stąd, ni zowąd przypomniała mu się Verin, to spojrzenie ptaka przyglądającego się robakowi.

- Czy wolno mi się odezwać, Panie... ach... Lordzie Smoku? - Gdy przytaknął szorstko, mówiła dalej, poprawiając szal. - Nie wiem o młodej Maire nic prócz tego, że któregoś ranka była tutaj, a przed zapadnięciem zmroku nie można jej było nigdzie znaleźć i nikt nie wiedział, gdzie się podziała. Ale Lord Maringil i Wysoki Lord Meilan to całkiem inna sprawa. Pierwsza z Mayene przywiozła ze sobą dwóch najlepszych łowców złodziei, ludzi doświadczonych w tropieniu sprawców zbrodni. To oni przyprowadzili do mnie dwóch mężczyzn, którzy napadli na Wysokiego Lorda Meilana na ulicy, aczkolwiek obaj się upierają, że tylko trzymali go za ręce, podczas gdy ciosy zadawali inni. To oni również przyprowadzili do mnie służkę, która dodała trucizny do korzennego wina, które Wysoki Lord Maringil zwykł pijać przed udaniem się na spoczynek. Ta też zapewnia o swej niewinności; gdyby Lord Maringil nie umarł, umarłaby jej zniedołężniała matka i ona sama. Tak powiada i ja wierzę, że mówi prawdę. Moim zdaniem ulga, jaką poczuła, gdy to wszystko wyznała, nie była udawana. Niemniej jednak zarówno mężczyźni, jak i kobieta zgadzają się co do

jednego: to Lady Colavaere osobiście wydawała im rozkazy.

Z każdym słowem Colavaere stopniowo traciła butę. Stała jeszcze o własnych siłach, ale zakrawało to na cud; sprawiała wrażenie tak zwiotczałej jak wilgotna szmata.

- Obiecały - wybełkotała w stronę Randa. - Obiecały, że ty już nie wrócisz. -Zbyt późno przycisnęła dłonie do ust. Oczy wyszły jej z orbit, a Perrin bardzo żałował, że słyszy dźwięki dobywające się z jej gardła. Człowiek nie powinien wydawać takich odgłosów.

- Zdrada i morderstwo. - Ton głosu Dobraine wskazywał, że jest zadowolony. Te piskliwe okrzyki zupełnie na niego nie działały. - Kara jest ta sama, Lordzie Smoku. Śmierć. Z tym wyjątkiem, że zgodnie z nowym prawem, wprowadzonym przez ciebie, za morderstwo się wiesza. -Rand z jakiegoś powodu spojrzał na Min. Ta odpowiedziała spojrzeniem pełnym bezbrzeżnego smutku. Nie z powodu Colavaere. Z powodu Randa. Perrin zastanowił się, czy to się przypadkiem nie wiąże z jakimś jej widzeniem.

- Ja... żądam kata - wydusiła z siebie Colavaere. Twarz jej całkiem zwiotczała. Zestarzała się w jednym momencie, a jej oczy przemieniły się w lustra najczystszej trwogi. A mimo to walczyła dalej, walczyła o ochłapy, mimo że nie miała już czym walczyć. - Mam... mam takie prawo. Nie zostanę... powieszona jak jakaś kobieta z gminu!

Rand zdawał się zmagać wewnętrznie, bo kręcił głową w ten niepokojący sposób. Kiedy nareszcie przemówił, w jego głosie słyszało się chłód zimy i twardość kowadła.

- Colavaere Saighan, odbieram ci wszystkie tytuły. -Wymawiał te słowa tak dobitnie, jakby z każdym wbijał gwóźdź. - Odbieram ci wszystkie twoje ziemie, domy i

rzeczy, wszystko oprócz tej sukni, w której teraz stoisz. Czy masz... czy miałaś jakąś małą farmę? Niewielką farmę?

Kobieta chwiała się przy każdym zdaniu. Chwiała się, jakby była pijana, bezgłośnie powtarzając słowo "farma", jakby go nigdy wcześniej nie słyszała. Annoura, Faile, wszyscy wpatrywali się w Randa ze zdumieniem, z ciekawością albo i z jednym, i drugim. Perrin z nie mniejszym. Farma? O ile wcześniej w Wielkiej Komnacie panowała cisza, o tyle teraz zdawało się, że wszyscy przestali oddychać.

- Dobraine, czy ona miała jakąś małą farmę?

- Ona posiada... posiadała... wiele farm, Lordzie Smoku - odparł powoli Cairhienianin. Ewidentnie nie rozumiał więcej niż Perrin. - Przeważnie duże. Ale z kolei ziemie blisko Muru Smoka zawsze były dzielone na gospodarstwa małorolne, o powierzchni mniejszej niźli pięćdziesiąt hajdów. Wszyscy mieszkańcy porzucali je podczas Wojny z Aielami.

Rand przytaknął.

- Czas to zmienić. Zbyt wiele gruntów leżało dotąd odłogiem. Chcę, żeby ludzie zaczęli się tam przenosić, żeby znowu zajęli się rolą. Dobraine, dowiesz się, która z farm Colavaere w pobliżu Muru Smoka jest najmniejsza. Colavaere, skazuję cię na wygnanie na tę farmę. Dobraine dopilnuje, by ci dano to, co jest niezbędne, by farma na nowo nadawała się do uprawy i by ktoś cię tam nauczył, jak się uprawia ziemię. I dostaniesz również strażników, którzy przypilnują, być stamtąd nie odeszła dalej niż na odległość dnia pieszej drogi, dopóki będziesz żyła. Dopilnuj tego, Dobraine. Chcę, żeby wyruszyła za tydzień.

Zdumiony Dobraine zawahał się i dopiero wtedy przytaknął. Perrin słyszał teraz pomruki dobiegające od zgromadzonych za jego plecami. To było coś

niesłychanego. Nikt nie rozumiał, dlaczego nie została skazana na śmierć. I ta reszta! Już przedtem dochodziło do konfiskaty majątków, ale nigdy w całości i nigdy razem z nimi nie odbierano tytułu szlacheckiego. Arystokratów skazywano na wygnanie, nawet na całe życie, ale nigdy miejscem banicji nie była jakaś farma.

Reakcja Colavaere była natychmiastowa. Przewróciła oczami i zachwiawszy się, zaczęła osuwać się bezwładnie na stopnie.

Perrin pomknął, żeby ją złapać, ale ktoś był od niego szybszy. Zanim zrobił jeden pełny krok, coś zwyczajnie przerwało jej upadek. Ciało Colavaere zwiotczało w powietrzu, kuląc się w stronę stopni, z rozkołysaną głową. A potem powoli uniosło się, obróciło wokół własnej osi i wreszcie delikatnie opadło przed Tronem Słońca. Robota Randa. Perrin był pewien, że Asha'mani pozwoliliby jej runąć jak długiej.

Annoura syknęła. Nie wyglądała ani na zdziwioną, ani na zakłopotaną; tylko nerwowo pocierała kciukami o palce wskazujące.

- Podejrzewam, że jednak wolałaby kata. Zbadam ją, jeżeli każesz swojemu człowiekowi, swojemu... Asha'manowi...

- To nie twoja sprawa - przerwał jej brutalnie Rand. - Ona żyje i... Żyje. -

Wciągnął długi, urywany oddech. Min była przy nim, zanim zdążył go wypuścić; stanęła tylko obok niego, a jednak miała taką minę, jakby chciała zrobić coś jeszcze.

Twarz Randa twardniała powoli. - Annoura, zaprowadź mnie do Berelain. Wypuść ją, Jahar, nie sprawi kłopotu. Jest sama, a nas dziewięciu. Chcę wiedzieć, co tu się działo, kiedy mnie nie było, Annoura. I dlaczego Berelain sprowadziła tu ciebie za moimi plecami. Nie, nic nie mów. Chcę to usłyszeć od niej. Perrin, wiem, że chcesz spędzić trochę czasu z Faile. Ja...

Rand powoli ogarnął wzrokiem komnatę, wszystkich arystokratów

czekających w milczeniu. Pod wpływem jego spojrzenia żaden nie odważył się ruszyć choćby palcem. Konwulsyjna woń strachu przytłaczała wszystkie inne zapachy. Z wyjątkiem uczestników Polowania na Róg wszyscy złożyli mu taką samą przysięgę jak Colavaere. Może już samo przebywanie w tym zgromadzeniu stanowiło zdradę? Perrin nie wiedział.

- Audiencja dobiega końca - oznajmił Rand. - Zapomnę twarze wszystkich, którzy teraz odejdą.

Ci na przedzie, najwyżsi rangą, najpotężniejsi, ruszyli w stronę drzwi, nie okazując zbytniego pośpiechu, unikając Panien i Asha'manów stojących w przejściu, podczas gdy reszta czekała na swoją kolej. Wszyscy jednakże powtarzali w myślach to, co powiedział Rand. Co dokładnie miał na myśli, mówiąc "teraz"? Kroki nabrały tempa, spódnice zostały uniesione. Uczestnicy Polowania, ci stojący najbliżej drzwi, zaczęli się wymykać na zewnątrz pojedynczo, a potem ruszyli jak lawina, a na taki widok pośledniejsi arystokraci pośród Tairenian i Cairhienian wypchnęli się przed możniejszych. Po kilku chwilach pod drzwiami utworzyła się kłębiąca masa, mężczyźni i kobiety popychali się i poszturchiwali, żeby się tylko wydostać. Nikt nie obejrzał się w stronę kobiety leżącej przed tronem, na którym jakże krótko zasiadała.

ROZDZIAŁ 6

STARY STRACH I NOWY STRACH

Rand oczywiście przedarł się bez żadnych trudności przez ten walczący motłoch. Może sprawiła to obecność Panien i Asha'manów, a może któryś z mężczyzn w czarnych kaftanach albo on sam w jakiś sposób wykorzystał Moc; w każdym razie tłum rozstąpił się przed nim, Min, która ujmowała go pod ramię, Annourą usiłującą z nim rozmawiać oraz Loialem, który nadal, z niejakimi trudnościami, usiłował coś notować w swojej książce i jednocześnie trzymać topór. Perrin i Faile, patrzący na siebie wzajem, stracili szansę na przyłączenie się do nich, zanim tłum znowu zlał się w litą masę.

Przez jakiś czas nic nie mówiła i on też nie, a w każdym razie nie to, co chciał powiedzieć, nie przy Aramie, który wpatrywał się w nich jak wierny pies. I nie przy Dobraine, który z krzywą miną przypatrywał się nieprzytomnej kobiecie powierzonej jego pieczy. Tylko ci dwaj pozostali na podium. Havien odszedł razem z Randem, żeby poszukać Berelain, natomiast inne dwórki umknęły w stronę drzwi, ledwie Rand się oddalił, nie spojrzawszy na Perrina i na Faile więcej niż jeden raz. Ani też na Colavaere. Na nią nie spojrzały w ogóle, skoro już o tym mowa. Podkasały tylko pasiaste spódnice i rzuciły się do biegu. Od strony sfory arystokratów słychać było pomrukiwania i przekleństwa, nie tylko z męskich ust. Nawet kiedy Rand już poszedł, ci ludzie nadal pragnęli znaleźć się gdzieś indziej i to natychmiast. Może uważali, że Perrin został po to, by obserwować i potem donosić, mimo iż wystarczyło się obejrzeć, by stwierdzić, iż nie w nich utkwił wzrok.

Wspiąwszy się na sam szczyt podium, ujął Faile za rękę i zaczął wdychać jej zapach. Z tak bliska te opary perfum nie miały znaczenia. Wszystko inne mogło

zaczekać. Faile wyciągnęła skądś wachlarz z czerwonej koronki i zanim go rozłożyła, żeby się ochłodzić, dotknęła nim najpierw swego policzka, a potem jego. W jej rodzinnej Saldaei istniała cała skomplikowana mowa wachlarzy. Trochę go tej mowy nauczyła. Żałował, że nie wie, jak tłumaczyć dotykanie policzków; to musiało oznaczać coś dobrego. Z drugiej zaś strony jej zapach przypominał kolczastą zaporę, znaną mu aż za dobrze.

- Powinien był skazać ją na pień - mruknął Dobraine, a Perrin niespokojnie wzruszył ramionami. Cairhienianin nie dał poznać tonem głosu, czy tak uważa, bo takiej kary wymagało prawo, czy też dlatego, że tak byłoby bardziej miłosiernie. Dobraine niczego nie zrozumiał. Z równą łatwością Rand mógłby najpierw wyhodować sobie skrzydła.

Wachlarz zwolnił; Faile trzepotała nim teraz nieznacznie i popatrywała na Dobraine z ukosa ponad purpurową koronką.

- Jej śmierć byłaby najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich. Taki właśnie wymiar kary zaleca się w tego typu przypadkach. Co zatem zrobisz, lordzie Dobraine?

- Krzywe czy nie, to spojrzenie było jakimś sposobem bezpośrednie i bardzo znaczące. Perrin zmarszczył czoło. Ani słowa dla niego, tylko pytania dla Dobraine? I ta nuta zazdrości w jej zapachu; westchnął, kiedy ją poczuł.

Cairhienianin odpowiedział jej beznamiętnym spojrzeniem, jednocześnie wpychając rękawice za pas od miecza.

- Zrobię to, co mi kazano. Ja dotrzymuję swoich przysiąg, lady Faile.

Wachlarz otworzył się z trzaskiem i natychmiast zamknął, szybciej niż myśl.

- Czy on naprawdę odesłał Aes Sedai do Aielów? W charakterze więźniów? - W jej głosie słyszało się niedowierzanie.

- Nie wszystkie, lady Faile. - Dobraine zawahał się. - Niektóre na kolanach przysięgły lojalność. Widziałem to na własne oczy. I te również udały się do Aielów, ale nie sądzę, by można je było nazywać więźniarkami.

- Ja też to widziałem, moja lady - wtrącił Aram ze swego miejsca na stopniach i kiedy spojrzała na niego, szeroki uśmiech wypłynął mu na twarz.

Czerwona koronka zatrzepotała, wykonując ruch naśladujący przyciąganie. Wszystkie ruchy wachlarza Faile zdawała się wykonywać nieświadomie.

- A zatem obaj to widzieliście. - Ulga w jej głosie, a także w zapachu, była tak silna, że Perrin aż wytrzeszczył oczy.

- A coś ty sobie myślała, Faile? Niby czemu Rand miałby kłamać, zwłaszcza, że wszyscy i tak dowiedzieliby się nazajutrz?

Zamiast natychmiast odpowiedzieć, Faile spojrzała krzywo na leżącą Colavaere.

- Czy ona jest nadal nieprzytomna? A zresztą to chyba nie ma znaczenia. Ta kobieta wie więcej, niż ja mogłabym powiedzieć. Wie wszystko, co tak usilnie staraliśmy się ukryć. To też jej się wymknęło podczas rozmowy z Maire. Wie o wiele za dużo.

Dobraine, niezbyt delikatnie, otworzył jedno z oczu Colavaere kciukiem.

- Jakby ją kto zdzielił maczugą. Szkoda, że nie złamała sobie karku na tych stopniach. Ale uda się na wygnanie i nauczy farmerskiego życia. - Od Faile powiało przelotnie jakimś postrzępionym, zakłopotanym zapachem.

Do Perrina dotarło nagle, co jego żona zaproponowała, jakże niejasno; to samo, co Dobraine odrzucił w sposób równie zawoalowany. W tym momencie wszystkie włosy na jego ciele zjeżyły się. Od samego początku wiedział, że ożenił się z bardzo

niebezpieczną kobietą. Nie wiedział tylko, do jakiego stopnia niebezpieczną. Aram przyglądał się Colavaere i wydymał wargi, ewidentnie pod wpływem jakichś ponurych myśli; ten człowiek zrobiłby dla Faile dosłownie wszystko.

- Moim zdaniem Rand raczej by się nie ucieszył, gdyby coś jej przeszkodziło w dotarciu na farmę - powiedział stanowczym tonem Perrin, mierząc wzrokiem kolejno Arama i Faile. - Mnie też by się to nie spodobało. - W tym momencie był nawet z siebie całkiem zadowolony. Gadał ogródkami równie dobrze jak oni.

Aram przelotnie skłonił głowę - on zrozumiał - za to Faile usiłowała robić minę niewiniątka ponad delikatnie trzepoczącym wachlarzem, demonstrując, że nie ma pojęcia, o czym on mówi. Nagle dotarło do niego, że strachem czuć nie tylko od ludzi kłębiących się pod drzwiami. Cieniutka, drżąca smuga strachu wiała także od niej. Strach pod kontrolą, a jednak tam był.

- Co się stało, Faile? Na Światłość! Uważasz, że Coiren i jej towarzyszki wygrały, a nie... - Wyraz jej twarzy nie uległ zmianie, za to smuga stała się grubsza. - Czy to dlatego nic nie powiedziałaś na samym początku? - spytał łagodnie. - Bałaś się, że wróciliśmy jako marionetki, a one ciągną za sznurki?

Przyglądała się gwałtownie malejącemu tłumowi po drugiej stronie Wielkiej Komnaty. Ci stojący najbliżej nich znajdowali się bardzo daleko i wszyscy robili mnóstwo hałasu, a mimo to zniżyła głos.

- A ja słyszałam, że Aes Sedai są zdolne do takich rzeczy. Mężu mój, nikt nie wie lepiej ode mnie, że nawet Aes Sedai byłoby trudno zmusić ciebie do tańca w charakterze marionetki, o wiele nawet trudniej niż człowieka, który jest tylko Smokiem Odrodzonym, ale odkąd tu wszedłeś, bałam się bardziej niż w którymkolwiek momencie od twojego wyjazdu. - Przy pierwszym zdaniu powiało rozbawieniem,

czułością i miłością, tym jej zapachem, wyraźnym, czystym i silnym, ale niestety, to wszystko zblakło na końcu; zostało jedynie wątłe, drżące pasemko.

- Światłości, to wszystko prawda, Faile. Każde słowo, które powiedział Rand. Słyszałaś, co mówili Dobraine i Aram. - Uśmiechnęła się, przytaknęła i znowu zaczęła manipulować wachlarzem. A mimo to ten zapach nadal drażnił jego nozdrza.

"Krew i popioły, czego trzeba, żeby ją przekonać?"

- A czy wystarczyłoby, gdyby Rand kazał Verin odtańczyć sa'sarę? Zrobi to, jeśli on sobie tego zażyczy. - Chciał, żeby to zabrzmiało jak dowcip. O sa'sarze wiedział tylko tyle, że to skandalicznie nieprzyzwoity taniec; Faile przyznała się kiedyś, że go zna, aczkolwiek ostatnimi czasy wypierała się tego. Chciał, żeby to był dowcip, ale ona zamknęła wachlarz i postukała nim o nadgarstek. To akurat znał. "Poważnie się zastanawiam nad twoją sugestią".

- Nie wiem, co wystarczy, Perrin. - Zadygotała nieznacznie. - Czy jest coś, czego Aes Sedai nie zrobią albo na co się nie zgodzą, mimo iż tak im rozkaże Biała Wieża? Przestudiowałam historię swojego kraju i nauczyłam się czytać między wierszami. Mashera Donavelle urodziła siedmioro dzieci mężczyźnie, którym pogardzała, niezależnie od tego, co mówią opowieści, Isebaille Tobanyi oddała swoich

ukochanych braci wrogom i razem z nimi tron Arad Doman, a Jestian Redhill... -

Znowu zadrżała i to wcale nie lekko.

- Nie martw się już, wszystko w porządku - mruknął, obejmując ją ramionami.

Sam przestudiował kilka książek poświęconych historii, ale nigdy nie napotkał tych nazwisk. Widocznie córka lorda otrzymywała inne wykształcenie niż czeladnik kowalski. - Zapewniam cię, że to wszystko prawda. - Dobraine odwrócił wzrok i podobnie Aram, ale za to z uśmiechem zadowolenia.

Z początku opierała się, ale nie bardzo. Nigdy nie mógł być pewien, kiedy nie będzie chciała, aby obejmował ją publicznie, a kiedy powita to z zadowoleniem, ale jeśli sobie tego nie życzyła, dawała to jasno do zrozumienia, niekiedy bez słów. Tym razem wcisnęła twarz w jego pierś i odwzajemniła uścisk, nawet go mocniej przyciągając.

- Jeżeli jakakolwiek Aes Sedai skrzywdzi cię kiedykolwiek - wyszeptała - to ja ją zabiję. - Wierzył jej. -Należysz do mnie, Perrinie t' Bashere Aybara. Do mnie. -W to też wierzył. Jej uścisk stawał się coraz gorętszy i nagle poczuł kolczastą woń zazdrości. Omal się nie roześmiał. Wychodziło na to, że prawo do ugodzenia go nożem zarezerwowała dla siebie. Zaśmiałby się, gdyby nie to włókienko strachu. Ono i to, co Faile powiedziała o Maire. Nie czuł własnego zapachu, ale wiedział, co w nim jest. Strach. Stary i nowy, strach przed następnym razem.

Już ostatni arystokraci przedzierali się do wyjścia z Wielkiej Komnaty; na szczęście nikt nie został stratowany. Zastanawiając się, czy nie posłać Arama do Dannila z rozkazem, że ma wprowadzić ludzi z Dwu Rzek do miasta-i zastanawiając się, jak ich wyżywi - Perrin podał ramię Faile i wyprowadził ją z sali, pozostawiając Dobraine z Colavaere, która nareszcie zaczęła zdradzać oznaki powrotu do

przytomności. Nie miał ochoty znajdować się obok, kiedy ona się ocknie i Faile, która złapała go za nadgarstek, też ewidentnie tego nie chciała. Szli szybko, wiedzeni pragnieniem dotarcia do swych izb, nawet jeżeli niekoniecznie z tych samych powodów.

Arystokraci najwyraźniej nie przestali uciekać po wyjściu z Wielkiej Komnaty, bo na korytarzach nie było już nikogo oprócz służących, którzy trzymali oczy spuszczone i poruszali się z milczącym pośpiechem, ale nie uszli specjalnie daleko, kiedy Perrin posłyszał odgłos czyichś kroków i zrozumiał, że ktoś za nimi idzie. Zdawało się nieprawdopodobne, by Colavaere miała jeszcze stronników, ale jeżeli jacyś się ostali, to mogli chcieć zadać cios Randowi poprzez jego przyjaciela, idącego samotnie ze swoją żoną, podczas gdy Smok Odrodzony znajdował się gdzieś indziej. A jednak, gdy Perrin obrócił się na pięcie, z dłonią na toporze, wytrzeszczył tylko oczy, zamiast dobyć broni. To była Selande i jej przyjaciele z głównej sieni, towarzyszyło im osiem, może dziewięć nowych twarzy. Wzdrygnęli się na jego obrót i wymienili zmieszane spojrzenia. Było wśród nich kilku Tairenian, w tym jedna kobieta górująca wzrostem nad wszystkimi oprócz jednego z mężczyzn z Cairhien. Miała na sobie męski kaftan i obcisłe spodnie, tak samo jak Selande i pozostałe kobiety, a u biodra miecz. Nie słyszał dotąd, by również Tairenianie uczestniczyli w tych bzdurnych zabawach.

- Dlaczego za nami idziecie? - spytał. -.leżeli chcecie wciągnąć mnie w jakieś kłopoty, które się ulęgły w tych waszych pełnych wełny głowach, to przysięgam, tak was kopnę, że pofruniecie aż do samego Bel Tine! - Miewał już problemy z tymi idiotami albo w każdym razie im podobnymi. W głowach mieli tylko honor, pojedynki i branie się wzajem do niewoli jako gai'shain. To ostatnie sprawiało, że Aielowie

autentycznie zgrzytali zębami.

- Wysłuchajcie uważnie mojego męża i okażcie mu posłuszeństwo - wtrąciła ostrym tonem Faile. - To nie jest człowiek, któremu można zawracać głowę błahostkami. -Przestali się na nich gapić wytrzeszczonymi oczyma, a potem wszyscy jak jeden mąż zaczęli się cofać, prześcigając się w ukłonach. Nadal to jeszcze robili, kiedy Perrin z Faile zniknęli za zakrętem.

- Przeklęte bufony - mruknął Perrin, ponownie podając Faile swój nadgarstek.

- Mój mąż jest nadzwyczaj mądry jak na swoje lata -wymruczała. Mówiła tonem całkowitej powagi; jej zapach znowu przybrał jakąś inną postać.

Perrin jakoś się powstrzymał i nie parsknął śmiechem. Prawda, niektórzy z nich mogli być od niego starsi o rok albo dwa, ale i tak wszyscy przypominali dzieci przez tę ich zabawę w Aielów. Teraz jednak, skoro Faile miała dobry nastrój, zdawało się, że to właściwa pora na rozmowę o tym, o czym musieli pogadać we dwoje. O tym, o czym on musiał z nią porozmawiać.

- Faile, dlaczego zostałaś dwórką Colavaere?

- Służba, Perrin! - Mówiła cicho; nikt znajdujący się dwa kroki dalej nie usłyszałby ani słowa. Wiedziała o jego słuchu i o wilkach; czegoś takiego mężczyzna nie mógł zataić przed swoją żoną. Dotknęła wachlarzem jego ucha, doradzając ostrożność w mówieniu. - Zbyt wielu ludzi zapomina o służących, ale przecież oni też słuchają. W Cairhien zresztą o wiele za dużo.

Perrin nie zauważył, by któryś z odzianych w liberię ludzi słuchał ich teraz. Ci nieliczni, którzy nie umykali do bocznych korytarzy na widok jego i Faile, przechodzili obok, niemalże biegnąc, z wzrokiem wbitym w posadzkę i całkowicie pochłonięci własnymi sprawami. Wszelkie wieści rozchodziły się po Cairhien bardzo szybko.

Plotki o zdarzeniach, do których doszło w Wielkiej Komnacie, będą zapewne fruwały w powietrzu. Do tej pory zapewne dotarły już na ulicę i prawdopodobnie lada chwila opuszczą miasto. W tym mieście bez wątpienia działała agentura Aes Sedai, Białych Płaszczy i najprawdopodobniej wielu tronów.

Mimo iż sama go ostrzegła, mówiła dalej, takim samym zniżonym głosem.

- Colavaere nie traciła ani chwili, żeby mnie pozyskać, kiedy się dowiedziała, kim jestem. Nazwisko mojego ojca zrobiło na niej takie samo wrażenie jak nazwisko mojej kuzynki. - Skończyła z nieznacznym potaknięciem, jakby tym wszystko już wyjaśniła.

Istotnie, to wyjaśnienie mogło nawet wystarczyć. Prawie. Jej ojcem był Davram, Głowa Domu Bashere, lord Bashere, Tyru i Sidony, Strażnik Granicy z Ugorem, Obrońca Ziemi Serca i Marszałek-Generał królowej Saldaei, Tenobii. Kuzynką Faile była sama Tenobia. Colavaere miała jak najlepszy powód, by chcieć pozyskać Faile w charakterze swojej damy dworu. Ale on miał czas na przemyślenie różnych spraw i chlubił się przed sobą tym, że zaczyna się przyzwyczajać do jej obyczajów. Pożycie małżeńskie uczyło mężczyznę, kim są kobiety; albo w każdym razie jedna kobieta. Fakt, że Faile nie udzieliła mu odpowiedzi, potwierdzał coś. Ona nie miała pojęcia, czym jest niebezpieczeństwo, w każdym razie nie tam, gdzie w grę wchodziła jej własna osoba.

Oczywiście nie mógł o tym mówić tutaj, na tym korytarzu. Jakby cicho nie szeptał, ona nie miała jego słuchu i bez wątpienia uparłaby się, że każdy sługa w zasięgu kilkudziesięciu kroków rejestruje każde słowo. Cierpliwie szedł razem z nią, aż dotarli do komnat, które im przydzielono, wieki temu, jak się teraz zdawało. Zapalone lampy rzucały migotliwe błyski na wypolerowane ściany, na każdy drewniany panel

rzeźbiony w koncentryczne prostokąty. Palenisko kominka zbudowanego z kamiennych brył było wymiecione do czysta i leżało na nim kilka lichych, ale wciąż niemalże zielonych gałązek skórzanego drzewa.

Faile podeszła prosto do małego stolika, na którym stała taca z dwoma złotymi dzbanami zroszonymi wilgocią.

- Zostawiono nam jagodową herbatę, mój mężu, oraz winny poncz. To wino pochodzi z Tharon, jak mi się zdaje. Poncz chłodzą w zbiornikach pod pałacem. Co wolisz?

Perrin odpiął pas i rzucił go razem z toporem na krzesło. Po drodze tutaj starannie obmyślił, co jej powie. Potrafiła być bardzo drażliwa.

- Faile, tęskniłem za tobą bardziej, niż to potrafię wyrazić, i martwiłem się też o ciebie, ale...

- Martwiłeś się o mnie! -warknęła, obracając ku niemu twarz. Stała wyprostowana i wysoka, z oczyma zapalczywymi jak u sokoła, od którego wszak wzięła swoje imię, a wachlarz wykonał ruch naśladujący rozdzieranie, skierowany w sam środek jego brzucha. To nie był element języka wachlarzy; czasami wykonywała taki sam gest nożem. - A tymczasem niemalże już w pierwszych swoich słowach zapytałeś o... o tamtą kobietę!

Zaniemówił. Jak mógł zapomnieć o zapachu wypełniającym mu nozdrza? Omal nie podniósł ręki, by sprawdzić, czy przypadkiem nie krwawi mu nos.

- Faile, ja potrzebuję jej łowców złodziei. Be... - Nie, nie będzie taki głupi i nie powtórzy tego imienia. - Przed moim wyjazdem twierdziła, iż dysponuje dowodem, że to była trucizna. Sama słyszałaś! Ja tylko chciałem mieć ten dowód, Faile.

Wszystko na nic. Kolczasty odór nie zmiękł ani na jotę, a nadto przyłączył się

do niego rzadki, kwaśny zapach poczucia krzywdy. Co on, na Światłość, takiego powiedział, że zrobił jej krzywdę?

- Jej dowód! To, co ja zgromadziłam, nie przydało się na nic, za to jej dowód sprawił, że głowa Colavaere trafiła na katowski pień. Czy raczej powinna była trafić. - W tym momencie należało się wtrącić, ale ona nie zamierzała dopuścić, by sprzeciwił jej się bodaj słowem. Podeszła do niego, z oczyma jak dwa sztylety i tym wachlarzem, który wykonywał ruchy sztyletu. Mógł tylko się cofnąć. - Czy ty wiesz, jaką historię wymyśliła ta kobieta? - niemalże wysyczała Faile. Zęby jadowitego węża nie mogłyby bardziej ociekać jadem. - Wiesz? Powiedziała, że nie ma ciebie tutaj, bo bawisz w jednym z majątków nieopodal miasta. Gdzie ona może cię odwiedzać! Ja na to opowiedziałam własną historyjkę, że niby jesteś na polowaniu i że Światłość wie, jak długo potrafisz polować, a mimo to wszyscy uważali, że robię tylko dobrą minę do złej gry ze względu na nią i na ciebie! Razem! Colavaere rozkoszowała się tym. Jestem przekonana, że wzięła tę mayeniańską ulicznicę na swoją damę dworu, żeby nas obie zmusić do przebywania w swoim towarzystwie. "Faile, Berelain, przyjdźcie zasznurować mi szatę". "Faile, Berelain, przyjdźcie przytrzymać lustro fryzjerowi". "Faile, Berelain, przyjdźcie umyć mi plecy". Dzięki temu mogła się zabawiać oczekiwaniem, aż nawzajem wydrapiemy sobie oczy! Na to właśnie musiałam się godzić! Dla ciebie, ty włochatouchy... !

Zderzył się plecami ze ścianą. I coś w jego wnętrzu pękło. Bał się o nią tak strasznie, że gotów był stanąć do walki z Randem albo nawet z samym Czarnym. I nie zrobił nic, ani razu nawet nie zachęcił Berelain, robił wszystko, co mu tylko przychodziło do głowy, żeby odegnać tę kobietę. I takie dostał za to podziękowanie. Ujął ją delikatnie za ramiona i uniósł tak wysoko, aż te wielkie, skośne oczy

znalazły się na jednym poziomie z jego oczami.

- Posłuchaj mnie - powiedział spokojnie. A w każdym razie starał się mówić spokojnym głosem; z jego gardła wydobywał się raczej warkot. - Jak śmiesz mówić do mnie w taki sposób? Jak śmiesz? Ja zamartwiałem się niemal na śmierć, że coś ci się stanie. Kocham tylko ciebie i nikogo innego. Nie pragnę żadnej innej kobiety oprócz ciebie. Czy ty mnie słyszysz? Słyszysz? - Przycisnął ją z całej siły do piersi i tak trzymał, pragnąc już nigdy nie wypuszczać. Światłości, jak on się bał. Nawet teraz się trząsł na myśl o tym, do czego mogło dojść. - Umarłbym, Faile, gdyby coś ci się stało. Położyłbym się na twoim grobie i umarłbym! Myślisz, że nie wiem, w jaki sposób Colavaere odkryła, kim jesteś? To ty sama dopilnowałaś, żeby się dowiedziała. - Szpiegowanie, powiedziała mu kiedyś, to zadanie żony. - Światłości, kobieto, mogłaś skończyć jak Maire. Colavaere wie, że jesteś moją żoną. Moją! Czyli Perrina Aybara, przyjaciela Randa al'Thora. Nie przyszło ci w ogóle do głowy, że mogłaby nabrać jakichś podejrzeń? Mogła... Światłości, Faile, ona mogła...

Nagle dotarło do niego, co z nią robi. Przyciśnięta do jego piersi, wydawała jakieś dźwięki, ale nie umiał rozpoznać żadnych słów. Zdziwił się wręcz, że nie słyszy, jak pękają jej żebra. Skarciwszy się w duchu, że jest takim baranem, puścił ją, rozkładając szeroko ręce, ale zanim zdążył przeprosić, jej palce zacisnęły się na jego brodzie.

- A więc kochasz mnie? - spytała cicho. Bardzo cicho. Bardzo ciepło. I uśmiechała się. - Kobieta lubi takie słowa, pod warunkiem, że zostaną wypowiedziane we właściwy sposób. - Opuściła wachlarz i wbiła mu w policzek paznokcie wolnej dłoni, niemal z taką siłą, że mogła go poranić do krwi, ale jej gardłowy śmiech był nadal ciepły, a żar w oczach tak daleki od gniewu, jak to tylko możliwe. - Dobrze, że

nie obiecałeś nigdy już nie spojrzeć na inną kobietę, bo inaczej uznałabym, że oślepłeś.

Był zbyt oszołomiony, żeby coś powiedzieć, zbyt oszołomiony, żeby bodaj wytrzeszczyć oczy: Rand rozumiał kobiety, Mat rozumiał kobiety, a on wiedział tylko, że nigdy ich nie zrozumie. Ona przypominała nie tylko sokoła, ale również zimorodka; zmieniała kierunek lotu swych myśli prędzej, niż on myślał, ale to... Kolczasta woń rozwiała się bez śladu, ustępując miejsca temu zapachowi, który tak dobrze znał. Zapachowi, który był nią, wyraźnemu, silnemu i czystemu. A gdy jeszcze dodał do tego jej wzrok i to, że lada chwila miała powiedzieć coś o wieśniaczkach w czasie żniw... Tych sławetnych saldaeańskich wieśniaczkach...

- A co do pokładania się na moim grobie - ciągnęła dalej - zrób to, a moja dusza będzie nawiedzała twoją, to ci obiecuję. Będziesz nosił po mnie żałobę przez stosowny czas, a potem znajdziesz sobie nową żonę. Kogoś, kogo, mam nadzieję, byłabym zdolna zaaprobować. -Zaśmiała się cicho i pogładziła go po głowie. - Wiesz przecież, że nie potrafisz sam dbać o siebie. Życzę sobie, żebyś mi to przyrzekł.

Uznał, że lepiej nie łamać sobie na tym zębów. Powie, że tak nie zrobi, i cały ten cudowny nastrój utonie w wybuchu ognia. Powie, że... Gdyby miał osądzać na postawie jej zapachu, musiałby uznać każde jej słowo za najczystszą prawdę. A jednak... Światłości, uwierzyłby w to, gdyby konie sypiały na drzewach. Chrząknął.

- Muszę wziąć kąpiel. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem mydło. Pewnie śmierdzę jak stara obora.

Wsparła się o jego pierś i zrobiła głęboki wdech.

- Pachniesz cudownie. Sobą. - Przeniosła dłonie na jego ramiona. - Czuję się jak... - Drzwi otwarły się z trzaskiem.

- Perrin, Berelain nie... O przepraszam! Wybaczcie mi. - Rand przestępował z

nogi na nogę, zupełnie nie jak Smok Odrodzony. Za nim, na korytarzu, stały Panny. Min wsunęła głowę do środka, rzuciła raz okiem, uśmiechnęła się szeroko do Perrina i zniknęła z widoku.

Faile odsunęła się na bok tak zgrabnie, tak statecznie, że nikt by się nigdy nie domyślił, co przed chwilą mówiła. Albo co zamierzała powiedzieć. Niemniej jednak na policzkach miała plamy, jaskrawe i gorące.

- Jak to uprzejmie z twojej strony, Lordzie Smoku -powiedziała chłodno - że nas nawiedzasz tak niespodzianie. Wybacz, że nie dosłyszałam twojego pukania. - Całkiem możliwe, że te rumieńce były spowodowane nie tylko zażenowaniem, ale również gniewem.

Tym razem to Rand się zaczerwienił i przejechał palcami po włosach.

- Berelain nie ma w pałacu. Spędza tę noc na statku Ludu Morza, który stoi na rzece. Annoura nie chciała mi tego powiedzieć, dopóki nie znalazłem się w pobliżu apartamentów Berelain.

Perrin bardzo się starał, żeby się nie skrzywić. Dlaczego on tak uparcie powtarza imię tej kobiety?

- Czy jest jeszcze coś, o czym chcesz ze mną porozmawiać, Rand? - Miał nadzieję, że nie wypowiedział tego ze zbytnim naciskiem, i jednocześnie liczył, że Rand jakoś go zrozumiał. Nie spojrzał na Faile, tylko ostrożnie zbadał powietrze. Żadnej zazdrości, jeszcze nie. Ale sporo gniewu.

Rand patrzył na niego przez chwilę, patrzył przez niego na wylot. A słuchał czegoś innego. Perrin założył ramiona na piersi, żeby przestać dygotać.

- Muszę to wiedzieć - przemówił w końcu Rand. - Czy nadal nie chcesz dowodzić armią podczas wyprawy na Illian? Muszę to wiedzieć już teraz.

- Nie jestem generałem - odparł łamiącym się głosem Perrin. W Illian dojdzie do bitew. W myślach zaczęły mu błyskać obrazy. Ludzie wokół niego i wirujący topór w jego dłoniach, torujący mu drogę. Zawsze coraz więcej ludzi, ilu by ich nie zasiekł, niezliczone szeregi. I to ziarno, kiełkujące w sercu. Nie da rady stawić temu czoła, już nigdy więcej. Nie da rady. -A poza tym myślałem, że powinienem trzymać się blisko ciebie. - Coś takiego właśnie powiedziała Min, na podstawie jednego ze swych widzeń. Perrin dwa razy musiał być przy Randzie, bo inaczej przyjacielowi groziło nieszczęście. Ten pierwszy raz to były Studnie Dumai; drugi miał się dopiero wydarzyć.

- Wszyscy musimy ryzykować. - Rand mówił bardzo cichym głosem. I bardzo twardym. Min znowu wsunęła głowę do środka, z taką miną, jakby chciała wejść, ale zerknęła na Faile i została na zewnątrz.

- Rand, Aes Sedai... - Ktoś sprytny zapewne puściłby to mimo uszu. Niemniej jednak on nigdy nie uważał się za wybitnie sprytnego. - Mądre są gotowe obedrzeć je żywcem ze skóry albo są tego bliskie. Nie możesz dopuścić, żeby coś im się stało, Rand.

- Stojąca na korytarzu Sulin odwróciła się i popatrzyła na niego zza progu. Człowiek, którego, jak mu się dotąd zdawało, znał, roześmiał się chrapliwie.

- Wszyscy musimy ryzykować - powtórzył.

- Nie dopuszczę, żeby coś im się stało, Rand.

Zimne, niebieskie oczy napotkały jego wzrok.

- Nie dopuścisz?

- Nie dopuszczę - powtórzył beznamiętnym głosem Perrin. Nie wzdrygnął się też pod tym spojrzeniem. - Zostały wzięte do niewoli, więc nie stanowią problemu. To kobiety.

- To Aes Sedai. - Głos Randa tak bardzo przypominał ten głos, którym Aram mówił pod Studniami Dumai, że Perrinowi niemalże zaparło dech.

- Rand...

- Robię, co muszę, Perrin. - Na krótką chwilę stał się dawnym Randem, Randem, któremu nie podobało się to, co się działo. Przez chwilę wyglądał na śmiertelnie znużonego. Tylko przez chwilę. A potem znowu był tym nowym Randem, tak twardym, że mógłby znakować stal. - Nie zrobię nic tym Aes Sedai, które sobie na to nie zasłużyły, Perrin. Nic więcej obiecać nie mogę. A ponieważ nie chcesz dowodzić armią, więc mogę cię wykorzystać gdzie indziej. I to równie dobrze. Żałuję, że nie mogę ci pozwolić na odpoczynek dłuższy niż dzień czy dwa, ale naprawdę nie mogę. Nie mamy czasu. Nie mamy czasu i musimy robić to, co zrobione być musi. Wybacz, że ci przeszkodziłem. - Wykonał pobieżny ukłon, z jedną ręką wspartą na rękojeści miecza. - Faile?

Perrin próbował złapać go za ramię, ale Rand wyszedł z komnaty i drzwi się za nim zamknęły, zanim Perrin zdołał wykonać jakikolwiek ruch. Rand nie był już Randem, na to wychodziło. Dzień albo dwa? Gdzie, na Światłość, Rand chciał go posłać, jeżeli nie do armii gromadzącej się na Równinach Maredo?

- Mężu mój - powiedziała bez tchu Faile - masz w sobie odwagi za trzech. I rozsądek dziecka trzymanego w kojcu. Dlaczego tak jest, że kiedy w mężczyźnie rośnie odwaga, to jego rozsądek maleje?

Perrin chrząknął z oburzeniem. Powstrzymał się i nie wspomniał o kobietach, które postanawiały szpiegować morderców i nawet prawie zdawały sobie sprawę z tego, że szpiegują. Kobiety zawsze twierdziły, że są logiczne w porównaniu z mężczyznami, ale on raczej tego nie dostrzegał.

- No cóż, może wcale nie chcę znać odpowiedzi, nawet jeśli ty ją znasz. - Przeciągnąwszy się z rękoma uniesionymi nad głową, zaśmiała się gardłowo. - A poza tym, nie chcę, żeby Rand popsuł nam nastrój. Nadal czuję się taka podochocona jak wieśniaczka w czasie... Z czego się śmiejesz? Przestań się ze mnie śmiać, Perrinie t'Bashere Aybara! Przestań, powiadam, ty nieokrzesany gburze! Jeżeli nie...

Nie mógł przeszkodzić jej w tym inaczej jak tylko pocałunkiem. W jej ramionach zapominał o Randzie, Aes Sedai i bitwach. Tam, gdzie była Faile, tam był dom.

ROZDZIAŁ 7

PUŁAPKI I PRZESZKODY

Rand czuł ciężar Berła Smoka w dłoni, czuł wszystkie linie wyrzeźbionych Smoków w dłoni z piętnem czapli tak wyraźnie, jakby gładził je palcami, a mimo to miał wrażenie, że to czyjaś cudza dłoń. Gdyby ją odcięło jakieś ostrze, wówczas poczułby ból - i nadal by żył. To byłby cudzy ból.

Dryfował w Pustce, otoczony jej nie dającą się ogarnąć rozumem skorupą i wypełniony saidinem, który starał się zemleć go na proch, w tym zimnie roztrzaskującym stal, w tym żarze, od którego kamień buchałby płomieniami, wypełniony saidinem, którego strumień niósł skazę Czarnego, wciskając rozkład do jego kości. Do jego duszy, obawiał się niekiedy. Już nie mdliło go tak jak kiedyś. Ale tego bał się jeszcze bardziej. Naszpikowany-za sprawą tego wiru ognia, lodu i brudu - życiem. Tak to najlepiej można było określić. Saidin próbował go zniszczyć. Wypełniał go po brzegi, grożąc, że zatopi swą żywotnością. Groził, że go pogrzebie pod sobą, groził i omamiał. Wojna o przetrwanie, walka, by nie dać się pochłonąć, spotęgowana radością samej esencji życia. Jakże słodkiego mimo tego plugastwa. A gdyby saidin

był czysty? Nie sposób sobie wyobrazić. I mimo to chciał zaczerpnąć więcej, zaczerpnąć wszystko, co tam było.

A tam czyhała śmiertelna pokusa. Jeden błąd i zdolność do przenoszenia wypali się w nim na zawsze. Jeden błąd i postrada zmysły, o ile zwyczajnie nie zostanie unicestwiony na miejscu, być może razem ze wszystkim, co go otaczało. Skupianie się na tej walce o dalsze istnienie nie było szaleństwem; przypominało spacer z zawiązanymi oczyma po linie zawieszonej nad dołem pełnym ostrych pali, jednoczesny z tak czystym odczuwaniem życia, że wszelka myśl o rezygnacji byłaby tym samym co wyobrażanie sobie, że świat na zawsze już zatonie w odcieniach szarości. To nie było szaleństwo.

Podczas tego tańca z saidinem myśli mu wirowały, uciekały gdzieś w głąb Pustki. Annoura, przyglądająca mu się tym wzrokiem Aes Sedai. Do czego zmierza Berelain? Nie wspomniała nigdy, że ma doradczynię Aes Sedai. I te inne Aes Sedai w Cairhien. Skąd one się wzięły i dlaczego? Rebeliantki za miastem. Co sprawiło, że ośmieliły się ruszyć z miejsca? Co teraz zamierzały? Jak mógł je powstrzymać albo wykorzystać? Był coraz lepszy w wykorzystywaniu ludzi; czasami aż go od tego mdliło. Sevanna i Shaido. Rhuarc wysłał już zwiadowców do Sztyletu Zabójcy Rodu, ale ci w najlepszym razie mogli się tylko zorientować, gdzie i kiedy coś nastąpi. Tylko Mądre były w stanie się dowiedzieć dlaczego, ale nie chciały tego zrobić. A tych "dlaczego" było bardzo wiele w związku z Sevanną. Elayne i Aviendha. Nie, o nich nie będzie myślał. Z tym koniec. Perrin i Faile. Ależ to zapalczywa kobieta, sokół z imienia i z usposobienia. Czy naprawdę przyłączyła się do Colavaere tylko po to, żeby zdobyć dowody? Będzie próbowała ochronić Perrina, jeżeli Smok Odrodzony upadnie. Będzie go chroniła przed Smokiem Odrodzonym, jeżeli uzna, że to konieczne; była lojalna

wobec Perrina, ale to ona sama zadecyduje, w jaki sposób mu to okaże. Nie należała do tych kobiet, które potulnie robią to, co każą im mężowie. Złote oczy, w których czaiło się wyzwanie i buta. Dlaczego Perrin z takim żarem bronił Aes Sedai? Przebywał długi czas u boku Kiruny i jej towarzyszek w drodze do Studni Dumai. Czy Aes Sedai mogły zrobić z nim to, czego obawiali się wszyscy? Aes Sedai. Mimo woli potrząsnął głową. Już nigdy więcej. Nigdy! Zaufanie oznaczało zdradę; zaufanie równało się bólowi. Usiłował odepchnąć tę myśl. Zbyt już bardzo przypominała jawne bredzenie.

Każdy musiał komuś ufać, jeżeli chciał żyć. Tylko nie Aes Sedai. Mat, Perrin. Gdyby nie mógł im ufać... Min. Nigdy mu nie przyszło na myśl, że mógłby nie ufać Min.

Wylegiwała się teraz wygodnie we własnym łóżku; żałował, że nie jest zamiast tego przy nim. Wszystkie te dni zamartwiania się - bardziej o niego niż o siebie, na ile ją znał - dni przesłuchań prowadzonych przez Galinę i maltretowanie, gdy jej odpowiedzi okazywały się niezadowalające - tu nieświadomie zazgrzytał zębami - wszystko to razem, a na dodatek wysiłek, jaki kosztowało ją Uzdrawianie, sprawiły, że poddała się nareszcie. Trzymała się jego boku dopóty, dopóki nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa; musiał ją zanieść do sypialni, a ona całą drogę sennym głosem protestowała, że przecież jest mu potrzebna. Nie było przy nim Min, nie było jej kojącej obecności, dzięki której się śmiał, dzięki której zapominał, że jest Smokiem Odrodzonym. Tylko ta wojna z saidinem, ten zamęt w myślach i...

Trzeba się z nimi rozprawić. Musisz to zrobić. Nie pamiętasz, jak było ostatnim razem? Tamto miejsce przy studniach to był tylko nędzny ochłap. Miasta wypalone do gołej ziemi były niczym. My zniszczyliśmy świat! CZY TY MNIE SŁYSZYSZ? TRZEBA ICH ZABIĆ, WYMAZAĆ Z POWIERZCHNI...!

Ten głos krzyczący we wnętrzu jego czaszki nie był jego głosem. Nie Randa

al'Thora, tylko Lewsa Therina Telamona, nie żyjącego od ponad trzech tysięcy lat. I gadającego w głowie Randa al'Thora. Moc często wywlekała go z jego kryjówki w cieniach umysłu Randa, który zastanawiał się czasami, jak to możliwe. Nie mógł zaprzeczyć: był Lewsem Therinem odrodzonym, Smokiem Odrodzonym, ale przecież w każdym odradzał się jakiś inny człowiek, niekiedy nawet setki ludzi, tysiące. Tak właśnie działał Wzór; każdy umierał i odradzał się na powrót, wraz z nowym obrotem Koła, przez całą wieczność, bez końca. Ale nikt nie rozmawiał z tym, kim był kiedyś. Nikt inny nie słyszał głosu we własnej głowie. Tylko szaleńcy.

"Kim ja jestem?" - zastanawiał się Rand, zacisnąwszy jedną dłoń na Berle Smoka, a drugą na rękojeści miecza. -"Kim ty jesteś? Czym my się od nich różnimy?" Odpowiedziało mu milczenie. Lews Therin bardzo często mu nie odpowiadał. Może byłoby najlepiej, gdyby w ogóle tego nie robił.

"Czy ty istniejesz naprawdę?" - zapytał wreszcie głos z niedowierzaniem. Zaprzeczał istnieniu Randa równie często, jak odmawiał odpowiedzi. - "A czy ja istnieję? Rozmawiałem z kimś. Tak mi się wydaje. W jakiejś skrzyni. W kufrze". - Świszczący, cichy śmiech. - "Czy ja umarłem, czy oszalałem; a może jedno i drugie? Nieważne. Na pewno jestem potępieńcem. Jestem potępiony, a to jest Szczelina Zagłady. Potępionym..." - tym razem śmiech zabrzmiał dziko - "a t-to... jest... Szcze..." Rand tak zagłuszył ów głos, że przypominał teraz owadzie bzyczenie; tej umiejętności nauczył się w tamtych chwilach, kiedy wciskano go do kufra. Kiedy leżał w nim skulony, sam, w ciemnościach. Tylko on i ten ból, pragnienie i ten głos dawno temu zmarłego szaleńca. Ten głos czasami przynosił nawet ulgę, był jego jedynym towarzyszem. Jego przyjacielem. Coś mu błysnęło w pamięci. Nie obrazy, tylko błyski koloru i ruchu. Z jakiegoś powodu sprawiały, że myślał o Macie i Perrinie. Te błyski

zaczęły się pojawiać w kufrze, one, a oprócz nich tysiące halucynacji. W tym kufrze, do którego Galina, Erian i Katerine wciskały go codziennie po tym, jak już go skatowały. Potrząsnął głową. Nie. Przecież nie znajdował się teraz w kufrze. Bolały go palce, zaciśnięte na berle i rękojeści. Pozostały tylko wspomnienia, a wspomnienia nie mają żadnej siły. Nie był...

- Skoro musimy wyprawić się w podróż, zanim się posilisz, to w takim razie ruszajmy już. Wszyscy już zjedli wieczorny posiłek.

Rand zamrugał, a Sulin cofnęła się pod wpływem jego spojrzenia. Sulin, która stanęłaby oko w oko z lampartem. Złagodził rysy, usiłował je złagodzić. Miał wrażenie, że to maska, twarz kogoś innego.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Zamyśliłem się. - Rozluźnił dłonie, wzruszył ramionami. Lepiej dopasowany kaftan niż ten, który nosił od Studni Dumai, granatowy i prosty. Nawet po kąpieli nie czuł się czysty, nie z saidinem w środku. - Czasami za dużo myślę.

Blisko dwadzieścia Panien zebrało się w jednym końcu pozbawionej okien, wyłożonej ciemnymi panelami komnaty. Oświetlało ją osiem pozłacanych lamp ustawionych pod ścianami, z odblaśnicami, żeby zwiększyć ilość światła. To go cieszyło, nie lubił już ciemnych miejsc. Byli tam także trzej Asha'mani; stali naprzeciw kobiet Aielów. Jonan Adley, Altaranin, czekał z założonymi rękoma, chyba pogrążony w jakichś rozmyślaniach, bo poruszał podobnymi do czarnych gąsienic brwiami. Starszy od Randa o jakieś cztery lata, bardzo pragnął zdobyć srebrny miecz Oddanego. Eben Hopwil był bardziej przy kości i miał mniej krost na twarzy, niźli kiedy Rand zobaczył go po raz pierwszy; nos i uszy nadal zdawały się największymi częściami jego ciała. Przejechał palcem po szpilce w kształcie miecza, przypiętej do

kołnierza, jakby zdziwiony, że ją tam znajduje. Fedwin Morr też nosiłby miecz, gdyby nie zielony kaftan pasujący na zamożnego kupca albo pośledniejszego arystokratę, z odrobiną srebrnego haftu przy mankietach i wyłogach. Ten rówieśnik Ebena, bardziej odeń zwalisty, nie wyglądał na uszczęśliwionego, że musiał schować czarny kaftan do skórzanej torby stojącej obok jego stóp. To właśnie z ich powodu, ich i pozostałych Asha'manów, Lews Therin tak szalał. Z równowagi wytrącali go Asha'mani, Aes Sedai, wszyscy, którzy potrafili przenosić.

- Zamyśliłeś się, Randzie al'Thor? - Enaila w jednym ręku trzymała krótką włócznię, a w drugim tarczę i trzy inne włócznie, a mimo to mówiła takim tonem, jakby wygrażała mu palcem. Asha'mani spojrzeli na nią krzywo. - Twój kłopot polega na tym, że ty w ogóle nie myślisz. - Kilka Panien zaśmiało się cicho, mimo iż to wcale nie był dowcip. Niższa od Panien zebranych tutaj o przeszło głowę, miała włosy równie ogniste jak temperament i dziwny pogląd na swoje związki z Randem. Jej płowowłosa przyjaciółka Somara, znacznie od niej wyższa, skinęła na znak, że się zgadza; miała równie osobliwe pomysły.

Zignorował ten komentarz, ale nie umiał nie westchnąć. Somara i Enaila były najgorsze, ale skądinąd żadna z Panien nie umiała zdecydować, czy on jest Car'a'carnem, któremu należy okazywać posłuszeństwo, czy tylko jedynym dzieckiem zrodzonym z Panny, jakie kiedykolwiek poznały, toteż należało opiekować się nim tak jak bratem albo wręcz synem, jak to sobie niektóre wmówiły. Nawet obecna tu Jalani, w wieku, w którym mogłaby jeszcze niemal bawić się lalkami, zdawała się uważać, że jest jej młodszym bratem, podczas gdy Corana, siwiejąca i z twarzą niemalże równie mocno pomarszczoną jak oblicze Sulin, traktowała go jak starszego. Na szczęście dawały to do zrozumienia jedynie we własnym towarzystwie, bardzo rzadko tam,

gdzie mógł je usłyszeć inny Aiel. Kiedy to się liczyło, był Car'a'carnem. Ale on był im to winien. One za niego umierały. Winien był im właściwie wszystko.

- Nie zamierzam sterczeć tu całą noc, podczas gdy wy będziecie się bawiły w "Pocałunki i Stokrotki" - oświadczył. Sulin obdarzyła go jednym z tych charakterystycznych spojrzeń, które kobiety, czy to w sukniach, czy w cadin'sor, ciskały tak, jak farmerzy rozsiewają ziarno, ale Asha'mani przestali wpatrywać się w Panny i zarzucili torby na ramiona. Przymuś ich do pracy, przykazał Taimowi, zrób z nich broń, i Taim wypełnił rozkaz. Dobra broń poruszała się tak, jak nią kierował trzymający ją człowiek. Żeby jeszcze mógł być pewien, że nie wymknie mu się z ręki.

Tej nocy zamierzał dotrzeć do trzech miejsc, ale jednego z nich Panny nie mogły poznać. Nikt, tylko on. Już wcześniej zdecydował, które z pozostałych dwóch będzie pierwsze, ale i tak nadal się wahał. O tej podróży będzie niebawem wiadomo, a jednak istniały powody, by jak najdłużej utrzymywać ją w tajemnicy.

Kiedy brama otworzyła się w samym środku komnaty, powiało z niej mdlącą wonią znaną każdemu farmerowi. Sulin osłoniła twarz, marszcząc przy tym nos, i przeprowadziła lekkim truchtem połowę Panien. Asha'mani zerknęli na niego, po czym ruszyli ich śladem, czerpiąc z Prawdziwego Źródła tyle Mocy, ile potrafili utrzymać.

Z tego powodu poczuł ich siłę, kiedy go mijali. W innym przypadku potrzeba było niejakiego wysiłku, żeby stwierdzić, że jakiś mężczyzna potrafi przenosić, i trwało to o wiele dłużej, chyba że ów współpracował. Żaden z tych ani trochę nie dorównywał mu siłą. W każdym razie jeszcze nie; nie było jak orzec z góry, jak silny będzie kiedyś dany mężczyzna. Fedwin wybijał się spośród wszystkich trzech, ale miał w sobie coś, co Taim określał mianem granicy. Fedwin nie wierzył mianowicie, że

wpłynie Mocą na cokolwiek, co znajdowało się daleko. Efekt był taki, że z odległości większej niż pięćdziesiąt kroków jego zdolności zaczynały słabnąć, a z odległości stu nie potrafiłby upleść nawet pasemka saidina. Mężczyźni nabywali siły szybciej niż kobiety, jak się zdawało, i bardzo dobrze. Ci trzej byli dostatecznie silni, by wykonać bramę dostatecznej wielkości, aczkolwiek Jonanowi szło z tym najgorzej. Wszyscy Asha'mani, których zatrzymał przy sobie, to potrafili.

"Zabij ich, zanim będzie za późno, zanim popadną w obłęd" - wyszeptał Lews Therin. - "Zabij ich, spal Sammaela, Demandreda, wszystkich Przeklętych. Muszę zabić ich wszystkich, zanim będzie za późno!"

Chwila walki, w trakcie której bezskutecznie usiłował wyrwać Moc Randowi. Ostatnimi czasy zdawał się próbować tego albo obejmować saidina na własną rękę coraz częściej. To drugie stanowiło większe niebezpieczeństwo. Rand wątpił, by Lews Therin mógł mu odebrać Prawdziwe Źródło w momencie, gdy już je trzymał, nie był jednak pewien, czy dałby radę odebrać mu je, gdyby ten go ubiegł.

"Kim ja jestem?" - zadał sobie to samo pytanie. Tym razem zabrzmiało niemalże jak warknięcie, nie mniej złowieszcze przez to, że znowu nie znalazł na nie odpowiedzi. Otulająca go Moc sprawiła, że gniew oplótł całe zewnętrze skorupy Pustki niczym pajęczyna albo płonąca koronka.

"Ja też potrafię przenosić. Czeka mnie szaleństwo, ale ciebie ono już dopadło! Sam się zabiłeś, Zabójco Rodu, po tym, jak zamordowałeś własną żonę, dzieci, i Światłość jedna wie, ilu innych jeszcze. Nie będę zabijał tam, gdzie nie muszę! Słyszysz mnie, Zabójco Rodu?"

Odpowiedziała mu cisza.

Wciągnął długi, urywany oddech. Pajęczyna z ognia migotała niczym daleka

błyskawica. Nigdy dotąd nie przemawiał do tego człowieka - to był człowiek, nie tylko głos; człowiek, całość utworzona ze wspomnień - nigdy nie przemawiał do niego w taki sposób. Może w ten sposób przepędzi Lewsa Therina na dobre. Połowę dzikich bredzeń tego człowieka wypełniało opłakiwanie zmarłej żony. Czy rzeczywiście chciał przepędzić Lewsa Therina? Jedynego przyjaciela, jakiego miał w kufrze.

Obiecał Sulin, że policzy do stu, zanim za nią pójdzie, ale liczył piątkami, a potem jednym susem pokonał więcej niż sto pięćdziesiąt lig drogi do Caemlyn.

Nad Pałacem Królewskim zapadła już noc, a księżycowe cienie spowijały misterne iglice i złote kopuły, ale delikatny wiatr za nic nie potrafił złagodzić upału. Księżyc, ciągle jeszcze w pełni, wisiał na niebie, rzucając odrobinę światła. Panny z osłoniętymi twarzami rozbiegły się wokół wozów ustawionych w szeregu za największą z pałacowych stajni. Drewno przesiąkło smrodem gnoju, który codziennie wywoziły wozy. Asha'mani przyłożyli dłonie do twarzy, a Eben zatkał nawet nos.

- Car'a'carn prędko liczy - mruknęła Sulin, ale opuściła zasłonę. Tutaj nie będzie żadnych niespodzianek. Ten, kto może, będzie się trzymał daleko od tych wozów.

Rand zamknął bramę, ledwie przeszły przez nią ostatnie Panny, tuż za nim; w momencie, gdy brama zamrugała i przestała istnieć, Lews Therin wyszeptał: "Ona zniknęła. Prawie zniknęła". W jego głosie słychać było ulgę; Wiek Legend nie znał czegoś takiego jak więź zobowiązań Strażnika i Aes Sedai.

Alanna tak naprawdę nie zniknęła, w każdym razie nie bardziej niż od tego czasu, gdy związała ze sobą Randa wbrew jego woli, ale jej obecność przestała tak bardzo się narzucać i to właśnie sprawiło, że Rand zdał sobie z tego sprawę. Człowiek potrafi przyzwyczaić się do wszystkiego, traktując to potem jako coś oczywistego.

Będąc blisko Alanny, czuł jej emocje zagnieżdżone w jakimś zakamarku głowy, a także

jej stan fizyczny, jeżeli o niej pomyślał, i wiedział też dokładnie, gdzie się znajduje, tak samo jak wiedział, gdzie jest jego ręka, ale podobnie jak w przypadku ręki, dopóki o niej nie pomyślał, ona tylko tam była. Jedynie odległość wywierała jakiś wpływ, ale nadal czuł, że jest gdzieś na wschód od niego. Chciał być jej świadom. Gdyby Lews Therin zamilkł i wszystkie wspomnienia z wnętrza kufra zostały w jakiś sposób wymazane z jego pamięci, pozostanie ta więź, która będzie mu o wszystkim przypominała:

Nigdy nie ufaj Aes Sedai.

Nagle dotarło do niego, że Jonan i Eben tak jak on wciąż obejmują saidina.

- Uwolnijcie! - rozkazał ostrym tonem, bo takiej właśnie komendy używał Taim, i poczuł, jak wycieka z nich Moc. Dobra broń. Jak dotąd.

"Zabij ich, zanim będzie za późno" - zamruczał Lews Therin. Rand ze zdecydowaniem i z niechęcią uwolnił Źródło. Nie znosił pozbywać się życia, tego spotęgowania zmysłów. Tej walki. Wewnętrznie jednakże był spięty, niczym pasikonik gotów zaraz skoczyć, gotów pochwycić je raz jeszcze. Zawsze teraz taki był.

"Muszę ich zabić" - wyszeptał Lews Therin.

Stłumiwszy głos, Rand wysłał jedną z Panien, Nerileę, kobietę o kanciastej twarzy, do pałacu, po czym zaczął długimi krokami iść obok wozów, czując, że jego myśli znowu wirują i to jeszcze szybciej niż przedtem. Źle, że tu przybył. Trzeba było wysłać Fedwina razem z listem. Wirowanie. Elayne. Aviendha. Perrin. Faile. Annoura. Berelain. Mat. Światłości, nie trzeba było. Elayne i Aviendha. Annoura i Berelain. Faile, Perrin i Mat. Błyski koloru, szybkie ruchy tuż poza zasięgiem wzroku. Szaleniec mruczący coś gniewnie w oddali.

Powoli zaczęło do niego docierać, o czym rozmawiają Panny. O zapachu.

Wnioskowały, że bije od Asha'manów. Chciały, by je słyszano, bo inaczej użyłyby mowy dłoni; światło księżyca by im wystarczyło. Światło księżyca wystarczało, by widzieć łunę na twarzy Ebena i zaciśnięte szczęki Fedwina. Może nie byli już małymi chłopcami, zwłaszcza od czasu Studni Dumai, ale na pewno mieli nie więcej jak piętnaście albo szesnaście lat. Jonan tak marszczył brwi, że zdawały się osiadać mu na policzkach. Przynajmniej żaden nie objął ponownie saidina. Na razie.

Już miał podejść do trzech mężczyzn, ale zamiast tego podniósł głos. Niech wszyscy usłyszą.

- Jeżeli ja potrafię dawać sobie radę z głupimi wybrykami Panien, to wy też możecie.

Rumieniec na twarzy Ebena pociemniał. Jonan chrząknął. Wszyscy trzej zasalutowali Randowi, przykładając pięść do piersi, po czym odwrócili się do siebie. Jonan powiedział coś przyciszonym głosem, zerkając na Panny, a Fedwin i Eben wręcz się roześmiali. Za pierwszym razem, gdy zobaczyli Panny, lawirowali między chęcią wytrzeszczania oczu na te egzotyczne istoty, o których przedtem tylko czytali, a pragnieniem rzucenia się do ucieczki, zanim morderczy Aielowie z opowieści ich pozabijają. Nic poza tym już ich nie przerażało. Będą musieli na nowo nauczyć się bać.

Panny zagapiły się na Randa i zaczęły rozmawiać za pomocą dłoni, niekiedy cicho się zaśmiewając. Mogły się wystrzegać Asha'manów, ale Panny były Pannami - tak jak Aielowie byli Aielami - toteż ryzyko sprawiało, że docinki stawały się dla nich tym zabawniejsze. Somara mruknęła głośno, że Aviendha go utemperuje, czym zasłużyła na stanowcze wyrazy aprobaty. Niczyje życie w opowieściach nie było nigdy tak pogmatwane.

Kiedy Nerilea powróciła, mówiąc, że znalazła Davrama Bashere i Baela, wodza

klanu dowodzącego Aielami tu w Caemlyn, Rand odpiął pas od miecza i podobnie postąpił Fedwin. Jalani wyciągnęła wielką, skórzaną torbę na miecze oraz Berło Smoka, trzymając je tak, jakby te miecze były jadowitymi wężami, które ponadto zdechły dawno temu i już gniły. Aczkolwiek, prawdę powiedziawszy, nie trzymałaby ich wtedy tak ostrożnie. Nałożywszy płaszcz z kapturem, który podała mu Corana, Rand złożył nadgarstki za plecami i Sulin związała je sznurem. Ciasno i mrucząc przy tym do siebie.

- To jakiś absurd. Nawet mieszkańcy bagien nazwaliby to absurdem.

Starał się nie krzywić. Miała krzepę i wykorzystywała ją.

- Zbyt często od nas uciekasz, Randzie al'Thor. Nie dbasz o siebie. - Uważała go za brata, równego jej wiekiem, ale niekiedy nieodpowiedzialnego. - Far Dareis Mai strzegą twego honoru, a ciebie to nic a nic nie obchodzi.

Fedwin rzucał wściekłe spojrzenia, kiedy jemu wiązano nadgarstki, mimo iż krępująca go Panna prawie wcale nie wkładała w to wysiłku. Obserwujący to Jonan i Eben krzywili się mocno. Ten plan nie podobał im się tak samo, jak nie podobał się Sulin. I równie niewiele z niego rozumieli. Smok Odrodzony nie musiał się tłumaczyć, a Car'a'carn rzadko kiedy to robił. Niemniej jednak żaden nic nie powiedział. Broń się nie skarży.

Sulin stanęła przed Randem, rzuciła jedno spojrzenie na jego twarz i w tym momencie oddech uwiązł jej w gardle.

- One ci to zrobiły - powiedziała cicho i sięgnęła do swojego noża o ciężkim ostrzu. Stopa stali więcej i byłby to prawie krótki miecz, aczkolwiek tylko dureń powiedziałby coś takiego Aielowi.

- Nałóż mi kaptur - rozkazał jej szorstkim tonem Rand. - Idzie o to, żeby mnie

nikt nie rozpoznał, zanim dotrę do Baela i Bashere. - Wahała się, patrząc mu prosto w oczy. -Nalóż kaptur, powiedziałem - warknął. Sulin byłaby w stanie zabić większość mężczyzn gołymi dłońmi, ale jej palce udrapowały kaptur wokół jego twarzy niezwykle delikatnie.

Jalani, śmiejąc się, naciągnęła mu kaptur na oczy.

- Teraz możesz być pewien, że nikt cię nie rozpozna, Randzie al'Thor. Musisz nam zaufać, abyśmy mogły pokierować twoimi stopami. - Kilka Panien wybuchnęło śmiechem.

Cały zesztywniały, ledwie się hamował z objęciem saidina. Ledwie. Lews Therin warczał i bredził. Rand zmusił się, żeby oddychać normalnie. Nie ogarnęła go całkowita ciemność. Spod skraju kaptura widział światło księżyca. A mimo to potknął się, kiedy Sulin i Enaila ujęły go pod ręce i poprowadziły do przodu.

- A ja myślałam, że dorosłeś już do tego, by chodzić zgrabniej - mruknęła Enaila, udając zdziwienie. Sulin poruszyła ręką. Po chwili dotarło do niego, że gładzi go po ramieniu.

Widział tylko to, co znajdowało się przed nim, oświetlony przez księżyc bruk dziedzińca stajni, dalej kamienne stopnie, marmurowe posadzki w świetle lamp, niekiedy podłużny dywan. Wytężał oczy, czy nie widzi jakiegoś ruchu w cieniach, macał w poszukiwaniu ostrzegawczej obecności saidina, albo, co gorsza, mrowienia, które ostrzegało, że jakaś kobieta obejmuje saidara. Ślepy, nie mógł wiedzieć, że ktoś go zaraz zaatakuje, dopóki nie będzie za późno. Słyszał szmery stóp służących, którzy biegli do swych conocnych obowiązków, nikt jednak nie zatrzymał pięciu Panien, które najwyraźniej eskortowały dwóch więźniów w kapturach. Skoro Bael i Bashere mieszkali w pałacu i dowodzili Caemlyn za pomocą swoich ludzi, to bez wątpienia

bardziej dziwne widoki widywano na tych korytarzach. To przypominało przejście przez labirynt. Ale z kolei bywał już w niejednym labiryncie od czasu wyjazdu z Pola Emonda, nawet kiedy mu się wydawało, że kroczy prostą ścieżką:

"Czy wiedziałbym, że ścieżka jest prosta, gdybym taką zobaczył?" -zastanawiał się. - "Czy raczej tkwię w tym już od tak dawna, że od razu uznałbym ją za pułapkę?"

"Nie ma żadnych prostych ścieżek. Są tylko pułapki, przeszkody i ciemność". - Szyderczy głos Lewsa Therina ociekał potem i rozpaczą. Były w nim te same uczucia, które kotłowały się w Randzie.

Kiedy Sulin nareszcie wprowadziła ich do jakiejś izby i zatrzasnęła za sobą drzwi, Rand podrzucił gwałtownie głową, żeby strącić kaptur - i wytrzeszczył oczy. Spodziewał się zobaczyć Baela i Davrama, ale nie żonę Davrama, Deirę ani też Melaine i Dorindhę.

- Widzę cię, Car'a'carnie. - Bael, najwyższy człowiek, jakiego Rand kiedykolwiek poznał, siedział na skrzyżowanych nogach na zielono-białych płytkach posadzki w swoim cadin'sor, niby rozluźniony, a jednak sprawiający wrażenie gotowego natychmiast poderwać się z miejsca. Wódz klanu Goshien Aiel nie był młody - żaden wódz klanu nie był - i miał siwe pasma w ciemnorudych włosach, ale każdego, kto by uznał, że jest miękki jak na swój wiek, czekała smutna niespodzianka. - Obyś zawsze znajdował wodę i cień. Ja stoję z Car'a'carnem, a ze mną stoi moja włócznia.

- Woda i cień to niezłe rzeczy - powiedział Davram Bashere, przekładając nogę przez złocone oparcie krzesła - ale ja osobiście zdecydowałbym się na schłodzone wino.

- Nieco wyższy od Enaili, miał na sobie rozpięty niebieski kaftan, a na jego smagłej twarzy lśnił pot. Mimo pozornej niezdarności wyglądał na jeszcze twardszego od Baela, z tymi zapalczywymi, skośnymi oczyma i nosem w kształcie dzioba nad

sumiastymi wąsami przetykanymi siwizną. - Gratuluję ucieczki i zwycięstwa. Czemuż to jednak przybywasz w przebraniu więźnia?

- Ja wolałabym wiedzieć, czy on nie ściąga na nas Aes Sedai - wtrąciła Deira.

Matka Faile, rosła kobieta odziana w zielony jedwab obszyty złotem, była równie wysoka jak wszystkie zgromadzone tutaj Panny z wyjątkiem Somary; jej długie, czarne włosy na skroniach przyprószone były bielą, nos zaś miała niewiele mniej wydatny od nosa męża. Po prawdzie to mogłaby udzielać mu lekcji w robieniu zapalczywych min; pod tym jednym względem mocno przypominała własną córkę. Była lojalna przede wszystkim wobec własnego męża, a nie Randa. - Wziąłeś Aes Sedai do niewoli! Czy mamy się teraz spodziewać, że cała Biała Wieża runie nam na głowy?

- Jeżeli to zrobią - powiedziała ostrym tonem Melaine, poprawiając szal - to zostaną potraktowane tak, jak na to zasługują. - Ta kobieta o włosach barwy słońca, zielonych oczach i wielkiej urodzie, nie więcej niż kilka lat starsza od Randa, sądząc z twarzy, była Mądrą i żoną Baela. Cokolwiek spowodowało, że Mądre zmieniły swe zapatrywania odnośnie do Aes Sedai, Melaine, Amys i Bair zmieniły je w największym stopniu.

- Ja natomiast chciałabym wiedzieć - rzekła trzecia kobieta - co zrobisz z Colavaere Saighan. - Deira i Melaine wyróżniały się wspaniałą aparycją, ale Dorindha prześcigała je obie, aczkolwiek niełatwo dawało się orzec, na czym to właściwie polega. Pani Dachu Siedziby Dymne Źródła była dobrze zbudowaną kobietą o macierzyńskim wyglądzie, bardziej przystojną niż piękną, ze zmarszczkami w kącikach niebieskich oczu i bielą w jasnorudych włosach, a jednak na widok tych trzech kobiet, każdy rozumny człowiek powiedziałby, że to ona wiedzie tutaj prym. - Melaine twierdzi, że Bair uważa Colavaere Saighan za mało ważną - ciągnęła

Dorindha - ale Mądre potrafią być równie ślepe jak każdy mężczyzna, kiedy mowa o przewidywaniu przebiegu bitwy i nie zauważaniu skorpiona pod stopą. - Uśmiech skierowany do Melaine pozbawił te słowa kąśliwej wymowy; uśmiech, który Melaine przesłała w odpowiedzi, mówił, że niczego takiego nie wyczuła. - Pani Dachu znajduje te skorpiony, zanim ktokolwiek zostanie ukąszony. - Ona również była żoną Baela, który to fakt nadal niepokoił Randa, mimo iż przecież obydwie, i ona, i Melaine, poślubiły go z własnej woli. A może częściowo właśnie dlatego; u Aielów mężczyzna miał niewiele do powiedzenia, jeżeli jego żona wybrała sobie siostrę-żonę. Nie było to jednak powszechne rozwiązanie nawet wśród nich.

- Colavaere zajęła się uprawą roli - warknął Rand. Zamrugali, nie wiedząc, czy to nie jakiś żart. - Tron Słońca jest znowu pusty i czeka na Elayne. - Zastanawiał się, czy nie utkać zabezpieczeń przeciwko podsłuchującym, ale takie zabezpieczenie zostałoby wykryte przez każdego szukającego, czy to mężczyznę, czy kobietę, i jego obecność zdradziłaby, że mówi się tutaj o czymś interesującym. No cóż, wszystko, co zostanie tutaj powiedziane, będzie już niebawem powszechnie znane od Muru Smoka aż po morze.

Fedwin już rozcierał sobie nadgarstki, a Jalani chowała nóż do pochwy. Nikt nie spojrzał dwa razy na tych dwoje, oczy wszystkich były skupione na Randzie. Krzywiąc się do Nerilei, machał swoimi związanymi dłońmi, aż wreszcie Sulin przecięła pęta.

- Nie miałem pojęcia, że to ma być spotkanie rodzinne. -Nerilea wyglądała na lekko skonfundowaną, może, ale nikt inny poza nią.

- Jak już się ożenisz - mruknął z uśmiechem Davram - nauczysz się, że trzeba wyjątkowo ostrożnie decydować, co zatajasz przed własną żoną. - Deira spojrzała na

niego z góry, wydymając wargi.

- Żony to wielka pociecha - stwierdził ze śmiechem Bael - o ile człowiek nie mówi im zbyt wiele. - Uśmiechnięta Dorindha przejechała palcami po jego włosach i na moment je ścisnęła, jakby zamierzała urwać mu głowę. Bael chrząknął głośno, ale nie tylko z powodu palców Dorindhy. Melaine wytarła swój mały nóż w fałdy spódnicy i schowała go do pochwy. Obie kobiety uśmiechnęły się szeroko do siebie ponad jego głową, a on tymczasem roztarł ramię, w miejscu gdzie maleńka kropla krwi splamiła mu cadin'sor. Deira przytaknęła po namyśle; wyglądało na to, że zrozumiała.

- Jaką to kobietę mógłbym nienawidzić do tego stopnia, by uczynić ją żoną Smoka Odrodzonego? - odparł zimnym tonem Rand. Odpowiedziało mu milczenie, niemal tak materialne, że dałoby się go dotknąć.

Usiłował okiełznać gniew. Należało się tego spodziewać: Melaine była nie tylko Mądrą, ale również spacerującą po snach, podobnie jak Amys i Bair. Mogły, między innymi, rozmawiać w snach ze sobą, a także z innymi osobami; przydatna umiejętność, aczkolwiek dla niego wykorzystały ją jak dotąd tylko raz. Ta zdolność należała wyłącznie do Mądrych. Nic dziwnego, że Melaine była znakomicie zorientowana w aktualnych sprawach. I nic dziwnego, że opowiadała o wszystkim Dorindzie, sprawy Mądrych czy nie; obie kobiety były najlepszymi przyjaciółkami i siostrami. A kiedy Melaine powiedziała Baelowi o porwaniu, ten oczywiście powtórzył to Bashere; oczekiwać, że Bashere ukryje to przed żoną, to jakby spodziewać się, że zatai przed nią wieść o pożarze domu. Tłumił gniew cal po calu.

- Czy Elayne przyjechała już? - Starał się, by jego głos zabrzmiał obojętnie, ale bez skutku. Nieważne. Wszyscy wiedzieli, że ma powody do troski. W Andorze mogło być spokojniej niż w Cairhien, ale jedynie osadzenie Elayne na tronie stanowiło

skuteczny sposób na złagodzenie sytuacji w obu krajach. Być może był to jedyny sposób.

- Nie jeszcze. - Bashere wzruszył ramionami. - Ale z północy docierają do nas wieści o Aes Sedai i ich armii przebywającej gdzieś na terenie Murandy, a może Altary. Być może to młody Mat i jego Legion Czerwonej Ręki, z Córką Dziedziczką i tymi siostrami, które uciekły z Wieży po obaleniu Siuan Sanche.

Rand roztarł nadgarstki w miejscu, gdzie wpił się w nie sznur. Cały ten fortel z udawaniem jeńca opierał się na ewentualności, że Elayne jest już tutaj. Elayne i Aviendha. Mógł się tu zjawić i zaraz zniknąć, a one nie dowiedziałyby się o niczym. Może nawet znalazłby sposób na to, żeby im się przyjrzeć... Był durniem; tu już nie istniało żadne "może".

- Chcesz, żeby te siostry też złożyły ci przysięgę? - Deira mówiła lodowatym głosem. Nie lubiła Randa; w jej mniemaniu mąż kroczył drogą, na końcu której jego głowa zostanie zapewne nadziana na szpikulec jakiejś bramy w Tar Valon, i to Rand go na tę drogę wepchnął. - Biała Wieża nie pozostanie bierna, kiedy się dowie, że wziąłeś do niewoli Aes Sedai.

Rand wykonał przed nią nieznaczny ukłon i oby sczezła, jeśli uznała, że to jakaś drwina. Deira ni Ghaline t'Bashere nigdy nie zwróciła się doń pełnym tytułem, nigdy nawet nie użyła jego imienia; równie dobrze mogłaby przemawiać do żołnierza ani specjalnie inteligentnego, ani godnego zaufania.

- Jeżeli postanowią przysięgać, to zaakceptuję ich przysięgi. Raczej wątpię, by wiele wśród nich paliło się do powrotu do Tar Valon. Jeżeli jednak postanowią postąpić inaczej, będą mogły pójść własną drogą, ale pod warunkiem, że nie wystąpią przeciwko mnie.

- Biała Wieża już wystąpiła przeciwko tobie - powiedział Bael, pochylając się do przodu z dłońmi na kolanach. Przy jego niebieskich oczach głos Deiry zdawał się nabrzmiały ciepłem. - Wróg, który przychodzi raz, przyjdzie znowu. Dopóki się go nie powstrzyma. Moje włócznie pójdą wszędzie tam, gdzie Car'a'carn poprowadzi. -

Melaine oczywiście przytaknęła. Ta zapewne pragnęła otoczyć tarczami wszystkie Aes Sedai i kazać im klęczeć pod strażą, być może nawet skrępować im ręce i nogi. Ale Dorindha i Sulin też przytaknęły, a Bashere w zamyśleniu przejechał kłykciami po wąsach. Rand sam już nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.

- A nie sądzisz, że nawet bez wojny z Białą Wieżą i tak za dużo nabrałem sobie na talerz? Elaida rzuciła mi się do gardła i oberwała za to. - Ziemia wybuchająca ogniem i rozdartymi ciałami. Ucztujące kruki i sępy. Ilu poległo? -Jeżeli ma dość rozsądku, żeby na tym poprzestać, ja też się powstrzymam. - Dopóki nie zaczną go prosić o to, żeby im zaufał. Kufer. Pokręcił głową, ledwie zwracając uwagę na Lewsa Therina, który nagle zaczął jękliwie skarżyć się na ciemności i pragnienie. Mógł ignorować, musiał ignorować, ale nie zapomni i nie zaufa.

Pozostawiwszy Baela i Bashere, którzy kłócili się teraz o to, czy Elaida ma dość rozsądku, żeby zrezygnować, kiedy już raz zaczęła, podszedł do zasłanego mapami stołu stojącego pod ścianą, pod gobelinem przedstawiającym pole jakiejś bitwy, na którym wyróżniał się Biały Lew Andoru. Najwyraźniej Bael i Bashere wykorzystywali tę komnatę do sporządzania planów. Chwilę myszkował, po czym znalazł tę mapę, której potrzebował, wielki zwój pokazujący cały Andor od Gór Mgły aż po rzekę Erinin, a także część ziem położonych na południu, w tym Ghealdan, Altarę i Murandy.

- Kobietom trzymanym w niewoli na ziemiach zabójców drzew nie wolno powodować kłopotów, więc czemu innym wolno? - spytała Melaine, najwyraźniej

odpowiadając na pytanie, którego nie usłyszał. Ton jej głosu wskazywał, że jest zła.

- Zrobimy, co musimy, Deira t'Bashere - powiedziała jak zawsze spokojnie Dorindha. - Trwaj w swojej odwadze; dotrzemy tam, dokąd musimy się udać.

- Kiedy już zeskakujesz z klifu - odparła Deira - wówczas jest za późno, by zrobić coś innego oprócz trwania w odwadze. I żywienia nadziei, że na samym dnie jest stóg siana. - Jej mąż wybuchnął śmiechem, jakby powiedziała jakiś dowcip. A przecież wcale tak to nie zabrzmiało.

Rand rozłożył mapę, przycisnął jej rogi kałamarzami i buteleczkami z piaskiem, po czym odmierzył odległości palcami. Mat nie wędrował szczególnie szybko, skoro według pogłosek był w Altarze albo Murandy. A wszak chełpił się tempem, z jakim potrafił przemieszczać się Legion. Może spowalniały go Aes Sedai ze swą służbą i wozami. Może tych sióstr było więcej, niż myślał. Rand zorientował się, że ma dłonie zaciśnięte w pięści, rozprostował je więc z wysiłkiem. Potrzebował Elayne. Żeby zasiadła na tronie tutaj i w Cairhien; dlatego właśnie była mu potrzebna. Aviendha... Jej nie potrzebował wcale, a poza tym dała jasno do zrozumienia, że go nie chce. Była bezpieczna, bo z dala od niego. Mógł zapewnić bezpieczeństwo im obu, trzymając je jak najdalej od siebie. Światłości, gdyby tylko mógł chociaż na nie spojrzeć. Ale potrzebował Mata, skoro Perrin okazał się taki uparty. Nie bardzo pojmował, jak Mat stał się nagle takim ekspertem od wszystkiego, co miało coś wspólnego z bitwą, ale nawet Bashere liczył się ze zdaniem Mata. W każdym razie odnośnie do wojny.

- Potraktowały go jako da'tsang - warknęła Sulin i część Panien warknęła bezsłownie niczym jej echo.

- Wiemy - odparła ponurym tonem Melaine. - One nie mają honoru.

- Czy on się rzeczywiście wstrzyma pod wpływem tego, co tu opisujecie? -

spytała Deira z niedowierzaniem.

Obszar ukazywany przez mapę nie sięgał dostatecznie daleko na południe, żeby obejmować również Illian - żadna z map na stole nie ukazywała ani jednej części tego kraju -ale Rand i tak przesunął ręką po terytorium Murandy, wyobrażając sobie Wzgórza Doirlon, tuż obok granicy, z łańcuchem górskich fortec, których żadna armia najeźdźców nie mogła zignorować. I jakieś dwieście pięćdziesiąt mil na wschód, za Równinami Maredo, armia, jakiej nie widział nikt od czasów, gdy narody zebrały się przed Tar Valon podczas Wojny z Aielami, a może nawet od czasów Artura Hawkwinga. Tairenianie, Cairhienianie, Aielowie, wszyscy ustawieni na pozycjach, żeby runąć na Illian. Jeżeli nie poprowadzi ich Perrin, będzie musiał zrobić to Mat. Żeby tylko mieć jeszcze trochę więcej czasu. Czasu nigdy nie było dość.

- Ażebym oślepł - mruknął Davram. - W ogóle o tym nie wspominałaś, Melaine. Lady Caraline i lord Toram rozbili obóz tuż za miastem, a oprócz nich również Wysoki Lord Darlin? Nie zeszli się przypadkiem, na pewno nie w tym momencie. Coś takiego to dół pełen jadowitych węży na twoim progu, kimkolwiek jesteś.

- Niechaj algai'd'siswai zatańczą - odparł Bael. - Zdechłe węże nikogo nie ukąszą.

Sammael był zawsze najlepszy w defensywie. Podpowiadały mu to wspomnienia Lewsa Therina z czasów Wojny z Cieniem. Może należało się spodziewać, że dwóch ludzi, którzy współegzystowali we wnętrzu jednej czaszki, będzie się wymieniać wspomnieniami. Czy Lewsowi Therinowi przypominały się znienacka wypas owiec, rąbanie drewna na opał albo karmienie kur? Rand słyszał go niewyraźnie, wściekającego się, że trzeba zabijać, niszczyć; myśli o Przeklętych niemal zawsze doprowadzały Lewsa Therina do furii.

- Deira t'Bashere ma rację - stwierdził Bael. - Musimy się trzymać tej drogi, którą obraliśmy, póki albo nasi wrogowie nie zostaną zniszczeni, albo my.

- Nie to miałam na myśli - rzekła sucho Deira. - Ale masz rację. Nie mamy wyboru. Dopóki nasi wrogowie albo my nie zostaniemy zniszczeni.

Podczas studiowania mapy w głowie Randa wirowały śmierć, destrukcja i szaleństwo. Sammael dotrze do fortów niebawem po tym, jak armia przystąpi do ataku, Sammael z siłą Przeklętego i całą swoją wiedzą o Wieku Legend. Lord Brend, tak się przedstawiał, jeden z Rady Dziewięciu; Lord Brend, tak nazywali go ci, którzy nie chcieli przyznać, że Przeklęci wydostali się na wolność. Rand jednak znał go. Dzięki pamięci Lewsa Therina znał twarz Sammaela, znał go na wylot.

- Co Dyelin Taravin zamierza zrobić z Naean Arawn i Elenią Sarand? - spytała Dorindha. - Wyznaję, że nie rozumiem tego zamykania ludzi.

- To, co ona robi, raczej nie jest ważne - powiedział Davram. - Martwią mnie natomiast jej spotkania z Aes Sedai.

- Dyelin Taravin to idiotka - mruknęła Melaine. - Wierzy w pogłoski, jakoby Car'a'carn ukląkł przed Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Nie wyszczotkuje włosów, zanim te Aes Sedai nie udzielą jej pozwolenia.

- Źle ją oceniacie - odparła stanowczo Deira.-Dyelin jest dostatecznie silna, żeby władać Andorem; udowodniła to w Aringill. Rzecz jasna, słucha Aes Sedai; tylko dureń ignorowałby je, niemniej jednak słuchać to jeszcze nie znaczy być posłusznym.

Trzeba będzie ponownie przeszukać wozy sprowadzone ze Studni Dumai.

Musiał gdzieś w nich być angreal w kształcie małego, tłustego człowieczka. Żadna z sióstr, które uciekły, nie mogła mieć pojęcia, gdzie on jest. Chyba że jedna z nich wcisnęła go jako pamiątkę po Smoku Odrodzonym do swego mieszka. Nie. Musiał się

znajdować na którymś z wozów. Posiadając go, byłby więcej niż równym przeciwnikiem dla Przeklętych. Bez niego... Śmierć, destrukcja i szaleństwo.

Nagle to, co właśnie usłyszał, przerwało rozmyślania.

- Co takiego? - zapytał, odwracając się od stolika inkrustowanego kością słoniową.

Zdziwione twarze zwróciły się ku niemu. Jonan, który stał zgarbiony przy drzwiach, wyprostował się. Panny, które przykucnęły swobodnie na piętach, nagle zaczęły sprawiać wrażenie czujnych. Dotąd rozmawiały ze sobą swobodnie, a teraz na powrót pełniły przy nim straż.

Melaine spojrzała na Baela i Davrama, gładząc jeden z naszyjników z kości słoniowej, po czym przemówiła, ubiegając pozostałych.

- W oberży zwanej "Srebrny Łabędź", w tym miejscu, które Davram Bashere nazywa Nowym Miastem, przebywa dziewięć Aes Sedai. - Słowa "oberża" oraz "miasto" wymówiła w dziwny sposób; przed przekroczeniem Muru Smoka znała je jedynie z książek. - On i Bael powiadają, że musimy zostawić je w spokoju, dopóki nie zrobią czegoś przeciwko tobie. Myślę, że już się nauczyłeś, na czym polega czekanie na Aes Sedai, Randzie al'Thor.

- Moja wina - westchnął Bashere - o ile ktokolwiek jest tu winny. Ale nie umiem orzec, czego spodziewa się Melaine. Osiem sióstr zatrzymało się w "Srebrnym Łabędziu" niemal miesiąc temu, tuż po twoim wyjeździe. Co jakiś czas kolejne przyjeżdżają albo wyjeżdżają, ale nigdy nie jest ich więcej jak dziesięć. Przestają wyłącznie we własnym towarzystwie, nie powodują kłopotów i z tego, co Bael i ja się dowiedzieliśmy, wynika, że nie zadają pytań. Do miasta zawitało też kilka Czerwonych sióstr; dwa razy. Wszystkim tym, które się zatrzymują w "Srebrnym

Łabędziu", towarzyszą Strażnicy, Czerwonym zaś nigdy. Przybywają w grupach po dwie albo trzy, pytają o mężczyzn kierujących się do Czarnej Wieży i po kilku dniach wyjeżdżają. Nie dowiedziawszy się wiele, powiedziałbym. Ta Czarna Wieża potrafi ukrywać swoje tajemnice równie dobrze jak forteca. Żadna z nich jak dotąd nie przysporzyła żadnych kłopotów, toteż osobiście wolałbym ich nie kłopotać, dopóki nie będę przekonany, że to konieczne.

- Nie o to mi chodziło - odparł powoli Rand. Usiadł naprzeciwko Bashere i zacisnął dłonie na oparciach krzesła, tak silnie, że aż rozbolały go stawy palców. Aes Sedai tutaj, Aes Sedai w Cairhien. Zbieg okoliczności? Lews Therin pomrukiwał niczym daleki grzmot na temat śmierci i zdrady. Będzie musiał ostrzec Taima Nie przed Aes Sedai w "Srebrnym Łabędziu" - o nich Taim z pewnością już wiedział; dlaczego o nich nie wspomniał? - tylko, że ma trzymać się od nich z daleka, że ma trzymać z daleka Asha'manów. Jeżeli Studnie Dumai miały stanowić koniec całej afery, to tutaj nie będzie żadnych nowych początków. Zbyt wiele rzeczy zdawało się wymykać spod kontroli. Im bardziej starał się je wszystkie ogarnąć, tym więcej ich przybywało i tym szybciej się wymykały. Prędzej czy później wszystko runie i roztrzaska się. Od tej myśli zaschło mu w gardle. Thom Merrilin nauczył go trochę żonglować, ale i tak nigdy nie był w tym najlepszy. A teraz musiał być naprawdę dobry. Miał wielką ochotę zwilżyć czymś gardło.

Dotarło do niego, że to ostatnie wymówił na głos, dopiero wtedy, gdy Jalani wyprostowała się z przysiadu i dumnymi krokami przeszła przez całą komnatę, do małego stolika, na którym stał wysoki, srebrny dzban. Napełniwszy puchar z kutego srebra, podeszła do Randa z uśmiechem, otwierając usta, kiedy go podawała. Spodziewał się usłyszeć jakieś opryskliwe słowa, a tymczasem na jej twarzy zaszła

zmiana. Powiedziała tylko: "Car'a'carnie", po czym wróciła do swojego miejsca wśród innych Panien, tak pełna godności, jakby naśladowała Dorindhę, a może Deirę.

Somara zaczęła gestykulować w mowie dłoni, a wszystkie Panny dostały nagle czerwonych wypieków na twarzy i zagryzały wargi, żeby powstrzymać się od śmiechu. Wszystkie z wyjątkiem Jalani, której twarz była równie pąsowa.

Winny poncz smakował śliwkami. Rand pamiętał te wielkie, słodkie śliwki z sadów za rzeką; kiedy był mały, wspinał się na drzewa, żeby je zrywać... Odchyliwszy głowę w tył, opróżnił puchar. W Dwu Rzekach rosły śliwy, ale nie tworzyły sadów i z pewnością nie rosły za żadną rzeką.

"Zachowaj swoje przeklęte wspomnienia dla siebie" -warknął na Lewsa Therina. Mężczyzna w jego głowie zachichotał cicho, z jakiegoś powodu rozbawiony.

Bashere spojrzał krzywo na Panny, potem zerknął na Baela i jego żony, wszystkie beznamiętne jak kamień, pokręcił głową. Stosunki z Baelem układały mu się nieźle, ale Aielowie zasadniczo zadziwiali go.

- A mnie nikt nie poda niczego do picia? - zapytał, wstając, i poszedł sam sobie nalać. Upił tęgiego łyka, zamaczając w ponczu swoje długie wąsy. - O, to naprawdę chłodzi. Taim, jak się zdaje, werbuje wszystkich mężczyzn, którzy zechcą pójść za Smokiem Odrodzonym. Dał mi zacną armię, ludzi, którym brak tego wszystkiego, czego potrzebują ci twoi Asha'mani. Oni wszyscy rozmawiają z wytrzeszczonymi oczyma o przechodzeniu przez dziury w powietrzu, ale żaden nawet się nie zbliżył do Czarnej Wieży. Wypróbowuję na nich niektóre pomysły młodego Mata.

Rand zbył to, machając opróżnionym pucharem.

- Opowiedz mi o Dyelin. - Dyelin z Domu Taravin miała być następna w sukcesji do tronu, gdyby coś się przytrafiło Elayne, ale powiedział jej, że kazał sprowadzić

Elayne do Caemlyn. - Jeżeli ona uważa, że może wziąć sobie Tron Lwa, to dla niej też potrafię znaleźć farmę.

- Wziąć sobie tron? - spytała z niedowierzaniem Deira, a jej małżonek roześmiał się głośno.

- Zupełnie się nie znam na obyczajach mieszkańców mokradeł - powiedział Bael - ale moim zdaniem ona tego nie zrobiła.

- Daleka jest od tego. - Davram przyniósł dzban, żeby dolać ponczu Randowi. - Niektórzy pośledniejsi lordowie i lady, którzy lubią nadskakiwać, opowiedzieli się za nią w Aringill. Ta Dyelin jest bardzo szybka. W ciągu czterech dni skazała na powieszenie dwóch przywódców za zdradę Dziedziczki Tronu Elayne, a dwudziestu innych kazała wychłostać. - Zaśmiał się z aprobatą. Jego żona pociągnęła nosem. Ona zapewne kazałaby ozdobić szubienicami całą drogę od Aringill do Caemlyn.

- W takim razie co to za gadanie o przejęciu przez nią władzy w Andorze? - spytał ostro Rand. - I o uwięzieniu Elenii i Naeana?

- To właśnie oni usiłowali zagarnąć tron = powiedziała Deira, a jej ciemne oczy zaiskrzyły się gniewnie.

Bashere przytaknął. Był o wiele spokojniejszy.

- Zaledwie przed trzema dniami. Kiedy dotarły wieści o koronacji Colavaere, a pogłoski z Cairhien, jakobyś udał się do Tar Valon, zaczęły brzmieć bardziej prawdziwie. Handel się odrodził, dlatego w powietrzu między Cairhien a Caemlyn fruwa tyle gołębi, że mógłbyś chodzić po ich grzbietach. - Odstawił dzban i wrócił do swego krzesła. - Naean ogłosił, że przejmuje Tron Lwa rankiem, Elenia w południe, a przed zachodem słońca Dyelin, Pelivar i Luan aresztowali ich oboje. Następnego dnia ogłosili, że Dyelin jest Regentką. W imieniu Elayne, do czasu jej powrotu. Większość

Domów Andoru wyraziła poparcie dla Dyelin. Moim zdaniem niektórzy chcieliby, żeby to ona zasiadła na tronie, ale Aringill pilnuje, by nawet ci najpotężniejsi trzymali języki na wodzy. - Bashere przymknął jedno oko i wskazał Randa. - O tobie w ogóle nie mówią. Chyba trzeba tu mądrzejszej głowy niż moja, żeby orzec, czy to dobrze, czy źle.

Deira uśmiechnęła się chłodno, spoglądając z wyższością.

- Ci... służalcy... którym pozwoliłeś swobodnie korzystać z pałacu, zniknęli z miasta, jak się zdaje. Krążą pogłoski, jakoby niektórzy uciekli z Andoru. Powinieneś wiedzieć, że wszyscy popierali albo Elenię, albo Naeana.

Rand ostrożnie postawił swój napełniony po brzegi puchar na posadzce obok krzesła. Pozwolił zostać Lirowi, Arymilli i innym jedynie po to, by spróbowali nakłonić Dyelin i tych, którzy byli jej stronnikami, do współpracy. Ci nigdy nie zostawiliby Andoru takim jak lord Lir. Z czasem może się jeszcze uda, zwłaszcza po powrocie Elayne. Niemniej jednak sprawy przybierały coraz szybszy obrót, wymykając mu się z rąk. Ale z kolei nad niektórymi wciąż mógł zapanować.

- Fedwin, o ten tutaj, jest Asha'manem - powiedział. - Będzie przywoził mi wieści do Cairhien, jeżeli zajdzie taka potrzeba. - Swą wypowiedź uzupełnił wściekłym spojrzeniem rzuconym w stronę Melaine, która odwzajemniła się całkowicie obojętną miną. Deira patrzyła na Fedwina w taki sposób, jakby był martwym szczurem, którego jakiś nadgorliwy pies porzucił na jej dywanie. Davram i Bael byli bardziej dociekliwi; na widok ich min Fedwin usiłował się wyprostować. - Nie dopuśćcie, by ktoś się dowiedział, kim on jest -ciągnął Rand. - Dlatego właśnie nie nosi czerni. Tego wieczoru zabieram jeszcze dwóch do lorda Semaradrida i Wysokiego Lorda Weiramona. Przydadzą im się, kiedy dojdzie do potyczki z Sammaelem na Wzgórzach Doirlon. Ja natomiast będę musiał głowić się jeszcze jakiś czas, co zrobić z Cairhien. - I

całkiem możliwe, że również z Andorem.

- Czy to oznacza, że nareszcie wyprawisz włócznie w drogę? - spytał Bael. -

Wydasz rozkazy dziś wieczór?

Rand przytaknął, Bashere zaniósł się tubalnym śmiechem.

- O tak, ta okazja wymaga dobrego wina. Czy raczej wymagałaby, gdyby nie

ten upał, który sprawia, że człowiekowi krew robi się gęsta jak owsianka. - Uśmiech

zamienił się w grymas. - A żebym sczezł, jak ja żałuję, że nie mogę tam być. A jednak

przypuszczam, że utrzymanie Caemlyn dla Smoka Odrodzonego to nie bagatela.

- Czy zawsze musisz być tam, gdzie błyskają obnażone ostrza, mój mężu? - W

głosie Deiry słychać było sporo czułości.

- A co z jedną piątą? - spytał Bael. - Czy zgodzisz się na jedną piątą w Illian,

kiedy Sammael upadnie? - Zgodnie z obyczajem Aielowie mogli zabrać jedną piątą

wszystkiego, co znajdowało się w miejscu zajętym przy użyciu siły. Rand zabronił tego

tu, w Caemlyn; nie oddałby Elayne miasta złupionego choćby tylko w takim stopniu.

- Dostaną jedną piątą - obiecał Rand, ale to nie o Sammaelu albo Illian myślał.

“Sprowadź prędko Elayne, Mat”. - To przebiegło mu przez głowę, nakładając się

na rechot Lewsa Therina. - “Sprowadź ją rychło, zanim i Andor, i Cairhien wybuchną”.

ROZDZIAŁ 8

FIGURANTKA

- Musimy się jutro zatrzymać na cały dzień. - Egwene poprawiła się ostrożnie na swym składanym krzesełku; lubiło niekiedy składać się samoistnie. - Lord Bryne twierdzi, że armii kończy się żywność. W naszym obozie z pewnością brakuje wszystkiego.

Na drewnianym stoliku, tuż przed nią, płonęły dwie krótkie, łojowe świece. Stolik, też składany, by dzięki temu łatwo dawał się pakować, był przynajmniej mocniejszy od krzesła. Oprócz świec wnętrze namiotu, który służył jej za gabinet, oświetlała również lampa oliwna zawieszona na palu blisko szczytu. Mętne, żółte światło migotało, rzucając roztańczone, blade cienie na połatane, płócienne ściany, którym wiele brakowało do przepychu gabinetu Amyrlin w Białej Wieży, ale to jej akurat nie denerwowało. Prawdę powiedziawszy, samą jej osobę dzielił spory dystans od przepychu normalnie kojarzonego z Zasiadającą na 'Tronie Amyrlin. Wiedziała bardzo dobrze, że stuła z siedmioma paskami okrywająca jej ramiona to jedyny dowód, na podstawie którego ktoś obcy mógłby uwierzyć, że jest Amyrlin. O ile by nie uznał, że to nadzwyczaj głupi dowcip. Dziwne rzeczy działy się w całej historii Białej Wieży - Siuan opowiadała jej niektóre sekretne szczegóły - ale z pewnością nic aż tak dziwnego jak pojawienie się jej osoby.

- Lepiej cztery albo pięć dni - zadumała się Sheriam, przypatrując się stercie papierów leżących na jej kolanach. Lekko pulchna, z wystającymi kośćmi policzkowymi i skośnymi, zielonymi oczyma, w ciemnozielonej sukni do konnej jazdy, jakimś sposobem wyglądała jednocześnie elegancko i rozkazująco, mimo iż przysiadła na jednym z dwóch chwiejnych zydli ustawionych przed stolikiem Egwene.

Wystarczyłoby zamienić jej wąską, błękitną stułę Opiekunki Kronik na stułę Amyrlin i każdy uznałby z miejsca, że nosi ją zgodnie z prawem. Czasami rzeczywiście zdawała się uważać, że ta pasiasta stuła spoczywa na jej ramionach. - A może jeszcze dłużej. Przydałoby się uzupełnić zapasy.

Siuan, która siedziała na drugim chybotliwym zydlu, nieznacznie potrząsnęła głową, ale Egwene nie potrzebowała podpowiedzi.

- Jeden dzień.

Mogła mieć tylko osiemnaście lat i mogło jej wiele brakować do prawdziwego przepychu Amyrlin, ale nie była idiotką. Zbyt wiele sióstr skwapliwie korzystało z wszelkich wymówek na zrobienie postoju - w tym zbyt wiele Zasiadających - i gdyby zatrzymywali się na dłuższy czas, ruszenie ich z miejsca mogłoby okazać się niemożliwe. Sheriam otworzyła usta.

- Jeden, córko - stwierdziła stanowczym tonem Egwene. Cokolwiek Sheriam sobie myślała, fakt był taki, że Sheriam Bayanar była Opiekunką Kronik, a Egwene al'Vere Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Tylko jak zmusić Sheriam, żeby to nareszcie pojęła? I jeszcze Komnatę Wieży; to było jeszcze trudniejsze. Miała ochotę warczeć, krzyczeć albo wręcz czymś rzucać, ale nie minęło nawet półtora miesiąca, a już nabrała doświadczenia w kontrolowaniu wyrazu twarzy i brzmienia głosu. - Jeżeli zostaniemy na dłużej, ogołocimy doszczętnie całą okolicę. Nie skażę tutejszych mieszkańców na głód. A gdy rozpatrzyć sprawę z praktycznej strony, to jeśli weźmiemy od nich za dużo, nawet płacąc, zrewanżują się nam tysiącem problemów.

- Napaści na stada i złodzieje przy wozach z zapasami - mruknęła Siuan. Nie patrzyła na nikogo, tylko wbiła wzrok w swoje dzielone spódnice, zdając się myśleć na głos. -Będą strzelać do naszych straży pod osłoną nocy albo na przykład podkładać

ogień pod wszystko, do czego się dobiorą. Zły interes. Ludzie głodni prędko popadają w desperację. -Identyczne powody lord Bryne podał Egwene, ujęte niemalże w te same słowa.

Kobieta o ognistych włosach obrzuciła Siuan twardym spojrzeniem. Wiele sióstr przeżywało ciężkie chwile w kontaktach z Siuan. Jej twarz była prawdopodobnie najlepiej znana w całym obozie, dostatecznie młoda, by pasować do sukni Przyjętej albo nawet nowicjuszki, skoro już o tym mowa. Taki był efekt uboczny ujarzmienia, aczkolwiek wiele sióstr o tym nie wiedziało; Siuan niemalże nie mogła zrobić kroku, żeby siostry nie gapiły się na nią jak na byłą Zasiadającą na Tronie Amyrlin, pozbawioną stanowiska i odciętą od saidara, a potem Uzdrowioną, dzięki czemu odzyskała przynajmniej część swych umiejętności, podczas gdy wszyscy uważali, że to niemożliwe. Wiele powitało ją ciepło, kiedy na powrót stała się siostrą, zarówno z sympatii do niej samej, jak i z powodu tego cudu, który pozwalał żywić nadzieję wbrew temu, czego każda Aes Sedai bała się bardziej niż śmierci. Tyle samo jednakże albo nawet i więcej sióstr ledwie ją tolerowało, względnie traktowało protekcjonalnie, albo czyniło jedno i drugie, obwiniając ją za ich obecną sytuację. Sheriam zaliczała się do tych, które uważały, że Siuan powinna pouczyć nową, młodą Amyrlin odnośnie protokołu i tym podobnych rzeczy, czyli zrobić coś, czego zdaniem wszystkich nienawidziła, a poza tym trzymać usta zamknięte tak długo, aż jej nie wezwą. Była teraz kimś gorszym, utraciła prawo do tytułu Amyrlin i brakowało jej dawnej siły we władaniu Mocą. Wedle zapatrywań Aes Sedai w takim traktowaniu nie było żadnego okrucieństwa. Przeszłość to przeszłość; co było, minęło, i należy się z tym pogodzić. Wszystko inne mogło jedynie spowodować jeszcze większy ból. Aes Sedai zasadniczo akceptowały zmianę powoli, ale kiedy już ją zaakceptowały, zazwyczaj

postępowały tak, jakby stanowiła regułę istniejącą od zawsze.

- Jeden dzień, Matko, tak jak mówisz - westchnęła na koniec Sheriam, lekko skłaniając głowę. Mniej z uległości, Egwene była pewna, a bardziej po to, by ukryć grymas niezadowolenia wywołany jej uporem. Będzie tolerować takie grymasy pod warunkiem, że będzie im towarzyszyło zrozumienie. Na razie musiała się godzić.

Siuan też skłoniła głowę. Żeby ukryć uśmiech. Każda siostra mogła być mianowana na dowolne stanowisko, ale obowiązujący wśród nich porządek dziobania traktowano dość rygorystycznie i Siuan zajmowała w nim o wiele niższą pozycję niż kiedyś. Był to jeden z powodów.

Identyczne dokumenty, jak te, które spoczywały na kolanach Sheriam, leżały również na kolanach Siuan i na stole przed Egwene. Sprawozdania z wszystkiego, poczynając od zapasów świec i worków z fasolą, a kończąc na kondycji koni; oprócz tego raporty tej samej treści dotyczące armii lorda Garetha. Obozowisko armii otaczało obozowisko Aes Sedai, oddzielone pierścieniem o szerokości może dwudziestu kroków, ale pod wieloma względami mogłaby je dzielić cała mila. O dziwo, lord Bryne upierał się przy tym rozdzieleniu tak samo jak siostry. Aes Sedai nie chciały, żeby wśród ich namiotów wałęsali się żołnierze, w tym wielu niedomytych analfabetów i rozrabiaków, często o lepkich palcach, i jak się zdawało, żołnierze ze swej strony nie życzyli sobie, by Aes Sedai kręciły się w ich obozie - aczkolwiek, zapewne całkiem roztropnie, taili swoje powody. Maszerowali na Tar Valon, żeby obalić tę, która uzurpowała sobie prawo do Tronu Amyrlin i na jej miejsce wynieść Egwene, jednak mało który czuł się swobodnie w obecności Aes Sedai. Podobnie zresztą jak zwykłe kobiety.

Sheriam byłaby zapewne co najmniej urzeczona, gdyby udało jej się przejąć te

wszystkie drobne sprawy z rąk Egwene. Tyle też powiedziała, wyjaśniając, jakie one są drobne, i że Zasiadająca na Tronie Amyrlin nie powinna zawracać sobie głowy codziennymi błahostkami. Siuan ze swej strony oświadczyła, że dobra Amyrlin zwraca na nie uwagę, ale nie stara się powielać pracy tuzinów sióstr i urzędników, tylko każdego dnia sprawdza coś innego. Takim sposobem zyskuje właściwe pojęcie odnośnie do tego, co się dzieje i co trzeba zrobić, zanim zaczną do niej przybiegać z wieścią, że kryzys osiągnął już takie rozmiary, że wszystko rozpada się na kawałki. Siuan nazywała to wyczuwaniem, w którą stronę wieje wiatr. Dopilnowanie, by te raporty do niej docierały, potrwało kilka tygodni, i Egwene była pewna, że kiedy je odda pod kontrolę Sheriam, już nigdy niczego się nie dowie, dopóki dana sprawa nie zostanie załatwiona. O ile zostanie załatwiona.

Milczenie przeciągało się; czytały następny dokument ze swoich plików.

Nie były same. Na poduszkach pod ścianą namiotu siedziała Chesa.

- Słabe światło szkodzi oczom-mruknęła niemalże do siebie, podnosząc w górę jedną z jedwabnych pończoch Egwene, które właśnie cerowała. - Nikt mnie nigdy nie przyłapie na niszczeniu sobie wzroku od czytania w tak słabym świetle. - Pokojówka Egwene, krępa niemalże, z iskrą w oczach i wesołym uśmiechem, zawsze starała się ukradkiem podrzucić Amyrlin jakąś radę, w taki sposób, jakby mówiła o sobie. Mogła uchodzić za służącą Egwene od dwudziestu lat, a nie od zaledwie dwóch miesięcy, i trzykrotnie, a nie zaledwie dwukrotnie od niej starszą. Egwene podejrzewała, że tego wieczoru Chesa odezwała się po to tylko, żeby przerwać milczenie. Od ucieczki Logaina w obozie wyczuwało się pewne napięcie. Mężczyzna, który potrafi przenosić, otoczony tarczą i ścisłą strażą, a jednak wyparował niczym mgła. Wszyscy odchodzili od zmysłów, zastanawiając się, jak tego dokonał, zastanawiając się, gdzie jest i co

zamierza. Egwene żałowała bardziej niż inni, że nie zna odpowiedzi na te pytania. Sheriam zwinęła dokumenty i spojrzała krzywo na Chesę; nie pojmowała, dlaczego Egwene pozwala swej pokojówce uczestniczyć w tych spotkaniach, a jeszcze mniej, dlaczego pozwala jej tak swobodnie trajkotać. Zapewne w ogóle nie przyszło jej do głowy, że obecność Chesy oraz jej gadanina często wyprowadzają ją z równowagi na tyle skutecznie, że Egwene może dzięki temu zbywać rady, z których nie chciała skorzystać, i odkładać decyzje, których nie chciała podejmować, przynajmniej nie w takim kształcie, w jakim formułowała je Sheriam. Taki pomysł z całą pewnością nigdy nie przyszedł do głowy Chesie. Uśmiechnęła się przepraszająco i wróciła do cerowania, co jakiś czas mrucząc do siebie.

- Jeżeli będziemy tak to ciągnąć, Matko - rzekła chłodno Sheriam - być może uda nam się skończyć przed świtem.

Wpatrzona w kolejny arkusz papieru Egwene rozmasowała sobie skronie.

Chesa miała chyba rację z tym światłem. Zanosiło się na kolejny atak bólu głowy. Całkiem zresztą możliwe, że spowodowany przez ten raport, w którym szczegółowo podano, ile zostało im pieniędzy. Opowieści, które czytała, nigdzie nie wspominały, ile potrzeba pieniędzy na utrzymanie armii. Do tej kartki zostały przypięte listy od dwóch Zasiadających, Romandy i Lelaine, w których sugerowały, by nie płacić żołnierzom tak często, by płacić im, mówiąc wprost, mniej. Więcej niż sugerowały, jako że obie były kimś więcej niż zwykłymi dwiema Zasiadającymi. Inne Zasiadające szły wszędzie tam, gdzie one, o ile nie wszystkie siostry, i jedyną, na którą Egwene mogła liczyć, i to wcale nie do końca, była Delana. Był to jeden z rzadkich przypadków, kiedy Lelaine i Romanda zgodziły się ze sobą w czymkolwiek; nie mogły wybrać gorszej sprawy. Niektórzy żołnierze złożyli przysięgi, ale większość była tutaj dla żołdu i być może

nadziei zdobycia łupów.

- Żołnierzom należy płacić tak jak dotąd - mruknęła Egwene, mnąc oba listy.

Nie zamierzała dopuścić, by jej armia stopniała, choćby nawet musiała pozwolić, by żołnierze brali łupy.

- Jak rozkażesz, Matko. - Oczy Sheriam zaiskrzyły się z zadowolenia. Musiała dostrzec przyszłe kłopoty, każdy, kto uznałby ją za mniej niż bardzo inteligentną, popadłby w wiel kie tarapaty, ale miała jeden czuły punkt. Gdyby Romanda albo Lelaine orzekły, że słońce wschodzi, Sheriam najprawdopodobniej twierdziłaby, że zachodzi; miała w Komnacie tyle samo wpływów co one obecnie, może nawet więcej, dopóki nie doszło między nimi do zawieszenia broni w tej kwestii. Naturalnie istniała tu równowaga; te dwie bez namysłu torpedowały wszystko, co proponowała Sheriam. Co, jak by nie było, miało pewne zalety.

Egwene zaczęła bębnić palcami po stole; powstrzymała się z wielkim wysiłkiem. Należało znaleźć pieniądze - gdzieś, jakoś - ale Sheriam nie mogła zobaczyć, że ona się tym przejmuje.

- Ta nowa kobieta jeszcze się nauczy - mruknęła Chesa znad swojej robótki.

-Naturalnie Tairenianie zawsze zadzierają nosa, ale Selame wie, czego się wymaga od pokojówki lady. Meri i ja szybko ją utemperujemy. - Sheriam z irytacją przewróciła oczami.

Egwene uśmiechnęła się do siebie. Egwene al'Vere z trzema pokojówkami do dyspozycji; równie niewiarygodne jak stuła. Ale ten uśmiech trwał tylko tyle, ile jedno uderzenie serca. Pokojówkom też trzeba płacić. Drobną sumę, jeśli ją porównać z żołdem dla trzydziestu tysięcy żołnierzy, a poza tym Amyrlin raczej nie mogła sama robić sobie prania albo naprawiać bielizny, niemniej jednak Egwene znakomicie

dałaby sobie radę tylko z Chesą. Gdyby to zależało od niej. Niecały tydzień wcześniej Romanda zadecydowała, że Amyrlin potrzebuje jeszcze jednej służącej i znalazła Meri wśród uchodźców, którzy gromadzili się w każdej wiosce, dopóki ich stamtąd nie wypędzono, a Lelaine, która nie chciała być gorsza, pozyskała z tego samego źródła Selame. Obie kobiety zostały wciśnięte do maleńkiego namiociku Chesy, zanim Egwene w ogóle się dowiedziała, że istnieją.

Cała procedura była niewłaściwa: trzy pokojówki, kiedy brakowało srebra, żeby opłacić armię w połowie drogi do Tar Valon, wybrane dla niej bez żadnej dyskusji. I jeszcze fakt, że miała przecież jedną pokojówkę, która nie dostawała ani miedziaka. Wszyscy w każdym razie wierzyli, że Marigan to pokojówka Amyrlin.

Wymacała ukradkiem swój mieszek przy pasie, a potem schowaną wewnątrz bransoletę. Powinna nosić ją częściej, to jej obowiązek. Wyjęła bransoletę i wsunęła ją na przegub dłoni; kółko ze srebra było tak wykonane, że zapięcie stawało się niewidoczne, kiedy je zamknięto. Wykonana z użyciem Jedynej Mocy bransoleta zatrzasnęła się pod stołem, a ona natychmiast nabrała ochoty, żeby ją ściągnąć.

Do zakamarka jej umysłu wlały się niczym powódź emocje, emocje i świadomość - jakby do maleńkiej kieszonki w umyśle, tak to sobie wyobrażała. Czy wcale nie musiała sobie wyobrażać; wszystko było aż nadto realne. Bransoleta - połowa a'dam - tworzyła więź miedzy nią a kobietą, która nosiła drugą połowę, srebrny naszyjnik, którego tamta nie mogła zdjąć sama. Stanowiły dwuosobowy krąg nie wymagający obejmowania saidara, przy czym to Egwene kierowała w nim zawsze za pomocą bransolety. "Marigan" w danym momencie spała, z obolałymi od chodzenia przez cały dzień stopami i przez wszystkie minione dni, ale nawet wtedy, kiedy spała,

strach wylewał się z niej z równą siłą; jedynie nienawiść potrafiła dorównać natężeniu tego strumienia, który sączył się przez a'dam. Niechęć Egwene brała się właśnie z tego ustawicznego wgryzania się w paniczny strach tamtej kobiety, z tego, że sama kiedyś nosiła drugi koniec a'dam i z tego, że wiedziała, kim jest kobieta na drugim końcu. Nie znosiła tego wymuszonego uczestnictwa w jakiejkolwiek cząstce jej duszy.

Jedynie trzy kobiety w obozie wiedziały, że Moghedien wzięto do niewoli i ukryto wśród Aes Sedai. Gdyby to wyszło na jaw, Moghedien zostałaby osądzona, ujarzmiona i stracona, Egwene mogłaby znaleźć się w niewiele lepszej sytuacji, a razem z nią również Siuan i Leane. To były te pozostałe, które wiedziały. W najlepszym razie zerwano by z niej stułę.

"Będę miała dużo szczęścia-pomyślała ponuro - jeżeli za ukrywanie Przeklętej przed sprawiedliwością czeka mnie tylko degradacja do Przyjętych".

Mimo woli przejechała kciukiem po złotym pierścieniu ze Złotym Wężem, który nosiła na palcu wskazującym prawej dłoni.

Niemniej jednak taka kara, nawet jeśli możliwa, była raczej nieprawdopodobna. Uczono ją wprawdzie, że na Zasiadającą na Tronie Amyrlin

wybierano najmądrzejszą z sióstr, a mimo to wiedziała, jak jest naprawdę. Wybór Amyrlin kontestowano równie zażarcie, jak wybór burmistrza w Dwu Rzekach, a może nawet i bardziej; nikt się nie odważył sprzeciwić jej ojcu w Polu Emonda, ale słyszała o wyborach w Deven Ride i Taren Ferry. Siuan została wyniesiona do godności Amyrlin tylko dlatego, że wszystkie trzy, które ją poprzedzały, umierały zaledwie po kilku latach zasiadania na Tronie Amyrlin. Komnata chciała kogoś młodego. Mówienie o wieku którejś siostry było jak wymierzenie jej policzka, a jednak Egwene zaczęła nabierać jakiegoś pojęcia odnośnie do tego, jak długo żyją Aes Sedai. Rzadko którą wybierano na Zasiadającą, jeżeli przedtem nie nosiła szala przez co najmniej siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt lat, a Amyrlin musiała go nosić jeszcze dłużej. Tak więc kiedy Komnata utknęła w martwym punkcie, bo mogła wybierać jedynie między czterema siostrami wyniesionymi do godności Aes Sedai mniej niż pięćdziesiąt lat temu, a Seaine Herimon z Białych wysunęła kandydaturę kobiety, która nosiła szal zaledwie jedną dekadę, wówczas Zasiadające opowiedziały się za Siuan, być może zarówno z powodu zmęczenia, jak i ze względu na kwalifikacje, jakimi wykazała się w pracach administracyjnych.

Ale czemu opowiedziały się właśnie za Egwene al'Vere, która w wielu oczach powinna być jeszcze nowicjuszką? Bo była w ich oczach figurantką, którą z łatwością można kierować, dzieckiem, które wychowało się w tej samej wiosce co Rand al'Thor. To ostatnie z całą pewnością wpłynęło na decyzję. Nie odbiorą jej stuły, ale przekona się, że ten skromny autorytet, który do tej pory udało jej się zdobyć, przepadł. W rzeczy samej między Romandą, Lelaine i Sheriam mogłoby dojść do wymiany ciosów, po której zaczną nią wspólnie dyrygować, trzymając przy tym ciasno za kark.

- Taką samą bransoletę widziałam na ręce Elayne. -Papiery na kolanach

Sheriam zaszeleściły, kiedy się pochyliła, by móc się lepiej przyjrzeć. - I Nynaeve.

Dzieliły się nią, o ile sobie przypominam.

Egwene wzdrygnęła się. To była beztroska z jej strony.

- To jest ta sama bransoleta. Pamiątka, którą mi dały przed wyjazdem. -

Obróciwszy srebrne kółko wokół przegubu, poczuła ukłucie winy. Bransoleta z pozoru składała się z części, ale połączonych tak przemyślnie, że nie można się było zorientować, w jaki sposób. Prawie wcale nie myślała o Nynaeve albo Elayne od czasu ich wyjazdu do Ebou Dar. Może powinna ściągnąć je z powrotem. Poszukiwania chyba nie szły im dobrze, mimo że zaprzeczały. Ale z kolei, gdyby tak znalazły to, czego szukały...

Sheriam marszczyła brwi, ale Egwene nie umiała orzec, czy to przez bransoletę, czy z innego powodu. Nie mogła dopuścić, by Sheriam zaczęła się za bardzo zastanawiać nad bransoletą; jeżeli kiedyś zauważy, że naszyjnik noszony przez Marigan stanowi z nią komplet, to zacznie zadawać boleśnie niewygodne pytania.

Egwene wstała i obeszła stół, wygładzając przy tym spódnicę. Siuan zdobyła tego dnia kilka informacji; jedną z nich można było znakomicie wykorzystać właśnie w tej chwili. Nie ona jedna miała jakieś tajemnice. Sheriam zrobiła zdziwioną minę, kiedy Egwene przystanęła trochę za blisko niej.

- Córko, dowiedziałam się, że kilka dni po przybyciu Siuan i Leane do Salidaru, wyjechało dziesięć sióstr, po dwie z każdej Ajah z wyjątkiem Błękitnych. Dokąd one pojechały i po co?

Sheriam nieznacznie zmrużyła oczy, ale nosiła swój spokój równie swobodnie jak suknię.

- Matko, raczej nie pamiętam wszystkich...

- Tylko bez wykrętów, Sheriam. - Egwene podeszła nieco bliżej, tak że ich kolana prawie się stykały. - Żadnych kłamstw przez pominięcie faktów. Sama prawda.

Gładkie czoło Sheriam przeciął mars.

- Matko, nawet gdybym wiedziała, to przecież ty nie możesz zaprzątać sobie głowy każdym drobnym...

- Prawda, Sheriam. Cała prawda. Czy mam wypytać Komnatę, dlaczego nie mogę usłyszeć prawdy od swojej Opiekunki? Wyciągnę ją z ciebie, córko, w taki czy inny sposób. Wyciągnę.

Sheriam gwałtownie się obejrzała, jakby poszukiwała drogi ucieczki. Jej wzrok padł na Chesę, skuloną nad szyciem, i w tym momencie westchnęła z ulgą.

- Matko, jestem pewna, że jutro, kiedy będziemy same, wytłumaczę ci wszystko ku twemu zadowoleniu. Muszę wpierw porozmawiać z kilkoma siostrami. Które wymyślą, co Sheriam ma jej jutro powiedzieć.

- Chesa - poprosiła Egwene - zechciej zaczekać na zewnątrz. - Chesa, która zdawała się tak skupiona na swojej pracy, że nie zwracała uwagi na nic innego, - natychmiast poderwała się na nogi i niemal wybiegła z namiotu. Kiedy Aes Sedai się sprzeczały, każdy, kto miał bodaj połowę mózgu, uchodził w jakieś inne miejsce. - Proszę bardzo, córko -powiedziała Egwene. - Prawda. Wszystko, co wiesz. To jak najbardziej prywatna rozmowa - dodała, kiedy Sheriam zerknęła na Siuan.

Sheriam przez chwilę poprawiała spódnice, czy właściwie skubała je nerwowo, unikając wzroku Egwene, bez wątpienia zastanawiając się nad unikami. Ale Trzy Przysięgi pochwyciły ją w pułapkę. Nie mogła powiedzieć ani jednego słowa nieprawdy i niezależnie od tego, co sobie myślała o prawdziwej pozycji Egwene, od knowań za jej plecami do jawnego zanegowania autorytetu była daleka droga. Nawet

Romanda przestrzegała zasad dobrego wychowania.

Zrobiwszy głęboki wdech, Sheriam splotła dłonie na podołku i przemówiła zdawkowym tonem, prosto w pierś Egwene.

- Kiedy się dowiedziałyśmy, że to Czerwone Ajah są odpowiedzialne za osadzenie Logaina w roli fałszywego Smoka, uznałyśmy, że coś trzeba z tym zrobić. - To "my" oznaczało zapewne niewielką koterię sióstr, które Sheriam zgromadziła wokół siebie; Carlinya, Beonin i wszystkie pozostałe miały w Komnacie takie same wpływy jak Zasiadające, o ile nawet nie większe. - Elaida wystosowała do wszystkich sióstr listy z żądaniem powrotu do Wieży, więc wybrałyśmy dziesięć sióstr, które miały to zrobić, najszybciej jak się da. Najprawdopodobniej już dawno temu tam dotarły. Mają dyskretnie dopilnować, by wszystkie siostry w Wieży poznały prawdę o tym, co Czerwone zrobiły z Logainem. Nie... -Zawahała się, po czym dokończyła pospiesznie: - Nawet Komnata o nich nie wie.

Egwene cofnęła się i znowu rozmasowała sobie skronie. Dyskretnie dopilnować. W nadziei, że uda się obalić Elaidę. Nawet nie taki zły plan; mógł się powieść. Ale cały proces zapewne potrwa wiele lat. A poza tym większości sióstr się wydawało, że im dłużej będą żyły, tak naprawdę nie robiąc nic, tym lepiej. I jeśli jeszcze starczy im czasu, przekonają świat, że w Białej Wieży nie doszło do żadnego rozłamu. Może więc, jeśli dać im dość czasu, jakoś wszystko naprawią i będzie tak, jakby nic się nie stało.

- Dlaczego trzymacie to w tajemnicy przed Komnatą, Sheriam? Nie sądzisz chyba, że któraś zdradziłaby Elaidzie wasz plan? - Jedna połowa sióstr popatrywała z ukosa na drugą połowę, ze strachu, że są wśród nich zwolenniczki Elaidy. Częściowo ze strachu przed tym właśnie.

- Matko, siostra, która by stwierdziła, że to, co robimy, jest błędem, nie nadawałaby się raczej na Zasiadającą. Każda taka dawno temu by odeszła. - Sheriam nie uspokoiła się, ale jej głos nabrał cierpliwej, pouczającej barwy, dzięki której, jak jej się zdawało, miała najsilniejszy wpływ na Egwene. Zazwyczaj jednak bywała bardziej pomysłowa, gdy przychodziło do zmiany tematu. - Te podejrzenia to najgorszy problem, z jakim się aktualnie borykamy. Nikt nikomu nie ufa, tak naprawdę. Gdybyśmy tylko mogły...

- Czarne Ajah - wtrąciła cicho Siuan. - Od nich człowiekowi stygnie krew, jakby mu srebrawa wpełzła pod spódnicę. Kto może wiedzieć, która należy do Czarnych, i kto wie, do czego Czarne siostry są zdolne?

Sheriam rzuciła jeszcze jedno twarde spojrzenie na Siuan, ale po jakiejś chwili cała siła jakby z niej wyciekła. Czy raczej przepełniające ją napięcie ustąpiło miejsca napięciu innego rodzaju, powodowanemu czym innym. Zerknęła na Egwene, a potem z niechęcią przytaknęła głową. Sądząc po kwaśnym grymasie jej ust, uciekłaby się do kolejnego uniku, gdyby nie było jasne, że Egwene tego nie zdzierży. Większość sióstr w obozie już uwierzyła, ale po dobrych trzech tysiącach lat zaprzeczania istnieniu Czarnych Ajah, ta wiara przyprawiała je o mdłości. I niezależnie od tego, w co wierzyły, prawie żadna nie miała ochoty poruszać tematu.

- Należy postawić sobie pytanie, Matko - ciągnęła Siuan - co się stanie, jeśli Komnata rzeczywiście się dowie. - Zdawała się znowu myśleć na głos. - Nie wyobrażam sobie, by jakakolwiek Zasiadająca przełknęła wymówkę, jakoby nie można jej było o niczym powiedzieć, bo przecież może być po stronie Elaidy. A co do oskarżenia, że mogłaby należeć do Czarnych Ajah... Tak, myślę, że porządnie się zdenerwują.

Sheriam zbladła lekko. Aż dziw brał, że śmiertelnie nie zbielała. Słowo "zdenerwują" nawet w małej części tego nie opisywało. Tak, Sheriam miałaby do czynienia z czymś znacznie gorszym niźli zdenerwowaniem, gdyby ta sprawa wyszła na jaw.

Nadszedł czas, żeby wykorzystać przewagę, ale Egwene przyszło do głowy jeszcze jedno pytanie. Jeżeli Sheriam i jej przyjaciółki wysłały - kogo właściwie? Nie szpiegów. Fretki raczej, wysłane w pogoń za szczurami - jeżeli więc Sheriam wysłała fretki do Białej Wieży, to czy mogła...?

Nagłe ukłucie bólu w kieszonce doznań ukrytej gdzieś w zakamarku głowy sprawiło, że wszystko inne zaczęło jakby fruwać. Ten ból byłby ją sparaliżował, gdyby poczuła go bezpośrednio. A tak tylko oczy wyszły jej z orbit. Mężczyzna, który potrafił przenosić, dotykał naszyjnika na szyi Moghedien; w połączeniu tego typu mężczyzna nie mógł uczestniczyć. Ból i coś, czego Moghedien dotychczas nie odczuwała. Nadzieja. A potem wszystko ustało, świadomość, emocje. Ktoś zdjął naszyjnik.

- Ja... potrzebuję świeżego powietrza - wybąkała. Sheriam zaczęła się podnosić i razem z nią Siuan, ale pokazała im skinieniem ręki, że mają zostać. - Nie, chcę być sama -zaprotestowała pospiesznie. - Siuan, dowiedz się wszystkiego, co Sheriam wie na temat fretek. Światłości, miałam na myśli te dziesięć sióstr. - Obie wytrzeszczyły oczy, ale, dzięki Światłości, nie podążyły za nią, kiedy porwała z haka latarnię i natychmiast wyszła.

Amyrlin nie uchodziło biegać, a mimo to Egwene była tego bliska; podkasała spódnice i ruszyła przed siebie, nieledwie truchtając. Bezchmurne niebo sprawiało, że księżyc świecił jaskrawo, znacząc namioty i wozy cieniami. Większość ludzi w obozowisku spała, ale tu i ówdzie nadal płonęły małe ogniska. Kręciła się przy nich

garstka Strażników, kilku służących: zbyt wielu ludzi mogłoby zauważyć, jak biegnie. Propozycja pomocy była ostatnią rzeczą, jaką chciała w tym momencie usłyszeć.

Dotarło do niej, że dyszy, ale ze strachu, a nie z wyczerpania.

Zaglądając do maleńkiego namiotu "Marigan", stwierdziła, że nie ma w nim nikogo. Koce tworzące legowisko zostały odrzucone przez kogoś, kto się bardzo śpieszył.

"A jeśli ona jeszcze tu gdzieś jest? - zastanowiła się. -Bez naszyjnika i w towarzystwie tego, kto ją uwolnił?"

Cała drżąc, wycofała się powoli. Moghedien miała dość powodów, żeby jej nie cierpieć, bardzo osobistych powodów, a jedyna siostra, która dorównałaby w pojedynkę Przeklętej, kiedy w ogóle była w stanie przenosić, znajdowała się w Ebou Dar. Moghedien mogła zabić Egwene i nikt by tego nawet nie zauważył; gdyby jakaś Aes Sedai wyczuła przenoszenie, nie dostrzegłaby w tym niczego niezwykłego. Co gorsza, Moghedien mogłaby wcale jej nie zabić. I nikt by o niczym nie wiedział dopóty, dopóki by nie odkryto, że obydwie zniknęły.

- Matko - marudziła za jej plecami Chesa - nie powinnaś wychodzić na nocne powietrze. Nocne powietrze to złe powietrze. Mogłam przecież przyprowadzić Marigan, jeśli chciałaś się z nią widzieć.

Egwene omal nie podskoczyła. Nie miała pojęcia, że Chesa za nią idzie.

Przyjrzała się ludziom przy najbliższych ogniskach. Zebrali się tu w poszukiwaniu towarzystwa, nie zaś ciepła w tym niemiłosiernym upale, i wprawdzie nie siedzieli blisko, ale któryś mógł zauważyć, kto wszedł do namiotu "Marigan". Rzadko miewała gości, a mężczyźni nie odwiedzali jej nigdy. Mężczyzna zostałby zauważony.

- Myślę, że ona uciekła, Chesa.

- A to nikczemna kobieta! - zakrzyknęła Chesa. - Zawsze powtarzałam, że ma wredne usta i podstępne spojrzenie. Oczy jej biegały jak złodziejowi, kiedy człowiek na nią spojrzał. Głodowałaby przy drodze, gdyby nie ty. Żadnej wdzięczności!

Doszła za nią aż do namiotu, w którym Egwene spała, po drodze cały czas zrzędząc na temat nikczemności w ogóle i niewdzięczności "Marigan" w szczególności, a także radząc, jak należy traktować takie osoby; miała na myśli coś pośredniego między ćwiczeniem ich rózgą tak długo, aż się nie opamiętają, a pozbyciem się ich, zanim same zdążą uciec. I wszystko to okrasiła jeszcze uwagą, że Egwene powinna sprawdzić, czy ma swoją biżuterię.

Egwene ledwie ją słyszała. Myśli jej wirowały. To przecież nie mógł być Logain? Nie mógł wiedzieć o Moghedien, a zresztą nie wróciłby po to, żeby ją ratować. A może jednak? Ci mężczyźni, których skrzykiwał Rand, ci Asha'mani. We wszystkich wioskach plotkowano szeptem o Asha'manach i Czarnej Wieży. Większość sióstr starała się udawać, że dziesiątki mężczyzn, którzy potrafią przenosić, zebranych w jednym miejscu, są im obojętne - to, co w tych opowieściach było najgorsze, musiało zostać wyolbrzymione; plotki zawsze wyolbrzymiały - ale Egwene czuła, jak palce u stóp kurczą jej się ze strachu za każdym razem, gdy o nich pomyślała. Jakiś Asha'man mógł przecież... Tylko po co? Skoro Logain nie wiedział, to skąd taki miałby wiedzieć? Starała się uniknąć jedynego sensownego wniosku. Że zaszło coś znacznie gorszego niż powrót Logaina, względnie pojawienie się Asha'manów. Że Moghedien została uwolniona przez jednego z Przeklętych. Wedle Nynaeve, Rahvin zginął z ręki Randa, który podobno zabił też Ishamaela. A także Aginora i Balthamela. Moiraine zabiła Bel'lala. A zatem wśród mężczyzn pozostawali jedynie Asmodean, Demandred i Sammael. Sammael był w Illian. Nikt poza tym nie wiedział, gdzie są pozostali,

względnie któraś z pozostałych przy życiu kobiet. Moiraine uśmierciła również Lanfear, a może obie się wzajem uśmierciły, ale na ile ktoś się w tym orientował, pozostałe kobiety nadal żyły. Tylko że to nie była kobieta. To był mężczyzna. Który`? Już dawno temu opracowano plany na wypadek, gdyby któryś z Przeklętych zaatakował obóz. Żadna z obecnych tu sióstr nie dorównałaby Przeklętemu w pojedynkę, ale połączone w kręgi mogłyby całkiem zmienić bieg rzeczy i każdy Przeklęty, który wszedłby do ich obozu, stwierdziłby, że otaczają go z wszystkich stron. Przeklęty albo Przeklęta. Przeklęci z jakiegoś powodu nie zdradzali żadnych objawów starzenia się. Być może był to jakiś efekt związków z Czarnym. Oni...

Takie myśli sprawiały, że ciarki przebiegały jej po grzbiecie. Musi koniecznie zacząć myśleć jasno.

- Chesa?

- ...wyglądasz, jakby znowu dopadł cię ból i trzeba ci było rozmasować skronie... Tak, Matko?

- Znajdź Siuan i Leane. Każ, żeby do mnie przyszły, tylko nie pozwól, żeby ktoś cię usłyszał.

Uśmiechnięta Chesa dygnęła i wypadła na zewnątrz. Raczej nie była w stanie uniknąć prądów, które wirowały wokół Egwene, ale uważała wszystkie te spiski i knowania za coś zabawnego. Nie znaczyło to, że wiedziała coś więcej ponad to, co działo się na powierzchni. Egwene nie wątpiła w jej lojalność, ale Chesa mogła jeszcze zmienić zdanie na temat tego, co jest podniecające; wystarczy, że się dowie, co kryje otchłań pod tymi prądami.

Egwene przeniosła, żeby zapalić lampy oliwne w namiocie, po czym zdmuchnęła latarnię i odstawiła do kąta. Może i wystarczy, że zacznie myśleć jasno,

ale i tak ciągle miała wrażenie, że błądzi w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 9

DWIE SREBRAWY

Egwene siedziała na swoim krześle - na jednym z nielicznych prawdziwych krzeseł w obozie, ozdobionym oszczędnymi rzeźbieniami niczym najlepszy fotel farmera, głębokim i na tyle wygodnym, by miała ledwie cień poczucia winy na myśl o tym, że zajmuje bezcenną przestrzeń w którymś z wozów-siedziała i starała się zebrać myśli, kiedy klapy wejścia rozsunęły się i do wnętrza namiotu wślizgnęła się ukradkiem Siuan. Nie wyglądała na szczególnie uszczęśliwioną.

- Czemu, na Światłość, uciekłaś? - W odróżnieniu od twarzy, jej głos bynajmniej się nie zmienił, potrafiła strofować w najlepsze, nawet jeśli czyniła to tonem wyrażającym szacunek. Niezbyt wielki szacunek. Te niebieskie oczy też pozostały takie jak dawniej; mogłyby posłużyć rymarzowi za szydła. - Sheriam odpędziła mnie niczym natrętną muchę. -Zadziwiająco delikatne usta wykrzywiły się z goryczą. - Poszła sobie niemal zaraz po twoim wyjściu. Czy do ciebie nie dociera, że ona oddała się w twoje ręce? Z pewnością tak się stało. Ona, Anaiya, Morvrin i całe to towarzystwo. Możesz być pewna, że dzisiejszy wieczór spędzą na wybieraniu wody i łataniu dziur. I dopną swego. Nie wiem jak, ale uda im się.

Niemal w tym samym momencie, w którym wypowiedziała ostatnie słowo, do namiotu weszła Leane. Wysoka, szczupła kobieta, z twarzą o miedzianej karnacji, równie młodzieńczą jak twarz Siuan (z identycznych zresztą przyczyn). A wszak miała dość lat, by móc być matką Egwene. Leane spojrzała raz na Siuan i wyrzuciła ręce w górę, tak wysoko, na ile pozwalało jej sklepienie namiotu.

- Matko, to głupio tak ryzykować. - Jej zazwyczaj rozmarzone ciemne oczy słały teraz groźne błyski. ale mimo zirytowania w głosie słyszało się leniwe i ospałe tony.

Zdarzało się wszak, że potrafił on rozbrzmiewać czystą zmysłowością. -Jeżeli ktoś zobaczy mnie i Siuan tutaj...

- Nic mnie to nie obchodzi, czy cały obóz się dowie, że wasze scysje to oszustwo - wtrąciła ostro Egwene, tkając cienką barierę przeciwko podsłuchiwaniu wokół nich trzech. Z czasem ktoś mógł się przez nią przebić, ale nie uda mu się zrobić tego niepostrzeżenie, póki wciąż podtrzymywała splot, miast go podwiązać

Tak naprawdę to bardzo ją obchodziło, toteż być może rzeczywiście nie należało wzywać obu naraz, ale taka była pierwsza, na poły tylko spójna myśl - wezwanie jedynych sióstr, na które mogła liczyć bezwarunkowo. Nikt w obozie nawet nie podejrzewał. Wszyscy wiedzieli, że była Amyrlin i jej była Opiekunka nienawidzą się wzajem w równym stopniu, jak Siuan nie znosiła wprowadzania w tajniki bycia Amyrlin swojej następczyni. Gdyby któraś siostra poznała prawdę, czekałaby je bardzo długa i bynajmniej nie lekka pokuta -Aes Sedai jeszcze mniej niż inni ludzie lubiły, gdy ktoś starał się je okpić; nawet władcom coś takiego nie uszłoby na sucho - ale dotychczas te dzielące je rzekome animozje dawały im niejakie wpływy u różnych sióstr, łącznie z Zasiadającymi. Jeżeli. obydwie mówiły to samo, wówczas pozostałe skłonne były dać temu wiarę. Ujarzmienie miało jeszcze jeden efekt uboczny, który okazał się bardzo użyteczny, a o którym nikt nie miał pojęcia. Nie obowiązywały ich już Trzy Przysięgi, mogły teraz łgać jak kupcy wełną.

Konszachty i oszustwa gdzie nie spojrzeć, z każdej strony. Obozowisko przypominało cuchnące bagno, w którym kiełkowały dziwaczne narośla, niewidoczne, bo skryte za mgłą. Może wszędzie, gdzie zbierały się Aes Sedai, sytuacja wyglądała tak samo. Po trzech tysiącach lat spiskowania, jakby ono nie było niezbędne, raczej nie dziwiło, że knucie stało się dla większości sióstr drugą naturą. Potworne natomiast

było to, że Egwene odkryła w sobie upodobanie do wszelkich machinacji. Nie dla nich samych, bawiły ją, bo traktowała je jak łamigłówki i to o wiele bardziej intrygujące od zwykłych powykręcanych kawałków żelaza. Wolała nie wiedzieć, jakie wynikają stąd wnioski odnośnie do jej natury. No cóż, była Aes Sedai, cokolwiek ktoś sobie myślał, i musiała przyjąć tego dobre i złe strony.

- Moghedien uciekła - ciągnęła dalej bez chwili przerwy. -Jakiś mężczyzna zdjął z niej a'dam. Mężczyzna, który potrafi przenosić. Moim zdaniem, jedno z tych dwojga zabrało naszyjnik; nie było go w namiocie, na ile mogłam się zorientować. Musi istnieć jakiś sposób na jego znalezienie za pomocą bransolety, ale jeżeli nawet, to ja go nie znam.

Oczywiście natychmiast straciły ochotę na zwykłe zaczepki. Leane, której nogi odmówiły posłuszeństwa, osunęła się niczym pusty worek na zydel, którego czasami używała Chesa. Siuan usiadła powoli na posłaniu, z bardzo sztywno wyprostowanymi plecami i rękoma ułożonymi nieruchomo na kolanach. Egwene, z jakiegoś absurdalnego powodu, zauważyła, że jest ubrana w suknię haftowaną w małe, niebieskie kwiatki, tworzące szeroki pas taireniańskiego labiryntu u samego dołu, dzięki któremu dzielone spódnice wyglądały jak całość, kiedy się nie ruszała. Jeszcze jeden taki pas zachodził kusząco na staniczek. Dbałość o to, by jej stroje były nie tylko stosowne, ale również piękne, stanowiła z pewnością drobną zmianę, jeśli spojrzeć na to z jednej strony - zwłaszcza że Siuan nie doprowadziła jej do przesady - z drugiej jednakże była czymś równie drastycznym jak jej twarz. I zagadkowym. Siuan nie znosiła zmian i wiecznie stawiała im opór. Wyjąwszy tę jedną.

Leane, ze swej strony, jak przystało na Aes Sedai, zaakceptowała zmiany. Stała się na powrót młodą kobietą - Egwene podsłuchała, jak pewna Żółta pokrzykiwała ze

zdumieniem, że na ile się orientuje, obie są w jak najodpowiedniejszym wieku do rodzenia dzieci - po której ani trochę nie było widać, że mogła być kiedyś Opiekunką albo posiadała inną twarz. Z uosobienia praktyczności i skuteczności stała się żywym ideałem leniwej i ponętnej Domani. Nawet suknię do konnej jazdy nosiła skrojoną na modłę obowiązującą w jej rodzinnym kraju, zupełnie nie zważając na fakt, że jedwab, tak cienki, iż nieledwie przezroczysty, jest równie niepraktyczny jak ten jasnozielony kolor, kiedy się podróżuje po zapylonych gościńcach. Dowiedziawszy się, że ujarzmienie niszczy wszelkie dotychczasowe więzi i zobowiązania, Leane wybrała dla siebie Zielone Ajah zamiast Błękitnych. Nigdy przedtem żadna siostra nie zmieniła Ajah, ale z kolei żadna też nie została ujarzmiona i Uzdrowiona. Siuan dla odmiany natychmiast powróciła do Błękitnych, zrzędząc na temat idiotycznej konieczności "pokornego dopraszania się akceptacji", jak to głosiła formuła.

- Och, Światłości! - wydyszała Leane, kiedy już osunęła się ciężko na zydel, bez śladu swojej zwykłej gracji. - Trzeba było ją postawić przed sądem już pierwszego dnia. Nie dowiedziałyśmy się od niej niczego, co byłoby warte jej wolności. Niczego! - Ta wypowiedź świadczyła o tym, jak jest wstrząśnięta; normalnie nie zwykła stwierdzać tego, co oczywiste. Ostatecznie, wbrew temu, na co wskazywało jej zachowanie, jej mózg nie uległ rozleniwieniu. Kobiety Domani były z pozoru rozmarzone i uwodzicielskie, ale znano je też powszechnie jako najbezwzględniejsze wśród kupców.

- Krew i przeklęte... ! Trzeba jej było pilnować - warknęła przez zęby Siuan.

Egwene uniosła brwi. Siuan musiała być równie wstrząśnięta jak Leane.

- A kto niby miał to robić? Siuan? Faolain? Theodrin? One nawet nie wiedzą, że należycie do mojego stronnictwa. - Stronnictwo? Pięć kobiet. Przy czym Faolain i

Theodrin raczej nie były jej najgorętszymi zwolenniczkami, zwłaszcza Faolain. Mogła, oczywiście, liczyć na Nynaeve i Elayne, a Birgitte z całą pewnością, nawet jeśli ta nie była Aes Sedai, ale one wszystkie znajdowały się daleko stąd. Dlatego przebiegłość i spryt nadal stanowiły jej najsilniejsze strony. A oprócz tego fakt, że nikt ich u niej nie podejrzewał. - Jak niby miałam komuś powiedzieć, że ma pilnować mojej pokojówki? I co by to dało, skoro już o tym mowa? To musiał być jeden z Przeklętych. Czy wy naprawdę uważacie, że Faolain i Theodrin, choćby we dwie, zdołałyby stawić mu opór? Nie jestem pewna, czy ja bym dała mu radę, nawet połączona z Romandą i Lelaine. - Były to dwie najsilniejsze kobiety w obozie, równie kompetentne w posługiwaniu się Mocą jak niegdyś Siuan.

Siuan z wyraźnym wysiłkiem pozbyła się krzywego grymasu, ale i tak nie powstrzymała parsknięcia. Często powtarzała, że skoro sama nie może już być Amyrlin, to w takim razie nauczy Egwene, jak być najlepszą Amyrlin wszech czasów, a jednak wyszło na to, że trudno się stać myszą pod miotłą, gdy kiedyś było się lwem na wzgórzu. Z tego właśnie powodu Egwene traktowała ją dość tolerancyjnie.

- Chcę, abyście obie rozpytały wśród ludzi znajdujących się najbliżej namiotu, w którym sypiała Moghedien. Ktoś na pewno zauważył tego mężczyznę. Musiał przyjść tu pieszo. Przecież każdy, kto by się odważył otworzyć bramę na tak niewielkiej przestrzeni, ryzykowałby, że przetnie Moghedien na dwie połowy.

Siuan parsknęła, jeszcze głośniej niż za pierwszym razem.

- A po co takie zachody? - warknęła. - Zamierzasz ją ścigać jak byle dureń z głupiej opowieści barda? A może tak zgarnąć wszystkich Przeklętych za jednym zamachem? I przy okazji wygrać Ostatnią Bitwę? Nawet gdybyśmy dysponowały ich szczegółowymi opisami, i tak nikt nie odróżni jednego Przeklętego od drugiego. A w

każdym razie nikt tutaj. To cholerna, najbardziej bezużyteczna beczka bebechów, jaką kiedykolwiek...

- Siuan! - skarciła ją Egwene, prostując się. Tolerancja to jedno, ale są jakieś granice. Czegoś takiego nie zdzierżyłaby nawet z ust Romandy.

Na policzkach Siuan powoli wykwitał rumieniec. Usilnie starała się opanować, miętosząc spódnice i unikając wzroku Egwene.

- Wybacz mi, Matko - powiedziała na koniec. Takim tonem, jakby naprawdę chciała przeprosić.

- Ma za sobą ciężki dzień, Matko - wtrąciła Leane z niecnym uśmiechem. W tych uśmiechach była wyjątkowo dobra, aczkolwiek zazwyczaj używała ich po to tylko, by jakiemuś mężczyźnie serce zaczęło bić szybciej. Nie z rozwiązłości, rzecz jasna; rozwagi i ostrożności miała aż za dużo. - Ale z kolei większość jej dni jest ciężka. Żeby jeszcze wyzbyła się tego obyczaju ciskania różnymi przedmiotami w Garetha Bryne'a za każdym razem, kiedy się zezłości...

- Dość! - warknęła Egwene. Leane próbowała tylko zdjąć z Siuan nieco presji, ale Egwene nie miała na to nastroju. - Chcę się dowiedzieć wszystkiego, czego się da, na temat mężczyzny, który uwolnił Moghedien, nawet jeśli to będzie tylko taka informacja, jak na przykład to, czy był wysoki czy niski. Każdy strzępek, dzięki któremu przestanie być cieniem, który zakradł się tu pod osłoną ciemności. O ile wolno mi o to prosić. - Leane siedziała zupełnie nieruchomo, wpatrzona w kwietny wzór na dywanie pod jej stopami.

Twarz Siuan niemal całkowicie pokrywał rumieniec; przy jej jasnej skórze wyglądało to jak zachód słońca.

- Ja... pokornie błagam cię o wybaczenie, Matko. -Tym razem to zabrzmiało

naprawdę błagalnie. Widać było, że patrzenie w oczy Egwene kosztuje ją wiele wysiłku. - Czasami trudno... Nie, żadnych wymówek. Pokornie dopraszam się wybaczenia.

Egwene przejechała palcem po stule, pozwalając, by sytuacja dojrzała i jednocześnie obserwowała Siuan bez zmrużenia oka. Było to coś, czego Siuan sama ją nauczyła, a mimo to po chwili tamta poruszyła się niespokojnie na pryczy. Milczenie kłuło, kiedy człowiek wiedział, że zawinił, a ukłucia dowodziły bezsprzecznie, że zawinił. Milczenie okazywało się często wielce użytecznym narzędziem.

- Jako że nie potrafię sobie przypomnieć, co takiego powinnam wybaczyć - powiedziała na koniec, cichym głosem - to w takim razie chyba nie ma takiej potrzeby. Ale, Siuan... Niech to się więcej nie powtarza.

- Dziękuję ci, Matko. - Kąciki ust Siuan wygiął ślad krzywego uśmieszku. - O ile wolno mi to stwierdzić, chyba dobrze cię wyuczyłam. A tak nawiasem mówiąc, czy mogę coś zasugerować...? - Czekała na niecierpliwe przytaknięcie Egwene. - Jedna z nas, bardzo nadąsana, że się ją przymusza do roli posłańca, powinna pójść z rozkazem od ciebie do Faolain albo Theodrin, że to one mają zadawać pytania. One sprowokują znacznie mniej komentarzy niż Leane albo ja. Wszyscy wiedzą, że są twoimi protegowanymi.

Egwene zgodziła się natychmiast. Nadal nie myślała jasno, bo inaczej sama by na to wpadła. Znowu naszło ją uczucie zwiastujące ból głowy. Zdaniem Chesy te bóle wynikały z niedostatecznej ilości snu, ale wszak trudno spać, kiedy głowa zdaje się napięta jak bęben. Musiałaby mieć większą głowę, żeby tak jej nie puchła od zgryzot. Cóż, przynajmniej teraz mogła ujawnić sekrety, dzięki którym dawało się ukryć Moghedien, czyli jak tkać przebrania z użyciem Mocy i jak ukrywać swoje

umiejętności przed innymi kobietami, które potrafią przenosić. Dotychczas ich ujawnienie wiązało się z ryzykiem, ponieważ mogłoby doprowadzić do zdemaskowania Moghedien.

"Jeszcze trochę poklasku" - pomyślała złośliwie. Ogłoszeniu utraconego sekretu Podróżowania, który przynajmniej odkryła na własną rękę, towarzyszyło moc pieszczot i pokrzykiwań, a potem jeszcze więcej pochwał otrzymywała za każdą tajemnicę, którą wywlekała z Moghedien z takim trudem, jakby wyrywała jej po kolei zęby. Niemniej jednak ten poklask ani na jotę nie zmienił jej pozycji. Można głaskać po głowie utalentowane dziecko i jednocześnie ani na chwilę nie zapominać, że jest ono tylko dzieckiem.

Leane dygnęła na odchodnym i suchym tonem stwierdziła, że wcale nie jest jej przykro, iż chociaż raz ktoś inny nie wyśpi się jak należy. Siuan zaczekała; nie należało dopuścić, by ktoś widział ją i Leane, jak wychodzą razem. Przez jakiś czas Egwene tylko się przyglądała drugiej kobiecie. Żadna się nie odezwała; Siuan jakby się zamyśliła. Na koniec jednakże wzdrygnęła się i wstała, wygładzając suknię i najwyraźniej zbierając się do odejścia.

- Siuan... - zaczęła powoli Egwene i stwierdziła, że nie bardzo wie, co teraz powiedzieć.

Siuan wydało się, że zgaduje, do czego Egwene zmierza.

- Miałaś nie tylko rację, Matko - oświadczyła, patrząc Egwene prosto w oczy - ale okazałaś też wyrozumiałość. Nadmierną wyrozumiałość, aczkolwiek to nie ja powinnam to powiedzieć. To ty jesteś Zasiadającą na Tronie Amyrlin i nikomu nie wolno traktować cię protekcjonalnie ani grubiańsko. Gdybyś wyznaczyła mi karę, za którą pożałowałaby mnie nawet Romanda, byłoby to dokładnie to, na co sobie

zasłużyłam.

- Przypomnę to sobie następnym razem - odparła Egwene i Siuan skłoniła głowę, jakby akceptowała jej decyzję. Może tak i było. Chyba że zmiany w niej zaszły głębiej, niż to się zdawało możliwe; prawie z całą pewnością musiało dojść do następnego razu i po nim do kolejnych. - Chcę natomiast zapytać o lorda Bryne'a. - Z twarzy Siuan znikł wszelki wyraz. - Czy jesteś pewna, że nie potrzebujesz mojej... interwencji?

- A czemu miałaby mi być potrzebna, Matko? - Głos Siuan był bardziej jałowy niż zimna zupa ugotowana na samej wodzie. - Nie mam innych obowiązków oprócz nauczania cię etykiety przynależnej twojemu stanowisku i przekazywania Sheriam raportów od agentek. - Zachowała część swojej dawnej siatki, aczkolwiek należało wątpić, czy ktokolwiek wiedział, do kogo obecnie wędrują sporządzane przez nią raporty. - Gareth Bryne raczej nie zajmuje mi tyle czasu, by wymagało to interwencji.

- Niemal zawsze odnosiła się do niego w taki sposób, a kiedy mówiąc o nim, posługiwała się tytułem, wymawiała go nadzwyczaj złośliwie.

- Siuan, jedna spalona stodoła i kilka krów nie mogło kosztować aż tyle. -Nie, jeśli się to porównało z opłaceniem i nakarmieniem wszystkich żołnierzy, to na pewno. Ale już raz kiedyś proponowała i zawsze słyszała taką samą wymuszoną odpowiedź.

- Dziękuję ci, Matko, ale nie. Nie dopuszczę, by on rozpowiadał, że złamałam dane słowo, i przysięgam, że odpracuję swój dług. - Siuan ni stąd, ni zowąd wybuchnęła śmiechem i wyraźnie się rozluźniła, co zdarzało jej się rzadko, kiedy mówiła o lordzie Bryne. Na ogół krzywiła się ponuro. -Jeżeli już musisz się martwić o kogoś, to martw się o niego, a nie o mnie. Ja nie potrzebuję pomocy przy obsługiwaniu Garetha Bryne'a.

To ostatnie zabrzmiało dziwnie. Była wprawdzie słaba we władaniu Jedyną Mocą, ale nie aż tak słaba, by nadal wykonywać rolę jego służki i spędzać całe godziny na praniu koszul oraz bielizny. Niewykluczone, że robiła to po to, by stale mieć pod ręką kogoś, na kim mogłaby wyładować swój krewki temperament, zazwyczaj z konieczności trzymany w ryzach. Niemniej jednak, niezależnie od powodu, dostarczała pretekstów do gadania i potwierdzała swoją odmienność w oczach wielu; była Aes Sedai, ostatecznie, nawet jeśli jedną z gorszych. On zaś swymi metodami radzenia sobie z jej temperamentem - przynajmniej wtedy, gdy rzucała w niego talerzami i butami - rozwścieczał ją i prowokował pogróżki o straszliwych konsekwencjach, a jednak, mimo iż mogła go tak opakować w Moc, że nie ruszyłby nawet palcem, ani razu nie użyła przy nim saidara, ani po to, by pomóc sobie w codziennych posługach, ani nawet wtedy, gdy groziło jej, że przełoży ją przez kolano. Ten fakt jakoś ukrywała przed większością, ale pewne rzeczy wychodziły na jaw, kiedy Siuan popadała w złość albo kiedy Leane miała dobry humor. Zdawało się, że nie ma jak tego wytłumaczyć. Siuan nie zaliczała się do osób słabych duchem, nie była też ani głupia, ani potulna, ani bojaźliwa, nie była...

- Właściwie możesz już iść, Siuan. - Wychodziło na to, że tej nocy niektóre zagadki nie zostaną jednak rozwiązane. - Jest późno i wiem, że chcesz już się położyć.

- Tak, Matko. I dziękuję ci - dodała, aczkolwiek Egwene nie umiałaby powiedzieć za co.

Po wyjściu Siuan Egwene po raz kolejny rozmasowała sobie skronie. Miała ochotę rozprostować nogi. Namiot się do tego nie nadawał; niby największy w obozie z zajmowanych przez jedną osobę, ale i tak jego przestrzeń była cała zastawiona przez posłanie, krzesło, zydel, umywalkę, lustro stojące i aż trzy skrzynie pełne ubrań.

Obfitość tych ostatnich była dziełem Chesy, a także Sheriam, Romandy, Lelaine i kilku jeszcze Zasiadających. Nie przestawały zresztą dbać o stan jej garderoby; kolejna jedwabna koszula albo pończochy w prezencie, jeszcze jedna suknia, tak paradna jak na audiencję króla, a będzie potrzebna czwarta skrzynia. Może Sheriam i Zasiadające miały nadzieję, że wszystkie te wspaniałe stroje uczynią ją ślepą na całą resztę, ale Chesa uważała, że Zasiadająca na Tronie Amyrlin powinna być ubrana stosownie do swojej pozycji. Służba, jak się zdawało, wierzyła w spełnianie właściwych rytuałów tak samo jak niegdyś Komnata. Niebawem przyjdzie Selame; tego dnia była jej kolej na rozebranie Egwene do snu-kolejny rytuał. Tyle że ona, z jej obolałą głową i niespokojnymi stopami, nie była jeszcze gotowa się kłaść.

Pozostawiwszy lampy zapalone, wyszła pospiesznie z namiotu, korzystając z tego, że Selame jeszcze nie przyszła. Spacer mógł jej pomóc w rozjaśnieniu myśli i być może dostatecznie ją zmęczy, by mogła mocno zasnąć. Zasypianie nie stanowiło problemu - spacerujące po snach Mądre nauczyły ją zawczasu tej umiejętności - ale znajdowanie we śnie odpoczynku to była całkiem inna sprawa. Zwłaszcza, kiedy w myślach aż jej się gotowało od całej listy zmartwień, na początku której znajdowały się Romanda, Lelaine i Sheriam, a dalej Rand, Elaida, Moghedien, pogoda i tak dalej, bez końca.

Unikała okolic namiotu Moghedien. Gdyby sama zadawała pytania, nadałaby zbytniej wagi ucieczce służącej. Ostrożność stała się jej nieodłączną cechą, bo gra, w której brała udział, nie pozwalała na częste omyłki, a brak uwagi tam, gdzie się sądziło, że to nie ma znaczenia, mógł doprowadzić do wytworzenia się nawyku nieuwagi tam, gdzie to się naprawdę liczyło. "Słabi powinni zachować ostrożność przy demonstrowaniu odwagi". Tego też nauczyła ją Siuan, która naprawdę się starała i tę

akurat grę znała bardzo dobrze.

Po zalanym księżycową poświatą obozie kręciło się teraz znacznie mniej ludzi; niektórzy siedzieli przy niewielkich ogniskach, wyczerpani wieczornymi pracami po ciężkiej, całodniowej podróży. Ci, którzy ją zauważali, wstawali znużeni, kłaniali się i mruczeli: "Oby cię Światłość opromieniła, Matko" albo coś podobnego, co jakiś czas prosząc o jej błogosławieństwo, na co ona odpowiadała prostym: "Oby cię Światłość opromieniła, dziecko". Mężczyźni i kobiety w takim wieku, że mogli być jej dziadkami, po czymś takim siadali rozradowani, a mimo to zastanawiała się, co tak naprawdę o niej myślą, co wiedzą. Wszystkie Aes Sedai tworzyły lity front przeciwko całemu zewnętrznemu światu, nawet przeciwko swoim służącym. Z drugiej zaś strony Siuan powiedziała: jeśli uważasz, że sługa wie dwa razy tyle, ile powinien, to znasz tylko połowę prawdy. A jednak te ukłony, te dygania i pomruki towarzyszyły jej po drodze od jednej grupy ludzi do drugiej, krzepiąc ją nadzieją, że są jeszcze jacyś ludzie, którzy nie uważają jej za dziecko wykorzystywane przez Komnatę.

Szła akurat przez otwartą przestrzeń wytyczoną przez sznury przywiązane do palików wbitych w ziemię, gdy srebrny błysk przeciął ciemność; otwarta w tej samej chwili brama obróciła się i otworzyła. Nie było to tak naprawdę światło, gdyż nie rzucało cienia. Zatrzymała się tuż za narożnym słupkiem, żeby się przypatrzeć. Nikt przy pobliskich ogniskach nawet nie podniósł głowy, już się przyzwyczaili do takich widoków. Z bramy wysypał się tuzin albo i więcej sióstr, dwa razy tyle służących i kilku Strażników; wracali z wieściami i wiklinowymi koszami, w których trzymali gołębie wyhodowane w Salidarze, położonym na południowym zachodzie w odległości dobrych pięciuset mil.

Brama jeszcze się nie zamknęła na dobre, a one już się rozchodziły we wszystkie

strony, niosąc swe ciężary do Zasiadających, do swoich Ajah, kilka do własnych namiotów. Na ogół towarzyszyła im Siuan; rzadko kiedy ufała komuś do tego stopnia, by posyłać inne osoby po przeznaczone dla niej wieści, nawet jeśli większość była spisana szyfrem. Czasami zdawało się, że na świecie jest więcej siatek szpiegowskich niż samych Aes Sedai, aczkolwiek spora ich liczba w rezultacie najrozmaitszych okoliczności została poważnie okrojona. Większość agentek działających z ramienia poszczególnych Ajah najwyraźniej starała się nie zdradzać, dopóki "trudności" w Białej Wieży nie skończą się, a całkiem sporo agentek poszczególnych sióstr nie miało pojęcia, gdzie aktualnie znajduje się kobieta, której służą.

Kilku Strażników dostrzegło Egwene i starannie się jej ukłoniło, okazując szacunek stosowny dla stuły; siostry mogły popatrywać na nią z ukosa, ale to Komnata wyniosła ją na Tron Amyrlin i Gaidinowie nie potrzebowali niczego więcej. Służba kłaniała się i dygała. Żadna z Aes Sedai śpiesznie opuszczających bramę nawet nie spojrzała w jej kierunku. Może po prostu jej nie zauważyły. Może.

Fakt, że w ogóle którakolwiek mogła utrzymywać kontakty ze swoimi agentkami, pod pewnym względem stanowił "prezent'' od Moghedien. Te siostry, które dysponowały poziomem siły wystarczającym do tworzenia bram, przebywały w Salidarze dostatecznie długo, by dobrze poznać wioskę. Te, które potrafiły utkać bramę użytecznych rozmiarów, mogły Podróżować niemal wszędzie z Salidaru i trafiać od razu tam, gdzie trzeba. Niemniej jednak próba Podróżowania do Salidaru, nowego obozu, równałaby się spędzaniu połowy nocy albo i dłużej na rozpoznawaniu każdorazowo najdrobniejszych szczegółów nowego, ogrodzonego sznurami terenu. Informacje, które Egwene wydobyła od Moghedien, dotyczyły wypraw z miejsca, którego nie znało się dobrze, do miejsca, które się znało. Przemykanie, wolniejsze od

Podróżowania, nie zaliczało się do utraconych Talentów - nikt w ogóle o nim nigdy nie słyszał - dlatego więc nawet ten termin przypisywano Egwene. Każdy, kto potrafił Podróżować, znał się też na Przemykaniu, toteż siostry co noc Przemykały do Salidaru, gdzie sprawdzały gołębniki z ptakami, a potem Podróżowały z powrotem. Taki widok powinien sprawić jej przyjemność - zbuntowane Aes Sedai posiadały te Talenty, które w przekonaniu Białej Wieży zostały utracone na zawsze, a oprócz nich wciąż poznawały nowe. Wszystko to razem miało kosztować Elaidę utratę Tronu Amyrlin, zanim się cała rzecz dokona, a jednak zamiast satysfakcji, Egwene poczuła gorycz. Afront ze strony sióstr nie miał z tym nic wspólnego, a w każdym razie niewiele. W miarę jak szła dalej, odstępy między ogniskami stawały się coraz to większe, aż wreszcie wszystkie łuny zbladły za nią; otaczały ją teraz ciemne bryły wozów, przeważnie nakrytych płóciennymi plandekami rozpiętymi na żelaznych obręczach i namioty jaśniejące blado w świetle księżyca. Za tym wszystkim ogniska w obozowisku armii wspinały się na okoliczne wzgórza, podobne do gwiazd ściągniętych na ziemię. Cisza od strony Caemlyn, cokolwiek o niej myśleli inni, sprawiała, że ściskał jej się żołądek.

W dniu, w którym opuścili Salidar, przyszedł list, aczkolwiek Sheriam raczyła go jej pokazać zaledwie przed kilkoma dniami i z wielokrotnie powtarzanym ostrzeżeniem, że jego treść winna być zachowana w tajemnicy. Komnata wiedziała, ale poza nią nikt inny nie musiał. Jeszcze jedna tajemnica oprócz tych dziesięciu tysięcy innych, które niczym plaga nawiedzały ich obóz. Egwene była pewna, że tego listu nigdy by nie zobaczyła na własne oczy, gdyby stale nie zabiegała o sprawy Randa. Spamiętała wszystkie starannie dobrane słowa, spisane drobną dłonią na papierze tak cienkim, że dziw brał, iż pióro nie przedarło go na wylot.

“Rozgościłyśmy się na dobre w oberży, o której rozmawiałyśmy i spotkałyśmy się też z kupcem wełną. To zaiste niezwykły młodzieniec, dokładnie tak, jak mówiła Nynaeve. A jednak okazał się dworny. Moim zdaniem, obawia się nas, co działa tylko na naszą korzyść. Pójdzie dobrze.

Być może słyszałyście pogłoski o tutejszych mężczyznach, wliczając w to pewnego jegomościa z Saldaei. Obawiam się, iż są one aż nadto prawdziwe, ale dotąd żadnego nie spotkałyśmy i będziemy ich unikać, jak się tylko da. Kiedy człowiek ściga dwa zające, to uciekają mu oba.

Są tu Verin z Alanną, towarzyszy im liczna grupa młodych kobiet z tych samych okolic co kupiec wełną. Będę się starała podesłać je wam na przeszkolenie. Alanna znalazła punkt zaczepienia u kupca wełną, który może się okazać użyteczny, aczkolwiek może też nastręczyć kłopotów. Poza tym wszystko pójdzie dobrze, jestem tego pewna.

Merana”.

Sheriam podkreśliła, że jej zdaniem to dobre wieści. Merana, doświadczona negocjatorka, dotarła do Caemlyn i została dobrze przyjęta przez Randa, czyli “kupca wełną”. Sheriam uważała wręcz, że to wspaniałe wieści. A Verin i Alanna wiozą do nich dziewczęta z Dwu Rzek, które mają zostać nowicjuszkami. Sheriam była przekonana, że podążają tą samą drogą, którą oni się kierowali i spodziewała się nawet, że Egwene będzie cała promieniała w oczekiwaniu na twarze z rodzinnych okolic. Merana poradzi sobie z wszystkim. Merana wiedziała, co robi.

- To wiadro końskiego potu - mruknęła Egwene w nocny mrok. Jakiś szczerbaty osobnik, który niósł wielkie drewniane wiadro, wzdrygnął się i zagapił na nią, tak zdumiony, że aż zapomniał się ukłonić.

Rand i dworskie maniery? Była świadkiem jego pierwszego spotkania z Coiren Saeldain, emisariuszką Elaidy. "Arogancki", oto słowo, które go najlepiej określało. Niby czemu miałby inaczej traktować Meranę? A tymczasem Merana sądziła, że on się boi i uważała, że tak jest dobrze. Rand rzadko kiedy się czegoś bał, nawet wtedy, kiedy miał ku temu powody i jeżeli bał się teraz, to Merana powinna pamiętać, że najłagodniejszy mężczyzna potrafi stać się niebezpieczny pod wpływem strachu, pamiętać, że Rand jest niebezpieczny już przez to, kim jest. I co to za punkt zaczepienia stworzony przez Alannę? Egwene nie do końca ufała Alannie. Ta kobieta robiła niekiedy nadzwyczaj dziwne rzeczy, może wiedziona impulsem, a może jakimiś głębszymi motywami. Egwene nie zdziwiłaby się, gdyby jakoś wślizgnęła mu się do łóżka; w rękach takiej kobiety stałby się miękki jak glina. Elayne skręciłaby jej wtedy kark, ale to jeszcze nie byłoby takie najgorsze. Najgorsze z wszystkiego było to, że w gołębnikach Salidaru nie pojawiły się już żadne inne gołębie od Merany.

Merana na pewno miała jakieś wieści do przesłania, choćby tylko tyle, że razem z pozostałymi uczestniczkami misji poselskiej udała się do Cairhien. Mądre ostatnimi czasy nie chciały już informować Egwene o niczym prócz tego, że Rand jeszcze żyje, a jednak, na ile potrafiła coś wywnioskować, przeniósł się właśnie do Cairhien, gdzie najwyraźniej przyczaił się na jakiś czas. Co należało potraktować jak znak ostrzegawczy. Tymczasem Sheriam patrzyła na to inaczej. Kto wie, dlaczego mężczyzna robi to, co robi? Nie wiedział tego prawdopodobnie nawet on sam, a gdy szło o takiego, który potrafił przenosić... Milczenie dowodziło, że wszystko idzie dobrze; Merana na pewno doniosłaby o wszelkich poważniejszych trudnościach. Zapewne jest teraz w drodze do Cairhien, o ile już tam nie dotarła, więc nie istniała potrzeba przysyłania kolejnych raportów, dopóki nie będzie mogła donieść o sukcesie.

A skoro o tym mowa, już samą obecność Randa w Cairhien należało traktować jako swoisty sukces. Jednym z zadań Merany, nawet jeśli nie najważniejszym, było nakłonienie go do opuszczenia Caemlyn, dzięki czemu Elayne mogłaby tam bezpiecznie wrócić i zasiąść na Tronie Lwa, a wówczas groźba ze strony Cairhien przestałaby istnieć. Zdawało się to nieprawdopodobne, a jednak Mądre twierdziły, że Coiren i jej misja znajdują się w drodze powrotnej do Tar Valon. A może to wcale nie było takie nieprawdopodobne. To wszystko miało jakiś sens, jeśli się wzięło pod uwagę Randa, jeśli się wzięło pod uwagę metody postępowania Aes Sedai. A mimo to Egwene uważała, że coś tu... jest nie tak.

- Muszę do niego jechać - mruknęła. Jedna godzina i wszystko się wyjaśni. A poza tym, pomijając wszystko, to przecież nadal był Rand. - Nie pozostaje nic innego. Muszę do niego jechać.

- To niemożliwe, sama wiesz.

Gdyby Egwene nie wzięła się w garść, podskoczyłaby na wysokość stopy. A jednak serce jej waliło nawet wtedy, gdy już spostrzegła w świetle księżyca sylwetkę Leane.

- Myślałam, że to... - zaczęła, nim zdążyła się pohamować, i w ostatniej chwili udało jej się nie wymówić imienia Moghedien.

Wyższa kobieta zrównała z nią krok, ostrożnie się rozglądając, czy nie obserwują ich inne siostry. Leane nie dysponowała taką wymówką jak Siuan, by móc jej dotrzymywać towarzystwa. Nie żeby to im musiało jakoś zaszkodzić, gdyby zobaczono je razem, ale...

“Nie musi” nie zawsze oznacza, że “nie spowoduje” -przypomniała sobie Egwene. Zsunąwszy stułę z ramion, złożyła ją i niosła w jednym ręku. Na pierwszy

rzut oka, z pewnej odległości, Leane dałoby się uznać za Przyjętą mimo sukni; wielu Przyjętym brakowało dostatecznej liczby białych sukni ozdobionych paskami, by mogły przez cały czas je nosić. Z daleka również Egwene mogła zostać uznana za Przyjętą. Nie była to specjalnie kojąca myśl.

- Theodrin i Faolain wypytują ludzi w pobliżu namiotu "Marigan", Matko. Nie były specjalnie zachwycone. A ja pięknie się dąsałam, że każesz mi biegać z posłaniami; tak jak obiecałam. Theodrin musiała powstrzymać Faolain, która chciała mnie za to zrugać. - Leane roześmiała się cicho: Sytuacje, w których Siuan zgrzytała zębami, ją zazwyczaj bawiły. Była lubiana przez większość sióstr za to, że potrafiła się przystosować do każdej nowej sytuacji.

- I bardzo dobrze - odparła roztargnionym głosem Egwene. - Merana zrobiła coś złego, Leane, bo inaczej on nie siedziałby w Cairhien, a ona by nie milczała. - W oddali jakiś pies zawył do księżyca, potem zawtórowały mu inne, po czym nagle uciszyły je okrzyki, których treść, być może na szczęście, nie całkiem zrozumiała. Wielu żołnierzy ciągnęło za sobą psy; w obozie Aes Sedai nie było żadnych. Dowolna liczba kotów, za to żadnych psów.

- Merana wie, co robi, Matko. - Zabrzmiało to niemalże jak westchnienie. Leane i Siuan zgadzały się z Sheriam. Wszyscy się z nią zgadzali, z wyjątkiem Egwene. - Kiedy obarczasz kogoś jakimś zadaniem, musisz darzyć go zaufaniem.

Egwene pociągnęła nosem i skrzyżowała ręce na piersi.

- Leane, ten mężczyzna potrafiłby wykrzesać iskry z wilgotnej tkaniny, gdyby ta nosiła szal. Nie znam Merany, ale w życiu nie widziałam Aes Sedai, którą można by porównać do wilgotnej tkaniny.

- A ja kilka takich poznałam - zachichotała Leane. Tym razem z całą pewnością

westchnęła. - Ale Merana do nich nie należy,, to prawda. Czy on naprawdę uważa, że ma przyjaciółki w Wieży? Alviarin? Coś takiego utrudniłoby Meranie kontakt z nim, ale raczej nie wyobrażam sobie, by Alviarin zrobiła cośkolwiek, co groziłoby utratą stanowiska. Zawsze była niezwykle ambitna.

- On twierdzi, że ma list od niej. - Nadal miała przed oczyma Randa napawającego się listami od Elaidy i Alviarin, jeszcze przed jej wyjazdem z Cairhien. - Może przez te ambicje wydaje jej się, że będzie mogła zastąpić Elaidę, jeśli on stanie u jej boku. O ile rzeczywiście to napisała, o ile taki list w ogóle istnieje. Jemu się wydaje, że jest sprytny, Leane... może zresztą jest... ale poza tym jest też przekonany, że nikogo nie potrzebuje. - Rand będzie uparcie myślał, że świetnie sobie poradzi z każdym problemem, aż w końcu któryś z nich go zmiażdży. - Znam go na wylot, Leane. Jest skażony od przebywania w obecności Mądrych, jak mi się zdaje, a może to one są skażone przez niego. Cokolwiek myślą Zasiadające, cokolwiek myśli którakolwiek z was, szal Aes Sedai nie robi na nim wrażenia, podobnie jak na Mądrych. Prędzej lub później tak rozdrażni jakąś siostrę, że ta postanowi coś z tym zrobić, albo któraś z nich popchnie go w niewłaściwą stronę, nie zdając sobie sprawy, jaki jest silny i jaki ma teraz temperament. Potem być może nie będzie żadnego odwrotu. Jestem jedyną, która może się z nim bezpiecznie kontaktować. Jedyną.

- On chyba nie może być równie... irytujący... jak te kobiety Aielów - mruknęła kwaśnym tonem Leane. Nawet ona uważała, że jej przejścia z Mądrymi trudno poczytywać za zabawne. - Ale to raczej nie ma znaczenia. "Zasiadająca na Tronie Amyrlin traktowana na równi z samą Białą Wieżą..."

Między namiotami pojawiły się jakieś dwie kobiety, szły powoli i rozmawiały. Odległość i cienie zamazywały ich twarze, ale ruchy wskazywały niezbicie, że to Aes

Sedai, absolutnie przekonane, że nic zaczajonego w mroku nie jest w stanie im zagrozić. Żadna Przyjęta, nawet ta, która już niebawem miała zostać wyniesiona do szala, nie zdobyłaby się na taką swobodę. A już z pewnością nie Królowa z armią za plecami. Szły w stronę Egwene i Leane. Leane prędko skręciła w głębszą ciemność między dwoma wozami.

Krzywiąc się z frustracji, Egwene niemal wywlokła ją stamtąd siłą, i pomaszerowały dalej. A niech wszystko wyjdzie na jaw. Stanie przed Komnatą i powie im, że już czas, by do nich dotarło, że stuła Amyrlin to coś więcej niźli tylko piękny szalik. I powie też... Podążając śladem Leane, dała jej znak, że ma iść dalej. Na pewno nie wyrzuci wszystkiego do gnojówki w napadzie trwogi.

Tylko jedno prawo Wieży ograniczało władzę Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Garść irytujących obyczajów, mnóstwo niewygodnych faktów i tylko jedno prawo; nie mogło jednak być dla niej mniej sprzyjające. "Zasiadająca na Tronie Amyrlin traktowana na równi z samą Białą Wieżą, jako samo serce Białej Wieży, nie może narażać się na niebezpieczeństwo, o ile nie zajdzie taka konieczność, a zatem dopóki Biała Wieża nie znajdzie się w stanie wojny wypowiedzianej przez Komnatę Wieży, Zasiadająca na Tronie Amyrlin będzie dążyła do uzyskania zgody mniejszości ze strony Komnaty Wieży, zanim rozmyślnie stanie na

drodze

jakiemuś

niebezpieczeństwu i wypełni wszelkie warunki, jakie narzuci jej owa mniejszość przy wyrażaniu swej zgody". Egwene nie miała pojęcia, jaki wypadek, spowodowany przez jaką Amyrlin zainspirował powstanie tego prawa, ale obowiązywało już od jakichś dwu tysięcy lat. Dla większości Aes Sedai wszelkie prawo tak stare nabierało aury świętości; jego zmiana była czymś nie do pomyślenia.

Romanda zacytowała to... to przeklęte prawo takim tonem, jakby pouczała jakiegoś półgłówka. Skoro nie było wolno dopuszczać Dziedziczki Tronu Andor na odległość stu mil do Smoka Odrodzonego, to w takim razie o ileż bardziej musiały chronić Zasiadającą na Tronie Amyrlin. W głosie Lelaine niemalże słyszało się żal, najprawdopodobniej dlatego, że musiała poprzeć Romandę. Im dwóm warzyły się języki w tego typu sytuacjach. Bez nich, bez nich obu, uzyskanie zgody mniejszości było równie nieosiągalne jak zgoda większości. Światłości, nawet wypowiedzenie wojny wymagało niby tylko zgody mniejszości! Skoro więc nie mogła uzyskać pozwolenia...

Leane chrząknęła.

- Nie zdziałasz wiele, jeśli udasz się do niego w sekrecie, Matko, a poza tym Komnata się dowie, prędzej czy później. Przekonasz się potem, że będzie ci trudno znaleźć godzinę dla siebie bez czyjegoś towarzystwa. Nie znaczy to, że ośmielą się trzymać cię pod strażą, ale już one mają swoje sposoby. Potrafię zacytować przykłady z... pewnych źródeł. - Nigdy nie wspominała o tajnych dokumentach, jeżeli nie były otoczone zabezpieczeniami przeciwko podsłuchowi.

- Czy ja jestem aż taka łatwa do przejrzenia? - spytała po chwili Egwene. Wokół

nich były tylko wozy, a pod wozami ciemne kopczyki śpiących tam woźniców, pomocników i wszystkich innych ludzi potrzebnych do tego, by tak wielki tabor mógł jechać dalej. Niezwykłe, że ponad trzysta Aes Sedai potrzebowało tak wielu udogodnień, podczas gdy zaledwie kilka godziło się przejechać bodaj milę na wozie albo furze. Ale pozostawały jeszcze namioty, meble, jedzenie i tysiące rzeczy potrzebnych do życia siostrom i ich służbie. Najgłośniejszymi dźwiękami było chrapanie i kumkanie żab.

- Nie, Matko - zaśmiała się cicho Leane. - Ale właśnie się zastanawiałam, co ja bym zrobiła. Powszechnie jednak wiadomo, że utraciłam całą swoją godność i rozsądek; Zasiadająca na Tronie Amyrlin raczej nie może brać ze mnie przykładu. Myślę, że powinnaś pozwolić młodemu panu al'Thorowi chodzić sobie, dokąd chce, przynajmniej przez jakiś czas, a póki co oskubać tę gęś, którą masz przed sobą.

- Jego droga prowadzi wprost do Szczeliny Zagłady - mruknęła Egwene, ale nie był to argument w sporze. Musiał istnieć jakiś sposób na to, żeby oskubać gęś i jednocześnie nadal chronić Randa przed popełnianiem niebezpiecznych błędów, ale na razie go nie widziała. Rozlegające się chrapanie brzmiało tak, jakby sto pił przecinało kłody pełne sęków. - W życiu nie widziałam gorszego miejsca na uspokajające spacery. Chyba lepiej zrobię, jeśli pójdę się położyć.

Leane przekrzywiła głowę.

- W takim razie, Matko, jeżeli mi wybaczysz, jest pewien mężczyzna w obozie lorda Bryne'a... Ostatecznie, czy kto kiedy słyszał o Zielonej, która by nie miała ani jednego Strażnika? - Słysząc to nagłe przyspieszenie kadencji głosu, człowiek mógł pomyśleć, że Leane udaje się na schadzkę z kochankiem. Jeżeli wziąć pod uwagę to, co Egwene słyszała na temat Zielonych, być może między jednym a drugim nie było

wcale aż tak wielkiej różnicy.

Ostatnie ogniska wśród namiotów zostały już przysypane ziemią; nikt nie chciał ryzykować, że zaprószy ogień, kiedy cała okolica wyschnięta była na wiór. Nieliczne smugi dymu unosiły się leniwie w świetle księżyca tam, gdzie ta praca została wykonana niedbale. W którymś z namiotów jakiś mężczyzna mamrotał przez sen, a tu i tam słychać było kaszel albo czyjeś chrapanie, ale w zasadzie w obozie panowała cisza i bezruch. Dlatego właśnie Egwene zdziwiła się, gdy z cienia wyłoniła się jakaś postać, i to odziana w białą suknię nowicjuszki.

- Matko, muszę z tobą porozmawiać.

- Nicola? - Egwene starała się kojarzyć imiona z twarzami wszystkich nowicjuszek, co było dość trudne, ponieważ siostry przez całą drogę polowały na dziewczęta i młode kobiety, które mogły się uczyć. O aktywnych poszukiwaniach nadal nie myślało się dobrze - zgodnie z obyczajem należało zaczekać, aż dziewczyna sama poprosi, a jeszcze lepiej zaczekać, aż sama przybędzie do Wieży - a mimo to w obozie pobierało nauki dziesięć razy tyle nowicjuszek co w Białej Wieży przez całe lata. Nicola jednakże wbiła jej się w pamięć, a poza tym Egwene często zauważała, że ta młoda kobieta jej się przypatruje. - Tiana nie będzie zadowolona, gdy się dowie, że o tak późnej porze jesteś jeszcze na nogach. -Tiana Noselle była Mistrzynią Nowicjuszek, znaną zarówno ze swego uspokajającego ramienia, kiedy nowicjuszka musiała się wypłakać, jak i nieugiętego stanowiska, kiedy przychodziło do egzekwowania zasad. Druga kobieta przestąpiła z nogi na nogę, jakby chciała uciec, a potem wyprostowała się. Na jej policzkach lśnił pot. Nocą było chłodniej niż za dnia, ale nadal parno, a prostą sztuczkę z ignorowaniem gorąca albo zimna nabywało się dopiero razem z szalem.

- Wiem, że powinnam poprosić o widzenie z Tianą Sedai i potem zabiegać o zgodę na widzenie z tobą, Matko, ale ona nigdy by nie pozwoliła nowicjuszce zbliżyć się do Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

- O co ci chodzi, dziecko?- spytała Egwene. Ta kobieta była od niej starsza o co najmniej sześć albo siedem lat, ale tak właśnie należało się zwracać do nowicjuszki.

Nicola, bawiąc się fałdami spódnicy, podeszła bliżej. Wielkie oczy spojrzały na Egwene trochę jakby zanadto bezpośrednio niźli przystoi nowicjuszce.

- Matko, chciałabym się rozwinąć najmocniej jak się da. - Skubała fałdy sukni, ale głos miała chłodny i opanowany, stosowny dla Aes Sedai. - Nie powiem, że one mnie hamują, ale jestem pewna, że mogłabym stać się silniejsza niż mówią. Po prostu to wiem. Ciebie nigdy nie ograniczano, Matko. Nikt nigdy nie nabył tyle siły tak szybko jak ty, Matko. Ja tylko proszę o taką samą szansę.

W cieniu za plecami Nicoli coś się poruszyło i pokazała się jeszcze jedna kobieta o spoconej twarzy, dla odmiany odziana w krótki kaftanik, szerokie spodnie, z łukiem w ręku. Włosy splecione w warkocz sięgały jej aż do pasa, na nogach zaś miała krótkie botki z podwyższonymi obcasikami.

Nicola Treehill i Areina Nermasiv stanowiły dziwną parę przyjaciółek.

Podobnie jak wiele starszych nowicjuszek - obecnie poddawano sprawdzianom nawet kobiety starsze o dziesięć lat od Egwene, aczkolwiek niejedna siostra nadal narzekała, że taki wiek kłóci się z dyscypliną obowiązującą nowicjuszki - Nicola była równie zapalczywa w swym pragnieniu zdobywania wiedzy i wśród żyjących Aes Sedai miała potencjał mniejszy jedynie od Nynaeve, Elayne i Egwene. W rzeczy samej robiła wielkie postępy, często tak duże, że jej nauczycielki musiały ją hamować. Niektóre twierdziły, że uczy się niektórych splotów tak, jakby już je znała. Mało tego;

zademonstrowała również dwa Talenty, aczkolwiek umiejętność "widzenia" ta'veren była pośledniejsza, podczas gdy główny Talent, Przepowiadanie, ujawniał się w taki sposób, że nikt nie rozumiał, co Przepowiedziała. Ona sama nie pamiętała ani jednego słowa. Sumując to wszystko, Nicola już została wyróżniona przez siostry jako ktoś, kogo trzeba obserwować mimo spóźnionego startu. I to właśnie ona stanowiła powód, dla którego niechętnie wyrażono zgodę na poddawanie sprawdzianom kobiety starsze niż siedemnasto- albo osiemnastoletnie.

Areina z kolei była uczestniczką Polowania na Róg, która junaczyła się zupełnie jak mężczyzna, rozpowiadając wszem wobec o przygodach, które przeżyła i które dopiero miała przeżyć, wszystko to w czasie, kiedy nie ćwiczyła władania łukiem. Tę broń najprawdopodobniej wybrała wzorem Birgitte, wraz z jej sposobem ubierania się. Zdawała się nie interesować niczym innym oprócz tego łuku, aczkolwiek w przeszłości zdarzało jej się również flirtować i to w dość rozwiązły sposób. Być może długie dni spędzone w drodze i zmęczenie sprawiły, że obecnie odeszła jej na to ochota, aczkolwiek łucznictwa się nie wyrzekła. Egwene nie pojmowała, dlaczego nadal z nimi podróżuje; Areina raczej nie mogła wierzyć, że znajdzie Róg Valere podczas ich wyprawy, a z całą pewnością nie miała najmniejszych powodów do podejrzeń, że spoczywa ukryty w Białej Wieży. Bardzo niewielu ludzi o tym wiedziało. Egwene nie była pewna, czy wie o tym sama Elaida.

Egwene uważała Areinę za pozerkę i idiotkę, ale do Nicoli czuła niejaką sympatię. Rozumiała, skąd się bierze jej niezadowolenie, rozumiała, dlaczego chce wszystko wiedzieć już teraz. Ona sama też kiedyś taka była. Może wciąż jeszcze jest.

- Nicola - powiedziała łagodnym głosem - wszyscy mamy ograniczenia. Ja, na przykład, nigdy nie dorównam Nynaeve Sedai, i to w niczym, cokolwiek robię.

- Ale gdyby tylko dano mi szansę, Matko. - Nicola załamała ręce w błagalnym geście i było też słychać błaganie w jej głosie, a jednak patrzyła śmiało w oczy Egwene.

- Taką samą szansę, jaką ty miałaś, Matko.

- To, co ja robiłam, bo nie miałam innego wyboru, bo nie znałam innego sposobu, nazywa się forsowaniem, Nicola, i to jest coś niebezpiecznego. - Nie słyszała wcześniej tego terminu, dopóki Siuan nie przeprosiła, że robiła to z nią; to był jedyny raz, kiedy Siuan szczerze wyraziła skruchę. - Wiesz, że jeśli przenosisz więcej saidara niż jesteś w stanie, ryzykujesz, że się wypalisz, zanim zdążysz dojść do rozkwitu własnych sił. Najlepiej zacznij się uczyć cierpliwości. Siostry i tak nie pozwolą, byś się stała kimś innym, dopóki nie będziesz gotowa.

- Przybyłyśmy do Salidaru tym samym statkiem co Nynaeve i Elayne - odezwała się nagle Areina. Jej wzrok był bardziej niż bezpośredni, był wyzywający. - I Birgitte. -Z jakiegoś powodu to imię wymówiła z goryczą.

Nicola uciszyła ją gestem.

- Tego tematu nie należy poruszać. - O dziwo, wyraźnie wcale tak nie myślała. Egwene, w nadziei, że ma twarz choć w połowie tak gładką jak Nicola, starała się uciszyć nagły niepokój. "Marigan" też przybyła do Salidaru tym statkiem. Rozległo się pohukiwanie sowy i wtedy zadrżała. Niektórzy ludzie uważali, że pohukiwanie sowy w świetle księżyca oznacza złe wieści. Nie była przesądna, ale...

- Jakiego to tematu nie należy poruszać?

Pozostałe dwie kobiety wymieniły spojrzenia; Areina przytaknęła.

- To było wtedy, gdy szliśmy ód rzeki do wioski. - Mimo udawanej niechęci do mówienia o tym, Nicola patrzyła prosto w oczy Egwene. - Areina i ja słyszałyśmy rozmowę Thoma Merrilina i Juilina Sandara. Tego barda i łowcy złodziei. Juilin

twierdził, że jeśli w wiosce są Aes Sedai, czego nie byliśmy wtedy pewne, i dowiedzą się, że Nynaeve i Elayne udawały, że są Aes Sedai, to wszyscy wskakujemy do ławicy srebraw, co, jak rozumiem, nie jest czymś bezpiecznym.

- Bard zauważył nas i uciszył Juilina - wtrąciła Areina, gładząc kołczan u pasa - ale i tak słyszałyśmy. - Głos miała równie twardy jak spojrzenie.

- Ja wiem, że obie są teraz Aes Sedai, Matko, ale czy i tak nie miałyby kłopotów, gdyby ktoś się dowiedział? Siostry, chciałam powiedzieć? Każdy, kto udaje, że jest siostrą, ma kłopoty, jeśli one się o tym dowiedzą, nawet wiele lat później. - Twarz Nicoli nie zmieniła się, ale jej wzrok jakby utknął w oczach Egwene. Z pewnym napięciem pochyliła się do przodu. - W ogóle każdego. Czy nie jest tak?

Areina,

ośmielona

milczeniem

Egwene,

uśmiechnęła

się

szeroko.

Nieprzyjemnym uśmiechem pośród nocnej czerni.

- Podobno Sanche, kiedy jeszcze była Amyrlin, wyprawiła Nynaeve i Egwene z Wieży z jakimś zadaniem. Słyszałam też, że i ty sama dostałaś od niej jakieś polecenie. I że naraziłaś się na najrozmaitsze kłopoty, zanim wróciłaś. - Jej głos był teraz złośliwy. - Czy pamiętasz, jak udawały Aes Sedai?

Stały tak i patrzyły się na nią, Areina wsparta bezczelnie na swoim łuku, Nicola wyczekująco.

- Siuan Sanche jest Aes Sedai-odparła zimno Egwene - podobnie jak Nynaeve al'Meara i Elayne Trakand. Okażecie im odpowiedni szacunek. Dla was one są Siuan Sedai, Nynaeve Sedai i Elayne Sedai. -Obie zamrugały ze zdziwieniem. A ona cała się trzęsła z wściekłości. Po tym wszystkim, przez co przeszła tej nocy, spotyka ją jeszcze szantaż ze strony tych...? Nie przychodziło jej do głowy żadne dostatecznie mocne określenie. Elayne by je znalazła; Elayne przysłuchiwała się stajennym, woźnicom i innych ludziom tego pokroju, zapamiętując słowa, których Egwene nie chciałaby nawet znać. Rozwinęła pasiastą stułę i udrapowała ją starannie na ramionach.

- Ty chyba nie rozumiesz, Matko - powiedziała pospiesznie Nicola. Ale nie ze strachem; próbowała tylko dowieść swej racji. - Ja się tylko martwiłam, że jeśli ktoś się dowie, że ty... - Egwene nie pozwoliła jej dokończyć.

- Ależ rozumiem, dziecko. - Ta głupia kobieta była dzieckiem, niezależnie od wieku. Starsze nowicjuszki często przysparzały sobie kłopotów, zazwyczaj kierując obraźliwe uwagi w stronę Przyjętej, która została wyznaczona do ich uczenia, ale nawet najgłupsze miały dość rozsądku, by nie zachowywać się arogancko wobec pełnych sióstr. Tymczasem ta tutaj miała czelność próbować tego z nią, sprawiając, że jej gniew rozgorzał do białości. Obie były od niej wyższe, niewiele, ale i tak wsparła pięści na biodrach i wyprężyła się, a one się skurczyły, jakby nad nimi górowała. - Czy masz pojęcie, jak poważnym wykroczeniem jest wysuwanie oskarżeń względem jakiejś siostry, zwłaszcza jeśli jest się nowicjuszką? I to oskarżeń opartych na rozmowie dwóch mężczyzn, którzy obecnie znajdują się wiele tysięcy mil stąd. Tiana obdarłaby cię żywcem ze skóry i zagnała do szorowania garnków na resztę życia - Nicola starała się wtrącić jakieś słowo, przeprosiny, tak to tym razem brzmiało, i dalsze protesty, że Egwene jej nie zrozumiała, szaleńcze próby wycofania się z całej

sytuacji, ale Egwene ją zignorowała i dla odmiany natarła na Areinę. Uczestniczka Polowania na Róg, z mocno niepewną miną, zrobiła jeszcze jeden krok w tył, oblizując wargi. - Nie myśl sobie, że ujdzie ci to na sucho. Nawet uczestniczka Polowania może zostać zawleczona do Tiany za coś takiego. O ile będziesz miała dość szczęścia i nie zostaniesz wychłostana na dyszlu wozu, tak jak to robią z żołnierzami przyłapanymi na kradzieży. Tak czy inaczej zresztą zostaniesz wyrzucona na drogę z pręgami na ciele do towarzystwa.

Egwene zrobiła wdech i założyła ręce na pasie. Ścisnęła dłonie, dzięki czemu przestały drżeć. Obie, gotowe niemal przypaść do ziemi ze strachu, wyglądały na dostatecznie ukarane. Miała nadzieję, że te spuszczone oczy, zgarbione ramiona i przestępowanie z nogi na nogę nie są udawane. Zgodnie z wszelkimi zasadami powinna je natychmiast odesłać do Tiany. Nie miała pojęcia, jaka jest kara za próbę szantażowania Zasiadającej na Tronie Amyrlin, ale zdawało się prawdopodobne, że najłagodniejszą byłoby wyrzucenie ich z obozu. W przypadku Nicoli równałoby się to czekaniu, aż jej nauczyćielki stwierdzą, że wie dość o przenoszeniu, by przypadkiem nie zrobić krzywdy sobie albo innym. Niemniej jednak Nicola Treehill nigdy nie zostałaby Aes Sedai, gdyby wysunięto przeciwko niej taki zarzut; cały ten potencjał poszedłby na marne.

Chyba że... Każdej kobiecie przyłapanej na udawaniu Aes Sedai dawano taką nauczkę, że piszczała jeszcze wiele lat później, a przyłapana Przyjęta mogła taką kobietę uznać za szczęśliwą, ale Nynaeve i Elayne były teraz z pewnością bezpieczne, ponieważ zostały już pełnymi siostrami. Podobnie jak ona sama. Tyle że, niestety, wystarczyłby zaledwie szept i przepadłyby wszelkie szanse na zmuszenie Komnaty, by ta uznała ją za prawdziwą Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Równie dobrze mogłaby

zrobić sobie krótki wypad do Randa, a potem powiedzieć o tym Komnacie. Dlatego nie mogła dopuścić, by te dwie dostrzegły jej wątpliwości czy bodaj je podejrzewały.

- Zapomnę o tym - oznajmiła ostrym tonem. - Jeśli jednak usłyszę o tym bodaj słowo, od kogokolwiek... -Wciągnęła urywany oddech; tak naprawdę niewiele by z tym mogła zrobić. Nicola i Areina wzdrygnęły się, a więc potraktowały pogróżkę poważnie. - Wracajcie do łóżek, zanim zmienię zdanie.

W jednej chwili zaczęły miotać się w dygnięciach, mówić "Tak, Matko" i "Nie, Matko" oraz "Jak rozkażesz, Matko". Uciekły, oglądając się na nią przez ramię, każdy ich krok był szybszy od poprzedniego, aż na koniec zaczęły biec. Egwene musiała wędrować spokojnie, ale miała ochotę zrobić to samo.

ROZDZIAŁ 10

NIEWIDZIALNE OCZY

Selame już czekała, kiedy Egwene wróciła do namiotu, chuda jak tyka kobieta o ciemnej, taireniańskiej karnacji, tak pewna siebie, że niemalże bezczelna. Chesa miała rację; naprawdę chodziła z zadartym nosem, jakby ją mdliło od jakiegoś paskudnego zapachu. O ile jednak odnosiła się arogancko do innych służących, przy swojej pani zachowywała się całkiem odmiennie. W momencie gdy Egwene weszła do namiotu, Selame rozpostarła spódnice tak szeroko, jak jej na to pozwoliła zagracona przestrzeń, i wykonała ukłon tak głęboki, że głową niemalże dotknęła dywanu. Zanim Egwene zdążyła zrobić drugi krok do wnętrza, kobieta doskoczyła do jej guzików i zaczęła się nad nimi pastwić. I nad samą Egwene również. Selame miała bardzo mało rozumu.

- Och, Matko, znowu wyszłaś bez nakrycia głowy. -Jakby Egwene kiedykolwiek zechciała się wystroić w jeden z tych naszywanych paciorkami czepków, które upodobała sobie ta kobieta, albo w to haftowane cudo z aksamitu, uwielbiane przez Meri, względnie w kapelusz z pióropuszem Chesy. - Przecież ty masz dreszcze. Nie powinnaś nigdy wychodzić na zewnątrz bez szala i parasolki, Matko. - Niby w jaki sposób parasolka mogła uchronić przed dreszczami? Selame, której pot ściekał z policzków, choćby nie wiadomo jak szybko ocierała je chusteczką, nawet nie przyszło do głowy, by spytać, dlaczego Egwene ma te dreszcze, i całe szczęście. - A na dodatek wyszłaś sama w środku nocy. To nie uchodzi, Matko. Przecież tam są ci wszyscy żołnierze, brutalni mężczyźni, którzy nie żywią należytego szacunku względem kobiet, nawet Aes Sedai. Matko, tobie zwyczajnie nie wolno...

Egwene nie przerywała tego potoku bzdur tak samo, jak się godziła, by ta kobieta ją rozebrała, prawie wcale nie zwracając na nią uwagi. Nic by nie zyskała,

gdyby kazała jej się uciszyć, jedynie sprowokowała moc zranionych spojrzeń i oburzonych westchnień. Selame zresztą, poza tym swoim bezmózgim paplaniem, wykonywała swe obowiązki przykładnie, mimo iż okraszała je tyloma ukłonami, że stawały się istnym tańcem afektowanych gestów i służalczych dygnięć. Wydawało się niemożliwe, by ktoś mógł być tak głupi jak Selame, zawsze dbająca o pozory, zawsze przejęta tym, co sobie pomyślą inni. Dla niej na miano ludzi zasługiwały wyłącznie Aes Sedai, arystokraci oraz ich najwyższa rangą służba. Poza nimi nikt inny się nie liczył. To było prawdopodobnie niemożliwe. Egwene nie zamierzała zapomnieć, kto znalazł Selame, podobnie jak tego, kto znalazł Meri. Chesa stanowiła wprawdzie podarunek od Sheriam, ale więcej niż raz dowiodła swej lojalności względem Egwene. Egwene usiłowała sobie wmówić, że te dygotania, które druga kobieta uznała za dreszcze, to paroksyzmy wściekłości, ale wiedziała, że w brzuchu wije jej się robak strachu. Zaszła zbyt daleko i miała jeszcze zbyt wiele do zrobienia, by pozwolić, żeby Nicola i Areina wsadziły szprychę w jej koło.

W momencie, gdy wysunęła głowę z otworu świeżej koszuli nocnej, do ucha wpadł jej fragment paplaniny chudej kobiety i wtedy wytrzeszczyła oczy.

- Czyżbyś powiedziała "owcze mleko"?

- Ależ tak, Matko. Masz tak delikatną skórę, nic jej nie zachowa w takim stanie oprócz kąpieli w owczym mleku.

Może naprawdę była skończoną idiotką. Wyrzuciwszy z namiotu protestującą Selame, Egwene sama wyszczotkowała sobie włosy, pościeliła łóżko, schowała obecnie bezużyteczną a'dam do małej szkatułki wyrzeźbionej z kości słoniowej, w której trzymała swoją nieliczną biżuterię, a na koniec pogasiła lampy.

"Wszystko sarna - pomyślała sarkastycznie w ciemnościach. - Selame i Meri

dostaną ataku histerii".

Zanim się jednak położyła, podreptała jeszcze do klapy namiotu i uchyliła ją nieznacznie. Na zewnątrz panowała martwota i cisza, znienacka zakłócona okrzykiem nocnej czapli, który nagle przerodził się z skrzek, a potem umilkł. W tych ciemnościach kryły się drapieżniki. Po chwili coś się poruszyło w cieniu obok namiotu po drugiej stronie drogi. Kobieta, sądząc po sylwetce.

Być może głupota dyskwalifikowała Selame nie mniej niźli ta kwaśna mina - Meri. Mogła to być jedna lub druga. Albo ktoś całkiem inny. Nawet Nicola albo Areina, chociaż to było raczej nieprawdopodobne. Opuściła klapę namiotu z uśmiechem. Obserwatorka, kimkolwiek była, nie zobaczy, dokąd się uda tej nocy.

Sposób na układanie się do snu, którego nauczyła się od Mądrych, był bardzo prosty. Najpierw zamykała oczy, potem czuła, jak odprężają się po kolei wszystkie części ciała, oddech dostosowuje do bicia serca, umysł dekoncentruje i odpływa, cały oprócz jednego maleńkiego zakamarka, odpływa. Sen morzył ją już po kilku chwilach, ale to był sen spacerującej po snach.

Pozbawiona kształtu wpłynęła do samych głębin oceanu gwiazd, ku niezliczonym świetlnym punktom połyskującym na tle nieskończonego morza ciemności, ku nieprzebranym świetlikom migoczącym pośród bezkresnej nocy. To były sny, sny wszystkich, którzy teraz spali gdzieś w świecie, może wszystkich we wszystkich możliwych światach, a to miejsce stanowiło lukę, która dzieliła rzeczywistość od Tel'aran'rhiod, przestrzeń między światem jawy a Światem Snów. Gdziekolwiek nie spojrzała, dziesiątki tysięcy świetlików znikało w momencie, w którym ludzie się budzili, i rodziły się dziesiątki tysięcy nowych, by zająć ich miejsce. Wielowymiarowa, podlegająca bezustannym zmianom procesja roziskrzonego

piękna.

Nie marnowała jednak czasu na podziwianie. W tym miejscu kryło się wiele niebezpieczeństw, w tym niektóre śmiertelnie groźne. Była przekonana, że wie, jak ich uniknąć, ale jeżeli będzie się ociągała zbyt długo, jedno z nich ją tu dopadnie, a to byłoby, mówiąc najoględniej, żenujące. Rozglądając się ostrożnie - cóż, rozglądałaby się ostrożnie, gdyby miała oczy - płynęła dalej. Nie czuła ruchu. Miała wrażenie, że stoi nieruchomo i że ten połyskujący ocean wiruje wokół niej, aż w pewnym momencie jedno ze światełek przystanęło jakby tuż przed nią. Wszystkie mrugające gwiazdy wyglądały dokładnie tak samo, a jednak wiedziała, że to jest sen Nynaeve. Skąd wiedziała, to była już całkiem inna sprawa; nawet Mądre nie rozumiały, na czym polega ta intuicyjna zdolność rozpoznania.

Zastanawiała się, czy nie odszukać snów Nicoli i Areiny. Potrafiłaby za ich pośrednictwem wsączyć im strach do głowy i ani trochę nie dbała, że było to zabronione. Niemniej jednak znalazła się tu w pewnym określonym celu, nie zaś ze strachu przed tym co zakazane. Zrobiła coś, czego nikt dotychczas nie robił, i była pewna, że uczyni to raz jeszcze, jeżeli okaże się to niezbędne. Rób, co musisz, a potem za to płać, tego ją właśnie nauczyły te same kobiety, które odgrodziły zakazami te tereny. Tylko odmowa przyznania się do długu, odmowa jego spłacenia, często zmieniała konieczność w zło. Ale nawet jeśli te dwie spały, znalezienie czyichś snów po raz pierwszy stanowiło zajęcie co najmniej żmudne, a na dodatek bez gwarancji powodzenia. Całe dni - czy raczej noce - wysiłku przeważnie nie dawały żadnych rezultatów. To akurat było prawie pewne.

Zbliżała się powoli przez wieczną ciemność, jednocześnie znowu ulegając wrażeniu, że stoi nieruchomo, a tymczasem świetlny punkcik rósł, stając się

rozjarzoną perłą, opalizującym jabłkiem, księżycem w pełni, aż wreszcie całkowicie przesłonił swoją łuną pole jej widzenia, cały świat. Nie dotknęła go jednak, jeszcze nie. Wciąż dzieliła ją przestrzeń cieńsza od włosa. Sięgnęła, najdelikatniej jak potrafiła. Czym sięgnęła, skoro brakowało jej ciała, pozostawało tajemnicą, taką samą, jak sposób, w jaki odróżniała jeden sen od drugiego. Kwestia woli, twierdziły Mądre, to jednak niczego nie wyjaśniało. Jakby kładła palec na mydlanej bańce, starając się dotykać jej naprawdę bardzo delikatnie. Błyszcząca ścianka zaiskrzyła się niczym dmuchane szkło, pulsując jak serce, krucha i żywa. Nieco silniejsze dotknięcie i będzie w stanie zajrzeć do "środka", "zobaczyć", o czym śni Nynaeve. Jeszcze silniejsze, i autentycznie wejdzie do środka, stając się częścią snu. Wiązało się to z ryzykiem, zwłaszcza w przypadku kogoś o silnym umyśle, a poza tym zaglądanie albo wchodzenie do środka mogło nawet upokorzyć śpiącą. Jeśli, na przykład, śniła akurat o mężczyźnie, którym była szczególnie zainteresowana. Same przeprosiny zajmowały połowę nocy, kiedy się to zrobiło. Mogła też, wykonując ruch przypominający zarzucanie haka, jakby delikatnie toczyła szklany paciorek po stole, porwać Nynaeve do własnego snu; czyli tej części Tel'aran'rhiod, nad którą miała pełną kontrolę. Była pewna, że to by jej się udało. Oczywiście to też należało do rzeczy zakazanych, a poza tym nie sądziła, by Nynaeve to się spodobało.

NYNAEVE, TU EGWENE. W ŻADNYCH OKOLICZNOŚCIACH NIE WRACAJ, DOPÓKI NIE ZNAJDZIESZ CZARY I DOPÓKI JA NIE ROZWIĄŻĘ PROBLEMU Z AREINĄ I NICOLĄ. ONE WIEDZĄ, ŻE UDAWAŁYŚCIE. WYJAŚNIĘ TO DOKŁADNIEJ, KIEDY WAS ZNOWU ZOBACZĘ W MAŁEJ WIEŻY. BĄDŹCIE OSTROŻNE. MOGHEDIEN UCIEKŁA.

Sen zamrugał, mydlana bańka prysła. Mimo ponurej treści swego przesłania,

zachichotałaby, gdyby miała gardło. Głos pozbawiony ciała, usłyszany podczas snu, potrafił wywołać zaskakujący efekt. Zwłaszcza jeśli śniący się bał, że właściciel głosu go podgląda. Nynaeve nie była osobą, która by coś takiego wybaczyła, nawet gdyby stało się przypadkiem.

Upstrzone światełkami morze zawirowało wokół niej raz jeszcze; po chwili wybrała kolejny roziskrzony punkcik. Elayne. Obie kobiety spały najprawdopodobniej nie dalej jak kilkanaście kroków od siebie, w Ebou Dar, ale tutaj odległość nie miała znaczenia. A może miała inne znaczenie.

Tym razem, kiedy przekazała swoje przesłanie, sen zaczął pulsować i zmienił się. Niby nadal nie różnił się absolutnie niczym od innych, ale nabrał jakiegoś odmiennego charakteru. Czyżby te słowa wciągnęły Elayne do czyjegoś innego snu? Pozostaną jednak i będzie je pamiętała po przebudzeniu.

Podcięła odrobinę cięciwy Nicoli i Areiny, nadszedł więc czas, by skierować uwagę na Randa. Niestety, odszukanie jego snów było zajęciem równie bezpłodnym jak szukanie snów Aes Sedai. Chronił je tarczą, tak samo jak one, aczkolwiek tarcza stworzona przez mężczyznę różniła się ewidentnie od kobiecej. Tarcza Aes Sedai przypominała kryształową skorupę, gładką kulę utkaną z Ducha, ale jak

przezroczysta by się nie wydawała, równie dobrze mogła być wykonana ze stali. Nie umiała zliczyć, ile godzin zmitrężyła, starając się takie przejrzeć. Z bliska osłonięte tarczą sny jakiejś siostry zdawały się jaśniejsze, natomiast sny Randa ciemniejsze. Przypominało to wpatrywanie się w mętną wodę; czasami miała wrażenie, że w tych szaro-brązowych odmętach coś się rusza, ale ani razu nie udało jej się dojrzeć, co to takiego.

Po raz kolejny nie kończąca się parada gwiazd zawirowała i znieruchomiała, a ona zbliżyła się do snu trzeciej kobiety. Ostrożnie. Między nią a Amys tyle zaszło, że było tak, jakby się zbliżała do snu własnej matki. Musiała przyznać, że miała ochotę pod wieloma względami naśladować Amys. Pragnęła jej szacunku dokładnie tak samo jak szacunku Komnaty. Może zresztą, gdyby miała wybierać, wybrałaby szacunek Amys. Odepchnąwszy ten nagły napad niepewności, postarała się, by jej "głos" zabrzmiał łagodniej, bez skutku.

AMYS, TU EGWENE. MUSZĘ Z TOBĄ POROZMAWIAĆ.

"Przyjdziemy" - mruknął czyjś głos. Głos Amys.

Zaskoczona Egwene cofnęła się. Miała ochotę śmiać się z samej siebie. Może to było tylko po to, żeby jej przypomnieć, że Mądre miały za sobą całe lata doświadczeń w spacerowaniu po snach. Bywały takie chwile, kiedy się bała, że się zdegeneruje przez to, że już nie musi się przykładać do pogłębiania umiejętności w korzystaniu z Jedynej Mocy. A z drugiej strony bywało, że wszystko inne przypominało wspinaczkę w górę urwiska podczas ulewnej burzy i wtedy bilans się wyrównywał.

Nagle dostrzegła ruch na samym skraju pola widzenia. Jeden z tych świetlnych punkcików sunął przez morze gwiazd, dryfując samorzutnie w jej stronę i stopniowo się przy tym rozrastając. Tylko jeden sen mógł to zrobić, tylko jeden śniący. Zdjęta

paniką rzuciła się do ucieczki, żałując, że brak jej gardła, by móc wrzeszczeć wniebogłosy, przeklinać albo zwyczajnie krzyczeć. Zwłaszcza że jedną maleńką cząstką swych myśli pragnęła pozostać tam, gdzie była, i zaczekać.

Tym razem gwiazdy nawet się nie poruszyły. Zwyczajnie zniknęły, a ona stała oparta o wielką kolumnę z czerwonego kamienia, dysząc, jakby właśnie przebiegła całą milę, a serce tak jej biło, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Po jakiejś chwili spojrzała po sobie i roześmiała się nieco niepewnie, wciąż usiłując złapać oddech. Miała na sobie suknię z pełną spódnicą, uszytą z połyskliwego, zielonego jedwabiu i ozdobioną przy staniczku oraz rąbku szlaczkami ze złotogłowiu. Staniczek ukazywał znacznie więcej ciała, niż by się odważyła odkryć na jawie, a dzięki szerokiemu pasowi utkanemu ze złota zdawała się znacznie szczuplejsza w talii niż była naprawdę. Może rzeczywiście była smuklejsza. Tutaj, w Tel'aran'rhiod, można się było stać tym, kim się chciało i czymkolwiek się chciało. Nawet wtedy, gdy się tego pragnęło nieświadomie. Gawyn Trakand miał na nią bardzo zły wpływ.

Ta jej maleńka cząstka nadal wolałaby zaczekać i pozwolić, by ten sen ją złapał. Złapał i wchłonął. Jeżeli spacerująca po snach kochała kogoś aż do utraty zmysłów albo nienawidziła go ponad wszelką miarę, zwłaszcza wtedy, gdy takie uczucie było odwzajemnione, to zdarzało się, że sen takiej osoby ją wsysał; przyciągała sen albo to on ją przyciągał, tak jak magnes przyciąga żelazne opiłki. Z pewnością nie nienawidziła Gawyna, ale za nic nie mogła wpaść w pułapkę jego snu, nie tej nocy, bo uwięzłaby w nim na dobre, aż do momentu jego przebudzenia, i to taka, jaką on ją widział. Czyli o wiele piękniejsza niż w rzeczywistości; nie wiedzieć czemu, on sam w swoim śnie zdawał się znacznie mniej przystojny niż w życiu. Gdy w grę wchodziła tak silna miłość albo nienawiść, potencje silnego umysłu albo koncentracji przestawały

odnosić skutek. Gdy raz się znalazłaś w cudzym śnie, już w nim zostawałaś, dopóki dana osoba nie przestawała o tobie śnić. Przypomniawszy sobie, co Gawyn z nią robił w swoich snach, co razem robili w jego snach, poczuła, że na twarz wypełza jej ognisty rumieniec.

- Dobrze, że żadna z Zasiadających nie może mnie teraz zobaczyć - mruknęła. - Potem już nigdy nie traktowałyby mnie inaczej jak zwykłej, płochej dziewczyny. - Dorosłe kobiety nie emocjonowały się tak ani nie fantazjowały o jakimś mężczyźnie w taki sposób, tego była pewna. W każdym razie nie kobiety z odrobiną rozsądku. To, o czym on śnił, mogło się stać naprawdę, ale dopiero wtedy, gdy sama tak zdecyduje. Uzyskanie pozwolenia od matki mogło okazać się trudne, ale z pewnością nie będzie jej go wzbraniała tylko dlatego, że nie widziała Gawyna na oczy. Marin al'Vere wierzyła w rozsądek swoich córek. Najwyższa pora, by jej najmłodsza córka okazała odrobinę tego rozsądku i odłożyła mrzonki na właściwszą porę.

Rozejrzała się dookoła, niemal żałując, że nie pozwoliła Gawynowi wejść do jej snu. Gdzie nie spojrzała, widziała takie same masywne kolumny, wspierające niebotycznie wysoki, sklepiony sufit i wielką kopułę. Nie paliła się żadna z lamp wiszących na złoconych łańcuchach, ale mimo to było widno dzięki światłu, ani jasnemu, ani ciemnemu, bez żadnego widocznego źródła. Serce Kamienia, wnętrze wielkiej fortecy zwanej Kamieniem Łzy. Albo raczej jego obraz w Tel'aran'rhiod, obraz pod wieloma względami równie realny jak oryginał. Tam właśnie dotychczas spotykała się z Mądrymi, z ich wyboru. Co, jak na Aielów, było dziwne, zdaniem Egwene. Spodziewałaby się, że to będzie Rhuidean, teraz, gdy już zostało otwarte, albo jakieś inne miejsce w Pustkowiu Aiel, względnie po prostu to miejsce, gdzie akurat przebywały Mądre. Każde miejsce, wyjąwszy stedding ogirów, miało swoje odbicie w

Świecie Snów - stedding też je zresztą miały, tyle że nie dawało się do nich wejść, podobnie jak kiedyś do Rhuidean, kiedy jeszcze było zamknięte. Obozowisko Aes Sedai, rzecz jasna, nie wchodziło w rachubę. Wiele sióstr miało obecnie dostęp do ter'angreali, które umożliwiały wchodzenie do Świata Snów, a ponieważ żadna z nich tak naprawdę nie wiedziała, co właściwie czyni, często rozpoczynały swoje eskapady od pojawienia się w widmowym obozie Tel'aran'rhiod, jakby rozpoczynały normalną podróż.

Zgodnie z prawem Wieży ter'angreale, podobnie jak angreale i sa'angreale, stanowiły własność Białej Wieży, niezależnie od tego, kto akurat był w ich posiadaniu. Wieża bardzo rzadko się o nie dopominała, przynajmniej wtedy, gdy ter'angreal znajdował się w takim miejscu jak na przykład Wielka Przechowalnia w tymże właśnie Kamieniu Łzy -ostatecznie i tak trafiał do Aes Sedai, a Biała Wieża zawsze potrafiła wytrwale czekać, jeśli zaszła taka potrzeba - jednak te, które istotnie znajdowały się w rękach Aes Sedai, stanowiły dar od Komnaty, względnie poszczególnych Zasiadających. Czy raczej pożyczkę; prawie nigdy nie były dawane. Elayne nauczyła się kopiować ter'angreale snu i razem z Nynaeve wzięły sobie dwie takie kopie, pozostałe jednak znajdowały się obecnie w posiadaniu Komnaty, łącznie z tymi, które wykonała Elayne. Co oznaczało, że Sheriam i siostry z jej małego kręgu mogły je używać, kiedy tylko zechciały, i najprawdopodobniej również Lelaine z Romandą, aczkolwiek te dwie wolały raczej posyłać inne, zamiast wchodzić osobiście do Tel'aran'rhiod. Jeszcze całkiem niedawno Aes Sedai nie wkraczały do snów, nie wkraczały od wielu stuleci i nadal miały z tym spore trudności, których większość brała się z przeświadczenia, że potrafią się wszystkiego nauczyć same. Niemniej, ostatnią rzeczą, na jakiej zależało Egwene, była któraś z ich uczennic w charakterze

szpiega przy tym spotkaniu.

Na myśl o szpiegach poczuła się cała odsłonięta, jakby śledziły ją czyjeś niewidzialne oczy. To wrażenie było zawsze obecne w Tel'aran'rhiod i nawet Mądre nie wiedziały, skąd się ono bierze, ale chociaż oczy zdawały się tu podglądać z ukrycia zawsze, mogli tu być również prawdziwi obserwatorzy. Nie myślała teraz o Romandzie albo Lelaine.

Pogładziła dłonią kolumnę i obeszła ją powoli, przyglądając się lasowi z czerwonego kamienia ginącemu w cieniu. Otaczające ją światło nie było prawdziwe; każda osoba ukryta w jednym z tych cieni widziałaby to samo światło, podczas gdy ją skrywałyby cienie. Pojawiali się tu ludzie, mężczyźni i kobiety, migotliwe obrazy, które rzadko trwały dłużej niż kilka uderzeń serca. Nie interesowali jej ci, którzy dotykali Świata Snów podczas snu; każdy mógł to zrobić przypadkiem, ale na szczęście dla nich, jedynie na kilka chwil, rzadko na tyle długo, by zetknąć się z którymś z niebezpieczeństw. Czarne Ajah też posiadały ter'angreal snu, ukradziony w Wieży. Co gorsza, Moghedien znała Tel'aran'rhiod równie dobrze, jak każda spacerująca po snach. A może nawet jeszcze lepiej. Potrafiła przejmować kontrolę nad tym miejscem i każdym, kto w nim przebywał, z taką samą łatwością, z jaką machała ręką.

Egwene przez krótką chwilę żałowała, że podglądała sny Moghedien w czasie, gdy tamta była w niewoli, raz tylko, na tyle długo; by móc je potem odróżnić. Niemniej jednak, gdyby nawet zidentyfikowała jej sny, i tak nie mogłaby określić, gdzie ona teraz jest. Poza tym istniała groźba, że zostanie do nich wciągnięta wbrew swojej woli. To, co się działo w Tel'aran'rhiod, jakby się nie wydawało realne, nie pociągało rzeczywistych konsekwencji, a jednak człowiek pamiętał to potem niby prawdziwe

zdarzenia. Noc spędzona w rękach Moghedien byłaby koszmarem, który musiałaby przeżywać zapewne do końca życia, zawsze na nowo od momentu zaśnięcia. A może również na jawie.

Jeszcze jeden obchód. Co to było? Z cieni wyłoniła się i natychmiast zniknęła ciemnowłosa, majestatycznie piękna kobieta w czepku naszywanym perłami i w szacie z koronkową kryzą. Tairenianka pogrążona we śnie, jakaś Wysoka Lady albo kobieta śniąca, że nią jest. Na jawie mogła być żoną farmera albo kupca, mieć pospolite rysy i przysadzistą sylwetkę.

Lepiej szpiegować Logaina niż Moghedien. Nadal nie będzie wiedziała, gdzie jest, ale mogłaby zyskać jakieś rozeznanie w jego zamiarach. Rzecz jasna, wciągnięcie do jego snów mogło się okazać wcale nie bardziej przyjemne niż przymusowa wizyta w snach Moghedien. Nienawidził wszystkich Aes Sedai. Zaaranżowanie jego ucieczki było jednak koniecznością; miała nadzieję, że cena nie będzie zbyt wysoka. Zapomnieć o Logainie. To Moghedien stanowiła niebezpieczeństwo, Moghedien, która mogła ją ścigać, nawet tutaj, zwłaszcza tutaj, Moghedien, która...

Nagle dotarło do niej, że porusza się niezwykle ociężale; wydała jakiś zduszony odgłos, niemalże jęk. Piękna suknia przemieniła się w pełną, opancerzoną zbroję, dokładnie taką samą jak te, które nosili członkowie armii Garetha Bryne'a. Na głowie miała hełm bez przyłbicy, z czubem w kształcie Promienia Tar Valon, sądząc po dotyku. Było to bardzo irytujące. Przekroczyła granice dopuszczalnego braku kontroli nad sobą.

Nieubłaganie wymieniła zbroję na strój, który nosiła podczas poprzednich spotkań z Mądrymi. To była tylko kwestia myśli. Obszerna spódnica z ciemnej wełny i luźna, biała bluzka algode, taka sama, w jaką się ubierała w czasie, gdy pobierała u

nich nauki, a do tego szal z frędzlami, tak zielony, że niemalże czarny, i złożona chusta podtrzymująca włosy. Rzecz jasna, nie skopiowała ich biżuterii, całego mnóstwa naszyjników i bransolet. Wyśmiałyby ją za coś takiego. Kobieta gromadziła swoją kolekcję przez całe lata, nie podczas jednego, przelotnego snu.

- Logain jest w drodze do Czarnej Wieży-powiedziała głośno. Miała nadzieję, że on naprawdę jedzie do Czarnej Wieży, bo wtedy przynajmniej można by go było jakoś sprawdzić, a gdyby został złapany i ponownie poskromiony, Rand nie mógłby za to obwiniać żadnej z towarzyszących jej sióstr. - Moghedien zaś nie ma jak się dowiedzieć, gdzie ja teraz jestem. - Starała się myśleć o tym z jak największym przekonaniem.

- Dlaczego miałabyś się bać Tych, Którzy Dusze Oddali Cieniowi? - spytał ją czyjś głos za plecami i w tym momencie Egwene najwyraźniej postanowiła sprawdzić, jak to jest wspinać się w powietrzu. Była spacerującą po snach, znajdowała się w Tel'aran'rhiod, a jednak podskoczyła, zanim zdołała się opanować.

"O tak - pomyślała, lewitując - zaiste, daleko mi do błędów początkujących".

Jeszcze trochę, a podskoczy, kiedy Chesa powie jej "dzień dobry".

Z nadzieją, że nie czerwieni się zbyt mocno, opadła powoli; może dzięki temu odzyska choć trochę godności.

Może... tymczasem jednak na wiekowej twarzy Bair pojawiło się jeszcze więcej zmarszczek niż zazwyczaj od uśmiechu tak szerokiego, że aż koniuszki jej ust niemalże stykały się z uszami. W odróżnieniu od dwóch towarzyszących jej kobiet, nie potrafiła przenosić Mocy, ale ta umiejętność nie miała nic wspólnego ze spacerowaniem po snach. Była w tym równie wprawna jak inne spacerujące, a pod niektórymi względami nawet lepsza. Amys też się uśmiechała, aczkolwiek nie tak szeroko, za to

słonecznowłosa Melaine odrzuciła głowę w tył i ryknęła śmiechem.

- W życiu nie widziałam nikogo... - tyle tylko zdołała wykrztusić. - Zupełnie jak królik. - Wykonała podskok i wzbiła się w powietrze na wysokość pełnego kroku.

- Ostatnio obchodziłam się dość brutalnie z Moghedien. - Egwene była dumna ze swego opanowania. Lubiła Melaine; ta kobieta stała się znacznie mniej drażliwa, odkąd spodziewała się dziecka, czy raczej dzieci, a jednak w tym momencie Egwene byłaby w stanie udusić ją z radością. -Razem z kilkoma przyjaciółkami poskromiłyśmy nieco jej dumę, choć z pewnością nie tylko. Myślę, że chętnie by mi się odpłaciła. - Pod wpływem impulsu zmieniła raz jeszcze odzienie, na coś w rodzaju sukni do konnej jazdy, którą obecnie wkładała codziennie, uszytą z lśniącego, zielonego jedwabiu. Na palcu pojawił się złoty pierścień z Wielkim Wężem. Nie mogła im powiedzieć wszystkiego, ale te kobiety były przyjaciółkami i należało im powiedzieć tyle, ile mogła; zasłużyły sobie na to.

- Rany zadane dumie pamięta się o wiele dłużej niż rany na ciele. - Bair mówiła cienkim i piskliwym głosem, a mimo to silnym niczym trzcina z żelaza.

- Opowiedz nam o tym - powiedziała Melaine, zachęcając ją uśmiechem. - Co takiego zrobiłaś, że sprowadziłaś na nią hańbę? - Bair była równie uradowana. W okrutnym kraju człowiek albo uczył się śmiać z okrucieństwa, albo przez całe życie płakał; w Ziemi Trzech Sfer nauczono się śmiać dawno temu. A zhańbienie wroga poczytywano za sztukę.

Amys przez chwilę przypatrywała się nowemu ubraniu Egwene, po czym orzekła:

- To chyba może poczekać. Musimy pomówić, tak powiedziałaś. - Wskazała gestem miejsce, gdzie Mądre lubiły rozmawiać, tuż poza zasięgiem szerokiej kopuły

nad samym środkiem komnaty.

Powód, dla którego wybierały to właśnie miejsce, stanowił jeszcze jedną zagadkę, której Egwene nie potrafiła rozwiązać. Trzy kobiety usadowiły się na skrzyżowanych nogach, starannie rozpościerając spódnice, w odległości zaledwie kilku kroków od pseudomiecza z połyskliwego kryształu, wbitego w posadzkę. Niby nie zwracały nań uwagi - nie stanowił elementu ich proroctw - nie większą w każdym razie niż na ludzi, którzy materializowali się znienacka w wielkiej komnacie, a jednak przychodziły zawsze właśnie tutaj.

Osławiony Callandor mógł istotnie funkcjonować jako miecz mimo swego wyglądu, ale tak naprawdę był to męski sa'angreal, jeden z najpotężniejszych, jakie wykonano podczas Wieku Legend. Na myśl o męskim sa'angrealu Egwene przeszył lekki dreszcz. Sprawy miały się inaczej, kiedy w grę wchodził tylko Rand. I rzecz jasna Przeklęci. A teraz pojawili się jeszcze Asha'mani. Dzięki Callandorowi mężczyzna potrafił zaczerpnąć taką ilość Jedynej Mocy, która pozwalała mu w mgnieniu oka zrównać z ziemią wielkie miasto i zniszczyć wszystko w promieniu wielu mil. Ominęła miecz szerokim łukiem, odruchowo podkasując spódnice. Rand zabrał Callandora z Serca Kamienia, tak jak to przepowiedziały Proroctwa, a potem zostawił znów, z sobie tylko znanych powodów. Zostawił i otoczył pułapkami utkanymi z saidina. One też miały własne senne odbicia, takie, które mogły się uaktywnić z równą skutecznością, gdyby ktoś spróbował utkać przy mieczu niewłaściwe sploty. Niektóre rzeczy w Tel'aran'rhiod były naprawdę zbyt prawdziwe.

Starając się nie myśleć o Mieczu, Który Nie Jest Mieczem, Egwene stanęła przed trzema Mądrymi. Te obwiązały się szalami w pasie i rozwiązały tasiemki przy bluzkach. W taki właśnie sposób kobiety Aielów zasiadały z przyjaciółmi w swoich

namiotach pod palącym słońcem. Ona sama nie usiadła, mimo iż mogła przez to wyglądać jak petentka albo pozwana przed sąd. A niech tam! W jakiś sposób, w głębi własnego serca, była kimś takim.

- Nie powiedziałam wam, dlaczego mnie od was odwołano, a wy nie pytałyście.

- Powiesz nam, kiedy będziesz gotowa-odparła Amys łagodnym tonem.

Wyglądała na równą wiekiem Melaine, mimo iż jej sięgające pasa włosy były siwe jak włosy Bair - zaczęły się srebrzyć, kiedy była niewiele starsza od Egwene - ale to ona dowodziła wszystkimi trzema, nie Bair. Egwene po raz pierwszy zastanowiła się, ile Amys ma lat. Takiego pytania nie zadaje się Mądrej, podobnie jak Aes Sedai.

- Kiedy was opuściłam, byłam Przyjętą. Wiecie o rozłamie w Białej Wieży. - Bair potrząsnęła głową i skrzywiła się; wiedziała, ale nie rozumiała. Żadna z nich nie rozumiała. Dla Aielów było to coś równie nierealnego jak rozłam w klanie albo w społeczności wojowników. Być może stanowiło to dla nich również potwierdzenie, że Aes Sedai są w rzeczywistości gorsze, niż należało zakładać. Egwene mówiła dalej, zdziwiona, że ma taki spokojny, opanowany głos. - Te siostry, które wystąpiły przeciwko Elaidzie, wyniosły mnie na swoją Amyrlin. Po obaleniu Elaidy to ja zasiądę na Tronie Amyrlin w Białej Wieży. - Uzupełniła swój przyodziewek, dodając pasiastą stułę, i czekała. Raz już je okłamała, poważnie naruszając ji'e'toh, i nie była pewna, jak zareagują, gdy usłyszą, co jeszcze przed nimi ukryła. O ile w ogóle w to uwierzą.

Tymczasem tylko na nią spojrzały.

- Dzieci mają taki jeden obyczaj - odezwała się po jakimś czasie Melaine. Jeszcze nie było po niej widać, że jest w odmiennym stanie, ale bił od niej wewnętrzny blask, czyniący ją piękniejszą niż dotąd, blask, a oprócz niego niewzruszony spokój. - Wszystkie dzieci chcą rzucać włóczniami i wszystkie chcą być wodzami klanów, ale

któregoś dnia dociera do nich, że wódz klanu rzadko tańczy z włóczniami w pojedynkę. Dlatego robią kukłę i stawiają ją na jakimś wzniesieniu. - Posadzka z boku nagle się wypiętrzyła i nie było tam już płytek, tylko spieczona od słońca, brązowa skała. Na jej szczycie stała kukła, wykonana z gałązek i szmatek, przypominająca człowieka. -To jest wódz klanu, który każe im tańczyć z włóczniami, ze wzgórza, skąd może obserwować bitwę. Dzieci jednakże biegają tam, gdzie chcą, i ich wódz klanu to tylko kukła z patyków i szmat. - Podmuch wiatru rozwiał strzępy tkanin, wskazując puste wnętrze kukły, która po chwili zniknęła razem z pagórkiem.

Egwene zrobiła głęboki wdech. Oczywiście. Odpokutowała za swoje kłamstwo zgodnie z ji'e'toh, z własnego wyboru, dzięki czemu było tak, jakby kłamstwo nigdy nie zostało wypowiedziane. Powinna była to przewidzieć. Przejrzały jej sytuację na wylot, jakby przez wiele tygodni przebywały w obozie Aes Sedai. Bair wbiła wzrok w posadzkę, nie chcąc być świadkiem jej hańby. Amys siedziała z podbródkiem wspartym na dłoniach, a przenikliwe spojrzenie jej niebieskich oczu starało się jakby wwiercać w serce Egwene.

- Niektóre widzą mnie właśnie w taki sposób. - Jeszcze jeden głęboki wdech i wyrzuciła z siebie prawdę. - Wszystkie, oprócz garstki nielicznych. Ale do rzeczy. Zanim dokończymy naszą bitwę, będą wiedziały, że to ja jestem ich wodzem, i będą postępowały tak, jak ja zechcę.

- Wróć do nas - powiedziała Bair. - Dla tych kobiet masz zbyt wiele honoru. Sorilea wybrała już dla ciebie kilkunastu młodych mężczyzn, będziesz ich mogła obejrzeć w namiocie-łaźni. Bardzo chciałaby zobaczyć, jak robisz wieniec panny młodej.

- Mam nadzieję, że będzie obecna, gdy będę wychodziła za mąż, Bair. - Za

Gawyna, miała nadzieję; wiedziała na podstawie swoich snów, że zwiąże go ze sobą więzią, ale tylko nadzieja i wiara w miłość mówiły jej, że się pobiorą. - Mam nadzieję, że wszystkie tam będziecie, ale ja już dokonałam wyboru.

Bair była gotowa dalej się sprzeczać i podobnie Melaine, ale Amys podniosła rękę i wtedy, niezadowolone, umilkły.

- W jej decyzji jest dużo ji. Ona będzie naginała wolę wrogów do swej woli, a nie uciekała przed nimi. Życzę ci, byś osiągnęła jak najwięcej w swoim tańcu, Egwene al'Vere. -Była kiedyś Panną Włóczni i nadal się za nią uważała. - Siadaj. Siadaj.

- Jej honor należy do niej - stwierdziła Bair, spoglądając krzywo na Amys - ale mam jeszcze jedno pytanie. -Jej oczy miały niemalże barwę wodnistego błękitu, ale ich spojrzenie skierowane na Egwene było ostrzejsze niż kiedykolwiek spojrzenie Amys. - Czy zmusisz te Aes Sedai, by uklękły przed Car'a'carnem?

Zaskoczona Egwene omal się nie przewróciła, zamiast usiąść. W jej głosie nie słyszało się jednak wahania.

- Tego zrobić nie mogę, Bair. I nie chciałabym, nawet gdybym mogła. Nas obowiązuje lojalność względem Wieży, względem wszystkich Aes Sedai, wykraczająca ponad lojalność względem krajów, w których się urodziłyśmy. -To była prawda, albo w każdym razie tak miała brzmieć, aczkolwiek ciekawiło ją, jak takie stwierdzenie zgadza się w ich myślach z wiedzą o niej i o buncie. - Aes Sedai nie przysięgają lojalności nawet wobec Zasiadającej na Tronie Amyrlin, a z pewnością nie uczynią tego wobec mężczyzny. To byłoby tak, jakby jedna z was uklękła przed wodzem klanu.

- Zilustrowała to w taki sam sposób, w jaki przedtem uczyniła to Melaine, koncentrując się na rzeczywistości; Tel'aran' rhiod był nieskończenie kowalny, jeżeli się potrafiło to wykorzystać. Za Callandorem trzy Mądre uklękły przed wodzem klanu.

Mężczyzna mocno przypominał Rhuarka, a kobiece postacie te trzy siedzące przed nią. Podtrzymywała wizję tylko przez krótką chwilę, ale Bair zerknęła na nią i głośno pociągnęła nosem. Pomysł był absolutnie niedorzeczny.

- Nie porównuj tych kobiet z nami. - Zielone oczy Melaine zalśniły równie złowrogo jak kiedyś; ton głosu był ostry jak brzytwa.

Egwene ugryzła się w język. Mądre zdawały się gardzić Aes Sedai, wszystkimi Aes Sedai oprócz niej. Przyszło jej na myśl, iż mogły nawet żywić odrazę do proroctw, które łączyły je z Aes Sedai. Zanim została wezwana przez Komnatę i wyniesiona do godności Amyrlin, Sheriam i jej przyjaciółki spotykały się regularnie z tymi trzema, ale spotkania urwały się, w równym stopniu dlatego, że Mądre nie chciały ukrywać swej pogardy, jak i dlatego, że Egwene została wezwana. W Tel'aran'rhiod konfrontacja z kimś, kto lepiej znał to miejsce, mogła przysporzyć wielu upokorzeń. Ostatnimi czasy Mądre zaczęły traktować z niejakim dystansem nawet samą Egwene i dlatego właśnie nie chciały poruszać z nią pewnych tematów, na przykład tego, co wiedziały o planach Randa. Przedtem była jedną z nich, adeptką sztuki chodzenia po snach, potem została Aes Sedai, jeszcze zanim dowiedziały się tego, co im właśnie powiedziała.

- Egwene al'Vere zrobi to, co musi zrobić - stwierdziła Amys. Melaine obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem, po czym ostentacyjnie poprawiła szal i kilka długich naszyjników, czemu wtórowało poszczękiwanie kości słoniowej i złota, ale nie powiedziała nic. Amys zdawała się mieć na nie większy wpływ niż dotychczas. Egwene nie widziała nigdy innej Mądrej, oprócz Sorilei, której pozostałe ustępowałyby z równą łatwością.

Bair wykreowała wizję herbaty, jakby znajdowały się wśród namiotów:

imbryk ze złota, ozdobiony wyrytymi lwami z jednego kraju, srebrną tacę rzeźbioną w skomplikowane zakrętasy z innej części świata, maleńkie, zielone filiżanki z delikatnej porcelany Ludu Morza. Herbata, rzecz jasna, smakowała jak prawdziwa, ale mimo domieszki jakichś słodkich jagód albo ziela, którego nie rozpoznała, była zbyt gorzka jak na gust Egwene. Wyobraziła sobie, że zawiera odrobinę miodu, i upiła jeszcze jeden łyk. Za słodka. Trochę mniej miodu. Teraz smakowała doskonale. Czegoś takiego nie dawało się osiągnąć przy użyciu Mocy. Zdaniem Egwene, raczej nikt nie potrafiłby utkać tak cieniuteńkich splotów saidara, by usunąć miód z herbaty.

Przez chwilę siedziała i zaglądała do filiżanki, rozmyślając o miodzie, herbacie i cienkich splotach saidara, ale nie z tego powodu milczała. Mądre chciały kierować Randem w nie mniejszym stopniu niż Elaida, Romanda i Lelaine oraz najprawdopodobniej wszystkie inne Aes Sedai. Rzecz jasna, one chciały popychać Car'a'carna w stronę najlepszą dla Aielów, za to siostry chciały pokierować Smokiem Odrodzonym ku temu, co było najlepsze dla świata, tak jak one to widziały. Nie oszczędziła siebie. Pomaganie Randowi, niedopuszczanie, by wszedł w nierozstrzygalny konflikt z Aes Sedai, to wszystko także oznaczało kierowanie nim.

"Tyle że ja mam rację - uprzytomniła sobie. - Robię to wszystko nie tylko dla

dobra innych, ale także dla niego. One nawet się nie zastanowią, co będzie w jego oczach słuszne". Lepiej jednak było pamiętać, że te kobiety są kimś więcej niż tylko jej przyjaciółkami i wyznawczyniami Car'a'carna. Egwene nauczyła się już, że nikt nigdy nie jest po prostu tym, kim jest.

- Chyba nie chciałaś nam tylko powiedzieć, że jesteś teraz kobietą-wodzem mieszkańców mokradeł - rzekła Amys, nie odejmując filiżanki od ust. - Co zaprząta twój umysł, Egwene al'Vere?

- To co zawsze. - Uśmiechnęła się, chcąc poprawić nastrój. - Czasami mi się wydaje, że przez tego Randa przedwcześnie osiwieję.

- Gdyby nie mężczyźni, żadna kobieta nie miałaby siwych włosów. - W normalnej sytuacji Melaine wygłosiłaby to w charakterze żartu, a Bair dorzuciłaby inny na temat rozległej wiedzy o mężczyznach, jaką Melaine nabyła podczas kilku miesięcy małżeństwa, ale nie tym razem. Wszystkie trzy kobiety tylko patrzyły na Egwene i czekały.

A więc to tak. Chciały zachować powagę. No cóż, Rand to poważna sprawa. Żałowała tylko, że nie może mieć pewności, iż one patrzą na wszystko w taki sam sposób jak ona. Bawiąc się filiżanką, opowiedziała im o wszystkim. A w każdym razie o Randzie i o obawach, które nią owładnęły, odkąd się dowiedziała o milczeniu ze strony Caemlyn.

- Nie wiem, co on zrobił... albo co ona zrobiła; wszystkie mnie przekonuj ą, że Merana jest niezwykle doświadczona, ale przecież nie miała do czynienia z takimi jak on. Jeżeli idzie o Aes Sedai, spróbujcie ukryć tę filiżankę na jakiejś łące, a jemu i tak uda się na nią nadepnąć w kręgu o promieniu trzech kroków. Wiem, że ja poradziłabym sobie lepiej niż Merana, ale...

- Mogłabyś wrócić - ponownie zaproponowała Bair, lecz Egwene stanowczo potrząsnęła głową.

- Mogę zrobić więcej tu, gdzie jestem, jako Amyrlin. A poza tym istnieją pewne zasady, których przestrzegać musi nawet Zasiadająca na Tronie Amyrlin. - Wykrzywiła usta. Nie lubiła przyznawać się do tego, zwłaszcza przed tymi kobietami. - Nie mogę go choćby odwiedzać bez zgody Komnaty. Jestem teraz Aes Sedai i muszę się stosować do naszych zasad. - Wypowiedziała to ze znacznie większym żarem, niż zamierzyła. To było głupie prawo, ale nie znalazła dotąd sposobu na to, by je obejść. A poza tym na pewno naigrawały się z niej w duchu, bo na ich twarzach malowało się tak niewiele. Nawet wódz klanu nie miał prawa mówić, kiedy albo dokąd jakaś Mądra może iść.

Trzy kobiety siedzące naprzeciwko niej wymieniły długie spojrzenia. Potem Amys odstawiła filiżankę i powiedziała:

- Merana Ambrey i inne Aes Sedai udały się w ślad za Car'a'carnem do miasta zabójców drzew. Nie musisz się obawiać, że on postąpi niewłaściwie wobec niej albo którejś z towarzyszących jej sióstr. Dopilnujemy, by nie doszło do żadnych spięć między nim a Aes Sedai.

- To raczej niepodobne do Randa - odparła Egwene z niedowierzaniem. A zatem Sheriam miała rację co do Merany. Tylko dlaczego ona wciąż milczy?

Bair zaniosła się śmiechem.

- Większość rodziców dzieli więcej od własnych dzieci niźli Car'a'carna od tych kobiet, które przybyły razem z Meraną Ambrey.

- Pod warunkiem, że on sam nie jest dzieckiem - zachichotała Egwene, ucieszywszy się, że kogoś tu cokolwiek śmieszy. Te kobiety zaczęłyby pluć gwoździami,

gdyby uznały, że któraś siostra ma na niego jakiś wpływ. A z drugiej strony Merana musiała jakiś uzyskać, bo inaczej byłaby już gotowa do wyjazdu. - A jednak Merana powinna przysłać jakiś raport. Nie pojmuję, dlaczego jeszcze tego nie zrobiła. Jesteście pewne, że nie ma... - Nie wiedziała, jak skończyć. Rand nie byłby w stanie powstrzymać Merany przed wysłaniem gołębia.

- Może wysłała człowieka na koniu. - Amys skrzywiła się nieznacznie; podobnie jak inni Aielowie, uważała jazdę konną za coś odrażającego. Człowiekowi powinny wystarczyć własne nogi. - Nie przywiozła z sobą żadnych ptaków, którymi posługują się mieszkańcy bagien.

- To głupota z jej strony - mruknęła Egwene. Głupota to mało powiedziane. Merana na pewno otaczała swoje sny tarczą, więc nie było sensu próbować rozmawiać z nią tutaj. Nawet gdyby dała radę je znaleźć. Światłości, jakież to wszystko denerwujące! Pochyliła się z napięciem do przodu. -Amys, obiecaj mi, że nie będziesz się starała mu przeszkodzić, jeżeli zechce się z nią rozmówić, ani nie rozzłościsz jej tak, że zrobi coś głupiego. - Do tego były zdolne, więcej niż tylko zdolne. Rozwścieczanie Aes Sedai doprowadziły do rangi Talentu. - Jej zadaniem jest przekonanie go, że nie chcemy mu nic zrobić. Jestem pewna, że Elaida ukrywa pod swymi spódnicami jakąś obrzydliwą niespodziankę, ale my żadnej nie szykujemy. - Już ona tego dopilnuje. Zrobi to, jakoś. - Obiecacie mi?

Wymieniły miedzy sobą nieodgadnione spojrzenia. Nie mógł im się podobać pomysł dopuszczania jakiejś siostry blisko Randa i to bez stawiania jej żadnych przeszkód. Jedna z nich na pewno wymyśli sposób, żeby być obecną wszędzie tam, gdzie znajdzie się Merana.

- Obiecuję, Egwene al'Vere - powiedziała wreszcie Amys, głosem płaskim jak

ociosany kamień.

Prawdopodobnie poczuła się obrażona, że Egwene zażądała od niej przyrzeczeń, za to Egwene poczuła się tak, jakby ktoś zdjął z niej wielki ciężar. Dwa ciężary. Rand i Merana nie skoczyli sobie do gardeł i Merana będzie miała szansę osiągnąć to, po co ją wysłano.

- Wiedziałam, że ty powiesz mi niczym nie skażoną prawdę, Amys. Nie umiem wyrazić, jak bardzo się cieszę, że to słyszę. Skoro nie doszło do niczego złego między Randem i Meraną... Dziękuję ci.

Zaskoczona zamrugała. Amys przez krótką chwilę miała na sobie cadin'sor. A oprócz tego wykonała jakiś dziwny gest. Być może jakiś znak wzięty z Mowy Panien. Ani Bair, ani Melaine, popijające herbatę, nie dały po sobie poznać, że coś zauważyły. Amys zapewne żałowała, że nie znajduje się gdzieś indziej, z dala od tego galimatiasu, który Rand tworzył z życia wszystkich. Utrata panowania nad sobą w Tel'aran'rhiod, choćby tylko na chwilę byłaby czymś zawstydzającym dla Mądrej i spacerującej po snach. Aiel, którego spotkała hańba, cierpiał o wiele bardziej niż pod wpływem fizycznego bólu, ale ktoś musiał być świadkiem zdarzenia, by hańba stała się faktem. Sprawy jakby w ogóle nie było, jeżeli nikt niczego nie widział, względnie świadkowie nie chcieli niczego poświadczyć. To był dziwny naród, ale ona z pewnością nie chciała zawstydzać Amys. Wygładziwszy twarz, mówiła dalej, jakby nic się nie zdarzyło.

- Muszę was poprosić o przysługę. O ważną przysługę. Nie mówcie Randowi... ani w ogóle nikomu... o mnie. O tym, chciałam powiedzieć. - Uniosła kraniec swej stuły. W porównaniu z wyrazem ich twarzy najgłębszy spokój Aes Sedai wydałby się wyrazem szaleństwa. Nawet kamień nie wytrzymałby porównania. - Nie mam na myśli kłamstwa - dodała pospiesznie. Zgodnie z ji'e'toh proszenie kogoś, by skłamał,

było czymś niewiele lepszym niż kłamanie samemu. - Po prostu nie poruszajcie tego tematu. On już wysłał kogoś, żeby mnie "uratował".

"Przecież i tak będzie wściekły, kiedy się dowie, że posłałam Mata do Ebou Dar razem z Nynaeve i Elayne" - pomyślała. Ale naprawdę musiała.

- Mnie nie trzeba ratować i ja tego nie chcę, ale on uważa się za mądrzejszego od innych. Obawiam się, że mógłby sam na mnie zapolować. - Co właściwie przerażało ją bardziej? To, że mógłby się pojawić w obozie sam, wściekły, wśród trzystu Aes Sedai, czy to, że mógłby się pojawić z jakimiś Asha'manami? Tak czy siak, katastrofa.

- To byłoby... niefortunne - mruknęła Melaine, która rzadko kiedy uciekała się do niedomówień, a Bair burknęła:

- Car'a'carn jest uparty. Równie paskudnie jak wszyscy mężczyźni, których poznałam w życiu. I kilka kobiet, skoro już o tym mowa.

- Będziemy strzegły twej tajemnicy, Egwene al'Vere - oznajmiła uroczyście Amys.

Egwene aż zamrugała ze zdziwienia, że tak szybko się zgodziły. Ale może to wcale nie było takie zaskakujące. Dla nich Car'a'carn był tylko jeszcze jednym z wodzów, tyle że nieco ważniejszym, a Mądre z pewnością były znane z tego, że ukrywały różne sprawy przed wodzami, jeśli uważały, że nie powinni o nich wiedzieć. Potem nie pozostało już wiele do powiedzenia, ale rozmawiały jeszcze chwilę przy kolejnych filiżankach herbaty. Tęskniła za lekcjami spacerowania po snach, ale nie mogła o nie poprosić w obecności Amys. Amys odeszłaby, a jej towarzystwa pragnęła bardziej jeszcze niż nauki. O tym, co właściwie porabia Rand, nie dowiedziała się prawie niczego; Melaine wprawdzie burknęła, że powinien natychmiast wykończyć Shaido i Sevannę, ale zarówno Bair, jak i Amys spojrzały na

nią tak krzywo, że aż spąsowiała. Ostatecznie Sevanna była Mądrą, o czym Egwene wiedziała aż za dobrze. Nawet Car'a'carn nie mógł stawać na drodze poczynań jakiejś Mądrej, nieważne, czy szło o Mądrą Shaido. I sama ze swej strony nie mogła im zdradzić szczegółów własnej sytuacji. Fakt, że natychmiast wychwyciły najbardziej żenujący element całej sprawy, w niczym nie umniejszałby wstydu, jaki by odczuwała, opowiadając o tym - przy Aielach było strasznie trudno nie zachowywać się albo wręcz nie myśleć tak jak oni. Egwene uważała zresztą, że to wszystko zawstydzałoby ją nawet wtedy, gdyby nigdy nie poznała Aielów - a poza tym rady, jakich udzielały jej ostatnimi czasy odnośnie do traktowania Aes Sedai, były takiej natury, że zapewne nie skorzystałaby z nich sama Elaida. Jakkolwiek nieprawdopodobnie by to brzmiało, ich zastosowanie mogło doprowadzić do buntu Aes Sedai. A poza tym Mądre już i tak myślały o Aes Sedai źle, więc doprawdy nie należało dolewać oliwy do ognia. Wręcz przeciwnie, wiedziała, że musi ten ogień ugasić, bo zamierzała któregoś dnia stworzyć jakieś łącze między Mądrymi a Białą Wieżą. Tyle że znowu nie miała pojęcia jak.

- Muszę już iść - powiedziała na koniec i wstała. Jej pogrążone we śnie ciało leżało w namiocie, ale człowiek nie wypoczywał dostatecznie, jeżeli przebywał w Tel'aran'rhiod. Pozostałe podniosły się razem z nią. - Mam nadzieję, że wszystkie będziecie bardzo ostrożne. Moghedien mnie nienawidzi i będzie z pewnością starała się zaszkodzić każdemu, kto się ze mną przyjaźni. Ona dużo wie o Świecie Snów. Co najmniej tyle samo, ile wiedziała Lanfear. -Tyle tylko mogła powiedzieć, nie mówiąc otwarcie, że Moghedien wie prawdopodobnie więcej niż one. Aielowie bywali niezwykle drażliwi na punkcie swej dumy. Niemniej jednak Mądre zrozumiały, co chciała im przekazać, i wcale nie poczuły się urażone.

- Gdyby Jeźdźcy Cienia chcieli nam zagrozić - powiedziała Melaine - to moim

zdaniem do tej pory już by to zrobili. Być może uważają, że nie jesteśmy dla nich niebezpieczne.

- Widujemy przelotnie osoby, które najprawdopodobniej są spacerującymi po snach, w tym również mężczyzn. -Bair z niedowierzaniem potrząsnęła głową; niezależnie od tego, co wiedziała na temat Przeklętych, uważała mężczyzn spacerujących po snach za zjawisko równie powszechne jak nogi węży. - Oni nas unikają. Wszyscy.

- Moim zdaniem są równie silni jak my - dodała Amys. We władaniu Jedyną Mocą ona i Melaine nie były silniejsze od Theodrin i Faolain, bynajmniej nie słabe, w rzeczy samej silniejsze od większości Aes Sedai, ale daleko im też było do siły Przeklętych, jednakże w Świecie Snów wiedza o Tel'aran'rhiod często stanowiła narzędzie równie potężne jak saidar, niekiedy nawet jeszcze potężniejsze. W tym Bair dorównywała każdej siostrze. - Ale będziemy uważały. Zabija cię ten, którego nie docenisz.

Egwene ujęła za rękę Amys i Melaine i ujęłaby też Bair, gdy to było możliwe. Zamiast tego obdarzyła ją uśmiechem.

- Nie potrafię wyrazić, ile dla mnie znaczy wasza przyjaźń, ile wy same dla mnie znaczycie. - Tak właśnie brzmiała prosta prawda, wbrew wszystkiemu. - Świat zdaje się zmieniać za każdym razem, kiedy zamrugam. Wy trzy należycie do jego nielicznych stałych punktów.

- Świat rzeczywiście się zmienia - zgodziła się ze smutkiem Amys. - Nawet góry starzeją się na wietrze, więc nikt nie jest w stanie wspiąć się dwa razy na to samo wzgórze. Mam nadzieję, że zawsze będziesz w nas widziała przyjaciółki, Egwene al'Vere. Obyś zawsze znajdowała wodę i cień. - I z tym zniknęły, powracając do swoich

ciał.

Przez jakiś czas stała i patrzyła krzywo na Callandora, nie widząc go tak naprawdę, aż nagle otrząsnęła się z irytacją. Rozmyślała o tych bezkresnych, gwiezdnych polach. Jeżeli będzie tu czekała dostatecznie długo, wówczas sen Gawyna odnajdzie ją ponownie i ogarnie w taki sam sposób, w jaki jego ramiona ogarną ją wkrótce potem. Miły sposób na spędzenie pozostałej części nocy. A także dziecinna strata czasu.

W końcu wzięła się w garść i wstąpiła z powrotem do swego śpiącego ciała, ale nie do zwykłego snu. Tego już w ogóle nie robiła. Ten jeden zakamarek jej umysłu pozostawał w pełni świadomy; prowadził katalog jej snów, wybierając te, które przepowiadały przyszłość albo w każdym razie ukazywały przebłyski możliwych dróg, jakie mogła obrać. Przynajmniej tyle teraz mogła orzec, aczkolwiek jedyny sen, jaki dotychczas potrafiła zinterpretować, mówił jej, że Gawyn zostanie jej Strażnikiem. Aes Sedai nazywały tę umiejętność Śnieniem, a kobiety, które ją posiadały, Śniącymi. Wszystkie oprócz niej od dawna już nie żyły, ale to nie miało nic wspólnego z Jedyną Mocą, tak jak spacerowanie po snach.

Być może dlatego właśnie najpierw przyśnił jej się Gawyn, ponieważ to o nim myślała.

Stała w wielkiej, mrocznej komnacie, gdzie wszystko było niewyraźne, jakby zamazane. Wszystko z wyjątkiem Gawyna, który wolnym krokiem szedł w jej stronę. Wysoki, piękny mężczyzna - jak mogło jej kiedykolwiek przyjść do głowy, że jego przyrodni brat, Galad, jest piękniejszy? - ze złotymi włosami i oczyma cudownej, ciemnoniebieskiej barwy. Musiał jeszcze pokonać pewną odległość, ale widział ją; utkwił w niej wzrok niczym łucznik w tarczy. W powietrzu rozbrzmiewały ciche

odgłosy chrzęstu i zgrzytania. Spojrzała w dół i poczuła, jak rośnie w niej pragnienie krzyku. Gawyn szedł boso po posadzce z tłuczonego szkła. Nawet w tak bladym świetle widziała ślady krwi pozostawione przez jego poranione stopy. Zamachała ręką, usiłowała krzyknąć, żeby się zatrzymał, próbowała pobiec do niego, ale równie szybko znalazła się gdzieś indziej.

Tak, jak to bywa we snach, unosiła się ponad długą, prostą drogą, biegnącą przez trawiastą równinę, i patrzyła na mężczyznę jadącego na czarnym wierzchowcu. Gawyn. Potem stała na drodze przed nim, a on ściągnął wodze. Nie dlatego, że ją zobaczył, tylko po prostu dlatego, że droga, która do tego momentu biegła prosto, rozwidlała się w prawo w tym miejscu, gdzie stała Egwene, a dalej pięła się po wysokich wzgórzach, więc nikt nie mógł widzieć, dokąd prowadzi. Ona to jednak wiedziała. Za jednym rozwidleniem czekała straszna śmierć, za tym drugim długie życie i kres we własnym łóżku. Na jednej drodze Gawyn ożeni się z nią, na drugiej nie. Wiedziała, co jest dalej, ale nie miała pojęcia, która droga wiedzie do czego. Zobaczył ją nagle, bo uśmiechnął się, po czym skierował konia w stronę jednej z odnóg... I wtedy znalazła się w innym śnie. I jeszcze innym. I jeszcze innym. I jeszcze raz.

Nie wszystkie miały związek z przyszłością. Sny o całowaniu się z Gawynem, o bieganiu po chłodnej, wiosennej łące z siostrami, tak jak wtedy, kiedy były małe, przesuwały się tuż obok koszmarów, w których Aes Sedai z rózgami goniły ją po nie kończących się korytarzach, gdzie z cieni wyłaniały się ukradkiem jakieś bezkształtne potwory, gdzie wyszczerzona w uśmiechu Nicola zdradziła ją przed Komnatą, a Thom Merrilin wystąpił naprzód, by dostarczyć dowodów. Te odrzucała; tamte odkładała na później, w nadziei, że być może zrozumie, co oznaczają.

Stała przed ogromnym murem, wczepiona weń paznokciami, usiłując go obalić

gołymi dłońmi. Mur nie został zbudowany ani z cegły, ani z kamienia, tylko z nieprzeliczonych tysięcy krążków, w połowie białych i w połowie czarnych - starożytnych symboli Aes Sedai, podobnych do tych siedmiu pieczęci, które niegdyś zamykały więzienie Czarnego. Niektóre z nich połamały się, mimo iż nawet Jedyna Moc nie była w stanie zniszczyć cuendillara, a reszta jakimś sposobem osłabła, ale mur stał niewzruszony, mimo iż silnie na niego napierała. Po prostu nie była w stanie go obalić. Może stanowił symbol tego, co ważne. Może starała się obalić nie mur, ale Aes Sedai, Białą Wieżę. Może...

Na szczycie otulonego w nocny mrok wzgórza siedział Mat i przypatrywał się wspaniałemu pokazowi ogni sztucznych Iluminatorów; nagle wyrzucił rękę w górę i schwycił jedną z ognistych rac, która właśnie wybuchła na niebie. Z jego zaciśniętej pięści wytrysnęły ogniste strzały i wtedy wypełnił ją strach. Będą ginęli ludzie. Świat się zmieni. Ale świat wciąż się zmieniał; zawsze tak było.

Pęta krępujące pas i ręce przytrzymywały ją mocno przy skale; katowski topór opadał, ale wiedziała, że gdzieś ktoś biegnie i że jeżeli będzie biegł dostatecznie szybko, to topór się zatrzyma. Jeżeli zaś nie... Poczuła dreszcz w jakimś zakamarku umysłu. Logain, zaśmiewając się, przestąpił przez jakiś kształt leżący na ziemi i wszedł na czarny kamień; kiedy spojrzała w dół, wydało jej się, że to ciało Randa, ułożone na marach, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, ale kiedy dotknęła jego twarzy, ta rozdarła się niczym skóra papierowej lalki.

Złoty jastrząb rozpostarł skrzydła i dotknął jej; jakimś sposobem ona i ptak byli ze sobą skrępowani wspólnymi pętami. Wiedziała tylko, że ten jastrząb to samica. Obcy mężczyzna umierał, leżał na łóżku, i było ważne, żeby nie umarł, a jednak na zewnątrz budowano pogrzebowy stos i czyjeś głosy śpiewały o radości i smutku.

Młody, ciemnoskóry mężczyzna trzymał w ręku przedmiot, który błyszczał tak jasno, że nie potrafiła się zorientować, co to takiego.

Sny nawiedzały ją jeden za drugim, a ona porządkowała je gorączkowo, desperacko starając się pojąć. Nie zaznała w nich odpoczynku, ale musiała to robić. Będzie robić to, co musi.

ROZDZIAŁ 11

PRZYSIĘGA

- Prosiłaś, by cię obudzono przed wschodem słońca, Matko.

Egwene natychmiast otworzyła oczy - wcześniej postanowiła, że obudzi się za kilka chwil - i odruchowo wbiła się z powrotem w poduszkę na widok pochylającej się nad nią twarzy, srogiej i uroczystej mimo warstewki potu. Niezbyt przyjemny widok o tak wczesnej porze. Meri traktowała ją z najwyższym szacunkiem, ale ten spiczasty nos, stale wykrzywione usta i ciemne oczy pełne przygany mówiły, że ich właścicielka w życiu nie widziała nikogo, kto bodaj w połowie byłby taki, jak należy, a zimny ton jej głosu wypaczał znaczenie każdego słowa.

- Mam nadzieję, że dobrze się wyspałaś, Matko - powiedziała z miną oskarżającą Egwene o gnuśność. Czarne włosy, skręcone w ciasne zwoje za uszami, zdawały się boleśnie ściągać twarz. Bezlitosne, bure szarości, w które się ubierała, mimo iż mocno się przez nie pociła, dodatkowo potęgowały ten ponury wizerunek.

Egwene pożałowała, że jednak nie wypoczęła jak należy. Ziewając, wstała z wąskiego posłania, wyszorowała zęby solą, a potem umyła twarz i ręce, gdy tymczasem Meri szykowała ubrania, które miała włożyć tego dnia. Następnie wdziała pończochy i czystą bieliznę, a potem odcierpiała jeszcze ceremoniał ubierania jej. "Odcierpiała" to było właściwe słowo.

- Obawiam się, że niektóre z tych kołtunów będą ciągnęły, Matko-mruknęła ponura kobieta, przeciągając szczotką po włosach Egwene, a Egwene omal nie odparła, że nie poplątała ich przecież specjalnie podczas snu.

- Jak rozumiem, zostajemy dziś tutaj na popas, Matko. - Krańcowe lenistwo, mówiło odbicie Meri w stojącym lustrze. - Ten niebieski odcień znakomicie podkreśla twoją karnację, Matko - dodała w trakcie zapinania guzików Egwene, z twarzą oskarżającą ją o próżność.

Przepełniona ulgą, że wieczorem będzie usługiwała jej Chesa, Egwene wdziała stułę i niemal uciekła, zanim kobieta zdążyła skończyć.

Na wschodzie, za wzgórzami nie pojawił się jeszcze nawet brzeżek tarczy słońca. Ziemia wypiętrzała się w długich graniach i nieregularnych pagórkach, niekiedy sięgających setek stóp; częstokroć wyglądały tak, jakby ścisnęły je czyjeś ogromne palce. Cienie przywodzące na myśl zmierzch oblewały obozowisko usytuowane w jednej z dzielących je szerokich dolin, ale skwar, który ani na moment nie ustąpił, powodował, że panowało w nim spore ożywienie. Powietrze przepełniała woń porannej strawy i wszędzie krzątali się ludzie, aczkolwiek nie było tam tej gorączkowości, która oznaczałaby wstęp do całodniowego marszu. Rzucały się w oczy zaaferowane, poruszające niemalże biegiem nowicjuszki odziane w biel; roztropna nowicjuszka zawsze wykonywała swe codzienne obowiązki najszybciej, jak się dało. Strażnicy nie zdradzali oznak pośpiechu, rzecz jasna, ale nawet słudzy niosący poranny posiłek dla Aes Sedai zdawali się chodzić spacerowym krokiem tego ranka. Cóż, prawie. W porównaniu z nowicjuszkami. Całe obozowisko korzystało z postoju. Szczęk i przekleństwa towarzyszące przewróceniu się podnośnika oznaczały, że woźnice zabrali się do naprawy wozów, a dalekie postukiwanie młotów, że kowale

podkuwali konie. Rzemieślnicy, którzy wytwarzali świece, ustawili już swoje odlewy i podgrzewali kotły, w których mieli przetapiać skrupulatnie gromadzone ogarki wszystkich wypalonych świec. Na ogniskach stały jeszcze inne, wielkie, czarne kotły; gotowała się w nich woda na kąpiel i pranie; mężczyźni i kobiety układali w pobliżu stosy ubrań. Egwene jednakże nie zwracała na to wszystko większej uwagi.

Była pewna, że Meri nie zachowuje się tak umyślnie, ona po prostu nie panowała nad swoją twarzą. Niemniej jednak lepiej byłoby zatrudnić w charakterze pokojówki Romandę. Roześmiała się w głos, gdy to jej przyszło do głowy. Romanda zatrudniona u jakiejś damy podporządkowałaby sobie swoją w chlebodawczynię w mgnieniu oka; bez wątpienia od razu byłoby wiadomo, która z tej pary ma biegać i przynosić. Siwowłosy kucharz przestał wygarniać węgle z żelaznego piecyka i uśmiechnął się do niej przyjaźnie. Tylko przez chwilę jednak, bo potem dotarło do niego, że uśmiecha się do Zasiadającej na Tronie Amyrlin, a nie do jakiejś pierwszej lepszej młodej kobiety przechodzącej obok; uśmiech zbladł, mężczyzna ukłonił się pospiesznie i ponownie zgarbił nad swoją pracą.

Gdyby odesłała Meri, Romanda i tak znalazłaby nowego szpiega. A Meri znowu by głodowała, wędrując od wioski do wioski. Poprawiwszy suknię - naprawdę wyszła z namiotu, zanim ta kobieta skończyła ją ubierać - wymacała niewielki; lniany woreczek, którego sznureczki miała zatknięte pod pasem. Nie musiała go przykładać do nosa, by wyczuć różane płatki i mieszankę ziół o chłodnym zapachu. Westchnęła. Twarz kata, bez wątpienia szpiegowała na rzecz Romandy, ale starała się wykonywać swe obowiązki najlepiej jak potrafiła. Dlaczego te sprawy nigdy nie są łatwe?

Kiedy podchodziła do namiotu, który służył jej za gabinet - wielu nazywało go gabinetem Amyrlin, jakby znajdował się w komnatach Wieży - zmartwienie z powodu

Meri ustąpiło miejsca ponurej satysfakcji. Za każdym razem, kiedy robili całodniowy popas, w namiocie czekała na nią Sheriam ze stertami petycji. Praczka, przyłapana na wszywaniu biżuterii do fałd sukni, błagała o oczyszczenie z zarzutu kradzieży albo kowal prosił o świadectwo pracy, którego nie mógł wykorzystać, o ile nie zamierzał odejść, a prawdopodobnie później również nie miałby z niego pożytku. Rymarz domagał się modlitwy Amyrlin, żeby jego żona urodziła córkę. Jeden z żołnierzy lorda Bryne'a zwracał się o osobiste błogosławieństwo Amyrlin na jego ślub ze szwaczką. Zawsze jakaś większa grupa starszych nowicjuszek dopraszała się wizyt u Tiany i nawet dodatkowych obowiązków. Każdy miał prawo zwracać się z petycją do Amyrlin, jednak te, które służyły w Wieży, robiły to rzadko, a nowicjuszki nigdy. Egwene podejrzewała, że Sheriam stara się wygrzebywać petentów, kogokolwiek, byle tylko posmarować kotu łapy, czyli trzymać Amyrlin z dala od włosów Opiekunki, która już sama zadba o to, co jej zdaniem jest ważne. Tego ranka Egwene pomyślała, że z chęcią zmusi Sheriam, by zjadła wszystkie petycje na śniadanie.

A jednak nie zastała Sheriam w namiocie. Co raczej nie zaskakiwało, jeśli wziąć pod uwagę ostatnią noc. A mimo to w środku nie było pusto.

- Oby cię Światłość opromieniła tego ranka, Matko -powiedziała Theodrin i złożyła głęboki ukłon, od którego zakołysały się brązowe frędzle jej szala. Miała w sobie całą tę osławioną gracje kobiet Domani, ale suknia z wysokim karczkiem była doprawdy całkiem skromna. Kobiety Domani nie były znane ze skromności. - Zrobiłyśmy tak, jak rozkazałaś, ale nie widziałyśmy nikogo w pobliżu namiotu "Marigan" ubiegłej nocy.

- Niektórzy z mężczyzn przypomnieli sobie, że dostrzegli Halimę - dodała kwaśnym tonem Faolain, o wiele krócej uginając kolana - ale skądinąd ledwie

pamiętali, o jakiej porze udali się na spoczynek. - Wiele kobiet nie aprobowało sekretarki Delany, ale to przy wygłaszaniu następnej uwagi krągła twarz Faolain stała się jeszcze ciemniejsza niż zwykle. - Kiedy się tam błąkałyśmy, napotkałyśmy Tianę. Kazała nam położyć się do łóżek, i to szybko. - Odruchowo pogładziła niebieskie frędzle przy swoim szalu. Świeżo upieczone Aes Sedai niemal zawsze noszą szale częściej niż naprawdę trzeba, tak twierdziła Siuan.

Egwene obdarowała je uśmiechem, zachęcającym-miała nadzieję - po czym zajęła swoje miejsce za niewielkim stolikiem. Ostrożnie; krzesełko odrobinę się przechyliło, ale natychmiast sięgnęła ręką i wyprostowała jedną z nóg. Spod kamiennego kałamarza wyglądał skrawek pergaminu. Aż ją ręce zaświerzbiały, ale zmusiła je do bezruchu. Zbyt wiele sióstr uważało, że wcale nie muszą okazywać innym uprzejmości. Nie będzie jedną z nich. A poza tym miała dług u tych dwóch.

- Przepraszam was za te trudności, córki. - Wyniesione do godności Aes Sedai mocą dekretu, który wydała z okazji wyniesienia jej na tron Amyrlin, znajdowały się w równie trudnym położeniu jak ona, ale brakowało im tej skromnej wprawdzie, ale zawsze tarczy, jaką była stuła Amyrlin. Większość sióstr zachowywała się tak, jakby Theodrin i Faolain były nadal jedynie Przyjętymi. Rzadko kiedy wiedziano o tym, co się dzieje w ramach samych Ajah, ale chodziły słuchy, jakoby one naprawdę musiały błagać o przyjęcie i że wyznaczono osoby dozorujące ich poczynania. Nikt dotychczas nie słyszał o czymś podobnym, ale wszyscy uznawali to za fakt. Słowem, nie oddała im żadnej przysługi. Uczyniła tylko jeszcze jedną rzecz, która była konieczna. - Porozmawiam z Tianą. - Może to przyniesie pożądany rezultat. Na jeden dzień, na godzinę.

- Dziękuję ci, Matko - odparła Theodrin - ale nie musisz zaprzątać sobie głowy. -

Mimo to ona również musnęła palcami szal. - Tiana chciała wiedzieć, dlaczego o tak późnej porze jesteśmy na nogach - dodała po chwili - ale my jej nie powiedziałyśmy.

- Nie ma konieczności trzymania tego w tajemnicy, córko. - A jednak szkoda, że nie znalazły żadnego świadka. Wybawca Moghedien zostanie tylko cieniem. A coś takiego zawsze przerażało najbardziej. Zerknęła na maleńki róg pergaminu, cała płonąc z pragnienia, żeby go nareszcie przeczytać. Może Siuan coś odkryła. - Dziękuję wam obu. - Theodrin zrozumiała, że to odprawa, i zaczęła się kierować do wyjścia, ale zatrzymała się, kiedy Faolain pozostała na swoim miejscu.

- Bardzo bym chciała dotknąć już Różdżki Przysiąg - powiedziała Faolain tonem wskazującym, że jest sfrustrowana - wiedziałabyś dzięki temu, że mówię prawdę.

- To nie pora zawracać głowę Amyrlin - zaczęła Theodrin, po czym założyła ręce i skierowała swoją uwagę na Egwene. Na jej twarzy cierpliwość mieszała się z czymś jeszcze. Ewidentnie silniejsza w korzystaniu z Mocy, zawsze obejmowała dowodzenie, ale tym razem była gotowa się wycofać. W imię czego, zastanawiała się Egwene.

- To nie Różdżka Przysiąg czyni z kobiety Aes Sedai, córko. - Wbrew temu, co się niektórym wydawało. - Powiedz mi prawdę, a ja ci uwierzę.

- Nie lubię cię. - Gęste, ciemne włosy Faolain zakołysały się, kiedy podkreśliła swe słowa, potrząsając głową. - Musisz o tym wiedzieć. Myślisz pewnie, że traktowałam cię wrednie w czasie, gdy sama byłaś nowicjuszką, kiedy wróciłaś do Białej Wieży po swojej ucieczce, ale nadal uważam, że nie otrzymałaś nawet połowy kary, na jaką sobie wtedy zasłużyłaś. Może dzięki temu wyznaniu uwierzysz, że mówię prawdę. Nie jest tak, że nie mam teraz żadnego wyboru. Romanda zaofiarowała się, że weźmie nas pod swoją ochronę, i podobnie Lelaine. Powiedziały, że dopilnują, abyśmy zostały poddane sprawdzianom i wyniesione, kiedy już wrócimy do Wieży. - Jej twarz

stawała się coraz bardziej gniewna; Theodrin przewróciła oczami i weszła jej w słowo.

- Matko, Faolain owija w bawełnę, nie przechodząc do sedna sprawy, a chce powiedzieć, że wcale nie dlatego związałyśmy się z tobą, że nie miałyśmy wyboru i czułyśmy wdzięczność za szal. - Wydęła wargi, jakby chciała dać do zrozumienia, że wyniesienie ich do godności Aes Sedai w sposób, w jaki uczyniła to Egwene, nie jest darem, który zasługiwałby na wielką wdzięczność.

- Zatem dlaczego? - spytała Egwene, odchylając się do tyłu. Krzesło przesunęło się, ale wytrzymało.

Faolain wtrąciła się, zanim Theodrin zdążyła otworzyć usta.

- Bo jesteś Zasiadającą na Tronie Amyrlin. - Ton jej głosu wskazywał, że nadal jest zła. - Widzimy, co się dzieje. Niektóre siostry są zdania, że jesteś marionetką Sheriam, a większość uważa, że to Romanda albo Lelaine mówią ci, gdzie i kiedy zrobić krok. Tak być nie powinno. - Jej twarz wykrzywiała teraz pogarda. - Opuściłam Wieżę, ponieważ to, co zrobiła Elaida, nie było słuszne. One wyniosły cię na Tron Amyrlin. A więc jestem twoja. Pod warunkiem, że ty mnie weźmiesz. Pod warunkiem, że mi zaufasz bez Różdżki Przysiąg. Musisz mi uwierzyć.

- A ty, Theodrin? - spytała szybko Egwene, opanowując się. Już sama wiedza o tym, co myślą siostry, była nieprzyjemna, usłyszenie tego ponownie było... bolesne.

- Ja też jestem twoja - westchnęła Theodrin - pod warunkiem, że mnie weźmiesz.

- Rozłożyła ręce w geście bezradności. - Wiem, że niewiele sobą przedstawiamy, ale wygląda na to, że nie jesteśmy wyjątkiem. Muszę przyznać, że wahałam się, Matko. To Faolain nalegała bezustannie, że powinnyśmy to zrobić. Szczerze mówiąc... - Ponownie niepotrzebnie poprawiła szal, a jej głos nabrał stanowczości. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jakim sposobem mogłabyś wygrać z Romandą i Lelaine. Ale

staramy się zachowywać tak, jak przystało na Aes Sedai, nawet jeśli jeszcze nimi nie jesteśmy. Bo nie zostaniemy nimi, Matko, cokolwiek powiesz, do czasu, aż siostry nie uznają, że jesteśmy Aes Sedai, a to nie nastąpi dopóty, dopóki nie zostaniemy poddane sprawdzianom i nie złożymy Trzech Przysiąg.

Egwene wyciągnęła zwitek pergaminu spod kałamarza i gładząc go palcem, zastanawiała się. To Faolain była siłą napędową? Myśl ta wydawała się równie nieprawdopodobna jak historia wilka zaprzyjaźniającego się z pasterzem. Podejrzewała, że słowo "niechęć"' byłoby wyjątkowo łagodnym określeniem na to, co Faolain do niej czuła, i musiała wiedzieć, że Egwene raczej nie uważa jej za potencjalną przyjaciółkę. Jeżeli zaakceptowały zarządzenia swoich Zasiadających, taka propozycja mogłaby stanowić dobry sposób na rozwianie jej podejrzeń.

- Matko - odezwała się Faolain i urwała. Po raz pierwszy przemówiła do Egwene w taki sposób. Zrobiła głęboki wdech i mówiła dalej. - Matko, wiem, że pewnie nie jest ci łatwo nam uwierzyć, ponieważ nigdy nie dotykałyśmy Różdżki Przysiąg, ale...

- Wolałabym, żebyś przestała to wywlekać-przerwała jej Egwene. Należało zachować ostrożność, ale nie mogła odrzucać wszystkich propozycji pomocy ze strachu przed spiskami. - Uważasz, że ludzie ufają Aes Sedai wyłącznie z powodu Trzech Przysiąg? Ludzie, którzy znają Aes Sedai, wiedzą, że siostra potrafi postawić prawdę na głowie i przewrócić ją na lewą stronę, jeżeli zechce. Ja osobiście uważam, że Trzy Przysięgi w takim samym stopniu szkodzą, jak pomagają, może nawet bardziej szkodzą. Będę ci wierzyła dopóty, dopóki się nie dowiem, że mnie okłamałaś, i będę ci ufała tak długo, aż nie pokażesz, że na to nie zasłużyłaś. Przecież każdy człowiek postępuje tak z drugim człowiekiem. - Przysięgi wcale tego nie zmieniały, jeśli się nad

tym zastanowić. Na ogół i tak trzeba było wierzyć siostrom na słowo. Przysięgi rodziły w ludziach jedynie większą podejrzliwość, sprawiając, że się zastanawiali, czy przypadkiem się nimi nie manipuluje, a jeśli tak, to w jaki sposób. - I jeszcze jedno. Wy dwie jesteście Aes Sedai. Nie chcę więcej słyszeć o tym, że musicie zostać poddane sprawdzianom, dotknąć Różdżki Przysiąg i innych tego typu rzeczy. Wystarczy, że musicie wysłuchiwać tych bzdur, więc po co jeszcze powtarzać je jak papugi. Czy wyraziłam się jasno?

Kobiety stojące po drugiej stronie stołu mruknęły pospiesznie, że wyraziła się jasno, po czym wymieniły przeciągłe spojrzenia. Tym razem to Faolain wyglądała na niezdecydowaną. Na koniec Theodrin podeszła posuwistymi krokami do krzesła Egwene, uklękła przy nim i ucałowała jej pierścień.

- Na Światłość i na moją nadzieję zbawienia i ponownego odrodzenia, ja, Theodrin Dabei, przysięgam ci lojalność, Egwene al'Vere, przysięgam wiernie ci służyć i okazywać posłuszeństwo na ból i honor własnego żywota. - Spojrzała pytająco na Egwene.

Egwene jakoś się powstrzymała i nie przytaknęła. To nie był element rytuału Aes Sedai; w taki sposób arystokrata przysięgał lojalność swemu władcy. A skądinąd nawet niektórzy władcy nie wymagali tak daleko idących przysiąg. A mimo to, ledwie Theodrin powstała z uśmiechem ulgi, jej miejsce zajęła Faolain.

- Na Światłość i na moją nadzieję zbawienia i ponownego odrodzenia, ja, Faolain Orande...

Więcej niż mogła sobie życzyć. A w każdym razie ze strony sióstr, które przecież nie były takie skore posyłać po płaszcz innej siostry, kiedy zrywał się wiatr.

Faolain skończyła, ale nadal klęczała, sztywno wyprostowana.

- Matko, pozostaje jeszcze sprawa mojej pokuty. Za to, że powiedziałam, że cię nie lubię. Sama ją sobie wyznaczę, jeśli tak zechcesz, ale to twoje prawo. - Jej głos był równie sztywny jak postawa, ale bynajmniej nie wyrażał strachu. Była gotowa spiorunować wzrokiem lwa. Chciała to zrobić, w rzeczy samej.

Egwene zagryzła wargę, omal nie wybuchając głośnym śmiechem. Zachowanie powagi kosztowało ją wiele wysiłku; może one uznają, że to czkawka. Mogły nie wiadomo jak często powtarzać, że nie są tak naprawdę Aes Sedai, a mimo to Faolain właśnie dowiodła, jak bardzo nią jest. Siostry niekiedy wyznaczały same sobie pokutę, żeby zachować równowagę między dumą a upokorzeniem - ta równowaga była rzekomo wysoko ceniona i zazwyczaj stanowiła jedyny podawany powód - ale z pewnością żadna nigdy nie dążyła do tego, by im ją wyznaczył ktoś inny. Pokuta wyznaczona przez inną siostrę mogła być surowa, a od Amyrlin oczekiwano, że będzie jeszcze bardziej surowa niż Ajah. Niezależnie jednak od tego wszystkiego wiele sióstr z całą pychą demonstrowało uległość wobec nadrzędnej woli innych Aes Sedai, arogancko okazując swój brak arogancji. Duma z upokorzenia, tak to nazywała Siuan. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć tej kobiecie, że będzie musiała zjeść garść mydła po to tylko, by zobaczyć jej minę - Faolain miała cięty język - ale zamiast tego...

- Ja nie wyznaczam pokuty za mówienie prawdy, dziecko. Albo za to, że ktoś mnie nie lubi. Możesz mnie sobie nie lubić, jeśli tak każe ci serce, pod warunkiem, że dotrzymasz przysięgi. - Co wcale nie znaczyło, by ktokolwiek oprócz Sprzymierzeńca Ciemności złamał tak szczególną przysięgę. A jednak zawsze istniały sposoby na obejście wszystkiego. Ale z kolei cienkie patyki są lepsze niż żadne, kiedy człowiek broni się przed niedźwiedziem.

Faolain wytrzeszczyła oczy, a Egwene westchnęła i dała jej znak, że ma wstać.

Gdyby ich role były odwrócone, Faolain wetknęłaby jej nos w piach.

- Na początek wyznaczam wam dwa zadania, córki -mówiła dalej.

Wysłuchały uważnie; Faolain nawet nie mrugnęła, Theodrin zaś w zamyśleniu przytknęła palec do ust. Tym razem, kiedy je odprawiała, powiedziały unisono:

- Jak każesz, Matko.

Dobry nastrój Egwene ulatniał się jednak. Po wyjściu Theodrin i Faolain zjawiła się Meri ze śniadaniem na tacy, a kiedy Egwene podziękowała jej za woreczek z różanymi płatkami, powiedziała:

- Miałam kilka wolnych chwil, Matko. - Sądząc z wyrazu jej twarzy, równie dobrze mogła oskarżać Egwene o to, że każe jej tak ciężko pracować, albo że sama nie pracuje dostatecznie ciężko. Niezbyt smaczna przyprawa do duszonych owoców. A skoro już o tym mowa, twarz tej kobiety mogłaby zakwasić miętową herbatę i sprawić, że ciepła, chrupiąca bułeczka stwardnieje na kamień. Egwene odesłała ją, zanim zabrała się do jedzenia. Herbata okazała się zresztą słaba. Herbata była jedną z rzeczy, których zapas był niewielki.

Liścik pod kałamarzem nie okazał się lepszą przyprawą. "Nic interesującego we śnie" - mówiło drobne pismo Siuan. A więc Siuan też odwiedziła Tel'aran'rhiod ubiegłej nocy. Mało ważne, czy szukała jakichś śladów Moghedien, co byłoby aktem skrajnej głupoty, czy czegoś innego; nic to nic.

Egwene skrzywiła się i to nie tylko z powodu tego "nic". Skoro Siuan była ubiegłej nocy w Tel'aran'rhiod, to w takim razie tego dnia odwiedzi ją Leane, która będzie narzekała. Siuan nie dopuszczano już do żadnych ter'angreali od czasu, kiedy próbowała pouczać którąś z pozostałych sióstr na temat Świata Snów. Wcale nie dlatego, że wiedziała odrobinę więcej niż one czy nawet dlatego, że mało która siostra

uważała, iż potrzebuje nauczycielki; Siuan po prostu miała język jak brzytwa, a za to żadnej cierpliwości. Zazwyczaj udawało jej się opanować; zdarzyły się jednak dwa wybuchy z pokrzykiwaniem oraz wygrażaniem pięścią i miała szczęście, że skończyło się na zakazie wstępu do ter'angreali. Leane dawano ter'angreal za każdym razem, gdy o niego poprosiła, i Siuan często korzystała z niego potajemnie. To była jedna z tych nielicznych kości niezgody między nimi; obie wyprawiałyby się do Tel'aran'rhiod co noc, gdyby tylko mogły.

Egwene, krzywiąc się, przeniosła drobną iskierkę Ognia, by podpalić skrawek pergaminu i trzymała go tak długo, aż zaczął parzyć jej palce. Ktoś grzebiący w jej rzeczach nie znajdzie niczego podejrzanego, o czym mógłby gdzieś donieść.

Już prawie kończyła śniadanie, a nikt jeszcze się nie pojawił, co wcale nie było normalne. Sheriam mogła jej unikać, ale Siuan powinna już tutaj być. Wsunęła ostatni kawałek bułki do ust i popiła go ostatnim łykiem herbaty, po czym wstała, zamierzając jej poszukać, kiedy Siuan wślizgnęła się ukradkiem do namiotu. Gdyby miała ogon, zapewne by nim machała.

- Gdzie byłaś? - spytała Egwene, tkając zabezpieczenie przeciwko podsłuchującym.

- Aeldene wywlokła mnie spod koców z samego ranawarknęła Siuan, opadając na jeden z zydli. - Ona nadal uważa, że może mi odebrać siatkę agentów Amyrlin. Nikt ich nie dostanie! Nikt!

Kiedy Siuan, ujarzmiona uciekinierka, zdetronizowana Amyrlin, którą cały świat uznał za martwą, pojawiła się w Salidarze, siostry nie pozwoliłyby jej zostać, gdyby nie fakt, że znała nie tylko siatkę agentów Zasiadającej na Tronie Amyrlin, ale również siatkę zorganizowaną przez Błękitne Ajah, którymi kierowała, zanim została

wyniesiona do stuły. To jej dawało pewne wpływy, podobnie jak agentura działająca w Tar Valon zapewniła pozycję Leane. Przybycie Aeldene Stonebridge, która zajęła miejsce Siuan na czele siatki szpiegowskiej Błękitnych, zmieniło sytuację. Aeldene była oburzona, że raporty od garstki agentów Błękitnych, do których zdołała dotrzeć Siuan, przekazywano kobietom spoza Ajah. Fakt, że jej stanowisko zostało ujawnione - nawet wśród Błękitnych miały o nim wiedzieć tylko dwie albo trzy siostry - rozwścieczył ją tak, że omal nie dostała apopleksji. Nie tylko odebrała kontrolę nad siatką Błękitnych, nie tylko skarciła Siuan głosem, który słyszało się w odległości mili, ale niemalże skoczyła jej do gardła. Aeldene pochodziła z górniczej wioski w Andorze, w okolicach Gór Mgły, i powiadano, że jej niekształtny nos to pamiątka po bójkach na pięści, w których brała udział za młodu. Rzecz jasna, czyny Aeldene sprowokowały inne do myślenia.

Egwene usadowiła się ponownie na swym chwiejnym krzesełku i odsunęła na bok tacę z resztkami śniadania.

- Aeldene ci jej nie odbierze, Siuan, ani też nikt inny. - Kiedy Aeldene przejęła wywiad Błękitnych, niektórym przyszło na myśl, że Błękitne nie powinny kierować siatką Amyrlin. Żadna przy tym nie zaproponowała, że ci agenci powinni się znaleźć pod kontrolą Egwene; miała ich przejąć Komnata. Tak twierdziła Romanda, a także Lelaine. I jedna, i druga oczywiście zamierzała być tą, która nimi pokieruje i będzie przejmowała ich raporty pierwsza. Aeldene dla odmiany uważała, że powinno się ich włączyć do siatki Błękitnych, ponieważ do nich Siuan należała. Przynajmniej Sheriam zadowoliła się tym, że to jej będą wręczane wszystkie raporty otrzymywane przez Siuan. I zazwyczaj je dostawała. - Nie mogą cię zmusić do ustąpienia.

Egwene napełniła ponownie filiżankę, po czym ustawiła ją razem ze słoiczkiem

z miodem na tym rogu stolika, który znajdował się najbliżej Siuan, ale kobieta tylko na nie popatrzyła. Cały gniew z niej uszedł, zgarbiła się na stołku.

- Tak naprawdę nigdy się nie myśli o swojej sile -powiedziała, częściowo do siebie. - Zdajesz sobie z niej sprawę, niezależnie od tego, czy jesteś od kogoś silniejsza czy słabsza, ale o niej nie myślisz. Wiesz po prostu, że któraś jest od ciebie gorsza albo lepsza. Przedtem nie było nikogo silniejszego ode mnie. Nikogo, od czasu... - Spojrzała na swoje dłonie, poruszające się niespokojnie na kolanach. - Czasami, kiedy Romanda albo Lelaine na mnie wsiadają, dociera to do mnie niczym podmuch wiatru. Teraz one stoją wyżej ode mnie, więc powinnam trzymać język na wodzy, dopóki nie pozwolą mi przemówić. Nawet taka Aeldene jest ode mnie wyżej, mimo iż dysponuje zaledwie średnią siłą. - Z wysiłkiem wyprostowała głowę i mówiła dalej, zaciskając usta, głosem, do którego zakradła się nuta goryczy. - Chyba już się zaczęłam przystosowywać do rzeczywistości. To też się w nas zaszczepia, wbija głęboko, zanim zostajemy poddane sprawdzianom do szala. Ale mnie się to nie podoba. Nie podoba!

Egwene wzięła do ręki pióro leżące obok kałamarza i słoiczek z piaskiem; bawiła się nimi, szukając jednocześnie właściwych słów.

- Siuan, ty wiesz, jakie jest moje zdanie odnośnie do spraw, które należy zmienić. Zbyt wiele rzeczy robimy dlatego tylko, że Aes Sedai zawsze czyniły to właśnie w taki sposób. Ale wszystko się zmienia, nawet jeśli komuś się wydaje, że pozostanie tak jak dawniej. Wątpię, czy ktokolwiek jeszcze został wyniesiony na Tron Amyrlin, nie będąc najpierw Aes Sedai. - To powinno było sprowokować komentarz odnośnie do tajnych archiwów Białej Wieży. Siuan często powtarzała, że nie mogło zaistnieć nic takiego, co już by się nie zdarzyło przynajmniej raz w historii Wieży, mimo iż jej przypadek zdawał się pierwszym, ale jej rozmówczyni dalej siedziała

przygnębiona, przywodząc na myśl przekłuty balon. - Siuan, metody Aes Sedai nie są jedyne i wcale nie najlepsze. Chcę dopilnować, abyśmy wykorzystywały najlepsze metody, a kto nie nauczy się zmieniać albo nie będzie chciał się zmieniać, będzie musiał się nauczyć z nimi żyć. - Pochyliła się nad stołem, starając się zrobić zachęcającą minę. -Nie udało mi się dowiedzieć, w jaki sposób Mądre definiują precedens, ale tu nie idzie o siłę w korzystaniu z Mocy. Są takie kobiety, które potrafią przenosić, a jednak ustępują kobietom, które tego nie potrafią. Taka Sorilea nigdy by nie została Przyjętą, a jednak nawet te najsilniejsze skaczą, kiedy ona powie "ropucha".

- Dzikuski - powiedziała z pogardą Siuan, ale w jej głosie nie było przekonania.

- W takim razie porozmawiajmy o Aes Sedai. Nie zostałam wyniesiona na Tron Amyrlin dlatego, że jestem najsilniejsza. To najmądrzejsze kobiety są wybierane do Komnaty, na ambasadorów albo na doradczynie, te najbardziej uzdolnione w każdym razie, a nie te, które dysponują największą siłą. -Lepiej nie było mówić, czego dotyczyły te talenty, aczkolwiek Siuan z pewnością również posiadała te akurat umiejętności.

- Komnata? Komnata może mnie posłać po herbatę. Mogą kazać mi pozamiatać, kiedy już skończą obrady.

Egwene oparła się na siedzeniu i rzuciła pióro na blat stołu. Miała ochotę potrząsnąć tą kobietą. Siuan nie przestała działać wtedy, gdy w ogóle już nie potrafiła przenosić, więc dlaczego teraz zaczynała upadać na duchu? Egwene już miała jej powiedzieć o Theodrin i Faolain-tym powinna ją jakoś ożywić i skłonić do aprobaty - gdy nagle przez szparę w rozchylonych klapach wejścia zauważyła przejeżdżającą konno kobietę o oliwkowej karnacji, w szerokim, szarym kapeluszu, który ją chronił

od słońca. Sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej własnymi myślami.

- Siuan, to Myrelle. - Wypuściła zabezpieczenie i wybiegła na zewnątrz. -

Myrelle! - zawołała. Siuan potrzebowała jakiegoś sukcesu, żeby pozbyć się wrażenia, że jest stale oszukiwana, i to mogło być dokładnie to. Myrelle zaliczała się do towarzystwa Sheriam i najwyraźniej posiadała prywatne tajemnice.

Myrelle ściągnęła wodze srokatego wałacha, rozejrzała się dookoła i wzdrygnęła na widok Egwene. Sądząc z wyrazu jej twarzy, Zielona siostra nie zorientowała się, przez jaką część obozu właśnie przejeżdża. Na plecach jej jasnoszarej sukni do konnej jazdy wisiał cienki płaszcz od kurzu.

- Matko - powiedziała z wahaniem - jeżeli mi wybaczysz, ja...

- Nie wybaczę ci - przerwała jej Egwene, sprawiając, że tamta zadygotała. Nie miała już wątpliwości, że Myrelle dowiedziała się od Sheriam o zdarzeniach ubiegłej nocy. -Chcę się z tobą rozmówić. I to zaraz.

Siuan też wyszła na zewnątrz, ale zamiast popatrzeć na siostrę zsiadającą niepewnie z konia, spojrzała na rząd namiotów, w stronę zwalistego, siwiejącego mężczyzny w powyginanym napierśniku nałożonym na kaftan w jaskrawych barwach, prowadzącego wysokiego bułanka w jej stronę. Jego pojawienie się stanowiło niespodziankę. Lord Bryne zazwyczaj porozumiewał się z Komnatą za pomocą posłańca i jego rzadkie wizyty na ogół dobiegały końca, zanim Egwene dowiedziała się o jego przybyciu. Siuan przybrała wyraz takiego opanowania, że niemalże zapominało się o jej młodzieńczej twarzy, widząc tylko oblicze Aes Sedai. Bryne, zerknąwszy przelotnie na Siuan, ukłonił się, z oszczędną gracją manipulując mieczem. Postarzały mężczyzna, zaledwie średniego wzrostu, ale nosił się w taki sposób, że zdawał się wyższy, niż był w rzeczywistości. Nie było w nim nic

porywczego, pot na szerokiej twarzy sprawiał, że wyglądał jak robotnik fizyczny.

- Matko, czy mogę z tobą porozmawiać? W cztery oczy?

Myrelle odwróciła się, jakby chciała odejść, a Egwene warknęła:

- Zostań tutaj! Dokładnie tu, gdzie jesteś! - Myrelle otwarła usta. Zdawała się zdumiona zarówno własnym posłuszeństwem, jak i stanowczym tonem Egwene, ale na jej twarzy powoli pojawiła się gorzka rezygnacja, którą szybko skryła za fasadą chłodu.

Bryne nawet nie zamrugał, ale Egwene była pewna, że wie co nieco na temat jej sytuacji. Podejrzewała zresztą, że tego człowieka mało co jest w stanie zadziwić albo wytrącić z równowagi. Natomiast sam jego widok sprawiał, że Siuan gotowała się do walki, bo to wyraźnie ona wszczynała większość ich kłótni. I tym razem z miejsca wsparła pięści na biodrach i utkwiła w nim wzrok, nieugięte spojrzenie, pod wpływem którego każdemu zrobiłoby się nieswojo, nawet gdyby to nie był wzrok Aes Sedai.

Nieoczekiwanie przyszła jej z pomocą Myrelle. Tak to w każdym razie wyglądało.

- Zamierzałam cię poprosić o przybycie tego popołudnia, lordzie Bryne. Proszę cię o to teraz. - Wyraźnie zamierzała go o coś wypytać. - Wtedy będziemy mogli porozmawiać. A teraz zechciej mi wybaczyć.

Zamiast przyjąć odprawę, powiedział:

- Matko, jeden z moich patroli znalazł coś tuż przed świtem, coś, co moim zdaniem powinnaś zobaczyć osobiście. Eskorta może być gotowa za...

- Nie ma takiej potrzeby - przerwała mu prędko. - Myrelle, będziesz nam towarzyszyć. Siuan, czy zechcesz poprosić kogoś, żeby przyprowadził mojego konia? Bezzwłocznie.

Jazda w towarzystwie Myrelle będzie lepsza niż konfrontacja z nią tutaj, o ile te

wszystkie wnioski naprędce sklecone przez Siuan rzeczywiście na coś wskazywały, a poza tym po drodze będzie mogła zadać Bryne'owi swoje pytania, jednak nie tylko to skłaniało ją do pośpiechu. Wypatrzyła właśnie Lelaine kroczącą ku niej między rzędami namiotów, z Takimą u boku. Z jednym wyjątkiem wszystkie kobiety, które były Zasiadającymi przed obaleniem Siuan, przyłączyły się albo do Romandy, albo do Lelaine. Większość nowo wybranych Zasiadających działała na własną rękę, co zdaniem Egwene było trochę lepsze. Ale tylko trochę.

Nawet z tej odległości było widać napięcie w ramionach Lelaine. Wyglądała na gotową przejść po wszystkim, co jej stanie na drodze. Siuan, która też ją dostrzegła, wypadła z namiotu, nie zatrzymując się nawet po to, by dygnąć, ale brakowało jej czasu, by wymknąć się niepostrzeżenie; żeby to osiągnąć, musiałaby chyba dosiąść konia lorda Bryne'a.

Lelaine stanęła przed Egwene, ale to nie w niej, ale w Garecie Bryne utkwiła ostre i podejrzliwe spojrzenie; zastanawiała się, co on tutaj robi. Jak się jednak okazało, miała tu ważniejszą sprawę do załatwienia.

- Muszę porozmawiać z Amyrlin - powiedziała tytułem wstępu, zwracając się do Myrelle. - Zaczekaj; z tobą porozmawiam później. - Bryne ukłonił się, niezbyt nisko, i poprowadził konia tam, gdzie wskazała. Mężczyźni, którzy mieli odrobinę rozumu, aż nazbyt prędko uczyli się, że spory z Aes Sedai, a zwłaszcza Zasiadającymi, bynajmniej nie wychodzą im na dobre.

Zanim Lelaine zdążyła otworzyć usta, pojawiła się tam Romanda, tak władcza, że Egwene z początku nawet nie zauważyła towarzyszącej jej Varilin, a także szczupłej i rudowłosej Zasiadającej Szarych, o kilka cali wyższej od większości mężczyzn.

Jedyną niespodzianką było to, że Romanda nie zjawiła się tam prędzej. Ona i Lelaine

obserwowały się nawzajem niczym para jastrzębi, żadna nie pozwalała zbliżyć się drugiej do Egwene w pojedynkę. Obie kobiety w jednym momencie otoczyła łuna saidara i każda utkała wokół ich piątki własne zabezpieczenie przeciwko podsłuchiwaniu. Ich spojrzenia zwarły się; ich doskonale chłodne i opanowane twarze były wyzywające, a jednak żadna nie wypuściła zabezpieczenia.

Egwene ugryzła się w język. W publicznym miejscu to najsilniejsza siostra decydowała o tym, czy rozmowa ma być strzeżona, a protokół mówił, że to Amyrlin podejmuje taką decyzję, jeżeli jest obecna. Nie miała jednak ochoty wysłuchiwać nieszczerych przeprosin, które wywołałaby uwaga o takiej treści. Rzecz jasna, ustąpiłyby, gdyby się uparła. I jednocześnie zachowywałyby się tak, jakby uspokajały niesforne dziecko. Ugryzła się w język, a w środku się gotowała. Gdzie się podziała Siuan? Niełądnie z jej strony; wydanie polecenia, by osiodłano konie, mogło zająć zaledwie kilka chwil. Miała ochotę ścisnąć się za spódnice, żeby nie złapać się rękoma za głowę.

Pierwsza z tej walki na spojrzenia zrezygnowała Romanda, aczkolwiek bynajmniej się nie poddała. Niespodzianie odwróciła się do Egwene, a tymczasem Lelaine. została tam, gdzie stała, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń i z głupią miną.

- Delana znowu stwarza kłopoty. - Jej piskliwy głos miał niemalże słodką barwę, ale była w nim również ostra nuta, która podkreśliła jeszcze brak stosownego tytułu. Romanda miała całkiem siwe włosy, zebrane nad karkiem w ciasny koczek, jednak wiek bynajmniej nie złagodził jej rysów. Takima, z długimi, czarnymi włosami i postarzałą karnacją barwy kości słoniowej, była Zasiadającą Brązowych przez blisko dziewięć lat, postrachem zarówno w Komnacie, jak i sali lekcyjnej, a mimo to stała potulnie w odległości kroku, z dłońmi założonymi na pasie. Romanda kierowała

swoją frakcją z równą stanowczością jak Sorilea. Dla niej siła była rzeczą absolutnie najważniejszą i po prawdzie Lelaine zdawała się niewiele ustępować jej w tym przekonaniu.

- Ona planuje przedłożyć Komnacie propozycję -wtrąciła kwaśnym tonem Lelaine, nie patrząc na Romandę. Zawarcie ugody z tą kobietą z pewnością zachwycało ją w równie niewielkim stopniu, jak przemawianie po niej. Świadoma, że zdobyła przewagę, Romanda uśmiechnęła się, lekko wyginając usta.

- Odnośnie do czego? - spytała Egwene, grając na zwłokę. Była przekonana, że wie, co to takiego. Z trudem się pohamowała, żeby nie westchnąć. I żeby nie rozmasować skroni.

- No jakżeż, odnośnie do Czarnych Ajah, Matko -odparła Varilin, unosząc głowę, jakby to pytanie ją zdziwiło. Cóż, może i zdziwiło; Delanę ten temat rozwścieczał. - Ona chce, żeby Komnata otwarcie potępiła Elaidę jako Czarną. -Urwała nagle, kiedy Lelaine podniosła rękę. Lelaine dawała swym zwolenniczkom więcej swobody niż Romanda albo może nie trzymała ich aż tak silną ręką, niemniej i tak był to uścisk żelazny.

- Musisz z nią porozmawiać, Matko. -Lelaine potrafiła się ciepło uśmiechać, kiedy chciała. Siuan twierdziła, że kiedyś się przyjaźniły - Lelaine powitała jej powrót z niejaką serdecznością, ale zdaniem Egwene ten uśmiech stanowił jedynie wyślizgane od częstego użytku narzędzie.

- I co mam powiedzieć? - Tak bardzo pragnęła przynieść ukojenie obolałej głowie, że z trudem utrzymała ręce z dala od niej. Te dwie pilnowały, żeby Komnata podejmowała tylko takie decyzje, na jakich im zależało, a nie te, które proponowała Egwene, w rezultacie czego nie podejmowano żadnych decyzji, a teraz jeszcze żądały,

żeby podjęła się mediacji w sprawie jakiejś Zasiadającej? Delana istotnie popierała jej propozycje, prawda... kiedy tak jej pasowało. Delana przypominała chorągiewkę, która porusza się w tę samą stronę, w którą wieje wiatr, toteż fakt, że ostatnimi czasy zrobiła wiele na rzecz Egwene, nic jeszcze nie znaczył. Czarne Ajah zaś stanowiły przedmiot jej jedynej obsesji. Co zatrzymuje Siuan?

- Powiedz jej, że powinna się pohamować, Matko. -Lelaine miała taki uśmiech i mówiła takim tonem, że wyglądała jak matrona, która udziela rad krnąbrnej córce. - Te jej głupie wymysły... gorzej niż głupie... sprawiają, że wszystkie czują się tak, jakby ktoś przyłożył im sztylety do gardeł. Niektóre z sióstr zaczynają nawet w to wierzyć, Matko. Nie minie dużo czasu, zanim to wszystko rozejdzie się wśród służby i żołnierzy.

- Spojrzenie, które skierowała na Bryne'a, było pełne zwątpienia. Bryne udawał, że próbuje gawędzić z Myrelle, która wpatrywała się w otoczoną zabezpieczeniami grupę i niespokojnie gładziła wodze dłońmi odzianymi w rękawice.

- Wiara w coś, co jest oczywiste, raczej nie zasługuje na miano głupich wymysłów - warknęła Romanda. - Matko... - W jej ustach zabrzmiało to prawie jak "dziewczyno" -...trzeba przeszkodzić Delanie, bo nie robi niczego dobrego, a najprawdopodobniej coś złego. Być może Elaida jest Czarną... aczkolwiek ja mam tu spore wątpliwości, niezależnie od tych plotek z drugiej ręki, które przywiozła ta ulicznica, Halima; Elaida jest uparta ponad miarę, ale osobiście nie wierzę, by była zdolna do takiego zła... jednak nawet jeśli to prawda, wówczas rozgłaszanie tego sprawi, że ludzie z zewnątrz nabiorą podejrzeń wobec wszystkich Aes Sedai i każe Czarnym ukryć się jeszcze dokładniej. A przecież istnieją metody, dzięki którym można do nich dotrzeć; nie wolno tylko tak ich nastraszyć, żeby zaczęły uciekać.

Lelaine pociągnęła nosem tak głośno, że zabrzmiało to jak parsknięcie.

- Nawet gdyby w tych bzdurach było coś z prawdy, to i tak żadna szanująca się siostra nie zaakceptowałaby twoich metod, Romando. Ty przecież sugerujesz, że należy je wszystkie poddać przesłuchaniu. - Skonsternowana Egwene zamrugała; ani Siuan, ani Leane nawet jej o tym nie szepnęły. Na szczęście Zasiadające nie zwracały na nią uwagi, niczego więc nie zauważyły. Jak zwykle.

Romanda podparła się pod boki i natarła na Lelaine.

- Rozpaczliwe czasy domagają się rozpaczliwych działań. Niektórzy mogliby pytać, dlaczego ktokolwiek miałby stawiać swoją godność ponad ujawnienie sług Czarnego.

- To stwierdzenie jest niebezpiecznie bliskie oskarżenia - stwierdziła Lelaine, mrużąc oczy.

Tym razem to Romanda się uśmiechała, zimnym, kamiennym uśmiechem.

- Będę pierwszą, która podda się tej metodzie, Lelaine, pod warunkiem, że ty zgodzisz się być druga.

Lelaine autentycznie warknęła, robiąc pół kroku w stronę drugiej kobiety, a Romanda nachyliła się w jej stronę z wystawionym podbródkiem. Wydawało się, że zaraz zaczną wyrywać sobie włosy, tarzać się w błocie, i cała godność Aes Sedai pójdzie w odstawkę. Varilin i Takimi spojrzały na siebie groźnie niczym dwie służki wspierające swoje panie, długonogi ptak wodny w walce na spojrzenia z wroną. Całe towarzystwo jakby zupełnie zapomniało o Egwene.

Nadbiegła Siuan w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, prowadząc za sobą tłustą klacz o białym zadzie; zatrzymała się z poślizgiem na widok zgromadzenia otoczonego zabezpieczeniem. Towarzyszył jej stajenny, chudy mężczyzna w długiej, postrzępionej kamizeli i połatanej koszuli, który trzymał wodze wysokiego deresza.

Dla niego zabezpieczenia były niewidzialne, jednak saidar nie ukrywał twarzy. Stajenny wytrzeszczył oczy i zaczął oblizywać wargi. A skoro już o tym mowa, przechodnie - Aes Sedai, Strażnicy i służba - mijali namiot szerokim łukiem i udawali, że nic nie widzą. Sam Bryne skrzywił się i przyjrzał im się badawczym wzrokiem, jakby się zastanawiał, jaka jest treść rozmowy, której jego uszy nie mogły uchwycić. Myrelle poprawiała węzły przy sakwach przytroczonych do siodła, najwyraźniej zamierzając się oddalić.

- Skoro już zadecydowałyście, co powinnam powiedzieć - oznajmiła Egwene - w takim razie mogę zdecydować, co zrobić. - Naprawdę o niej zapomniały. Wszystkie cztery wpatrywały się w nią zdumione, kiedy przeszła między Romandą a Lelaine, a potem przekroczyła podwójne zabezpieczenie. Nic, rzecz jasna, nie poczuła, kiedy otarła się o splot; te nigdy nie były tak mocne, by zatrzymać cokolwiek równie materialnego jak ludzkie ciało.

Kiedy wdrapała się na wierzchowca, Myrelle zrobiła głęboki wdech i zrezygnowana poszła w jej ślady. Zabezpieczenia zniknęły, ale łuna nadal otaczała dwie Zasiadające, które stały i obserwowały Egwene, z każdą chwilą coraz bardziej przywodząc na myśl dwa wcielenia frustracji. Egwene pospiesznie wdziała cienki, lniany płaszcz od kurzu, który przerzucono przez siodło jej wałacha, i rękawiczki do konnej jazdy, które schowała do niewielkiej kieszonki w płaszczu. Czubek kapelusza z szerokim rondem zawieszony na wysokim łęku, granatowej barwy, harmonizujący z suknią, zdobił pęk białych piór; znać było w tym rękę Chesy. Egwene potrafiła ignorować upał, ale żar słońca to było coś zgoła innego. Wyciągnąwszy pióra i szpilkę, wcisnęła je do sakiew, nałożyła kapelusz na głowę i zawiązała wstążki pod brodą.

- Czy możemy ruszać, Matko? - spytał Bryne. Siedział już na koniu; hełm, który

do tej pory miał przytroczony do siodła, teraz zasłaniał mu twarz stalową kratownicą. Na jego głowie wyglądał całkiem naturalnie, zupełnie tak, jakby Bryne urodził się w zbroi.

Przytaknęła. Nikt ich nie próbował zatrzymywać. Lelaine oczywiście nie mogła krzyczeć publicznie, że mają się zatrzymać; do czegoś takiego nigdy by się nie zniżyła. Za to Romanda... Egwene poczuła przypływ ulgi, kiedy ruszyli, ale miała wrażenie, że pęka jej głowa. Co ma zrobić z Delaną? Co mogła w ogóle zrobić?

Główna droga w tej okolicy, szeroki pas błota ubitego tak mocno, że nic nie byłoby w stanie wzniecić na nim kurzu, biegła przez obozowisko armii, a dalej przez przestrzeń dzielącą je od obozu Aes Sedai. Bryne przeciął ją, a dalej jechał między namiotami.

Mimo iż w obozowisku armii mieszkało trzydzieści razy albo i więcej ludzi niż w obozowisku Aes Sedai, to jednak zdawało się, że mają niewiele więcej namiotów i służby niż siostry; wszystko było rozproszone na płaskim terenie i zboczach. Większość żołnierzy spała na otwartej przestrzeni. Ale z kolei Egwene nie pamiętała, kiedy po raz ostatni raz padał deszcz, i z całą pewnością nie widziała na niebie ani jednej chmury. O dziwo, mieszkało tam więcej kobiet niż w obozie sióstr, aczkolwiek na pierwszy rzut oka pośród tylu mężczyzn wydawało się, że jest ich mniej. Kucharze doglądali kotłów, a praczki atakowały wielkie sterty odzieży; jeszcze inni pracowali przy koniach albo wozach. Sporą część mieszkańców obozu stanowiły żony; te siedziały i robiły na drutach, cerowały suknie albo koszule, względnie mieszały strawę gotowaną w małych kociołkach. Gdzie nie spojrzała, widziała zajętych pracą płatnerzy, przekuwających stal na kowadłach, grotarzy dokładających kolejne strzały do stosów stojących obok ich nóg i kowali oglądających konie. Wszędzie stały wozy

wszelkiego typu i rozmiaru, setki, być może tysiące; armia zdawała się zgarniać każdego, kogo spotkała na swej drodze. Większość furażerów opuściła już obóz, ale kilka wozów na wysokich kołach i kołyszące się fury nadal ciągnęły w poszukiwaniu farm i wiosek. Tu i tam żołnierze wznosili wiwaty, kiedy przejeżdżali obok. "Lord Bryne!" oraz "Byk! Byk!" Takie było jego godło. Ani słowa o Aes Sedai czy Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

Egwene obróciła się w siodle, chcąc się upewnić, czy Myrelle. nadal podąża jej śladem. Zielona siostra pozwalała koniowi jechać tak, jak chce, miała nieobecny, z lekka chory wyraz twarzy. Siuan jechała na tyłach niczym pasterz samotnej owcy. Być może bała się pognać swego wierzchowca do przodu. Jej kasztanka była z całą pewnością tłuścioszką, ale Siuan potrafiłaby traktować kucyka jak konia wyszkolonego do bitew.

Egwene poczuła ukłucie irytacji, gdy pomyślała o swoim wierzchowcu. Nazywał się Daishar; "chwała" w Dawnej Mowie. Wolałaby jechać na Beli, kudłatej, małej klaczy niewiele chudszej od kasztanki Siuan, tej samej, na której opuściła Dwie Rzeki. Czasami czuła, że wygląda jak lalka usadowiona na szczycie wałacha, który mógłby uchodzić za konia bojowego, ale Amyrlin musiała mieć odpowiedniego wierzchowca. Zwierzęta pociągowe nie wchodziły w rachubę. Nawet jeśli ta zasada została wymyślona przez nią samą, to i tak miała wrażenie, że podlega takim samym ograniczeniom jak nowicjuszka.

Obróciła się w siodle i zapytała:

- Czy spodziewasz się, że dalej napotkamy jakąś opozycję, lordzie Bryne?

Zerknął na nią z ukosa. Pytała już o to samo przy opuszczaniu Salidaru i dwa razy podczas przeprawy przez Altarę. Uważała, że nie nazbyt często, by wzbudzić

podejrzliwość.

- W Murandy jest tak samo jak w Altarze, Matko. Tam każdy jest zanadto zajęty knuciem intryg przeciwko swemu sąsiadowi lub otwartą z nim walką, by zrzeszać się w celach, które mogłyby prowadzić do wojny. A jeśli już takie zrzeszenia powstają, to niezbyt liczne. - Mówił lodowatym tonem. Był kiedyś Kapitanem-Generałem Gwardii Królowej w Andorze i miał za sobą całe lata utarczek granicznych z Murandianami. - Obawiam się natomiast, że Andor to będzie całkiem inna sprawa. Nie powiem, żebym czekał na to z utęsknieniem. - Zawrócił w przeciwną stronę i wspiął się na łagodne zbocze, by zjechać z drogi trzem wozom toczącym się po kamieniach w tym samym kierunku co oni.

Egwene usiłowała się nie skrzywić. Andor. Dotąd w odpowiedzi na to pytanie stwierdzał zwyczajnie: nie. Obecnie znajdowali się przy krańcu Wzgórz Cumbar, nieco na południe od Lugard, stolicy Murandy. Nawet jeśli będzie im dopisywało szczęście, to od granicy z Andorem dzieliło ich jeszcze co najmniej dziesięć dni drogi.

- A co będzie, gdy już dotrzemy do Tar Valon, lordzie Bryne? W jaki sposób planujesz wziąć miasto?

- Nikt mnie o to jeszcze nie pytał, Matko. - Myślała dotąd, że mówi lodowatym tonem. On teraz mówił lodowatym tonem. - Zanim dotrzemy do Tar Valon, z wolą Światłości, będę miał dwa albo i trzy razy więcej ludzi niż teraz. -Egwene skrzywiła się na myśl o płaceniu żołdu aż tylu żołnierzom; Bryne zdawał się nie dostrzegać tego problemu. -Dzięki nim będę mógł zacząć oblężenie. Najtrudniejszą rzeczą będzie znalezienie statków i zatopienie ich, by zablokować Północny i Południowy Port. Porty są sprawą kluczową, tak jak utrzymanie mostów, Matko. Tar Valon jest większe od Cairhien i Caemlyn razem wziętych. Kiedy przestanie tam docierać żywność... -

Wzruszył ramionami. - Wojaczka polega na czekaniu, jeśli nie jest maszerowaniem.

- A jeśli nie znajdziesz tylu żołnierzy? - Dotąd nie pomyślała, że wszyscy ci ludzie, w tym kobiety i dzieci, będą głodni. W ogóle nie przyszło jej do głowy, że będzie w to zaangażowany ktoś jeszcze oprócz Aes Sedai i żołnierzy. Jak mogła być taka głupia? Widziała skutki wojny w Cairhien. Bryne zdawał się brać wszystko tak lekko. Ale on był żołnierzem, a nędza i śmierć to dla żołnierza zapewne chleb powszedni. - A jeśli będziesz miał tylko... powiedzmy... ilu masz teraz?

- Oblężenie? - Najwyraźniej część tego, o czym rozmawiali, dotarła nareszcie do pogrążonej w myślach Myrelle. Spięła piętami swego srokacza, który wyrwał do przodu, sprawiając, że wielu ludzi uskoczyło na bok, przy czym niektórzy padali na twarze. Kilku z gniewu otwierało usta, ale potem widzieli jej twarz pozbawioną piętna lat, więc zwierali szczęki i tylko patrzyli na nią spode łba. Dla niej równie dobrze mogli nie istnieć. - Artur Hawkwing oblegał Tar Valon przez dwadzieścia lat i zmuszony został do odstąpienia. - Nagle dotarło do niej, że wszędzie dookoła są ludzie, i zniżyła głos, ale nadal mówiła kwaśnym tonem. - Spodziewasz się, że będziemy czekać dwadzieścia lat?

Jakby kwas oblał Garetha Bryne, nie zostawiając jednak ani śladu

- A wolałabyś bezpośredni atak, Myrelle Sedai? - Równie dobrze mógł pytać, czy woli herbatę z cukrem, czy gorzką. - Kilku generałów Hawkwinga spróbowało i wymordowano im ludzi. Żadnej armii jak dotąd nie udało się pokonać murów Tar Valon.

Egwene wiedziała, że nie jest to tak do końca prawdą. Podczas Wojen z Trollokami armia trolloków dowodzona przez Straszliwych Władców złupiła i spaliła część Białej Wieży. Pod koniec Wojny z Drugim Smokiem armia, która starała się

odbić Guaire Amalasana, zanim ten został poskromiony, też dotarła do Wieży. Myrelle jednak mogła o tym nie wiedzieć, a tym bardziej Bryne. Dostęp do tych historii, ukrytych głęboko w bibliotece Tar Valon, został określony prawem, które samo było tajne, i ujawnienie istnienia albo tych zapisów, albo tego prawa stanowiło zdradę. Siuan twierdziła, że jeśli się czytało między wierszami, to znajdywało się aluzje do rzeczy, które nie zostały zapisane nawet tutaj. Aes Sedai były bardzo dobre w ukrywaniu prawdy, nawet między sobą, kiedy uważały, że tak trzeba.

- Dzięki stu tysiącom albo choćby tej sile, którą dysponuję teraz - ciągnął Bryne - ja będę tym pierwszym. Pod warunkiem, że uda mi się zablokować porty. Generałom Hawkwinga to się nigdy nie udało. Aes Sedai zawsze na czas podnosiły żelazne łańcuchy, by zatrzymać statki wpływające do portu, i zatapiały je, zanim zdążono je tak usytuować, by przeszkadzały w transporcie. Żywność i zapasy były nadal dostarczane do miasta. Ostatecznie dojdzie do twojego ataku, ale pod warunkiem, że uda mi się najpierw dopiąć swego i osłabić miasto. -Jego głos brzmiał nadal... zwyczajnie. To był mężczyzna opowiadający o jakimś zwykłym wypadzie. Obrócił głowę w stronę Myrelle i mimo iż jego ton nie uległ zmianie, napięcie w oczach ukrytych pod przyłbicą było aż nadto wyraźne. - Przecież wszystkie się zgodziłyście, że uda mi się, jeżeli powstanie armia. Nie odprawię ludzi.

Myrelle otwarła usta, po czym powoli je zamknęła. Najwyraźniej chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała co. Dały słowo, ona, Sheriam i te, które kierowały sprawami w czasie, gdy Bryne przybył do Salidaru; dały słowo, jakby to teraz nie irytowało. Jakby Zasiadające nie starały się tego obejść; one bowiem w końcu nie dały żadnego słowa. A tymczasem Bryne zachowywał się tak, jakby jednak to zrobiły, i jak dotąd uchodziło mu to na sucho. Jak dotąd.

Egwene miała wrażenie, że trapi ją jakaś choroba. Widziała już kiedyś wojnę.

W myślach zaczęły się jej przesuwać obrazy: walczący mężczyźni, którzy zabijali, żeby utorować sobie drogę przez ulice Tar Valon, mężczyźni, którzy umierali. Jej wzrok padł na jakiegoś człowieka z kanciastą szczęką, który, wysuwając koniec języka, ostrzył grot piki. Czy umrze na którejś z tych ulic? Albo ten szpakowaty, łysiejący mężczyzna, który właśnie wsuwał strzałę do kołczana? Albo tamten chłopak pyszniący się wysokimi butami do konnej jazdy? Wyglądał na zbyt młodego, żeby już się golić. Światłości, ilu młodych. Ilu umrze? Dla niej. Za sprawiedliwość, za prawo, za świat, ale w istocie za nią. Siuan podniosła rękę, ale nie wykonała gestu do końca. Nawet gdyby znajdowała się dostatecznie blisko, i tak nie mogłaby poklepać Zasiadającej na Tronie Amyrlin po ramieniu w miejscu, gdzie wszyscy mogli to zobaczyć.

Egwene wyprostowała się.

- Lordzie Bryne - powiedziała ściśniętym głosem -cóż takiego chciałeś mi pokazać?- Wydało jej się, że zerknął na Myrelle, zanim odpowiedział.

- Sama zobaczysz, Matko.

Egwene miała wrażenie, że zaraz pęknie jej głowa. Gdyby wskazówki Siuan prowadziły do czegokolwiek, po prostu obdarłaby Myrelle ze skóry. Gdyby było przeciwnie, postąpiłaby tak z Siuan. I dodała Garetha Bryne' a dla lepszego efektu.

ROZDZIAŁ 12

PORANEK ZWYCIĘSTWA

Stożkowate wzgórza i granie otaczające obóz zdradzały wszelkie oznaki dręczącej suszy i tak niestosownego o tej porze roku upału. W rzeczy samej upał był upiorny; nawet najbardziej tępa dziewka kuchenna zatrudniona do szorowania garnków wiedziała, że świat został dotknięty przez Czarnego. Prawdziwy las pozostał

za nimi, na zachodzie, ale ze skalistych zboczy wyrastały dęby, drzewa sorgumowe i sosny o nieznanych kształtach oraz inne jeszcze drzewa, których Egwene nie znała z nazwy, zbrązowiałe albo pożółkłe, z nagimi konarami. Nie z powodu zimy. Zamorzone brakiem wilgoci i chłodu. Skazane na śmierć, jeśli pogoda nie zmieni się w najbliższym czasie. Za ostatnimi namiotami rzeka Reisendrelle skręcała na południowy zachód, jej koryto miało tu szerokość dwudziestu kroków, od obu brzegów wytyczonych pasami ubitego błota wysadzanego kamieniami. Poziom wody wirującej wokół głazów wystających z dna, po których w innych czasach przejście byłoby ryzykowne, nie sięgała nawet końskich pęcin, kiedy się przeprawiali na drugi brzeg. Egwene czuła, jak jej własne problemy pomniejszają się. Mimo bólu głowy odmówiła krótką modlitwę za Nynaeve i Elayne. Ich poszukiwania były równie ważne jak wszystko, co ona robiła. Ważniejsze nawet. Świat będzie nadal istniał, jeśli ona przegra, ale im musiało się udać.

Swobodnym galopem posuwali się na południe, zwalniając, gdy napotykali zbyt strome zbocze albo kiedy konie musiały się wspinać przez jakiś czas między drzewami i rzadkimi zaroślami, ale jednocześnie starali się trzymać płaskiego terenu i szybko pokonywać drogę. Wałach Bryne'a, pewnie stąpające, silne zwierzę o szerokim pysku, zdawał się nie dbać o to, w którą stronę opada grunt, czy jest gładki, czy pofałdowany, jednak Daishar z łatwością dotrzymywał mu kroku. Tłusta klacz Siuan brnęła naprzód z wielkim trudem, ale być może po prostu udzieliło się jej zdenerwowanie jeźdźca. Siuan jeździła konno wręcz potwornie, choćby nie wiadomo ile odbyła ćwiczeń, i w trakcie wspinania się po zboczu oplatała kark klaczy ramionami, tak samo jak ona wytrzeszczając oczy; była niezdarna niczym kaczka i omal nie wypadała z siodła. Myrelle częściowo odzyskała humor, kiedy popatrzyła na

Siuan. Jej srokacz o białych pęcinach wybierał drogę łagodnymi zakolami, niczym jaskółka, a ona sama jechała z pewnością i wprawą, w porównaniu z którymi Bryne zdawał się powolny i ociężały.

Nie ujechali zbyt daleko, kiedy na szczycie wysokiej grani na zachodzie pojawili się jeźdźcy, ze stu mężczyzn sformowanych w kolumnę. Promienie wschodzącego słońca błyszczały na napierśnikach, hełmach i grotach lanc. Na ich czele powiewał długi, biały sztandar, którego Egwene nie była w stanie rozpoznać, ale wiedziała, że widnieje na nim Czerwona Ręka. Nie spodziewała się zobaczyć ich tak blisko obozowiska Aes Sedai.

- Zwierzęta Zaprzysięgłe Smokowi - mruknęła Myrelle, patrząc, jak jeźdźcy ustawiają się równolegle do ich pochodu. Jej dłoń w rękawiczce zacisnęła się na wodzach; z furią, ale bez strachu.

- Legion Czerwonej Ręki wysyła swoje patrole - powiedział spokojnie Bryne. Zerknął na Egwene i dodał: - Lord Talmanes zdawał się martwić o ciebie, Matko, kiedy rozmawiałem z nim ostatnio. - Nie wypowiedział tych słów z większym naciskiem niż poprzednią kwestię.

- Rozmawiałeś z nim? - Opanowanie Myrelle prysło. Gniew, który musiała hamować przy Egwene, mogła bezpiecznie wyładować na nim. Cała aż się trzęsła. - To prawie zdrada, lordzie Bryne. To może być potraktowane jako zdrada! - Siuan dzieliła uwagę między swego konia a mężczyzn na zboczu i nie patrzyła na Myrelle, ale zesztywniała. Nikt dotychczas nie łączył imienia Legionu ze zdradą.

Pokonali zakręt w górskiej dolinie. Do zbocza przywarła jakaś farma albo pozostałości po już nie istniejącym gospodarstwie. Jedna ze ścian małego, kamiennego domku zawaliła się, a obok oblepionego sadzą komina wystawało kilka zwęglonych

bali podobnych do brudnych palców wbitych w niebo. Pozbawiona dachu stodoła wyglądała jak sczerniała, pusta skrzynia zbudowana z kamienia, a rozsypane popioły znakowały miejsca, gdzie kiedyś mogły stać szopy. Na całym terytorium Altary widywali już takie miejsca i w gorszym, i w lepszym stanie, niekiedy całe wsie, z trupami leżącymi na ulicach, karmą dla kruków, lisów i wściekłych psów, które uciekały, kiedy zbliżali się do nich ludzie. Opowieści o anarchii i mordach w Tarabonie i Arad Doman okazały się prawdziwe. Wielu ludzi korzystało z każdej wymówki, by się przyłączyć do bandytów albo wyrównać stare porachunki -Egwene z całej duszy pragnęła, by tak to właśnie było -niemniej jednak Zaprzysięgli Smokowi byli na ustach wszystkich i siostry winiły za to Randa z takim przekonaniem, jakby to on wywoływał te pożary. Mimo że wykorzystałyby go i tak, gdyby mogły, mimo że przejęłyby nad nim kontrolę, gdyby znały na to sposób. Nie była jedyną Aes Sedai, która wierzyła, że należy robić to, co nakazuje obowiązek, nawet wtedy, gdy trzeba spuścić nos na kwintę.

Gniew Myrelle wpłynął na Bryne'a w równie niewielkim stopniu jak deszcz wpływa na głaz. Egwene wyobraziła go sobie, jak kroczy przed siebie, mimo iż wokół jego głowy wirują burze, a wokół kolan wody potopu.

- Myrelle Sedai - powiedział ze spokojem, który to ona winna była zademonstrować - kiedy dziesięć tysięcy mężczyzn albo i więcej rzuca cień na mój ślad, to chcę wiedzieć, jakie są ich intencje. Zwłaszcza te szczególne dziesięć tysięcy.

To był niebezpieczny temat. Egwene, uszczęśliwiona, że nie rozmawiali dalej na temat niepokoju Talmanesa wobec jej osoby, powinna była zgrzytać zębami, że w ogóle coś o niej powiedział, ale w tym momencie tak ją zaskoczył, że aż się wyprostowała w siodle.

- Dziesięć tysięcy? Jesteś pewien? - W Legionie było niewiele więcej niż połowa tego, kiedy Mat sprowadził go do Salidaru, poszukując jej i Elayne.

Bryne tylko wzruszył ramionami.

- Ja zbieram rekrutów po drodze i on postępuje podobnie. Nie aż tylu, ale niektórym różne myśli lęgną się w głowie, gdy słyszą o służbie u Aes Sedai. - Większość ludzi byłaby raczej wyraźnie niespokojna, mówiąc coś takiego do trzech sióstr; on powiedział to z krzywym uśmieszkiem. - A poza tym wydaje się, że Legion cieszy się niejaką sławą od czasu walk w Cairhien. Powiadają, że Shen an Calhar nigdy nie przegrywa, niezależnie od sytuacji. - To właśnie kazało mężczyznom się zaciągać, tutaj tak samo jak w Altarze: myśl, że dwie armie muszą oznaczać bitwę. Trzymanie się z boku mogło stanowić wybór równie zły, jak opowiedzenie się po niewłaściwej stronie; w najlepszym razie dla tych, którzy chcieliby zachować neutralność, nie zostałyby żadne resztki. - Mam w swych szeregach kilku dezerterów z oddziału Talmanesa. Niektórzy zdają się uważać, że szczęście Legionu jest nieodłącznie związane z osobą Mata Cauthona i że bez niego nigdy im nie dopisze.

Myrelle niemalże szyderczo wykrzywiła wargi.

- Obawy tych głupich Murandian z pewnością się przydają, ale nie sądziłam, że ty też jesteś głupcem. Talmanes podąża za nami, ponieważ się boi, że mogłybyśmy zwrócić się przeciwko ich bezcennemu Lordowi Smokowi, ale jeśli rzeczywiście zamierzał zaatakować, to czy nie sądzisz, że już by to zrobił? Z tymi Zaprzysięgłymi Smokowi będzie się można rozprawić, kiedy zostaną załatwione ważniejsze sprawy. Ale komunikowanie się z nim... ! - Otrząsnęła się, do pewnego stopnia odzyskując panowanie nad sobą. Przynajmniej z pozoru. Jej ton mógłby osmalić drewno. - Miarkuj moje słowa, lordzie Bryne...

Egwene puściła wypowiedź Myrelle mimo uszu. Bryne spojrzał na nią, kiedy wspomniał o Macie. Siostry uważały, że rozumieją zmienną, jaką do ogólnej sytuacji wprowadzają Legion i Mat, toteż nie myślały o niej wiele, za to Bryne najwyraźniej postępował inaczej. Przekrzywiła głowę, dzięki czemu ukryła twarz pod rondem kapelusza i przyjrzała mu się kątem oka. Związany przysięgą miał stworzyć armię i dowodzić nią, dopóki Elaida nie zostanie obalona, ale dlaczego ją złożył? Mógł poprzestać na zwykłej obietnicy, która bez wątpienia zostałaby przyjęta przez siostry, zamierzające wykorzystać tych żołnierzy jedynie w charakterze masek z Dnia Głupca w celu nastraszenia Elaidy. Świadomość, że on jest po tej samej stronie, była krzepiąca; nawet inne Aes Sedai zdawały się tak uważać. Podobnie jak ojciec Egwene, Bryne zaliczał się do tych ludzi, dzięki którym wierzyło się, że nie ma powodu do paniki, niezależnie od sytuacji. Uświadomiła sobie nagle, że konflikt z nim byłby czymś równie złym jak konflikt z Komnatą. Armia nieważna, on jest groźny; tak brzmiała jedyna pochlebna uwaga, jaką Siuan kiedykolwiek wygłosiła na jego temat, mimo iż zaraz potem udawała, że chciała powiedzieć coś innego. Każdy człowiek, którego Siuan uważała za groźnego, był kimś, z kim należało się liczyć.

Przeprawili się przez jakąś rzeczułkę, wąski strumyk, który ledwie zmoczył koniom kopyta. Ubłocona wrona pożywiająca się rybą, która udusiła się w tej płytkiej wodzie, zatrzepotała na ich widok postrzępionymi skrzydłami, jakby zbierała się do odlotu, po czym ponownie zabrała się do swego posiłku.

Siuan również przyglądała się Bryne'owi - klacz galopowała ze znacznie większą łatwością, kiedy przestawała szarpać wodze albo wbijać pięty w jej boki w jak najbardziej niewłaściwym momencie. Egwene wypytywała ją o motywacje lorda Bryne'a, ale skomplikowane związki Siuan z tym mężczyzną sprawiały, że w rozmowie

o nim nie słyszała wiele więcej oprócz jadu. Albo nienawidziła Garetha Bryne'a z całego serca, albo go kochała, a wyobrażanie sobie zakochanej Siuan było tym samym, co wyobrażanie sobie pływającej wrony.

Na szczycie wzgórza, na którym pokazali się żołnierze Legionu, widać było teraz jedynie krzywe szeregi uschłych drzew iglastych. Nie zauważyła, kiedy odjechali. Mat cieszył się sławą żołnierza? Pływające wrony to mało. Dotąd uważała, że został dowódcą wyłącznie z powodu Randa, a już i to trudno było przełknąć.

"Wierzysz, bo wydaje ci się, że wiesz, co jest niebezpieczne" - przypomniała sobie, ukradkiem przypatrując się Bryne'owi.

- ...powinno się wychłostać! - Głos Myrelle nadal płonął. - Ostrzegam cię. Jeśli się dowiem, że znowu się spotkałeś z Zaprzysięgłymi Smokowi... !

Na Bryne'a działało to tak jak ulewa na głaz. Jechał swobodnym tempem, co jakiś czas pomrukując: "Tak, Myrelle Sedai" i "Nie, Myrelle Sedai", nie zdradzając ani śladu zaniepokojenia i na moment nie przestając bacznie obserwować okolicy. On bez wątpienia zauważył, że żołnierze odjeżdżają. Niezależnie od tego, skąd brał cierpliwość - Egwene była pewna, że bynajmniej nie ze strachu - nie miała nastroju do wysłuchiwania tego wszystkiego.

- Cicho bądź, Myrelle! Nikt niczego nie zrobi lordowi Bryne. - Rozmasowała skronie i zastanowiła się, czy nie poprosić którejś z sióstr o Uzdrawianie po powrocie do obozu. Zarówno Siuan, jak i Myrelle umiały niewiele w tej dziedzinie. Co wcale nie znaczyło, by Uzdrawianie mogło się na coś przydać, jeśli powodem był tutaj brak snu i zmartwienia. I co wcale też nie znaczyło, że chciała, by rozeszły się pogłoski o tym, jakoby napięcie zaczynało brać nad nią górę. A poza tym istniały jeszcze inne metody na radzenie sobie z bólami głowy, tyle że tutaj brakowało środków.

Myrelle zacisnęła usta, ale tylko na chwilę. Gwałtownie odwróciła głowę, policzki jej pokraśniały, natomiast Bryne udał, że interesuje go jastrząb o czerwonych skrzydłach, który krążył po ich lewej stronie. Nawet ktoś tak odważny wiedział, kiedy zachować dyskrecję. Jastrząb złożył skrzydła i rzucił się w stronę niewidocznej ofiary za zagajnikiem bezlistnych drzew skórzanych. Egwene miała wrażenie, że sama jest takim jastrzębiem, który rzuca się na niewidzialne cele, w nadziei, że znajdzie ten właściwy, w nadziei, że ten cel tam gdzieś w ogóle jest.

Zrobiła głęboki wdech, żałując, że jest tak drżący.

- Ja też uważam, że najlepiej będzie, jeśli nie będziesz się spotykał z Talmanesem, lordzie Bryne. Z pewnością w dostatecznym stopniu poznałeś już jego intencje. - Oby Światłość zrządziła, by Talmanes nie wygadał za dużo. Szkoda, że nie mogła go ostrzec za pośrednictwem Siuan albo Leane, ale biorąc pod uwagę nastroje panujące wśród sióstr, równie dobrze mogła zaryzykować spotkanie z Randem.

Bryne ukłonił się w siodle.

- Jak rozkażesz, Matko. - W jego głosie nie było drwiny; nigdy jej tam nie było. Najwyraźniej nauczył się panować nad głosem w obecności Aes Sedai. Siuan wlokła się z tyłu i patrzyła na niego spod zmarszczonych brwi. Być może ona potrafiłaby się dowiedzieć, kto mógł liczyć na jego lojalność. Mimo całej swojej niechęci, spędzała sporo czasu w jego towarzystwie, o wiele więcej niż musiała.

Egwene dokonywała najwyższych wysiłków, by trzymać dłonie zaciśnięte na wodzach Daishara i nie myśleć o swojej głowie.

- Daleko jeszcze, lordzie Bryne? - Ukrycie zniecierpliwienia okazało się znacznie trudniejsze.

- Jeszcze kawałek, Matko. - Z jakiegoś powodu odwrócił głowę, by spojrzeć na

Myrelle. - Już niedaleko.

Mijali coraz więcej zabudowań farm, zarówno przytulonych do zboczy, jak i usytuowanych na równinie, aczkolwiek mieszkanka Pola Emonda w Egwene mówiła jej, że nie należy wyciągać pochopnych wniosków na widok tych niskich, szarych domostw i stodół z kamienia, nie ogrodzonych pastwisk, na których pasło się po kilka krów o zapadniętych bokach i smutnych owiec z czarnymi ogonami. Nie wszystkie farmy zostały spalone, jedynie gdzieniegdzie. Tę pożary miały przypuszczalnie dać innym do zrozumienia, jaki czeka ich los, jeśli się nie opowiedzą za Smokiem Odrodzonym.

Przy jednej z farm zauważyła kilku kwatermistrzów lorda Bryne'a z wozem.

Fakt, że byli na służbie u niego, wynikał jasno ze sposobu, w jaki na nich spojrzał i kiwnął głową, a także z braku białego sztandaru. Żołnierze Legionu zawsze chełpili się swoją przynależnością; oprócz wymachiwania sztandarami niektórzy ostatnimi czasy nabrali zwyczaju zawiązywania sobie na ramieniu czerwonej wstążki. Pół tuzina krów i ze dwa tuziny owiec porykiwało i pobekiwało pod nadzorem mężczyzn na koniach; inni przenosili ciężkie wory ze stodoły na wóz, na oczach zgarbionego farmera i jego rodziny, ponurych ludzi w ciemnych, zgrzebnych wełnach. Jedna z małych dziewczynek, podobnie jak pozostałe nosząca wielki beret, przycisnęła twarz do spódnic matki, najwyraźniej płacząc. Chłopcy zaciskali pięści, jakby chcieli się bić. Farmer miał otrzymać zapłatę, ale jeśli nawet wpadł na pomysł, że nie odda tego, co chcą mu zabrać, i stawi opór blisko dwudziestu ludziom w napierśnikach i hełmach, to widok innych spalonych farm na pewno kazał mu się pohamować. Żołnierze Bryne'a nierzadko znajdowali zwęglone zwłoki w ruinach, mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy poginęli w trakcie próby wydostania się. Niektóre drzwi i okna zostały zamknięte od

zewnątrz.

Egwene zastanawiała się, czy istnieje sposób na przekonanie farmerów i wieśniaków, że między bandytami a żołnierzami istnieje jakaś różnica. Bardzo pragnęła tego dokonać, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić inaczej niż pozwolić swoim żołnierzom głodować do czasu, aż zaczną się dezercje. Skoro siostry nie widziały żadnej różnicy między bandytami a Legionem, tym bardziej nie istniała taka nadzieja w związku z wieśniakami. Kiedy farmy zaczęły maleć za ich plecami, oparła się pokusie, by okręcić się w siodle i obejrzeć za siebie. Samym patrzeniem niczego by nie zmieniła.

Lord Bryne okazał się słowny. W odległości jakichś trzech, może czterech mil od obozu - trzech albo czterech w prostej linii; w rzeczywistości pokonali dwa razy dłuższą drogę-gdy okrążyli występ wzgórza porośniętego rzadkimi krzakami i drzewami, ściągnął wodze. Słońce znajdowało się już w połowie drogi do zenitu. Niżej biegł jeszcze jeden trakt, węższy i znacznie bardziej kręty od tego, który wiódł przez obóz.

- Wpadli na pomysł, że podróżowanie nocą pozwoli im wyminąć bandytów - powiedział. - Pomysł nie taki zły, jak się okazuje, bo inaczej dopisałoby im już szczęście Czarnego. Przybyli z Caemlyn.

Wzdłuż drogi rozciągała się karawana kupiecka złożona z około pięćdziesięciu dużych wozów, z dziesięciokonnymi zaprzęgami, pilnowana przez żołnierzy Bryne' a. Kilku żołnierzy, którzy pozsiadali z koni, doglądało przenoszenia beczek i toreb z kupieckiej karawany na pół tuzina ich wozów. Kobieta w prostej, ciemnej sukni machała rękoma i wskazywała żwawymi gestami ten czy inny przedmiot, protestowała albo próbowała się targować, ale jej towarzysze stali tylko, zbici w

ponurą, milczącą gromadkę. Nieco dalej, przy drodze, rósł rozłożysty dąb udekorowany bardzo ponurymi owocami; na każdym nagim konarze dyndał wisielec. Konary zdawały się całkiem czarne, obsiadły je bowiem ogromne rzesze wron. Te ptaki miały tu więcej jadła niż ryby. Nawet z tej odległości nie był to widok, który przysłużyłby się dobrze głowie i żołądkowi Egwene.

- To miałam właśnie zobaczyć? Kupców czy bandytów? - Nie zauważyła sukni na żadnym z wisielców, a bandyci wieszali także kobiety i dzieci. Każdy mógł tu powiesić te trupy, żołnierze Bryne'a, Legion. Fakt, że Legion wieszał któregoś z Zaprzysięgłych Smokowi, gdy przyłapał go na gorącym uczynku, zdawał się czynić dla sióstr niewielką różnicę, nawet gdy był to jakiś miejscowy lord bądź lady. Gdyby murandiańscy arystokraci współpracowali ze sobą, do tej pory wszyscy bandyci zdążyliby już zawisnąć na drzewach, ale to równałoby się zapraszaniu kotów do tańca. Zaraz. "Caemlyn", powiedział. - Czy to ma coś wspólnego z Randem? Albo z Asha'manami?

Tym razem przeniósł spojrzenie z niej na Myrelle i z powrotem całkiem otwarcie. Myrelle kryła twarz w cieniu kapelusza. Wyraźnie była w ponurym nastroju, skulona w siodle, i już wcale nie sprawiała wrażenia tak wytrawnego jeźdźca. Bryne natomiast miał taką minę, jakby podejmował jakąś decyzję.

- Pomyślałem, że powinnaś dowiedzieć się o tym pierwsza, ale być może źle zrozumiałem... - Znowu spojrzał na Myrelle:

- O czym powinna się dowiedzieć, ty kmiocie o włochatych uszach? - warknęła Siuan, łomocząc piętami w boki swej klaczy, żeby podjechać bliżej.

Egwene uspokoiła ją gestem.

- Myrelle może usłyszeć wszystko to co ja, lordzie Bryne. Darzę ją całkowitym

zaufaniem. - Zielona siostra gwałtownie odwróciła głowę. Każdy na widok zaskoczenia na jej twarzy wątpiłby, czy właściwie zrozumiał Egwene, ale Bryne przytaknął po jakiejś chwili.

- Widzę, że sprawy... zmieniły się. Tak, Matko. - Zdjął z głowy hełm i zawiesił go na łęku siodła Nadal mówił z wyraźną niechęcią, starannie dobierając słowa. - Kupcy roznoszą plotki, tak jak psy roznoszą pchły, a to towarzystwo ma ich ze sobą sporo. Oczywiście nie twierdzę, że coś z tego, co mówią, jest prawdą, ale... - Dziwny to był widok: Bryne, który się waha. - Matko, po drodze usłyszeli ich opowieść, że Rand al'Thor udał się do Białej Wieży i poprzysiągł lojalność Elaidzie.

Myrelle i Siuan, którym krew uciekła z twarzy, przez krótką chwilę wyglądały bardzo podobnie; najwyraźniej obu przed oczyma stanęła wizja ostatecznej katastrofy. Myrelle, w rzeczy samej, zachwiała się w siodle. Egwene przez chwilę tylko się w niego wpatrywała. A potem zaskoczyła samą siebie i pozostałych, bo wybuchnęła śmiechem. Daishar zatańczył ze zdumienia i uspokajanie go na skalistym zboczu uspokoiło również jej nerwy.

- Lordzie Bryne - powiedziała, klepiąc wałacha po karku - to nieprawda, wierz mi. Wiem, że to fakt taki sam jak ubiegła noc.

Siuan westchnęła, a Myrelle zrobiła to zaledwie mgnienie oka później. Na widok ich min Egwene miała ochotę znowu się roześmiać. Tak im niewiarygodnie ulżyło, że aż wybałuszyły oczy. Zupełnie jak małe dzieci, którym powiedziano, że pod ich łóżkiem nie ma żadnego Człowieka-Cienia. Spokój Aes Sedai, też coś.

- Dobrze to słyszeć - odparł beznamiętnie Bryne - ale nawet jeśli odprawię wszystkich tych ludzi, którzy tu się zebrali, wieści i tak dotrą do moich szeregów. Przejdą po armii niczym dziki ogień po tych wzgórzach. - Tymi słowami sprawił, że jej

wesołość prysła. To byłaby katastrofa.

- Każę siostrom, żeby jutro powiedziały twoim żołnierzom, jaka jest prawda.

Czy wystarczy sześć Aes Sedai? Myrelle i Sheriam. Carlinya i Beonin, Anaiya i Morvrin. -Tym siostrom konieczność spotkania się z Mądrymi raczej się nie spodoba, ale nie będą też mogły odmówić. Nie zechcą odmówić, skoro idzie o to, by zapobiec szerzeniu się takich plotek. Nieznacznemu grymasowi na twarzy Myrelle towarzyszyło pełne rezygnacji wykrzywienie ust.

Bryne wsparł łokieć na zdjętym z głowy hełmie i przyglądał się Egwene i Myrelle. Ani razu nawet nie zerknął na Siuan. Jego bułanek zastukał kopytami o kamienie i z zarośli rosnących w odległości kilku kroków wzbiło się w powietrze stadko synogarlic o jaskrawobłękitnym upierzeniu, sprawiając, że Daishar i deresz Myrelle wzdrygnęły się płochliwie. Wierzchowiec Bryne'a nawet nie drgnął. Bryne bez wątpienia słyszał o bramach, ale na pewno nie wiedział, czym one są, Aes Sedai zwyczajowo trzymały różne rzeczy w tajemnicy i żywiły też niejakie nadzieje na utrzymanie tej zdolności w sekrecie przed Elaidą - i z pewnością nie wiedział nic o Tel'aran'rhiod, ponieważ tej tajemnicy strzegło się łatwiej, skoro nikt nie mógł zobaczyć żadnych jego przejawów, a mimo to nie zapytał, jak. Być może przyzwyczaił się już do Aes Sedai i ich tajemnic.

- Dopóki będą wyrażały się jasno - powiedział na koniec. - Jeżeli zaczną robić uniki... - Tym spojrzeniem wcale nie próbował straszyć; chciał tylko zaakcentować swoje słowa. I zdawał się zadowolony z tego, co dostrzegł na jej twarzy. - Moim zdaniem, dobrze sobie radzisz, Matko. Życzę ci dalszych sukcesów. Wyznacz mi termin tego popołudnia, a przyjdę. Powinniśmy spotykać się regularnie. Stawię się zawsze, kiedy po mnie poślesz. Trzeba opracować dokładny plan osadzenia cię na Tronie

Amyrlin, kiedy już dotrzemy do Tar Valon.

Mówił to wszystko ostrożnym tonem - najprawdopodobniej nadal nie był do końca pewien, co tu się dzieje albo jak dalece może ufać Myrelle - a ona dopiero po chwili zrozumiała, co powiedział. Głos uwiązł jej w gardle. Może za bardzo się przyzwyczaiła do aluzyjnego sposobu mówienia Aes Sedai, ale... Bryne właśnie powiedział, że armia należy do niej. Była tego pewna. Nie do Komnaty ani też do Sheriam; do niej.

- Dziękuję ci, lordzie Bryne. - Uznała, że to wystarczy, a utwierdziło ją w tym przekonaniu jego ostrożne przytaknięcie, jego wzrok. Nagle przyszło jej do głowy tysiąc dodatkowych pytań. Większości nie zadałaby nawet, gdyby byli sami. Szkoda, że nie do końca mogła mu zaufać. "Ostrożność, dopóki nie nabierzesz pewności, a potem jeszcze trochę ostrożności". Stare porzekadło, które znakomicie się stosowało do wszelkich działań mających związek z Aes Sedai. A poza tym nawet najlepszym zdarzało się rozpowiadać o różnych rzeczach wśród przyjaciół i to zwłaszcza wtedy, gdy wszystko miało zostać utrzymane w tajemnicy. - Jestem pewna, że musisz dopilnować tysiąca spraw, które należy załatwić jeszcze tego ranka - powiedziała, ściągając wodze. - Wracaj. My sobie jeszcze trochę pojeździmy.

Bryne oczywiście zaczął protestować. Zachowując się przy tym, jakby był Strażnikiem, bo mówił o niemożności obserwowania wszystkich dróg jednocześnie i o tym, że strzała wbita w plecy może zabić Aes Sedai równie prędko jak każdą inną osobę. Postanowiła, że następny mężczyzna, który jej o tym powie, zapłaci za to. Trzy Aes Sedai z pewnością dorównywały stu mężczyznom. Ostatecznie, mimo zrzędzenia i grymasów, nie miał innego wyboru, jak tylko ustąpić. Wdział hełm i ruszył na koniu po nierównym zboczu w stronę karawany, zamiast zawrócić tą samą drogą, którą tu

przybyli, ale jej zdaniem tak było nawet lepiej.

- Zechciej prowadzić, Siuan - powiedziała, kiedy znalazł się kilkanaście kroków niżej.

Siuan odprowadziła go ponurym spojrzeniem, jakby cały czas ją oszukiwał. Parsknąwszy, wyprostowała swój słomkowy kapelusz, zawróciła klacz - czy raczej powlokła ją - po czym piętami przymusiła do galopu. Egwene dała znak Myrelle, że ma jechać za nimi. Ta, podobnie jak Bryne, nie miała wyboru.

Myrelle z początku spoglądała na nią z ukosa; najwyraźniej spodziewała się, że Egwene poruszy temat sióstr posłanych do Białej Wieży, i teraz gromadziła wymówki, dzięki którym mogłaby wytłumaczyć, dlaczego trzymano to w tajemnicy przed Komnatą. Im dłużej Egwene jechała w milczeniu, tym bardziej niespokojnie tamta poprawiała się na siedzeniu. W pewnym momencie zaczęła nawet oblizywać wargi, co świadczyło o rosnącym zdenerwowaniu. Milczenie to bardzo użyteczne narzędzie.

Przez jakiś czas słychać było jedynie tętent kopyt i z rzadka okrzyk jakiegoś ptaka ukrytego w zaroślach, jednak w chwili, gdy kierunek jazdy nadany przez Siuan stał się oczywisty, na zachód od drogi, która ich tu przywiodła z obozu, Myrelle zaczęła się wiercić coraz niespokojniej, zupełnie tak, jakby siedziała na pokrzywach. Może jednak coś się kryło w tych szczątkach informacji zebranych przez Siuan.

Kiedy Siuan po raz kolejny skręciła na zachód, między dwoma bezkształtnymi wzgórzami, których wierzchołki pochylały się ku sobie, Myrelle ściągnęła wodze.

- Tam... tam jest wodospad - powiedziała, wskazując na wschód. - Niezbyt duży, nawet przed suszą, ale całkiem piękny nawet teraz. - Siuan też się zatrzymała, oglądając się za siebie z nieznacznym uśmieszkiem.

Co ta Myrelle ukrywa? Zaciekawiona Egwene obejrzała się na Zieloną siostrę i

wzdrygnęła na widok pojedynczego paciorka potu na czole tamtej, lśniącego w cieniu rzucanym przez rondo wielkiego, szarego kapelusza. Bardzo chciała się dowiedzieć, co tak poruszyło Aes Sedai, że aż się spociła.

- Myślę, że Siuan zamierza nam pokazać widoki jeszcze bardziej interesujące, mam rację? - spytała Egwene, zawracając Daishara, i w tym momencie Myrelle jakby się złożyła w pół. - Jedziemy!

- Wiesz o wszystkim, prawda? - mruknęła niepewnie Myrelle, kiedy przejeżdżały między dwoma pochylonymi wzgórzami. W tym momencie już więcej niż jedna kropla potu dekorowała jej twarz. Była wstrząśnięta do głębi. -O wszystkim: Skąd...?-Nagle wyprostowała się w siodle, wpatrzona w plecy Siuan. - To ona! Siuan była twoim zausznikiem od samego początku! - W jej głosie słyszało się niemalże oburzenie. -Jak mogłyśmy wszystkie być takie ślepe? Ale nadal nic nie rozumiem. Przecież zachowywałyśmy ostrożność.

- Jeżeli chcesz utrzymać coś w tajemnicy - rzuciła z pogardą Siuan przez ramię - to nie staraj się kupować kamiennej papryczki tak daleko na południu.

Czym do licha są kamienne papryczki? I o czym one mówią? Myrelle zadrżała.

Fakt, że słowa Siuan nie wywołały natychmiastowej i ostrej repliki, stanowił dowód na to, jak bardzo była zdenerwowana. Oblizała natomiast wargi.

- Matko, musisz zrozumieć, dlaczego to zrobiłam, dlaczego to zrobiłyśmy. - Ta gorączkowa nuta w jej głosie bardziej by pasowała do konfrontacji z połową Przeklętych, na dodatek w samej bieliźnie. - Nie tylko dlatego, że Moiraine o to prosiła, nie tylko dlatego, że była moją przyjaciółką. Nie mogę znieść, że umierają. Nienawidzę tego! Nam jest czasami trudno jako stronie w tej transakcji, ale im jest jeszcze trudniej: Musisz to zrozumieć. Musisz!

Dokładnie w momencie, gdy Egwene spodziewała się, że Myrelle zaraz wszystko wyjaśni, Siuan zatrzymała swoją klacz i zagrodziła im drogę. Egwene miała ochotę dać jej w twarz.

- Może będzie ci łatwiej, Myrelle, jeśli to ty poprowadzisz do końca - powiedziała zimnym głosem. W rzeczy samej z obrzydzeniem. - Współpraca może oznaczać umniejszenie kary. Odrobinę.

- Tak. - Myrelle przytaknęła, niezmordowanie gładząc dłońmi wodze. - Tak, oczywiście.

Przejęła prowadzenie, wyraźnie bliska płaczu. Siuan, która została w tyle, na moment jakby ulżyło. Egwene ze swojej strony czuła, że zaraz wybuchnie. Jaka transakcja? Z kim? Kto umierał? I kim są te "my"? Sheriam i inne? Ale Myrelle by to usłyszała, a zdradzanie swojej ignorancji raczej nie byłoby wskazane w tym momencie. "Ignorantka, która trzyma usta na kłódkę, będzie uważana za rozsądną" - mówiło przysłowie. I było jeszcze jedno: "Utrzymanie jednej tajemnicy zawsze równa się utrzymaniu dziesięciu innych". Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko jechać za Myrelle i dusić wszystko w sobie. Niemniej jednak Siuan zostanie skarcona. Ta kobieta podobno nie miała przed nią żadnych tajemnic. Egwene zgrzytała zębami, starając się wyglądać na cierpliwą i niczym nie zdenerwowaną. Była rozsądna.

Kiedy prawie dojechały z powrotem do drogi, obok której usytuowany był obóz, w odległości kilku mil na zachód, Myrelle poprowadziła je w górę płaskiego wzgórza porośniętego sosnami i drzewami skórzanymi. Dwa ogromne dęby nie pozwalały urosnąć niczemu innemu w szerokiej niecce na samym szczycie. Pod grubymi, splecionymi konarami stały trzy spiczaste namioty z połatanego płótna i linia palików dla koni, a nieopodal wóz i pięć wysokich, bojowych rumaków, każdy

spętany w sporej odległości od pozostałych. Pod ozdobnym okapem jednego z namiotów stała, jakby w oczekiwaniu na gości, Nisao Dachen, w prostej, brązowej sukni do konnej jazdy; towarzyszył jej Sarin Hoigan, jak wielu Gaidinów odziany w płaszcz oliwkowej barwy. Strażnik Nisao był łysy i przysadzisty, a mimo to wyższy od niej. W odległości kilku kroków dwóch z trzech Gaidinów Myrelle - Croi Makin, szczupły i jasnowłosy oraz Nuhel Dromand, ciemny i zwalisty, z brodą, a za to z wygoloną górną wargą czujnie obserwowało, jak zjeżdżają do kotliny. Żaden nie wyglądał na choć trochę zdziwionego. Najwyraźniej jeden ze Strażników pilnował tego miejsca i zawczasu ich ostrzegł. Jednak nie rzucało się tam w oczy nic takiego, co by tłumaczyło te środki ostrożności albo niepokój Myrelle. A poza tym, jeżeli Nisao czekała, żeby ich powitać, to dlaczego stale wygładzała spódnice? Miała taką minę, jakby wolała być odgrodzona tarczą od Źródła i patrzyć w takim stanie w twarz Elaidy.

Dwie kobiety, które wyjrzały zza jednego z namiotów, schowały się pospiesznie, ale Egwene zdążyła je rozpoznać. Nicola i Areina. Nagle poczuła się bardzo nieswojo. W co ta Siuan ją wciągnęła?

Siuan nie zdradzała zdenerwowania, kiedy zsiadała z konia.

- Wyprowadź go, Myrelle. Natychmiast. - Widać było wyraźnie, że napędza ją żądza zemsty; w porównaniu z jej głosem pilnik zdawałby się gładki. - Za późno, żeby go ukryć.

Myrelle opanowała się z ewidentnym wysiłkiem i zareagowała na ten ton jedynie grymasem. Gwałtownym ruchem zerwała kapelusz z głowy, bez słowa zsiadła z konia, po czym zamaszystym krokiem podeszła do jednego z namiotów i zniknęła w jego wnętrzu. Wielkie oczy Nisao powędrowały jej śladem, z każdą chwilą

ogromniejąc coraz bardziej. Zdawała się przyrośnięta do miejsca.

Obok nie było nikogo oprócz Siuan, kto mógłby coś usłyszeć.

- Dlaczego się wtrąciłaś? - spytała cicho Egwene, kiedy już stanęła na ziemi. - Jestem pewna, że miała się przyznać... cokolwiek to jest.., a tu teraz nadal nie mam o niczym pojęcia. I co to są kamienne papryczki?

- Bardzo popularne warzywo w Shienarze i Malkier -wyjaśniła Siuan, równie cichym głosem. - Ja dowiedziałam się o wszystkim tego ranka, po tym jak się rozstałam z Aeldene. Dlatego właśnie musiałam kazać jej prowadzić, bo nie znałam dokładnie drogi. Raczej nie byłoby dobrze, gdyby Myrelle to odkryła, nieprawdaż? O Nisao też nie wiedziałam. Myślałam, że one prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiają. -Zerknęła na Żółtą siostrę i z irytacją potrząsnęła głową. Siuan bardzo źle to znosiła, gdy nie udało jej się czegoś dowiedzieć. - Chyba że oślepłam i zgłupiałam, bo te dwie... - Krzywiąc się, jakby miała pełne usta czegoś przegniłego, splunęła, starając się znaleźć jakieś odpowiednie określenie. Nagle złapała Egwene za rękaw. - Idą już, zaraz się sama przekonasz.

Myrelle wyszła z namiotu pierwsza, a za nią jakiś mężczyzna ubrany jedynie w wysokie buty i spodnie, który musiał się pochylić, żeby nie zawadzić o sklepienie wyjścia; w ręku trzymał obnażony miecz, a owłosioną pierś miał pokrytą krzyżującymi się bliznami. Był od niej wyższy o dobrą głowę i ramiona, wyższy od wszystkich innych Strażników. Długie, ciemne włosy, przewiązane splecionym rzemykiem na skroniach, posiwiały mu wprawdzie jeszcze bardziej od czasu, gdy Egwene widziała go po raz ostatni, ale w Lanie Mandragoranie nie było nic miękkiego. Część elementów układanki nagle wskoczyła na swoje miejsce, a mimo to nadal nie widziała całości. Był Strażnikiem Moiraine, Aes Sedai, która wywiozła ją, Randa i

pozostałych z Dwu Rzek, zdawało się cały Wiek temu, ale Moiraine poległa podczas walki, w trakcie której zabiła Lanfear, a Lan zaginął tuż po tym w Cairhien. Może Siuan to wszystko rozumiała; dla niej cała sprawa była mętna.

Myrelle mruknęła coś do Lana i dotknęła jego ramienia. Wzdrygnął się nieznacznie, niczym nerwowy koń, ale ani na moment nie odwrócił swego twardego spojrzenia od Egwene. A potem jednak przytaknął i obróciwszy się, odszedł długimi krokami w stronę rozłożystych dębowych konarów. Tam uchwyciwszy oburącz rękojeść miecza, uniósł go w górę, stanął na jednej nodze i w takiej pozycji zastygł w bezruchu.

Nisao przez chwilę patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem, jakby i ona widziała tu jakąś zagadkę. Potem jej wzrok napotkał wzrok Myrelle i ich spojrzenia pomknęły ku Egwene. Zamiast jednak do niej podejść, zbliżyły się do siebie i porozumiały gorączkowym szeptem. W każdym razie na początku była to wymiana zdań. Potem Nisao tylko stała, kręcąc głową z niedowierzaniem albo zaprzeczając.

- Ty mnie w to wciągnęłaś - warknęła głośno na koniec. - Byłam ślepą idiotką, że cię posłuchałam.

- Zapowiada się na coś... interesującego - stwierdziła Siuan, kiedy nareszcie zwróciły się ku niej i Egwene. Sposób, w jaki zaakcentowała to ostatnie słowo, sprawił, że zabrzmiało wybitnie nieprzyjemnie.

Myrelle i Nisao pospiesznie dotykały włosów i sukien w trakcie pokonywania tej krótkiej odległości, jakby się upewniały, że wszystko jest w należytym porządku. Wyglądały na osoby na czymś przyłapane - "Na czym?", zastanawiała się Egwene - ale najwyraźniej zamierzały robić jak najlepszą minę do bardzo złej gry.

- Może zechcesz wejść do środka, Matko - zaproponowała Myrelle, wskazując

gestem najbliższy namiot. Jedynie nieznaczne drżenie w głosie zadawało kłam jej chłodnej twarzy. Nie było już na niej potu. Został, rzecz jasna, wytarty, ale nie wystąpił ponownie.

- Dziękuję, ale nie zechcę, córko.

- Trochę winnego ponczu? - spytała z uśmiechem Nisao. Mimo rąk założonych na piersi, wyglądała na zaniepokojoną. - Siuan, idź, powiedz Nicoli, żeby przyniosła ponczu. - Siuan nie ruszyła się z miejsca, a Nisao zamrugała ze zdziwienia, zaciskając wargi. Uśmiech jednak powrócił błyskawicznie i nieznacznie podniosła głos. - Nicola? Przynieś poncz, dziecko. To niestety poncz z suszonych czarnych jagód - dodała na rzecz Egwene - ale całkiem znośny.

- Nie chcę ponczu - odparła szorstkim tonem Egwene. Zza namiotu wyłoniła się Nicola, która ewidentnie nie zamierzała biec, żeby wykonać polecenie. Zamiast tego przystanęła w miejscu i zapatrzyła się na cztery Aes Sedai, zagryzając dolną wargę. Nisao błysnęła wściekłym spojrzeniem, które dawało się określić jedynie słowem "niesmak", ale nic nie powiedziała. Jeszcze jeden element układanki wskoczył na swoje miejsce, a Egwene zaczęła oddychać nieco swobodniej. - Ja, córko, chcę... ja domagam się wyjaśnień.

Myrelle wyciągnęła rękę w błagalnym geście.

- Matko, Moiraine nie wybrała mnie dlatego, że byłyśmy przyjaciółkami.

Dwóch moich Strażników należało pierwotnie do sióstr, które umarły. Avar i Nuhel. Od stuleci żadna inna siostra nie uratowała więcej niż jednego.

- A ja zaangażowałam się w całą sprawę wyłącznie z powodu jego umysłu - dodała pospiesznie Nisao. - Interesuję się, w pewnym stopniu, chorobami umysłu, a w jego przypadku słusznie będzie tak to nazwać. Myrelle praktycznie wciągnęła mnie w

to siłą.

Myrelle wygładziła spódnice i skierowała ponure spojrzenie na Żółtą siostrę.

- Matko, kiedy umiera Aes Sedai jakiegoś Strażnika, to dzieje się tak, jakby on wchłonął jej śmierć i dawał się przez nią pożerać od środka. On...

- Wiem o tym, Myrelle - przerwała jej ostro Egwene. Siuan i Leane sporo jej opowiedziały na ten temat, aczkolwiek żadna nie miała pojęcia, że pyta o to, bo chce wiedzieć, czego się spodziewać ze strony Gawyna. Myrelle nazwała to kiepskim interesem i być może miała rację. Gdy umierał jakiś Strażnik, siostrę, do której należał, ogarniał smutek; potrafiła jakoś nad nim zapanować, jakoś ukryć go w sobie, jednak prędzej czy później ten smutek wyżerał sobie drogę na zewnątrz. Taka Siuan, na przykład, jakkolwiek dobrze sobie radziła, kiedy towarzyszyły jej inne siostry, nadal przepłakiwała całe noce po Alriku, zabitym w dniu, w którym została pozbawiona tronu. Tylko czym były te tygodnie łez w porównaniu z samą śmiercią? W opowieściach roiło się od Strażników, którzy umierali, mszcząc się za swe Aes Sedai, i w rzeczy samej często o to właśnie chodziło. Mężczyzna, który chciał umrzeć, mężczyzna szukający tego, co go mogło zabić, był gotów pójść na takie ryzyko, którego nawet Strażnik nie mógł przeżyć. Jej zdaniem chyba najstraszniejszym elementem tego wszystkiego było to, że oni wiedzieli. Wiedzieli, jaki czeka ich los, jeśli ich Aes Sedai umrze, wiedzieli, co ich będzie napędzało po jej śmierci, i nie znali niczego takiego, co mogłoby to zmienić. Nie potrafiła sobie wyobrazić, ile odwagi wymagała akceptacja takiej umowy.

Stanęła z boku, dzięki czemu widziała wyraźnie Lana. Nadal stał bez ruchu, zdając się wręcz nie oddychać. Nicola, która wyraźnie zapomniała o herbacie, usadowiła się ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i w takiej pozycji obserwowała go.

Areina przykucnęła na piętach u boku Nicoli, przerzuciwszy sobie warkocz przez ramię, i wpatrywała się weń jeszcze bardziej chciwie. Znacznie bardziej chciwie, jako że Nicola rzucała od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia w stronę Egwene i pozostałych. Inni Strażnicy zbili się w niewielką gromadkę, udając, że także go obserwują, a jednocześnie pilnie strzegli swoich Aes Sedai.

Podniósł się lekki wiatr, który zmierzwił uschłe liście zalegające ziemię, i Lan, z szokującą nagłością, zmieniał jedną formę na drugą, a ostrze jego miecza zamieniło się w wirującą plamę. Robił to coraz szybciej, aż pewnym momencie zaczęło się wydawać, że biegnie pędem od jednej do drugiej, a mimo to wszystkie były bardzo precyzyjne. Czekała, aż przestanie albo przynajmniej zwolni, ale on się nie zatrzymywał. Wręcz przeciwnie, nabierał coraz większej szybkości. Areina powoli otworzyła usta, z oczyma wytrzeszczonymi ze zgrozy; Nicola zareagowała podobnie. Podały się do przodu, niczym dzieci, które wpatrują się w cukierka pozostawionego na kuchennym stole. Nawet inni Strażnicy dzielili teraz swoją uwagę między niego a swoje Aes Sedai, jednak w odróżnieniu od obu kobiet widzieli lwa, który lada chwila mógł ruszyć do ataku.

- Widzę, że zmuszacie go do ciężkiej harówki - stwierdziła Egwene. Wysiłek stanowił jedną z metod ratowania Strażnika. Niewiele sióstr miało chęć podejmować taką próbę ze względu na porażki i koszty, jakie same przy tym ponosiły. A także trud utrzymania go z dala od ryzyka i konieczność ponownego związania go więzią; na tym polegał pierwszy krok. Myrelle bez wątpienia zajęła się tym drobnym szczegółem. Biedna Nynaeve. Całkiem możliwe, że udusi Myrelle, kiedy się dowie. A być może stawi czoło wszystkiemu, kiedy się okaże, że Lan jednak żyje. Może. Lan ze swej strony zasłużył sobie na te wszystkie cierpienia, skoro pozwolił, by inna kobieta związała go

więzią, wiedząc, że Nynaeve go sobie upodobała.

Myślała, że wyraża się jasno, ale musiała jednocześnie zdradzić część tego, co czuła, bo Myrelle zaczęła ponownie wyjaśniać:

- Matko, przekazanie więzi nie jest czymś aż tak złym. W rzeczy samej nie jest to gorsze od sytuacji, w której jakaś kobieta decyduje, kto ma poślubić jej męża po jej śmierci, żeby dopilnować, by znalazł się on we właściwych rękach.

Egwene popatrzyła na nią tak twardo, że tamta aż się cofnęła, potykając się niemal o własne spódnice. I jednocześnie przeżyła szok. Za każdym razem, kiedy myślała, że poznała właśnie najdziwniejszy z wszystkich obyczajów, okazywało się, że istnieje jeszcze dziwniejszy.

- Nie wszystkie pochodzimy z Ebou Dar, Myrelle - powiedziała sucho Siuan - a Strażnik to nie mąż. - Myrelle butnie zadarła głowę. Zdarzało się czasem, bardzo rzadko, że siostry poślubiały swoich Strażników. Nikt tego nie dociekał zbyt dogłębnie, ale chodziły pogłoski, jakoby ona poślubiła wszystkich swoich trzech Strażników, czym z pewnością pogwałciła obyczaj i prawo nawet w Ebou Dar. - Nie takie złe, powiadasz, Myrelle? Nie takie złe? - Pogardliwy wyraz twarzy Siuan harmonizował z tonem; mówiła to wszystko tak, jakby czuła w ustach jakiś zły posmak.

- Nie istnieje prawo, które by tego zabraniało - zaprotestowała Nisao. Na użytek Egwene, nie Siuan. - Nie ma takiego prawa, które by zabraniało przekazywać więź.

-Siuan została nagrodzona grymasem, który sugerował, że powinna się cofnąć i zamknąć usta. A tymczasem niczego takiego nie zrobiła.

- Przecież nie o to chyba chodzi, prawda? - spytała. -Nawet, gdyby tak nie postępowano od... No od ilu? Od czterystu lat? Dłużej? Nawet jeśli obyczaje się zmieniały, to zostałabyś ukarana jedynie kilkoma spojrzeniami i przyganami,

gdybyście z Moiraine nie zrobiły nic więcej oprócz przekazania między sobą więzi. Ale on o nic nie prosił, nieprawdaż? Nie dano mu wyboru. Równie dobrze mogłabyś związać go z sobą więzią wbrew jego woli. W rzeczy samej, zrobiłaś to, do cholery!

Egwene nareszcie pojęła, co ta układanka przedstawia. Wiedziała, że powinna poczuć takie samo obrzydzenie jak Siuan. Związanie więzią Strażnika wbrew jego woli równało się gwałtowi. Nie miał więcej szans niż wieśniaczka, którą mężczyzna tak rosły jak Lan zagnał do kąta w stodole. Gdyby zrobiło to trzech mężczyzn równie rosłych jak Lan. Niemniej jednak siostry nie zawsze bywały takie skrupulatne - tysiąc lat wcześniej o czymś takim ledwie by się wzmiankowało -a nawet i w tych czasach można byłoby się w niektórych przypadkach spierać, czy dany mężczyzna istotnie wiedział, na co się zgadza. Hipokryzja była jedną ze sztuk uprawianych przez Aes Sedai, podobnie jak knucie spisków, względnie utrzymywanie tajemnic. A skądinąd wiedziała, że Lan nie chciał się przyznać do swojej miłości do Nynaeve. Wygadywał jakieś bzdury o tym, że prędzej czy później na pewno zostanie zabity i że nie chce czynić z niej wdowy; mężczyźni zawsze pletli od rzeczy, kiedy im się wydawało, że kierują się logiką i względami praktycznymi. Czy mimo tego wszystkiego, co mówił, Nynaeve pozwoliłaby mu odejść, nie związawszy go uprzednio więzią, gdyby miała ku temu sposobność? Czy ona sama pozwoliłaby na to Gawynowi? Gawyn twierdził, że zgodziłby się, ale co będzie, jeśli zmienił zdanie?

Nisao poruszyła ustami, ale nie umiała znaleźć słów. Spojrzała spode łba na Siuan, jakby uważała, że to ona jest winna wszystkiemu, ale to było nic w porównaniu z tym wściekłym spojrzeniem, którym spiorunowała Myrelle.

- Po co ja cię słuchałam! - warknęła. - Chyba zwariowałam!

Myrelle jakimś sposobem zachowała spokojną twarz, za to zachwiała się

nieznacznie, jakby ugięły się pod nią kolana.

- Nie zrobiłam tego dla siebie, Matko. Musisz mi uwierzyć. Miałam go uratować. Kiedy już będzie bezpieczny, oddam go Nynaeve, zgodnie z wolą Moiraine, kiedy tylko ona...

Egwene gwałtownie podniosła rękę i Myrelle umilkła, jakby ta ręka została przyciśnięta do jej ust.

- Mówisz o przekazaniu jego więzi na Nynaeve?

Myrelle przytaknęła niepewnie, Nisao ze znacznie większym zapałem.

Zachmurzona Siuan mruknęła, że dwukrotne powtórzenie złego uczynku czyni go po trzykroć złym. Lan w dalszym ciągu ani na trochę nie zwolnił. Ze zwałów uschłych liści za jego plecami wyskoczyły dwa koniki polne, a wtedy obrócił się błyskawicznie wokół własnej osi i nawet się nie zatrzymując, strącił je mieczem na ziemię.

- Czy wasze wysiłki zostały uwieńczone jakimkolwiek sukcesem? Czy on chociaż trochę ozdrowiał? I dokładnie od jak dawna go tu trzymacie?

- Od ponad dwóch tygodni - odparła Myrelle. - Dzisiaj mija dwudziesty dzień. Matko, leczenie czegoś takiego może trwać wiele miesięcy, a nawet wtedy nie istnieją żadne gwarancje.

- Być może czas najwyższy spróbować czegoś innego - orzekła Egwene, bardziej do siebie niż do pozostałych. I raczej po to, by przekonać samą siebie. W takich okolicznościach Lan raczej nie stanowił miłego prezentu, który można komukolwiek ofiarować, jednakże więź, nie więź, nigdy nie będzie należał do Myrelle tak jak do Nynaeve.

A jednak, kiedy szła przez kotlinę w jego stronę, opadły ją wątpliwości silniejsze niż kiedykolwiek. Wykonał obrót, by w swoim tańcu ustawić się twarzą do

niej właśnie; miecz podobny do smugi w powietrzu został wycelowany w jej stronę. Któraś wstrzymała oddech, kiedy ostrze zatrzymało się w odległości zaledwie kilku cali od jej głowy. Egwene poczuła ulgę, że to nie była jej głowa.

Jasnoniebieskie oczy wpatrywały się w nią z napięciem spod zmarszczonych brwi, osadzonych w twarzy zbudowanej z samych płaszczyzn i kanciastych linii, jakby wyrzeźbionej z kamienia. Lan powoli opuścił miecz. Cały ociekał potem, a mimo to nawet nie dyszał.

- A więc to ty jesteś teraz Amyrlin. Myrelle mi powiedziała, że któraś została wyniesiona, ale nie rzekła, kto nią jest. Coś mi się zdaje, że ty i ja mamy ze sobą wiele wspólnego. - Uśmiech miał równie zimny jak oczy, równie zimny jak głos.

Egwene pohamowała się i nie poprawiła stuły, przypomniawszy sobie, że jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin i Aes Sedai. Miała ochotę objąć saidara. Aż do tej chwili nie do końca zdawała sobie sprawę, jaki Lan jest groźny.

- Nynaeve też jest Aes Sedai, Lanie. Potrzebuje dobrego Strażnika. - Któraś z kobiet wydała zduszony okrzyk, ale Egwene nie oderwała od niego wzroku.

- Mam nadzieję, że znajdzie sobie jakiegoś bohatera z legendy. - Wybuchnął śmiechem. - Bohatera, który stawi czoło jej temperamentowi.

Ten śmiech, mimo iż taki lodowaty, przekonał ją.

- Nynaeve jest w Ebou Dar, Lan. Sam wiesz, jakie to niebezpieczne miasto. Szuka tam czegoś, czego rozpaczliwie potrzebujemy. Jeżeli Czarne Ajah się dowiedzą, wówczas zabiją ją, żeby tylko to zdobyć. Jeżeli Przeklęci się dowiedzą... -Już przedtem uważała jego twarz za ponurą, ale ból, od którego aż zmrużył oczy, kiedy usłyszał, że Nynaeve jest w niebezpieczeństwie, potwierdził słuszność jej planu. To Nynaeve, nie Myrelle, miała prawo. - Wysyłam cię do niej w charakterze jej Strażnika.

- Matko - odezwała się nerwowym głosem Myrelle za jej plecami.

Egwene uniosła rękę, żeby ją uciszyć.

- Bezpieczeństwo Nynaeve spoczywa w twoich rękach, Lan.

Nie wahał się. Nawet nie spojrzał na Myrelle.

- Dotarcie do Ebou Dar potrwa co najmniej miesiąc. Areina, siodłaj Mandarba!

- Już miał się odwrócić, ale zatrzymał się nagle, unosząc wolną rękę, jakby chciał dotknąć jej stuły. -Przepraszam, że pomogłem wam wyjechać z Dwu Rzek. I tobie, i Nynaeve. - Oddaliwszy się długimi krokami, zniknął w namiocie, z którego wcześniej się wynurzył, ale nim uszedł dwa kroki, otoczyły ją Myrelle, Nisao i Siuan.

- Matko, sama nie rozumiesz, co właśnie zrobiłaś -rzuciła bez tchu Myrelle. - Równie dobrze mogłabyś dać dziecku zapaloną lampę do zabawy w stodole pełnej siana. Zaczęłam przygotowywać Nynaeve, ledwie poczułam, że więź jest przekazywana na mnie. Myślałam, że mam dużo czasu. A tymczasem ona została w mgnieniu oka wyniesiona do szala. Nie jest jeszcze gotowa, żeby nad nim zapanować, Matko. W takim stanie, w jakim Lan się znajduje, na pewno nie jest.

Egwene zmusiła się do cierpliwości. One nadal nic nie rozumiały.

- Myrelle, nawet gdyby Nynaeve nie potrafiła ani trochę przenosić... - W rzeczy samej nie potrafiła, jeśli nie była rozzłoszczona - ... to by niczego nie zmieniało i ty o tym wiesz. Nieważne, czy ona potrafi nad nim zapanować. Jest jedna rzecz, której ty nie potrafiłaś zrobić. Dać mu zadanie tak ważne, by do jego wykonania musiał pozostać przy życiu. -To był ostatni element procesu rekonwalescencji, który podobno działał lepiej niż inne. - Dla niego czymś tak ważnym jest bezpieczeństwo Nynaeve. On ją kocha, Myrelle, a ona kocha jego.

- To wyjaśnia... - zaczęła cicho Myrelle, ale Nisao zagadała ją:

- Ależ na pewno nie. Nie on. Ona być może go kocha, jak przypuszczam, albo tak jej się wydaje, ale kobiety uganiały się za Lanem od czasów, kiedy był jeszcze chłopcem bez zarostu. I łapały go, na dzień albo na miesiąc. Był całkiem urodziwy, jakkolwiek nieprawdopodobne mogłoby to się teraz wydawać. Zresztą również i teraz jest z różnych powodów pociągający. - Zerknęła z ukosa na Myrelle, która skrzywiła się nieznacznie, a na jej policzkach wykwitły barwne plamki. Nie zareagowała w żaden inny sposób, ale już to wystarczyło. - Nie, Matko. Każda kobieta, której się wydaje, że wzięła na smycz Lana Mandragorana, dowie się, że nałożyła obrożę na powietrze.

Egwene westchnęła wbrew sobie. Niektóre siostry wierzyły, że istnieje jeszcze jedna metoda na uratowanie Strażnika, którego więź została przerwana przez śmierć: wrzucić go w ramiona - do łoża - jakiejś kobiety. Rzekomo w takiej sytuacji żaden mężczyzna nie potrafi myśleć o śmierci. Myrelle, jak się zdawało, też już o to zadbała. Całe szczęście, że go nie poślubiła, jakby rzeczywiście zamierzała go przekazać komuś dalej. Gdyby do tego doszło, byłoby lepiej, jeśli Nynaeve nigdy by się nie dowiedziała.

- Niech i tak będzie - odparła roztargnionym głosem Egwene. Areina mocowała popręg przy siodle Mandarba; wysoki, czarny ogier stał z wysoko uniesioną głową, ale godził się na wszystko. Najwyraźniej nie był to pierwszy raz, kiedy to ona zajmowała się zwierzęciem. Nicola stała nieopodal, przy grubym pniu drugiego dębu, z rękoma skrzyżowanymi pod piersiami, wpatrzona w Egwene i pozostałe. Wyglądała na gotową rzucić się do ucieczki. - Nie mam pojęcia, co ta Areina z was wycisnęła - rzekła cicho Egwene - ale dodatkowe lekcje dla Nicoli mają się natychmiast skończyć. Myrelle i Nisao - zupełnie zaskoczone - podskoczyły w miejscu. Oczy Siuan wyglądały jak spodeczki, ale na szczęście otrząsnęła się, zanim ktokolwiek to

zauważył.

- Ty naprawdę wiesz wszystko - wyszeptała Myrelle. - Areina chce być tylko blisko Lana. Moim zdaniem, ona wierzy, że nauczy ją różnych rzeczy, które mogłaby wykorzystać jako uczestniczka Polowania na Róg. Albo że przyłączy się razem z nią do Polowania.

- Nicola pragnie zostać następną Caraighan -mruknęła uszczypliwym tonem Nisao. - Albo jeszcze jedną Moiraine. Moim zdaniem ubzdurała sobie, że jest w stanie zmusić Myrelle, by ta oddała jej więź z Lanem. No cóż! Przynajmniej możemy rozprawić się z tymi dwiema tak, jak sobie na to zasłużyły, teraz kiedy jego osoba przestała być tajemnicą. Niezależnie od tego, co mnie teraz czeka, z radością powitam wiadomość, że te dwie będą piszczeć od dziś aż do końca roku.

Siuan nareszcie zrozumiała, co tu się dzieje; na jej twarzy malowały się gniew i zaskoczenie, kiedy patrzyła w stronę Egwene. Fakt, że ktoś inny pierwszy rozwiązał zagadkę, prawdopodobnie martwił ją bardziej niźli fakt, że Nicola i Areina szantażowały Aes Sedai. A może nie. Ostatecznie Nicola i Areina nie były Aes Sedai. Cała ta sprawa drastycznie zmieniała poglądy Siuan na to, co dozwolone. Ale z kolei było tak również w przypadku innych sióstr.

Kiedy tyle par oczu zwróciło się ku niej i nie dostrzegła w nich ani jednego przyjaznego spojrzenia, Nicola oparła się plecami o pień dębu i wyglądała tak, jakby chciała się za niego schować. Białą suknię miała tak zaplamioną, że nie ulegało wątpliwości, iż zaraz po powrocie do obozu będzie musiała zabrać się do prania. Areina natomiast była nadal zaabsorbowana koniem Lana, nieświadoma tego, co zaraz miało jej się zwalić na głowę.

- Tak będzie sprawiedliwie - zgodziła się Egwene - ale najpierw wy dwie

staniecie twarzą w twarz ze sprawiedliwością.

Żadna już nie patrzyła na Nicolę. W twarzy Mirelle widać było tylko ogromne oczy; Nisao otworzyła swoje jeszcze szerzej. Nie odważyły się nawet zaszczękać zębami. Siuan obnosiła się ze swoją ponurą satysfakcją, jakby to była jej druga skóra; uważała, że nie zasługują na żadne współczucie. Co wcale nie znaczyło, by Egwene zamierzała im je okazać.

- Porozmawiamy sobie jeszcze, kiedy wrócę - powiedziała, kiedy ponownie pojawił się Lan, z mieczem przypasanym do zielonego kaftana, spod którego wyzierała

rozchełstana

koszula, i z wypchanymi sakwami przerzuconymi przez ramię. Wirujący za plecami płaszcz Strażnika mienił się barwami.

Pozostawiwszy oszołomione siostry, Egwene wyszła mu w pół drogi. Siuan dopilnuje, żeby porządnie zawrzały, gdyby zdradzały jakiekolwiek oznaki buntu.

- Mogę cię przenieść do Ebou Dar w czasie krótszym niż miesiąc - powiedziała.

Lan tylko przytaknął niecierpliwie i krzyknął na Areinę, że ma przyprowadzić mu Mandarba. Jego napięcie było bardzo denerwujące, przypominało lawinę wiszącą na cienkiej nitce, gotową runąć lada moment.

Utkała bramę, o wymiarach dobrych ośmiu stóp na osiem, w tym samym miejscu, w którym on ćwiczył formy, po czym przeszła przez nią na coś, co wyglądało jak prom dryfujący w czerni, która zdawała się rozciągać w nieskończoność. Do Przemykania absolutnie niezbędna była jakaś platforma i choć mogło za nią posłużyć dosłownie wszystko, co człowiek sobie wyobraził, każda siostra tworzyła taką, jaką sobie upodobała. W jej przypadku była to właśnie taka drewniana barka z mocnymi

poręczami, bo gdyby z niej spadła, mogła zrobić niżej jeszcze jedną. Dokąd by wtedy trafiła, było pytaniem nie lada, ale dla każdej osoby, która nie potrafiła przenosić, upadek w tej rozbiegającej się we wszystkie strony czerni nie miałby końca. Jedynie przy bliższym wejścia krańcu barki było trochę światła, ponieważ z bramy otwierał się ograniczony widok na kotlinę. To światło w ogóle nie przenikało czerni, ale zawsze było to jakieś światło. Przynajmniej widziała całkiem wyraźnie, tak jak w Tel'aran'rhiod. Nie po raz pierwszy zastanowiła się, czy to nie jest przypadkiem jakaś część Świata Snów.

Nie musiała mówić Lanowi, że ma iść za nią. Razem z koniem przeszedł przez bramę, po drodze ją badając; ciemnością zainteresował się dopiero wtedy, gdy jego buty oraz podkowy wierzchowca łomotały już na drewnianym pokładzie, zmierzając w stronę Egwene. Jedyne pytanie, jakie zadał, brzmiało:

- Jak szybko mnie to zabierze do Ebou Dar?

- Nie do samego Ebou Dar- odparła i przeniosła, żeby przymknąć skrzydła bramy, a potem ją zatrzasnąć. - Nie do samego miasta. - W czerni nie widziało się żadnego ruchu; nie wiał tam wiatr, nic się nie czuło. A mimo to znajdowali się w ruchu. I to w szybkim ruchu; poruszali się prędzej, niż mogła sobie wyobrazić. Mieli przed sobą z sześćset albo i więcej mil do pokonania. - Mogę cię przenieść do miejsca, od którego będzie cię czekało jeszcze pięć albo sześć dni drogi na północ do Ebou Dar. - Widziała tkanie bramy, kiedy Nynaeve i Elayne Podróżowały na południe, i zapamiętała dostatecznie dużo, by móc teraz Przemknąć do tego samego miejsca.

Lan skinął głową, wytężając wzrok, jakby był w stanie dojrzeć miejsce ich przeznaczenia. Przypominał jej strzałę nasadzoną na napiętą cięciwę.

- Lan, Nynaeve mieszka w Pałacu Tarasin, jest gościem Królowej Tylin.

Zapewne będzie zaprzeczać, że coś jej grozi. - I tak zapewne uczyni, z wielkim oburzeniem, na ile Egwene znała Nynaeve, i będzie miała do tego prawo. - Postaraj się nie czynić z tego najważniejszej sprawy; wiesz sam, jaka jest uparta, ale nie musisz się tym przejmować. Jeżeli to się okaże konieczne, chroń ją w taki sposób, by o tym nie wiedziała. -Nic nie powiedział, nawet na nią nie spojrzał. Ona na jego miejscu zadałaby sto pytań. -Lan, powiedz Nynaeve, kiedy już ją znajdziesz, że Myrelle odda jej twoją więź, gdy tylko wszyscy troje znajdziecie się w jednym miejscu. - Wpadła na pomysł, że sama jej przekaże tę informację, ale zdawało się, że lepiej nie uprzedzać Nynaeve o jego przybyciu. Tak była ogłupiała na jego punkcie jak... jak... "Jak ja na punkcie Gawyna" - pomyślała ze smutkiem. Gdyby Nynaeve wiedziała, że Lan jedzie do niej, w głowie nie zostałoby jej wiele miejsca na cokolwiek innego. I mimo najlepszych chęci obarczyłaby Elayne całym trudem szukania. Co wcale nie znaczyło, by zwinęła się w kłębek i oddała marzeniom; po prostu szukałaby, niczego nie dostrzegając. -Czy ty mnie słuchasz, Lan?

- Pałac Tarasin - powtórzył obojętnym głosem, nie podnosząc wzroku. - Gości u Królowej Tylin. Może zaprzeczać, że coś jej grozi. Jest uparta, o czym sarn wiem. - W tym momencie spojrzał na nią, a ona niemalże zapragnęła, żeby tego nie robił. Była pełna saidara, pełna ciepła, radości i siły, czystego życia, a tymczasem w tych zimnych, niebieskich oczach wściekało się coś szalonego i pierwotnego, coś co zaprzeczało życiu. Jego oczy były przerażające; nic więcej. -Powiem jej wszystko, co powinna wiedzieć. Sama widzisz, że słucham.

Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy i nie wzdrygnąć się przy tym, ale on znowu się odwrócił. Na karku miał sporego siniaka. To mogło być - chyba - ukąszenie. Może powinna go ostrzec, powiedzieć mu, że nie musi... podawać zbyt wielu szczegółów...

kiedy będzie opowiadał o sobie i o Myrelle. Zaczerwieniła się pod wpływem tej myśli. Starała się nie widzieć tego sińca, ale kiedy już go zauważyła, nie mogła oderwać od niego wzroku. Przecież Lan nie okaże się taki głupi. Trudno się spodziewać rozsądku ze strony mężczyzny, ale nawet mężczyźni nie są tak trzpiotowaci.

Płynęli w milczeniu, przemieszczali się, trwając w miejscu. Nie bała się, że nagle pojawią się tutaj Przeklęci ani ktokolwiek inny. Przemykanie miało swoje osobliwości, ale one właśnie częściowo zapewniały bezpieczeństwo. Nawet kiedy dwie siostry tkały bramy w jednym miejscu w odstępie zaledwie kilku chwil, z zamiarem Przemknięcia do tego samego miejsca, nie widziały się nawzajem, o ile to nie było dokładnie to samo miejsce, a sploty identyczne, a wszak takiej precyzji raczej nie osiągało się łatwo.

Po jakimś czasie-trudno było określić, jakim dokładnie, ale miała wrażenie, że około pół godziny - barka zatrzymała się nagle. Jej odczucia pozostały takie same i nic się też nie zmieniło w tkanych przez nią splotach, a mimo to po prostu wiedziała, że w jednej chwili mknęli przez czerń, w następnej stali bez ruchu. Otworzyła bramę tuż przy dziobie barki - nie była pewna, dokąd prowadziłaby brama otworzona przy sterze, i szczerze mówiąc, wcale nie miała ochoty tego sprawdzać; Moghedien uważała taki pomysł za przerażający - po czym dała znak Lanowi, że ma iść przed siebie. Barka istniała tylko tak długo, jak ona tam była obecna; kolejna rzecz podobna do rzeczywistości w Tel'aran'rhiod.

Otworzył bramkę w burcie, żeby wyprowadzić Mandarba, a kiedy ruszyła w ślad za nim, już siedział w siodle. Pozostawiła bramę otwartą, by móc powrócić.

Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała niskie, łagodne wzgórza, porośnięte zwiędłą trawą. Nigdzie natomiast nie widziała żadnego drzewa, tylko skarlałe zarośla. Podkowy ogiera Lana wzbijały niewielkie tumany kurzu. Poranne słońce na tym

bezchmurnym niebie prażyło jeszcze mocniej niż w Murandy. Sępy o długich skrzydłach krążyły na południu i jeszcze w innym miejscu na zachodzie.

- Lan - zaczęła, chcąc się upewnić, że zrozumiał, co ma przekazać Nynaeve, ale on ją ubiegł.

- Pięć albo sześć dni, powiadasz - powiedział, spoglądając w stronę południa. - Dojadę tam szybciej. Ona będzie bezpieczna, obiecuję. - Mandarb przebierał nogami, niecierpliwy podobnie jak jeździec, ale Lan trzymał go bez trudu. - Długą drogę pokonałaś od Pola Emonda. - Spojrzał na nią z uśmiechem, ale całe ciepło tego uśmiechu niszczył wyraz oczu. - A teraz jeszcze zapanowałaś nad Myrelle i Nisao. Nie pozwól im więcej się z tobą sprzeczać. Wedle twego rozkazu, Matko. Warta się jeszcze nie skończyła. - Ukłonił się nieznacznie i uderzył piętami boki Mandarba, oddalając się powoli na taką odległość, by jej nie zakurzyć, po czym zmusił konia do galopu.

Zamknęła usta, patrząc, jak mknie ku południu. No tak... Obserwował wszystko podczas tych swoich ćwiczeń z mieczem, obserwował i wyciągał słuszne wnioski. W tym również takie, których nie byłby w stanie wysnuć, dopóki nie zobaczył na niej stuły. Niech Nynaeve lepiej uważa, jej się zawsze wydawało, że mężczyźni są głupsi niż w byli rzeczywistości.

- Przynajmniej te dwie nie wpakują się w prawdziwe kłopoty - powiedziała na głos. Lan wjechał na szczyt wzgórza i zniknął po drugiej stronie. Gdyby w Ebou Dar istniało jakieś prawdziwe niebezpieczeństwo, wówczas Elayne albo Ńynaeve powiedziałyby coś. Nie spotykały się często, miała zbyt dużo roboty, ale wypracowały sposób na zostawianie wiadomości w Salidarze z Tel'aran'rhiod za każdym razem, gdy zachodziła taka potrzeba.

Wiatr, który równie dobrze mógł dąć z samego wnętrza pieca, nawiewał

wielkie tumany kurzu. Kaszląc, zakryła usta i nos rąbkiem pasiastej stuły Amyrlin i pospiesznie weszła przez bramę na prom. Powrotna podróż była cicha i nudna; nie miała nic innego do roboty oprócz martwienia się, czy postąpiła słusznie, wysyłając Lana, i czy dobrze robi, trzymając Nynaeve w niewiedzy. "Nie ma odwrotu", stale sobie powtarzała, ale to nie pomagało.

Kiedy znowu znalazła się w niecce pod dębami, zauważyła, że do dwóch Strażników Myrelle dołączył trzeci, Avar Hachami, mężczyzna o orlim nosie z gęstymi, siwymi wąsami, podobnymi do odwróconych rogów. Wszyscy Gaidinowie musieli się nieźle napracować, bo namioty zostały już rozebrane i porządnie spakowane. Nicola i Areina biegały tam i z powrotem, ładując urządzenia obozowe na furę, wszystko, począwszy od koców, a skończywszy na garnkach do gotowania i czarnym, żelaznym kotle do zmywania. Mimo iż biegały, nie zatrzymując się, co najmniej połowę swojej uwagi skupiały na Siuan i pozostałych dwóch siostrach, stojących bliżej linii drzew. A skoro już o tym mowa, Strażnicy poświęcali siostrom więcej niż tylko połowę swojej atencji. Równie dobrze mogliby strzyc uszami. Można by jednak dyskutować, kto tu kogo uspokaja.

- ...nie przemawiaj do mnie tym tonem, Siuan - mówiła właśnie Myrelle. Nie tak głośno, by ją słyszano po drugiej stronie polany, ale dostatecznie zimno, by spowodować zelżenie upału. Zaplótłszy ciasno ręce na piersiach, wyprostowała się, wykorzystując wszystkie cale swego wzrostu, władcza i tak nadęta, jakby lada chwila miała wybuchnąć. - Czy ty mnie słuchasz? Nie będziesz się tak do mnie zwracała!

- Gdzie twoje poczucie przyzwoitości, Siuan? - Nisao zaciskała dłonie na fałdach spódnic, na próżno starając się nie dygotać, a żar jej głosu dorównywał lodowi w głosie Myrelle. - Lepiej zacznij się czym prędzej uczyć zasad dobrego wychowania,

jeżeli już całkiem zapomniałaś, na czym polegają!

Siuan patrzyła na nie, stojąc z dłońmi ułożonymi na biodrach, i gwałtownie poruszała głową, piorunując te dwie wzrokiem i jednocześnie obserwując bacznie obie nowicjuszki.

- Ja... ja tylko... - Kiedy zobaczyła zbliżającą się Egwene, na jej twarzy, niczym kwiat podczas wiosny, wykwitła ulga. - Matko... - Niemalże to wydyszała. - Wyjaśniałam, jakie będą ewentualne kary. - Wzięła głęboki oddech i ciągnęła dalej bardziej zdecydowanie: - Komnata będzie musiała je wymyślić, rzecz jasna, ale moim zdaniem one mogą zacząć od przekazania swoich Strażników innym siostrom, ponieważ zdają się tak to lubić.

Myrelle zacisnęła powieki, a Nisao odwróciła się, żeby spojrzeć na Strażników. Wyraz jej twarzy ani na moment się nie zmienił, ale Sarin potknął się i zrobił trzy krótkie kroki w jej stronę, zanim podniosła rękę, żeby go zatrzymać. Strażnik potrafił wyczuć obecność Aes Sedai, jej ból, strach i gniew, dokładnie tak samo, jak Egwene czuła Moghedien, kiedy nosiła a'dam. Nic dziwnego, że wszyscy Gaidinowie poruszali się jak koty i zawsze wyglądali na gotowych do ataku; mogli nie wiedzieć, co doprowadziło ich Aes Sedai do skrajnej rozpaczy, ale wiedzieli, że tak właśnie jest. Było więc tak, jak Egwene chciała, mimo iż, w tym wszystkim to podobało się jej najmniej. Wszelkie lawirowanie zawsze przypominało grę, ale to...

"Robię to, co muszę" - pomyślała, niepewna, czy w ten sposób stara się umocnić w swoim postanowieniu czy raczej usprawiedliwić to, co zaraz miała zrobić.

- Siuan, proszę odeślij Nicolę i Areinę do obozu. - Nie będą rozpowiadały tego, czego nie zobaczą. - Nie możemy dopuścić, by rozpuściły języki, więc dopilnuj, żeby się dowiedziały, co je czeka. Powiedz im, że dostaną jeszcze jedną szansę, ponieważ

Amyrlin jest w nastroju do okazywania litości, ale następnej już nie będą miały.

- Myślę, że zdobędę się na tyle - odparła Siuan i zebrawszy spódnice, odeszła majestatycznym krokiem. Nikt nie potrafił kroczyć tak jak Siuan, która teraz wyraźnie chciała się znaleźć jak najdalej od Myrelle i Nisao.

- Matko - zaczęła Nisao, starannie dobierając słowazanim odeszłaś, powiedziałaś coś... coś, co oznaczało, że może istnieć jakiś sposób... dzięki któremu mogłybyśmy uniknąć... jakiś sposób, dzięki któremu nie musiałybyśmy... - Ponownie zerknęła na Sarina. Myrelle mogłaby stanowić studium spokoju Aes Sedai, kiedy przypatrywała się Egwene, gdyby nie jej palce, które splatała z taką siłą, że było widać, jak ich stawy naprężają cienką skórę rękawiczek.

Nicola i Areina, które odwróciły się właśnie od fury, zobaczyły Siuan i w tym momencie zesztywniały. I nic dziwnego, zważywszy że Siuan zbliżała się takim krokiem, jakby zmierzała przejść i po nich, i po furze. Areina gwałtownie kręciła głową, ale zanim przyszło jej na myśl, że mogłaby uciec, Siuan szybko wyciągnęła ręce i złapała je obie za uszy. Nie było nic słychać, bo mówiła zbyt cicho, ale Areina przestała wyrywać ucho. Nie oderwała dłoni od nadgarstka Siuan, ale niemal zdawała się go używać w charakterze podpórki. Na twarzy Nicoli wykwitł wyraz tak panicznego przerażenia, że. Egwene zastanowiła się, czy Siuan nie posuwa się zbyt daleko. Ale z kolei może wcale nie, zważywszy na okoliczności; ich występek miał im ujść na sucho. Co za szkoda, że nie potrafiła opanować tego talentu do wywęszania tajemnic.

Siuan coś jeszcze powiedziała, po czym puściła ich uszy; obie natychmiast zwróciły się w stronę Egwene i zaczęły dygać. Nicola dygnęła tak nisko, że nieledwie przypadła twarzą do ziemi; a Areina omal się nie przewróciła. Kiedy Siuan klasnęła w

dłonie, poderwały się na nogi, po czym dopadły do pary kudłatych koni pociągowych i zaczęły je odwiązywać od palików. Dosiadły swe wierzchowce na oklep i wygalopowały z niecki tak szybko, jakby urosły im skrzydła.

- Nie powiedzą nic nawet przez sen - oznajmiła kwaśnym tonem Siuan, kiedy z powrotem stanęła przy Egwene. -Nadal potrafię radzić sobie z nowicjuszkami i łajdaczkami. -Nie odrywała wzroku od twarzy Egwene, unikając spojrzenia pozostałych dwóch sióstr.

Egwene stłumiła westchnięcie i zwróciła się do Myrelle i Nisao. Musiała zrobić coś z Siuan, ale najpierw należało zabrać się do tego, co najważniejsze. Zielona i Brązowa siostra mierzyły ją czujnym okiem.

- Sprawa jest prosta - oznajmiła stanowczym głosem. - Bez mojej ochrony najprawdopodobniej utracicie swoich Strażników i raczej na pewno zostaniecie obdarte żywcem ze skóry, zanim Komnata z wami skończy. I zapewne wasze Ajah też powiedzą wam kilka słów na dobitkę. Niewykluczone, że upłynie wiele lat, zanim będziecie mogły znowu podnieść głowy, całe lata, zanim siostry przestaną co chwila zaglądać wam przez ramię. Tylko dlaczego miałabym was chronić przed sprawiedliwością? To nakłada na mnie zobowiązanie; przecież możecie znowu zrobić to samo albo coś jeszcze gorszego. - Poglądy Mądrych z pewnością przyczyniły się do ukształtowania tej wypowiedzi, aczkolwiek nie chodziło dokładnie o ji'e'toh. - Gdybym miała przyjąć na siebie taką odpowiedzialność, muszę otrzymać od was jakieś zobowiązanie. Muszę ufać wam całkowicie, a na to widzę tylko jeden sposób. - Mądre, a potem Faolain i Theodrin. - Musicie przysiąc mi lojalność.

Krzywiły się, zastanawiając, do czego ona zmierza, ale cokolwiek sobie myślały, na pewno nie o tym, na czym skończyła. Ich twarze prezentowały teraz

ciekawy widok. Nisao otworzyła usta, natomiast Myrelle wyglądała tak, jakby uderzono ją młotem między oczy. Nawet Siuan wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem.

- T-to n-niemożliwe - wyjąkała Myrelle. - Żadna siostra nigdy... ! Żadna Amyrlin nigdy nie wymagała... ! Ty naprawdę nie myślisz... !

- Och, bądźże cicho, Myrelle! - warknęła Nisao. - To wszystko to twoja wina! Po co ja cię słuchałam... ! No cóż. Stało się. Jest jak jest. - Zerknąwszy na Egwene spod opuszczonych brwi, mruknęła: - Jesteś niebezpieczną młodą kobietą, Matko. Bardzo niebezpieczną. Możesz sprawić, że rozłam w Wieży jeszcze bardziej się pogłębi, zanim skończysz swoje dzieło. Gdybym ja miała w sobie tyle pewności, gdybym miała odwagę wypełniać swoje obowiązki i stawiać czoło wszystkiemu, co mnie spotyka... -

Mimo tych słów uklękła zgrabnie, przyciskając usta do pierścienia z Wielkim Wężem na palcu Egwene. - Pod Światłością oraz na moją nadzieję odrodzenia i zbawienia... -

Nie zostało to sformułowane tak samo jak ślubowanie złożone przez Faolain i Theodrin, ale pod każdym względem zabrzmiało równie silne. A nawet bardziej. Zgodnie z Trzema Przysięgami, żadna Aes Sedai nie mogła złożyć nieszczerej przysięgi. Z wyjątkiem Czarnych Ajah, rzecz jasna; te najwidoczniej znalazły sposób, by móc kłamać. To, czy któraś z tych kobiet była Czarną, stanowiło jednak odrębny problem. Siuan, która wybałuszyła oczy i bezdźwięcznie poruszała ustami, przypominała rybę wyrzuconą na brzeg.

Myrelle usiłowała jeszcze protestować, ale ostatecznie nerwowo ugięła kolana, kiedy Egwene podsunęła w jej stronę rękę z pierścieniem. Wypowiedziała przysięgę tonem pełnym goryczy, po czym podniosła wzrok.

- Zrobiłaś coś, czego nikt dotąd nie robił, Matko. Taki czyn jest zawsze niebezpieczny.

- To nie będzie ostatni raz - zapewniła ją Egwene. -Prawdę powiedziawszy...

Mój pierwszy rozkaz dla was brzmi następująco: nie powiecie nikomu, kim naprawdę jest Siuan. Drugi rozkaz jest taki: będziecie posłuszne wszelkim jej rozkazom, tak jakby pochodziły ode mnie.

Zwróciły się w stronę Siuan, z zupełnie niezmąconymi twarzami.

- Jak rozkażesz, Matko - wymruczały jednogłośnie. Za to Siuan zrobiła taką minę, jakby zaraz miała zemdleć.

Nadal wpatrywała się w przestrzeń, kiedy wróciły na drogę i skierowały konie na wschód, w stronę obozu Aes Sedai i armii. Słońce ciągle jeszcze wspinało się do zenitu. Podobnie jak w wypadku większości dni, ten poranek był pełen zdarzeń. Większości tygodni, skoro już o tym mowa. Egwene pozwoliła Daisharowi iść wolniej.

- Myrelle miała rację - wymamrotała w końcu Siuan. Klacz, której jeździec błądził myślami gdzie indziej, ruszyła niemalże gładkim galopem; praktycznie sama sprawiła, że Siuan wyglądała teraz na sprawnego jeźdźca. - Lojalność. Nikt dotąd nie składał takiej przysięgi. Nikt. W tajnych dokumentach nie ma żadnej wzmianki o czymś takim. I mają okazywać mi posłuszeństwo. Ty nie tylko zmieniasz, ty przebudowujesz łódź, która żegluje podczas burzy! Wszystko się zmienia. I Nicola! Za moich czasów nowicjuszka prędzej by się zmoczyła, zanim by w ogóle wpadła na pomysł szantażowania jakiejś siostry!

- To nie była ich pierwsza próba - powiedziała jej Egwene, relacjonując fakty za pomocą jak najmniejszej liczby słów.

Spodziewała się, że Siuan wpadnie w furię, a tymczasem ta spokojnie powiedziała:

- Obawiam się, że naszym dwóm awanturnicom może się przytrafić jakiś

wypadek.

- Nie! - Egwene ściągnęła wodze tak gwałtownie, że klacz jej towarzyszki pokonała jeszcze pół tuzina kroków, zanim Siuan odzyskała panowanie nad nią i zawróciła, cały czas mrucząc pod nosem przekleństwa. Czekała teraz, obrzucając Egwene cierpliwym spojrzeniem.

- Matko, one będą trzymały bat nad twoją głową, jeżeli starczy im sprytu, by coś takiego wymyślić. Nawet jeśli Komnata nie wyznaczy ci jakiejś kary, to pożeglujesz razem z nimi za horyzont. - Z niesmakiem pokręciła głową. - Wiedziałam, że to zrobisz, kiedy wyprawiałam cię w drogę... wiedziałam, że będziesz musiała to zrobić... ale w ogóle mi nie przyszło do głowy, że Elayne i Nynaeve są tak niespełna rozumu, by wracać z kimś, kto się dowiedział o wszystkim. Te dwie dziewczyny zasługują na wszystko, co złapią w swoje sieci, jeśli to się rozejdzie. Ale ty nie możesz do tego dopuścić.

- Nic im się nie stanie, ani Nicoli, ani Areinie, Siuan! Jeżeli zgodzę się na zabicie ich za to, co wiedzą, to kto będzie następny? Romanda i Lelaine za to, że się ze mną nie zgadzają? Do czego to doprowadzi? - W pewnym sensie czuła obrzydzenie do samej siebie. Kiedyś nawet by nie zrozumiała, o czym mówi Siuan. Zawsze lepiej wiedzieć, niż żyć w niewiedzy, ale niewiedza bywa niekiedy znacznie wygodniejsza. Uderzyła Daishara piętami i dodała: - Nie pozwalam, by ktoś mi psuł dzień zwycięstwa gadaniem o morderstwie. Sprawa Myrelle to nawet nie jest początek, Siuan. Dziś rano Faolain i Theodrin... - Siuan przywiodła grubą klacz bliżej, by słuchać podczas jazdy. Te wieści nie umniejszyły zaniepokojenia Siuan z powodu Nicoli i Areiny, ale plany Egwene z pewnością sprawiły, że roziskrzyły jej się oczy, a na ustach pojawił uśmieszek wyczekiwania. Zanim dotarły do obozu Aes Sedai, bardzo pragnęła zabrać

się do swego nowego zadania. Czyli zakomunikować Sheriam i innym przyjaciółkom Myrelle, że w południe mają się stawić w gabinecie Amyrlin. Mogła nawet zgodnie z prawdą oznajmić, że nie będzie od nich wymagane nic takiego, czego nie robiła dotychczas żadna siostra.

Mimo mówienia o zwycięstwie, Egwene bynajmniej nie czuła się zbyt uszczęśliwiona. Ledwie słyszała pozdrowienia i prośby o błogosławieństwo; odpowiadała na nie zdawkowym machnięciem ręki i była pewna, że wiele do niej nawet nie dotarło. Morderstwa nie mogłaby aprobować, ale Nicoli i Areinie na pewno nie zaszkodzi, jeżeli będą obserwowane.

"Czy kiedykolwiek trafię do takiego miejsca, gdzie trudności się nigdy nie piętrzą? - zastanowiła się. - Do takiego miejsca, gdzie każde zwycięstwo nie będzie szło w parze z jakimś nowym niebezpieczeństwem".

Kiedy weszła do swojego namiotu, nastrój całkiem jej oklapł, a głowa zaczęła pulsować z bólu. Przyszło jej na myśl, że powinna trzymać się z daleka również od tego namiotu.

Na stoliku do pisania leżały dwa starannie złożone arkusze pergaminu, oba zapieczętowane woskiem i opatrzone słowami "Zapieczętowane dla Płomienia". Każdy, z wyjątkiem Amyrlin, kto by przełamał tę pieczęć, zostałby oskarżony o napaść tak poważną jak na osobę Amyrlin. Nie miała ochoty ich otwierać. Nie wątpiła, kto je napisał. I niestety miała rację.

Romanda proponowała - "zażądała" byłoby tu lepszym słowem - by Amyrlin wydała edykt kategorii "Zapieczętowane dla Komnaty", znany jedynie Zasiadającym. Wszystkie siostry miały być wzywane jedna po drugiej i każda, która odmówi, miała zostać odgrodzona tarczą od Źródła i uwięziona jako domniemana członkini Czarnych

Ajah. Cel, w jakim miały być wzywane, pozostawał raczej mętny, ale Lelaine napomykała o tym tego ranka nie tylko aluzyjnie. List Lelaine był mocno naznaczony jej piętnem: niczym matka, która tłumaczy coś dziecku, donosiła o tym, co należy zrobić dla dobra Egwene i wszystkich sióstr. Edykt, którego ona sobie zażyczyła, miał być jedynie "Zapieczętowany dla Pierścienia"; mogłaby go poznać każda siostra. W rzeczy samej musiałaby go poznać każda siostra. Wszelkie wzmianki o Czarnych Ajah miały być zakazane jako sianie niezgody; zgodnie z prawem Wieży byłoby to poważne oskarżenie, za które groziłyby stosowne kary.

Egwene padła z jękiem na swoje składane krzesełko, które oczywiście zachybotało, i omal nie upadła na dywan. Mogła grać na zwłokę i dawać wymijające odpowiedzi, ale one i tak będą wracały z tymi idiotyzmami. Prędzej lub później któraś przedstawi swoją skromną propozycję Komnacie i w ten sposób lis zostanie wpuszczony do kurnika. Czy one są ślepe? Sianie niezgody? Lelaine przekona wszystkie siostry, że Czarne Ajah nie tylko istnieją, ale że należy do nich Egwene. Aes Sedai pogalopują na łeb, na szyję do Tar Valon, a Elaida z pewnością nie będzie się ociągała. Romanda chciała tylko zażegnać bunt. W tajnych zapiskach była mowa o sześciu takich buntach. Pół tuzina przez okres ponad trzech tysięcy lat to być może niewiele, ale każdy kończył się ustąpieniem Amyrlin i całej Komnaty. Wiedziała o tym zarówno Lelaine, jak i Romanda. Lelaine była Zasiadającą od prawie czterdziestu lat i miała dostęp do wszystkich tajnych dokumentów. Przed swoją rezygnacją i udaniem się do wiejskiego ustronia, tak jak to czyniło wiele sióstr w jej wieku, Romanda stała na czele Żółtych tak długo, że niektóre uważały, iż ma tyle samo władzy co wszystkie Amyrlin, pod którymi zasiadała. Ponowny wybór na to stanowisko był czymś niemalże niesłychanym, ale Romanda nie zaliczała się do osób, które dopuszczą, by

władza wymknęła im się z rąk, jeśli są w stanie temu zaradzić.

Nie, one nie były ślepe - one się tylko bały. Wszystkie się bały, łącznie z nią samą, a nawet Aes Sedai nie zawsze myślały jasno, kiedy odczuwały strach. Ponownie złożyła kartki, pragnąc je zmiąć i podeptać. Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej głowa.

- Czy mogę wejść, Matko? - Halima Saranov wsunęła się do namiotu, nie czekając na odpowiedź. Sposób, w jaki się poruszała, przyciągał oczy wszystkich mężczyzn w wieku od dwunastu lat po dwa dni do grobu; ukrywała swe kształty pod ciężkim płaszczem, a mężczyźni i tak się na nią gapili. Powodem była twarz okolona długimi, czarnymi włosami, które tak lśniły, jakby myła je codziennie w świeżej deszczówce. -Delana Sedai uznała, że mogłabyś chcieć to zobaczyć. Ma zamiar przedłożyć to Komnacie tego ranka.

A więc Komnata zbierała się, nie informując jej o tym? No cóż, wyjechała, ale obyczaj, o ile nie prawo, mówił, że Amyrlin winna być informowana zawczasu o każdym posiedzeniu Komnaty. Chyba że zbierały się po to, żeby ją obalić. W tym momencie przyjęłaby to niemalże jak błogosławieństwo. Spojrzała na zwój, który Halima położyła na stole, jakby to był jadowity wąż. Nie był zapieczętowany; mogła go przeczytać najświeższa z nowicjuszek. Oświadczenie, że Elaida jest Sprzymierzeńcem Ciemności, rzecz jasna. Nie tak źle, jak listy Romandy albo Lelaine, ale Egwene nawet by nie mrugnęła, gdyby usłyszała, że Komnata wszczęła bunt.

- Halima, niemal żałuję, że nie wróciłaś do domu w dniu, w którym umarła Cabriana. - Albo że Delana nie miała dość rozumu, by zapieczętować informacje od tej kobiety wyłącznie dla Komnaty. Albo nawet tylko Płomienia. Zamiast rozpowiadać o nich wszystkim siostrom, które zdołała dopaść.

- Tego raczej zrobić nie mogłam, Matko. - W zielonych oczach Halimy błysnęło

coś, co mogło być wyzwaniem albo butą, aczkolwiek normalnie zwykła patrzeć na kogoś na dwa sposoby: otwartym, szczerym spojrzeniem albo zerkając ukradkiem spod przymkniętych powiek. Jej oczy powodowały moc nieporozumień. - Po tym, jak Cabriana Sedai powtórzyła mi to wszystko, czego się dowiedziała o Elaidzie? I o jej planach? Cabriana była moją przyjaciółką, a także waszą, was wszystkich, które przeciwstawiłyście się Elaidzie, więc nie miałam wyboru. Dziękuję tylko Światłości, że wspomniała o Salidarze, dzięki czemu mogłam przybyć. -Ułożyła dłonie na talii tak cienkiej jak talia Egwene w Tel'aran'rhiod i przekrzywiła głowę na bok, z napięciem jej się przypatrując. -Znowu boli cię głowa, nieprawdaż? Cabriana miewała takie bóle, aż kurczyły jej się palce u nóg. Musiała się wyleżeć w gorącej wodzie, zanim była w stanie się odziać. Czasami to trwało całymi dniami. Dobrze, że tu przyjechałam, bo inaczej twoje bóle stałyby się w końcu równie silne. - Obeszła krzesło i zaczęła masować głowę Egwene. Palce Halimy potrafiły odegnać ból. - Miewasz te bóle tak często, że raczej nie mogłabyś prosić którejś z sióstr o Uzdrawianie. To zresztą tylko ucisk. Czuję to.

- Chyba nie mogłabym - wymamrotała Egwene. Lubiła tę kobietę, bez względu na to, co się o niej mówiło, i to nie tylko z powodu jej talentu do uśmierzania bólu głowy. Halima była prostolinijna i otwarta, typowa wieśniaczka, niezależnie od tego, ile nabrała miejskiego wyrafinowania, i znakomicie balansowała między szacunkiem dla Amyrlin a zażyłością, z jaką traktują się sąsiedzi, którą to umiejętność Egwene uważała za krzepiącą. Nawet Chesa nie potrafiła tego lepiej, ale Chesa była jednak tylko służącą, nawet jeśli zaprzyjaźnioną, a tymczasem Halima ani razu nie okazała śladu służalczości. Niemniej jednak Egwene szczerze żałowała, że ta kobieta nie wróciła do domu, po tym jak Cabriana spadła z konia i skręciła sobie kark. Naprawdę dobrze by się stało, gdyby siostry podzieliły przekonanie Cabriany,

że Elaida zamierza ujarzmić połowę z nich, a resztę złamać; wszystkie wierzyły, że Halima coś tu przekręciła. Uczepiły się za to Czarnych Ajah. Kobiety nienawykłe do bania się czegokolwiek uznały, że to, czego istnieniu zawsze zaprzeczały, jednak istnieje, i bały się tego aż do utraty zmysłów. Jak ona ma teraz wykorzenić Sprzymierzeńców Ciemności, nie rozpędzając innych sióstr niczym stadka przerażonych przepiórek? Jak nie dopuścić, by prędzej czy później się nie rozpierzchły? Światłości, jak?

- Rozluźnij się -mówiła cicho Halima. - Masz rozluźnioną twarz. Masz rozluźniony kark. Twoje ramiona... -Jej głos, niemalże hipnotyczny, monotonny, zdawał się pieścić po kolei wszystkie części ciała Egwene.

Niektóre kobiety nie lubiły jej oczywiście już za sam wygląd i wiele twierdziło, że Halima flirtuje ze wszystkim, co chodzi w spodniach. Tego akurat Egwene nie mogła pochwalić, a Halima sama przyznawała, że lubi patrzeć na mężczyzn. Te, które ją najbardziej krytykowały, bynajmniej nie twierdziły, że robi coś więcej oprócz flirtowania, ona zaś pałała oburzeniem na takie sugestie. Nie była jakąś głupią ladacznicą; Egwene poznała się na tym już podczas ich pierwszej rozmowy, w dniu ucieczki Logaina, kiedy zaczęły się bóle głowy. Podejrzewała, że to jest tak jak z Meri. Halima nie mogła nic poradzić na to, że ma taką twarz albo że tak zmysłowo się porusza. Jej uśmiech zdawał się zapraszać albo kusić, bo taki miała kształt ust, ale przecież uśmiechała się tak samo do mężczyzn, kobiet i dzieci. Ludzie uważali, że flirtuje, podczas gdy tylko patrzyła. A poza tym ona nikomu nie powiedziała o tych bólach. Gdyby to zrobiła, wszystkie Żółte siostry w obozie przystąpiłyby do oblężenia. To oznaczało przyjaźń, jeśli nawet nie lojalność.

Wzrok Egwene padł na papiery leżące na stoliku do pisania i myśli zaczęły jej

wirować. Pochodnie gotowe do rzucenia na stóg siana. Dziesięć dni do granicy z Andorem, pod warunkiem, że lord Bryne zechce iść naprzód, nie wiedząc, dlaczego ma to robić, i że przedtem nie powstanie opozycja. Czy jest w stanie zatrzymać te pochodnie przez dziesięć dni? Południowy Port. Północny Port. Klucze do Tar Valon. Czy mogła być pewna Nicoli i Areiny i nie zastosować się do sugestii Siuan? Musi zorganizować sprawdziany dla wszystkich sióstr, zanim dotrą do Andoru. Na szczęście dysponowała Talentem w dziedzinie obróbki metali, który pośród Aes Sedai występował niezwykle rzadko. Nicola. Areina. Czarne Ajah.

- Znowu jesteś spięta. Przestań się przejmować Komnatą. - Kojące palce znieruchomiały, a potem znowu zaczęły się ruszać. - Powinnaś wziąć gorącą kąpiel, efekty byłyby lepsze. Mogłabym rozmasować ci ramiona i plecy, całe ciało. Tego jeszcze nie próbowałyśmy. Jesteś sztywna jak kołek, a wszak powinnaś być tak gibka, by móc wygiąć się w tył i wsunąć głowę między kostki u nóg. Umysł i ciało. Nie będziesz giętka bez jednego albo drugiego. Po prostu oddaj się w moje ręce.

Egwene balansowała na granicy snu. Nie snu spacerującej po snach; zwykłego snu. Kiedy ostatni raz normalnie spała? W obozie zawrze, gdy propozycja Delany zostanie podana do wiadomości, czyli już niebawem, i to zanim oznajmi Romandzie i Lelaine, że nie zamierza wydawać ich edyktów. Ale tego dnia czekała ją jeszcze rzecz, której wypatrywała z utęsknieniem, powód, dla którego nie chciała jeszcze się kłaść.

- Z przyjemnością - wymamrotała, mając na myśli coś więcej niż obiecany masaż. Dawno temu przysięgła sobie, że któregoś dnia przywoła Sheriam do porządku, i to był właśnie ten dzień. Nareszcie zaczynała być Amyrlin, Amyrlin, która posiada władzę. - Z wielką przyjemnością.

ROZDZIAŁ 13

Aviendha chętnie usiadłaby na podłodze, jednak trzy pozostałe kobiety zajmujące maleńkie pomieszczenie łodzi nie zostawiły jej dość miejsca, dlatego też musiała poprzestać na podwinięciu pod siebie nóg na jednej z rzeźbionych, drewnianych ław wbudowanych w ściany. W ten sposób przynajmniej nie przypominało to aż tak bardzo siedzenia na krześle. Dobrze, że chociaż drzwi były zamknięte i że kajuta nie miała okien, jedynie ozdobnie rzeźbione woluty kłuły ścianę na wylot tuż pod sufitem. Nie musiała więc patrzeć na otaczającą łódź wodę, skazana wszak na docierającą przez otwory do wnętrza woń soli oraz odgłosy cichego pluskania fal o kadłub i pracujących wioseł. Przeszywające, donośne krzyki jakichś ptaków niosły się daleko. Widziała już ludzi zabijających się w walce o kałużę, którą byli w stanie przekroczyć jednym krokiem, jednak ta woda była gorzka ponad wszelkie wyobrażenie. Czytanie o tym w niczym nie przygotowało jej na ten smak. A w miejscu, gdzie wsiadły na pokład łodzi - obsadzonej przez dwu łypiących spode łba wioślarzy - rzeka miała przynajmniej pół mili szerokości. Pół mili wody i ani kropla nie nadawała się do picia. Któż byłby zdolny wyobrazić sobie całkowicie bezużyteczną wodę?

Ruch łodzi uległ niewielkiej zmianie; kołysała się teraz w przód i w tył. Czy już opuściły rzekę? Wpływając do czegoś, co nosiło nazwę "zatoki"? Miała być jeszcze szersza, znacznie szersza, tak przynajmniej powiedziała Elayne. Aviendha oplotła rękoma kolana i desperacko próbowała myśleć o czymś innym. Jeżeli pozostałe zauważą jej strach, hańba prześladować ją będzie aż do końca jej dni. Najgorsze ze wszystkiego było to, że sama zaproponowała ten sposób podróżowania, po tym jak usłyszała opowieści Nynaeve na temat Ludu Morza. Skąd miała wiedzieć, jak rzecz

wyglądać będzie w praktyce?

Błękitny jedwab jej sukni zdawał się pod palcami niewiarygodnie wręcz gładki, na tym więc skupiła swoje myśli. Dotychczasowe życie nie przyzwyczaiło jej do noszenia sukienek - wciąż tęskniła za cadin'sor, który Mądre kazały jej spalić, gdy tylko rozpoczęła u nich naukę - a teraz miała na sobie suknię z prawdziwego jedwabiu (na dodatek jedną z czterech posiadanych!), stroju dopełniały zaś jedwabne pończochy (w miejsce grubych wełnianych) oraz z takiegoż materiału uszyta bielizna, sprawiająca, że jak nigdy dotąd zdawała sobie sprawę z delikatności własnej skóry. Nie potrafiła nie dostrzegać piękna tej sukni, niezależnie od tego, jak bardzo w jej oczach dziwaczne wydawało się noszenie takiego ubioru - jedwab był wszak niezwykle cenny i rzadki. Kobieta mogła posiadać jedwabny szal, który zakładała w świąteczne dni ku zazdrości pozostałych. Nieliczne tylko miały więcej niż jeden. Ale wśród tych mieszkańców mokradeł wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Nie każda kobieta, czy też mężczyzna, nosili jedwabie, jednak czasami odnosiła wrażenie, że przywdziewa je co drugie. Wielkie zwoje, ba, nawet całe bele przywoziły statki z krain znajdujących się za Ziemią Trzech Sfer. Statki. Pływające po oceanie. Po wodzie, która rozciągała się aż za horyzont, gdzie wiele było takich miejsc, z których - jeśli dobrze zrozumiała wyjaśnienia - w ogóle nie widziało się lądu. Omalże nie zadrżała, przejęta tak niewiarygodnym wyobrażeniem.

Żadna z pozostałych kobiet najwyraźniej nie miała ochoty na rozmowę. Elayne, zatopiona w myślach, machinalnie obracała pierścień z Wielkim Wężem zdobiący prawą dłoń, jej spojrzenie błądziło gdzieś daleko, poza granicami czterech ścian pomieszczenia. Te zmartwienia ostatnimi czasy coraz częściej ją nachodziły. Stanęła w obliczu dwu konfliktowych zobowiązań, a nawet jeśli jedno z nich bliższe było jej

sercu, wybrała wszak to, które uważała za ważniejsze, bardziej honorowe. Było jej prawem i obowiązkiem zostać wodzem, królową Andoru, jednak zdecydowała się kontynuować poszukiwania. Jakkolwiek ważna była ich wyprawa, do pewnego stopnia w oczach Aviendhy przypominało to przedkładanie innej rzeczy ponad dobro klanu i społeczności. Niemniej jednak czuła dumę z postępowania przyjaciółki.

Sposób, w jaki Elayne pojmowała honor, bywał czasami osobliwy - podobnie zresztą jak sama koncepcja kobiety zostającej wodzem tylko dlatego, iż była nim jej matka - jednak stosowała się doń z podziwu godną konsekwencją. Birgitte, w szerokich, czerwonych spodniach i krótkim, żółtym kaftanie - którego to stroju Aviendha nieprzytomnie jej zazdrościła - siedziała, bawiąc się sięgającym do pasa warkoczem, równie głęboko pogrążona w myślach. Być może zresztą po części dzieliła z Elayne jej zmartwienia. Była pierwszym Strażnikiem Elayne, co nie przestawało irytować Aes Sedai w Pałacu Tarasin, chociaż wyraźnie w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało ich Strażnikom. Obyczaje mieszkańców mokradeł były tak osobliwe, że ledwie dawało się je objąć myślą.

O ile Elayne i Birgitte sprawiały tylko wrażenie, że nie mają szczególnej ochoty na podjęcie rozmowy, o tyle Nynaeve al'Meara, siedząca dokładnie naprzeciwko Aviendhy po drugiej stronie drzwi, zdecydowanie ucięła wszelkie próby jej nawiązania... nie, nie Nynaeve al'Meara. Mieszkańcy mokradeł lubili, gdy zwracano się do nich, używając tylko połowy pełnego imienia, Aviendha zaś starała się o tym pamiętać, niezależnie od tego, do jakiego stopnia brzmiało to w jej uszach jak zdrobnienie. Rand al'Thor był jedynym kochankiem, jakiego miała w życiu, a nawet o nim nie potrafiła myśleć tak intymnie; wszakże musiała nauczyć się obyczajów ludu, spośród którego zamierzyła wybrać sobie męża.

Głęboko osadzone, brązowe oczy Nynaeve przeszywały ją na wylot. Kłykcie zaciśniętych na grubym warkoczu palców aż pobielały, czerń warkocza była tak nasycona jak lśniące złoto warkocza Birgitte, natomiast barwa jej oblicza z trupiobladej przeszła w leciutko zielonkawą. Od czasu do czasu z jej ust wydobywał się cichy, stłumiony jęk. I, co niezwykłe w jej przypadku, pociła się. Nynaeve stanowiła zagadkę. Odważna niekiedy do granic szaleństwa, nie przestawała publicznie wyrzekać na swe rzekome tchórzostwo, natomiast teraz zupełnie bez żenady ukazywała swój strach każdemu, kto tylko zechciałby spojrzeć. Jak mogła do tego stopnia przerazić się samego wrażenia ruchu, skoro przedtem nawet nie mrugnęła na widok wody?

Znowu woda. Aviendha zamknęła oczy, żeby nie widzieć twarzy Nynaeve, ale doprowadziła tylko do tego, że w jej głowie tym donośniej rozbrzmiały krzyki ptaków i pluskanie fal.

- Myślałam właśnie... - oznajmiła znienacka Elayne, potem urwała. - Dobrze się czujesz, Aviendha? Wyglądasz... -Policzki Aviendhy pokraśniały, na szczęście jednak Elayne nie powiedziała otwarcie, że na dźwięk jej głosu podskoczyła niczym królik. Elayne chyba zdawała sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by ujawniła dyshonor Aviendhy; jej twarz też pokryła się czerwienią, kiedy ciągnęła dalej: -Myślałam właśnie o Nicoli i Areinie. O tym, co Egwene powiedziała nam ostatniej nocy. Nie sądzicie chyba, że one mogą przysporzyć jej właśnie jakichś kłopotów, nieprawdaż? Co ona powinna zrobić?

- Pozbyć się ich - odpowiedziała Aviendha, przeciągając jednocześnie kciukiem po gardle. Ulga, jaką przyniósł jej fakt, że mogła wreszcie się odezwać, że usłyszała wreszcie brzmienie czyjegoś głosu, była tak wielka, iż omal nie zabrakło jej tchu.

Elayne jednak wydawała się wstrząśnięta. Czasami doprawdy zdradzała nazbyt miękkie serce.

- Być może to byłby najlepszy sposób - poparła ją Birgitte. Nigdy nie wyjawiła, czy ma jakieś inne imię. W oczach Aviendhy była bardzo tajemniczą kobietą. - Być może Areina z czasem jeszcze wyjdzie na ludzi, ale... Nie patrz na mnie w ten sposób, Elayne. I przestań wciąż się obrażać i dąsać. - Birgitte zdarzało się czasem niepostrzeżenie przechodzić od roli Strażnika, który słucha rozkazów, do roli starszej pierwszej-siostry, która poucza młodszą, niezależnie od tego, czy tamta chce tego słuchać, czy nie. Z uniesionym do góry palcem wskazującym była w tej chwili pierwszą-siostrą. - Nie ostrzegano by was, że macie trzymać się z daleka, gdyby Amyrlin potrafiła rozwiązać problem, zwyczajnie wysyłając tamte do pracy w pralni albo innych tego typu zajęć.

Elayne prychnęła ostro, słysząc tak niepodważalny argument, po czym wygładziła swoją suknię z zielonego jedwabiu w miejscu, gdzie z przodu ściągał ją gorset, ukazując falbany błękitno-białej halki. Ubierała się na lokalną modłę; stroju dopełniały delikatne koronki u nadgarstków i przy szyi, a wszystko to było prezentem od Tylin Quintara, podobnie jak krótki naszyjnik ze splecionych złotych ogniw. Aviendzie ten ubiór się nie podobał. Górna część sukni przylegała do sylwetki równie ściśle jak ten naszyjnik otulał szyję, a rozcięcie sukni, w kształcie wąskiego owalu, ukazywało rowek między krągłościami piersi. Wędrowanie w takim negliżu tam, gdzie wszyscy mogli cię oglądać, to jednak nie to samo co nagość parowego namiotu, a ludzie na ulicach miasta to wszak nie gai'shain. Ona sama nosiła suknię bez żadnych wycięć i z wysokim kołnierzem, przez co przy każdym ruchu głową koronki łaskotały ją po brodzie.

- A ponadto - Birgitte ciągnęła dalej - mogłoby się wydawać, że kwestia "Marigan" winna bardziej cię martwić. Kiedy o niej pomyślę, ze strachu zasycha mi w ustach.

Dźwięk wymienionego imienia musiał chyba przedrzeć się przez otępienie zasnuwające umysł Nynaeve, bo wyprostowała się nieznacznie.

- Jeżeli będzie chciała zrobić nam coś złego, to powtórnie się nią zajmiemy. Wtedy... wtedy... - Wciągnęła oddech i popatrzyła na nie znacząco, jakby spodziewając się, że zaprotestują. Potem jednak, znacznie słabszym już głosem, dokończyła: - Myślicie, że będzie chciała?

- Nawet jeżeli będziemy się tym bez przerwy gryźć, to i tak nic z tego nie wyniknie - próbowała ją pocieszyć Elayne, głosem zdecydowanie bardziej spokojnym niźli ten, na który Aviendha wedle własnej opinii potrafiłaby się zdobyć, gdyby wiedziała, że czatuje na nią jedna z Tych Których Dusze Okrywa Cień. - Trzeba tylko postępować tak, jak kazała Egwene, i zachować ostrożność. - Nynaeve burknęła coś niedosłyszalnie; lepiej zapewne, że żadna tego nie zrozumiała.

Znowu zapadło milczenie. Elayne pogrążyła się w bardziej jeszcze ponurym nastroju niźli poprzednio, Birgitte zaś wsparła podbródek dłonią, i marszcząc brwi, patrzyła w przestrzeń. Nynaeve cały czas mruczała coś pod nosem, ale teraz obie dłonie przyciskała już do brzucha, a od czasu do czasu milkła, aby przełknąć ślinę. Pluskanie wody stało się głośniejsze, krzyki ptactwa rozlegały się bardziej donośnie.

- Ja również trochę ostatnio myślałam, prawie-siostro. - Ona i Elayne nie dotarły jeszcze do tego etapu, na którym mogłyby uznać się za pierwsze-siostry, była jednak pewna, że w końcu do tego dojdzie. Już czesały wzajem swoje włosy, a każdej nocy, w ciemnościach dzieliły ze sobą kolejne sekrety, o których nie miał dowiedzieć

się nikt inny. Jednak ta druga kobieta, Min... Tę kwestię trzeba było odłożyć na później, kiedy nadarzy się okazja bycia z nią sam na sam.

- O czym? - zapytała nieobecnym głosem Elayne.

- O naszych poszukiwaniach. Cały czas zapewniamy się wzajem o ostatecznym sukcesie, ale w obecnej chwili jesteśmy wciąż równie odległe od celu jak na początku. Czy słusznie postępujemy, nie wykorzystując wszelkiej broni, jaką mamy pod ręką? Mat Cauthon jest przecież ta'veren, a jednak cały czas staramy się go unikać. Dlaczego nie wziąć go ze sobą? Z nim być może uda nam się w końcu znaleźć czarę.

- Mat? - wykrzyknęła Nynaeve z niedowierzaniem. -Równie dobrze mogłabyś nakłaść sobie pokrzyw do bielizny! Nie zniosłabym towarzystwa tego mężczyzny, nawet gdyby nosił czarę w kieszeni kaftana.

- Och, bądźże cicho, Nynaeve - mruknęła Elayne, ale zupełnie bez przekonania. Zamyślona, powoli kręciła głową, nie zwracając uwagi na wykrzywione oblicze tamtej. "Drażliwa" to było zdecydowanie za mało, by w pełni opisać charakter Nynaeve, wszystkie jednak już przywykły do jej sposobu bycia. - Dlaczego sama na to nie wpadłam? Przecież to takie oczywiste!

- Być może - wymamrotała sucho Birgitte - tak bardzo przywykłaś do opinii o Macie jako o ostatnim łotrze, że nie potrafiłaś w ogóle dopuścić do siebie myśli, iż mógłby się na coś jednak przydać. - Elayne rzuciła jej chłodne spojrzenie i zadarła podbródek, a potem raptownie skrzywiła się i niechętnie pokiwała głową. Źle znosiła krytykę ze strony innych.

- Nie - oznajmiła Nynaeve głosem, który w jakiś sposób był ostry i słaby jednocześnie. Chorowity wyraz jej oblicza pogłębił się, ale teraz już nie było takie pewne, czy wywołany jest tylko kołysaniem łodzi. - Nie zamierzasz chyba do czegoś

takiego dopuścić! Elayne, wiesz przecież, jakie z nim są kłopoty, jaki potrafi być uparty. Będzie nalegał, aby zabrać ze sobą tych wszystkich żołnierzy niczym na jakąś świąteczną defiladę. A spróbuj szukać czegoś w Rahad z oddziałem żołnierzy za plecami. Tylko spróbuj ! Nie przejdziemy nawet dwu kroków, a on już będzie starał się nami komenderować, wymachując tym swoim ter'angrealem. Jest tysiąc razy gorszy od Vandene albo Adelas, czy nawet Merilille. Patrząc na sposób, w jaki się zachowuje, można by pomyśleć, że właśnie wchodzimy do niedźwiedziej gawry po to tylko, by popatrzeć sobie na niedźwiedzia!

Birgitte zdławiła nabrzmiewający w jej gardle odgłos, który mógł znamionować rozbawienie, za co naraziła się na ostre spojrzenie. Odpowiedziała na nie wzrokiem tak pełnym niewinności, że z kolei Nynaeve zaczęła się krztusić.

Elayne zareagowała zdecydowanie bardziej łagodnie; ona z pewnością próbowałaby zaprowadzić pokój nawet w przypadku wodnej waśni.

- On naprawdę jest ta'veren, Nynaeve. Odmienia kształt Wzoru, odmienia los tylko przez to, że znajduje się w pobliżu. Jak mogę nie przyznać, że to właśnie szczęścia nam przede wszystkim potrzeba, ta'veren zaś to coś więcej niźli zwykłe szczęście. Poza tym dzięki temu mogłybyśmy złapać dwie sroki za ogon. Nie powinnyśmy mu pozwalać przez cały czas wałęsać się samopas, niezależnie od tego, ile mamy innych zajęć. To nikomu na dobre nie wyjdzie, jemu zaś w szczególności. Trzeba go wreszcie nauczyć, jak powinien się zachowywać w przyzwoitym towarzystwie. Od początku nałożymy mu uzdę.

Nynaeve wygładziła swoje suknie z wiele mówiącym ożywieniem. Twierdziła, że stroje nie interesują jej bardziej niż Aviendhę - w każdym razie wygląd noszonych sukni -i nieprzerwanie też mruczała, że dobre, proste wełny są najbardziej stosowne

dla wszystkich- jednak jej błękitna suknia miała żółte zdobienia na spódnicy i rękawach, a przecież sama wybierała jej wzór. Każdy strzęp materiału, jaki posiadała, był bądź z jedwabiu, bądź haftowany, albo jedno i drugie naraz, a wszystko o takim kroju, w którym Aviendha bez trudu rozpoznawała troskliwy zamysł.

Chociaż raz Nynaeve pojęła, iż nie jest w stanie narzucić im swojej woli.

Czasami, zanim się poddała, potrafiła zabawnie przez jakiś czas się złościć, chociaż oczywiście nigdy by się do tego nie przyznała. Wściekłość w oczach ustąpiła miejsca ponuremu grymasowi.

- Kto go poprosi? Którakolwiek z nas się zdecyduje, on zmusi ją, by błagała na kolanach. Dobrze wiecie, że tak się to skończy. Wolałabym już wyjść za niego za mąż!

Elayne wahała się przez moment, a potem oznajmiła zdecydowanie:

- Birgitte to zrobi. I nie będzie go błagać, tylko zwyczajnie poinformuje o wszystkim. Większość mężczyzn postępuje tak, jak im każesz, jeżeli przemawiać do nich zdecydowanym, niewzruszonym głosem. - Nynaeve nie wyglądała na przekonaną, Birgitte zaś wyprostowała się sztywno na swojej ławce, najwyraźniej zaskoczona, co przydarzyło się jej chyba pierwszy raz od czasu, kiedy Aviendha ją poznała. W odniesieniu do kogokolwiek innego można by to uznać za lekki przestrach. Jak na mieszkankę mokradeł, Birgitte zupełnie nieźle mogłaby sobie radzić w roli Far Dareis Mai. Znakomicie posługiwała się łukiem.

- Ten wybór jest jak najbardziej oczywisty, Birgitte -kontynuowała Elayne. - Nynaeve i ja jesteśmy Aes Sedai, a Aviendha równie dobrze może być za takową uważana. Nam się to raczej nie uda. Nie wspominając już o zachowaniu stosownej godności. Nie w jego przypadku, przynajmniej. Wiesz, jaki on jest. - A cóż się stało z całym gadaniem o zdecydowanym, niewzruszonym głosie? Aviendha zresztą nie

stwierdziła dotąd, żeby to działało w przypadku kogokolwiek innego niż Sorilea. Z pewnością zaś, na ile się orientowała, reakcja Mata Cauthona mogłaby dalece odbiegać od oczekiwań tamtej. - Birgitte, on nie mógł cię rozpoznać. Gdyby tak było, coś by już na ten temat powiedział.

Cokolwiek znaczyły te słowa, Birgitte znowu usiadła swobodniej, oparła się o ścianę i splotła dłonie na brzuchu.

- Powinnam wiedzieć, że mi się odpłacisz, już wtedy gdy ci powiedziałam, że to bardzo dobrze, iż twoje pośladki nie są... - Urwała, a na jej ustach zaigrał lekki, pełen satysfakcji uśmiech. Wyraz twarzy Elayne nie zmienił się ani na jotę, najwyraźniej jednak Birgitte uznała, że zemściła się dostatecznie. Zapewne coś dawało się odczuć przez więź zobowiązań łączącą Aes Sedai z jej Strażnikiem. Niemniej jednak, Aviendha za nic nie potrafiła odgadnąć, co mają z tym wszystkim wspólnego pośladki Elayne. Mieszkańcy mokradeł byli tacy... dziwaczni... przynajmniej czasami. Birgitte tymczasem ciągnęła dalej, wciąż uśmiechając się w ten sam sposób: - Ty po prostu nie potrafisz pojąć, dlaczego on zaczyna się denerwować, kiedy tylko spojrzy na którąś z was. Nie chodzi przecież o to tylko, że przywlekłyście go tutaj. Egwene była zaangażowana we wszystko równie mocno jak ty czy Nynaeve, a widziałam na własne oczy, że traktował ją z większym szacunkiem niźli niektóre siostry. Poza tym czasami widywałam go, jak wychodził z "Wędrownej Kobiety"' wszystko wskazywało na to, że świetnie się bawił. - Jej lekki uśmiech zamienił się w szeroki grymas, który sprawił, że Elayne parsknęła z niesmakiem.

- To jest kolejna rzecz, którą musimy zmienić. Dla każdej przyzwoitej kobiety przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu to jawny dyshonor. Och, zmaż ten uśmiech z twarzy, Birgitte. Przysięgam, czasami zachowujesz się równie paskudnie

jak on.

- Ten mężczyzna urodził się chyba tylko po to, aby być naszym utrapieniem - kwaśno wymruczała Nynaeve.

Nagle Aviendzie aż nadto boleśnie przypomniano, że znajduje się na pokładzie łodzi, gdyż wszystko dookoła niej szarpnęło; zakołysało się, zakręciło, a potem zatrzymało. Kobiety podniosły się, wygładziły suknie i porwały lekkie płaszcze, które zabrały ze sobą na wyprawę. Ona nie włożyła swojego; słońce w tych okolicach nie świeciło tak jasno, by musiała chronić kapturem oczy przed jego blaskiem. Birgitte natomiast przewiesiła swój przez ramię, po czym pchnęła drzwi kajuty i pierwsza ruszyła w górę. Udało jej się zrobić trzy kroki, gdy Nynaeve przepchnęła się obok, przyciskając dłonie do ust.

Elayne zatrzymała się, żeby zawiązać wstążki płaszcza i nasunąć kaptur na głowę.

- Nie odzywałaś się zbyt wiele, prawie-siostro.

- Powiedziałam to, co trzeba było powiedzieć. Decyzja należała do ciebie.

- Jednak ty poddałaś kluczowy pomysł. Czasami wydaje mi się, że wszystkie oprócz ciebie stajemy się powoli półgłówkami. - Na poły zwrócona w stronę schodów, patrząc, a jakby nie patrząc na nią, Elayne urwała... - Takie duże odległości, kiedy znajduję się nad wodą, potrafią mnie rozstroić. Wydaje mi się, że czasami wystarcza już sam widok statku. Statku i niczego więcej.

Aviendha skinęła głową - jej prawie-siostra potrafiła okazać wiele delikatności - a potem poszły razem na górę.

Na pokładzie Nynaeve właśnie gwałtownie odrzuciła ofertę pomocy ze strony Birgitte, a po chwili przechyliła się przez burtę. Dwaj wioślarze przypatrywali się jej

rozbawieni, kiedy ocierała usta wierzchem dłoni. Obnażeni do pasa mężczyźni, każdy z brązowym kółkiem w lewym i prawym uchu, z pewnością często musieli czynić użytek z zakrzywionych sztyletów wetkniętych za szarfy, którymi byli obwiązani w pasie. Większość swej uwagi poświęcali jednak długim wiosłom, machając nimi to w tył, to w przód, żeby jak najzgrabniej zacumować przy kadłubie statku tak wielkiego, że jego widok niemalże zaparł Aviendzie dech w piersiach. Górował nad ich jakże maleńką łódką; trzy wysokie maszty sięgały wyżej niźli większość drzew, jakie kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć na mokradłach. Wybrały właśnie ten, ponieważ był największym z setki statków Ludu Morza zakotwiczonych w zatoce. Na okręcie tak wielkim z pewnością uda się zapomnieć o otaczającej ich zewsząd wodzie. Chyba że... Elayne tak naprawdę nie ujawniła jej hańby, a nawet gdyby tak się stało, prawie-siostra powinna znać sytuacje nawet najbardziej godnego pożałowania poniżenia i nie dbać o to, wszakże... Amys powiedziała o niej, że jest zbyt dumna. A więc zmusiła się, by odwrócić głowę i spojrzeć przez burtę łodzi.

W całym swoim życiu nie widziała dotąd tak wielkich połaci wody... Jakby wszystkie istniejące krople zebrano w jednym miejscu, wszystkie w przetaczających się szarych zieleniach, tu i ówdzie spienionych białym pióropuszem. Oczy same umknęły przed tym widokiem; ze wszelkich sił próbowała natychmiast o nim zapomnieć. Nawet niebo zdawało się tutaj większe, bezkresne, a płynne, złote słońce pełzło po nim powoli ze wschodu. Poczuła na twarzy podmuch porywistego wiatru, odrobinę chłodniejszego niźli na lądzie i nie cichnącego ani na moment. W powietrzu kołowały stada ptaków, szare, białe, niekiedy nakrapiane czernią; one to właśnie wydawały te przeszywające krzyki. Jeden z nich, cały czarny, z wyjątkiem łebka, przemykał nisko ponad powierzchnią wody, rozcinając ją dolną częścią dzioba, a

niezgrabne, brunatne ptaszyska lecące w nierównym szeregu - Elayne nazwała je pelikanami - znienacka zwinęły jeden po drugim skrzydła i zanurkowały pod wodę z głośnymi pluskami, potem zaś wyprysnęły na jej powierzchnię, gdzie unosiły się, kłapiąc dziobami niewiarygodnych wręcz rozmiarów. Wszędzie, gdzie spojrzała, były statki, w tym wiele równie potężnych jak ten, u którego burty dryfowali - nie wszystkie należały do Atha'an Miere-a także liczne mniejsze łodzie z jednym lub dwoma masztami wspierającymi trójkątne żagle. A oprócz nich małe łódki w ogóle bez masztów, tak jak ta, na której przybyły, z ostrymi dziobami oraz niskimi, płaskimi nadbudówkami na rufach; mknęły po wodzie niczym pająki, napędzane wymachami wioseł, dwóch, czterech, rzadziej sześciu. Jeden długi, wąski okręt, który musiał mieć chyba ze dwadzieścia par wioseł, wyglądał niczym śpiesząca dokądś stonoga. I był tam ląd. Promienie słońca odbijały się od ścian tynkowanych na biało budynków odległego może o siedem lub osiem mil miasta. Siedem czy też osiem mil wody. Przełykając z trudem ślinę, odwróciła się od tego widoku znacznie energiczniej, niźli przedtem zdecydowała się go zakosztować. Pomyślała, że jej policzki muszą być bardziej zielone niż poprzednio oblicze Nynaeve. Elayne obserwowała ją, wyraźnie próbując zachować niewzruszoną twarz, niemniej jednak mieszkańcy mokradeł nie potrafili skrywać emocji, toteż jej troska była widoczna aż nadto.

- Jestem głupia, Elayne. - Nawet w intymnej rozmowie, kiedy zwracała się do niej tylko po imieniu, Aviendha

czuła

się

nieswojo...

Gdyby

były

pierwszymi-siostrami, gdyby były siostrami-żonami, wszystko z pewnością byłoby łatwiejsze. - Mądra kobieta posłuchałaby mądrej rady.

- Jesteś odważniejsza, niż ja kiedykolwiek będę - odparła Elayne zupełnie poważnie. Ona też negowała własną odwagę. Może to jakiś obyczaj mieszkańców mokradeł? Nie, Aviendha słyszała przecież na własne uszy, jak mówią głośno o własnej brawurze; mieszkańcy Ebou Dar, na przykład, wydawali się niezdolni do wypowiedzenia trzech słów, by przy okazji nie wygłosić jakiejś przechwałki. Elayne zrobiła głęboki wdech, przygotowując się do tego, co miała za chwilę powiedzieć: - Tej nocy będziemy musiały porozmawiać o Randzie.

Aviendha przytaknęła, ale nie potrafiła pojąć, skąd taki wniosek z rozmowy na temat odwagi. Jak inaczej miałyby siostry-żony poradzić sobie z mężem, gdyby nie rozmawiały o nim szczegółowo? Tak w każdym razie mówiły starsze kobiety, w tym również Mądre. Oczywiście nie zawsze były tak bezpośrednie. Kiedy poskarżyła się Amys i Bair, że chyba się rozchorowała, ponieważ wydaje jej się, iż Rand al'Thor zabrał ze sobą jakąś jej cząstkę, omalże nie umarły ze śmiechu.

"Nauczysz się jeszcze-chichotały, dodając: - Nauczyłabyś się już dawno, gdybyś się wychowała w spódnicy".

Jakby to ona chciała kiedykolwiek żyć innym życiem niż życie Panny, obracającej się tylko w towarzystwie sióstr-włóczni. Być może Elayne odczuwała taką

samą pustkę. I nawet kiedy się o nim tylko mówiło, ta pustka zdawała się rozrastać, mimo iż przecież słowa powinny ją zapełnić.

Od jakiejś już chwili musiała słyszeć rozlegające się w pobliżu głosy, dopiero teraz jednak zdołała pojąć treść słów.

- ... ty zakolczykowany bałwanie! -Nynaeve potrząsała pięścią w kierunku mężczyzny o bardzo ciemnej skórze, spoglądającego na nią sponad wysokiej burty statku. Najwyraźniej nie wzruszały go wyzwiska, ale przecież nie mógł dostrzec otaczającej ją poświaty saidara. - Nas nie interesuje dar przewozu, toteż nie ma najmniejszego znaczenia, czy odmówicie go Aes Sedai, czy nie! W tej chwili masz spuścić drabinkę! - Z twarzy mężczyzn przy wiosłach zniknęły uśmieszki. Najwyraźniej na kamiennym molo nie dostrzegli z początku pierścieni z Wielkim Wężem, - a teraz bynajmniej nie byli uszczęśliwieni, przekonawszy się, że mają na pokładzie Aes Sedai.

- Och, Światłości - westchnęła Elayne. - Muszę się tym zająć, Aviendha, w przeciwnym razie stracimy ten ranek, tak jak ona straciła swoją poranną owsiankę. - Sunąc dostojnie po pokładzie - Aviendha była bardzo z siebie dumna, że zna już stosowne nazwy części łodzi - Elayne zwróciła się do mężczyzny na statku: - Jestem Elayne Trakand, Dziedziczka Tronu Andoru i Aes Sedai z Zielonych Ajah. Moja towarzyszka mówi prawdę. Nie interesuje nas dar przewozu. Musimy jednak porozmawiać z waszą Poszukiwaczką Wiatrów w kwestiach nie cierpiących zwłoki. Powiedz jej, że wiem, na czym polega Splatanie Wiatrów. Powiedz jej, że wiem, kim są Poszukiwaczki Wiatru.

Mężczyzna przy burcie zmarszczył brwi, po czym znienacka, bez jednego słowa, zniknął.

- Ta kobieta pewnie boi się, że rozgadasz jej tajemnicę -mruknęła Nynaeve, nerwowo poprawiając płaszcz i zawiązując wstążki. - Sama wiesz, jak one się boją, że Aes Sedai zechcą je wszystkie zawlec do Wieży, jeżeli się dowiedzą, że większość z nich potrafi przenosić. Elayne, tylko zupełna idiotka mogłaby sądzić, że może straszyć ludzi i coś w ten sposób osiągnąć.

Aviendha wybuchnęła głośnym śmiechem. Z zaskoczonego spojrzenia, jakim obrzuciła ją Nynaeve, wynikało najwyraźniej, że nie pojęła komizmu swych słów w zestawieniu z zachowaniem sprzed chwili. Niemniej jednak Elayne zadrżały usta, niezależnie od tego, jak bardzo starała się zapanować nad sobą. Nigdy nie można było być pewnym, czy dobrze się rozumie humor mieszkańców mokradeł; śmieszyły ich często dziwne rzeczy, a te najśmieszniejsze czasami wcale nie.

Niezależnie od tego, czy Poszukiwaczka Wiatru poczuła się zastraszona, w czasie, gdy Elayne płaciła wioślarzom i nakazywała im zaczekać na ich powrót - a Nynaeve sarkała nad wysokością sumy i groziła, że oberwie im uszy, jeśli odpłyną; ta wizja doprowadziła Aviendhę do kolejnego wybuchu śmiechu - na górze najwyraźniej podjęto określoną decyzję. Nie pojawiła się wszakże żadna drabinka, zamiast niej jednak z pokładu zsunął się kawałek deski z dwoma przymocowanymi linami, które splatały się nieco wyżej w jedną, biegnącą do grubego słupa zamocowanego u wielkiego masztu. Nynaeve zasiadła na desce, jednocześnie nie przestając napominać wioślarzy, na wypadek gdyby któremuś zachciało się choćby zerknąć pod jej spódnice, natomiast Elayne, która usiadła obok niej, spłonęła rumieńcem i owinęła swoje ciaśniej wokół nóg, kuląc się tak bardzo, że wydawało się, iż w każdej chwili może spaść głową w dół. I tak razem uniosły się w powietrze, a potem zniknęły z oczu Aviendhy za burtą okrętu. Jeden z dwóch mężczyzn mimo wszystko spróbował jednak

patrzeć w górę, póki Birgitte nie rozkwasiła mu nosa pięścią. Z pewnością na jej podniesienie patrzeć nie będą.

Nóż, który Aviendha nosiła u pasa, był niewielki, klinga nie miała więcej jak pół stopy długości, jednak wioślarz zmarszczył niespokojnie czoło, kiedy go wyciągnęła. Zrobiła wymach ręką i nagle obaj padli płasko na pokład, a nóż zawirował ponad ich głowami i z tępym "łup" zagłębił się w krótkim, grubym pachołku na dziobie łodzi. Zarzuciwszy płaszcz na ramiona niczym szal, uniosła swoje suknie wysoko ponad kolana, aby móc się wspiąć ponad wiosłami i odzyskać ostrze, po czym zajęła miejsce na kołyszącej się desce. Noża jednak nie wsadziła z powrotem do pochwy. Z jakiegoś powodu dwaj mężczyźni wymienili zmieszane spojrzenia, ale oczy trzymali cały czas spuszczone, kiedy deska jechała do góry. Być może zaczynała już powoli rozumieć, na czym polegają obyczaje mieszkańców mokradeł.

Gdy stanęła w miarę pewnie na pokładzie statku, z zaskoczenia omalże nie zabrakło jej tchu w piersiach i prawie zapomniała, że powinna zejść z wąskiego siodełka. Czytała już o Atha'an Miere, jednak lektura w najmniejszej mierze nie przygotowała jej na to spotkanie, podobnie jak dramatycznie odmienne jest czytanie o słonej wodzie i smakowanie jej. Wszyscy byli smagli, to po pierwsze, mieli znacznie ciemniejszą skórę niźli mieszkańcy Ebou Dar, ciemniejszą nawet od większości Tairenian, włosy zaś zupełnie czarne, podobnie oczy, a ręce gęsto tatuowane. Mężczyźni byli obnażeni do pasa, bosi, ich workowate spodnie z jakiejś ciemnej, wyglądającej jak natłuszczona materii podtrzymywały w pasie jaskrawe, wąskie szarfy, kobiety zaś nosiły bluzki tak barwne jak ich szarfy, a wszyscy poruszali się kołyszącym, pełnym gracji krokiem dostosowanym do chybotania statku. Kobiety Ludu Morza miały dziwne obyczaje, jeśli chodziło o mężczyzn, takie wnioski

wyciągnęła z rozmaitych lektur. Dziwił ją na przykład taniec prawie zupełnie nago, z jedną tylko szarfą za całe okrycie, jednak to widok kolczyków wywołał u niej największe zaskoczenie. Większość miała po trzy lub cztery w każdym uchu, często zdobione wypolerowanymi kamieniami, a niektóre nosiły małe kółka wkłute w płatek nozdrzy! Mężczyźni również szczycili się podobną biżuterią, no, przynajmniej kolczykami, a także równą mnogością złotych łańcuchów wokół szyi. Mężczyźni! Niektórzy z mieszkańców mokradeł nosili kolczyki w uszach, prawda - odnosiło się to zwłaszcza do mieszkańców Ebou Dar - ale żeby mieć ich tak dużo! I naszyjniki! Doprawdy, dziwne obyczaje. Lud Morza nigdy nie opuszczał swoich statków - nigdy! - tak przynajmniej czytała, z lektur dowiedziała się również, iż najprawdopodobniej zjadali swoich zmarłych. W to nie była do końca skłonna uwierzyć, jeśli jednak mężczyźni mogli nosić naszyjniki, to któż mógł orzec, na co ich jeszcze było stać?

Kobieta, która wyszła im na spotkanie, także była odziana w spodnie, bluzkę oraz szarfę, jednak jej ubiór uszyty został ze zdobionego brokatem żółtego jedwabiu, szarfę zaś spinał misternie spleciony węzeł, jej końce natomiast opadały aż do kolan; na jednym z naszyjników zawieszone było maleńkie, złote puzderko, pokryte wzorem z małych otworków. Otaczała ją słodka woń piżma. We włosach połyskiwały liczne pasma siwizny, a twarz znaczył ponury grymas. Każde z uszu zdobiło pięć złotych kolczyków, przy czym od jednego z nich do identycznego kółka w płatku nozdrzy biegł misternie spleciony łańcuszek. Maleńkie medaliony z wypolerowanego złota, kołyszące się na łańcuszkach, oślepiły blaskiem oczy Aviendhy.

Znienacka przyłapała się na tym, że bezwiednie dotknęła dłonią własnego nosa - nosić te wszystkie łańcuszki, przecież to musi cały czas szarpać! - i ledwie udało jej się stłumić śmiech. Obyczaje mieszkańców mokradeł były dziwaczne ponad wszelkie

wyobrażenia, a z pewnością do nikogo lepiej nie stosowała się ta konstatacja niźli do Ludu Morza.

- Jestem Malin din Toral Załamująca Się Fala - oznajmiła kobieta. - Mistrzyni Fal Klanu Somarin oraz Mistrzyni Żagli "Biegnącej Z Wiatrem". - Mistrzyni Fal to był ważny tytuł, niczym wódz klanu, jednak kobieta zdawała się niespokojna w ich obecności, nerwowo spoglądała to na jedną, to na drugą, póki jej oczy nie spoczęły na pierścieniach z Wielkim Wężem, zdobiących palce Nynaeve i Elayne. Westchnęła tylko z rezygnacją. - Czy zechciałybyście udać się ze mną, Aes Sedai? - zapytała, zwracając się do Nynaeve.

Klapa na tyle okrętu była podniesiona, kobieta weszła do wnętrza przez drzwi, a potem korytarzem doprowadziła je do większego pomieszczenia - nazywanego kajutą - z niskim sufitem. Aviendha wątpiła, by Rand al'Thor mógł się wyprostować pod jedną z tych grubych belek. Oprócz trzech lakierowanych skrzynek, wszystko najwyraźniej zostało na stałe wbudowane w konstrukcję pomieszczenia, szafy wzdłuż ścian, nawet spory stół, który zajmował ponad połowę jego długości, i otaczające go krzesła. Trudno było sobie w ogóle wyobrazić, iż coś tak wielkiego jak ten okręt w całości zbudowane zostało z drewna; nawet po tak długim czasie spędzonym na mokradłach widok całego tego polerowanego drewna sprawił, że zaparło jej dech w piersiach. Lśniło niemalże równie jasnym blaskiem jak ten, który rozsiewały wokół siebie pozłacane lampy, ze względu na porę dnia nie zapalone jeszcze i zawieszone w dziwacznych klatkach, dzięki którym nie kołysały się podczas przechyłów statku. Tak naprawdę to prawie nie czuła kołysania fal, przynajmniej w porównaniu z doświadczeniami, jakie nabyła na łodzi, niemniej jednak, na nieszczęście dla niej, w tylnej części kajuty osadzony był rząd okien, których jaskrawo pomalowane i

pozłacane okiennice stały szeroko otwarte, odsłaniając wspaniałą panoramę zatoki. Co gorsza, za tymi oknami nie widać było nawet skrawka lądu. W ogóle żadnego lądu! Poczuła ściskanie w gardle. Nie mogła przecież zacząć wrzeszczeć co sił w płucach, a właśnie na to miała największą ochotę.

Te okna i widok, który za nimi się rozciągał - a dokładniej to, czego w tym widoku tak boleśnie brakowało - do tego stopnia przykuły jej wzrok zaraz po wejściu, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, iż są tu jacyś ludzie. Ładne rzeczy! Gdyby im się spodobało, mogliby ją zabić, zanim by się obejrzała. Wprawdzie nie zdradzali jakichkolwiek oznak wrogości, niemniej jednak z mieszkańcami mokradeł nigdy dość ostrożności.

Na wieku jednej ze skrzyń siedział w niedbałej pozie wysoki, chudy, posunięty już w latach mężczyzna z głęboko osadzonymi oczyma; na jego smagłej twarzy gościł wyraz uprzejmości, chociaż co najmniej tuzin kolczyków oraz liczne grube, złote łańcuchy wokół szyi w jakiś sposób sprawiały, że wyraz jego oblicza zdał jej się lekko podstępny. Podobnie jak mężczyźni na pokładzie, był bosy, obnażony do pasa, jednak jego spodnie uszyte zostały z ciemnoniebieskiego jedwabiu, natomiast długa szarfa miała barwę żywej czerwieni. Zza niej sterczała wysadzana kością słoniową rękojeść miecza - zauważyła to z niesmakiem - oraz dwa zakrzywione sztylety podobnie wykończone.

Obok niego stała szczupła, przystojna kobieta z rękoma zaplecionymi na piersiach; z całej jej postaci w oczy głównie rzucał się ponury mars na czole. W każdym uchu miała tylko po cztery kolczyki, na łańcuszkach zaś znacznie mniej medalików niźli Malin din Toral, a ubiór jednobarwny, z żółtego jedwabiu o lekko czerwonawym odcieniu. Potrafiła przenosić; znalazłszy się tak blisko, Aviendha mogła

to stwierdzić bez żadnych wątpliwości. To właśnie musiała być kobieta, dla której tutaj przybyły, Poszukiwaczka Wiatrów. Ale w pomieszczeniu była jeszcze jedna; spojrzała na nią raz i już nie potrafiła oderwać oczu. Podobnie zresztą jak Elayne, Nynaeve i Birgitte.

Kobieta, która uniosła wzrok znad rozwiniętych na stole map, mogła być równie wiekowa jak mężczyzna, sądząc po siwych włosach. Niska, nie wyższa od Nynaeve, wyglądała na osobę, która niegdyś musiała być krzepka, a potem zaczęła powoli tyć, jednak szczęka sterczała jej naprzód niczym młot, natomiast w czarnych oczach lśniła inteligencja. I moc. Nie Jedyna Moc, tylko moc rozkazywania innym, wynikająca z władzy wiedza, że kiedy powie "idźcie", wszyscy pójdą. Jej spodnie uszyte były z zielonego jedwabiu przetykanego złotą nicią, bluzka błękitna, natomiast szarfę miała czerwoną, w kolorze identycznym jak szarfa mężczyzny. Wystawał zza niej nóż o krótkiej i grubej klindze, schowany do pozłacanej pochwy, pyszniąc się krągłą głownią wysadzaną czerwonymi i zielonymi kamieniami; ognikami i szmaragdami, uznała Aviendha. Z jej nosa zwisało dwakroć tyle medalionów, ile miała Malin din Toral; drugi, cieńszy złoty łańcuszek łączył ze sobą sześć kółek w każdym z jej uszu. Aviendha ledwie się pohamowała, by ponownie nie sięgnąć dłonią do nosa.

Bez jednego słowa siwowłosa kobieta wstała i podeszła do Nynaeve, bezceremonialnie mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów, szczególnie mocno marszcząc czoło, kiedy patrzyła jej w twarz i kiedy spoglądała na pierścień z Wielkim Wężem na palcu prawej dłoni. Nie zabrało jej to wszak dużo czasu; mruknąwszy coś niewyraźnie, odeszła od zdumionego przedmiotu swoich oględzin, a potem podobnie postąpiła z Elayne, na końcu zaś z Birgitte. W końcu przemówiła:

- Nie jesteś Aes Sedai. - Jej głos brzmiał niczym łoskot toczącego się głazu.

- Na dziewięć wiatrów i brodę Zwiastuna Sztormów, nie jestem - odparła Birgitte. Czasami potrafiła mówić takie rzeczy, że nawet Elayne i Nynaeve zdawały się jej nie rozumieć, jednak siwowłosa kobieta podskoczyła, jakby ktoś ją uszczypnął, a potem przez dłuższą chwilę mierzyła ją wzrokiem, zanim odwróciła się, by przyjrzeć Aviendzie.

- Ty także nie jesteś Aes Sedai - mruknęła w końcu z irytacją, kiedy już się napatrzyła.

Aviendha wyprostowała się sztywno; czuła się tak, jakby tamta przetrząsnęła jej ubranie, a potem okręciła kilka razy, żeby móc lepiej obejrzeć resztę.

- Jestem Aviendha z Dziewięciu Dolin, szczep Taardad Aiel.

Kobieta wzdrygnęła się jeszcze gwałtowniej niż przy Birgitte, szeroko otwierając ciemne oczy.

- Nie jesteś odziana tak, jak się spodziewałam, dziewczyno - powiedziała tylko, po czym dostojnym krokiem podeszła do drugiego krańca stołu; tam przystanęła, wzięła się pod boki i ponownie objęła całą ich grupkę przenikliwym spojrzeniem, dokładnie tak jakby miała przed sobą jakieś dziwne zwierzę, którego nigdy dotąd nie widziała. - Jestem Nesta din Reas Dwa Księżyce - oznajmiła na koniec. - Pani Statków Atha'an Miere. Skąd wiecie to, co wiecie?

Nynaeve, której grymas odrazy pogłębiał się w miarę, jak kobieta ją oglądała, odwarknęła:

- Wiedza Aes Sedai nie powinna stanowić przedmiotu niczyich dociekań. I oczekujemy lepszego traktowania niźli takie, z jakim zetknęłyśmy się do tej pory! Z pewnością zaznałam więcej uprzejmości ostatnim razem, gdy przebywałam na okręcie

Ludu Morza. Być może powinnyśmy poszukać sobie jakiegoś innego, gdzie nie wszystkich będą bolały zęby. - Oblicze Nesty din Reas pociemniało, ale w tym momencie do działania, tak jak należało się spodziewać, przystąpiła Elayne, która zdjęła z ramion płaszcz i ułożyła go na skraju stołu.

- Oby Światłość oświecała ciebie i twój okręt, Pani Żeglugi, a także zsyłała wiatry sprzyjające podróży. - Jej ukłon był umiarkowanie głęboki; Aviendha powoli stawała się specjalistką w tej dziedzinie, ukłon bowiem wydawał jej się najbardziej dziwaczną ze wszystkich rzeczy, jakie kobieta mogła w ogóle robić. - Racz wybaczyć, jeśli w pośpiechu wyrwały nam się z ust niestosowne słowa. Nie miałyśmy zamiaru w niczym urazić tej, która jest dla Atha'an Miere tym samym co królowa. - Wypowiedziała te słowa, jednocześnie spoglądając w wiele mówiący sposób na Nynaeve. Nynaeve jednakże tylko wzruszyła ramionami.

Elayne przedstawiła się po raz wtóry, a potem po kolei wymieniła ich imiona, wywołując nie do końca zrozumiałe reakcje. To, że sama Elayne okazała się Dziedziczką Tronu, z pozoru nie wywarło na obecnych najmniejszego wrażenia, chociaż wśród mieszkańców mokradeł była to pozycja doprawdy znaczna, natomiast barwa ich Ajah - Zielone i Żółte - zaowocowały parsknięciem Nesty din Reas oraz ostrym spojrzeniem chudego starca. Elayne zamrugała, cofnęła się leciutko, jednak nie przerywając, ciągnęła dalej:

- Przybyłyśmy tutaj z dwóch powodów. Mniej ważnym jest chęć zapytania was, w jaki sposób zamierzacie pomóc Smokowi Odrodzonemu, którego zgodnie z Proroctwem Jendai nazywacie Coramoorem. Znacznie istotniejsza byłaby wszak nasza prośba o pomoc Poszukiwaczki Wiatrów tego okrętu. Której imienia - dodała łagodnie - niestety nie dane mi było jeszcze poznać.

Policzki szczupłej kobiety, która potrafiła przenosić, poczerwieniały.

- Jestem Dorile din Eiran Długie Pióro, Aes Sedai. Chętnie zgodzę się pomóc, jeśli taka będzie wola Światłości.

Malin din Toral również wyglądała na zbitą z tropu.

- Witam was na pokładzie mojego statku - wymamrotała - a łaska Światłości niech będzie z wami, dopóki go nie opuścicie.

Inaczej jednakże zareagowała Nesta din Reas.

- Układ dotyczy wyłącznie Coramoora - oznajmiła twardym głosem, jednocześnie wykonując dłonią gest ucinający wszelkie dyskusje. -Przykuci do brzegu nie mają w nim swego udziału, wyjąwszy sytuację, w której zapowiadają jego przybycie. Ty, jak ci tam, dziewczyno, Nynaeve? Na którym z okrętów otrzymałaś dar przewozu? Kto był na nim Poszukiwaczką Wiatrów?

- Nie potrafię sobie przypomnieć. - Beztroski ton, jakim Nynaeve wypowiedziała te słowa, pozostawał w jaskrawej sprzeczności z grobowym uśmiechem, który zastygł na jej twarzy. Palce kurczowo ściskały warkocz, przynajmniej jednak nie objęła jeszcze saidara. - A ja jestem Nynaeve Sedai, Nynaeve Aes Sedai, nie zaś jakąś tam dziewczyną.

Wsparłszy płasko dłonie na blacie stołu, Nesta din Reas skierowała na nią spojrzenie, które Aviendzie natychmiast przywiodło na myśl wzrok Sorilei.

- Możesz sobie nią być, ja jednak dowiem się, która zdradziła to, co winno być zatajone. Będzie musiała wziąć kilka lekcji milczenia.

- Rozdarty żagiel to rozdarty żagiel - oznajmił znienacka stary mężczyzna, głębokim głosem, znacznie silniejszym niźli można było oczekiwać po kimś o tak kościstych członkach. Aviendha uznała go za rodzaj straży przybocznej, a jednak

przemawiał głosem, jakim mówi się do równych sobie. - Lepiej byłoby się dowiedzieć, jakiej pomocy Aes Sedai oczekują od nas w czasie, kiedy nadszedł Coramoor, morza szaleją nie kończącym się sztormem, a klątwa Proroctwa żegluje po oceanach. O ile one naprawdę są Aes Sedai... -Przy wypowiadaniu ostatnich zdań spojrzał spod uniesionych brwi na Poszukiwaczkę Wiatrów.

Odpowiedziała mu natychmiast, cicho, z szacunkiem.

- Trzy potrafią przenosić, w tym ona również. - Wskazała na Aviendhę. - Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo równie silnego jak te trzy. Muszą być Aes Sedai. Jakaż inna odważyłaby się założyć pierścień?

Gestem nakazując jej milczenie, Nesta din Reas przeniosła identyczne, stalowe spojrzenie na mężczyznę.

- Aes Sedai nigdy nie proszą o pomoc, Baroc - warknęła. - Aes Sedai nigdy o nic nie proszą. - Spokojnie zniósł jej wzrok, odpowiadając spojrzeniem, w którym nie było śladu wyzwania, a ona po chwili westchnęła, jakby to on zwyciężył w milczącym pojedynku. Niemniej jednak w spojrzeniu, jakie skierowała ku Elayne, nie było nawet śladu słabości. - Czego oczekiwałabyś od nas... - Zawahała się. - ... Dziedziczko Tronu Andoru? - Nawet to zabrzmiało sceptycznie.

Nynaeve zebrała się w sobie, gotowa do natychmiastowego ataku - jeszcze w Pałacu Tarasin Aviendha musiała wysłuchać niejednej tyrady z ust Nynaeve, wygłaszanej z towarzyszeniem zgrzytania zębów, jak to tamte Aes Sedai zapominają, że ona i Elayne również do nich należą; takie słowa z ust kogoś, kto nawet nie był Aes Sedai, mogły doprowadzić do rozlewu krwi - otworzyła usta... I wtedy Elayne uciszyła ją, kładąc dłoń na ramieniu i szepcząc coś tak cicho, że Aviendha nie była w stanie nic usłyszeć. Nynaeve miała twarz wciąż obleczoną szkarłatem i wyglądała tak, jakby

naprawdę zamierzała wyrwać swój warkocz z korzeniami... a jednak jakoś zmilczała. Być może Elayne naprawdę potrafiłaby zaprowadzić pokój nawet w przypadku wodnej waśni.

Oczywiście sama Elayne nie mogła być zadowolona, kiedy nie tylko jej tożsamość, lecz również prawo do tytułu Dziedziczki Tronu zostały zakwestionowane tak otwarcie. Większość ludzi może dałaby się nabrać na jej pozorny spokój, Aviendha jednak znała ją zbyt dobrze, by przeoczyć drobne oznaki wzburzenia. Uniesiony podbródek świadczył o przepełniającym ją gniewie; dodać do tego należało oczy rozwarte tak szeroko, jak to tylko możliwe i już nietrudno było sobie wyobrazić, iż wewnętrznie Elayne jest pochodnią, przy której zbladłby żar wypełniający Nynaeve. Poza tym była jeszcze Birgitte, stojąca tuż za nią, z twarzą ułożoną w niewzruszony grymas i oczyma miotającymi skry. Zazwyczaj nie zdarzało jej się powtarzać emocji Elayne, z wyjątkiem sytuacji, gdy naprawdę były silne. Aviendha ścisnęła rękojeść swojego noża; przygotowała się już, aby objąć saidara. Najpierw zabije Poszukiwaczkę Wiatrów; tamta dysponowała naprawdę sporą siłą, może okazać się rzeczywiście niebezpieczna. W tej okolicy było tyle statków, że na pewno uda im się znaleźć inny.

- Szukamy ter'angreala. - Wyjąwszy chłód głosu, każdy, kto by jej nie znał, uznałby, że Elayne jest absolutnie spokojna. Patrzyła w oczy Nesty din Reas, ale słowa swoje adresowała do wszystkich zgromadzonych w pomieszczeniu, zapewne szczególnie do Poszukiwaczki Wiatrów. - Przy jego pomocy, tak przynajmniej uważamy, byłybyśmy w stanie uleczyć pogodę. Musi wam naprzykrzać się w takim samym stopniu, jak nęka ląd. Baroc mówił o nie kończących się sztormach. Bez wątpienia zdołacie dostrzec w tym wszystkim rękę Czarnego, dotyk Ojca Sztormów,

na morzach jak i na lądzie. Z pomocą ter'angreala możemy to zmienić, ale nie uda nam się dokonać tego bez niego. To zadanie będzie wymagało większej liczby kobiet pracujących razem, najpewniej pełnego kręgu trzynastu. Sądzimy, że w ich liczbie powinny znaleźć się także Poszukiwaczki Wiatru. Nikt poza nimi nie wie tyle o pogodzie, w każdym razie żadna z żyjących Aes Sedai. Oto pomoc, o którą prosimy.

Odpowiedziała jej martwa cisza, która trwała do czasu aż Dorile din Eiran nie powiedziała ostrożnie:

- Ten ter'angreal, Aes Sedai. Jak on się nazywa? Jak wygląda?

- Nie znam żadnej nazwy - odparła Elayne. - Jest to kryształowa czara o grubych ściankach, płytka, lecz o średnicy ponad trzech stóp, wewnątrz zdobiona wizerunkami chmur. Kiedy przenieść do niej Moc, chmury zaczynają się poruszać...

- Czara Wiatrów - z podnieceniem przerwała jej Poszukiwaczka Wiatrów, równocześnie bezwiednie dając krok w stronę Elayne: - Mają Czarę Wiatrów.

- Naprawdę ją macie? - Oczy Mistrzyni Fal chciwie spoczęły na twarzy Elayne, ona również ruszyła w jej stronę.

- Szukamy jej - odpowiedziała Elayne. - Ale wiemy, że jest w Ebou Dar. O ile chodzi o tę samą...

- Nie ma wątpliwości! - wykrzyknęła Malin din Toral. - Wnioskując z twojego opisu, to musi być ta!

- Czara Wiatrów - szepnęła Dorile din Erian. - Pomyśleć, że po dwóch tysiącach lat znajdziemy ją tutaj! To na pewno jest Coramoor. On musi mieć...

Nesta din Reas głośno klasnęła w dłonie.

- Czy mam przez sobą Mistrzynię Fal i jej Poszukiwaczkę Wiatrów, czy dwie dziewczynki pokładowe podczas pierwszej podróży statkiem? - Policzki Malin din

Toral poczerwieniały z obrażonej dumy, sztywno skłoniła głowę, wkładając w ten gest całą swoją godność. Dwakroć bardziej czerwona Dorile din Eiran ukłoniła się również, dotykając palcami kolejno czoła, ust i serca.

Pani Okrętów przyglądała im się przez chwilę ze zmarszczonym czołem, zanim podjęła dalej:

- Baroc, wezwij pozostałe Mistrzynie Fal, które stacjonują w tym porcie, jak również Pierwszą Dwunastkę. Wraz z ich Poszukiwaczkami Wiatrów. I daj im znać, że powiesisz je na żaglach w olinowaniu, jeżeli się nie pośpieszą. - Wstając, dodała jeszcze: - Och. I każ przysłać na dół herbatę. Z pewnością zachce się nam pić, nim dopracujemy szczegóły tej umowy.

Stary skinął głową; gestem tym dał równocześnie do zrozumienia, że naprawdę byłby zdolny doprowadzić do tego, by Mistrzynie Fal zawisły na olinowaniu, oraz że koniecznie należy podać herbatę. Nie spuszczając oka z Aviendhy i pozostałych, wyszedł z pomieszczenia charakterystycznym dla Atha'an Miere kołyszącym się krokiem.-Zmieniła swoją opinię o nim, kiedy zobaczyła, w jaki sposób mruży oczy. Próba zabicia jako pierwszej Poszukiwaczki Wiatrów mogłaby okazać się fatalną pomyłką.

Ktoś na zewnątrz musiał czekać na takie mniej więcej rozkazy, nie minęło bowiem kilka chwil od wyjścia Baroka, kiedy do kajuty wsunął się urodziwy, młody chłopiec z pojedynczym, cieniutkim kółkiem w każdym uchu; niósł drewnianą tacę, na której stał kwadratowy, glazurowany na niebiesko dzbanek ze złotym uchwytem oraz wielkie, niebieskie filiżanki z grubego fajansu. Nesta din Reas gestem dłoni kazała mu natychmiast wyjść.

- I tak już ma za dużo do opowiadania o tym, co tu widział, żeby jeszcze miał

usłyszeć coś, czego nie powinien - oznajmiła, kiedy już zniknął za drzwiami, a potem dała znak Birgitte, że ma napełnić filiżanki. Ta zaś, ku całkowitemu zaskoczeniu Aviendhy, a być może i samej siebie, zastosowała się do polecenia.

Pani Okrętów usadziła Elayne i Nynaeve na krzesłach przy jednym z krańców stołu, najwyraźniej zamierzając przystąpić od razu do negocjacji. Aviendha odmówiła zajęcia miejsca na krześle - proponowano jej miejsce przy drugim krańcu stołu - jednak Birgitte skorzystała z zaproszenia, najpierw unosząc jedno ruchome oparcie, a potem zasuwając je na miejsce, gdy już usiadła. Mistrzyni Fal i Poszukiwaczka Wiatrów zostały wykluczone z dyskusji, o ile to, co potem nastąpiło, można było nazwać dyskusją. Padały słowa, wypowiadane głosem nazbyt cichym, aby dało się cokolwiek usłyszeć, jednak Nesta din Reas podkreślała każdą swoją kwestię gestem palca dźgającego niby włócznia. Elayne zadarła podbródek, a Nynaeve zachowała wprawdzie spokojne oblicze, ale można było odnieść wrażenie, iż próbuje wspiąć się po swoim warkoczu.

- Jeśli taka wola Światłości, będę rozmawiała z wami dwoma- oznajmiła Malin din Toral, popatrując na Aviendhę i Birgitte - ale sądzę, iż powinnam pierwsza usłyszeć waszą historię. - Birgitte zaczęła wyglądać na nieco zdenerwowaną, kiedy kobieta zajęła miejsce naprzeciwko niej.

- Co oznacza, że ja najpierw powinnam porozmawiać z tobą, jeśli taka wola Światłości - zwróciła się do Aviendhy Dorile din Eiran. - Czytałam o Aielach. Może zechcesz mi powiedzieć, jak to możliwe, że uchowali się wśród was jeszcze jacyś mężczyźni, skoro kobieta Aielów musi zabić każdego dnia jednego?

Aviendha zrobiła wszystko, co mogła, żeby nie wytrzeszczyć na nią oczu. Jak ta kobieta mogła wierzyć w takie bzdury?

- Kiedy żyłaś wśród nas? - zapytała Birgitte, siedząca przy najbliższym rogu stołu Malin din Toral, upiwszy pierwej łyk herbaty. Birgitte z każdym słowem odsuwała się powoli od niej, jakby chciała naprawdę uciec przez oparcie krzesła. W tym momencie z przeciwległego krańca stołu dał się słyszeć głos Nesty din Reas.

- ...przyszłyście do mnie, nie ja do was. To stanowi podstawę naszych rokowań, nawet jeśli jesteście Aes Sedai.

Baroc wślizgnął się do pomieszczenia, zatrzymał między Aviendhą i Birgitte.

- Wygląda na to, że wasza łódź odpłynęła w tej samej chwili, w której opuściłyście jej pokład, ale nie ma się czym martwić; "Biegnąca Z Wiatrem" ma własne szalupy, które odwiozą was na brzeg. - Zszedł na dół do kajuty i zająwszy krzesło tuż obok Nynaeve i Elayne, zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Kiedy spoglądały na tę osobę, która właśnie mówiła, on mógł przyglądać im się bez przeszkód. Straciły w ten sposób przewagę, która najwyraźniej bardzo im była potrzebna. - To oczywiste, że umowa zostanie zawarta na naszych warunkach - oznajmił tonem pełnym niedowierzania, że ktokolwiek w ogóle mógłby sądzić inaczej, podczas gdy Pani Okrętów zapatrzyła się na Nynaeve i Elayne takim wzrokiem jak wieśniaczka na dwie kozy, które zamierza zarżnąć na świąteczną ucztę. Uśmiech na twarzy Baroka był niemalże ojcowski - Ten, kto prosi, musi oczywiście zapłacić więcej.

- Ależ musiałaś żyć wśród nas, żeby poznać ten starodawny sposób przysięgania - upierała się Malin din Toral.

- Nic ci nie jest, Aviendha? -zapytała Dorile din Eiran. - Nawet tutaj kołysanie statku niekiedy daje się we znaki ludziom z lądu... Nie? Czy moje pytanie naprawdę cię nie uraziło? Odpowiedz mi zatem. Czy kobiety Aielów naprawdę wiążą mężczyznę,

zanim... to znaczy, kiedy ty i on... kiedy ty... - Z poczerwieniałym policzkami urwała i uśmiechnęła się niewyraźnie. - Czy wiele kobiet Aielów jest obdarzonych taką Mocą jak ty?

Bynajmniej nie bezsensowne trajkotanie Poszukiwaczki Wiatrów sprawiło, że krew zupełnie odpłynęła z twarzy Aviendhy, ani także nie fakt, iż Birgitte wyglądała na gotową w każdej chwili rzucić się do ucieczki, gdyby tylko udało jej się ponownie unieść tę ruchomą poręcz, ani nawet fakt, że Nynaeve i Elayne najwyraźniej przekonały się, iż oto są dwoma dziewczynkami o szeroko rozwartych oczach na jarmarku, zdane całkowicie na łaskę wytrawnych handlarzy. Prawda, one wszystkie będą ją winić i będą miały rację. Prawda, to właśnie ona powiedziała, że jeśli nie mogą nijak znaleźć ter'angreala, należy wypytać kobiety Ludu Morza. Po co marnować czas, czekając aż Egwene je zawiadomi, że mogą już wracać. Prawda, będą ją obwiniać, a ona będzie musiała sprostać swemu toh, jednak nie o to chodziło. Nagle bowiem przypomniała sobie łodzie, które widziała na pokładzie, spiętrzone jedne na drugich dnem do góry. Łodzie bez żadnej nadbudówki ani choćby godnej tego miana burty. Będą ją winić, ale niezależnie od tego, jaki wobec nich zaciągnęła dług, spłaci go po tysiąckroć samą swoją hańbą, zanim ją powiozą siedem czy osiem mil po wodzie w otwartej łodzi.

- Masz może jakieś wiadro? - słabym głosem zapytała Poszukiwaczkę Wiatrów.

ROZDZIAŁ 14

BIAŁE PIÓRA

Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że Srebrny Tor nosi zupełnie niewłaściwą nazwę, jednak Ebou Dar lubowało się w szumnie brzmiących słowach, a czasami nawet mogło się wydawać, że im gorzej zostały one dobrane, tym lepiej.

Najnędzniejsza tawerna, jaką Mat znalazł w mieście, tawerna, w której śmierdziało bardzo już starą rybą, nosiła miano "Promienna Chwała Królowej", a oprócz niej znalazł także "Złotą Koronę Niebios", ponurą dziurę po drugiej stronie rzeki, w Rahad; jej istnienie zdradzały właściwie tylko niebieskie drzwi, wewnątrz zaś zobaczył czarne plamy, ślady dawnych walk na noże, znaczące złowieszczo podłogę. Nazwa Srebrny Tor pochodziła od odbywających się tutaj końskich wyścigów.

Zdjął kapelusz, powachlował się trochę jego szerokim rondem, a potem nawet rozluźnił czarną, jedwabną szarfę, którą wiązał na szyi, ukrywając bliznę. Tego ranka powietrze już drżało od upału: jednak tłumy kłębiły się na dwóch długich skarpach, wzdłuż jednej konie miały biec w tamtą stronę, wzdłuż drugiej wracać. Tyle skojarzeń ze Srebrnym Torem. Gwar głosów niemal całkiem zagłuszał krzyki mew ponad głową. Nie trzeba było nic płacić za samo przyglądanie się wyścigom, tak więc robotnicy z tężni soli w białych kamizelach swojej gildii oraz farmerzy o wychudzonych twarzach, którzy uciekli przed Zaprzysiężonymi Smokowi szalejącymi w głębi kraju, pchali się ramię w ramię z obszarpanymi Tarabonianami noszącymi przezroczyste woale skrywające sumiaste wąsy, tkaczami w kamizelkach z pionowymi paskami, drukarzami, którzy sygnowali się pasami poziomymi i farbiarzami o rękach usmarowanych po łokcie. Nieugięta czerń amadicjańskich prowincjonalnych ubiorów, zapiętych po samą szyję, chociaż ich właściciele pocili się niemiłosiernie, połyskiwała obok wiejskich sukni z Murandy, zdobnych we włożone na wierzch długie, kolorowe fartuchy, tak wąskie, że mogły służyć wyłącznie jako ozdoba. Tu i ówdzie widziało się nawet miedzianoskórych Domani, mężczyzn w krótkich kaftanach, o ile w ogóle mieli coś na sobie, kobiety w wełnach i lnach tak cienkich, że przylegały do ciała niczym jedwabie. Byli tu czeladnicy i robotnicy z doków oraz

magazynów, garbarze, których nawet w zbitym tłumie otaczał niewielki krąg wolnej przestrzeni, ponieważ roztaczali wokół siebie woń nieuniknioną przy tej pracy, a także uliczne dzieci o umorusanych twarzach, uważnie obserwowane przez wszystkich, ponieważ gotowe były przy każdej nadarzającej się okazji ukraść cokolwiek, chociaż ludzie pracy nie miewali przy sobie zbyt wiele srebra.

Wszyscy oni skupili się powyżej bariery z grubych, konopnych sznurów zawieszonych na słupkach. Poniżej stali ci, którzy mieli srebro i złoto; dobrze urodzeni, dobrze ubrani, ci, którym nieźle się powodziło. Służący napełniali dzbany, z których potem lali wino do srebrnych pucharów swoich chlebodawców, a nerwowe pokojówki chłodziły wachlarzami swoje panie. Był wśród nich nawet rozbrykany błazen z pomalowaną na biało twarzą i dźwięczącymi mosiężnymi dzwoneczkami zdobiącymi kaftan w czarno-białych barwach. Hardzi mężczyźni w wysokich, aksamitnych kapeluszach przechadzali się wyniośle z mieczami przypasanymi do bioder, długie włosy spływały im na ramiona okryte jedwabiem kaftanów, spiętych długimi, złotymi i srebrnymi łańcuchami wskroś wąskich, haftowanych klap. Niektóre z kobiet miały włosy krócej przycięte niźli ci mężczyźni, inne zaś jeszcze nawet dłuższe, ułożone na tyle chyba sposobów, ile było tutaj zebranych; na ich głowach pyszniły się szerokie kapelusze zdobione piórami, a niekiedy delikatną koronką, która zakrywała oblicza, suknie zazwyczaj zaś wycięte miały nisko, odsłaniając dekolt, i to niezależnie od tego, czy krój pochodził z tych stron, czy był zupełnie obcy. Szlachta, .pod jaskrawo ubarwionymi parasolami, rozsiewała wokół siebie błyski złota z pierścieni i kolczyków, naszyjników i bransolet, złotych, z kości słoniowej; pyszne klejnoty skrzyły się własnym blaskiem, kiedy tak spoglądali z pogardą na wszystkich dookoła. Dobrze odkarmieni kupcy i lichwiarze, odziani w stroje z kawałkami koronki, zdobne

w pojedynczą szpilkę czy jeden pierścień z opasłym kamieniem szlachetnym, pokornie kłaniali się i płaszczyli przed dobrze urodzonymi, którzy jednak zapewne winni byli im znaczne sumy. Na Srebrnym Torze fortuny szybko zmieniały posiadaczy i to nie tylko w wyniku wygranych bądź przegranych zakładów. Bardzo to smutne, że również i honor, i żywoty przechodziły z rąk do rąk za tymi konopnymi sznurami.

Mat włożył kapelusz na głowę, podniósł dłoń i w chwilę potem podszedł doń już jeden z bukmacherów - kobieta z uszminkowaną twarzą i nosem podobnym do szydła -i rozłożywszy kościste ręce przy ukłonie, wymmczała rytualne:

- Jak mój pan zechce postawić, ja zapiszę to wiernie. -Akcent Ebou Dar w jakiś sposób potrafił zachować miękkość, mimo że mówiący połykali końcówki niektórych słów. -Księga jest otwarta. - Podobnie jak ta formuła, otwarta księga wyhaftowana na piersiach jej czerwonej kamizelki pochodziła także z czasów dawno już minionych, kiedy to zakłady wpisywano do księgi, podejrzewał wszakże, że jest jedynym spośród wszystkich tu zgromadzonych, który o tym wie. Pamiętał wiele rzeczy, których jego oczy nigdy nie widziały, z czasów, które przeminęły i odeszły w niepamięć.

Rzuciwszy przelotne spojrzenie na stawki ustalone dla piątego biegu tego poranka, a wypisane kredą na tablicy, którą tyczkarz trzymał wysoko za plecami kobiety w czerwonej kamizelce, pokiwał głową. Wiatr, mimo dotychczasowych zwycięstw, był dopiero trzeci na liście faworytów. Zwrócił się więc do swego towarzysza:

- Postaw na Wian, Nalesean.

Tairenianin zawahał się, musnął palcem czubek swej wysmarowanej pomadą czarnej brody. Pot lśnił na jego twarzy, jednak kaftan z pikowanymi, paskowanymi na niebiesko rękawami zapięty miał po samą szyję, na głowie zaś kwadratowy czepek z

błękitnego aksamitu, który w niczym nie chronił przed palącymi promieniami słońca.

- Wszystko, Mat? - Mówił cicho, starając się, by kobieta go nie usłyszała.

Wysokość zakładów mogła zmienić się w każdej właściwie chwili, póki człowiek nie postawił ostatecznie i bez odwołania. - Oby mi dusza sczezła, ten mały srokacz wygląda na szybkiego, podobnie zresztą jak tamten derkacz ze srebrną grzywą. - One, nowe w mieście, były dzisiaj faworytami i wiele od nich oczekiwano.

Mat nawet nie raczył spojrzeć w kierunku dziesiątki koni, mających brać udział w następnym biegu, które teraz paradowały na jednym z krańców toru. Już zdążył dobrze się im przyjrzeć, kiedy wsadzał Olvera na grzbiet Wiatru.

- Wszystkie. Jakiś idiota zaplótł ogon srokacza; już prawie dostaje szału, nie mogąc odegnać much. Derkacz jest imponujący, ale ma pęciny ustawione pod złym kątem. Być może uda mu się wygrać coś na prowincji, jednak dzisiaj dobiegnie ostatni. - Konie były jedyną rzeczą, na której znał się naprawdę; ojciec nauczył go wszystkiego, a Abell Cauthon miał dobre oko do końskiej sylwetki.

- W moich oczach wygląda bardziej niż imponująco. - Nalesean wymamrotał, ale już dłużej się nie spierał.

Bukmacherka zamrugała, kiedy Nalesean, wzdychając, wyciągał sakiewkę za sakiewką z wypchanych kieszeni kaf tana. W pewnej chwili otworzyła nawet usta, chcąc zaprotestować, jednak Znakomita i Szacowna Gildia Przyjmujących Zakłady zawsze utrzymywała, że przyjmie każdy zakład, opiewający na dowolną kwotę. Zakładali się nawet z właścicielami statków i z kupcami o to, czy statek zatonie albo czy nie zmienią się ceny; to znaczy w tym przypadku robiła to raczej sama gildia, nie zaś bukmacherzy. Tym razem więc złoto powędrowało do jednej z jej okutych żelazem skrzynek, każdą z nich niosła para mężczyzn z ramionami tak grubymi jak uda Mata.

Jej strażnicy, z twardym spojrzeniem i połamanymi nosami, w skórzanych kamizelach ukazujących ramiona jeszcze grubsze niźli u tamtych, trzymali w dłoniach długie nabijane mosiądzem maczugi. Kolejny z jej ludzi podał biały żeton, na którym widniał szczegółowy wizerunek błękitnej ryby - każdy przyjmujący zakłady posiadał własne godło -a wtedy zapisała zakład, imię konia i opatrzyła symbolem oznaczającym numer porządkowy biegu, wszystko to na jego odwrocie, cienkim pędzelkiem, który wyciągnęła z lakierowanej szkatułki trzymanej przez urodziwą dziewczynę. Smukła, z wielkimi, ciemnymi oczyma, obdarzyła Mata leniwym uśmiechem. Kobiecie o wyszminkowanej twarzy z pewnością nie było do śmiechu. Skłoniła się powtórnie, niedbałym gestem uderzyła dziewczynę w twarz i odeszła, szepcząc coś do tyczkarza, on zaś pośpiesznie wytarł ściereczką tablicę z zakładami do czysta. Kiedy na powrót uniósł ją w górę, za Wiatr płacono najmniej. Dziewczyna, ukradkiem pocierając policzek, spojrzała chmurnie na Mata, jakby ten klaps był jego winą.

- Mam nadzieję, że twoje szczęście tu jest - oznajmił Nalesean, pieczołowicie ściskając szton i czekając, aż atrament wyschnie. Przyjmujący zakłady niekiedy nie chcieli wypłacać wygranych za żeton z rozmazanym atramentem, zwłaszcza w Ebou Dar. - Wiem, że rzadko przegrywasz, jednak widziałem, jak to się dzieje, żebym sczezł, jeśli to nieprawda. Jest jedna dzieweczka, z którą chciałbym iść dzisiejszego wieczoru potańczyć. To zwykła szwaczka... - Był wprawdzie lordem, ale w sumie niezłym człowiekiem i takie rzeczy były ważne w jego oczach. - ...Ale dość piękna, by zaschło ci w ustach z wrażenia. Lubi świecidełka. Złote błyskotki. Fajerwerki też lubi... słyszałem, że dzisiejszej nocy mają występy jacyś Iluminatorzy, ciebie to również mogłoby zainteresować... ale to na widok prawdziwych błyskotek oczy jej się śmieją. Nie polubi mnie, jeśli nie będzie mnie stać na sprawienie, by się uśmiechnęła, Mat.

- Zapewniam cię, że nie będziesz miał z tym kłopotu -uspokoił go Mat nieobecnym tonem. Konie wciąż jeszcze spacerowały kręgiem przy słupkach startowych. Olver dosiadał z dumą grzbietu Wiatra, z szerokim uśmiechem, który rozpoławiał jego pospolite oblicze od jednego odstającego ucha do drugiego. Na wyścigach w Ebou Dar wszyscy dżokeje byli chłopcami; kilka mil w głębi lądu wykorzystywano do tego dziewczęta. Olver dzisiaj był najmniejszy ze wszystkich, najlżejszy, przewaga ta jednak w niczym nie była z pewnością potrzebna długonogiemu, siwemu wałachowi. - Sprawisz, że będzie się pokładała ze śmiechu. - Nalesean obdarzył go spojrzeniem spod zmarszczonych brwi, na które jednak nie zwrócił uwagi. Tamten powinien wiedzieć, że złoto jest rzeczą, o którą Mat nigdy nie musiał się martwić. Nie zawsze wygrywał, to prawda, ale prawie zawsze. W każdym razie jego szczęście i tak nie miało nic wspólnego ze zwycięstwem Wiatra. Tego był całkowicie pewien.

O złoto nie troszczył się w najmniejszej mierze; inaczej było z Olverem. Nie istniał żaden przepis zabraniający używać chłopcom pejcza wobec innych dżokejów zamiast wierzchowców. Jak dotąd w każdym wyścigu Wiatr wysforowywał naprzód i nie oddawał prowadzenia do końca, jeżeli jednak Olverowi ktoś zrobi coś złego, jeśli będzie miał choćby jedno skaleczenie, narzekaniom nie będzie końca. Ze strony Pani Anan, karczmarki, ze strony Nynaeve i Elayne, wreszcie ze strony Aviendhy i Birgitte. Niegdysiejsza Panna Włóczni i ta dziwna kobieta, którą Elayne wzięła sobie za Strażnika, były ostatnimi, po jakich spodziewałby się wybuchu macierzyńskich uczuć, jednak już wcześniej próbowały za jego plecami przenieść chłopca z "Wędrownej Kobiety" do Pałacu Tarasin. A przecież każde miejsce, w którym przebywało tak wiele Aes Sedai, byłoby chyba ostatnim, w którym tamten powinien przebywać, czy też w

ogóle ktokolwiek, jeśli już o to chodzi, ale wystarczy jeden siniak, i zamiast powiedzieć Aviendzie i Birgitte, że nie mają prawa zabierać Olvera, Setalle Anan najprawdopodobniej i jego samego będzie chciała tam wysłać. Olver przypuszczalnie płakałby po całych dniach, gdyby mu zabroniono brania udziału w wyścigach, kobiety jednak nigdy nie zrozumieją takich rzeczy. Po raz niemalże już tysięczny Mat przeklął Naleseana za to, że przemycił Olvera i Wiatr na ten ich pierwszy bieg. Oczywiście, musieli sobie coś znaleźć, by wypełnić te godziny bezczynności, na jakie byli skazani, jednak doprawdy mogłoby to być coś innego. W oczach kobiet okradanie ludzi z sakiewek niczym się w istocie od tego nie różniło.

- Oto i nasz łowca złodziei - zauważył Nalesean, wsuwając żeton do kieszeni kaftana. Omalże demonstracyjnie się nie skrzywił. - Na nic nam się dotąd nie przydał. Lepiej byśmy zrobili, wysyłając zamiast niego pięćdziesięciu żołnierzy.

Juilin zdecydowanym krokiem przeciskał się przez tłum, smagły, twardy mężczyzna, teraz wykorzystujący wysoką jak on sam, bambusową pałkę w charakterze kostura. Odziany w czerwony taraboniański kapelusz w kształcie ściętego stożka oraz prosty kaftan opinający ściśle ciało do talii, a niżej rozszerzający się aż do cholew butów, mocno już znoszony i od pierwszego wejrzenia nie znamionujący bogactwa właściciela, normalnie nie zostałby wpuszczony na teren ogrodzony konopnymi sznurami, ale z początku udawał, że chce się przyjrzeć koniom, jednocześnie ostentacyjnie podrzucając w dłoni monetę o znacznym nominale. Kilku strażników chroniących bukmacherów popatrzyło podejrzliwie, w końcu jednak go przepuścili.

- No i? - zapytał kwaśnym tonem Mat, naciągając niżej rondo kapelusza, kiedy tylko łowca złodziei dotarł do niego. - Nie, pozwól, że ja ci powiem. Znowu wymknęły

się z pałacu. Znowu nikt nie widział, jak wychodziły. I znowu nikt nie ma najmniejszego przeklętego pojęcia, gdzie się podziały.

Juilin schował grubą monetę do kieszeni kaftana. Nie miał zamiaru się zakładać; sprawiał takie wrażenie, jakby oszczędzał każdy grosz, który wpadnie mu w ręce.

- Wszystkie cztery wsiadły pod pałacem do krytego powozu i udały się nad rzekę, gdzie wynajęły łódź. Thom popłynął za nimi, by sprawdzić, dokąd zdążają. Sądząc po strojach, nie miało to być jakieś mroczne albo nieprzyjemne miejsce. Ale skądinąd prawdą jest, że szlachta wkłada jedwabie, by nurzać się w błocie. -

Wyszczerzył się do Naleseana, który zaplótł ramiona na piersiach i udawał, że całkowicie pochłaniają go konie. Obaj byli Tairenianami, jednak przepaść, jaka w ich kraju rozdzielała szlachtę i pospólstwo, była szczególnie głęboka, żaden więc nie przepadał za towarzystwem drugiego.

- Kobiety! - Kilka znakomicie odzianych przedstawicielek tej płci znajdujących się w pobliżu odwróciło się w ich stronę, by zmierzyć Mata ciekawymi spojrzeniami spod jaskrawych parasoli. Odpowiedział im nachmurzoną miną, chociaż dwie z nich doprawdy były prześliczne, a one zaczęły śmiać się i coś szczebiotać między sobą, jakby zrobił rzecz bardzo zabawną. Kobieta będzie zachowywać się w określony sposób tak długo, aż zaczniesz wierzyć, iż zawsze już będzie w podobny sposób postępować, a wtedy zrobi coś dokładnie przeciwnego, byleby tylko z człowieka zakpić. Niemniej jednak obiecał Randowi, że dopatrzy, aby Elayne bezpiecznie dotarła do Caemlyn, a Nynaeve i Egwene razem z nią. I obiecał Egwene, że będzie dbał o bezpieczeństwo ich obu podczas wyprawy do Ebou Dar, nie wspominając już o Aviendzie; taka była cena za pozwolenie zabrania Elayne do Caemlyn. Nawet nie

zająknęły się na temat tego, po co tu właściwie przybyli, o, co to, to nie. Wszystkiego razem nie zamieniły z nim dwudziestu słów od czasu przybycia do tego przeklętego miasta!

- Dopilnuję, żeby były bezpieczne - mruknął pod nosem - choćbym miał wpakować je do beczek i zawieźć na wozie do Caemlyn. - Być może był jedynym człowiekiem na świecie, który mógł powiedzieć coś takiego na temat Aes Sedai, nie oglądając się równocześnie co rusz przez ramię, być może naprawdę był jedynym takim, nawet włączywszy Randa oraz tych mężczyzn, którzy gromadzili się wokół niego. Musnął dłonią medalion z głową lisa, kołyszący się pod koszulą, aby po raz kolejny sprawdzić, czy jest na miejscu, chociaż w istocie nigdy go nie zdejmował, nawet do kąpieli. Posiadanie medalionu miało swoje słabe strony, dobrze jednak było wiedzieć, że jest pod ręką.

- Tarabon musi być obecnie miejscem zupełnie straszliwym dla kobiety nieprzywykłej do troszczenia się o samą siebie - wymruczał Juilin. Obserwował trzech zawoalowanych mężczyzn w poszarpanych kaftanach i workowatych, białych niegdyś spodniach, którzy gramolili się po nasypach, uciekając przez parą strażników wymachujących maczugami. Dwie piękne kobiety, które wcześniej spojrzały na Mata, najwyraźniej zakładały się ze sobą, czy Tarabonianom uda się uciec przed strażnikami.

- Mamy tu na miejscu dosyć kobiet, którym nie starcza rozsądku, żeby schronić się przed deszczem - odparł Mat. - Wróć na nabrzeże i poczekaj na Thoma. Powiedz mu, że chcę się z nim spotkać tak szybko, jak to tylko możliwe. Muszę się dowiedzieć, co sobie zaplanowały te przeklęte, głupie kobiety.

W spojrzeniu Juilina wyczytać można było wyraźnie, że to raczej jego samego

chyba uważa za głupca. Mimo wszystko zajmowały się przecież dokładnie tym, po co tutaj przybyły ponad miesiąc temu. Obrzuciwszy ostatnim spojrzeniem uciekających mężczyzn, nie śpiesząc się, wrócił tą samą drogą, którą przyszedł, ponownie podrzucając w dłoni monetę.

Marszcząc czoło, Mat spojrzał na drugą stronę toru wyścigowego. Ledwie pięćdziesiąt kroków dzieliło go od tłumu zebranego po przeciwnej stronie i nagle twarze tamtych stanęły mu jak żywe przed oczyma-przygarbiony, siwy starzec z haczykowatym nosem, kobieta o ostrych rysach w kapeluszu, który składał się w całości chyba z piór, wysoki, podobny do bociana mężczyzna w zielonych jedwabiach ze złotymi węzłami, przyjemnie pulchna, młoda dziewczyna o pełnych ustach, która wydawała się niemalże wyskakiwać ze swej sukni. Im dłużej utrzymywał się upał, tym cieńsze i skromniejsze ubiory noszono w Ebou Dar, ale tym razem po raz pierwszy ledwie zwrócił na to uwagę. Całe tygodnie minęły od czasu, kiedy choćby przelotnie widział kobietę, której obraz prześladował obecnie jego myśli.

Birgitte z pewnością nie potrzebowała nikogo, kto by ją prowadził za rękę.

Wedle jego oceny, ten kto by się jej naprzykrzał, naraziłby się na nieliche kłopoty. I Aviendha... Jej potrzebny był ktoś, kto by ją powstrzymał przed natychmiastowym zadźganiem każdego, który choćby spojrzał na nią krzywo. Jeżeli o niego samego chodziło, mogła sobie ranić każdego, jeśli tak jej się spodoba, póki to nie jest Elayne. Mimo całego tego obnoszenia się z nosem zadartym do góry, okazało się, że oczka przeklętej Dziedziczki Tronu błyszczą jasno na widok Randa, a Aviendha, choć zachowywała się tak, jakby chciała pchnąć nożem każdego mężczyznę, który na nią popatrzy, również czuła coś do niego. Rand zazwyczaj wiedział, jak postępować z kobietami, jednak tym razem z własnej woli wszedł do gawry niedźwiedzia,

pozwalając, by te dwie zeszły się razem. To była prosta droga do katastrofy, a dlaczego jeszcze do niej nie doszło, tego Mat nie potrafił pojąć.

Z jakiegoś powodu jego wzrok powrócił do postaci kobiety o ostrych rysach.

Była ładna, nawet jeśli trochę lisia. Mniej więcej w wieku Nynaeve, jak ocenił; z tej odległości trudno było coś stwierdzić z całą pewnością, ale na kobietach znał się równie dobrze jak na koniach. Rzecz jasna, kobieta zdolna była oszukać nawet oko znawcy znacznie łatwiej niźli dowolny koń. Smukła. Dlaczego na jej widok pomyślał o słomie? Te pasma włosów wyzierające spod kapelusza były ciemne. Nieważne.

Birgitte i Aviendha poradzą sobie same; nie ma potrzeby ich strzec. W normalnych okolicznościach mógłby to samo powiedzieć o Elayne i Nynaeve, niezależnie od tego, jak często się myliły, oszukiwały i jak by pewne siebie nie były. Jednakże z faktu, że ciągle się wymykały potajemnie, trzeba było wyciągnąć chyba inny wniosek. Ich upór mógł stanowić tutaj klucz. Należały do tego rodzaju kobiet, które nakrzyczą na człowieka, że się wtrąca i chodzi za nimi, a potem zwymyślają jeszcze za to, że nie było go na miejscu, gdy go potrzebowały. Oczywiście nigdy nie przyświadczą, że był potrzebny, a nawet jeśli, to nie im. Rusz choćby palcem, żeby im pomóc, a już niby się wtrącasz, nie rób nic, a zostaniesz nazwany niegodnym zaufania nicponiem.

Kobieta o lisiej twarzy, zajmująca miejsce po przeciwnej stronie toru, znowu zwróciła jego uwagę. Nie słoma-stajnia. Co wcale nie miało więcej sensu. Z wieloma młodymi kobietami przeżył dużo pięknych chwil w różnych stajniach, niektóre z nich nie były nawet takie młode, ta jednak miała na sobie przyzwoicie skrojoną suknię z błękitnego jedwabiu z wysokim karczkiem podchodzącym aż do podbródka, naszywaną śnieżnobiałą koronką; koronka wylewała się też z mankietów, kryjąc

dłonie. Dama, a on unikał szlachetnie urodzonych niczym śmierci. Z dumy swej wydobywały wszelkie niuanse niczym z harfy, oczekiwały, że mężczyźni będą na każde ich skinienie i zawołanie. Ale nie Mat Cauthon. Co dziwne, sama wachlowała się pianą białych piór. Gdzie jej pokojówka? Nóż. Dlaczego na jej widok pomyślał o nożu? I... ogniu. W każdym razie o czymś, co się pali.

Kręcąc głową, próbował skoncentrować się na tym, co naprawdę było ważne. Wspomnienia innych mężczyzn, o bitwach, zamkach i ziemiach, które zniknęły całe wieki temu, wypełniły dziury w jego własnej pamięci, miejsca gdzie jego własne życie znienacka potrafiło stać się ledwie wyraźne albo zaniknąć zupełnie. Na przykład potrafił sobie całkiem wyraźnie przypomnieć, jak uciekał z Dwu Rzek z Moiraine i Lanem, ale nie pamiętał niemalże nic z okresu przed dotarciem do Caemlyn, a zarówno wcześniej, jak i później w pamięci jego ziały szczeliny. Jeżeli całe lata jego dorastania znajdowały się poza zasięgiem wspomnień, dlaczego miałby pamiętać wszystkie kobiety, jakie w życiu spotkał? Być może ta skojarzyła mu się z jakąś inną kobietą, martwą od tysiąca lat albo i dłużej; Światłość jedna wie, że przydarzało się to aż nazbyt często. Nawet Birgitte potrącała jakąś czułą strunę w jego pamięci. Cóż, tu i teraz miał do czynienia z czterema kobietami, którym umysły ktoś powiązał w supły. To one były ważne.

Nynaeve oraz pozostałe unikały go, jakby miał pchły. Pięciokrotnie udawał się do pałacu, a one przyjęły go tylko raz i to tylko po to, aby go poinformować, iż nie mają dlań czasu, i odesłać niczym chłopca na posyłki. Wszystko to prowadziło do jednego wniosku. Uznały, że próbuje się wtrącać w przedsięwzięcie, które miały na oku, choć jedynym powodem, dla którego przyszłoby mu to w ogóle do głowy, był fakt, że mogły przez to znaleźć się w niebezpieczeństwie. Nie były przecież kompletnie

głupie; często zachowywały się jak idiotki, ale do szczętu głupie nie były. Jeżeli dostrzegały niebezpieczeństwo, to znaczy, że coś im naprawdę groziło. W niektórych zakamarkach tego miasta za sam fakt, że było się obcym albo pokazało się złotą monetę, można było otrzymać cios nożem pod żebra; nawet przenoszenie nie mogło się przydać na wiele, jeśli dysponująca Mocą kobieta nie zorientowała się na czas. A on musiał sterczeć tutaj z Naleseanem oraz tuzinem dobrych żołnierzy z Legionu, nie wspominając już Thoma i Juilina, którzy mieszkali w kwaterach dla służby w pałacu - mogli tylko gryźć palce. Te tępe kobiety jeszcze skończą z poderżniętymi gardłami.

- Nie, jeśli będę w stanie coś zrobić - warknął.

- Co? - zapytał Nalesean. - Patrz. Ustawiają się na starcie, Mat. Niech Światłość spopieli mą duszę, mam nadzieję, że twoje będzie na wierzchu. Ten srokacz nie wygląda mi na szalonego; on się rwie do biegu.

Konie przestępowały z nogi na nogę, zajmowały swoje miejsca między wysokimi słupkami wbitymi w ziemię, na których powiewały w gorących podmuchach wiatru proporce, niebieskie, zielone, we wszystkich kolorach, niektóre paskowane. Pięćset kroków przed nimi po trakcie z ubitej czerwonej gliny identyczny szereg proporców na słupkach tworzył kolejny rząd. Każdy z jeźdźców musiał okrążyć proporzec tego samego koloru, jaki powiewał po jego prawej stronie najpierw przy starcie, a potem zawracając. Przedstawiciele bukmacherów stali po obu stronach szeregu koni, odrobinę z przodu, pulchna kobieta i takiż mężczyzna, i każde z nich trzymało nad głową białą szarfę. Sami bukmacherzy kierowali się znakami dawanymi przez tamtych i wstrzymywali przyjmowanie zakładów w momencie, gdy wyścig się zaczynał.

- Ażebym sczezł - wymamrotał Nalesean.

- Światłości, człowieku, uspokój się. Jeszcze będziesz łaskotał swoją szwaczkę pod brodą. - Ostatnie jego słowa utonęły w wyciu tłumu, kiedy szarfy poszły w dół, a konie skoczyły naprzód, chociaż nawet tętent ich kopyt utonął we wrzasku rozentuzjazmowanych gapiów. Po dziesięciu krokach Wiatr wysunął się na prowadzenie, Olver przylgnął płasko do jego karku, derkacz ze srebrną grzywą znajdował się jedynie o łeb z tyłu. Srokacz biegł z tyłu wraz z całą grupą, gdzie pejcze jeźdźców szaleńczo unosiły się w górę i w dół.

- Powiedziałem ci, że derkacz jest niebezpieczny - jęknął Nalesean. - Nie powinniśmy stawiać wszystkiego.

Mat nawet nie raczył odpowiedzieć. Miał w kieszeni kaftana jeszcze jedną sakiewkę, a nadto garść luźnych monet. Nazywał tę sakiewkę swoim ziarnem; wystarczy kilka monet i miejsce, gdzie grają w kości, a odbuduje swoją fortunę, niezależnie od tego, jak potoczą się wydarzenia dzisiejszego ranka. W połowie dystansu Wiatr wciąż utrzymywał się na prowadzeniu, derkacz zaś nadal biegł tuż za nim, wyprzedzając o długość następnego konia. Srokacz biegł piąty. Tuż po zwrocie ryzyko było największe-chłopcy dosiadający biegnących z tyłu koni znani byli z tego, że próbowali uderzyć tych, którzy okrążyli paliki przed nimi.

Wzrok Mata, wędrując w ślad za końmi, znowu prześlizgnął się po tej kobiecie o ostrych rysach... i zatrzymał. Krzyki i wrzaski tłumu ścichły w jego uszach. Kobieta potrząsała wachlarzem w kierunku koni i podskakiwała podniecona, nagle jednak ujrzał ją w bladozielonej sukni i bogatym, szarym płaszczu, z włosami ujętymi w pienistą siatkę koronki, spódnicami delikatnie uniesionymi, jak szła po posadzce stajni położonej niedaleko Caemlyn.

"Rand, wciąż jęcząc, leżał na posłaniu ze słomy, mimo iż gorączka zdawała się

już przechodzić; przynajmniej nie krzyczał na ludzi, których tam nie było. Mat podejrzliwie spojrzał na kobietę, która przyklękła obok Randa. Być może rzeczywiście mogła mu pomóc, tak jak twierdziła, ale Mat nie był już tak pełen ufności jak niegdyś. Cóż niby taka znakomita dama robiła w wiejskiej stajni? Gładząc wysadzany rubinami sztylet ukryty pod kaftanem, zastanawiał się, dlaczego w ogóle kiedykolwiek komukolwiek ufał. To się nigdy nie opłacało. Nigdy.

- ... słaby jak jednodniowy kociak - powiedziała, sięgając pod płaszcz. - Myślę...

Nóż w jej dłoni pojawił się tak nagle, z błyskiem mknąc w kierunku gardła Mata, że zginąłby na miejscu, gdyby się nie pilnował. Przypadł płasko do ziemi, chwytając ją za nadgarstek; klinga zakrzywionego sztyletu z Shadar Logoth odskoczyła łukiem do białej skóry na jej szyi. Naprawdę miał ochotę wykonać cięcie. Szczególnie w chwili, gdy zobaczył miejsce, gdzie jej ostrze wbiło się w ścianę stajni. Wokół wąskiej klingi widniał maleńki krąg zwęglonego drewna, cienka smużka siwego dymu uniosła się w powietrze, po chwili błysnął płomyk".

Drżąc, Mat potarł dłonią oczy. Samo to, że dotykał tego sztyletu z Shadar Logoth, omalże go nie zabiło, a poza tym wyżarło te wszystkie dziury w jego pamięci, ale jak mógł zapomnieć twarz kobiety, która próbowała go zabić? Sprzymierzeńca Ciemności - do tego się przyznała - który próbował zabić go sztyletem, od którego woda w wiadrze niemalże się zagotowała. Sprzymierzeniec Ciemności, który ścigał i Randa, i jego. Czy to możliwe, że znalazła się w Ebou Dar przypadkiem, w dzień wyścigów, w tym samym miejscu, gdzie przebywał on? Przyciąganie ta'veren mogło stanowić odpowiedź na to pytanie - o tym jednak nie lubił myśleć, podobnie jak o przeklętym Rogu Valere - faktem wszak pozostawało, że Przeklęci znali jego imię. Tamto wydarzenie w stajni bynajmniej nie było ostatnim, kiedy jakiś Sprzymierzeniec

Ciemności próbował położyć kres żywotowi Mata Cauthona.

Zachwiał się nagle, czując mocne, radosne uderzenia Naleseana na swoim grzbiecie.

- Patrz na niego, Mat! Światłości w niebiesiech, tylko spójrz na niego!

Konie okrążyły odległe słupki i przebiegły już spory kawał drogi powrotnej. Z wyciągniętą głową, z rozwianą grzywą i ogonem, wyciągnięty jak struna, Wiatr gnał przed siebie z Olverem przylegającym do grzbietu niczym część uprzęży. Chłopak kierował koniem, jakby się urodził w siodle. Cztery długości za nim srokacz wściekle tłukł ziemię kopytami, jeździec nie żałował mu pejcza w próżnej nadziei dogonienia prowadzącego. Dokładnie w tym porządku przemknęły przez linię mety, następny koń przybiegł dalsze trzy długości z tyłu. Derkacz z siwą grzywą przyszedł jako ostatni. Jęki zawodu i narzekania przegranych zagłuszyły okrzyki zwycięzców. Przegrywające żetony białym deszczem posypały się na tor, a dziesiątki służących bukmacherów pognało, by je pozbierać przed rozpoczęciem następnego biegu.

- Musimy szybko znaleźć tę kobietę, Mat. Niewykluczone, że będzie chciała uciec z pieniędzmi, które jest nam winna. - Z tego co Mat słyszał, gildia bukmacherów potrafiła być co najmniej przykra za pierwszym razem, kiedy któryś z jej członków próbował zrobić coś takiego, drugi raz zazwyczaj kończył się śmiercią, jednak tamci wywodzili się z pospólstwa, i to już Naleseanowi wystarczało.

- Przed chwilą stała dokładnie tam, na widoku. - Mat machnął dłonią, nie spuszczając jednocześnie wzroku ze Sprzymierzeńca Ciemności o lisiej twarzy. Popatrzyła z wściekłością na swój żeton, cisnęła go na ziemię, po czym uniosła suknie, żeby wdeptać go w grunt. Najwyraźniej nie postawiła na Wiatra. Wciąż krzywiąc się z niesmakiem, zaczęła torować sobie drogę przez tłum. Mat zesztywniał. Odchodziła.

-Zabierz naszą wygraną, Nalesean, a potem zaprowadź Olvera do gospody. Jeżeli spóźni się na lekcję czytania, to prędzej pocałujesz siostrę Czarnego niż Pani Anan pozwoli mu wziąć udział w następnym wyścigu.

- Dokąd się wybierasz?

- Zobaczyłem właśnie kobietę, która kiedyś próbowała mnie zabić - rzucił Mat przez ramię.

- Następnym razem lepiej podaruj jej jakąś błyskotkękrzyknął Nalesean w ślad za nim.

Śledzenie kobiety nie przysparzało szczególnych trudności; nastroszone pióra jej kapelusza płynęły niczym sztandar ponad tłumem zgromadzonym po przeciwnej stronie toru wyścigowego. Z nasypów wychodziło się na otwartą przestrzeń, gdzie pod uważnym okiem woźniców i tragarzy czekały jaskrawo lakierowane powozy i lektyki. Koń Mata, Oczko, był jednym z wielu pilnowanych przez członków Starożytnej i Wiernej Gildii Stajennych. Większość profesji w Ebou Dar zrzeszała swoich członków w gildie i biada każdemu, kto wkroczył na nie swój teren. Zatrzymał się na chwilę, ale ona poszła dalej, obok miejsca, gdzie stały wehikuły, którymi przyjechali ci, którzy posiadali odpowiednią pozycję i pieniądze. Żadnej pokojówki, a teraz również i lektyki. W tym upale nikt, kto miał pieniądze na wynajęcie środka lokomocji, nie spacerował pieszo.

“Czyżby na moją panią przyszły ciężkie czasy?”

Srebrny Tor położony był nieco na południe od wysokich, otynkowanych na biało murów miasta, ona zaś przeszła jakieś sto kroków dzielących ją od szerokiego, ostro sklepionego łuku Bramy Moldine, a potem weszła do środka. Mat podążył za nią, starając się nie rzucać się w oczy. Bramę stanowiło dziesięć piędzi mrocznego tunelu,

jednak jej kapelusz dalej zdradzał ją w strumieniu przechodzących tędy ludzi. Ludzie, którzy muszą wędrować pieszo, rzadko noszą pióra. Pióra jednak kołysały się nad głowami przechodniów przed nim, niespiesznie, lecz konsekwentnie podążając naprzód.

Ebou Dar lśniło bielą w promieniach porannego słońca. Białe pałace z białymi kolumnadami oraz balkonami osłoniętymi ażurowymi ekranami z kutego żelaza sąsiadowały ramię w ramię z tynkowanymi bielą sklepami tkaczy, sklepami rybnymi i stajniami, wielkie, białe domy z zasuniętymi okien nicami skrywały swoje łukowato sklepione okna obok białych gospód z wymalowanymi godłami, zwisającymi od frontu, i otwartymi pasażami pod długimi dachami, gdzie żywe owce i kurczaki, jagnięta, gęsi i kaczki robiły zgiełk obok ciał swych pobratymców, zarżniętych już i powieszonych na hakach. Wszystko białe, kamień czy tynk, wyjąwszy okazjonalne paski czerwieni, błękitu czy złota, na bulwiastych w kształcie domach i strzelistych wieżycach, które otaczały balkony. Wszędzie dostrzec można było place, pomniki przedstawiające postaci w nadnaturalnych rozmiarach albo przynajmniej fontannę pryskającą

wodą,

która tylko potęgowała wrażenie

wszechogarniającego

upału-zawsze i wszędzie pełno ludzi. Miasto wypełniali uchodźcy oraz kupcy i handlarze wszelkiego rodzaju. Czyjeś kłopoty zawsze przynoszą zysk komuś innemu. To, co Saldaea wysyłała niegdyś do Arad Doman, teraz wędrowało rzeką do Ebou Dar, podobnie działo się z towarami, którymi Amadicia handlowała z Tarabonem. Każdy w pośpiechu uganiał się za koroną, albo i za tysiącem, ewentualnie za kęsem strawy na

najbliższy wieczór. Aromaty przesycające powietrze składały się w równej części z perfum, kurzu i potu. W jakiś sposób zapach ten przytłaczał niejasnym wrażeniem rozpaczy.

Barki tłoczyły się na kanałach przecinających miasto, nad nimi znajdowały się dziesiątki mostów, niektóre tak wąskie, że dwoje ludzi musiałoby przeciskać się mijając, inne dostatecznie szerokie, by mogły stać na nich szeregi sklepów, po części zawieszonych ponad wodą. Na jednym z nich nagle zauważył, że biały pióropusz przystanął. Ludzie opływali go z obu stron, podobnie zresztą jak i jego samego, kiedy się zatrzymał. Okoliczne sklepy były w istocie tylko otwartymi, drewnianymi budkami, z ciężkimi żaluzjami, które można było zamknąć na noc. Teraz, uniesione do góry, ukazywały godła. Kapelusz z pióropuszem zatrzymał się pod znakiem przedstawiającym złote szalki i młotek, symbol gildii złotników. Interes tego jej przedstawiciela zapewne nie prosperował ostatnio zbyt dobrze. Przez szczelinę, która na moment utworzyła się w ciżbie, zobaczył, jak kobieta ogląda się za siebie, i pośpiesznie skręcił do wąskiego straganu po prawej stronie. Na ścianie z tyłu wisiały pierścionki, natomiast gablota ukazywała kamienie przycięte wedle najrozmaitszych wzorów.

- Mój pan życzy sobie nowy sygnet? - zapytał podobny do ptaka mężczyzna stojący za ladą, kłaniając się i zacierając ręce. Chudy jak tyczka, nie musiał się martwić, że ktoś ukradnie jego towary. Wtłoczony w jeden z kątów pomieszczenia, na niewysokim taborecie siedział jednooki mężczyzna, który mógłby naprawdę mieć kłopoty z wyprostowaniem się wewnątrz tego boksu; między mocarnymi kolanami ściskał długą maczugę nabitą gwoździami. - Mogę wyciąć każdy wzór, jaki mój pan widział gdziekolwiek w świecie, i oczywiście posiadam też pierścienie, które można

przymierzać.

- Pokaż mi jeden taki. - Mat wskazał zupełnie przypadkowo ręką; potrzebował jakiegoś pretekstu, żeby zostać w sklepie, zanim będzie mógł pójść dalej. Zresztą, był najwyższy czas, żeby zastanowić się przez chwilę nad swoimi zamiarami.

- Znakomity przykład wydłużonego stylu, mój panie, obecnie bardzo modny. Złoto, ale mogę też zrobić go w srebrze. Cóż, wydaje mi się, że rozmiar jest odpowiedni. Czy mój pan zechciałby przymierzyć? Mój pan zechce może zwrócić uwagę na znakomite detale? Czy mój pan woli złoto czy srebro?

Z chrząknięciem, które, miał nadzieję, mogło zostać uznane za wystarczającą odpowiedź na dowolne z tego szeregu pytań, Mat wsunął zaproponowany pierścień na serdeczny palec lewej ręki i udawał, że ogląda ciemny owal rzeźbionego kamienia. Tak naprawdę dostrzegł tylko, że był długi na cały jego palec. Ze spuszczoną głową, kryjąc się najlepiej jak potrafił, kątem oka wciąż obserwował sylwetkę kobiety przez szczeliny tworzące się co raz w tłumie. Kobieta podnosiła do światła szeroki złoty naszyjnik.

W Ebou Dar były oddziały Gwardii Obywatelskiej, jednak nie należały do szczególnie skutecznych i rzadko się je spotykało na ulicach miasta. Gdyby ją zadenuncjował i gdyby mu nawet uwierzono, kilka monet mogło sprawić, że mimo ciążącego na niej zarzutu i tak odeszłaby wolna. Gwardia Obywatelska była tańsza od magistratu, jednak każdą z tych instytucji dawało się przekupić, jeśli jej poczynań nie nadzorował ktoś możniejszy, a i wówczas również, pod warunkiem, że oferta opiewała na odpowiednią ilość złota.

Tłum zawirował znienacka, po czym rozstąpił się, ukazując przedstawiciela Białych Płaszczy; stożkowy hełm i długa kolczuga lśniły połyskliwym srebrem,

śnieżnobiały płaszcz z wyszytym na piersi promienistym, złotym słońcem falował, kiedy tak szedł przed siebie, pewny, że każdy ustąpi mu drogi. I tak też się działo; niewielu doprawdy miało odwagę stawać na drodze Synom Światłości. Ponadto, na każdą parę oczu, która umykała przed kamiennym obliczem żołnierza, kolejna z aprobatą spoglądała w jego kierunku. Kobieta o ostrych rysach nie tylko otwarcie na niego spojrzała, ale wręcz uśmiechnęła się. Zarzut wniesiony przeciwko niej mógł, ale nie musiał doprowadzić do uwięzienia, jednak zawsze mógł okazać się iskrą, która sprawi, że miasto zacznie huczeć od plotek na temat Sprzymierzeńców Ciemności, ukrywających się w Pałacu Tarasin. Białe Płaszcze potrafiły znakomicie podburzać motłoch, a dla nich wszystkie Aes Sedai były Sprzymierzeńcami Ciemności. Kiedy Syn Światłości mijał ją, z widocznym żalem położyła na ladzie naszyjnik i odwróciła się, chcąc odejść.

- Czy wzór odpowiada ci, mój panie?

Mat wzdrygnął się. Zapomniał na śmierć o kościstym człowieczku i jego pierścieniu.

- Nie, nie chcę... -Marszcząc brwi, ponownie szarpnął pierścień. Nie chciał zejść!

- Nie ma potrzeby szarpać, możesz uszkodzić kamień. -Teraz, kiedy nie był już potencjalnym kupcem, przestał być również "moim panem". Parskając, człowiek nie spuszczał go z oka na wypadek, gdyby chciał ulotnić się z pierścieniem.

- Mam trochę maści. Deryl, gdzie jest słoiczek z maścią? - Strażnik zamrugał i podrapał się po głowie, jakby rozmyślając, gdzie też się podział słoiczek. Kapelusz z białym pióropuszem znajdował się już w połowie mostu.

- Wezmę go - warknął Mat. Nie było czasu na targi. Wyciągnął garść monet z kieszeni kaftana i cisnął je na ladę, w większości złoto i trochę srebra. - Wystarczy?

Złotnik wytrzeszczył oczy.

- Trochę za dużo. - Jego głos załamał się niepewnie. Wyciągnięte po monety dłonie zatrzymały się; potem dwoma palcami pchnął kilka srebrnych groszy w kierunku Mata. -Tak będzie dobrze?

- Daj je Derylowi - jęknął Mat, kiedy wreszcie przeklęty pierścień zsunął się z palca. Kościsty mężczyzna pośpiesznie zgarniał resztę monet. Za późno już, by próbować wycofać się z transakcji. Teraz zastanawiał się tylko, jak bardzo przepłacił. Wepchnął pierścień do kieszeni kaftana i pośpieszył za Sprzymierzeńcem Ciemności. Kapelusza nigdzie nie było widać.

Kraniec mostu ozdabiały bliźniacze posągi, postacie kobiet wyrzeźbione w jasnym marmurze, wysokie na ponad piędź, z obnażonymi piersiami i dłońmi wskazującymi jakiś punkt wysoko na niebie. W Ebou Dar obnażone piersi symbolizowały otwartość i szczerość. Nie zwracając większej uwagi na estetyczny wymiar posągów, Mat wspiął się szybko na jeden z cokołów i dla utrzymania równowagi objął posąg w kamiennej talii. Ulica biegła dalej wzdłuż kanału, ale z przodu krzyżowała się z dwoma innymi; wszędzie, jak okiem sięgnąć, mrowili się ludzie, pełno było lektyk, wozów i fur. Ktoś z ciżby krzyknął, że prawdziwe kobiety mają w sobie więcej ciepła, a kilku z tych, którzy przyglądali się wyczynom Mata, wybuchnęło śmiechem. Białe pióra mignęły za lakierowanym na błękitno powozem przy rozgałęzieniu w lewo.

Zeskoczył na dół, potem ruszył za nią przez ciżbę, ignorując przekleństwa tych, których po drodze potrącał. To był doprawdy dziwny pościg. W ludzkiej masie, podczas gdy fury i powozy wciąż tarasowały mu drogę, nie był w stanie mieć cały czas kapelusza na oku. Wspiął się na szerokie, marmurowe stopnie pałacu i kiedy

pochwycił kolejny, przelotny widok śledzonej kobiety, szybko zbiegł na dół i ruszył za nią. Z balustrady wysokiej fontanny ujrzał ją znowu, potem miał następną okazję, kiedy stanął na odwróconej do góry dnem beczce opartej o ścianę, dalej wytężał wzrok ze skrzyni, którą ktoś właśnie wyładowywał z zaprzężonego w woły wozu. W pewnej chwili uczepił się burty, póki woźnica nie zagroził mu batem. Przez całe to wspinanie się i obserwowanie nie zmniejszył w znaczącym stopniu odległości dzielącej go od kobiety. A ponadto wciąż nie miał zielonego pojęcia, co zrobić, kiedy ją wreszcie dogoni. I kiedy wspiął się na wąski gzyms na frontonie jednego z wielkich domów stojących przy tej ulicy, jej nigdzie już nie było.

Wodził rozbieganym wzrokiem po ulicy. Białe pióra nie płynęły już majestatycznie, kołysząc się w powietrzu ponad tłumem. W najbliższej odległości zobaczył co najmniej pół tuzina domów niemalże identycznych jak ten, do którego ściany przywierał, kilka pałaców rozmaitych rozmiarów, dwie gospody, trzy tawerny, warsztat wytwórcy noży z nożem i parą nożyczek w godle, sklep rybny z wymalowanymi na tablicy przynajmniej pięćdziesięcioma gatunkami ryb, dwa warsztaty tkackie wystawiające na stołach pod rozłożonymi markizami swe wyroby, warsztat krawiecki oraz co najmniej cztery sklepy z gotowymi ubraniami, dwa oferujące lakę, złotnika, stajnię z końmi do wynajęcia... Zbyt wiele pozycji liczyła ta lista. Ona mogła wejść dosłownie wszędzie. Albo nigdzie. Może skręciła, a on tego nie zauważył.

Zeskoczył na ziemię, nałożył kapelusz na głowę, wymruczał pod nosem przekleństwo... i wtedy ją zobaczył, niemalże na samym szczycie szerokich schodów wiodących do pałacu, niemal dokładnie po przeciwnej stronie ulicy względem miejsca, gdzie się znajdował; na poły skryła się już za wysokimi, smukłymi kolumnami

zdobiącymi fronton. Pałac nie był szczególnie pokaźny, miał tylko dwie wąskie iglice oraz pojedynczą kopułę w kształcie gruszki, opasaną czerwoną wstęgą, ale pałace w Ebou Dar zawsze na parterze miały pomieszczenia dla służby, kuchnie i pomieszczenia gospodarcze. Lepsze pokoje położone były wyżej, aby docierało do nich tchnienie wiatru. Odźwierni odziani w czarno-żółtą liberię skłonili się nisko, a potem otworzyli rzeźbione drzwi na długo przedtem, zanim w nie weszła. Wewnątrz oczekiwał już na nią służący, który również zgiął się w ukłonie, najwyraźniej powiedział coś i natychmiast odwrócił się, aby wprowadzić ją do wnętrza. Znano ją tutaj. Gotów byłby założyć się o wszystko, co posiadał.

Kiedy drzwi już się zamknęły, postał jeszcze przez chwilę w miejscu, obserwując pałac. Zdecydowanie trudno byłoby go nazwać najbogatszym w mieście, jednak tylko szlachcic poważyłby się taki wybudować.

- Ale któż, na Szczelinę Zagłady, tu mieszka? - wymruczał na koniec, zdejmując kapelusz, żeby się powachlować. Nie ona, nie musiałaby wówczas chodzić pieszo. Kilka rozmów w pobliskich tawernach z pewnością dostarczy mu odpowiedzi. A wieści o jego dociekaniach z pewnością przenikną do pałacu.

Nagle usłyszał czyjś głos.

-

Carridin.

-

Tobyłjakiśkościsty,siwowłosy

mężczyzna,.

stojący

w

nonszalanckiej pozie w pobliskim cieniu. Mat spojrzał na niego pytająco, a tamten uśmiechnął się, odsłaniając szczerby w zębach. Obwisłe ramiona i smutna, pomarszczona twarz nie pasowały do znakomitego, szarego kaftana. Pomimo skrawka koronki, wystającego spod kołnierza, mógł stanowić wizytówkę ciężkich czasów. - Pytałeś, kto tutaj mieszka. Pałac Chelsaine został oddany Jaichimowi Carridinowi.

Kapelusz znieruchomiał w dłoni Mata.

- Masz na myśli ambasadora Białych Płaszczy?

- I równocześnie Inkwizytora Ręki Światłości. - Starzec potarł palcem grzbiet nosa. Zarówno palec, jak i nos wyglądały tak, jakby je wielokrotnie złamano. - Nie jest to człowiek, którego można niepokoić bez naglącej potrzeby, a i wówczas wpierw trzy razy bym się zastanowił.

Mat zupełnie bezwiednie zaczął pogwizdywać Burzę od gór. Rzeczywiście nie był to ktoś, kogo można bezkarnie niepokoić. Śledczy byli najbardziej paskudni ze wszystkich Białych Płaszczy. Inkwizytor Białych Płaszczy, do którego na wezwanie przychodzili Sprzymierzeńcy Ciemności.

- Dziękuję ci... - Mat wzdrygnął się. Mężczyzna zniknął, ginąc w tłumie. Dziwne, ale w jakiś sposób wydał mu się znajomy. Być może twarz któregoś z dawno zmarłych towarzyszy wychynęła z tych starych wspomnień. A może... To uderzyło go z mocą fajerwerku Iluminatora rozbłyskującego w głowie. Siwowłosy mężczyzna z jastrzębim nosem. Ten starzec był również na Srebrnym Torze, stał blisko kobiety, która właśnie przed chwilą zniknęła we wnętrzu wynajętego pałacu Carridina. Obracając kapelusz w dłoniach i marszcząc brwi, niespokojnie popatrywał w stronę pałacu. Na Bagnach nawet nie było takiego trzęsawiska. Widział niemalże kości toczące się w jego głowie,

a to zawsze stanowiło zły znak.

ROZDZIAŁ 15

ROBACTWO

Carridin nie od razu uniósł wzrok znad listu, który właśnie pisał, choć lady Shiaine - tak się przedstawiała- weszła już do izby. Trzy mrówki daremnie walczyły o życie w mokrym atramencie, nieodwołalnie pochwycone. Inne istoty pokornie umierały, jednak mrówki, karaluchy oraz wszelkie inne robactwo najwyraźniej nie potrafiło się poddać. Pieczołowicie rozgniótł je suszką. Nie miał zamiaru zaczynać od nowa ze względu na kilka mrówek. Niepowodzenie w wysłaniu tego raportu, czy też choćby raport o niepowodzeniu, mogą ściągnąć na niego zagładę z równym prawdopodobieństwem jak te brudne insekty, jednak trzewia ściskał mu strach przed niepowodzeniem zupełnie innego rodzaju.

Nie musiał się martwić, że Shiaine przeczyta to, co napisał. Używał szyfru, do którego klucz znały poza nim tylko dwie osoby. Zbyt wiele wałęsało się wszędzie band "Zaprzysiężonych Smokowi", każda przeniknięta aż do rdzenia przez jego najbardziej zaufanych ludzi, ale przecież jeszcze więcej było takich, którzy mogli naprawdę być bez reszty wierni temu śmieciowi, al'Thorowi. Pedronowi Niallowi ten ostatni fakt mógł się nie podobać, jednakże jego rozkazy przewidywały pogrążenie Altary oraz Murandy w morzu krwi i zalewie chaosu, z którego miały zostać uratowane przez samego Nialla i Synów Światłości, natomiast odpowiedzialność za wszelkie konsekwencje rozpasanego szaleństwa miały zostać złożone na barki tak zwanego Smoka Odrodzonego. Strach już chwytał obie krainy za gardło. Opowieści o wiedźmach wędrujących przez te ziemie przynosiły tylko dodatkową korzyść. Wiedźmy z Tar Valon i Zaprzysięgli Smokowi, Aes Sedai kradnące małe dziewczynki i wspierające fałszywych Smoków, wioski w ogniu, mężczyźni krzyżowani na drzwiach

własnych stodół - obecnie połowa przynajmniej ulicznych plotek przekazywała wszystkie te informacje. Niall powinien być zadowolony. I zapewne wyśle następne rozkazy. Jak mógł oczekiwać, że Carridin wykradnie Elayne Trakand z Pałacu Tarsin, tego już nie sposób było sobie wyobrazić.

Kolejna mrówka pełzła po inkrustowanym kością słoniową blacie stołu; rozgniótł ją kciukiem na miazgę. I jednocześnie zamazał słowo, tak że nie dawało się go odczytać. Trzeba będzie przepisać raport. Bardzo chciało mu się pić. Na stoliku przy drzwiach stała kryształowa karafka z brandy, nie chciał jednak, by kobieta widziała, że pije. Stłumiwszy westchnienie, odsunął zamazany list i wyciągnął z rękawa chusteczkę, aby wytrzeć dłonie.

- Do rzeczy, Shiaine. Czy możesz mi wreszcie donieść o jakichś postępach? Czy też znowu przyszłaś tylko po pieniądze?

Uśmiechnęła się doń leniwie, z głębin wysokiego, rzeźbionego fotela, w którym usiadła, nie czekając na zaproszenie.

- Z każdymi poszukiwaniami związane są wydatki - oznajmiła głosem, w którym słyszało się niemalże autentyczny akcent andorańskiej szlachty. - Szczególnie wówczas, kiedy nie chcemy, żeby ktoś zadawał zbyt wiele pytań.

Większość ludzi czułaby się niepewnie w obecności Jaichima Carridina, nawet wówczas, gdy oddawał się tak banalnej czynności jak czyszczenie pióra; wrażenie dostojeństwa jego urzędu zazwyczaj potęgowały głęboko osadzone oczy, biały płaszcz narzucony na kaftan z wyszytym wschodzącym słońcem Synów Światłości na tle szkarłatnego pastorału Ręki. Jednak nie dotyczyło to Mili Skane. Tak brzmiało jej prawdziwe imię, chociaż nie miała pojęcia, że on o tym wie. Córka rymarza z wioski położonej przy Białym Moście, która w wieku lat piętnastu udała się do Białej Wieży;

następna rzecz, o której sądziła, że okrywa ją mgła tajemnicy. Akces do Sprzymierzeńców Ciemności tylko dlatego, iż wiedźmy oznajmiły jej, że nie będzie w stanie nauczyć się przenosić, trudno było nazwać dobrym początkiem samodzielnego życia, ale zanim tamten rok dobiegł końca, nie tylko udało jej się znaleźć swój pierwszy krąg w Caemlyn, ale również dokonać pierwszego morderstwa. W ciągu siedmiu lat, jakie minęły od tamtej pory, powiększyła swą listę o następne dziewiętnaście ofiar. Była jedną z najlepszych zabójczyń, łowczynią, która potrafiła znaleźć niemalże wszystko i wszystkich. Tyle mu powiedziano, kiedy została do niego skierowana. Z kręgu, który obecnie kierował swoje raporty do niej. Kilkoro z jego członków zaliczało się do arystokratów i niemalże wszyscy byli starsi od niej, jednak takie rzeczy nie miały najmniejszego znaczenia w służbie Wielkiego Władcy. Kolejnemu kręgowi pracującemu dla Carridina przewodził pokrzywiony żebrak z jednym okiem, bezzębny, szczycący się nawykiem brania kąpieli tylko raz do roku. Gdyby okoliczności ułożyły się inaczej, sam Carridin mógłby klękać przed Starym Łotrem, co stanowiło jedyne imię, do jakiego ów śmierdzący łajdak się przyznawał. Mili Skane z pewnością czołgała się przed nim, podobnie zresztą jak wszyscy, co do ostatniego, członkowie jej kręgu, niezależnie od pochodzenia. Carridina niezwykle drażniło, że "lady Shiaine" w jednej chwili padłaby na kolana, gdyby łysiejący żebrak wszedł do tej izby, natomiast w jego obecności siedziała z nogą założoną na nogę, uśmiechając się i wymachując stopą, jakby niecierpliwie czekała, aż ich rozmowa wreszcie dobiegnie końca. A wszak rozkazano jej okazywać mu absolutne posłuszeństwo, przy czym rozkazy pochodziły od kogoś, przed kim nawet Stary Łotr czołgałby się na brzuchu. Niemniej jednak rozpaczliwie potrzebował najmniejszego choćby sukcesu. Mogą zamienić się w proch plany i knowania Nialla, ale nie te.

- Wiele rzeczy można wybaczyć - oznajmił, wkładając pióro do obsadki z kości słoniowej i odsuwając krzesło od stolika - tym, którym udaje się realizować przydzielone zadania. - Był wysokim mężczyzną, nic więc dziwnego, że jego sylwetka przytłoczyła ją. Wiedział, że zwierciadła w złotych ramach zawieszone na ścianach odbijają postać silnego, niebezpiecznego mężczyzny. - Nawet suknie, świecidełka i hazard, na które poszły pieniądze przeznaczone na zdobycie informacji. - Beztrosko kołysząca się stopa zamarła na chwilę, potem jednak jej ruch został wznowiony, ale uśmiech na twarzy był już wymuszony, samo zaś oblicze nieco pobladło. Krąg Shiaine słuchał bez szemrania jej rozkazów, jednak natychmiast gotowi byliby powiesić ją za nogi i żywcem obedrzeć ze skóry, gdyby on wyrzekł choć słowo. - Nie osiągnęłaś wiele, nieprawdaż? W rzeczy samej, wydaje się, iż nie osiągnęłaś nic.

- Istnieją określone trudności, jak sam dobrze wiesz -oznajmiła szeptem. Jednak spojrzenie jego oczu zniosła bez mrugnięcia.

- Wymówki. Opowiedz mi o przezwyciężonych trudnościach, nie zaś o tych, na które natknęłaś się i zawiodłaś. Możesz nisko upaść, jeśli zawiedziesz w tej sprawie. -Odwrócił się do niej plecami i podszedł do najbliższego okna. On sam również mógł nisko upaść, a nie miał ochoty ryzykować, że ona dostrzeże coś w jego oczach. Przez otwory w zdobnych obramieniach okien wsączały się do wnętrza promienie słońca. W komnacie o wysokim suficie, z posadzką wykładaną biało-zielonymi płytkami i jasnoniebieskimi ścianami panował względny chłód, głównie dzięki grubym ścianom, jednak w pobliżu okien czuło się upał wdzierający się z zewnątrz. Niemalże czuł w nozdrzach woń brandy znajdującej się w przeciwległym krańcu pomieszczenia. Nie potrafił zaczekać, aż Mili sobie pójdzie.

- Lordzie Carridin, jak mogłabym komukolwiek otwarcie zadawać pytania

dotyczące przedmiotów związanych z Mocą? To dopiero wzbudziłoby ciekawość, a jak zapewne sobie przypominasz, w mieście są Aes Sedai.

Patrząc na ulicę przez filigranowe rzeźby w kamieniu, zmarszczył nos, czując niespodziewany napływ woni. Na dole tłoczyli się przedstawiciele wszystkich możliwych nacji. Arafelianin z włosami zaplecionymi w dwa długie warkocze i zakrzywionym mieczem przypasanym do pleców rzucił właśnie monetę jednorękiemu żebrakowi, który z odrazą popatrzył na datek, zanim wetknął pieniądz gdzieś w zakamarki łachmanów i dalej zaczął wznosić swe żałosne prośby do przechodniów. Mężczyzna w poszarpanym, jaskrawoczerwonym kaftanie i bardziej jeszcze kłujących w oczy żółtych spodniach wypadł pędem z jakiegoś sklepu, przyciskając do piersi zwój materiału, ścigany przez rozwrzeszczaną kobietę o jasnych włosach, która podciągnąwszy spódnice nad kolana, wyprzedziła krzepkiego gwardzistę, człapiącego ciężko śladem złodzieja i wymachującego swoją pałką. Woźnica czerwono lakierowanego powozu z wymalowanym na drzwiach godłem lichwiarza, przedstawiającym złote monety i otwartą dłoń, zamachnął się batem na woźnicę fury z płócienną budą, którego zaprzęg splątał się ze zwierzętami ciągnącymi powóz; przekleństwa obu wypełniły całą przestrzeń ulicy. Brudni ulicznicy przykucnęli za rozsypującym się wozem, kradnąc niewielkie, pomarszczone owoce, przywiezione na handel ze wsi. Przez tłum przepychała się kobieta z Tarabonu; na twarzy miała woal, ciemne włosy zaplecione w liczne cieniutkie warkoczyki, a z powodu zakurzonej czerwonej sukni, przylegającej bezwstydnie do ciała, ścigały ją oczy wszystkich mężczyzn.

- Mój panie, potrzeba mi czasu. Naprawdę muszę mieć jeszcze trochę czasu! Nie potrafię dokonać niemożliwego, a z pewnością nie w przeciągu kilku dni.

Śmieci, wszyscy oni to śmieci. Chciwcy i Myśliwi Polujący na Róg, złodzieje, uciekinierzy, nawet Druciarze. Szumowiny. Wzniecenie rozruchów nie nastręczy najmniejszych problemów -to będzie czyściec dla tych wszystkich brudów. Obcokrajowcy stanowili zawsze pierwszy obiekt napaści, to ich winiono za wszelkie zło, pospołu z sąsiadami, którzy mieli to nieszczęście, że znaleźli się po niewłaściwej stronie, kobietami, które zajmowały się ziołami i leczniczymi miksturami, oraz ludźmi, którzy nie mieli przyjaciół, zwłaszcza takimi, którzy mieszkali samotnie. Odpowiednio pokierowane, z wielką starannością, jak to powinno dziać się w przypadku takich przedsięwzięć, duże rozruchy mogłyby nawet doprowadzić do spalenia ze szczętem Pałacu Tarasin, tak by zawalił się prosto na głowę tego bezużytecznego babska, Tylin. Wiedźmy zapewne podzieliłyby jej los. Patrzył pełnym nienawiści wzrokiem na ciżbę mrowiącą się u jego stóp. Rozruchy jednak mają tendencję do wymykania się spod kontroli. Gwardia Obywatelska może wreszcie się ruszy, nieuchronnie też zginie w nich garstka prawdziwych Sprzymierzeńców. Nie liczył na to, że niektórzy mogą pochodzić z kręgów, których ściganiem naprawdę się zajmował. A skoro już o tym mowa, to nawet kilkudniowe rozruchy przerwałyby ich pracę. Tylin nie jest aż taka ważna, by dokonywać takich zabiegów; po prawdzie, to właściwie w ogóle się nie liczyła. Nie, jeszcze nie. Nialla mógł zawieść, ale nigdy swego prawdziwego pana.

- Mój lordzie Carndinie... - W głosie Shiaine zabrzmiała nuta wyzwania. Zbyt długo kazał jej czekać. - Mój lordzie Carndinie, niektórzy członkowie z mego kręgu dopytują się, dlaczego mamy szukać...

Zaczął już się odwracać, żeby osadzić ją na miejscu -potrzebny mu był sukces, nie wymówki, nie pytania! - ale przestał słyszeć jej głos, kiedy zobaczył młodego

mężczyznę, stojącego po przeciwnej stronie ulicy, w błękitnym kaftanie tak obficie haftowanym czerwoną i złotą nitką na rękawach i kołnierzu, że starczyłoby tego na dwóch szlachciców. Wyższy od większości przechodniów, wachlowal się szerokim rondem czarnego kapelusza, poprawiając jednocześnie czarną chustę na szyi i rozmawiając z przygarbionym, siwowłosym mężczyzną. Carridin rozpoznał tego młodzieńca.

Nagle poczuł się tak, jakby czoło spięto mu zaciskającą się konopną pętlą, której uchwyt z każdą chwilą stawał się ciaśniejszy. Przed oczyma stanęła mu jak żywa twarz skryta za czerwoną maską. Patrzyły nań oczy ciemniejsze od nocy, a potem rozbłysły w nich nieskończone jaskinie ognia, choć oczy wciąż patrzyły. W jego głowie świat eksplodował płomieniem, rozsypując się w szereg obrazów, które szarpały go i dręczyły, tak że nie mógł dobyć z siebie głosu, chociaż chciał krzyczeć. Postacie trzech młodych mężczyzn unosiły się bez żadnego oparcia w powietrzu, a jedna z nich zaczęła jarzyć się własnym blaskiem; była to właśnie sylwetka mężczyzny stojącego teraz na ulicy, coraz jaśniejsza, póki nie otoczyła się łuną tak jasną, że mogłaby spopielić każdą żywą istotę, a jednak jaśniała coraz bardziej, aż wreszcie zapłonęła. W jego stronę mknął skręcony złoty róg, róg, którego głos szarpał duszę, potem zmienił się w krąg złotego światła i połknął go, mrożąc swym oddechem, aż wreszcie ostatnie resztki jego jaźni, jeszcze świadome, kim jest, nabrały pewności, że jego kości muszą skruszeć pod potęgą tego wezwania. Czubek ostrza rubinowego sztyletu celował prosto w jego twarz, zakrzywiona klinga cięła między oczy i zatonęła w czaszce, aż po złotą rękojeść, i naraz wszystko zniknęło, a on poznał już agonię, która wygnała wszelką myśl o tym, co przydarzyło się, zanim nastąpił ból. Modliłby się do Stwórcy, którego opuścił jakże dawno temu, gdyby pamiętał, jak to się robi.

Wrzeszczałby w niebogłosy, gdyby jeszcze potrafił, gdyby w ogóle pamiętał, że istoty ludzkie wrzeszczą, że on sam jest człowiekiem. Dalej i dalej, więcej i więcej...

Uniósł dłoń do czoła, zdumiał się jej drżeniem. Głowa też go bolała. Coś się zdarzyło... Spojrzał z wysoka na ulicę i wzdrygnął się. W mgnieniu oka wszystko się zmieniło; ludzie byli inni, fury jechały, barwne powozy i lektyki ustąpiły miejsca innym pojazdom. A co gorsza, Cauthon również zniknął. Miał ochotę wypić całą karafkę brandy jednym wielkim haustem.

Nagle dotarło do niego, że Shiaine przestała mówić. Odwrócił się, gotów podjąć przerwany obowiązek karcenia jej.

Trwała nieruchomo, pochylona do przodu, jakby cały czas usiłowała się podnieść, z jedną ręką na poręczy fotela, a drugą uniesioną w jakimś geście. Wąska twarz skrzepła w grymasie rozdrażnienia i wyzwania, ale nie była zwrócona w stronę Carridina. Nie poruszała się. Nawet nie mrugnęła. Nie był pewien, czy w ogóle oddycha. Ledwie zresztą zwrócił na nią uwagę.

- Pogrążony w medytacjach? - zapytał Sammael. - Czy mogę choćby mieć nadzieję, że dotyczą tego właśnie, co miałeś dla mnie tutaj znaleźć? - Był niewiele wyższym ponad przeciętną, umięśnionym i barczystym mężczyzną, odzianym w kaftan z wysokim kołnierzem na illiańską modłę, tak gęsto pokrytym złoceniami, że z trudem się dostrzegało, iż uszyto go z zielonej materii, niemniej jednak wrażenie, jakie wywierał, dalece wykraczało poza prosty fakt, że zaliczał się do Wybranych. Błękitne oczy były chłodniejsze od samego serca zimy. Blizna sinej barwy rozcinała jego twarz od linii złotych włosów po skraj równie złotej, przyciętej w kwadrat brody, i na tym obliczu wydawała się jak najbardziej naturalną ozdobą. Ktokolwiek wejdzie mu w drogę, zostanie zepchnięty na bok, zdeptany albo starty z powierzchni ziemi. Carridin

wiedział, że na widok Sammaela jego wnętrzności i tak zamieniłyby się w wodę, nawet gdyby spotkał go zupełnie przypadkiem na ulicy, nie zdając sobie sprawy z tego, kim tamten jest.

Pośpiesznie odszedł od okna i padł na kolana przed jednym z Wybranych.

Gardził wiedźmami z Tar Valon; po prawdzie, to gardził każdym, kto używał Jedynej Mocy, igrając z siłą, która już raz rozszczepiła świat, parając się tym, czego żaden ze zwykłych śmiertelników nie powinien w ogóle dotykać. Ten mężczyzna również używał Mocy, ale Wybranych nie można było określić mianem zwykłych śmiertelników. Być może w ogóle nie byli śmiertelnikami. A jeśli będzie służyć im dobrze, może w nagrodę podzieli ich los.

- Wielki Panie, widziałem Mata Cauthona.

- Tutaj? - Dziwne, przez chwilę wydawało się, że Sammael jest wyraźnie wstrząśnięty. Mruknął coś niedosłyszalnie; do uszu Carridina dotarło tylko jedno słowo, ale wystarczyło, by krew odpłynęła mu z twarzy.

- Wielki Panie, wiesz, że nigdy bym nie zdradził...

- Ty? Głupcze! Nie starczyłoby ci odwagi. Jesteś pewien, że to właśnie Cauthona widziałeś?

- Tak, Wielki Panie. Na ulicy. Wiem, że jestem w stanie go odszukać.

Sammael spojrzał na niego spod zmarszczonych brwi, gładząc się po brodzie, ale w istocie wcale nie patrzył na Jaichima Carridina. Carridin nie lubił być traktowany jak ktoś całkiem pozbawiony znaczenia, tym bardziej, iż zdawał sobie sprawę, że takim właśnie jest.

- Nie - oznajmił na koniec Sammael. - Twoje poszukiwania są znacznie ważniejsze; są jedyną ważną rzeczą, jeśli o ciebie chodzi. Śmierć Cauthona byłaby nam

bardzo na rękę, z pewnością, jednak nie kosztem ściągania na siebie uwagi. Jeżeli zacznie się tobą interesować, jeżeli zaabsorbują go twoje poszukiwania, wówczas, rzecz jasna, będzie musiał umrzeć, ale dopóki sprawy mają się inaczej, to może poczekać.

- Ale...

- Nie usłyszałeś, com rzekł? - Blizna na obliczu Sammaela zamieniła jego uśmiech w paskudny grymas. - Widziałem ostatnio twoją siostrę, Vanorę. Nie wyglądała najlepiej, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Krzyczała i płakała, wstrząsały nią bezustanne drgawki, rwała sobie włosy z głowy. Kobiety cierpią znacznie bardziej niźli mężczyźni, gdy wpadną w szpony Myrddraali, ale nawet Myrddraale muszą gdzieś szukać swoich przyjemności. Nie martw się wszak, nie cierpiała długo. Trolloki są zawsze głodne. - Uśmiech zniknął, głos brzmiał twardo i lodowato. - Ci, którzy nie okażą stosownego posłuszeństwa, też mogą trafić do kotła ze strawą. Vanora zdawała się uśmiechać, Carridin. Czy sądzisz, że i ty również będziesz się uśmiechał, gdy cię nabiją na rożen?

Carridin przełknął z wysiłkiem ślinę i zdławił w sobie ukłucie bólu na myśl o Vanorze, zawsze tak chętnej do śmiechu i zręcznej w obchodzeniu się z końmi, śmiało galopującej tam, gdzie inni bali się iść pieszo. Była jego ukochaną siostrą, a jednak już umarła, a on wciąż żył. Jeżeli istniała na świecie jakaś litość, to przynajmniej Vanora nie dowiedziała się dlaczego.

- Żyję po to, by służyć i być posłusznym, Wielki Panie. - Nie uważał siebie za tchórza, jednak nikt nie sprzeciwiał się woli jednego z Wybranych. Przynajmniej nie więcej niż raz.

- Więc znajdź to, czego chcę! - wrzasnął Sammael. - Wiem, że gdzieś jest tu

ukryty, w tym mieście, które przypomina odchody much kjasic! Ter'angreale, angreale, nawet sa'angreale! Wytropiłem je do tego miejsca, wyśledziłem! Teraz ty masz je znaleźć, Carridin. Nie wyprowadzaj mnie z równowagi.

- Wielki Panie... - Poruszał językiem w ustach, starając się zwilżyć wargi. - Wielki Panie, tu są wiedźmy... Aes Sedai... są tutaj. Nie zdołałem się dowiedzieć, ile ich jest. Jeżeli choćby szept dotrze do ich uszu...

Nakazawszy mu milczenie gestem dłoni, Sammael zrobił kilka szybkich kroków, trzykrotnie pokonując przestrzeń komnaty. Nie wyglądał na szczególnie zdenerwowanego, tylko jakby... się zastanawiał. Na koniec pokiwał głową.

- Przyślę ci... kogoś... żeby zajął się tymi "Aes Sedai". -Wybuchnął urywanym śmiechem. - Niemalże żałuję, że sam nie mogę zobaczyć ich twarzy. Bardzo dobrze. Będziesz miał jeszcze trochę czasu. Potem być może ktoś inny poszuka swojej szansy. -Zaplótł sobie na palcu kosmyk włosów Shiaine; wciąż się nie poruszała, jej oczy patrzyły w pustkę. - To dziecko z pewnością aż się pali na samą myśl o otrzymaniu tego zadania.

Carridin stłumił w sobie ukłucie strachu. Wybrani równie szybko odtrącali swoich faworytów, jak ich wynosili. I czynili to równie często. Porażka nigdy nikomu nie uchodziła bezkarnie.

- Wielki Panie, przysługa, o którą cię prosiłem. Gdybym mógł wiedzieć... Czy ty... Czy zechcesz...?

- Mało masz szczęścia, Carridin - oznajmił Sammael, znowu się uśmiechając. -Mógłbyś liczyć na więcej, gdybyś się bardziej przykładał do wypełniania moich rozkazów. Wydaje się wszak, że ktoś bardzo dba o to, by przynajmniej niektóre z poleceń Ishamaela wciąż były realizowane. - Uśmiechał się, ale w istocie trudno

byłoby w nim doszukać się rozbawienia. Być może jednak to wszystko przez bliznę. - Zawiodłeś go i dlatego też straciłeś całą swoją rodzinę. W obecnej chwili chroni cię tylko moja ręka. Niegdyś, bardzo dawno temu, widziałem, jak trzy Myrddraale zmusiły pewnego mężczyznę, by wydał im jedną po drugiej swoją żonę i córki, a potem błagał ich, by odcięli mu prawą nogę, potem lewą, wreszcie ramiona, na koniec zaś, by wypalili mu oczy. - Idealnie spokojny ton towarzyskiej konwersacji, w którym dokonywała się ta wyliczanka, czynił ją znacznie gorszą od wszelkich krzyków i grymasów. - Dla nich była to tylko zabawa, rozumiesz, przekonać się, do jakich błagań, o zabranie i odjęcie czego mogą go jeszcze zmusić. Na koniec zostawiły mu, rzecz jasna, język, ale wówczas już wiele z niego nie zostało. Przedtem był to możny człowiek, przystojny i sławny. Zazdroszczono mu. Nikt mu już niczego nie zazdrościł, kiedy w końcu jego resztki rzucono Trollokom. Nie uwierzyłbyś wszak, jakie wrzaski dobywały się z tego ludzkiego kadłuba. Znajdź to, czego chcę, Carridin. Nie spodoba ci się, kiedy zrezygnuję z chronienia ciebie.

Znienacka w powietrzu komnaty pojawiła się pionowa, świetlna kreska, tuż przed Wybranym. Wydawała się w jakiś sposób obracać, zmieniając się w prostokąt... otwór. Carridin zagapił się na to zjawisko. Patrzył teraz przez otwór w powietrzu na jakieś miejsce pełne szarych kolumn, zasnutych gęstą mgłą. Sammael przeszedł przez wyłom w powietrzu i ten natychmiast zamknął się za nim, zostawiając tylko jaskrawą linię światła, która też wkrótce zanikła, lśniąc jeszcze tylko pod powiekami Carridina purpurową iskrą powidoku.

Niepewnie podniósł się na nogi. Porażką zawsze pociągała za sobą karę, jednakże nieposłuszeństwa wobec Wybranego nikt jeszcze nie przeżył.

Nagle Shiaine poruszyła się i wstała z fotela.

- Zważ na moje słowa, Bors - zaczęła, potem urwała i spojrzała na okno, przy którym wcześniej stał. Na moment uciekła wzrokiem, odnalazł go i wtedy wzdrygnęła się. Sądząc po wyrazie jej wytrzeszczonych oczu, on sam mógłby być jednym z Wybranych.

Nikt dotychczas nie przeżył nieposłuszeństwa wobec Wybranych. Przyłożył dłonie do skroni. W głowie czuł taki ból, jakby miała zaraz eksplodować.

- Jest w mieście człowiek, Mat Cauthon. Znajdziesz... -Znowu wyraźnie drgnęła, on zaś zmarszczył brwi. -Znasz go?

- Słyszałam nazwisko - odrzekła ostrożnie. I w głosie jej usłyszeć można było gniew, przynajmniej tak mu się wydawało. - Niewielu z tych, którzy są bliscy al'Thorowi, udaje się pozostać nieznanymi. - Kiedy podszedł bliżej, skrzyżowała obronnym gestem ramiona na piersiach i z trudem się tylko powstrzymała, żeby się nie cofnąć. - Cóż biedny, wiejski chłopak miałby robić w Ebou Dar? W jaki sposób udało mu się...

- Nie męcz mnie głupimi pytaniami, Shiaine. - Nigdy w życiu tak go nie bolała głowa jak teraz, nigdy. Czuł się tak, jakby między oczy, prosto w czaszkę wbito mu sztylet. Nikt nie przeżył... - Natychmiast zapędzisz członków swego kręgu do poszukiwań Mata Cauthona. Wszystkich. - Tej nocy miał się pojawić Stary Łotr, wślizgując się od tyłu przez stajnie; nie musiała wiedzieć, że oprócz niej będą także inni. -To jest zadanie o najwyższym priorytecie.

- Ale myślałam...

Słowa zamarły w jej gardle ze zdławionym jękiem, kiedy chwycił ją za kark. W jej dłoni błysnął cienki sztylet, ale łatwo go wytrącił. Szarpała się i skręcała, a jednak wdusił jej twarz w blat stołu, policzkiem rozmazując nie wyschły jeszcze atrament na

liście do Pedrona Nialla, liście, który i tak nie miał zostać wysłany. Sztylet, wbity w blat tuż przed jej twarzą sprawił, że zamarła. Zupełnie przypadkowo jego czubek przygwoździł jedną mrówkę za koniec nóżki. Obie na próżno usiłowały się wyrwać.

- Jesteś robakiem, Mili. - Ból szarpiący jego głową sprawił, że słowa zabrzmiały ochryple i zgrzytliwie. - Czas najwyższy, byś to zrozumiała. Jeden robak w niczym nie różni się od innego, a jeśli ten się nie nadaje... - Jej oczy bezwolnie podążały za czubkiem kciuka; kiedy rozgniótł mrówkę, drgnęła.

- Żyję po to, by służyć i być posłuszna, panie - wyszeptała. Tymi słowami zwracała się do Starego Łotra zawsze, kiedy widział ich razem, ale nigdy dotąd nie mówiła tak do niego.

- A oto w jaki sposób okażesz swoje posłuszeństwo... - Nikt jeszcze nie przeżył nieposłuszeństwa. Nikt.

ROZDZIAŁ 16

DOTKNIĘCIE NA POLICZKU

Pałac Tarasin - zbity masyw połyskującego marmuru i białego tynku - zdobiły balkony za ażurowymi ekranami z pomalowanego na biało żelaza i otoczone kolumnadami krużganki na przestrzeni całych czterech pięter, jakie wznosiły go ponad ulicę. Gołębie krążyły wokół strzelistych kopuł i wysokich, otoczonych balkonami iglic, krytych lśniącą w słońcu czerwoną i zieloną dachówką. Bramy o ostrych łukach w samym już pałacu prowadziły na rozmaite podwórce, za innymi kryły się wejścia do ogrodów, jednak szerokie na dziesięć piędzi, śnieżnobiałe schody wspinały się od ściany stojącej frontem do Placu Mol Hara aż ku wielkim drzwiom, pokrytym wyrzeźbionymi, spiralnymi wzorami, podobnymi do tych na ekranach balkonów i powleczonymi litym złotem.

Przed tymi drzwiami stało w szeregu i pociło się w słońcu co najmniej dwunastu gwardzistów w napierśnikach lśniących na zielonych kaftanach i w workowatych białych spodniach wpuszczonych w ciemnozielone buty. Do błyszczących, złotych hełmów przymocowane były zielonymi sznurami grube sploty białej materii, których luźne końce spływały na ramiona. Nawet halabardy i pochwy sztyletów, a także krótkich mieczy iskrzyły się złotem. Gwardziści do oglądania i podziwiania, nie do walki. Gdy jednak Mat dotarł do szczytu schodów, bez trudu dostrzegł odciski od mieczy na ich dłoniach. Dotąd zawsze wchodził do pałacu od tyłu, przez jedną ze stajni, aby po drodze obejrzeć pałacowe konie, tym razem jednak postanowił, że wybierze drogę stosowną dla lordów.

- Oby Światłość pobłogosławiła wszystkich tu zgromadzonych - zwrócił się do oficera gwardzistów, który nie mógł być wiele starszy od niego. Mieszkańcy Ebou Dar byli uprzejmymi ludźmi. - Przyszedłem, aby zostawić wiadomość dla Nynaeve Sedai oraz Elayne Sedai. Ewentualnie wręczyć im ją osobiście, jeśli już wróciły.

Oficer popatrzył na niego, po czym skonsternowany wbił wzrok w schody.

Złoty sznur obok zielonego na jego hełmie oznaczał rangę, której Mat nie potrafił zidentyfikować; zamiast halabardy miał w ręku pozłacaną laseczkę z ostrym końcem i hakiem jak oścień na woły. Miał taką minę, jakby nikt nigdy nie wchodził do pałacu tą drogą: Badawczo lustrując kaftan Mata, wyraźnie próbował znaleźć sposób wyjścia z nowej dla siebie sytuacji i ostatecznie zdecydował, że nie może po prostu go odesłać. Westchnął w końcu, wymamrotał w odpowiedzi jakieś błogosławieństwo i zapytał o imię Mata, potem zaś otworzył mniejsze drzwiczki w skrzydle większych wrót i wprowadził go do wspaniałego holu wejściowego, otoczonego pięcioma balkonami o kamiennych poręczach pod sklepionym na kształt kopuły sufitem, pomalowanym jak

niebo, do kompletu ze słońcem i chmurami.

Gwardzista pstryknął palcami, wzywając szczupłą, młodą służącą w białej sukience z wycięciem po lewej stronie, odsłaniającym zieloną spódnicę, i z haftem na lewej piersi, przedstawiającym Kotwicę i Miecz. Podbiegła przez wyłożoną czerwonym i błękitnym marmurem posadzkę, wyraźnie zaskoczona, potem ukłoniła się po kolei Matowi i oficerowi. Krótkie, czarne włosy otaczały miłą, urodziwą twarzyczkę, o jedwabistej, oliwkowej karnacji, liberia zaś miała głęboki i wąski dekolt, charakterystyczny dla strojów wszystkich kobiet zamieszkujących Ebou Dar. Chyba po raz pierwszy Mat tak naprawdę nie zwrócił na to uwagi. Kiedy usłyszała, czego sobie życzy, jej wielkie, ciemne oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej. Ściśle rzecz biorąc, Aes Sedai nie były nielubiane w Ebou Dar, jednak większość jego mieszkańców chętnie nadłożyłaby drogi, aby uniknąć spotkania z którąś z nich.

- Tak, Poruczniku-Miecza - potwierdziła, kłaniając się znowu. - Oczywiście, Poruczniku-Miecza. Czy zechcesz pójść za mną, mój panie? - Zechciał.

Na zewnątrz Ebou Dar iskrzyło się bielą, jednak we wnętrzach kolory zupełnie wariowały. Korytarze pałacu zdawały się ciągnąć całymi milami; w jednym miejscu wysoki sufit miał barwę błękitu, natomiast ściany były żółte, w innym ściany były bladoczerwone, natomiast sufit zielony; wszystko to zmieniało się wraz z każdym zakrętem korytarza, a zestawienia barw zdolne były oślepić każde oczy, z wyjątkiem chyba tylko Druciarzy. Głośnym echem niosły się odgłosy kroków Mata po płytach posadzki, ułożonych w trójbarwne, a czasami nawet czterobarwne, wzory złożone z rozmaitych rombów, gwiazd i trójkątów. W każdym miejscu, gdzie korytarze przecinały się, podłogę zdobiła mozaika z maleńkich płytek, ułożona w zawiłe i delikatne motywy wirów, spirali i kręgów. Nieliczne jedwabne gobeliny przedstawiały

sceny marynistyczne, w sklepionych łukowato niszach stały zaś kryształowe misy oraz niewielkie posążki, a także porcelana Ludu Morza, za jaką w każdym miejscu świata zapłacono by wysoką cenę. Od czasu do czasu przemykał w całkowitym milczeniu wystrojony w liberię służący, ze srebrną albo złotą tacą w dłoniach.

Zazwyczaj czyjeś afiszowanie się bogactwem sprawiało, że Matowi robiło się przyjemnie. Z tego choćby powodu, że tam gdzie były pieniądze, część z nich mogła trafić do jego rąk. Tym razem jednak odczuwał tylko zniecierpliwienie, rosnące wraz z każdym krokiem. A także niepokój. Ostatni raz, kiedy czuł, jak kości toczą się w jego głowie i to w tak zdecydowany sposób, przydarzył się dokładnie na chwilę przedtem, jak znalazł się z trzema setkami żołnierzy Legionu naprzeciw tysiąca Białych Lwów Gaebrila. Tamci stali na wzgórzu, a w sukurs szedł im jeszcze kolejny tysiąc, i to na dodatek drogą biegnącą za jego plecami, i wszystkim, co mógł przedsięwziąć, były rozpaczliwe próby wydostania się jak najszybciej z tego bagna. Tamtym razem udało mu się uratować gardło tylko dzięki wspomnieniom tych innych mężczyzn i większego szczęścia, niż sobie zasłużył. Toczące się kości niemalże zawsze oznaczały niebezpieczeństwo, oraz coś jeszcze, czego jak dotąd nie potrafił sprecyzować.

Perspektywa roztrzaskanej czaszki to jeszcze nie było dosyć, zresztą raz czy dwa taka możliwość w ogóle nie wchodziła w grę, jednak prawdopodobieństwo nadciągającej śmierci Mata Cauthona, i to śmierci zadanej w jakiś zupełnie niezwykły sposób, zazwyczaj stanowiło nieodłączny element groźby. Być może to nieprawdopodobne w Pałacu Tarasin, ale wizja jednak się pojawiła. Miał zamiar tylko zostawić wiadomość, złapać Nynaeve i Elayne za karki, jeśli sposobność się nadarzy, nagadać im dość, by im uszy poczerwieniały ze wstydu, a potem natychmiast się stąd wynosić.

Młoda kobieta sunęła przed nim niestrudzenie, póki nie natknęli się na

niskiego, krępego mężczyznę, nieco tylko starszego od niej, kolejnego służącego, w opiętych, białych spodniach, białej koszuli z szerokimi rękawami oraz długiej, zielonej kamizelce ozdobionej Kotwicą i Mieczem Domu Mitsobar wyhaftowanymi na białym kółku.

- Panie Jen - zaczęła, kłaniając się raz jeszcze -to jest lord Mat Cauthon, który pragnie zostawić wiadomość dla czcigodnej Elayne Aes Sedai oraz czcigodnej Nynaeve Aes Sedai.

- Bardzo dobrze, Haesel. Możesz odejść. - Ukłonił się Matowi. - Czy zechcesz pójść za mną, mój panie?

Jen doprowadził go do ciemnowłosej kobiety o ponurej twarzy, wkrótce mającej już wejść w wiek średni, a potem również się ukłonił.

- Pani Carin, oto lord Mat Cauthon, który pragnie zostawić wiadomość dla czcigodnej Elayne Aes Sedai oraz czcigodnej Nynaeve Aes Sedai.

- Bardzo dobrze, Jen. Możesz odejść. Czy zechcesz pójść za mną, mój panie?

Carin prowadziła go po marmurowej klatce schodowej, pnącej się stromo w górę, póki nie dotarli do kościstej kobiety o imieniu Matilde; ta z kolei przekazała go w ręce krępego Brena, z którym Mat dotarł do łysiejącego mężczyzny o imieniu Madic. Każdy z jego przewodników był odrobinę starszy od poprzedniego. W miejscu, gdzie pięć korytarzy spotykało się ze sobą niczym szprychy koła, Madic zostawił go z okrąglutką kobietą, Laren, o włosach mocno już posiwiałych i dostojnej posturze. Podobnie jak Carin i Matilde, miała na sobie to, co w Ebou Dar nazywano małżeńskim nożem; zwisał rękojeścią w dół z krótkiego, srebrnego łańcuszka między dwoma wypukłościami co najmniej pulchnych piersi. Pięć białych kamieni osadzonych w rękojeści, w tym dwa w czerwonych oprawach, oraz cztery czerwone kamienie, w tym

jeden oprawiony w czerń, oznaczały, iż trójka jej dzieci nie żyje, przy czym dwaj synowie zginęli w pojedynkach. Laren podniosła się z głębokiego ukłonu i już miała się zagłębić w jeden z korytarzy, gdy Mat podbiegł do niej i złapał ją za ramię.

Ciemne brwi uniosły się nieznacznie, kiedy spojrzała na jego dłoń. Nie miała przy sobie innej broni oprócz małżeńskiego noża, jednak gest ten był tak jednoznaczny, że natychmiast cofnął rękę. Obyczaj jednoznacznie stwierdzał, iż użyć go może jedynie przeciwko swemu mężowi, ale lepiej było nie sprawdzać, czy to prawda. Jednak ton jego głosu był równie szorstki jak przedtem gest.

- Jak daleko jeszcze będę musiał wędrować tylko po to, by zostawić wiadomość? Zaprowadź mnie do ich pokoi. Dwie Aes Sedai z pewnością nie tak trudno odnaleźć. To nie jest przeklęta Biała Wieża.

- Aes Sedai? - usłyszał za plecami jakiś kobiecy głos, z ciężkim illiańskim akcentem. - Jeżeli szukasz dwóch Aes Sedai, to właśnie znalazłeś.

Wyraz oblicza Laren nie zmienił się, no, może odrobinę. Spojrzenie jej niemalże czarnych oczu pomknęło ku czemuś za jego plecami; nie miał wątpliwości, że zwęziły się z niepokojem.

Mat, uchylając kapelusza, odwrócił się i uśmiechnął swobodnie. Kiedy miał tę srebrną głowę lisa zawieszoną na szyi, Aes Sedai w ogóle nie były mu straszne. Cóż, przynajmniej nie bardzo. Amulet miał jednak swoje wady. Być może więc i uśmiech nie był aż tak swobodny.

Dwie kobiety, które stały oto naprzeciw niego, nie mogły chyba bardziej różnić się od siebie. Jedna była szczupła, o ujmującym uśmiechu, odziana w zielono-złotą suknię, ukazującą skrawek pięknego, jak mógł się domyślać, łona. W normalnych okolicznościach, jeżeli pominąć tę pozbawioną śladu przeżytych lat twarz, na widok

kobiety takiej jak ona z pewnością rozważałby możliwość ucięcia sobie pogawędki. To była naprawdę śliczna twarz, z oczyma na tyle wielkimi, by mężczyzna mógł w nich utonąć. Szkoda. Twarz drugiej zdradzała również wyraźny brak śladów upływu czasu, jednak odnalezienie tej cechy zabrało mu chwilę. Pomyślał z początku, że jej oblicze wykrzywia grymas, póki nie pojął, że najpewniej zawsze tak wygląda. Ciemna, niemalże czarna suknia, okrywała ją razem z nadgarstkami i podbródkiem, za co tylko można było żywić wdzięczność. Z wyglądu przypominała stary, kolczasty krzak jeżyn. I chyba co dzień rano jadała jeżyny na śniadanie.

- Próbuję zostawić wiadomość dla Nynaeve i Elayne -poinformował je. - Ta kobieta... - Zamrugał, rozejrzawszy się po korytarzach. Rozmaici służący dalej przemykali obok, ale Laren nigdzie nie było widać. Nie pomyślałby, że potrafi poruszać się tak rączo. - W każdym razie chcę zostawić wiadomość. - W nagłym przypływie ostrożności spytał jeszcze: - Czy jesteście ich przyjaciółkami?

- Nie do końca - odparła ta ładna. - Ja jestem Joline, a to jest Teslyn. Ty zaś z pewnością jesteś Mat Cauthon. -Mat poczuł, jak coś ściska go w żołądku. Dziewięć Aes Sedai w całym Pałacu, a on akurat musiał wpaść na dwie, które były poplecznicz kami Elaidy. I na dodatek jedna z nich to Czerwona. Nie chodziło nawet o to, by miał się czego obawiać. Opanował dłonie, które same, bezwiednie, pomknęły do lisiej głowy pod koszulą.

Ta, która żywiła się jeżynami - Teslyn - podeszła bliżej. Była Zasiadającą, wedle informacji dostarczonych przez Thoma, chociaż cóż mogła porabiać Zasiadająca w tym miejscu, tego nawet Thom nie wiedział.

- Zostałybyśmy ich przyjaciółkami, gdyby to tylko było możliwe. One naprawdę potrzebują przyjaciół, panie Cauthon, podobnie zresztą jak i ty. -Przenikliwymi

oczyma próbowała chyba wyborować dziury w jego czaszce.

Joline zbliżyła się doń z drugiej strony, delikatnie kładąc dłoń na klapie jego kaftana. Na pewno zareagowałby na ten pełen zaproszenia uśmiech ze strony każdej innej kobiety. Ta była jednak Zieloną Ajah.

- Kroczą po niebezpiecznym gruncie i ślepe są zupełnie na to, co znajduje się pod ich stopami. Wiem, że jesteś ich przyjacielem. Łatwo mógłbyś tego dowieść, perswadując im, by zaniechały swoich bezsensownych poczynań, zanim nie będzie za późno. Głupie dzieci, które posuną się za daleko, z łatwością mogą się przekonać, że kara bywa doprawdy surowa.

Mat chciał w tym momencie już tylko opuścić ich towarzystwo; nawet Teslyn znajdowała się tak blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, bez trudu mogłaby go dotknąć. Zamiast jednak odejść, przywdział na twarz swój najbardziej bezczelny uśmiech. Dawno temu, jeszcze w rodzinnych stronach, ten uśmiech z reguły sprowadzał na niego kłopoty, w tej sytuacji wszakże wydawał się jak najbardziej stosowny. Kości w jego głowie nie miały żadnego związku z tą parą, w przeciwnym razie już by się zatrzymały. No i miał przecież medalion.

- Powiedziałbym, że znakomicie zdają sobie z tego sprawę. - Nynaeve naprawdę bardzo by się przydało, żeby ktoś jej porządnie utarł nosa, a Elayne nawet jeszcze bardziej, jednak nie będzie tak spokojnie stał i wysłuchiwał, jak te kobiety ją obgadują. Jeżeli miało to oznaczać wystąpienie również w obronie Elayne, to niech i tak będzie. - Być może to wy powinnyście zaniechać swoich bezsensownych poczynań.

- Uśmiech znikł z twarzy Joline jakby go ktoś zdmuchnął, za to Teslyn uśmiechnęła się, ale nie był to przyjemny uśmiech.

- Wiemy o tobie, Macie Cauthon. - Wyglądała jak kobieta, którą właśnie naszła

ochota, by obedrzeć kogoś ze skóry. - Ta'veren, tak o tobie powiadają. Który ma niebezpieczne koneksje. Co ponoć jest czymś więcej niźli tylko zwykłą pogłoską. Twarz Joline wyglądała jak wykuta z lodu.

- Młody człowiek o twojej pozycji, który chce zadbać o swą przyszłość, niewiele straci, oddając się pod protekcję Wieży. Nie powinieneś był z niej wyjeżdżać.

Poczuł, jak żołądek zwija mu się w ciasny supeł. Co jeszcze wiedzą? Z pewnością nie mają pojęcia o medalionie. Nynaeve i Elayne wiedziały, oprócz nich także Adeleas oraz Vandene, i Światłość jedna wiedziała, z kim się tą informacją podzieliły, z pewnością jednak nie rzekły ani słowa tej dwójce. Były wszakże gorsze rzeczy niźli wiedza o ta'veren czy lisiej głowie, albo choćby o Randzie, przynajmniej jeśli mowa o nim i Aes Sedai. Jeżeli wiedziały o przeklętym Rogu...

Znienacka ktoś odciągnął go z miejsca, gdzie w trójkę stali, i to na dodatek tak bezceremonialnie, że zachwiał się i omal nie upuścił kapelusza. Szczupła kobieta o gładkiej twarzy i prawie białych włosach zebranych na karku trzymała go równocześnie za rękaw i klapę kaftana. Teslyn odruchowo schwyciła go w ten sam sposób z drugiej strony. Rozpoznał, w pewien sposób przynajmniej, bez większego trudu kobietę, która tak gwałtownie wtrąciła się do jego rozmowy, kobietę wysoko noszącą głowę, w prostej, szarej sukni. Była to albo Adeleas, albo Vandene, jedna z dwóch sióstr - prawdziwych sióstr, nie tylko Aes Sedai - które równie dobrze mogły być bliźniaczkami; nigdy z całą pewnością nie potrafił orzec, która z nich jest która. Ona i Teslyn popatrywały wzajem po sobie, chłodne i spokojne, niczym dwa koty wpite szponami w tę samą mysz.

- Nie ma potrzeby szarpać mnie za kaftan - warknął, próbując się uwolnić. - Mój kaftan? - Nie był pewien, czy go usłyszały. Nawet nosząc lisi łeb nie był gotów na to, by

przemocą odrywać ich palce... chyba że będzie musiał.

Jak się okazało, siostrze towarzyszyły dwie inne Aes Sedai, chociaż jedną z nich, ciemnowłosą, przysadzistą kobietę o badawczym spojrzeniu, rozpoznać jako taką można było jedynie po pierścieniu z Wielkim Wężem oraz brązowym szalu, na którym widoczny był biały Płomień Tar Valon wśród pnączy winorośli. Wydawała się odrobinę tylko starsza od Nynaeve, a zatem musiała to być Sareitha Tomares, Aes Sedai od dwóch dopiero lat, czy coś koło tego.

- Czy teraz zniżasz się do porywania mężczyzn na korytarzach, Teslyn? - zapytała druga. - Mężczyzna, który nie potrafi przenosić, nie powinien cię specjalnie interesować. -Niska i blada w ozdobionych koronkami szarościach w błękitne paski wywierała wrażenie swą chłodną, ponadczasową elegancją; na jej twarzy wykwitł pełen poczucia własnej wartości uśmiech. Jej tożsamość zdradzał cairhieniański akcent. Z pewnością należała do przywódczyń tej sfory. Thom nie był do końca pewien, czy to Joline, czy Teslyn stała na czele poselstwa Elaidy, jednak Merilille przewodziła tym idiotkom, które chytrze wmanewrowały Egwene w to, by została ich Amyrlin.

Uśmiech, jakim odpowiedziała na słowa tamtej Teslyn, był ostry jak brzytwa.

- Nie udawaj przede mną, Merilille. Mat Cauthon nie może pozostać poza zasięgiem mojego zainteresowania. Nie powinien pod żadnym pozorem wałęsać się samopas po świecie. - Zupełnie jakby on nie stał tuż obok i nie przysłuchiwał się wszystkiemu!

- Nie walczcie o mnie - powiedział. Nie puszczą go, nawet gdyby wyszarpywał poły kaftana z ich rąk. - Dosyć dzieje się dookoła.

Pięć par oczu, których spojrzenia spoczęły na nim równocześnie, sprawiło, iż

pożałował, że w ogóle otworzył usta. Aes Sedai nie miały poczucia humoru. Pociągnął trochę silniej i Vandene - albo Adeleas - szarpnęła z kolei w swoją stronę, tak mocno, że wyrwała skraj kaftana z jego dłoni. To jednak Vandene, doszedł do wniosku. Była Zieloną, on zaś zawsze podejrzewał, że ma ochotę podnieść go za nogi i wytrząsnąć zeń sekret medalionu. Którakolwiek to jednak była, uśmiechnęła się, na poły rozbawiona. On nie widział w tej sytuacji nic śmiesznego. Pozostałe Aes Sedai nie patrzyły nań długo. Równie dobrze mógł rozpłynąć się w powietrzu.

- Opieka, oto czego mu trzeba - oświadczyła zdecydowanie Joline. - Dla jego własnej ochrony i nie tylko. Trzech ta'veren urodzonych w jednej wiosce? A na dodatek jeden z nich okazał się Smokiem Odrodzonym? Pan Cauthon powinien być bezzwłocznie odesłany do Białej Wieży. - A on z początku podziwiał jej urodę!

Merilille tylko pokręciła głową.

- Przeceniasz swoją pozycję w tym miejscu, Joline, jeśli sądzisz, że zwyczajnie pozwolę ci zabrać tego chłopca.

- To ty przeceniasz swoją, Merilille. - Joline podeszła bliżej, póki nie stanęła tak, że mogła patrzeć z góry na tamtą. Jej usta wygięły się w protekcjonalnym grymasie. - Czy nie pojmujesz, że jedynie motywowane pragnieniem nie obrażania Tylin powstrzymujemy się przed zamknięciem was o chlebie i wodzie, do czasu aż to wy nie zostaniecie dostarczone do Wieży?

Mat spodziewał się, że Merilille roześmieje się jej w twarz, ona jednak tylko leciutko przekrzywiła głowę, jakby chciała umknąć wzrokiem przed spojrzeniem Joline.

- Nie ośmieliłybyście się. - Niewzruszony wyraz zastygł niczym maska na twarzy Sareithy; rysy miała gładkie, dłonie spokojnie wygładzały szal, a jednak jej

przytłumiony głos wręcz krzyczał, że to tylko pozory.

- To są dziecinne gierki, Joline - odburknęła sucho Vandene. Z pewnością to właśnie była ona. Jako jedyna spośród całej trójki wyglądała na osobę, której nic nie jest w stanie poruszyć.

Plamy czerwieni wykwitły na policzkach Merilille w momencie, gdy siwowłosa przemówiła do niej, jednak jej spojrzenie stwardniało.

- Raczej nie powinnaś oczekiwać po nas pokory -twardo pouczyła ją Joline - a poza tym nas jest pięć. Siedem, wliczając Nynaeve i Elayne. - Te ostatnie słowa dodała najwyraźniej po chwilowym namyśle i niechętnie.

Joline uniosła brew. Kościste palce Teslyn nie rozluźniły uchwytu nawet odrobinę, podobnie zresztą jak palce Vandene, teraz wpatrywała się jednak w Joline i Merilille z całkowicie nieodgadnionym wyrazem twarzy. Aes Sedai były niczym obcy kraj, w którym nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać, póki nie jest za późno. Sytuacja ta miała głębokie podteksty, niczym podwodne prądy nie mącące spokoju powierzchni. A głębokie prądy otaczające Aes Sedai łatwo mogą porwać człowieka w głębiny, na pewną śmierć, zanim się spostrzeże. Być może nadszedł już czas, by przemocą rozewrzeć ich palce.

Nagłe, zupełnie niespodziewane pojawienie się Laren sprawiło, że nie musiał tego robić. Z całych sił starając się opanować oddech, jakby całą drogę biegła, pulchna kobieta rozłożyła suknie w ukłonie znacząco głębszym niźli ten, którym powitała jego.

- Proszę o wybaczenie, że przeszkadzam wam, Aes Sedai, ale Królowa wzywa lorda Cauthona. Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Jeżeli nie przyprowadzę go natychmiast, to zapewne stracę coś więcej niż tylko uszy.

Aes Sedai popatrzyły na nią, wszystkie naraz, i nie oderwały wzroku, póki nie

zaczęła się wyraźnie niepokoić; wtedy obie grupki zaczęły wzajem mierzyć się spojrzeniami, jakby naprawdę postanowiły ostatecznie stwierdzić, które z nich są lepszymi Aes Sedai. A w końcu popatrzyły na niego. Zaczął już zastanawiać się, czy z takiej sytuacji istnieje w ogóle jakieś wyjście.

- Nie mogę przecież pozwolić, żeby Królowa na mnie czekała, nieprawdaż? - zapytał wesołym tonem. Na podstawie parsknięć, jakimi skwitowały jego wypowiedź, można było pomyśleć, że właśnie wsunął którejś dłoń za dekolt. Nawet Laren zmarszczyła czoło z dezaprobatą.

- Puść go, Adeleas - powiedziała na koniec Merilille.

Zmarszczył brwi, kiedy białowłosa kobieta zastosowała się do polecenia. Te dwie naprawdę powinny nosić jakieś małe znaczki z wypisanymi imionami albo choćby różnokolorowe wstążki we włosach. Obdarzyła go jeszcze jednym z tych rozbawionych, wszystkowiedzących uśmiechów. Tego nienawidził. To była klasyczna kobieca sztuczka, nie tylko patent Aes Sedai, zazwyczaj zresztą okazywało się, że niczego tak naprawdę nie wiedziały, a tylko chciały, żeby człowiek w to uwierzył.

- Teslyn...? - zapytał. Ponura Czerwona wciąż ściskała poły jego kaftana.

Spojrzała na niego, ignorując zupełnie pozostałe. - Królowa...?

Merilille otworzyła już usta, ale zawahała się i najwyraźniej zmieniła zdanie odnośnie do tego, co zamierzała powiedzieć.

- Jak długo zamierzasz tutaj tak stać i trzymać go, Teslyn? Być może ty pójdziesz wytłumaczyć Tylin, dlaczego zlekceważono jej wezwanie.

- Zastanów się dobrze nad tym, z kim się wiążesz, Macie Cauthon - powiedziała Teslyn, wciąż patrząc na niego. -Złe wybory mogą sprowadzić nieprzyjemną przyszłość, nawet jeśli jest się ta'veren. Zastanów się dobrze. - Potem pozwoliła mu iść.

Wędrował za Laren, starając się nie okazywać zanadto pragnienia, by jak najszybciej znaleźć się daleko od nich, ale naprawdę chciał, by kobieta nieco przyspieszyła. A tymczasem ona sunęła majestatycznie przed nim, dumna niby jakaś królowa. Królewska niczym Aes Sedai. Kiedy dotarli do pierwszego zakrętu, obejrzał się za siebie. Pięć Aes Sedai dalej stało bez ruchu, patrząc w ślad za nim. Jakby jego gest stanowił dla nich sygnał, wymieniły pa raz ostatni spojrzenia i również się rozeszły, każda w inną stronę. Adeleas ruszyła za nim, jednak, kiedy nie więcej jak kilka kroków dzieliło ją od miejsca, gdzie się zatrzymał, uśmiechnęła się doń znowu i zniknęła za jakimiś drzwiami. Głębokie prądy. Wolał pływać w miejscach, gdzie pod stopami czuł bezpieczne dno stawu.

Laren czekała na niego za rogiem, z rękoma wspartymi na szerokich biodrach i twarzą podejrzanie gładką. Przypuszczał, że niecierpliwie przytupywała nogą ukrytą pod sięgającymi ziemi spódnicami. Obdarzył ją swym najbardziej zniewalającym uśmiechem. Kobiety, czy to rozchichotane dziewczyny, czy posiwiałe babcie, z reguły miękły na jego widok; niejeden raz, więcej niż był sobie w stanie przypomnieć, udało mu się w ten sposób zdobyć całusa lub złagodzić karę. Ten uśmiech działał niemalże równie skutecznie jak kwiaty.

- To było bardzo zręcznie przeprowadzone i winien ci jestem wdzięczność.

Pewien jestem, że królowa tak naprawdę wcale nie chce się ze mną zobaczyć. - Gdyby jednak było inaczej, i tak nie miał najmniejszej ochoty widzieć się z nią. Wszystkie złe rzeczy, jakie myślał na temat szlachty, należało pomnożyć przez trzy, gdy w grę wchodziły rodziny panujące. Tego przekonania nie zmieniło nic, co odnalazł w starożytnych wspomnieniach, a przecież niektórzy z tych ludzi z przeszłości spędzili znaczną część czasu w towarzystwie królów i królowych. - Teraz, jeśli mi tylko

pokażesz, gdzie są pokoje Nynaeve i Elayne...

Dziwne, ale ten uśmiech najwyraźniej nie wywarł na niej żadnego wrażenia.

- Nie skłamałabym, lordzie Cauthon. To oznaczałoby posuwanie się dużo dalej niż warte są moje uszy. Królowa czeka, mój panie. Jesteś bardzo odważnym mężczyzną -dodała, odwróciwszy się, a potem dodała jeszcze, prawie niesłyszalnie: - albo wielkim głupcem. - Wątpił, by te ostatnie słowa przeznaczone były dla jego uszu.

Pozostawiono mu wybór między udaniem się na spotkanie z królową a wędrowaniem milami korytarza, póki nie natknie się na kogoś, kto powie mu to, czego chciał się dowiedzieć. Zdecydował się na audiencję.

Tylin Quintara, z łaski Światłości królowa Altary, Władczyni Czterech Wiatrów, Strażniczka Morza Sztormów, Zasiadająca na Tronie Domu Mitsobar, oczekiwała go w komnacie o różowych ścianach i bladobłękitnym suficie, stojąc przed wielkim, białym kominkiem, którego kamienny gzyms wyrzeźbiony został na kształt fal wzburzonego morza. Właściwie od razu doszedł do wniosku, że warto było się z nią zobaczyć. Tylin nie była młoda - lśniące, czarne włosy spływające na jej ramiona przetykały już nitki siwizny, a delikatne zmarszczki znaczyły pajęczyną kąciki oczu - nie była również w ścisłym tego słowa znaczeniu ładna, chociaż dwie drobne blizny na jej policzkach z wiekiem prawie zanikły. Przystojna było lepszym określeniem. Jednak cała jej postać była... imponująca, to chyba chciałoby się rzec. Wielkie, ciemne oczy mierzyły go majestatycznie; orle oczy. Tak naprawdę nie dysponowała zbyt wielką realną władzą - człowiek mógł wyjechać poza zasięg jej panowania w ciągu dwóch lub trzech dni, a wciąż jeszcze miałby spory szmat Altary przed sobą - uznał jednak, że nawet Aes Sedai muszą czuć przed nią respekt. Jak Isabele z DaI Calain, która zmusiła Amyrlin Anghara, by ta do niej przyszła. To było jedno z dawnych wspomnień; Dal

Calain zniknęło z powierzchni ziemi w czasie Wojen z Trollokami.

- Wasza Wysokość - zaczął, wykonując jednocześnie szeroki gest kapeluszem i zamiatając posadzkę połami wyimaginowanego płaszcza - na twoje wezwanie, otom jest. -Imponująca czy nie, trudno było oderwać oczy od nie małego przecież, obrzeżonego koronką owalu w miejscu, gdzie wisiał jej małżeński nóż. Były to bardzo ponętne krągłości, jednak im więcej ciała odsłaniały kobiety, tym mniejszą miały ochotę, by na nie spoglądano. Przynajmniej jawnie. Nóż w białej pochwie; jednak już wcześniej wiedział, że jest wdową. Nie, żeby miało to jakiekolwiek znaczenie. Równie prędko mógłby zadać się z tamtym Sprzymierzeńcem Ciemności, tą kobietą o lisiej twarzy, co z królową. Nie patrzeć w ogóle nie było łatwo, jakoś mu się jednak udało. Bardziej prawdopodobne, że wezwałaby straże, niźli sięgnęłaby po inkrustowany klejnotami sztylet, wsadzony za pasek ze złotej plecionki, który stylem wykonania odpowiadał dokładnie obręczy, z której zwisał jej małżeński nóż. Być może to właśnie dlatego kości wciąż toczyły się w jego głowie. Jeżeli cokolwiek mogło wprawić je w ruch, z pewnością była to możliwość spotkania z katem.

Warstwy jedwabnych halek zafalowały bielą i żółcią, kiedy pokonała przestrzeń komnaty, a potem obeszła go dookoła powolnym krokiem.

- Mówisz Dawną Mową-oznajmiła, kiedy zatrzymała się znowu tuż przed nim.

Jej głos zawierał się w niskich rejestrach i miał melodyjne brzmienie. Nie czekając na odpowiedź, posuwistymi krokami podeszła do fotela i zasiadła w nim, poprawiając swoje zielone spódnice. Gest był zupełnie bezwiedny, a jej spojrzenie wciąż spoczywało na nim. Pomyślał, że zapewne jest już w stanie określić, kiedy ostatni raz prał bieliznę.

- Chciałbyś zostawić wiadomość. Mam tutaj wszystko, czego trzeba. - Koronkowy mankiet opadł na jej nadgarstek, a potem zakołysał się, kiedy machnięciem dłoni

wskazała maleńkie biurko stojące pod zwierciadłem w złotych ramach. Wszystkie meble były złocone i pokryte rzeźbieniami naśladującymi bambus.

Wysokie, sklepione trzema łukami okna wychodziły na balkon z kutego żelaza, wpuszczając do wnętrza powiew morskiej bryzy, zadziwiająco przyjemnej, jeżeli nawet nie przynoszącej ochłody, jednak Mat dostał się we władanie upału w znacznie bardziej dotkliwy sposób, niżby to było możliwe na ulicy, i nie miało to nic wspólnego ze spojrzeniem, które wciąż czuł na sobie.

“Deyeuiye, dyu ninte concion ca’lyet ye”.

Takie słowa właśnie wypowiedział. Przeklęta Dawna Mowa wyskoczyła znowu z jego ust, zanim zdał sobie sprawę, co mówi. A już sądził, że przynajmniej ten jeden kłopot udało mu się rozwiązać. Nie wspominając już o pytaniu, kiedy te przeklęte kości zechcą się nareszcie zatrzymać i co właściwie wówczas nastąpi. Najlepiej nie rozglądać się za dużo dookoła i trzymać usta zamknięte na kłódkę, tak ściśle jak to tylko możliwe.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Bardzo się starał, by te słowa wypowiedzieć normalnie.

Grube karty białego papieru już czekały na pochyłym blacie, ułożone akurat na odpowiedniej wysokości, by po nich pisać. Oparł kapelusz o nogę biurka. W lustrze widział postać królowej. Czekała. Dlaczego znowu zupełnie bezmyślnie rozpuścił jęzor? Zanurzył złote pióro - jakim innym mogłaby pisać królowa? - i ułożył w głowie słowa, które chciał napisać, a dopiero potem pochylił się nad papierem, osłaniając go ramieniem. Ręka była niezgrabna i jakby odrętwiała. Nie przepadał za pisaniem.

“Podążałem za Sprzymierzeńcem Ciemności do pałacu, który wynajmuje Jaichim Carrdin. Ona kiedyś próbowała mnie zabić, a być może Randa również.

Powitano ją na miejscu jak starą przyjaciółkę".

Przez chwilę wpatrywał się w to, co napisał, gryząc końcówkę pióra, zanim zdał sobie sprawę, że odkształca miękkie złoto. Może Tylin nie zauważy. Musiały się dowiedzieć o Carridinie. Co jeszcze? Dodał kilka wymownych wersów. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było upewnianie ich w tym, co czynią.

"Bądźcie rozsądne. Jeżeli już musicie włóczyć się po okolicy, pozwólcie mi wysłać z wami kilku ludzi, aby nie dopuścili do rozłupania waszych głów. W każdym razie, czy nie czas, aby zawieźć was z powrotem do Egwene? Tutaj nie ma nic, tylko upał i muchy, a jednego i drugiego możemy mieć w Caemlyn pod dostatkiem".

Bardzo dobrze. Nie zasłużyły na nic przyjemniejszego.

Chwyciwszy ostrożnie stronicę, złożył ją czterokrotnie. Piasek w małym, złotym dzbanuszku skrywał rozżarzony węgielek. Podmuchał na niego, dopóki się nie rozjarzył, a potem wykorzystał go do zapalenia świecy, do której z kolei przytknął laseczkę czerwonego wosku. Kiedy wosk do pieczęci kapał na zgięcie papieru, nagle uderzyła go myśl, że ma przecież w kieszeni pierścień z sygnetem. To tylko błyskotka, którą jubiler wykonał, aby dać pokaz swoich umiejętności, lepsze to jednak niż zwykła grudka wosku. Pierścień był nieco dłuższy od krzepnącej kałuży, jednak większa część odbiła się.

Po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się dobrze swemu nabytkowi.

Ograniczony wielkimi półkolami biegnący lis spłoszył właśnie dwa ptaki, które poderwały się do lotu. To sprawiło, że się uśmiechnął. Szkoda doprawdy, że nie była to ręka, bardziej stosowna dla Legionu, ale może być. Z pewnością musi być zręczny niczym lis, aby dać sobie radę z Nynaeve i Elayne, a jeżeli nawet one są niespecjalnie lotne, cóż... Poza tym, dzięki medalionowi polubił lisy. Wykaligrafował na kopercie

imię Nynaeve, a po namyśle dodał również Elayne. Już niebawem zapoznają się z jego treścią, jedna albo druga. Odwrócił się, trzymając zapieczętowany list w wyciągniętej dłoni, a potem wzdrygnął się, bo musnął kłykciami łono Tylin. Zatoczył się niemalże do tyłu, oparł o biurko, patrząc i starając nie zaczerwienić. Patrzył na jej twarz, tylko na twarz. Nie słyszał, jak do niego podeszła. Najlepiej zwyczajnie udawać, że się nic nie stało, aby nie powiększać dalej własnego i jej zmieszania. Prawdopodobnie w takiej sytuacji uzna go za niezgrabnego prostaka.

- Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć, Wasza Wysokość. - Między nimi nie zostało dość przestrzeni, aby podnieść list do góry. - Jaichim Carridin przyjmuje u siebie Sprzymierzeńców Ciemności, a ja nie mam zamiaru zajmować się ich aresztowaniem.

- Jesteś pewien? Oczywiście, że jesteś. Nikt nie sformułowałby takiego zarzutu, nie mając pewności. - Mars przeciął jej czoło, ale pokręciła głową i zmarszczka zniknęła. - Porozmawiajmy może o jakichś przyjemniejszych rzeczach.

Omal nie jęknął. To on informuje ją, że ambasador Białych Płaszczy na jej dworze jest Sprzymierzeńcem Ciemności, a ona tylko raz się krzywi?

- Tyś jest lord Mat Cauthon? - Kiedy wypowiadała jego tytuł, wyczuł daleką, niemalże niesłyszalną nutkę wątpliwości w głosie. Spojrzenie jej oczu teraz jeszcze bardziej niźli dotąd skojarzyło mu się ze wzrokiem orła. Królowej zapewne nie podobało się, że ktoś przychodzi do niej, udając, iż jest lordem.

- Tylko Mat Cauthon. - Coś podpowiedziało mu, że odkryłaby natychmiast kłamstwo. Poza tym pozwalał, by ludzie wierzyli, iż jest lordem, tylko na zasadzie fortelu, bez którego mógł się obejść. W Ebou Dar można było zostać wyzwanym na pojedynek właściwie w każdej chwili, niewielu jednak rzucało wyzwanie lordom, jeśli

nie posiadali stosownej pozycji. I tak w ciągu ostatniego miesiąca rozbił wiele głów, pociął do krwi czterech mężczyzn i biegiem pokonał pół mili, aby uciec przed kobietą. Jednak pod wpływem spojrzenia Tylin zrobiło mu się nieswojo. A te kości wciąż grzechotały w jego głowie. Chciał już stąd pójść. - Gdybyś była tak łaskawa i powiedziała mi, gdzie mogę zostawić ten list...

- Dziedziczka Tronu i Nynaeve Sedai rzadko o tobie wspominają - powiedziała królowa - ale człowiek uczy się słyszeć to, o czym nikt nie mówi. - Ostrożnie wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka; niepewny, co począć, lekko uniósł rękę. A może, kiedy gryzł pióro, rozmazał sobie na twarzy atrament? Kobiety lubiły czyścić różne rzeczy, włączywszy w to mężczyzn. Być może królowe zachowywały się podobnie. - Tym, czego ty nie mówisz, ale ja mimo to słyszę, jest fakt, że jesteś zupełnie niepohamowanym rozrabiaką, hazardzistą i że wiecznie uganiasz się za kobietami. - Spojrzała mu w oczy, na jotę nawet nie zmieniając wyrazu twarzy, jej głos nabrał zdecydowanych i chłodnych tonów, ale kiedy mówiła, musnęła palcem jego drugi policzek.: Mężczyźni, którzy nie dają się oswoić, są często najbardziej interesujący. Są najbardziej interesującymi partnerami do rozmowy. - Koniuszkiem palca obrysowała kontur jego ust. -Nie dający się okiełznać rozrabiaka, podróżujący w towarzystwie Aes Sedai, ta'veren, w którego obecności, jak mniemam, nieco się boją. Albo przynajmniej czują się odrobinę nieswojo. A tylko mocny mężczyzna jest w stanie zaniepokoić Aes Sedai. W jaki sposób zamierzasz odkształcić Wzór w Ebou Dar, "tylko" Macie Cauthonie? - Wsparła dłoń na jego karku; czuł, jak puls echem odbija się od jej palców. Nie potrafił się powstrzymać i rozdziawił usta. Biurko za jego plecami zaskrzypiało, wspierając się o ścianę, kiedy próbował znowu się cofnąć. Jedyną droga ucieczki to odepchnąć ją albo wspiąć się po jej spódnicach. Kobiety nie zachowują się

w taki sposób! Och, niektóre z tych dawnych wspomnień sugerowały, że jednak tak bywa, ale głównie były to wspomnienia wspomnień, że ta kobieta zrobiła to, a tamta tamto; rzeczami, które pamiętał, były w większej części bitwy, a one nie na wiele mu się mogły tutaj przydać. Uśmiechnęła się, leciutko wygięła wargi, co w najmniejszej mierze nie złagodziło drapieżnego błysku w oczach. Włosy powoli zaczynały mu się jeżyć na głowie.

Jej spojrzenie pobiegło do zwierciadła za plecami Mata, odwróciła się gwałtownie, zostawiając go w całkowitym oszołomieniu. Patrzył na jej plecy, gdy wędrowała w stronę drzwi.

- Muszę jakoś tak ułożyć sprawy, żeby móc znowu z tobą porozmawiać, Macie Cauthon. Ja... - Ucięła nagle, kiedy drzwi otworzyły się na całą szerokość, z pozoru zupełnie zaskoczona, jednak zrozumiał natychmiast, że musiała widzieć w lustrze, jak się uchylają.

Do wnętrza wszedł, leciutko kulejąc, ciemnowłosy młodzieniec o ostrym spojrzeniu, które przemknęło po postaci Mata, ledwie się na niej zatrzymując. Czarne włosy spływały mu na ramiona, miał na sobie jeden z tych kaftanów, które nie zostały przeznaczone do normalnego wdziewania, udrapowany na ramionach, z zielonego jedwabiu ze złotym łańcuchem zawieszonym na piersiach i złotymi panterami wyhaftowanymi na klapach.

- Matko - powiedział, kłaniając się Tylin i dotykając palcami warg.

- Beslan. - Zabrzmiało to bardzo ciepło. Potem pocałowała go w oba policzki oraz w powieki. Zdecydowany, lodowaty wręcz ton głosu, jakim zwracała się do Mata, równie dobrze mógł być własnością kogoś innego. - Poszło ci dobrze,jak widzę.

- Nie tak dobrze, jakbym sobie życzył. - Chłopiec westchnął. Pomimo ostrych

oczu, cechowały go delikatne maniery i miękki głos. -Nevin drasnął moją nogę za drugim przejściem, potem musnął przy trzecim, tak że pchnąłem go w serce zamiast w rękę trzymającą miecz. Obraza nie była warta zabójstwa, a teraz będę musiał złożyć kondolencje wdowie. - Tego zdawał się żałować równie mocno jak śmierci owego Nevina.

Rozjaśnione oblicze Tylin wydawało się niezupełnie stosownym wizerunkiem matki, której syn oznajmił właśnie, że zabił człowieka.

- Tylko zadbaj o to, by ta wizyta była krótka. Niech mnie tną przez oczy, ale Davindra z pewnością okaże się jedną z tych wdów, które potrzebują pociechy, a potem albo będziesz się musiał z nią ożenić, albo pozabijać jej braci. -Z tonu jej głosu można było łatwo odczytać, że tę pierwszą możliwość ocenia jako znacznie gorszą, drugą zaś uważa za rodzaj zwykłej niedogodności. - To pan Mat Cauthon, mój synu. Jest ta'veren. Mam nadzieję, że się z nim zaprzyjaźnisz. Być może wybierzecie się we dwójkę na tańce w czasie Nocy Seovan.

Mat niemalże podskoczył. Ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, to wybierać się dokądkolwiek z mężczyzną, który walczy w pojedynkach i którego matka miała ochotę pogłaskać Mata Cauthona po policzku.

- Nie bardzo interesują mnie bale-powiedział szybko. Ebou Dar zupełnie nieprzytomnie przepadało za świętami. Tutaj Najwyższa Chasaline należała już do zamierzchłej przeszłości, a w ciągu następnego tygodnia zanosiło się na dalszych pięć, przy czym dwa miały trwać całą noc, a nie tylko zwyczajnie przez wieczór. - Ja zazwyczaj tańczę w tawernach. To jest bardziej nieokrzesana forma tańców, obawiam się. Najpewniej nie spodobałyby ci się.

- Uwielbiam najbardziej nieokrzesane tawerny - oznajmił z uśmiechem Beslan

tym swoim miękkim głosem. -Bale są dla starszych oraz ich ślicznotek.

Potem wszystko zaczęło przypominać zjazd ze zbocza na popękanej desce.

Zanim Mat pojął, co się dzieje, Tylin więziła go już w zaszytym worku. On i Beslan razem pójdą na uroczystości świąteczne. Na wszystkie uroczystości świąteczne. Beslan nazywał to polowaniem, a kiedy Mat, nie zastanawiając się, użył terminu "polowanie na dziewczyny" - w życiu by nie przypuszczał, że coś takiego wymknie mu się w obecności czyjejś matki - chłopak zaśmiał się i powiedział:

- Na dziewczyny lub na walkę, na pełne usta lub błysk ostrza. Którykolwiek taniec tańczysz w danej chwili, ten jest najbardziej zabawny. Zgodzisz się ze mną, co Mat? - Tylin uśmiechnęła się z czułością do syna.

Mat także zdobył się na słaby śmiech. Ten Beslan był zupełnie szalony, zupełnie jak jego matka.

ROZDZIAŁ 17

TRIUMF LOGIKI

Mat wymknął się z pałacu dopiero wtedy, gdy Tylin w końcu pozwoliła mu odejść, a gdyby osądził, że na cokolwiek mu się to przyda, popędziłby co sił w nogach. Skórę między łopatkami pokrywała mu gęsia skórka; był rozbity do tego stopnia, że zupełnie zapomniał o kościach tańczących w głowie. Najgorszy moment - albo co najmniej równie zły jak jeszcze jakiś tuzin innych-nastąpił, kiedy Beslan zaczął dogadywać matce, mówiąc, że powinna zrobić się na piękność z okazji balu, a Tylin ze śmiechem stwierdziła zupełnie otwarcie, że królowa nie ma czasu na młodych chłopców, patrząc na Mata tymi swoimi orlimi oczyma. Teraz już wiedział, dlaczego króliki biegają tak szybko. Przeszedł przez Plac Mol Hara, praktycznie nie widząc niczego dookoła. Nawet gdyby Nynaeve i Elayne dokazywały z Jaichimem Carridinem i Elaidą w fontannie pod posągiem jakiejś dawno nieżyjącej królowej, pomnikiem wysokości dwu piędzi i spoglądającym w kierunku morza, on przeszedłby obok, nie poświęciwszy im nawet jednego spojrzenia.

Wspólna sala "Wędrownej Kobiety" była ciemna i względnie chłodna przy całym tym upale panującym na zewnątrz. Z ulgą pozbył się kapelusza. W powietrzu unosiła się cienka chmura fajkowego dymu, ale rzeźbione w arabeski okiennice, skrywające szerokie, sklepione łukami okna, wpuszczały do wnętrza dosyć światła. Z okazji Nocy Swovam ponad oknami wisiały zwiędłe gałęzie sosny. W jednym rogu dwie kobiety z fletami oraz mężczyzna z małym bębenkiem między kolanami wygrywali przenikliwą, pulsującą muzykę, którą Mat zdążył już polubić. Nawet o tej porze dnia w środku przebywało paru klientów, kupcy z innych krajów w raczej skromnych wełnach oraz garstka mieszkańców Ebou Dar, w większości w kamizelach

rozmaitych gildii. Żadnych czeladników ani podróżnych raczej nie można było tu uświadczyć; położona tak blisko pałacu "Wędrowna Kobieta" nie zaliczała się do lokali, gdzie można coś tanio zjeść lub wypić, a tym bardziej przenocować.

Grzechot kości na blacie stołu w kącie zabrzmiał jak echo uczucia, które go nie opuszczało od jakiegoś już czasu, ale odwrócił się i poszedł w drugą stronę, gdzie trzej jego ludzie siedzieli na ławach wokół innego stołu. Corevin, potężnie umięśniony Cairhienianin z nosem tak wydatnym, że w porównaniu jego oczy wydawały się jeszcze mniejsze, niźli były w rzeczywistości, siedział obnażony do pasa, trzymając wytatuowane ręce wysoko w górze, podczas gdy Vanin owijał pasy bandaża wokół jego brzucha. Vanin był trzy razy tak masywny jak Corevin, a mimo to przypominał łysiejący worek łoju ciśnięty niedbale na ławę. Na podstawie wyglądu jego kaftana można było domniemywać, że sypiał w nim od tygodnia; zresztą zawsze tak wyglądał, nawet godzinę po tym, jak służąca mu go wyprasowała. Niektórzy z kupców niespokojnie spoglądali na tę trójkę, ale nie tutejsi; ci widywali już takich samych albo i gorszych zabijaków. Najczęściej gorszych.

Harnan, dowódca oddziału Tairenian o zapadniętych policzkach, z prymitywnym tatuażem przedstawiającym jastrzębia, wymyślał właśnie Corevinowi:

- Nie dbaj o to, co mówi cholerny sprzedawca ryb, ty ropuszy pomiocie kozła, po prostu użyj swojej przeklętej pałki i nie przyjmuj żadnych cholernych wyzwań tylko dlatego, że... - Urwał, kiedy zobaczył Mata, i natychmiast przybrał `taki wyraz twarzy, jakby wcale nie mówił tego, co przed chwilą padło z jego ust. Wyglądał teraz tak, jakby rozbolał go ząb.

Gdyby Mat zapytał, okazałoby się z pewnością, że Corevin poślizgnął się i nadział na swój własny sztylet, albo inne tego rodzaju głupstwa, Mat zaś musiałby

udawać, że wierzy. A więc po prostu oparł pięści na blacie stołu, jakby nic nadzwyczajnego się nie stało. Prawdę mówiąc, właściwie tak było. Vanin był jedynym człowiekiem, który dotąd nie miał na sobie co najmniej tuzina draśnięć; z jakiegoś powodu mężczyźni szukający kłopotów obchodzili go równie szerokim hakiem jak Naleseana. Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że Vaninowi ten stan rzeczy wydawał się najzupełniej odpowiadać.

- Czy Thom i Juilin pokazali się już?

Vanin nie uniósł głowy znad bandaży.

- Nie widziałem ani skóry, ani włosów, ani nawet czubka ich paznokcia.

Natomiast Nalesean pokazał się na chwilę. - Od Vanina nie można było oczekiwać tego absurdalnego "mój panie". Zupełnie nie krył się ze swoją antypatią do szlachetnie urodzonych. Z nieszczęsnym wyjątkiem Elayne. -Zostawił w swojej izbie okutą żelazem szkatułkę i poszedł, mamrocząc coś o świecidełkach. - Miał taką minę, jakby chciał splunąć przez szparę w zębach, potem jednak spojrzał na którąś ze służących i zrezygnował z tego zamiaru. Pani Anan stanowiła prawdziwy postrach tych, którzy pluli na jej podłogi albo rzucali kości, czy choćby wystukiwali fajkę. -Chłopak jest za to w stajni - ciągnął dalej, zanim Mat zdążył zapytać - ze swoją książką i jedną z córek karczmarki. Druga dziewczyna spuściła mu lanie za to, że ją podszczypywał.

-Skończył ostatni węzeł, a potem obrzucił Mata oskarżycielskim spojrzeniem, jakby to była do pewnego stopnia jego wina.

- Biedny malec - mruknął Corevin, okręcając się, by sprawdzić, czy bandaże dobrze przylegają. Na jednym ramieniu miał wytatuowanego niedźwiedzia i pumę, na drugim zaś kobietę. Kobieta najwyraźniej nie miała na sobie nic prócz włosów. - Cały zalał się łzami. Ale potem się rozpromienił, kiedy Leral pozwoliła mu potrzymać się za

rękę. - Wszyscy mężczyźni opiekowali się Olverem niczym gromadka wujów, chociaż z pewnością żadna normalna matka nie dopuściłaby swego syna do takich osobników.

- Przeżyje - sucho oznajmił Mat. Chłopak przypuszczalnie nabierał nawyków podpatrzonych u "wujów". Następnym razem każą mu zrobić tatuaż. Przynajmniej jednak nie wymknął się, żeby pobiegać z uliczną dzieciarnią; to sprawiało mu chyba równie dużo przyjemności jak nękanie dorosłych kobiet. - Harman, zaczekaj tutaj, a gdybyś zobaczył Thoma albo Juilina, weź ich na smycz. Vanin, chciałbym żebyś się dowiedział ile tylko można na temat Pałacu Chelsaine, niedaleko Bramy Trzech Wież. - Zawahał się i rozejrzał po sali. Służące wchodziły i wychodziły z kuchni, przynosząc jedzenie oraz, znacznie częściej, napitki. Większość klientów zdawała się całkowicie zaabsorbowana swoimi srebrnymi kubkami, chociaż dwie kobiety w kamizelach gildii tkaczy kłóciły się cicho ze sobą, nie zwracając uwagi na dzban z winem i pochylając ponad blatem stołu. Niektórzy z kupców na pozór targowali się, wymachując rękoma i maczając palce w swoich kubkach, by winem pisać cyfry na stole. Muzyka zapewne dostatecznie zagłuszała jego słowa, by ktoś mógł coś podsłuchać, ale na wszelki wypadek i tak zniżył głos.

Wieści o tym, że na wezwanie Carridina do jego pałacu przybywają Sprzymierzeńcy Ciemności, sprawiły, że na oblicze Vanina wypełzł ponury grymas, jakby naprawdę teraz zamierzał splunąć, nie zważając na reakcję, jaką to mogło wywołać. Harnan burknął coś o brudnych Białych Płaszczach, Corevin zaś zaproponował, by zadenuncjować Carridina Gwardii Obywatelskiej. Pozostała dwójka posłała mu tak pełne niesmaku spojrzenie, że natychmiast schował twarz w kuflu ale. Był jednym z niewielu ludzi, jakich Mat znał, którzy w tym upale potrafili pijać tutejsze ale. Albo w ogóle je pijać, jeśli już o tym mowa.

- Bądź ostrożny - przestrzegł go Mat, kiedy Vanin wstawał od stołu. Co wcale nie znaczyło, by naprawdę się o niego bał. Vanin potrafił poruszać się zaskakująco zwinnie jak na tak grubego człowieka. Był najlepszym koniokradem w co najmniej dwóch krainach, nawet obok Strażnika pewnie przeszedłby nie zauważony, niemniej jednak... - To paskudna zgraja. Białe Płaszcze czy Sprzymierzeńcy Ciemności, i jedni, i drudzy. - Mężczyzna wydał z siebie nieartykułowany dźwięk i machnął na Corevina, aby ten włożył koszulę i kaftan, a potem ruszył za nim.

- Mój panie? - zapytał Harman, kiedy tamci wyszli. - Mój panie, słyszałem, że wczoraj w Rahad pojawiła się mgła.

Prawie już odwrócony, Mat zamarł. Harman wyglądał na przejętego, a przecież nigdy niczym szczególnie się nie przejmował.

- Co masz na myśli, mówiąc "mgła"? - Nawet gęsta jak owsianka mgła nie utrzymałaby się w tym upale przez mgnienie oka.

Dowódca oddziału wzruszył niespokojnie ramionami i wlepił wzrok w swój kufel.

- Mgła. Słyszałem, że kryły się w niej... jakieś... istoty. - Spojrzał na Mata. - Słyszałem też, że ludzie zwyczajnie znikali. I że niektórych odnaleziono zjedzonych, przynajmniej po części.

Matowi udało się jakoś opanować przeszywający go dreszcz.

- Mgła już zniknęła, nieprawdaż? Ciebie w niej nie było. Ty przejmuj się tymi miejscami, do których chadzasz. To wszystko co możesz zrobić. - Harnan z powątpiewaniem zmarszczył brwi, ale to była najczystsza prawda. Te bańki zła - tak właśnie mówił o nich Rand, tak je nazywała Moiraine - wybuchały tam, gdzie chciały i kiedy chciały, a poza tym wydawały się czymś, na co nawet Rand nie potrafił wiele

poradzić. Z przejmowania się nimi wynikało tyleż dobrego, co z zastanawiania się, czy przypadkiem nazajutrz nie spadnie ci cegła na głowę. Zwłaszcza wtedy, gdy postanowiłeś nie wychodzić z domu.

Jednakże było coś, czym należało się przejmować. Nalesean zostawił ich wygraną w izbie na górze. Przeklęci szlachcice dosłownie rzucali złotem. Zostawiwszy Harnana badawczo wpatrzonego w swój kufel, Mat ruszył ku pozbawionym poręczy schodom w tyle sali, jednak zanim do nich dotarł, jedna ze służących zagrodziła mu drogę.

Caira była szczupłą dziewczyną, obdarzoną pełnymi ustami i siwymi niczym dym oczyma.

- Szukał cię jakiś człowiek, mój panie - oznajmiła, wykręcając fałdy spódnicy to w jedną, to w drugą stronę, i spoglądając na niego spod długich rzęs. Również jej głos przywodził na myśl leniwy, siwy dym. - Powiedział, że jest Iluminatorem, ale według mnie wyglądał raczej nędznie. Zamówił posiłek, a potem wyszedł, kiedy Pani Anan nie chciała mu go podać. Chciał, żebyś to ty zapłacił.

- Następnym razem, gołąbeczko, podaj ten posiłek -pouczył ją, wsuwając srebrną markę w wydatny dekolt jej sukni. - Porozmawiam z Panią Anan. - Naprawdę poszukiwał

Iluminatora,

prawdziwego

Iluminatora,

nie

jakiegoś

oszusta

sprzedającego fajerwerki pełne trocin, ale teraz nie miało to większego znaczenia. Nie w sytuacji, kiedy złoto leżało sobie bez niczyjej opieki. I jeszcze te mgły w Rahad, i Sprzymierzeńcy Ciemności, i Aes Sedai, i przeklęta Tylin pozwalająca sobie na rozluźnienie zmysłów, i...

Caira zachichotała i przeciągnęła się niczym pogłaskany kot.

- Czy chcesz może, bym przyniosła ci dzban do pokoju, mój panie? Albo coś innego? - Uśmiechnęła się zapraszająco, z nadzieją.

- Może później - odparł, poklepując ją czubkami palców po nosie. Zachichotała znowu; bezustannie chichotała. Z pewnością miałaby ochotę skrócić swoje spódnice tak, żeby ukazywały co najmniej połowę uda, albo przynajmniej przyciąć je znacznie wyżej niźli pozwalała Pani Anan, jednak karczmarka pilnowała swoich dziewcząt równie mocno jak córek. Prawie. - Może później.

Wbiegł truchtem po szerokich, kamiennych schodach i prawie natychmiast wyzbył się myśli o Cairze. Co zrobić z Olverem? Pewnego dnia chłopak wpakuje się w nieliche kłopoty, jeżeli sądzi, że może w ten sposób traktować kobiety. Będzie musiał trzymać go z dala od Harnana i innych, przynajmniej na tyle, ile to możliwe. Wywierali zły wpływ na chłopca. Jakby i bez tego było mało kłopotów. Musiał wywieźć Nynaeve i Elayne z Ebou Dar, zanim przytrafi im się coś złego.

Jego izba znajdowała się od frontu, okna więc wychodziły na plac, i kiedy już sięgał do klamki, podłoga korytarza za jego plecami zaskrzypiała. W setce innych gospód nie zwróciłby na to żadnej uwagi, jednak podłogi w "Wędrownej Kobiecie" nie skrzypiały.

Spojrzał za siebie - i odwrócił się gwałtownie, w samą porę, by wypuścić kapelusz z rąk i chwycić opadającą nań pałkę lewą dłonią, zamiast przyjąć jej cios na

czaszkę. Siła uderzenia sprawiła, że zupełnie stracił czucie w ręku, ale dalej ściskał kurczowo pałkę, a tymczasem grube paluchy drugiej dłoni tamtego szukały jego gardła; popchnął go na drzwi do pokoju. Z głuchym łomotem uderzył w nie głową. Przed oczyma zawirowały mu srebrzyste gwiazdy, zamazując widok spoconej twarzy napastnika. Tak naprawdę potrafił dojrzeć jedynie wielki nochal i żółte zęby, a nawet ten widok skrywała mgła. Nagle zdał sobie sprawę, że za chwilę może stracić przytomność - te palce odcinały nie tylko dostęp powietrza do płuc, lecz równie skutecznie tamowały dopływ krwi do mózgu. Wolną dłonią sięgnął pod kaftan, ale tylko przebierał wśród rękojeści swoich noży, jakby jego palce nie potrafiły sobie przypomnieć, do czego właściwie służą. Tamten uwolnił już pałkę. Mat widział unoszącą się broń, czuł namacalnie niemalże, jak się unosi, aby zmiażdżyć mu czaszkę. Skupiwszy resztki świadomości, wyszarpnął nóż z pochwy i pchnął.

Napastnik wydał wysoki, piskliwy odgłos, Mat zaś poczuł niewyraźnie, niejako z oddali, jak pałka uderza w jego ramię, odskakuje i upada na podłogę, ale nawet wtedy mężczyzna nie puścił jego gardła. Zataczając się, odepchnął go, jedną ręką uwalniając zaciśnięte palce, drugą zaś rytmicznie dźgając nożem.

Nagle napastnik upadł, ześlizgując się z zatopionej w swoim ciele klingi Mata. Nóż wkrótce poleciał za nim na podłogę. Mat również nie ustał na nogach. Desperacko wciągając oddech, słodkie powietrze, oparł się o coś, o futrynę drzwi, a potem z wysiłkiem powstał. Z podłogi patrzyły na niego oczy mężczyzny, które nie miały już nigdy niczego nie zobaczyć. Miał sumiaste, murandiańskie wąsy, jego potężnie zbudowane ciało było odziane w ciemnoniebieski kaftan, stosowny raczej dla drobnego kupca albo właściciela nieźle prosperującego sklepu. Nie wyglądał na złodzieja.

Nagle zdał sobie sprawę, że podczas walki wpadli przez otwarte drzwi do izby.

Była znacznie mniejsza niźli pomieszczenie zajmowane przez Mata, pozbawiona okien; dwie oliwne lampki na małych stoliczkach przy wąskim łóżku rozsiewały wokół siebie mętne światło. Znad wielkiej, otwartej skrzyni uniósł się wymizerowany mężczyzna z jasną czupryną; w całkowitym zdumieniu patrzył teraz na ciało. Skrzynia zajmowała większość wolnej przestrzeni w izbie.

Mat otworzył już usta, chcąc przeprosić za wtargnięcie w tak bezceremonialny sposób, kiedy mizerny człeczyna chwycił długi sztylet wiszący u pasa, potem porwał pałkę leżącą na łóżku i skoczył przez skrzynię w jego stronę. Mat, przytrzymując się niepewnie framugi, rzucił w niego nożem, ale rękojeść dopiero wtedy opuściła jego dłoń, kiedy sięgał pod kaftan po następne ostrze. Pierwsze jednakże trafiło dokładnie w gardło tamtego i Mat omal znowu nie upadł, tym razem osłabiony przepełniającą go ulgą; drugi złodziej zaś zgiął się w pół i chwycił za gardło. Kiedy spomiędzy palców popłynęła krew, zwalił się na plecy wprost do otwartej skrzyni.

- Dobrze jest mieć szczęście - wychrypiał Mat.

Chwiejnie podszedł do tamtego, odzyskał swój nóż, wytarł ostrze do czysta o szary kaftan. Był to dużo lepszy kaftan niźli okrywający tamtego drugiego; z wełny wprawdzie, jednakże bardziej elegancko skrojony. Pomniejszy lord nie powstydziłby się takiego włożyć. Andoranin, sądząc po kołnierzu. Opadł na łóżko i przyjrzał się spod zmarszczonego czoła mężczyźnie rozciągniętemu w skrzyni. Posłyszał jakiś odgłos, uniósł wzrok.

Jego ordynans stał w drzwiach, próbując bezskutecznie schować za plecami wielką, czarną, żelazną patelnię. Nerim woził ze sobą cały zestaw naczyń kuchennych oraz wszystkie inne rzeczy, jakich jego pan mógł potrzebować w drodze; wszystko to

trzymał w małej izdebce, którą dzielił z Olverem, tuż przy pokoju Mata. Był niski nawet jak na Cairhienianina, a przy tym chudy jak szczapa.

- Obawiam się, że mój pan znowu ma krew na kaftanie - wymamrotał melancholijnym tonem. Dzień, w którym w jego głosie zabrzmią inne nuty, będzie jednocześnie dniem, kiedy słońce wzejdzie na zachodzie. - Naprawdę zależałoby mi, aby mój pan bardziej uważnie obchodził się ze swoimi rzeczami. Tak trudno jest usunąć krew, żeby nie zostały żadne plamy, a robactwo naprawdę nie potrzebuje zachęty, żeby zacząć wygryzać dziury. Nigdy i nigdzie nie widziałem tylu owadów co w tym miejscu, mój panie. - Nie zająknął się nawet na temat ciał dwóch mężczyzn ani też tego, co zamierzał zrobić z patelnią.

Krzyki zwróciły również uwagę innych; "Wędrowna Kobieta" nie była takim rodzajem gospody, w której krzyki przechodziły nie zauważone. W korytarzu rozległ się tupot kroków, a Pani Anan zdecydowanym ruchem odepchnęła Nerima z drogi i uniosła suknie, aby przestąpić ponad zwłokami leżący mi na podłodze. Tuż za nią szedł jej mąż, mężczyzna o kwadratowej twarzy i siwych włosach; w lewym uchu miał kolczyk Starożytnej i Szacownej Ligi Sieci. Dwa białe kamienie w dolnym kółku oznaczały, że posiada jeszcze inne łodzie oprócz tej, której był kapitanem. Jasfer Anan stanowił jeden z powodów, dla których Mat nie uśmiechał się tak często, jak miałby ochotę, do jednej z córek Pani Anan. Miał za pasem zwykły nóż kuchenny, a oprócz niego trzymał w ręku długą, wygiętą klingę; spod błękitno-zielonej kamizeli wyzierały mięśnie i klatka piersiowa pokryta krzyżującymi się bliznami. Jednak on był żywy, natomiast większość z tych, którzy pozostawili te blizny, od dawna już gryzła ziemię. Drugim powodem ostrożności zachowywanej przez Mata była sama Setalle Anan. Mat nigdy przedtem nie zrezygnował z dziewczyny z powodu jej matki, nawet

jeśli ta matka była właścicielką gospody, w której nocował, jednak Pani Anan potrafiła zaprowadzić porządek. Wielkie, złote kręgi w jej uszach kołysały się, kiedy bez mrugnięcia powieką oglądała ciała dwóch zabitych. Była piękna, mimo śladów siwizny we włosach, a jej małżeński nóż spoczywał na krągłościach, które w normalnych okolicznościach przyciągałyby jego oczy tak jak płomień przyciąga ćmy, jednak patrzenie na nią w taki sposób byłoby niczym patrzenie na... Nie, nie na własną matkę. Być może na Aes Sedai - chociaż robił to, rzecz jasna - albo na Królową Tylin, niech Światłość pomoże mu w tej sprawie. Po prostu potrafiła wymóc szacunek dla siebie. Najzwyczajniej trudno było pomyśleć choćby o zrobieniu czegoś, co mogłoby obrazić Setalle Anan.

- Jeden z nich skoczył na mnie w korytarzu. - Mat lekko kopnął skrzynię; wydała głuchy odgłos, mimo znajdującego się wewnątrz ciała. - Jest pusta, jeżeli nie liczyć nieboszczyka. Sądzę, że mieli zamiar wypełnić ją tym, co uda im się ukraść. - Złotem, być może? Mało prawdopodobne, by już zdołali się o nim dowiedzieć, wygrane zostało przed zaledwie kilkoma godzinami, jednak z pewnością zapyta Panią Anan o bardziej bezpieczne miejsce, w którym można by je schować.

Pokiwała spokojnie głową, patrząc na niego pogodnie migdałowymi oczyma. Mężczyźni tnący się nożami w jej gospodzie nie wzbudzali w niej gniewu.

- Uparli się, że wniosą ją sami na górę. Ich towary, tak twierdzili. Wynajęli izbę tuż przed twoim powrotem. Na kilka godzin, tak mówili, aby się przespać przed drogą do Nor Chasen. - Była to maleńka wioska na wschodnim wybrzeżu, jednak najpewniej nie powiedzieli prawdy. Przynajmniej to sugerował jej ton. Popatrzyła na ciała spod zmarszczonych brwi, jakby żałowała, że nie może paroma potrząśnięciami przywrócić ich do życia, by odpowiedzieli na jej pytania. - Niemniej jednak wybrzydzali w kwestii

pokoju. Ten jasnowłosy był szefem. Najpierw odrzucił pierwsze trzy, jakie im zaproponowano, potem zgodził się na ten, mimo iż jest przeznaczony dla samotnego sługi. Przypuszczam, że chciał zaoszczędzić.

- Nawet złodziej potrafi być skąpy - nieobecnym głosem powiedział Mat. To wszystko mogło przecież uruchomić kości w jego głowie - głowie, która teraz z pewnością byłaby ze szczętem rozłupana, gdyby tamten człowiek nie wszedł na tę jedyną w całej gospodzie deskę, która skrzypiała - a jednak te przeklęte rzeczy wciąż się toczyły. Nie podobało mu się to.

- Sądzisz więc, że to był przypadek, mój panie?

- Cóż innego?

Na to nie znalazła odpowiedzi, jednak znowu zmarszczyła czoło i spojrzała na zwłoki. Być może nie była tak optymistycznie nastawiona wobec świata, jak pierwotnie osądził. Mimo wszystko nie była rodowitą mieszkanką Ebou Dar.

- Ostatnimi czasy do miasta przybywa zbyt wielu łotrów - oznajmił Jasfer głębokim głosem; nawet wtedy, gdy mówił całkiem normalnie, sprawiał wrażenie, jakby wydawał komendy na rybackim kutrze. - Być może powinnaś się zastanowić nad wynajęciem strażników. - Słysząc to, Pani Anan tylko uniosła jedną brew, a mimo to on obronnym gestem uniósł ręce. - Wybacz mi, moja żono. Mówiłem bezmyślnie. - Kobiety w Ebou Dar znane były z tego, że w ostry sposób wyrażały swoje niezadowolenie z męża. Było całkiem prawdopodobne, że kilka z blizn na piersi Jasfera stanowiło jej dzieło. Małżeński nóż miewał rozliczne zastosowania.

Dziękując Światłości, że nie jest żonaty z mieszkanką Ebou Dar, Mat schował nóż tam, gdzie trzymał pozostałe. Dzięki Światłości, że w ogóle nie był żonaty. Jego palce musnęły jakiś papier.

Pani Anan nie miała jednak zamiaru puścić tego mężowi płazem.

- Coś ci się to często ostatnio zdarza - powiedziała, muskając palcami nóż między swymi piersiami. - Wiele kobiet nie przeszłoby nad tym do porządku dziennego. Elynde cały czas mi powtarza, że nie jestem dosyć twarda, kiedy tobie wymykają się niestosowne rzeczy. Powinnam dać dobry przykład swoim córkom. - Uśmiechnęła się kwaśno. - Możesz się uważać za ukaranego. Powstrzymam się za to i nie będę cię pouczała, kto, jaką i na czyjej łodzi powinien ciągnąć sieć.

- Jesteś doprawdy zbyt dla mnie uprzejma, moja żono - odparł sucho. W Ebou Dar nie było gildii karczmarzy, jednak wszystkie gospody w mieście znajdowały się w rękach kobiet; dla mieszkańców Ebou Dar najgorszym z możliwych omenów było wejść do gospody prowadzonej przez mężczyznę albo wsiąść na łódź, na której kapitanem była kobieta. W gildii rybaków nie było ani jednej kobiety.

Mat wyciągnął papier z kaftana. Był śnieżnobiały, drogi i sztywny, zwinięty ciasno. Te kilka linijek, które go wypełniały, było wypisanych drukowanymi literami; tak mógłby pisać Olver. Albo dorosły, który nie chciał zdradzić swojego charakteru pisma.

ELAYNE I NYNAEVE POSUWAJĄ SIĘ ZA DALEKO. PRZYPOMNIJ IM, ŻE WCIĄŻ GROZI IM NIEBEZPIECZEŃSTWO ZE STRONY WIEŻY. OSTRZEŻ JE, ŻE MAJĄ BYĆ OSTROŻNE, BO W PRZECIWNYM RAZIE NIEWYKLUCZONE, ŻE BĘDĄ MUSIAŁY UKLĘKNĄĆ I BŁAGAĆ ELAIDĘ O WYBACZENIE.

I to wszystko, żadnego podpisu. Wciąż w niebezpieczeństwie? To sugerowało, że nie jest to żadna nowość, i jakoś też nie wskazywało, by mogły zostać porwane przez buntowniczki. Nie, to było niewłaściwe pytanie. Kto podrzucił mu tę notatkę? Najwyraźniej ktoś, kto uważał, że nie może zwyczajnie mu jej wręczyć. Kto miał taką

sposobność od czasu, kiedy dzisiejszego ranka wdział kaftan? Wtedy jej jeszcze tam nie było, z całą pewnością. Ktoś, kto podszedł na tyle blisko. Ktoś:.. Zupełnie bezwiednie zaczął pogwizdywać zwrotkę "Ona mgłą zasnuwa me oczy i zwodzi umysł". W tych okolicach piosenka miała inne słowa; tytuł również: Do góry nogami i cały czas dookoła. Tylko Teslyn i Joline mogły tego dokonać, ale to przecież było zupełnie niemożliwe.

- Złe wieści, mój panie? - zapytała Pani Anan.

Mat wepchnął liścik do kieszeni kaftana.

- Czy jakikolwiek mężczyzna kiedykolwiek zrozumie kobietę? Nie mam na myśli tylko Aes Sedai. Wszystkie kobiety.

Jasfer ryknął śmiechem, a kiedy żona spojrzała na niego znacząco, tylko roześmiał się jeszcze głośniej. Z kolei spojrzenie, jakim obrzuciła Mata, mogło śmiało konkurować ze wzrokiem Aes Sedai, jeśli szło o doskonały chłód.

- Mężczyznom mogłoby się to udać bez najmniejszego trudu, mój panie, gdyby tylko zechcieli patrzeć i słuchać uważniej. Kobiety mają przed sobą znacznie trudniejsze zadanie. My musimy się starać zrozumieć mężczyzn. - Jasfer aż chwycił się framugi drzwi, by ustać na nogach; po jego smagłej twarzy płynęły niepohamowane strumienie łez. Obrzuciła go kosym spojrzeniem, przekrzywiła głowę, po czym odwróciła się, uosobienie chłodnego spokoju, i uderzyła pod żebra pięścią tak mocno, że ugięły się pod nim kolana. Jego śmiech bez chwili przerwy przeszedł w rzężenie. - Jest takie powiedzenie w Ebou Dar, mój panie - przez ramię zwróciła się do Mata. - Mężczyzna to labirynt jeżyn pogrążony w ciemnościach, w którym nawet on sam nie zna drogi.

Mat parsknął. Rzeczywiście bardzo mu pomogła. Cóż, Teslyn albo Joline, a

może ktoś jeszcze inny - to musiał być ktoś inny, gdyby tylko potrafił wymyślić, kto - Biała Wieża znajdowała się daleko. Jaichim Carridin był na miejscu. Zmarszczył brwi i spojrzał na dwa ciała. A oprócz Carridina setki innych łajdaków. Musi dopilnować, żeby te kobiety bezpiecznie opuściły Ebou Dar. Kłopot polegał na tym, że nie miał zielonego pojęcia, jak ma tego dokonać. Pragnął, by chociaż te przeklęte kości zatrzymały się wreszcie i żeby z tym przynajmniej mieć już spokój.

Apartamenty, które Joline dzieliła z Teslyn, były przestronne; każda z nich otrzymała własną sypialnię, dodatkowo jedno pomieszczenie dla pokojówek i jeszcze jedno, które znakomicie mogłoby służyć Blaericowi i Fenowi, gdyby zechciały trzymać swoich Strażników blisko. Ta kobieta w każdym mężczyźnie widziała potencjalnego wściekłego wilka i nie było sposobu, by jej cokolwiek wyperswadować, jeśli już wbiła sobie coś do głowy. Równie nieugięta jak Elaida, wdeptywała w ziemię wszystko i wszystkich, którzy stanęli jej na drodze. Oficjalnie siostry były sobie równe, mało która jednakże mogła na niej wymóc cokolwiek, jeżeli już w punkcie wyjścia nie posiadała zdecydowanej przewagi. Właśnie zasiadła przy biurku, kiedy Joline weszła do środka; jej pióro poruszało się po papierze z nieprzyjemnym zgrzytem. Zawsze bardzo oszczędnie gospodarowała atramentem.

Joline minęła ją bez jednego słowa i wyszła na balkon, podobny do podłużnej klatki z pomalowanego na biało żelaza. Jego ornamentyka była tak gęsta, że ludzie pracujący w ogrodzie trzy piętra niżej mieliby naprawdę poważne kłopoty, gdyby próbowali stwierdzić, czy w jego wnętrzu ktoś jest. W tej okolicy kwiaty zazwyczaj trzymały się nieźle w upale, ich dzikie barwy rozsiewały swój blask po pałacowych wnętrzach, jednak tutaj na dole nic nie kwitło. Ogrodnicy wędrowali po żwirowanych ścieżkach z wiadrami pełnymi wody, jednak wśród liści przeważały żółcie i brązy. Na

torturach nie przyznałaby się do tego, ale ten upał budził w niej niepokój. Dotyk Czarnego zaznaczał się w świecie, a ich jedyną nadzieję stanowił chłopiec, który gdzieś tam sobie po nim wędrował.

- Chleb i woda? - zapytała znienacka Teslyn. - Odesłać młodego Cauthona do Wieży? Jeżeli mają nastąpić jakieś zmiany w dotychczasowych planach, to prosiłabym cię, abyś mnie informowała, zanim powiesz innym.

Joline poczuła leciutkie pieczenie policzków.

- Merilille należało usadzić. Usłyszałam od niej niejedno kazanie, kiedy byłam nowicjuszką. - Podobnie zresztą jak z ust Teslyn, równie surowej nauczycielki, która trzymała swoje klasy żelazną ręką. Już sposób, w jaki mówiła, przywodził na myśl napomnienie, wyraźne ostrzeżenie, aby nie występować przeciwko niej, nieważne, czy było się zależnym, czy piastowało się równorzędną pozycję. Merilille jednakże zajmowała nieco gorsze miejsce. - Zazwyczaj stawiała nas przed frontem klasy, a potem bezlitośnie wydobywała z nas pożądane odpowiedzi, póki nie zaczęłyśmy płakać ze złości na oczach wszystkich. Udawała, że nam współczuje, być może zresztą naprawdę tak było, im bardziej jednak głaskała nas i prosiła, byśmy nie płakały, tym było gorzej. - Urwała nagle. Nie miała zamiaru mówić tego wszystkiego. To z winy Teslyn, która zawsze patrzyła na nią w taki sposób, jakby zamierzała zaraz ją zganić za jakąś plamę na sukni. Ale przecież powinna zrozumieć; Merilille była też jej nauczycielką.

- Pamiętasz o tym do dzisiaj? - W głosie Teslyn odbiło się niekłamane zdumienie. - Siostry, które nas uczyły, wypełniały tylko swój obowiązek. Czasami naprawdę podejrzewam, że to, co Elaida powiedziała o tobie, rzeczywiście może być prawdą. - Denerwujące skrobanie pióra rozbrzmiało znowu.

- To... po prostu przyszło mi na myśl, kiedy Merilille zaczęła się zachowywać tak, jakby rzeczywiście była ambasadorem. - A nie tylko buntowniczką. Joline zmarszczyła brwi i spojrzała na ogród. Gardziła każdą z tych kobiet, które spowodowały rozłam w Białej Wieży i to oficjalnie, na oczach całego świata. Gardziła nimi i wszystkimi, które im sprzyjały. Ale Elaida również popełniała błędy i to błędy straszliwe. Siostry, które przystały do buntu, mogły w obecnej chwili, przy odrobinie starań, ponownie się pojednać. - Co ona mówiła na mój temat? Teslyn? - Skrobanie pióra nie ucichło nawet na moment; jakby ktoś paznokciem drapał po tablicy. Joline wróciła do pomieszczenia. - Co powiedziała Elaida?

Teslyn przykryła pisany list kolejną kartką papieru, albo po to, by osuszyć atrament, albo po to, by ukryć jego treść przed Joline, niemniej jednak nie odpowiedziała od razu. Spojrzała na nią chmurnym wzrokiem - być może zresztą ten przykry grymas nie był wcale zamierzony; czasami w jej przypadku trudno było stwierdzić cokolwiek z całą pewnością - i w końcu westchnęła.

- Proszę bardzo, skoro koniecznie chcesz wiedzieć. Powiedziała, że wciąż jeszcze jesteś dzieckiem.

- Dzieckiem? - Wyraźny wstrząs, jaki odmalował się na obliczu Joline, nie wywarł najmniejszego wrażenia na tamtej.

- Niektóre - spokojnie mówiła dalej Teslyn - doprawdy niewiele się zmieniają od czasu, kiedy przywdzieją biel nowicjuszek. Niektóre nie zmieniają się wcale. Elaida uważa, że ty jeszcze nie wydoroślałaś i że nie wydoroślejesz nigdy.

Joline

gniewnie

potrząsnęła

głową,

najwyraźniej

nie

zamierzając

skomentować słów Teslyn. Usłyszeć coś takiego z ust kogoś, kogo matka wciąż jeszcze była dzieckiem, kiedy ona już nosiła szal! Elaidę bardzo rozpieszczano, gdy była nowicjuszką, chwaląc nieustannie zarówno za jej siłę, jak i niezwykłą szybkość, z jaką nabywała wiedzę. Joline podejrzewała, że dlatego właśnie tak ją złościły Elayne, Egwene i ta dzikuska, Nynaeve; dlatego, że były silniejsze od niej i spędziły jeszcze mniej czasu w nowicjacie, nie wspominając już o tym, że tak dobrze radziły sobie z nauką. Cóż, Nynaeve w ogóle nie przeszła nowicjatu, a to była rzecz zupełnie niesłychana.

- A skoro poruszyłaś tę kwestię - ciągnęła dalej Teslyn - to może powinnyśmy to wykorzystać.

- Co masz na myśli? - Objąwszy Prawdziwe Źródło, Joline przeniosła Powietrze, aby unieść srebrny dzban stojący na inkrustowanym turkusami stoliczku pod ścianą i napełnić ponczem srebrny puchar. Jak zawsze radość, jaką przynosił saidar, przeszyła ją dreszczem rozkoszy, przynoszącym uspokojenie, trwające nawet po tym, jak Moc już opuściła jej ciało.

- To oczywista sprawa, jak mniemam. Rozkazy Elaidy wciąż obowiązują. Elayne i Nynaeve muszą zostać dostarczone do Wieży, natychmiast, kiedy tylko zostaną odnalezione. Zgodziłam się zaczekać, ale być może już dłużej zwlekać nie powinnyśmy. Szkoda, że nie towarzyszy im ta dziewczyna, al'Vere. Ale nawet te dwie przywrócą nam łaski Elaidy, a jeśli na dodatek ofiarujemy jej jeszcze młodego

Cauthona... Spodziewam się, że ta trójka sprawi, iż Elaida powita nas równie ciepło, jakbyśmy jej przywiodły samego al'Thora. A z tej Aviendhy będzie znakomita nowicjuszka, mimo iż jest dzikuską.

Puchar, niesiony strumieniem Powietrza, przefrunął do dłoni Joline, ona zaś niechętnie wypuściła Jedyne Źródło. Nigdy nie opuściło jej to uniesienie, jakie poczuła, gdy po raz pierwszy ujęła Jedyną Moc. Poncz z melona okazał się kiepską namiastką saidara. Najgorszą częścią kary, na jaką skazano ją przed opuszczeniem Wieży, był zakaz dotykania saidara. Prawie najgorszą częścią. Sama ją sobie wyznaczyła; Elaida dała jasno do zrozumienia, że jeżeli kara nie będzie dostatecznie surowa, ona zadba o jej odpowiedni wymiar. Joline nie miała najmniejszych wątpliwości, że w takim przypadku efekty byłyby znacznie bardziej dotkliwe.

- Łaski Elaidy? Teslyn, ona poniżyła nas tylko po to, by pokazać innym, że jest w stanie tego dokonać. Wysłała nas do zapchlonej dziury, znajdującej się tak daleko od wszelkich ważnych spraw, jaką tylko była w stanie wymyślić, tak blisko drugiego brzegu Oceanu Aryth, jak to sobie tylko można wyobrazić, z misją dla królowej, która posiada mniej władzy niźli tuzin arystokratów, z których każdy mógłby odebrać jej tron już jutro, gdyby tylko zechciał się tym kłopotać. I ty chcesz w takiej sytuacji wkradać się z powrotem w łaski Elaidy?

- Ona jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin. - Teslyn przycisnęła list leżącą na nim kartką, po czym zaczęła poruszać i jednym, i drugim, to w tę stronę, to w tamtą, jakby w ten sposób nadawała kształt swym myślom. - Dzięki temu, że przez jakiś czas trwałyśmy w milczeniu, dałyśmy jej do zrozumienia, że nie jesteśmy jej pieskami. Niemniej jednak nie możemy przeciągać takiego stanu w nieskończoność, bo mogłaby nas uznać za zdrajczynie.

Joline parsknęła.

- Bez sensu! Kiedy dostarczymy te dziewczyny z powrotem, zostaną ukarane tylko za ucieczkę i udawanie pełnych sióstr. - Zacisnęła usta. Obie były w tej sprawie winne, podobnie jak wszystkie, które im pomagały, niemniej jednak różnica tkwiła głównie w tym, że jedna z dziewcząt rościła sobie pretensje do przynależności do Ajah. Kiedy więc Zielone Ajah skończą z Elayne za to, co zrobiła; wówczas tron Andoru zajmie doprawdy bardzo utemperowana kobieta. Chociaż może najlepiej byłoby, gdyby Elayne najpierw zasiadła na Tronie Lwa. Joline nie zamierzała dopuścić, by Wieża straciła Elayne, niezależnie od tego, co zrobiła.

- Nie zapominaj o tym, że przystały do buntowniczek.

- Światłości, Teslyn, najpewniej zostały po prostu porwane, tak jak inne dziewczęta, które rebeliantki wywiodły z Wieży. Czy to naprawdę ma jakiekolwiek znaczenie, czy zaczną czyścić nasze stajnie jutro czy w przyszłym roku? -Z pewnością była to najłagodniejsza kara, jaka mogłaby spotkać nowicjuszki i Przyjęte, które odeszły z buntowniczkami. - Nawet Ajah mogą poczekać, zanim dostaną je w swoje ręce. Tu nie idzie o to, że coś im grozi. Mimo wszystko są Przyjętymi i ewidentnie wydają się zadowolone, że przebywają tam, gdzie w każdej chwili możemy je dosięgnąć. Powiadam więc, zostańmy tu, gdzie umieściła nas Elaida, i czekajmy z założonymi rękami i ustami zamkniętymi na kłódkę. Póki nie zapyta grzecznie, co właściwie robimy. - Nie powiedziała na głos, że gotowa jest czekać, dopóki Elaida nie zostanie zdetronizowana, jak przed nią Siuan. Komnata z pewnością nie będzie wiecznie się godziła na to, by nią pomiatano, i nie będzie też tolerowała całego tego bałaganu, niemniej jednak Teslyn mimo wszystko była Czerwoną, z pewnością więc niechętnie słuchałaby takich słów.

- A zatem nic nas w obecnej chwili nie nagli - powoli rzekła Teslyn, jednak nie wypowiedziane "ale" niemalże zakrzyczało w ciszy, jaka zapadła po jej słowach.

Kolejnym strumieniem Powietrza Joline przyciągnęła krzesło na kółkach do stołu i zasiadła na nim, zdecydowana przekonać swoją towarzyszkę, że milczenie z pewnością okaże się najlepszą taktyką w zaistniałych okolicznościach. Wciąż dziecko, czy tak? Jeżeli wszystko pójdzie po jej myśli, Elaida nie usłyszy nawet słowa na temat tego, co się dzieje w Ebou Dar, dopóki nie zacznie błagać.

Leżące na stole ciało wygięło się w łuk, wyprężając na tyle, na ile na to pozwalały krępujące je więzy; kobieta wytrzeszczała oczy, a z jej gardła wyrywał się przeszywający wrzask; który nie chciał ucichnąć. Nagle krzyk przeszedł w głośne, ochrypłe kasłanie, kobietą zaś targnęły konwulsje, wstrząsające od nadgarstków po kostki, aż wreszcie znieruchomiała i wtedy zapanowała cisza. Szeroko rozwarte, martwe oczy utkwione były w pokrytej pajęczynami powale piwnicy.

Strumień przekleństw dających upust złości był czymś całkowicie irracjonalnym, niemniej jednak Falion lepiej niźli niejeden furman potrafiła sprawić, że jej słuchaczom więdły uszy. Nie po raz pierwszy pożałowała, że zamiast Temaile towarzyszy jej Ispan. Kiedy Temaile zadawała pytania, wszyscy chętnie na nie odpowiadali i nikt nie umierał, póki z nim nie skończyła. Rzecz jasna, Temaile czerpała z tej pracy zdecydowanie za dużo przyjemności, ale to akurat nie miało nic do rzeczy.

Falion przeniosła raz jeszcze, zebrała z brudnej posadzki ubranie kobiety i cisnęła je na ciało. Czerwony, skórzany pas zsunął się na posadzkę; podniosła go i rzuciła na kłąb rzeczy. Być może powinna używać innych środków, ale z kolei pasy, obcęgi i rozpalone żelaza były takie... bałaganiarskie.

- Porzućcie ciało w jakiejś bocznej uliczce. Poderżnijcie gardło, żeby to

wyglądało na rabunek. Możecie zatrzymać monety, jakie znajdziecie w jej sakiewce.

Kucający pod ścianą dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Z wyglądu Arnin i Nad mogli być braćmi - czarne włosy, świńskie oczka i blizny, obdarzeni muskulaturą, której starczyłoby dla trzech mężczyzn, ale mieli dość inteligencji, by zrozumieć proste polecenia. Przynajmniej zazwyczaj.

- Proszę o wybaczenie, Pani -zaczął z wahaniem Arnin - ale nikt nie uwierzy...

- Zrobicie, jak wam powiedziano! - warknęła, równocześnie przenosząc i splotem Mocy ciskając nim o kamienną ścianę. Głowa mężczyzny zderzyła się z twardą powierzchnią, z pewnością jednak nie mogło to zaszkodzić jej zawartości.

Nad pośpieszył do stołu, mamrocząc:

- Tak, Pani. Jak rozkażesz, Pani. - Kiedy uwolniła Arnina, ten nie wybełkotał ani słowa, tylko ruszył chwiejnym krokiem w stronę swojego towarzysza, by pomóc mu zgarnąć ciało niczym stertę śmieci i wynieść na zewnątrz. Cóż, teraz było tylko śmieciem. Żałowała swojego wybuchu. Pozwalanie, by nastroje brały górę, było całkowicie irracjonalne. Chociaż niekiedy okazywało się skuteczne. Po tych wszystkich latach uświadomienie sobie tego faktu wciąż było dla niej zaskoczeniem.

- Moghedien się to nie spodoba - stwierdziła Ispan, kiedy mężczyźni wyszli.

Pokręciła głową i błękitne oraz zielone paciorki, wplecione w jej liczne cieniutkie, czarne warkoczyki zastukały cicho. Przez cały czas stała w cieniu, w jednym z kątów pomieszczenia, otoczona niewielkim zabezpieczeniem, dzięki któremu nie mogła niczego słyszeć.

Falion zdołała stłumić gniew. Ispan była chyba ostatnią osobą, którą z własnej woli wybrałaby sobie na towarzyszkę. Należała do Błękitnych, albo przynajmniej kiedyś należała. Być może jednak wciąż nie potrafiła wyrzec się pewnych związków.

Falion w żadnej mierze nie uważała się za Białą Ajah, od czasu jak przystąpiła do Czarnych. Błękitne były nazbyt gorliwe; ukrywały swoje emocje za maską, która z pozoru znamionowała skrajny brak uczuciowości. Jej wybór padłby na Riannę, inną Białą, mimo iż tamta miała dziwne, wręcz niesłychane poglądy w kilku kluczowych kwestiach.

- Moghedien zapomniała o nas, Ispan. A może ostatnimi czasy otrzymałaś od niej jakąś prywatną wiadomość? W każdym razie przekonana jestem, że ta skrytka nie istnieje.

- Moghedien twierdzi inaczej - zaczęła twardo Ispan, ale już po chwili w jej głosie zabrzmiały cieplejsze nuty. -Kolekcja angreali, sa'angreali i ter'angreali. Mamy dostać ich część. Nasze własne, prywatne angreale, Falion. A być może nawet i jakiś sa'angreal. Obiecała.

- Moghedien się pomyliła. - Falion patrzyła, jak tamtej ogromnieją oczy pod wpływem wstrząsu wywołanego jej słowami. Wybrani byli tylko ludźmi. Ta wiedza wprawiła kiedyś w osłupienie także samą Falion, niemniej jednak niektóre żadną miarą nie potrafiły jej sobie przyswoić. Wybrani byli znacznie potężniejsi, dysponowali nieskończenie rozleglejszą wiedzą, najprawdopodobniej otrzymali już obiecaną nagrodę nieśmiertelności, jednak wszystko wskazywało na to, że knuli przeciwko sobie i walczyli ze sobą niczym dwaj Murandianie o jeden koc.

Wstrząs Ispan wkrótce ustąpił miejsca gniewowi.

- Pozostałe również szukają. Miałyby szukać czegoś, co nie istnieje? Przyjaciele Ciemności również szukają; z pewnością zostali wysłani przez innych Wybranych. A skoro Wybrani zainteresowali się tą sprawą, jak możesz utrzymywać, że nic takiego nie istnieje? - Nie potrafiła zrozumieć, że jeśli czegoś nie można znaleźć, to

najprawdopodobniej dlatego, że to coś nie istnieje.

Falion czekała. Ispan nie była głupia, tylko tchórzem podszyta, Falion zaś wierzyła w swoje zdolności zmuszania ludzi, by o własnych siłach nauczyli się tego, czego dawno już powinni być świadomi. Leniwe umysły trzeba dyscyplinować.

Ispan przeszła kilka kroków, szeleszcząc sukniami i wpatrując się w kurz i stare pajęczyny na suficie.

- Paskudnie tu pachnie. I jest brudno! - Wzdrygnęła się na widok wielkiego, czarnego karalucha pomykającego po ścianie. Na moment otoczyła ją poświata; strumień Mocy uderzył w insekta i rozpłaszczył go z trzaskiem. Na powrót opanowana, wytarła dłonie o suknie, jakby to ich użyła, nie zaś Mocy. Miała delikatny żołądek, na szczęście jednak nie objawiało się to wówczas, gdy mogła uniknąć prawdziwego działania. - Nie doniosę o tej porażce jednej z Wybranych, Falion. Mogłaby sprawić, że pozazdrościłybyśmy Liandrin, nieprawdaż?

Falion omal nie zadygotała. Zamiast tego przeszła na drugą stronę piwnicy i napełniła swój puchar śliwkowym ponczem. Śliwki użyte do jego wykonania były najwyraźniej stare, a sam poncz zbyt przesłodzony, ale nie odjęła pucharu od ust. Strach przed Moghedien był całkowicie zrozumiały, ale uleganie mu nie dawało się wytłumaczyć w żaden sposób. Być może ta kobieta już nie żyła. Z pewnością już dawno by je wezwała albo wciągnęła znowu podczas snu do Tel'aran'rhiod, by tam dopytywać się, dlaczego nie realizują jej poleceń. Póki jednak nie zobaczy ciała, jedynym logicznym sposobem postępowania będzie ciągnąć całą sprawę dalej, jakby Moghedien mogła pojawić się w każdej chwili.

- Jest sposób.

- Jaki? Przesłuchać wszystkie Mądre Kobiety w Ebou Dar? Ile ich tu jest? Setka?

A może dwieście? Przypuszczam, że siostry przebywające w Pałacu Tarasin z pewnością by się zorientowały.

- Porzuć więc swe marzenia o posiadaniu sa'angreala, Ispan. Nie istnieje żaden ukryty magazyn, żadna sekretna piwnica pod pałacem. - Falion mówiła spokojnym, miarowym głosem, coraz bardziej się opanowując, w miarę jak rosło rozdrażnienie Ispan. Zawsze udawało jej się niemalże zahipnotyzować klasę nowicjuszek dźwiękiem swego głosu. -Prawie wszystkie Mądre Kobiety to dzikuski; najpewniej nie mają zielonego pojęcia o tym, czego się chcemy dowiedzieć. Nigdy jeszcze nie znaleziono dzikuski, która miałaby w swym posiadaniu sa'angreal, bo wiedziałybyśmy o tym. Wręcz przeciwnie, ze wszystkich zapisów wynika, że dzikuska, która znajdowała jakikolwiek przedmiot związany z Mocą, pozbywała się go najszybciej, jak tylko mogła, z obawy przed gniewem Białej Wieży. Z drugiej jednak strony, kobiety wygnane z Wieży ewidentnie nie podzielają tego strachu. Wiesz dobrze, że kiedy na odchodnym poddawano je rewizji, okazywało się, że jedna na trzy próbuje coś przemycić, albo prawdziwy przedmiot obdarzony Mocą, albo rzecz, którą za taki uważała. Z tych kilku Mądrych kobiet, które kwalifikowały się do tej kategorii, Callie stanowiła najlepszy wybór. Kiedy wypędzono ją cztery lata temu, próbowała ukraść mały ter'angreal. Rzecz całkowicie bezużyteczną, tworzącą wizerunki kwiatów i imitującą dźwięk wodospadu, niemniej był to przedmiot związany z saidarem. A wcześniej jeszcze usiłowała odkrywać tajemnice innych nowicjuszek, co jej się w równym stopniu udawało, jak i nie. Gdyby w Ebou Dar znajdował się choćby jeden angreal, nie wspominając już o wielkim magazynie, czy sądzisz, że mogłaby przebywać tutaj cztery lata i nic o nim nie wiedzieć?

- Ja naprawdę noszę szal, Falion - oznajmiła Ispan, nadzwyczaj opryskliwie. - I

naprawdę zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę równie dobrze jak ty. Twierdzisz jednak, że istnieje inny sposób? Jaki mianowicie? - Najzwyczajniej w świecie nie potrafiła posługiwać się rozumem.

- Co zadowoliłoby Moghedien w równym stopniu jak skrytka? - Ispan tylko patrzyła na nią, lekko przytupując stopą. - Nynaeve al'Meara, Ispan. Moghedien opuściła nas, aby ją odnaleźć, ale najwyraźniej tamta jej jakoś uciekła. Jeżeli damy jej Nynaeve... wraz z tą drugą dziewczyną, Elayne Trakand, jeśli już o tym mowa... przebaczy nam setki sa'angreali. -Z czego w jasny sposób wynikało, że Wybrani potrafią się zachowywać całkowicie irracjonalnie. Najlepiej oczywiście było zachowywać skrajną ostrożność w kontaktach z tymi, którzy byli bardziej irracjonalni i równocześnie bardziej potężni. Ispan nie była potężniejsza.

- Trzeba ją było zabić od razu, kiedy się pojawiła, tak jak mówiłam-warknęła. Wymachując dłońmi, przechadzała się nerwowo w tę i z powrotem po piwnicy, szeleszcząc śmieciami, które zalegały posadzkę. - Tak, tak, wiem. Nasze siostry w pałacu mogłyby nabrać podejrzeń. Nie chcemy przecież ściągnąć na siebie ich uwagi. Ale czy zapomniałaś o Tanchico? I o Łzie? Wszędzie tam, gdzie pojawiają się te dwie dziewczyny, dochodzi do katastrofy. Osobiście uważam, że jeśli nie możemy ich zabić, to powinnyśmy trzymać się tak daleko od Nynaeve al'Meara i Elayne Trakand, jak to tylko możliwe. Tak daleko, jak tylko się da!

- Uspokój się, Ispan. Uspokój się. - Mimo iż łagodny ton jej głosu zdawał się tylko dodatkowo drażnić drugą kobietę, Falion nie traciła rezonu. Logika musi zwyciężyć emocje.

Siedząc na odwróconej do góry dnem baryłce w nieco chłodniejszej przestrzeni wąskiej, ocienionej alejki, nie odrywał wzroku od domu po przeciwnej stronie

zatłoczonej ulicy. Nagle zdał sobie sprawę, że znowu dotyka swej głowy. Nie bolała go, ale czasami... nawiedzało go... jakieś osobliwe uczucie. Najczęściej wówczas, gdy myślał o czymś, czego nie potrafił sobie przypomnieć.

Trzy otynkowane na biało piętra; dom należał do złotniczki, którą rzekomo odwiedziły dwie przyjaciółki, poznane kilka lat wcześniej podczas podróży na północ. Przyjaciółki te widziano przelotnie tylko raz, po przyjeździe, potem zniknęły, jakby zapadły się pod ziemię. Odkrycie tego faktu okazało się łatwe, odkrycie, że są to Aes Sedai, odrobinę tylko trudniejsze.

Ulicą szedł szczupły młodzieniec w postrzępionej kamizelce, pogwizdując i zapewne nie żywiąc specjalnie cnych zamiarów; zatrzymał się, kiedy dostrzegł go siedzącego w cieniu. Jego ubiór i sylwetka - przyznać musiał ponuro -wyglądały kusząco. Sięgnął pod kaftan. Jego dłonie nie posiadały już ani zręczności, ani siły potrzebnej do utrzymania miecza, jednak dwa długie noże, które nosił przy sobie od ponad trzydziestu lat, zaskoczyły niejednego szermierza. Być może coś z tej wiedzy rozbłysło w jego oczach, ponieważ szczupły młodzieniec zastanowił się przez chwilę, i pogwizdując, ruszył dalej.

Brama obok wejścia do domu złotniczki, która prowadziła dalej do stajni, otworzyła się nagle; pojawili się w niej dwaj krępi mężczyźni niosący baryłkę wypełnioną brudną słomą i zwierzęcymi odchodami. Co oni knuli? Arnin i Nad raczej nie nadawali się na chłopców stajennych.

Zdecydował, że powinien do zmroku pozostać na swoim posterunku, a potem sprawdzić, czy jest w stanie odnaleźć śliczną, drobniutką morderczynię zatrudnioną przez Carridina.

Raz jeszcze odjął dłonie od głowy. Wcześniej czy później sobie przypomni. Nie

zostało mu już dużo czasu, ale nic innego i tak nie posiadał. Tyle przynajmniej pamiętał.

ROZDZIAŁ 18

JAK PŁUG ROZCINA ZIEMIĘ

Rand obejmował saidina przez czas tylko tak długi, by rozwiązać zabezpieczenia, jakie splótł w jednym z rogów przedsionka, a potem podniósł małą, ozdobioną srebrem filiżankę, i powiedział:

- Jeszcze herbaty. - Lews Therin zamruczał gniewnie gdzieś w głębi jego głowy.

Rzeźbione fotele, ciężkie od pozłoty, stały w dwu szeregach po obu stronach Wschodzącego Słońca, szerokiego na dwa kroki i osadzonego w wypolerowanej, kamiennej posadzce, a oprócz nich na niewielkim podwyższeniu pyszniło się wysokie krzesło z taką ilością złoceń, iż wyglądało na odlane z litego metalu. Mimo to Rand siedział ze skrzyżowanymi nogami na kobiercu rozwiniętym na tę właśnie okazję. Zielone i złote nitki, z których go utkano, splatały się we wzór taireniańskiego labiryntu. Trzej wodzowie klanów, usadowieni naprzeciwko, z pewnością poczuliby się urażeni, gdyby przyjął ich, zasiadając na swoim tronie, nawet wówczas, gdyby im również zaproponował podobne siedziska. Oni stanowili kolejny labirynt, splątany z motywacji i woli, który pokonywać należało z najwyższą ostrożnością. Był odziany w samą koszulę z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi czerwono-złote Smoki, oplecione wokół przedramion i połyskujące metalicznie. U nich identyczny symbol, na jednym tylko z przedramion, ukrywał się pod rękawem cadin'sor. Być może przypominał im w ten sposób, kim jest - że również przeszedł przez Rhuidean i przeżył, w odróżnieniu od tylu innych - a być może wcale nie. Być może.

Niewiele można było wyczytać z ich twarzy, kiedy obserwowali Meranę

wyłaniającą się z kąta, w którym została odgrodzona od Źródła. Pomarszczone oblicze Janwina równie dobrze mogło być postarzałą rzeźbą w drewnie, jednak zawsze przecież tak wyglądało, a jeśli nawet jego błękitnoszare oczy zdawały się ciskać gromy, to również nie było w tym nic niezwykłego. Nawet jego włosy przypominały skłębione, burzowe chmury. Był jednak mężczyzną, którego trudno wyprowadzić z równowagi. Indirian i jednooki Mandelain wyglądaliby na całkiem zatopionych w myślach, gdyby nie spojrzenia nie mrugających oczu, podążające w ślad za nią. Lews Therin nagle ucichł, jakby on również patrzył oczami Randa.

Pozbawione śladów upływu lat rysy twarzy Merany zdradzały jeszcze mniej niźli oblicza wodzów klanów. Podkasawszy swe bladoszare spódnice, uklękła obok Randa i podniosła dzbanek z herbatą. Wykonano go w kształcie masywnej, srebrnej kuli, jakby skąpanej w złocie, z panterami w roli nóżek i ucha oraz jeszcze jedną przykucniętą na pokrywce. Musiała użyć obu dłoni, żeby go unieść; drżały nieznacznie, gdy napełniała filiżankę Randa. Całą swoją postawą dawała do zrozumienia, że robi to, bo tak jej się podoba, z powodów tylko jej znanych, których żaden z obecnych nawet nie potrafiłby pojąć - sposób, w jaki się zachowywała, bardziej jeszcze jednoznacznie oznajmiał im, kim właściwie jest,

niźli

charakterystyczne oblicze Aes Sedai. Dobry czy zły znak?

- Nie pozwalam im przenosić bez specjalnej zgody -powiedział. Wodzowie klanów zachowali milczenie. Merana wstała, a potem po kolei klękała obok każdego z nich. Mandelain przykrył swoją filiżankę wielką dłonią, dając do zrozumienia, że nie chce więcej. Dwaj pozostali podsunęli swoje naczynia; błękitnoszare i zielone oczy wpatrywały się w nią z równym natężeniem. Co widzieli? Co jeszcze mógłby zrobić? Odstawiła ciężki dzbanek na masywną tacę z uchwytami w kształcie panter, ale nie podniosła się z kolan.

- Czy mój lord Smok potrzebuje mnie jeszcze?

Jej głos mógłby stanowić wzorzec opanowania, ale gdy gestem nakazał jej wrócić do kąta, palce smukłych dłoni zacisnęły się przelotnie na fałdach spódnic. Jednak powodem tego mógł być fakt, że odwracając się, stanęła na chwilę twarzą w twarz z Dashivą i Narishmą. Dwaj Asha'mani - ściśle rzecz biorąc, Narishma wciąż był tylko żołnierzem, co dawało mu najniższą rangę wśród Asha'manów; w jego kołnierzu próżno byłoby szukać Smoka lub choćby miecza - stali spokojnie między dwoma wysokimi zwierciadłami w złotych ramach, których cały szereg zdobił ściany. Przynajmniej młodszy z mężczyzn na pierwszy rzut oka wyglądał na spokojnego. Z kciukami zaciśniętymi na pasie, całkowicie ignorował Meranę, a i Randowi oraz Aielom nie poświęcał wiele więcej uwagi, wystarczyło jednakże przyjrzeć mu się z bliska, by dostrzec, że jego ciemne, nazbyt nieco rozszerzone źrenice ani na chwilę nie nieruchomieją, jakby w każdej chwili spodziewał się gromu z jasnego nieba. Któż zresztą mógłby rzec, że coś takiego się nie zdarzy? Dashiva miał taką minę, jakby bujał w obłokach; poruszał bezdźwięcznie ustami i mrugał oczyma, których spojrzenie wbite

było w przestrzeń.

Kiedy Rand spojrzał na Asha'manów, Lews Therin warknął coś niezrozumiale, jednak to Meranie najwięcej uwagi poświęcał ten mężczyzna w jego głowie.

"Tylko głupiec wyobraża sobie, że lwa i kobietę można oswoić".

Rand, zirytowany, zdławił głos do przytłumionego pomruku. Lews Therin zapewne zdolny byłby złamać jego wolę, ale nie bez trudu. Pochwycił saidina i splótł na powrót zabezpieczenia nie pozwalające Meranie usłyszeć, o czym rozmawiają. Wypuścił Źródło, czując jeszcze większą irytację z powodu tego posykiwania w jego głowie, tych kropel wody spadającej na palenisko. Echo rezonujące rytmicznie szaleńczą, odległą wściekłością Lewsa Therina.

Merana stała za barierą, której nie była w stanie ani poczuć, ani zobaczyć, z uniesioną wysoko głową i rękoma splecionymi na piersiach; można było pomyśleć, że szal wciąż spowija jej ramiona. Aes Sedai w całej krasie. Obserwowała i jego, i wodzów klanów, obrzucając chłodnym spojrzeniem jasnobrązowych oczu nakrapianych żółtymi plamkami.

"Nie wszystkie moje siostry zdają sobie sprawę, jak bardzo cię potrzebujemy" - powiedziała mu rankiem w tej samej komnacie - "ale wszystkie, które przysięgły, zrobią wszystko, o co poprosisz, a co nie pogwałci Trzech Przysiąg".

Właśnie się obudził, kiedy weszła do środka pod eskortą Sorilei. Żadna z nich w najmniejszej mierze nie wydawała się skonsternowana faktem, że on ma na sobie nocną koszulę i że zdążył zjeść dopiero kęs podanej mu na śniadanie kromki chleba.

“Dysponuję nieprzeciętnymi zdolnościami w dziedzinie negocjacji i medytacji. Moje siostry posiadają wiele innych umiejętności. Pozwól, byśmy ci służyły, jak przysięgałyśmy. Pozwól, bym ja ci służyła. Potrzebujemy cię, ale ty również do pewnego stopnia potrzebujesz nas”.

W jakimś kąciku umysłu czuł nigdy nie zanikającą obecność Alanny, jakby tam się ukrywała, zwinięta w kłębek. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak często płacze. Zabronił jej zbliżać się do siebie, o ile nie zostanie wezwana, albo choćby opuszczać własny pokój bez eskorty Panien - siostrom, które przysięgły mu posłuszeństwo, zeszłego wieczoru kazał przydzielić pokoje w Pałacu, aby móc je mieć na oku - ale właściwie od samego początku, od kiedy połączyła go ze sobą więzią zobowiązań, czuł łzy i bezbrzeżny smutek, szarpiące niczym kły drapieżnika. Czasami w mniejszym stopniu, czasami w większym, ale nigdy nie przestawały gryźć. Alanna również mówiła mu, że będzie potrzebował zaprzysięgłych sióstr, wręcz krzyczała to za nim w końcu, z czerwoną twarzą, zalaną strumieniami łez, zanim nie odwróciła się i nie uciekła. Ona też mówiła o służbie, chociaż wątpił, by przyszły jej do głowy czynności, jakie ostatnimi czasy wykonywała Merana. Być może jakiś rodzaj liberii uczyniłby sprawę bardziej oczywistą?

Wodzowie klanów patrzyli na obserwującą ich Meranę. Nic nie zdradzało ich myśli.

- Mądre powiedziały wam, jaka jest obecnie pozycja Aes Sedai - oznajmił bez ogródek Rand. Sorilea powiedziała mu, że wiedzą, jednak sam by się domyślił, choćby

z braku zaskoczenia na ich twarzach, kiedy po raz pierwszy zobaczyli, jak Merana przybiega na zawołanie i kłania się. - Byliście świadkami, jak przyniosła tacę i nalała wam herbatę. Widzieliście, jak potem wycofała się, posłuszna moim poleceniom. Jeżeli chcecie, każę jej dla was zatańczyć. - Przekonanie Aielów, że nie jest tylko marionetką w rękach Aes Sedai, było tym, w czym najbardziej mogły mu pomóc siostry w tej chwili. Wszystkim im każe tańczyć, jeśli to się okaże konieczne.

Mandelain poprawił szaro-zieloną opaskę, zakrywającą pusty oczodół; zazwyczaj wykonywał ten gest, kiedy chciał się przez chwilę zastanowić. Gruba i wydatna blizna za skórzaną opaską sięgała połowy łysego już prawie czoła. Ostatecznie wygłosił stwierdzenie niewiele mniej bezpośrednie od tego, które padło z ust Randa.

- Niektórzy powiadają, że Aes Sedai jest w stanie zdobyć się na wszystko, aby otrzymać to, czego pragnie.

Indirian zmarszczył swe krzaczaste, siwe brwi, niemalże zatapiając nos w filiżance z herbatą. Wzrostu jak na Aiela średniego, niższy był od Randa o pół dłoni, jednak wszystko w nim wydawało się bardzo długie. Żar Pustkowia najwyraźniej wytopił zeń każdą zbędną uncję ciała i jeszcze kilka nadto. Miał wystające kości policzkowe, a oczy przypominały szmaragdy osadzone w grotach oczodołów.

- Nie lubię mówić o Aes Sedai. - Głęboki, dźwięczny głos, dobiegający z tej wychudzonej twarzy, zawsze zaskakiwał. - Co się stało, już się nie odstanie. Niech Mądre się nimi zajmują.

- Lepiej porozmawiajmy o tych psach Shaido - wtrącił Janwin łagodnym tonem, równie zaskakującym, jeśli się patrzyło na jego zapalczywe oblicze. - Za kilka miesięcy, w najgorszym razie nie dalej niż za pół roku, wszyscy Shaido będą martwi

albo obróceni w gai'shain. - Tylko stąd, że jego głos był miękki, nie należało wnioskować, że odnosi się to również do niego samego. Pozostali pokiwali głowami; Mandelain uśmiechnął się głodnym uśmiechem.

Wciąż wydawali się nie przekonani. Kwestia Shaido stanowiła oficjalny powód do zwołania narady i bynajmniej nie traciła zupełnie znaczenia, nawet jeśli nie pozbawiona była znaczenia pierwszorzędnego. Na pewno nie była bez znaczenia - Shaido już od dawna sprawiali kłopoty - jednak w terminarzu Randa nie znajdowali się na tej samej stronie co Aes Sedai. Wiedział wszakże, że przysporzą mu dalszych, poważnych problemów. Trzem klanom, które przyłączyły się do Miagoma dowodzonych przez Timolana, znajdującym się już niedaleko Sztyletu Zabójcy Rodu, być może uda się dokonać tego, o czym mówił Janwin, ale pozostawali jeszcze ci, których nie można było zmienić w gai'shain ani też zabić.

- A co z Mądrymi? - zapytał.

Przez chwilę ich twarze były zupełnie nieodgadnione; nawet Aes Sedai nie potrafiły tego robić równie dobrze jak Aielowie. Fakt, że stanęli w obliczu Jedynej Mocy, nie przerażał ich, a przynajmniej w żaden sposób tego nie okazywali; Aielowie wierzyli, iż nikt nie zdoła uciec przed własną śmiercią, i nawet setka rozwścieczonych Aes Sedai nie potrafiłaby sprawić, by Aiel opuścił raz założoną zasłonę. Jednak kiedy dowiedzieli się, że Mądre wzięły udział w bitwie pod Studniami Dumai, przeżyli wstrząs tak wielki, jakby zobaczyli słońce wschodzące w nocy lub księżyc za dnia na tle nieba barwy krwistej czerwieni.

-

Sarinde

twierdzi,

że

prawie

wszystkie

Mądre

pobiegną

z

algai'd'siswai-powiedział w końcu z wahaniem Indirian. Sarinde była Mądrą, która szła jego śladem od Czerwonych Źródeł, siedziby klanu Codarra. Chociaż być może "szła śladem" nie było tutaj właściwym określeniem; Mądre rzadko robiły coś takiego. W każdym razie większość Mądrych. Codarra, a także Shiande i Daryne miały się udać na północ razem z włóczniami. - Mądrymi Shaido... zajmą się... Mądre. - Usta wykrzywił mu niesmak.

- Wszystko się zmienia. - Głos Janwina był jeszcze bardziej łagodny niźli zazwyczaj. Wierzył, ale wierzyć nie chciał. Udział Mądrych w bitwie gwałcił normy równie stare jak sami Aielowie.

Mandelain z nadmierną ostrożnością odstawił filiżankę.

- Corehuin życzy sobie raz jeszcze zobaczyć Jair, zanim ten sen dobiegnie końca, ja zresztą również. - Podobnie jak Bael i Rhuarc, miał dwie żony; pozostali wodzowie mieli tylko po jednej, wszyscy z wyjątkiem Timolana, jednak owdowiały wódz rzadko pozostawał długo w stanie bezżennym. Mądre potrafiły o to zadbać.

- Czy ktokolwiek z nas zobaczy jeszcze słońce wschodzące ponad Ziemią Trzech Sfer?

- Mam taką nadzieję - powiedział Rand ostrożnie.

"Jak pług rozcina ziemię, tak on rozedrze ludzkie żywoty, a wszystko, co dotąd

istniało, pożre ogień jego oczu. Przy każdym jego kroku grzmieć będą trąby bitewne, jego głosem posilać się będą kruki, na głowie zaś nosić będzie koronę mieczy". Proroctwa Smoka nie pozostawiały prawie żadnej nadziei na cokolwiek prócz zwycięstwa nad Czarnym, a i tutaj widziały niewielką jedynie szansę. Proroctwo Rhuidean, Proroctwo Aielów, głosiło, że zostaną przezeń zniszczeni. To przez niego ponure nastroje szerzyły się wśród klanów, a starodawne obyczaje bywały łamane. Nawet wyłączywszy Aes Sedai, nie należało się dziwić, że niektórzy wodzowe rozmyślali nad tym, czy dobrze postępują, idąc z Randem al'Thorem.

- Mam taką nadzieję.

- Obyś zawsze znalazł wodę i cień, Randzie al'Thoroznajmił Indirian.

Po ich odejściu Rand siedział jeszcze czas jakiś bez ruchu, z wzrokiem wbitym w filiżankę, nie potrafiąc znaleźć żadnych odpowiedzi w wypełniającej ją ciemnej cieczy. Na koniec odstawił ją wreszcie obok tacy i odwinął rękawy. Merana nie spuszczała zeń spojrzenia czujnych oczu, jakby próbowała wyrwać z głowy jego myśli. I widać było po niej, że się niecierpliwi. Powiedział jej, że ma zostać w kącie do czasu, aż usłyszy głosy. Bez wątpienia teraz, kiedy już wodzowie odeszli, nie widziała najmniejszego powodu, dla którego miałaby w nim pozostać. Wyjść i spróbować dowiedzieć się, co zostało powiedziane.

- Czy uwierzycie, że oni sądzą, iż tańczę jak marionetka na sznurkach pociąganych przez Aes Sedai? - zapytał.

Młody Narishma wzdrygnął się. Był odrobinę starszy od Randa, a jednak wyglądał na chłopca młodszego o pięć, sześć lat. Spojrzał na Meranę, jakby sądził, że ona zna odpowiedź, a potem niespokojnie poruszył ramionami.

- Nie... nie wiem, Lordzie Smoku.

Dashiva zamrugał i przestał mamrotać do siebie. Przekrzywił głowę i w iście ptasi sposób spojrzał z ukosa na Randa.

- Czy ma to jakieś znaczenie, póki są posłuszni?

- To ma znaczenie - odparł Rand. Dashiva wzruszył ramionami, a Narishma zmarszczył czoło w namyśle; żaden najwyraźniej jeszcze nie rozumiał, jednak być może Narishmę było na to stać.

Kamienną posadzkę za tronem stojącym na podwyższeniu zaścielały rozrzucone mapy, zwinięte, złożone albo zwyczajnie rozpostarte tam, gdzie je zostawił. Czubkiem buta odsunął kilka na bok. Zbyt wiele tego, by zajmować się wszystkimi od razu. Północne Cairhien i góry zwane Sztyletem Zabójcy Rodu, okolice miasta. Illian i Równiny Maredo aż do Far Madding. Wyspa Tar Valon i wszystkie otaczające ją miasteczka i wioski. Ghealdan i fragment Amadicii. Zlewające się barwy w jego głowie. Lews Therin zajęczał i zaśmiał się w oddali, dalekim, szaleńczym mamrotaniem: "Zabij Asha'manów, zabij Przeklętych. Zabij siebie". Alanna przestała płakać, skrywając szarpiący jego umysł smutek pod cienką powłoką gniewu. Rand przeczesał palcami włosy, przycisnął dłonie do skroni. Jak to jest, gdy nie ma się towarzystwa we własnej głowie? Nie potrafił już sobie przypomnieć.

Skrzydło wysokich drzwi otworzyło się i do środka weszła jedna z Panien pełniących straż na korytarzu. Riallin, z rozczochranymi, słomianorudymi włosami i uśmiechem dla każdego, naprawdę w jakiś sposób wyglądała na pulchną. W każdym razie jak na Pannę.

- Berelain sur Paendrag i Annoura Larisen chciałyby zobaczyć się z Car'a'carnem-oznajmiła. Jej głos przeszedł od tonów ciepłych i przyjacielskich przy wymawianiu pierwszego imienia do zimnych i pozbawionych wyrazu przy drugim,

natomiast uśmiech na twarzy nie zmienił się nawet na jotę.

Rand westchnął i już otworzył usta, by je zaprosić, jednak Berelain nie czekała.

Jak burza wpadła do środka; odrobinę spokojniejsza Annoura deptała jej po piętach.

Aes Sedai westchnęła cicho na widok Dashivy i Narishmy, po czym spojrzała z ciekawością na stojącą w swoim kącie Meranę. Berelain nawet tamtych nie zauważyła.

- Jak mam to rozumieć, Lordzie Smoku? - zaczęła bez wstępów, wymachując listem, który posłał jej tego ranka. Przeszła przez całą długość komnaty i podetknęła mu go pod nos. - Dlaczego mam wracać do Mayene? Rządziłam dobrze w twoim imieniu, wiesz przecież. Nie byłam w stanie powstrzymać Colavaere przed wstąpieniem na tron, ale przynajmniej nie pozwoliłam jej zmienić praw, które ustanowiłeś. Dlaczego mam zostać odesłana? I dlaczego informuje się mnie o tym listownie? Zamiast powiedzieć mi to w oczy. Tylko w liście, podziękowania za dobrą służbę i oddalenie, jak urzędnika, który skończył już pobierać podatki.

Nawet bezgranicznie rozwścieczona, Pierwsza z Mayene była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie Rand w życiu spotkał. Czarne włosy spływały jej na ramiona lśniącymi falami, otaczając twarz, na którą zapatrzyłby się nawet ślepy. Mężczyzna łatwo mógł utonąć w jej ciemnych oczach. Tego dnia włożyła lśniące, srebrne jedwabie, tak obcisłe, że stosowne raczej dla przyjmowania kochanka w zaciszu komnat. Gdyby ta linia dekoltu była choć o włos niżej, nie mogłaby włożyć ich publicznie. Pisząc ten list, próbował sobie wmówić, że czyni tak dlatego, bo ma zbyt wiele do zrobienia i brakuje mu czasu na kłótnie z nią. Prawda była taka, że za bardzo lubił na nią patrzeć; z jakiegoś powodu zaczęło mu się wydawać, że to jest... no, może nie do końca złe, ale prawie.

Kiedy tylko się pojawiła, Lews Therin zrezygnował ze swoich wrzasków i zaczął cicho nucić, jak zawsze w obecności pięknej kobiety. Rand nagle zdał sobie sprawę, że miętosi palcami płatek swego ucha i przeżył prawdziwy wstrząs. Instynktownie rozumiał, że jest to coś, co Lews Therin robił bez namysłu, podobnie jak nucenie. Gwałtownie opuścił rękę, jednak już po chwili, jakby wiedziona własną wolą, dłoń znów ruszyła do ucha.

"Żebyś sczezł, to moje ciało!" - Myśl przypominała warknięcie. - "Moje".

Lews Therin, zaskoczony i zmieszany, przestał nucić; bez jednego słowa martwy człowiek wycofał się, skrywając w najgłębszych cieniach umysłu.

Milczenie Randa odniosło skutek. Berelain opuściła dłoń, w której trzymała list, a jej gniew nieco osłabł. Odrobinę. Ze spojrzeniem wbitym w jego oczy, wciągnęła głęboki oddech, który sprawił, że Rand poczerwieniał.

- Mój Lordzie Smoku.

- Dobrze wiesz, dlaczego - uciął. Samo patrzenie w jej oczy nie było łatwe. Dziwne, ale nagle dotarło do niego, że żałuje, iż Min nie ma w pobliżu. Bardzo dziwne. Jej widzenia na nic by się nie przydały w tej sytuacji. - Kiedy tego ranka wróciłaś ze swojej wizyty na statku Ludu Morza, w doku czekał na ciebie człowiek z nożem.

Berelain z pogardą pokręciła głową.

- Nie zdołał podejść bliżej niż na trzy kroki. Towarzyszyło mi dwunastu żołnierzy Skrzydlatej Gwardii i lord kapitan Gallenne. - Nurelle dowodził częścią Skrzydlatej Gwardii w bitwie pod Studniami Dumai, jednak to Gallenne dowodził całością jej sił. W mieście miała ich jeszcze ośmiuset, nie licząc tych, którzy wrócili z Nurelle. - Spodziewasz się, że podkulę ogon, bo ktoś chciał mi ukraść sakiewkę?

- Nie udawaj głupiej - warknął. - Kieszonkowiec, który nie przestraszył się

dwunastu żołnierzy? - Jej policzki pokryły się purpurą; wiedziała, w porządku. Nie dał jej szans na protesty, wyjaśnienia, czy inne jeszcze głupstwa. - Dobraine powiedział mi, że już słyszał w Pałacu plotki, wedle których zdradziłaś Colavaere. Jej zwolennicy mogą się obawiać choćby szepnąć w mojej obecności, ale nie zawahają się przed wbiciem ci noża w plecy. - O Faile zresztą, wedle Dobraine, krążyły podobne plotki; tym również trzeba będzie się zająć. - Ale nie będą mieli szans, ponieważ wracasz do Mayene. Dobraine zastąpi cię tutaj, póki Elayne nie zasiądzie na Tronie Słońca. Zadygotała, jakby oblał ją zimną wodą. Jej oczy rozwarły się groźnie. Był zadowolony, kiedy wreszcie przestała się go bać, ale teraz nie był już pewien, czy dobrze się stało. Już otwierała usta, by wybuchnąć, gdy Annoura lekko dotknęła jej ramienia. Odwróciła głowę. Wymieniły długie spojrzenia, a po chwili podniecenie Berelain osłabło. Wygładziła spódnice i żywo roztarła ramiona. Rand pośpiesznie umknął spojrzeniem.

Merana wahała się na skraju zabezpieczeń. Przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem nie przeszła przez barierę, a potem nie wycofała - w jaki sposób mogłaby stać dokładnie w miejscu, w którym było coś, czego nie potrafiła wyczuć? Kiedy zobaczyła, jak odwraca głowę, zaczęła znowu się cofać, aż wreszcie prawie oparła się plecami o ścianę, na chwilę nawet nie spuszczając zeń wzroku. Wnioskując z wyrazu jej twarzy, gotowa byłaby chyba nalewać mu codziennie herbatę i to przez dziesięć lat z rzędu, żeby tylko wiedzieć, o czym mówiono.

- Mój Lordzie Smoku - powiedziała Berelain, uśmiechając się - wciąż jeszcze pozostaje kwestia Atha'an Miere. - Jej głos był słodki niczym miód; wygięcie ust nawet w kamieniu wzbudziłoby ochotę na pocałunek. - Mistrzyni Fal Harine nie spodoba się, jeśli zbyt długo będzie musiała czekać na swoim statku. Odwiedzałam ją już

wielokrotnie. Ja potrafię zadbać o załagodzenie wszelkich nieporozumień, w odróżnieniu od lorda Dobraine, jak mi się zdaje. Uważam, że Lud Morza będzie ci zupełnie nieodzowny, niezależnie od tego, czy Proroctwa Smoka wspominają o nim, czy nie. Ty w każdym razie stanowisz kluczową figurę ich proroctw, chociaż wyraźnie nie mają ochoty zdradzić, na czym polega twoje znaczenie.

Rand zagapił się na nią. Dlaczego tak bardzo zależało jej na utrzymaniu tak trudnej posady, za którą nie otrzymała zbyt wielu podziękowań ze strony Cairhienian, i to jeszcze wcześniej, zanim jeden z nich spróbował ją zabić? Była władczynią, przyzwyczajoną do utrzymywania stosunków z innymi władcami i ambasadorami, nie zaś do ulicznych rzezimieszków i noży w ciemnościach. Czy słodkie, czy gorzkie, pragnienie przebywania obok Randa al'Thora nie było dla nikogo rzeczą dobrą. Pewnego razu sugerowała... no cóż, otwarcie mu się oddała... ale twarda rzeczywistość polegała na tym, że Mayene było niewielkim krajem, a Berelain posługiwała się urodą jak mężczyzna mieczem, aby uchronić swoje ziemie przed wchłonięciem przez potężnego sąsiada, czyli Łzę. No właśnie, chyba wreszcie pojął, o co chodzi.

- Berelain, nie wiem, co jeszcze mogę zrobić, by zagwarantować ci władzę nad Mayene, ale podpiszę każdy... -W głowie zawirowały mu kolorowe plamy, tak szaleńczo, że nie potrafił już więcej wykrztusić słowa. Lews Therin zachichotał. "Kobieta, która rozumie niebezpieczeństwo i nie boi się, stanowi skarb, jakiego tylko głupiec by się pozbywał".

- Gwarancje. - Ponury nastrój przegnał z jej twarzy wszelki ślad słodyczy, gniew rozgorzał znowu, tym razem zimny jak lód. Annoura szarpnęła Berelain za rękaw, ale tamta już nie zwracała na Aes Sedai uwagi. - Kiedy ja będę siedziała w

Mayene z twoimi gwarancjami, inni będą ci służyć. Poproszą o nagrody i moja służba tutaj stanie się faktem zadawnionym i zatartym w pamięci, podczas gdy ich zasługi błyszczeć będą blaskiem nowości. Jeżeli Wysoki Lord Weiramon da ci Illian i poprosi w zamian o Mayene, cóż odpowiesz? Jeżeli da ci Murandy, Altarę i wszystkie ziemie aż do samego Oceanu Aryth?

- A czy będziesz mi służyć, jeżeli to wciąż będzie oznaczało rozstanie? - zapytał cicho. - Znikniesz z moich oczu, ale nie z moich myśli. - Lews Therin zaśmiał się znowu, w taki sposób, że Rand omal się nie zarumienił. Patrzenie na nią sprawiało mu przyjemność, jednak czasami rzeczy, o których myślał Lews Therin...

Berelain patrzyła na niego nieustępliwie, a w oczach Annoury widział niemalże rodzące się pytania, widział, jak tamta się głowi, które zadać najpierw.

Drzwi otworzyły się znowu, weszła Riallin.

- Przyszła Aes Sedai, chce się zobaczyć z Car'a'carnem. - Jej głos brzmiał równocześnie zimno i niepewnie. - Na imię ma Cadsuane Malaidhrin. - Do wnętrza, w ślad za nią, wsunęła się uderzająco przystojna kobieta; stalowosiwe włosy miała ujęte w kok i ozdobione złotymi wisiorami. Nagle wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko.

- Myślałam, że nie żyjesz - wykrztusiła bez tchu Annoura, której oczy omalże nie wyszły z orbit.

Merana skoczyła przez zabezpieczenia z wyciągniętymi naprzód rękami.

- Nie, Cadsuane! - krzyknęła. - Nie wolno ci go skrzywdzić! Nie wolno!

Rand poczuł gęsią skórkę, znak, że któraś w pomieszczeniu objęła saidara, być może nie tylko jedna, i odsuwając się jednym płynnym ruchem od Berelain, pochwycił Źródło, pozwalając, by wypełnił go saidin, czując, że przepełnia również Asha'manów.

Oblicze Dashivy drgało nerwowo, kiedy popatrywał kolejno po twarzach Aes Sedai.

Mimo wypełniającej go Mocy, Narishma obiema dłońmi chwycił rękojeść miecza i przyjął postawę zwaną Pantera na Drzewie, gotów w każdej chwili wyciągnąć broń z pochwy. Lews Therin warczał coś o zabijaniu i śmierci. Riallin uniosła zasłonę, równocześnie krzycząc coś, i nagle w komnacie było już kilkanaście Panien, z osłoniętymi twarzami i z włóczniami gotowymi do walki. Trudno się więc dziwić, że Berelain stała i obserwowała tę scenę z taką miną, jakby uważała, że wszyscy poszaleli.

Jak na kogoś, kto wywołał całe to zamieszanie, Cadsuane wydawała się zupełnie nieporuszona. Spojrzała na Panny i pokręciła głową; złote gwiazdy, księżyce i ptaki zakołysały się lekko.

- Próba wyhodowania przyzwoitych róż w północnym Ghealdan może się równać kuszeniu losu, Annoura - oznajmiła sucho - niemniej jednak nie jest równoznaczna ze śmiercią. Och, daj spokój, Merana, zanim kogoś wystraszysz. Naprawdę można by oczekiwać, że stałaś się nieco bardziej opanowana od czasu zrzucenia bieli nowicjuszki.

Merana otworzyła, ale zaraz potem zamknęła usta; wyglądała na całkowicie zbitą z tropu obrotem spraw. Podobnie jak Asha'mani, Rand jednak nie uwolnił saidina.

- Kim jesteś? - zapytał. - Zktórych Ajah? - Czerwona, wnioskując z reakcji Merany, ale Czerwona siostra wchodząca spokojnie w sam środek tego wszystkiego, sama, musiałaby chyba być odważna do szaleństwa. - Czego chcesz?

Spojrzenie Cadsuane spoczywało na nim jedynie przez chwilę, nie odpowiedziała. Merana znowu otworzyła usta, jednak w tym momencie siwowłosa spojrzała na nią, uniosła jedną brew i to było już wszystko. Merana naprawdę się

zaczerwieniła, spuściła wzrok. Annoura wciąż patrzyła na przybyłą, takim wzrokiem, jakby zobaczyła ducha. Albo olbrzyma.

Cadsuane bez słowa przeszła przez komnatę, podchodząc do dwu Asha'manów, przy każdym kroku szeleszcząc rozciętymi spódnicami do konnej jazdy. Rand powoli zaczynał nabierać wrażenia, że zawsze porusza się w tak płynny, posuwisty sposób, z wdziękiem, lecz nie wykonując zbędnych ruchów i nie pozwalając, by cokolwiek stanęło jej na drodze. Spojrzenie Dashivy objęło całą jej sylwetkę; Asha'man wyszczerzył zęby. Chociaż patrzyła mu prosto w oczy, zupełnie zdawała się tego nie zauważać, podobnie jak ignorowała najwyraźniej dłonie Narishmy na rękojeści miecza, kiedy ujęła jego podbródek dłonią, przekrzywiła mu twarz najpierw w prawo, potem w lewo, zanim wreszcie odsunął się od niej.

- Cóż za śliczne oczy - wymruczała. Narishma niepewnie zamrugał, a wściekły grymas Dashivy zmienił się w uśmiech, ale tak paskudny, że jego poprzednia mina zdawała się w porównaniu z nim naprawdę miła.

- Nic nie rób - warknął Rand. Dashiva miał czelność spojrzeć na niego wściekle, zanim ponuro przyłożył dłoń do piersi w salucie Asha'manów. -Czego tu chcesz, Cadsuane? - ciągnął Rand. - Spójrz na mnie, żebyś sczezła!

Spojrzała, lekko zwracając głowę w jego stronę.

- A więc ty jesteś Rand al'Thor, Smok Odrodzony. Należało by sądzić, że nawet takie dziecko jak Moiraine mogło nauczyć cię trochę dobrych manier.

Riallin przełożyła włócznię z prawej dłoni do lewej, w której trzymała już tarczę, po czym zagadała do Panien w ich mowie. Choć raz żadna z nich nie śmiała się. Choć raz Rand był pewien, że nie opowiadają sobie żartów na jego temat.

- Uspokój się, Riallin - powiedział, unosząc dłoń. -Wszystkie się uspokójcie.

Cadsuane to również zignorowała i uśmiechnęła się do Berelain.

- A więc to jest twoja Berelain, Annoura. Jest jeszcze piękniejsza niż mówią. -

Ukłon, jaki wykonała, pochylając głowę, należało uznać za całkiem głęboki, ale nie było w tym nawet śladu hołdu. Tylko uprzejmość, nic więcej.

- Moja lady Pierwsza z Mayene, muszę pomówić z tym młodym człowiekiem i zatrzymam też twoją doradczynię. Słyszałam, że masz tu rozliczne obowiązki. Nie chciałabym ci przeszkadzać w ich wypełnianiu. - To była wprost wyrażona odprawa, bardziej jednoznaczne mogło być chyba tylko pokazanie drzwi.

Berelain skłoniła z wdzięcznością głowę, potem spokojnie odwróciła się do Randa i rozpostarła spódnice w ukłonie tak głębokim, że zaczął się obawiać, czy przypadkiem nie pozbawi on jej stroju resztek przyzwoitości.

- Lordzie Smoku - powiedziała, nadając swym słowom osobliwe brzmienie - proszę cię o pozwolenie udania do swoich obowiązków.

Ukłon, jakim Rand obdarzył ją w odpowiedzi, nie dorównywał jej gestowi.

- Bardzo proszę, moja lady Pierwsza, niech się stanie wedle twej woli. - Wyciągnął dłoń, chcąc pomóc jej się podnieść. - Mam nadzieję, że weźmiesz pod uwagę moją propozycję.

- Mój Lordzie Smoku, będę służyć ci gdziekolwiek i jakkolwiek zechcesz. -Jej głos znowu ociekał słodyczą. Na użytek Cadsuane, jak przypuszczał. Z pewnością na jej twarzy nie było śladu uwodzicielskiego wyrazu, jedynie zdecydowanie. - Pamiętaj o Harine - dodała szeptem.

Kiedy już drzwi zamknęły się za Berelain, Cadsuane powiedziała:

- Zawsze miło obserwować dzieci zajęte zabawą, nieprawdaż, Merano? -

Merana wytrzeszczyła oczy; jej spojrzenie przeskoczyło z Randa na siwowłosą siostrę.

Annoura wyglądała tak, jakby trzymała się na nogach tylko siłą woli.

Większość Panien opuściła komnatę razem z Berelain; najwyraźniej doszły do wniosku, że nie będzie żadnego zabijania, jednak Riallin i dwie jeszcze pozostały przy drzwiach, z wciąż osłoniętymi twarzami. To mógł być zbieg okoliczności, ale przypadało po jednej na każdą Aes Sedai. Dashiva również zdawał się sądzić, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Oparł się o ścianę z jedną nogą wysuniętą naprzód i zaplecionymi rękoma; usta poruszały mu się bezgłośnie, z pozoru tylko obserwował Aes Sedai.

Narishma zwrócił ku Randowi pytające spojrzenie spod zmarszczonych brwi, ale ten tylko pokręcił głową. Kobieta z rozmysłem starała się go sprowokować. Pytanie jednak brzmiało, po co prowokować człowieka, który bez większego wysiłku mógł ją ujarzmić albo zabić? Lews Therin mruczał to samo:

"Dlaczego? Dlaczego?"

Rand wszedł na podwyższenie, wziął Berło Smoka z tronu i usiadł na nim, czekając na rozwój wydarzeń. Ta kobieta nie wyprowadzi go z równowagi.

- Raczej zdobnie, co sądzisz? - powiedziała Cadsuane do Annoury, rozglądając się dookoła. Pomijając już wszystkie inne złocenia, szerokie pasy złota biegły po ścianach komnaty, otaczając lustra, gzymsy zaś stanowiły niemalże dwie stopy litej złotej łuski. - Nigdy nie wiedziałam, czy to Tairenianie, czy Cairhienianie potrafią bardziej przesadzić z brakiem smaku, jednak przy obu ludzie z Ebou Dar albo nawet Druciarze spłonęliby rumieńcem. Czy to taca z herbatą? Spróbowałabym odrobinę, jeśli jest świeża i gorąca.

Rand przeniósł strumień Mocy, podniósł tacę, na poły oczekując, że metal zaraz skoroduje od skazy, a potem pchnął ją w powietrzu w stronę trzech kobiet. Merana

przeniosła dodatkowe filiżanki, cztery świeże wciąż stały na tacy. Napełnił je, odstawił dzbanek i czekał. Taca zawisła w powietrzu, podtrzymywana tylko saidinem.

Trzy bardzo różne z wyglądu kobiety i trzy całkowicie odmienne reakcje.

Annoura spojrzała na tacę tak, jakby był to zwinięty jadowity wąż, nieznacznie pokręciła głową i cofnęła się o krok. Merana wciągnęła głęboki oddech i powolnym ruchem wzięła filiżankę do ręki, która lekko drżała. Wiedząc, że mężczyzna potrafi przenosić, a być zmuszoną obserwować efekty jego zdolności na własne oczy, to jednak nie to samo. Cadsuane natomiast zwyczajnie schwyciła uszko filiżanki i z miłym uśmiechem wciągnęła do nozdrzy woń napoju. Nie miała możności stwierdzić, który z mężczyzn nalał herbatę, jednak spojrzała ponad swą filiżanką prosto na Randa, siedzącego z nogą przerzuconą przez oparcie fotela.

- To było niezłe, chłopcze - powiedziała. Panny wymieniły zdumione spojrzenia ponad zasłonami.

Rand drgnął. Nie. Nie sprowokuje go. Tego właśnie chciała, niezależnie od powodów, ale to jej się z pewnością nie uda.

- Powtórzę raz jeszcze moje pytanie - powiedział. Dziwne, że jego głos potrafi być taki opanowany; wewnątrz był bardziej rozpalony niźli najgorętsze ognie saidina.

- Czego chcesz? Odpowiedz albo wyjdź. Przez drzwi lub przez okno, wybór należy do ciebie.

Ponownie Merana spróbowała się odezwać i znowu Cadsuane uciszyła ją, tym razem machnięciem dłoni, oczu bowiem wciąż nie odrywała od Randa.

- Zobaczyć się z tobą - odparła spokojnie. - Jestem Zieloną Ajah, nie Czerwoną, ale noszę szal dłużej niźli którakolwiek z żyjących obecnie sióstr i widziałam na własne oczy więcej przenoszących mężczyzn niźli cztery kobiety wybrane spośród

Czerwonych, być może nawet więcej niźli dowolna dziesiątka. Nie chodzi o to, że zajmowałam się ich ściganiem, rozumiesz, najwyraźniej jednak mam nosa. - Spokojnie, jak kobieta przyznająca się, że raz czy dwa w życiu była na targowisku. - Niektórzy walczyli do samego nędznego końca, wrzeszcząc i wierzgając nawet po tym, jak już zostali odgrodzeni tarczą i spętani. Niektórzy płakali i błagali, proponując złoto, cokolwiek, swe własne dusze, aby tylko nie brać ich do Tar Valon. Inni płakali z ulgą, pokorni niczym baranki, wdzięczni, że mają wreszcie wszystko za sobą. Światłość jedna wie, że w końcu wszyscy płakali. Na koniec nie zostaje im już nic prócz łez.

Żar przepełniający jego wnętrze skumulował wybuch gniewu. Taca i masywny dzbanek przemknęły przez komnatę, roztrzaskując z donośnym łoskotem zwierciadło, a potem odskakując od ściany ulewą strzaskanego szkła, wśród którego migotał na poły spłaszczony dzbanek; zgięta w pół taca potoczyła się po posadzce. Wszyscy podskoczyli, z wyjątkiem Cadsuane. Rand zeskoczył z podwyższenia, ściskając Berło Smoka tak mocno, że aż mu pobielały kłykcie.

- Czy chcesz mnie w ten sposób przestraszyć? - warknął. - Czy oczekujesz, że będę błagał, albo że będę wdzięczny? Mam płakać? Aes Sedai, mogę zacisnąć swą dłoń i zmiażdżyć cię. - Wzniesiona do góry ręka aż drżała od przepełniającej go wściekłości. - Merana doskonale wie, dlaczego powinienem to zrobić. Światłość jedna wie, dlaczego tego nie czynię.

Kobieta spojrzała na zniszczone przybory do herbaty, jakby wciąż jeszcze miała do dyspozycji cały czas, jaki został w świecie.

- Teraz już wiesz - powiedziała na koniec, spokojna jak zawsze-że znam twoją przyszłość i twoją teraźniejszość. Cała łaska Światłości nie znaczy nic wobec

mężczyzny, który potrafi przenosić. Niektórzy widząc to, wierzą, iż Światłość odrzuca takich mężczyzn. Ja tak nie myślę. Czy zacząłeś już słyszeć głosy?

- O co ci chodzi? - zapytał powoli. Czuł, jak Lews Therin wytęża słuch.

Znowu poczuł mrowienie na skórze i sam też omal nie przeniósł, ale stało się to tylko, że dzbanek uniósł się z posadzki i pofrunął w powietrzu do Cadsuane, a potem zawisł, obracając się powoli, by mogła mu się dobrze przyjrzeć.

- Niektórzy mężczyźni potrafiący przenosić zaczynają w pewnym momencie słyszeć głosy. - Mówiła niemalże nieobecnym głosem, spod zmarszczonych brwi wpatrując się w pogiętą masę srebra i złota. - Jest to element władającego nimi szaleństwa. Głosy przemawiające do nich, mówiące im, co mają zrobić. - Dzbanek sfrunął delikatnie pod jej stopy. - Czy słyszałeś już głosy?

Ku zaskoczeniu wszystkich, Dashiva wybuchnął dzikim śmiechem; ramiona drżały mu gwałtownie. Narishma oblizał wargi; być może nawet nie bał się stojącej przed nim kobiety, ale obserwował ją czujnie niczym skorpion.

- To ja będę zadawał pytania-zdecydowanie oznajmił Rand. - Najwyraźniej się zapominasz. Ja jestem Smokiem Odrodzonym.

"Ty przecież jesteś rzeczywisty, nieprawdaż?"-zastanowił się. Odpowiedź nie padła. - "Lewsie Therinie?" -Czasami tamten człowiek nie odpowiadał, jednak obecność Aes Sedai zawsze go przywabiała. - "Lewsie Therinie?"

Nie był szalony; ten głos istniał naprawdę. Nie był tylko tworem wyobraźni. Z pewnością nie był zwiastunem szaleństwa. Nagłe pragnienie, by się roześmiać, nie sprawiło mu ulgi.

Cadsuane westchnęła.

- Jesteś młodym mężczyzną, który ma niewielkie pojęcie o tym, dokąd zmierza

albo co go czeka. Wyglądasz na przemęczonego. Być może powinniśmy porozmawiać dopiero wtedy, gdy trochę odpoczniesz. Czy będziesz się sprzeciwiał, jeśli zajmę odrobinę czasu Meranie i Annourze? Żadnej z nich nie widziałam już od dawna.

Rand zagapił się na nią. Wtargnęła do środka, obrażała go, groziła mu, ostrożnie dała do zrozumienia, że wie o głosie w jego głowie, a teraz chciała zwyczajnie odejść, by porozmawiać z Meraną i Annourą?

"Może to ona oszalała?"

Wciąż żadnej odpowiedzi od Lewsa Therina. Przecież był rzeczywisty. Był!

- Odejdź - powiedział. - Odejdź i... - Nie był szalony. - Wszyscy się wynoście! Precz!

Dashiva zamrugał, patrząc na niego z ukosa, potem wzruszył ramionami i poszedł w stronę drzwi. Cadsuane uśmiechnęła się w taki sposób, że na poły oczekiwał, iż znowu nazwie go miłym chłopcem, potem ujęła pod ramiona Meranę oraz Annourę i popchnęła je w kierunku Panien, które już opuściły zasłony i patrzyły teraz, niepewne, co począć. Narishma również spojrzał na niego, zawahał się, póki Rand nie wykonał zdecydowanego gestu dłonią. Wreszcie wszyscy zniknęli i został sam. Sam.

Cisnął Berłem Smoka przed siebie. Ostrze włóczni utknęło, drżąc, w oparciu jednego z foteli; zdobiący chwost zakołysał się miarowo.

- Nie oszalałem - powiedział do przestrzeni pustego pomieszczenia. Lews Therin mówił mu rozmaite rzeczy; nigdy nie zdołałby się wydostać ze skrzyni Galiny, gdyby nie prowadził go głos martwego człowieka. Ale zaczął używać Mocy, zanim po raz pierwszy usłyszał ten głos; sam wymyślił, jak przywołać błyskawicę, ciskać ogniem i zbudować twór, który zabił setki Trolloków. Ale przecież to znowu mógł być Lews Therin, podobnie jak wspomnienia o wspinaniu się na drzewa w śliwkowym sadzie, o

wkraczaniu do Komnaty Sług, oraz wiele innych, które zupełnie bez udziału świadomości pojawiały się w jego głowie. Może jednak te wspomnienia były całkowicie fałszywe, szalone sny szalonego umysłu, podobnie jak sam głos. Przyłapał się na tym, że spaceruje i nie może się zatrzymać. Czuł się tak, jakby coś nakazywało mu się poruszać, bo w przeciwnym razie rozszarpią go skurcze mięśni.

- Nie oszalałem - dyszał. Jeszcze nie. - Nie... -Słysząc odgłos otwieranych drzwi, odwrócił się, z nadzieją, że to Min.

To jednak znowu była Riallin; podtrzymywała niską, krępą kobietę w ciemnoniebieskiej sukni, z włosami niemalże całkowicie pokrytymi siwizną i z otępieniem na twarzy. Wynędzniałej twarzy o zaczerwienionych oczach.

Chciał już kazać im odejść, żeby zostawiły go samego. Samego. Czy był sam? Czy Lews Therin to tylko sen? Gdyby tylko zostawiły go... Idrien Tarsin była przełożoną szkoły, którą założył tu w Cairhien, kobietą tak praktycznie nastawioną do świata, że czasami wątpił, czy ona wierzy w Jedyną Moc, skoro nie może jej ani zobaczyć, ani dotknąć. Cóż mogło sprawić, że znalazła się w tak opłakanym stanie? Zmusił się, aby na nie spojrzeć. Szalony czy nie, samotny czy nie, nie było nikogo, kto mógłby zrobić to, co musiało zostać zrobione. Choćby ten drobny obowiązek. Cięższy niż góra.

- O co chodzi? - zapytał, starając się nadać głosowi tak delikatne brzmienie, jak tylko umiał.

Idrien niespodziewanie wybuchnęła łzami i chwiejnie podeszła bliżej, a potem osunęła się na jego pierś. Kiedy doszła do siebie na tyle, by móc opowiedzieć całą historię, Rand poczuł, że jemu również łzy napływają do oczu.

ROZDZIAŁ 19

DIAMENTY I GWIAZDY

Merana szła tuż za Cadsuane, tak blisko, na ile pozwalała jej odwaga; na końcu języka miała setkę pytań, ale Cadsuane nie zaliczała się do osób, które się szarpie za rękaw. To ona decydowała, kogo zauważy i kiedy. Annoura też milczała, i tak obie wlokły się jej śladem przez pałacowe korytarze, na dół po klatkach schodowych, z początku z polerowanego marmuru, dalej ze zwykłego, ciemnego kamienia. Merana wymieniała spojrzenia z Szarą siostrą i czuła bolesne napięcie chwili. Osobiście nie znała zbyt dobrze tej kobiety, za to Annoura miała zaciętą minę młodej dziewczyny, która wybiera się do Mistrzyni Nowicjuszek, powziąwszy uprzednio postanowienie, że będzie odważna. Nie były nowicjuszkami. Nie były dziećmi. Otwarła usta - i zamknęła je, onieśmielona tym kołyszącym się przed nią szarym koczkiem z mnóstwem ozdób w kształcie księżyców, gwiazd, ptaków i ryb. Cadsuane była,.. Cadsuane.

Merana poznała ją już kiedyś, czy raczej słyszała ją, kiedy była nowicjuszką.

Siostry z wszystkich Ajah przychodziły oglądać tę kobietę, przepełnione lękiem, którego nie umiały ukryć. Swego czasu Cadsuane Melaidhrin stanowiła normę, wedle której oceniano każdą nową pozycję wprowadzoną do rejestru nowicjuszek. Aż do pojawienia się Elayne Trakand, do Białej Wieży nie dostała się żadna, która by spełniała tę normę, nie mówiąc już o jej zdystansowaniu. Pod wieloma względami od tysiąca lat nie znalazła się wśród Aes Sedai żadna, która byłaby do niej podobna. Odmowa przyjęcia stanowiska Zasiadającej była czymś niesłychanym, a mimo to powiadano, że odmówiła i to co najmniej dwa razy. Powiadano też, że wzgardziła stanowiskiem przywódczyni Ajah. I że kiedyś zniknęła z Wieży na dziesięć lat, ponieważ Komnata zamierzała ja wynieść na Tron Amyrlin. Co z kolei wcale nie

znaczyło, by kiedykolwiek spędziła w Tar Valon dzień dłużej niż to było absolutnie konieczne. Do Wieży docierały najrozmaitsze informacje o Cadsuane, informacje, pod wpływem których siostry wytrzeszczały oczy, opowieści o przygodach wywołujących dreszcz u tych, które marzyły o szalu. Miała się stać legendą wśród Aes Sedai. O ile już się nią nie stała.

Szal ozdobił ramiona Merany dwadzieścia pięć lat po tym, jak Cadsuane, której włosy całkiem już wtedy zszarzały, ogłosiła, że wycofuje się ze spraw świata, a po upływie dalszych dwudziestu pięciu lat, kiedy wybuchła wojna z Aielami, wszystkie zakładały, że ona już nie żyje, ale po trzech miesiącach walk pojawiła się ponownie w towarzystwie dwóch Strażników, mężczyzn mocno posuniętych w latach, a mimo to nadal twardych jak żelazo. Powiadano, że przez te wszystkie lata Cadsuane wzięła sobie więcej Strażników niż większość sióstr miało butów. Kiedy Aielowie wycofali się z Tar Valon, po raz kolejny odeszła na spoczynek, ale niektóre utrzymywały, bardziej niż tylko na poły poważnie, że Cadsuane nie umrze dopóty, dopóki na świecie pozostawała bodaj iskierka przygody.

“To bzdury, jakie paplają nowicjuszki - upomniała się surowo Merana. - Nawet my w końcu umieramy”. A mimo to Cadsuane była nadal Cadsuane. I jeśli to nie ona należała do grupy sióstr, które pojawiły się w mieście po tym, jak pojmano al’Thora, to słońce nie zajdzie tego wieczora. Merana podniosła rękę, żeby poprawić szal, i uświadomiła sobie, że przecież został na kołku w jej izbie. Co za głupota. Przecież nie potrzebuje niczego, co by jej przypominało, kim jest. Gdyby jeszcze to był ktoś inny, a nie Cadsuane...

Dwie Mądre stojące w wejściu do jednego z krzyżujących się korytarzy obserwowały ich przemarsz chłodnymi, jasnymi oczyma osadzonymi w kamiennych

twarzach. Edarra i Leyn. Obie potrafiły przenosić i to całkiem silnie; gdyby znalazły się w Wieży w młodym wieku, zapewne doszłyby już do wysokich stanowisk.

Cadsuane przeszła mimo, zdając się w ogóle nie zauważać dezaprobaty dzikusek. Annoura natomiast zwróciła uwagę, bo skrzywiła się, coś mruknęła i potrząsnęła głową, kołysząc cienkimi warkoczykami. Merana nie odrywała wzroku od płytek posadzki.

Bez wątpienia to na nią spadnie obowiązek wyjaśnienia Cadsuane, na czym polega ów... kompromis... który został wypracowany przy udziale Mądrych ubiegłej nocy, zanim sprowadzono ją i pozostałe do Pałacu. Annoura o niczym nie wiedziała - nie brała w tym udziału - a Merana nie miała większych nadziei, że pojawi się Rafela, Verin albo w ogóle ktokolwiek, kogo mogłaby obarczyć tym zadaniem. To był, do pewnego stopnia, kompromis, i niewykluczone, że najlepszy, jakiego można się było spodziewać w tych okolicznościach, a mimo to mocno wątpiła, by Cadsuane tak na to spojrzała. Bardzo żałowała, że to właśnie ona musi być tą, która będzie ją przekonywała. Już lepiej byłoby przez miesiąc nalewać herbatę tym przeklętym mężczyznom. Bardzo żałowała, że tak rozpuściła język przy młodym al'Thorze. Wiedza, dlaczego kazał jej podawać herbatę, nie rekompensowała faktu, że została odcięta od wszelkich korzyści, jakie mogłaby dzięki temu uzyskać. Wolałaby myśleć, że została pochwycona przez jakieś zawirowanie we Wzorze sprokurowane przez ta'veren, zamiast mieć tę świadomość, że to oczy jakiegoś młodzieńca, podobne do lśniących, niebieskoszarych kamieni, kazały jej trajkotać z najczystszej trwogi, ale tak czy owak wręczyła mu te wszystkie przewagi jak na tacy. Żałowała...

Żal należało zostawić dzieciom. Wynegocjowała mnóstwo traktatów, w tym wiele w takim kształcie, jak zamierzono; położyła kres trzem wojnom i udaremniła

wybuch dwóch tuzinów innych, stawiała czoło królom, królowym i generałom, sprawiając, że nabierali rozsądku. A mimo to... Obiecała sobie, że jeśli zza następnego rogu wyskoczy nagle Seonid, Masuri, względnie Faeldrin, w ogóle którakolwiek, to nie wymówi ani słowa skargi, niezależnie od tego, jak często ten mężczyzna będzie ją zmuszał do udawania służącej. Światłości! Gdyby tak mogła zamrugać i stwierdzić, że wszystko, co się zdarzyło od wyjazdu z Salidaru, to tylko zły sen.

O dziwo, Cadsuane poprowadziła je prosto do małej izdebki, którą dzieliły Bera i Kiruna, ukrytej głęboko we wnętrzu Pałacu. Czyli w części zamieszkałej przez służbę. Wąziutkie okno, osadzone wysoko w murze, a mimo to na jednym poziomie z kamieniami, którymi był wybrukowany zewnętrzny dziedziniec, wpuszczało wąski strumień światła, a jednak w izbie panował półmrok. Na kołkach wbitych w pokryte popękanym i pożółkłym tynkiem ściany wisiały płaszcze i sakwy. Gołe deski posadzki szpeciły rysy, aczkolwiek dokonano pewnych wysiłków, żeby je wygładzić. W jednym z kątów stał mały, zniszczony stolik z owalnym blatem, w innym równie sfatygowana umywalka z wyszczerbioną misą i dzbanem. Merana zerknęła na niewielkie łóżko. Nie wyglądało na wiele węższe od posłania, które musiała dzielić z Seonid i Masuri, drugie drzwi dalej. Tamta izba była większa o jakiś krok wszerz i wzdłuż, ale i tak nie pomyślano jej dla trzech osób. Coiren i pozostałym, które nadal trzymano w namiotach Aielów, musiało być znacznie wygodniej.

W izbie nie było ani Kiruny ani Bery, a za to zastały Daigian, tęgą, bladą kobietę, która w długie czarne włosy miała wpleciony cienki, srebrny łańcuszek z okrągłym kamieniem księżycowym dyndającym na środku czoła. Staniczek jej ciemnej, typowo cairhieniańskiej sukni ozdobiony był czterema wąskimi, kolorowymi paskami, a przez spódnicę biegły cięcia wypełnione bielą oznaczającą jej Ajah. Ta

młodsza córka jednego z pośledniejszych Domów zawsze przypominała Meranie nastroszonego gołębia. Kiedy Cadsuane weszła do izby, Daigian wyczekująco uniosła się na palce.

Było tam tylko jedno krzesło, mebel niewiele lepszy od zwykłego zydla, wyposażony w namiastkę oparcia. Cadsuane usiadła na nim i westchnęła.

- Herbaty, proszę. Dwa łyki tego, co nalał tamten chłopak, i mogłabym użyć własnego języka w charakterze podeszwy.

Daigian natychmiast otoczyła się łuną saidara, bladą wprawdzie, ale pogięty blaszany dzbanek do herbaty uniósł się ze stolika i sploty Ognia podgrzały wodę w czasie, gdy otwierała małą szkatułkę zawierającą herbatę.

Nie mając wyboru, Merana przysiadła na łóżku i postarała się uporządkować myśli, jednocześnie układając spódnice i przyklepując nierówny materac. To spotkanie mogło się okazać równie ważne, co te wszystkie negocjacje, jakich się kiedykolwiek podejmowała. Po jakiejś chwili Annoura przyłączyła się do niej, przysiadając na skraju materaca.

- Na podstawie twojej obecności, Merano - odezwała się nagle Cadsuane - wnoszę, iż opowieści o tym, jakoby ten chłopak podporządkował się Elaidzie, są nieprawdziwe. Nie rób takiej zdziwionej miny, dziecko. Myślisz, że ja nie wiem o twoich... powiązaniach? - Wymówiła to słowo tak znacząco, że zabrzmiało równie wulgarnie jak żołnierskie przekleństwo. - A ty, Annoura?

- Jestem tu po to tylko, by udzielać rad Berelain, aczkolwiek prawda jest taka, że ona zignorowała moją radę i jednak tu przybyła. - Annoura, rodowita Tarabonianka, mówiła pewnym głosem; głowę trzymała wysoko uniesioną. I jednocześnie z całej siły tarła jednym kciukiem o drugi. Nie poradziłaby sobie przy

stole negocjacyjnym, skoro tak łatwo można było ją przejrzeć. - A co do reszty - dodała ostrożnie -to jeszcze nie podjęłam decyzji.

- Mądra decyzja - mruknęła Cadsuane, ostentacyjnie wbijając wzrok w Meranę.

-Jak się zdaje, podczas ostatnich kilku lat zbyt wiele sióstr zapomniało, że posiadają mózg, względnie rozsądek. Były kiedyś takie czasy, kiedy Aes Sedai podejmowały decyzje drogą chłodnego namysłu, zawsze biorąc pod rozwagę przede wszystkim dobro Wieży. Przypomnij sobie tylko, jaki los spotkał tę Sanche za konszachty z al'Thorem, Annoura. Jeżeli podchodzisz za blisko ognia w kuźni, możesz się paskudnie poparzyć.

Merana zadarła podbródek i kilkakrotnie pokręciła głową, by pozbyć się uczucia sztywności w karku. Przestała dopiero wtedy, gdy dotarło do niej, co robi. Przecież ta kobieta nie stała o wiele wyżej od niej w hierarchii. Wcale nie. Tylko odrobinę wyżej od każdej innej siostry.

- Jeśli wolno mi spytać... - za butnie, ale postąpiłaby gorzej, gdyby urwała i zaczęła od nowa - ... jakie są twoje intencje, Cadsuane?-Z wielkim wysiłkiem usiłowała zachować godność. - Najwyraźniej byłaś... trzymałaś się na uboczu... aż do teraz. Czemu postanowiłaś... zbliżyć się do... al'Thora w tak szczególnym momencie? Postąpiłaś z nim.... raczej... mało dyplomatycznie.

- Równie dobrze mogłaś go spoliczkować - wtrąciła się Annoura i Merana pokraśniała. Z nich dwóch to raczej Annoura miała cięższą przeprawę z Cadsuane, a jednak to nie ona dukała słowa.

Cadsuane z politowaniem pokręciła głową.

- Jeżeli chcecie się dowiedzieć, z jakiej materii ulepiony jest dany mężczyzna, pchnijcie go w takim kierunku, jakiego najmniej się spodziewa. Moim zdaniem, ten

chłopiec jest zbudowany z dobrego kruszcu, ale na pewno okaże się trudny. - Złączywszy palce w trójkąt, popatrzyła ponad nim na ścianę, pogrążając się w zadumie. - Ma w sobie wściekłość, która byłaby zdolna spalić świat, a smycz, na której ją trzyma, dorównuje grubością włosowi. Wytrąćcie go tylko z równowagi... Ha! Al'Thor nie jest ani trochę tak trudny jak Logain Ablar czy Mazrim Taim; on jest sto razy trudniejszy, obawiam się. -Meranie język przysechł do podniebienia, gdy usłyszała te trzy nazwiska razem.

- Czyżbyś widziała Logaina i Taima razem? - spytała Annoura, wytrzeszczając oczy. -Z tego, co słyszałam, Taim podporządkował się al'Thorowi. -Meranie udało się zdławić westchnienie ulgi. Nie upłynęło jeszcze dość czasu, by wieści o Studniach Dumai zdążyły się rozejść. Ale na pewno się rozejdą.

- Ja też mam uszy, które potrafią wychwytywać plotki, Annoura - odparła kwaśno Cadsuane. - Aczkolwiek to, co słyszę, sprawia, że naprawdę żałuję. Cała moja praca pójdzie na marne. Praca innych też, ale ja swój obowiązek przynajmniej wypełniłam do końca. I jeszcze są te czarne kaftany, ci Asha'mani. -Odebrawszy filiżankę z rąk Daigian, uśmiechnęła się ciepło i podziękowała półgłosem. Obdarzona krągłymi policzkami Biała wyraźnie miała ochotę dygnąć, ale tylko wycofała się do kąta, gdzie stanęła z założonymi rękoma. Była nowicjuszką i Przyjętą najdłużej z wszystkich, jakie się zachowały w pamięci żyjących; ledwie pozwolono jej pozostać w Wieży. W towarzystwie innych sióstr zawsze usuwała się w cień.

Cadsuane zdmuchnęła parę unoszącą się nad jej filiżanką i ciągnęła wątek, ni stąd, ni zowąd takim tonem, jakby to była miła pogawędka.

- To właśnie Logain, który praktycznie stanął na moim progu, wywabił mnie z różanego ogrodu. Ha! Byle bójka na targu owiec odciągnęłaby mnie od tych

przeklętych przez Światłość roślin. Co za sens w tym, że potrafisz posługiwać się Mocą, a jednak obywasz się bez niej, hodując tysiąc cierni na każde... Ha! Autentycznie rozważałam pomysł złożenia przysięgi uczestnika Polowania, gdyby Rada Dziewięciu wyraziła na to zgodę. No cóż... Te kilka miesięcy spędzonych na ściganiu Logaina przysporzyło mnóstwa rozrywki, ale kiedy już został pojmany, eskortowanie go do Tar Valon przysporzyło tyleż samo wzruszeń co te róże. Trochę się włóczyłam, szukając nie wiedzieć czego, może nowego Strażnika. Potem usłyszałam o Taimie i natychmiast ruszyłam co koń wyskoczy do Saldaei. Nie znajdziesz lepszej rozrywki nad mężczyznę, który potrafi przenosić. - Nagle jej głos i wzrok stwardniały. - Czy któraś z was miała swój udział w tych... nikczemnościach... do których doszło tuż po Wojnie z Aielami?

Merana mimo woli wzdrygnęła się z zaskoczenia. Oczy drugiej kobiety mówiły o katowskim pieńku i toporze.

- Jakie nikczemności? Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

Oskarżycielskie spojrzenie zaatakowało Annourę z taką siłą, że omal nie spadła z łóżka.

- Wojna z Aielami? - wychrypiała, opanowując się z trudem. - Przez wiele lat, które nastąpiły bezpośrednio po tej wojnie, dokładałam wszelkich starań, żeby tak zwana Wielka Koalicja stała się czymś więcej niż tylko pustą nazwą.

Merana spojrzała z zainteresowaniem na Annourę. Po wojnie wiele sióstr z Szarych Ajah biegało od stolicy do stolicy, na próżno się starając utrzymać przymierze powstałe przeciwko Aielom, ale do tej pory nie miała pojęcia, że zaliczała się do nich Annoura. Jeśli tak, to nie mogła być aż tak złą negocjatorką.

- Podobnie jak ja-powiedziała. Godność. Jakże mało jej zostało godności od

czasu, kiedy wyjechała w ślad za al'Thorem z Caemlyn. Te strzępki, które zachowała, były zbyt cenne, żeby je tracić. Postarała się, by jej głos zabrzmiał silnie i stanowczo. - O jakich to nikczemnościach mówisz, Cadsuane?

Siowłosa zbyła pytanie machnięciem ręki, jakby ona nie odezwała się ani słowem.

Merana przez chwilę zastanawiała się, czy Cadsuane przypadkiem nie zabłąkała się gdzieś myślami. Nigdy nie słyszała, by coś podobnego zdarzyło się jakiejś siostrze, ale większość Aes Sedai udawała się na emeryturę pod koniec życia, do miejsca jak najbardziej oddalonego od wszelkich podstępów i machinacji, o których nie dowiadywał się nikt oprócz samych sióstr. Najczęściej z dala od wszystkich ludzi. Kto wiedział, co się z nimi działo na sam koniec? Jedno spojrzenie na te czyste, niewzruszone oczy lustrujące ją ponad brzegiem filiżanki wybiło jej z głowy wszelkie tego typu pomysły. Niemniej jednak historia dwudziestu lat nikczemności, czymkolwiek one były, z pewnością nie zasługiwała na wzmiankę w porównaniu z tym, z czym obecnie borykał się świat. A Cadsuane jeszcze nie odpowiedziała na zadane jej na samym początku pytania. Jakie są jej intencje? I dlaczego teraz przystąpiła do realizacji swych tajemniczych celów?

Zanim Merana zdążyła je powtórzyć, otwarły się drzwi i do środka weszły Bera z Kiruną, wpędzone przez Corele Hovian, po chłopięcemu szczupłą Żółtą obdarzoną gęstymi, czarnymi brwiami i burzą kruczoczarnych włosów, które nadawały jej nieco zdziczały wygląd, niezależnie od tego, jakby się schludnie nie odziała, a zawsze ubierała się jak na wiejską potańcówkę, z mnóstwem haftów na rękawach, staniczku i po bokach spódnic. W tym momencie w ciasnej przestrzeni izby nie zostało wiele miejsca nawet na to, by się poruszyć. Corele zawsze wyglądała na rozbawioną,

cokolwiek się nie działo, a teraz uśmiechała się szeroko, trochę jakby z niedowierzaniem, a trochę jakby zamierzała wybuchnąć gromkim śmiechem. Oczy Kiruny błyskały z twarzy okrytej maską zastygłej arogancji, a Bera ewidentnie gotowała się wewnętrznie, z zaciśniętymi ustami i zmarszczonym czołem. Dopóki nie spostrzegły Cadsuane. Obie wytrzeszczyły oczy, a Kiruna otworzyła usta ze zdziwienia.

- Myślałam, że nie żyjesz - wyszeptała Bera.

Cadsuane z irytacją pociągnęła nosem.

- Już mi się sprzykrzyło tego słuchać. Następny imbecyl, od którego to usłyszę, będzie szlochał przez tydzień. - Annoura wbiła wzrok w czubki swoich trzewików.

- Nigdy nie zgadniesz, gdzie znalazłam te dwie - powiedziała Corele swoim śpiewnym, murandiańskim akcentem. Postukała się palcem po skrzydełku zadartego nosa, tak jak to miała w zwyczaju, gdy zamierzała opowiedzieć jakiś dowcip, albo kiedy uważała, że coś, na co patrzy, jest śmieszne. Na policzkach Bery wykwitły kolorowe plamy, jeszcze większe na twarzy Kiruny. - Bera siedziała cichutka jak mysz pod miotłą, pilnowana przez pół tuzina tych dzikusek Aielów, które powiedziały mi najbezczelniej jak tylko można, że ona nie będzie mogła iść ze mną, dopóki Sorilea... och, ta kobieta to wiedźma, która może się przyśnić... że nie mogę zabrać Bery, dopóki Sorilea nie skończy swojej prywatnej pogawędki ze swoją drugą uczennicą. Czyli naszą kochaną Kiruną.

Tego już nie dawało się określić mianem kolorowych plam. Kiruna i Bera poczerwieniały po korzonki włosów, uporczywie unikając wzroku pozostałych. Nawet Daigian patrzyła na nie teraz.

Merana czuła, jak zalewają ją błogie fale ulgi. To nie ona będzie musiała

tłumaczyć, dlaczego Mądre wywnioskowały z rozkazów al'Thora, że Aes Sedai mają okazywać im posłuszeństwo. Wcale tak naprawdę nie były uczennicami, nikt im, rzecz jasna, nie dawał żadnych lekcji. Czego takie dzikuski, z barbarzyńskiego ludu, mogłyby uczyć Aes Sedai? Tu szło tylko o to, że Mądre lubiły wiedzieć, gdzie kto należy. Tylko o to? Bera albo Kiruna mogłyby opowiedzieć, jak al'Thor się śmiał - śmiał! - i mówił, że nie widzi tu różnicy i że spodziewa się, że będą posłusznymi uczennicami. Żadnej nie było łatwo, kiedy musiała pochylać kark, a już najmniej Kirunie.

Cadsuane jednakże nie domagała się wyjaśnień.

- Spodziewałam się jakichś nędznych ochłapów - powiedziała sucho - ale nie wiadra nieczystości. Pozwólcie, że sprawdzę, czy wszystko dobrze rozumiem. Wy, dzieci, które się zbuntowałyście przeciwko wyniesionej zgodnie z prawem Amyrlin, w jakiś sposób związałyście się z tym al'Thorem, a skoro słuchacie rozkazów od kobiet Aielów, to zakładam, że jego rozkazy też przyjmujecie. - Chrząknęła z takim obrzydzeniem, jakby miała usta pełne zgniłych śliwek. Potrząsnąwszy głową, zajrzała do swej filiżanki, po czym znowu utkwiła spojrzenie w tamtych dwóch. - No cóż, czym jest jedna zdrada mniej albo więcej? W ramach kary Komnata może was zmusić do klęczenia aż do samego Tarmon Gai'don, a może też kazać wam od razu ściąć głowy. A co z tymi pozostałymi, w obozie Aielów? Wszystkie należą do Elaidy, jak sądzę. Czy one również... oddały się do terminu? Żadnej z nas nie pozwolono podejść bliżej jak do pierwszego rzędu namiotów. Ci Aielowie zdają się niezbyt kochać Aes Sedai.

- Nie wiem, Cadsuane - odparła Kiruna, z tak czerwoną twarzą jakby stała w ogniu. -Trzymano nas z dala od nich. - Merana otwarła szeroko oczy. W życiu nie słyszała, by Kiruna mówiła równie uległym głosem.

Bera, ze swej strony, zrobiła głęboki wdech. Stała już wyprostowana, a mimo to zdawała się zbroić do jakiegoś niewdzięcznego zadania.

- Elaida nie jest... - zaczęła podniesionym głosem

- Elaida cierpi na przerost ambicji, na ile się orientuję - przerwała jej Cadsuane, podając się do przodu tak raptownie, że Merana i Annoura cofnęły się na łóżku, mimo iż ona na nie nie patrzyła - i być może gotuje jakąś katastrofę, ale jest nadal Zasiadającą na Tronie Amyrlin, wyniesioną przez Komnatę Wieży w całkowitej zgodności z prawem Wieży.

- Jeżeli Elaida jest prawowitą Amyrlin, to w takim razie dlaczego nie usłuchałaś jej rozkazu i nie wróciłaś do Wieży? - Jedyną rzeczą, jaka zdradzała brak opanowania u Bery, było znieruchomienie rąk ułożonych na spódnicach. Musiała wkładać znaczny wysiłek w powstrzymanie ich od wygładzania albo ściskania fałd.

- Przynajmniej jedna z was ma jakiś kręgosłup. - Cadsuane zaśmiała się cicho, ale jej oczy bynajmniej nie były wesołe. Oparła się wygodniej i upiła łyk herbaty. - Usiądźcie. Mam jeszcze mnóstwo innych pytań.

Merana i Annoura wstały, oferując swoje miejsca na łóżku, ale Kiruna tylko stała i przypatrywała się z niepokojem Cadsuane, Bera zaś zerknęła na swoją przyjaciółkę i potrząsnęła głową. Corele przewróciła niebieskimi oczami, z jakiegoś powodu uśmiechając się szeroko, ale Cadsuane zdawała się o nic nie dbać.

- Połowa plotek, jakie mnie dochodzą - powiedziała - dotyczy Przeklętych, którzy rzekomo znaleźli się na wolności. To może by nawet nie dziwiło, jeśli wziąć pod uwagę całą resztę, ale czy dysponujecie jakimiś dowodami, które wyraźnie świadczyłyby za albo przeciw?

Merana już od dawna cieszyła się, że siedzi, już od dawna wiedziała, co czuje

wyprana bielizna, kiedy trafia do magla. Cadsuane dalej wypytywała, przeskakując z tematu na temat, przez co w ogóle się nie dawało przewidzieć, jak będzie brzmiało następne pytanie. Corele zachowała pogodny nastrój i co jakiś czas chichotała albo kręciła głową, a Daigian oczywiście nie było stać nawet na coś takiego. Meranie oberwało się najgorzej, jej, Berze i Kirunie, ale Annoura też z pewnością nie została oszczędzona. Za każdym razem, kiedy doradczyni Berelain się odprężała, myśląc, że już została oczyszczona z zarzutów, Cadsuane zaczynała ją dręczyć od nowa.

Ta kobieta wypytywała dosłownie o wszystko, o władzę młodego al'Thora nad Aielami, o powód, dla którego statek Ludu Morza zakotwiczył na rzece, o okoliczności śmierci Moiraine, o to, czy ten chłopiec rzeczywiście na nowo odkrył Podróżowanie i czy Berelain dzieli z nim łoże, względnie ma taki zamiar. Nie dawało się orzec, co Cadsuane sądzi o ich wyjaśnieniach, z jednym wyjątkiem, to znaczy wtedy, gdy usłyszała, że Alanna związała al'Thora więzią i jak do tego doszło. Zacisnęła usta w cienką kreskę i spojrzała tak srogo, jakby mogła wywiercić dziurę w ścianie, ale podczas gdy pozostałe demonstrowały swój niesmak, Merana przypomniała sobie, jak Cadsuane mówiła o tym, że się zastanawiała, czy nie wziąć sobie nowego Strażnika.

Często wymawiały się niewiedzą, ale mówienie, że się czegoś nie wie, bynajmniej nie zaspokajało apetytu Cadsuane, domagała się każdego strzępka informacji i cząsteczki tego, co wiedziały, nawet jeśli same nie były świadome, że to wiedzą. Trochę udało im się zataić, głównie to, co absolutnie należało, a mimo to wyszło na jaw wiele zaskakujących rzeczy, wiele bardzo zaskakujących rzeczy, nawet z ust Annoury, która, jak się okazało, otrzymywała codziennie szczegółowe listy od Berelain niemalże od dnia, w którym dziewczyna wyjechała na północ. Cadsuane domagała się odpowiedzi, za to sama nie udzielała żadnych, i to bardzo niepokoiło

Meranę. Obserwowała twarze, które stawały się coraz bardziej uparte, zaczepne i przepraszające, zastanawiając się, czy jej twarz wygląda podobnie.

- Cadsuane. - Musiała się zdobyć na jeszcze jeden wysiłek. - Cadsuane, dlaczego postanowiłaś zainteresować się nim właśnie teraz? - Niemrugające spojrzenie na moment napotkało jej wzrok, po czym Cadsuane skierowała uwagę na Berę i Kirunę.

- A więc naprawdę udało im się porwać go z pałacu - powiedziała siwowłosa kobieta, podsuwając Daigian pustą filiżankę. Nikt inny nie został poczęstowany herbatą. Wyraz twarzy i głos Cadsuane były tak neutralne, że Merana miała ochotę rwać sobie włosy z głowy. Al'Thor nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że Kiruna opowiedziała o porwaniu, nieważne, że nieumyślnie; Cadsuane wykorzystywała każde omsknięcie języka, żeby wywlec więcej, niż się chciało powiedzieć. Przynajmniej nie wyszły na jaw szczegóły odnośnie do sposobu, w jaki został potraktowany. Dał jasno do zrozumienia, jaki byłby niezadowolony, gdyby do tego doszło. Merana dziękowała Światłości, że ta kobieta nie zatrzymywała się dłużej przy każdym temacie.

- Jesteście pewne, że to był Taim? I że te czarne kaftany nie przybyły na koniach? - Bera odpowiedziała jej z niechęcią, a Kiruna ponuro; były pewne, że nikt nie widział, ani jak Asha'mani przyszli, ani jak odeszli, a ta... dziura... z której się wyłonili, mogła zostać stworzona przez al'Thora. Co, rzecz jasna, bynajmniej nie zadowoliło Cadsuane.

- Myślcie! Nie jesteście już głupimi dziewczątkami. Ha! Przecież musiałyście coś zauważyć.

Merana poczuła się, jakby była bardzo chora. Ona i pozostałe spędziły pół nocy na spieraniu się, co właściwie oznacza ich przysięga, zanim orzekły, że ona oznacza

dokładnie to, co powiedziały, i nie zawiera żadnych luk, które dałoby się wykorzystać. Na koniec nawet Kiruna się zgodziła, że muszą nie tylko bronić i wspierać al'Thora, ale również okazywać mu posłuszeństwo, w związku z czym wszelkie stawanie z boku jest niedozwolone. Żadna się tak naprawdę nie zainteresowała, co to mogło oznaczać w przypadku Elaidy i sióstr lojalnych wobec niej. A w każdym razie żadna się nie przyznała do zaciekawienia tą kwestia. Już sam fakt, że ostatecznie coś postanowiły, potrafił odebrać mowę. Niemniej jednak Merana zastanawiała się, czy do Bery albo Kiruny dotarło to samo, co ona zrozumiała. Mogły zwyczajnie stwierdzić, że występują przeciwko legendzie, nie wspominając już tych wszystkich sióstr oprócz Corele i Daigian, które postanowiły pójść za nią. A co gorsza... Wzrok Cadsuane na chwilę spoczął na niej, niczego nie zdradzając, a za to żądając wszystkiego. Co gorsza, Merana była przekonana, że Cadsuane doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Min, która truchtała przez pałacowe korytarze, zignorowała pozdrowienia od połowy tuzina znajomych jej Panien, mijając je pospiesznie, nie rzucając nawet słowa w odpowiedzi, nawet się nie zastanawiając, czy przypadkiem nie zachowuje się grubiańsko. Ależ trudno się biegło w tych butach na wysokim obcasie. Ależ głupie rzeczy te kobiety robiły dla mężczyzn! Rand wprawdzie wcale nie żądał od niej, żeby nosiła takie buty, jednak włożyła je po raz pierwszy z myślą o nim i zauważyła, że się wtedy uśmiechnął. Spodobały mu się. Światłości, co ona robi? Myśli o butach?! Źle zrobiła, że poszła do apartamentów Colavaere. Cała drżąc i mrugając, by pozbyć się nie wylanych łez, ruszyła biegiem.

Jak zwykle obok wysokich drzwi ozdobionych złotymi wizerunkami wschodzącego słońca przycupnęło na piętach kilka Panien. Shoufy miały udrapowane na ramionach, a włócznie ułożone na kolanach, ale nie było w nich nic zwyczajnego.

Przypominały lamparty, które czekają na pojawienie się czegoś, co będą mogły zabić. Na ich widok na ogół robiło jej się nieswojo, mimo że zazwyczaj traktowały ją całkiem przyjaźnie. Dzisiaj nic by ją to nie obeszło, gdyby miały osłonięte twarze.

- Jest w paskudnym nastroju - ostrzegła Riallin, ale nie wykonała żadnego ruchu, żeby ją zatrzymać. Min była jedną z nielicznych, którym pozwalano wejść do Randa bez zapowiedzi. Wygładziła kaftan i starała się uspokoić. Nie była pewna, po co właściwie tu przyszła. Wiedziała tylko, że w obecności Randa czuła się bezpieczna. A żeby on sczezł! Przedtem nigdy nikogo nie potrzebowała, żeby się poczuć bezpieczna. Zatrzymała się jak wryta, po czym odruchowo zatrzasnęła za sobą drzwi.

Wnętrze komnaty zamieniło się w śmietnisko. Do ram po lustrach przylgnęło kilka połyskliwych odłamków, ale większość szklanych tafli walała się na posadzce. Podium leżało przewrócone na boku, a z tronu, który dotąd na nim stał, pozostał jedynie stos pozłacanych szczap, pod ścianą, o którą został roztrzaskany. Jedna ze stojących lamp, wykuta z ciężkiego żelaza pokrytego złoceniami, została skręcona w pałąk. Rand siedział na jednym z krzeseł, odziany w samą koszulę; ze zwieszonymi luźno rękoma i głową odrzuconą w tył wpatrywał się w sufit. W pustkę. Wokół niego pląsały wizje i kolorowe, migotliwe aury; w tym przypominał Aes Sedai. Nie musiała oglądać Iluminatorów, kiedy w pobliżu był Rand albo jakaś siostra. Nie poruszył się, kiedy zaczęła iść w jego stronę. Zdawał się w ogóle nie zauważać jej obecności. Pod butami Min chrzęściły okruchy luster. Paskudny nastrój, w rzeczy samej.

A mimo to nie czuła strachu. Nie przed nim; nie wyobrażała sobie, by Rand mógł zrobić jej coś złego. Żywiła wobec niego dostatecznie wiele uczucia, by zapomnieć wizytę w apartamentach Colavaere. Dawno już temu pogodziła się ze świadomością, że jest nieszczęśliwie zakochana. Nic innego się nie liczyło, ani to, że

był prostym wieśniakiem, młodszym od niej, ani to, kim albo czym był, ani też to, że miał popaść w obłęd i umrzeć, o ile wcześniej nie zostanie zabity. "Nie obchodzi mnie nawet to, że muszę się nim dzielić z innymi" - pomyślała i w tym momencie już wiedziała, jak bardzo się pogrążyła, skoro potrafiła okłamywać samą siebie. Zmuszała się, żeby to zaakceptować; Elayne posiadała jakąś jego cząstkę, miała do niego pewne prawo, i podobnie ta Aviendha, którą dopiero miała poznać. Człowiek musi żyć z tym, czego nie potrafi zmienić, tak zwykła mawiać jedna z jej ciotek. Zwłaszcza wtedy, kiedy rozmiękł mu mózg. Światłości, przecież zawsze chlubiła się tym, że potrafi zachować zdrowy rozsądek.

Przystanęła obok jednego z krzeseł, z Berłem Smoka wbitym w oparcie z taką siłą, że jego czubek wystawał niemalże na odległość dłoni z drugiej strony. Zakochana w mężczyźnie, który o niczym nie wiedział, który odesłałby ją, gdyby to do niego dotarło. W mężczyźnie, który ją kochał, tego przynajmniej była pewna. I który również kochał Elayne i tę Aviendhę -tę myśl pospiesznie odegnała. Człowiek musi żyć z tym... On ją kochał, ale nie chciał się do tego przyznać. Bo uważał, że jest skazany na los Lewsa Therina Telamona, który popadł w obłęd i zabił ukochaną kobietę?

- Cieszę się, że przyszłaś - odezwał się znienacka, nadal wpatrując się w sufit. - Siedzę tu całkiem sam. Sam. - Wybuchł gorzkim śmiechem. - Herid Fel nie żyje.

- Nie - wyszeptała - nie ten miły staruszek! - Poczuła, że pieką ją oczy.

- Został rozdarty na strzępy. - Głos Randa zdradzał wielkie zmęczenie. I był taki pusty. - Idrien zemdlała, kiedy go znalazła. Leżała nieprzytomna przez pół nocy, a kiedy się wreszcie ocknęła, niemalże mówiła od rzeczy. Jedna z kobiet zatrudnionych w szkole dała jej coś na sen. Bardzo się potem wstydziła. Kiedy do mnie przyszła, zaczęła znowu płakać i..: To musiał być jakiś Pomiot Cienia. Co jeszcze potrafiłoby

rozedrzeć człowieka na kawałki? - Nie podnosząc głowy, uderzył pięścią w poręcz krzesła z taką siłą, że rozległ się trzask pękającego drewna. - Tylko dlaczego? Dlaczego został zabity? Co takiego mógł mi powiedzieć?

Min myślała intensywnie. Naprawdę się starała. Pan Fel był filozofem; on i Rand dyskutowali o wszystkim, poczynając od znaczenia poszczególnych fragmentów Proroctw Smoka, a kończąc na naturze otworu, przez który się wchodziło do więzienia Czarnego. Pożyczał jej książki, fascynujące książki, zwłaszcza takie, dzięki którym mogła wykombinować, o czym właściwie mówili. Był filozofem. Już nigdy jej nie pożyczy żadnej książki. Taki łagodny staruszek, zagubiony w świecie myśli, który dziwił się, kiedy dostrzegał coś na zewnątrz niego. Zatrzymała na pamiątkę list, który napisał do Randa. Mówił o niej, że jest piękna, że rozprasza jego uwagę. A teraz nie żył. Światłości, miała już dość umierania.

- Nie powinienem był ci tego mówić; nie w taki sposób.

Wzdrygnęła się; nie usłyszała, że Rand do niej podszedł. Pogładził ją po policzku. Otarł łzy. Bo płakała.

- Przykro mi, Min - powiedział łagodnie. - Chyba już nie jestem miłą osobą. Człowiek umarł przeze mnie, a ja potrafię się przejmować tylko powodem, dla którego zginął.

Objęła go ramionami i wtuliła twarz w jego pierś. Nie mogła przestać płakać. Nie mogła przestać się trząść.

- Poszłam do apartamentów Colavaere. - W głowie błyskały jej obrazy. Pusta bawialnia, wszyscy słudzy wyszli. Sypialnia. Nie chciała sobie tego przypominać, ale teraz kiedy zaczęła, nie mogła pohamować słów, które polały się z jej ust. - Wygnałeś ją, więc myślałam, że wizja, jaką miałam w związku z nią, się nie sprawdzi. -

Colavaere była ubrana w najlepszą ze swoich sukien, uszytą z połyskliwego, ciemnego jedwabiu, ozdobioną kaskadami delikatnej koronki z Sovarry. - Miałam nadzieję, że chociaż raz tak nie będzie musiało być. Jesteś ta'veren. Zmieniasz Wzór. - Colavaere wystroiła się w naszyjnik i bransolety ze szmaragdów i ogników, w pierścienie z perłami i rubinami, z pewnością swoją najlepszą biżuterię, a we włosy miała wplecione żółte diamenty znakomicie imitujące koronę Cairhien. Jej twarz... - Była w swojej sypialni. Powiesiła się na jednym z postumentów łóżka. - Wytrzeszczone oczy i język wystający ze sczerniałej, spuchniętej twarzy. Nogi dyndały na wysokości stopy ponad przewróconym zydlem. Łkająca bezradnie Min osunęła się na pierś Randa. Objął ją powoli, delikatnie.

- Och, Min, doznajesz więcej bólu niż przyjemności z powodu swojego daru. Gdybym potrafił ująć ci tego bólu, zrobiłbym to, Min. Zrobiłbym.

Powoli docierało do niej, że on też drży. Światłości, starał się być twardy jak żelazo, być takim, jakim jego zdaniem musiał być Smok Odrodzony, a mimo to zadręczał się tymi, którzy umierali z jego powodu, Colavaere prawdopodobnie w nie mniejszym stopniu niż Felem. Opłakiwał każdego, kto został skrzywdzony, a starał się udawać, że tak nie jest.

- Pocałuj mnie - wybąkała. Kiedy się nie poruszył, podniosła wzrok. Zamrugał niepewnie, oczyma to niebieskimi, to szarymi, podobnymi do porannego nieba. - Ja mówię poważnie. - Jak często się z nim droczyła, siadając mu na kolanach, całując go, nazywając pasterzem, bo nie odważała się wymawiać jego imienia ze strachu, że mógłby w tym usłyszeć pieszczotę? Godził się na to, gdyż myślał, że ona się z nim droczy. Ach! Ciotka Jan i ciotka Rana twierdziły, że nie powinno się całować mężczyzny, o ile nie zamierza się go poślubić, ale ciotka Miren zdawała się wiedzieć

trochę więcej o świecie. Powiadała, że nie należy całować mężczyzny ot tak, ponieważ mężczyźni zakochują się zbyt łatwo. - Zimno mi w środku, pasterzu. Colavaere i pan Fel... Muszę poczuć ciepło ciała. Muszę... Zrobisz to?

Opuścił głowę, jakże wolno. To był z początku braterski pocałunek, łagodny niczym mleko zmieszane z wodą, uspokajał, pocieszał. A potem stał się inny. Wcale już nie uspokajał. A on wyprostował się gwałtownie, starając się wyrwać z jej objęć.

- Min, nie mogę. Nie mam prawa...

Schwyciwszy go za włosy, przyciągnęła z powrotem jego usta i po chwili przestał się szamotać. Nie była pewna, czy to jej, czy jego ręce zaczęły pierwsze rozplątywać tasiemki przy jego koszuli, ale jednej rzeczy była pewna absolutnie. Gdyby tylko spróbował położyć teraz temu kres, to pochwyciłaby jedną... nie, wszystkie!... włócznie Riallin i zadźgała go na śmierć.

Po wyjściu z Pałacu Słońca Cadsuane dyskretnie przyjrzała się tym dzikuskom, którym mogła, Corele i Daigian szły za nią w milczeniu; znały ją dostatecznie dobrze, by teraz jej nie przeszkadzać paplaniem, czego nie dawało się powiedzieć o tych wszystkich, które zatrzymywały się na kilka dni w maleńkim pałacyku Anilin, dopóki nie wyprawiła ich w dalszą drogę. Dużo było tych dzikusek, a wszystkie gapiły się na Aes Sedai jak na zapchlone psy pokryte zaropiałymi ranami i zostawiające błoto na nowym dywanie. Niektórzy ludzie patrzyli na Aes Sedai ze zgrozą albo podziwem, inni ze strachem albo nienawiścią, ale Cadsuane nigdy przedtem nie widziała pogardy, nawet ze strony Białych Płaszczy. A szkoda, bo każdy naród, który wydawał tyle dzikusek, powinien posyłać całą rzekę dziewcząt do Tar Valon.

Tego trzeba będzie kiedyś dopilnować, i do Szczeliny Zagłady z obyczajem, jeśli to się okaże konieczne, ale jeszcze nie teraz. Al'Thor musiał być dostatecznie

zaintrygowany, skoro ją dopuścił do siebie, a ponadto dał się zbić z tropu, dzięki czemu mogła go popchnąć w tę stronę, w którą chciała, bez jego wiedzy. Tak czy owak, należało przejąć kontrolę, względnie zniszczyć to wszystko, co mogło w tym przeszkodzić. Nie wolno dopuścić, by cokolwiek na niego wpłynęło albo go zdenerwowało i skierowało na niewłaściwe tory. Nie wolno.

Lśniący, czarny powóz czekał na dziedzińcu za cierpliwym zaprzęgiem złożonym z sześciu siwków. Służący podbiegł otworzyć drzwi, na których na tle czerwonych i zielonych pasków wymalowano dwie srebrne gwiazdy; tak głęboko kłaniał się im trzem, że niemal dotykał łysą głową kolan. Był odziany w samą koszulę i spodnie. Od przyjazdu do Pałacu Słońca nie zauważyła nikogo w liberii z wyjątkiem kilku w barwach Dobraine. Bez wątpienia słudzy nie byli pewni, co powinni nosić, a bali się popełnić błąd.

- Chyba obedrę Elaidę ze skóry, jak tylko wpadnie mi w ręce - oznajmiła, kiedy powóz ruszył z miejsca. - Przez tę głupią dziewczynę moja misja stała się niemalże niemożliwa.

A potem niespodzianie wybuchnęła śmiechem, sprawiając, że Daigian mimo woli wytrzeszczyła oczy. Uśmiech Corele pogłębił się wyczekująco. Żadna nie zrozumiała, a ona nie próbowała niczego wyjaśniać. Zawsze, przez całe życie, najlepszym sposobem na zainteresowanie jej czymkolwiek było oświadczenie, że coś jest niemożliwe. Ale z kolei upłynęło ponad dwieście siedemdziesiąt lat od ostatniego razu, gdy zetknęła się z zadaniem, którego nie była w stanie wypełnić. Obecnie każdy dzień mógł się okazać jej ostatnim, ale młody al'Thor sprawi, że dokona żywota najgodniej.

Książka pobrana ze strony

http://www.ksiazki4u.prv.pl